

# CZARNA SERIA

KRYMINAŁ



**MARTA**  
**ZABOROWSKA**  
**JEJ WSZYSTKIE ŚMIERCI**

**MARTA  
ZABOROWSKA  
JEJ WSZYSTKIE ŚMIERCI**

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2017

Redakcja Aleksandra Kielczykowska  
Projekt okładki Pola & Daniel Rusiłowicz JCR Solutions  
Zdjęcia na okładce  
© Dmitry Laudin/Shutterstock  
© Songquan Deng/Shutterstock  
Korekta Beata Wójcik  
Redaktor prowadzący Anna Brzezińska

Text © copyright by Marta Zaborowska  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).  
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.  
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-828-3

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

*Mojej Mamie*

Stojąc na płytach chodnika przy wejściu do Hadesu  
Orfeusz kulił się w porywistym wietrze,  
Który targał jego płaszczem, toczył kłęby mgły,  
Miotał się w liściach drzew. Światła aut  
Za każdym napływem mgły przygasały.

Zatrzymał się przed oszklonymi drzwiami, niepewny  
Czy starczy mu sił w tej ostatniej próbie.

Pamiętał jej słowa: „Jesteś dobrym człowiekiem”.

...

Tylko jej miłość ogrzewała go, ucłowieczała.  
Kiedy był z nią, inaczej też myślał o sobie.  
Nie mógł jej zawieść teraz, kiedy umarła.

Pchnął drzwi. Szedł labiryntem korytarzy, wind.  
Sine światło nie było światłem, ale ziemskim mrokiem.  
Elektroniczne psy mijają go bez szelestu.  
Zjeżdżał piętro po piętrze, sto, trzysta, w dół.  
Marzył. Miał świadomość, że znalazł się w Nigdzie.

...

Aż zaszedł do pałacu rządców tej krainy.  
Persefona, w swoim ogrodzie uschniętych grusz i jabłoni,  
Czarnym od nagich konarów i gruzłowatych gałązek,  
A tron jej, żałobny ametyst, słuchała.

...

Nie wiem, rzekła bogini, czy ją kochałeś,  
Ale przybyłeś aż tu, żeby ją ocalić.  
Będzie tobie wrócona. Jest jednak warunek.  
Nie wolno ci z nią mówić. I w powrotnej drodze  
Oglądać się, żeby sprawdzić, czy idzie za tobą.

I Hermes przyprowadził Eurydykę.  
Twarz jej nie ta, zupełnie szara,  
Powieki opuszczone, pod nimi cień rzęs.  
Posuwała się sztywno, kierowana ręką

Jej przewodnika. Wymówić jej imię  
Tak bardzo chciał, zbudzić ją z tego snu.  
Ale wstrzymał się, wiedząc, że przyjął warunek.

Ruszyli. Najpierw on, a za nim, ale nie zaraz,  
Stukanie jego sandałów i drobny tupot  
Jej nóg spętanych suknią jak całunem.

...

Wiedział, że musi wierzyć i nie umiał wierzyć.  
I długo miała trwać niepewna jawa  
Własnych kroków liczonych w odrętwieniu.

Dniało. Ukazały się załomy skał  
Pod świetlistym okiem wyjścia z podziemi.  
I stało się jak przeczuł. Kiedy odwrócił głowę,  
Za nim na ścieżce nie było nikogo.

...

Teraz dopiero krzyczało w nim: Eurydyko!  
Jak będę żyć bez ciebie, pocieszycielko!  
Ale pachniały zioła, trwał nisko brzęk pszczół.  
I zasnął, z policzkiem na rozgrzanej ziemi.

Czesław Miłosz, *Orfeusz i Eurydyka*

## ŚMIERĆ PIERWSZA

Erwin Cis przysunął fotel do szyby i opadł na skórzane oparcie. Zwyczaj, by co wieczór patrzeć z siedemnastego piętra szklanego biurowca na auta płynące przez centrum Hamburga, wszedł mu w krew.

Kółka fotela stały na tyle blisko okna, by mógł swobodnie oprzeć czubki swoich butów o szklaną ścianę i udawać, że zgniata kolejne samochody sunące po asfalcie. Liczył dokładnie, a przynajmniej robił, co mógł, aby żaden co dziesiąty kierowca nie umknął mu spod podeszwy z logo New&Lingwood. Pantofle za tysiąc euro, które kupił w domu handlowym Hanse-Viertel, świetnie się do tego nadawały.

Rytuał deptania ludziom po dachach samochodów powtarzał codziennie od pięciu lat, kiedy to na drzwiach swojego gabinetu powiesił tabliczkę z napisem „*Sense of Your Life*”. Sens Twojego Życia, firmę szkoleniową, otworzył dla tych, którzy mają problem ze sobą, swoim szefem czy własnym ojcem. Prostowanie ludzkich fobii i wbijanie do głowy, że wystarczy nauczyć się kilku zdań wytrychów i powtarzać je codziennie przed lustrem, by z ludzkiej oferty stać się asertywną skałą, stało się łatwym zarobkiem. Popyt był, wystarczyło kilkanaście zleceń w miesiącu, by wyjść na swoje.

Brązowe pantofle co rusz uderzały w szklaną ścianę. Równie dobrze mógłby nosić zwykłe adidasy lub trampki, ale Simone uważała, że z jego pozycją społeczną nie wypada nosić niczego, co wyglądałoby, jakby pochodziło ze zwykłej sieciówki.

Pozycja społeczna. To określenie mierziło go, a już zwłaszcza wtedy, gdy Simone dokładała do niego kolejne słowa i tworzyła twór w stylu: pozycja społeczna ludzi z naszego wyselekcjonowanego kręgu. Za każdym razem czekał, aż któreś ze słów wypadnie z tego bełkotu lub zamieni się kolejnością z innym, ale Simone nigdy się nie pomyliła.

No więc miał dobre buty, pozycję społeczną, gabinet i trzydzieści trzy lata. I Simone, swoją niemiecką żonę, którą poznał na otwarciu klubu w centrum miasta. Przed wejściem do lokalu pamiętał jeszcze jego nazwę, ale po kilku głębszych było mu obojętne, gdzie się znajduje. Simone podeszła do jego stolika, gdy zaciągał się drugim skrzętem. Nie zdążył wypuścić dymu z płuc, kiedy postawiła przed nim ociekający pianą kufel. Kiedy mieszkał w Polsce, żadna kobieta nie postawiła mu piwa. Tylko raz w dość podłym klubie jazzowym w centrum Łodzi kelner przyniósł mu do stolika kieliszek z koniakiem, dorzucając jednocześnie karteczkę, na

której ktoś odcisnął uszminkowane usta. Właścicielka karminowych warg do końca wieczora pozostała anonimowa.

Simone nie знаła słowa „nieśmiałość”. Kiedy ściekła piana, Erwin podniósł kufel w geście podziękowania i z wypracowanym luzem zanurzył usta w paulanerze. Gówno, nie piwo, pomyślał, czując pszeniczno-owocowy smak, ale uśmiechnięta twarz Simone nie pozwoliła mu na wykrzywienie się w geście rozczarowania.

O tym, że przyciąga wzrok kobiet, wiedział od zawsze. Był student warszawskiej AWF, wysoki i wysportowany, z ciemnymi włosami i orzechowymi oczami, odkąd sięgał pamięcią, był obiektem zainteresowania kobiet od osiemnastego do osiemdziesiątego roku życia. Miał jedną cechę, za którą wszyscy jego koledzy z dawnych lat oddaliby życie: im mniej o sobie dbał, tym bardziej przypominał Hugh Jackmana z kilkudniowym zarostem. Na co dzień niewiele go to obchodziło, był, jaki był, i nie robił z tego sensacji.

Simone wyrosła przed nim niespodzianie, na chwilę przed tym, jak zamierzał wyjść z baru i zamknąć się w swoim pustym dwupokojowym mieszkaniu na przedmieściach. Nie miał pojęcia, skąd się tam wzięła. Wtedy w ogóle nie myślał zbyt wiele. Ważne, że jak na Niemkę była w miarę ładna, a jej duży biust podtrzymywał czerwony stanik, który przebijał przez koronkową białą bluzkę. Jakby celowo ubrała się w jego narodowe barwy. Uśmiech też miała ładny i nie była zbyt gadatliwa. Wtedy. Odkąd wsunął jej obrączkę na palec, zaczęła mówić jakby więcej. I głośniej. Ważne było jednak, że dbała o Karla, ich czteroletniego syna z syndromem nadpobudliwości ruchowej. Erwin tak to nazywał, ona zaś uważała, że to normalne u chłopców w jego wieku i żeby przestał szukać problemów tam, gdzie ich nie ma. Przestał. Był przecież dobrym mężem, a przynajmniej starał się taki być. Wszystko dla niego, dla Karla.

Simone miała też zalety. Potrafiła w ciągu kilku sekund rozdać wizytówki jego firmy szkoleniowej połowie miasta. Jako redaktorka naczelna brukowej gazety miała wystarczająco wiele kontaktów, aby jego biznes kręcił się, jak należy. Wciskała je więc każdemu, bez względu na to, czy miał ze sobą problemy, czy też unosił się na pierzastej chmurze samozadowolenia, nie dotykając stopami ziemi. Naganiała mu uczestników szkoleń, a Erwin miał być wdzięczny i odpowiednio się prezentować, nosząc dobre buty i markowe garnitury. I zastanowić się wreszcie, czy dwupokojowe mieszkanie przy Hagedornstrasse z widokiem na park nie jest aby zbyt skromne dla ich trójki.

Erwin rozgniół butem pięćdziesiątego kierowcę. Na dziś wystarczy.

Światła ledowych jarzeniówek na siedemnastym piętrze zaczynały gasnąć wraz z opuszczaniem biurowca przez pracowników sąsiadujących przez ścianę firm. Powinien włączyć pocztę w komputerze i przejrzeć zgłoszenia na kolejne tygodnie, ale postanowił posiedzieć w ciemności jeszcze kilka minut i już bezkruwawo poobserwować, jak smugi czerwonych świateł suną z centrum na przedmieścia.



Kiedy znów spojrzął na zegarek, dochodziła ósma. Za trzy minuty zadzwoni Simone i da mu do słuchawki Karla, który słodkim głosem zapyta, czy tatuś położy go dziś do łóżka.

Erwin zgarbił plecy i schował twarz w dłoniach. Gdyby mógł to wszystko zmienić, poprzestawiać klocki w swoim życiu tak, aby byli tylko we dwóch, on i Karl. Jednak odebranie go matce graniczyłoby z cudem. Co miałyby powiedzieć przed sądem? Że Simone jest dobrą matką, ale z tą ich wzajemną miłością coś poszło nie tak? Że tylko bawią się w kochającą rodzinę?

Wrócił do biurka. Czujniki światła natychmiast wychwyciły ruch. Szarówka za oknem znikła, zamiast niej gabinet wypełnił ostry blask jarzeniówek.

Podszedł do ściany i wyłączył czujnik. Pokój znów pogrążył się w ciemności. Erwin wrócił na fotel i zapalił lampkę na biurku. Światło padło na zamkniętego laptopa i pustą puszkę po Red Bullu. Zamiast wrzucić ją do kosza, zaczął zginać cienkie aluminium równo pomiędzy „d” i „B”. Gdy dwa nacierające na siebie czarne byki z rysunku pod napisem zostały ostatecznie rozdzielone, zadzwonił telefon. Simone nigdy nie dzwoniła na stacjonarny, zawsze wybierała komórkę, żeby złapać go wszędzie i o każdej porze. Tymczasem na wyświetlaczu nie pokazał się ani numer domowy, ani żaden, który mógłby zidentyfikować. Na ekranie, tuż obok migającego czerwonego światełka, pojawił się krajowy czterdzieści osiem i kierunkowy dwadzieścia dwa. Ze starej ekipy ze studiów pozostało kilku dobrych kumpi, ale telefon z Polski zadzwonił tylko raz. Niezobowiązujący system działał w obie strony i tak właśnie miało pozostać. Wystarczyły doraźne kontakty na Facebooku i dołączanie do grup miłośników motocykli, tenisa czy buddyjskich medytacji. Czasem któryś z nich wrzucił zdjęcie ze swoim potomstwem i żoną, która robi dzióbek do aparatu. Kliknięcie „lubię to” pozwalało poczuć, że jest się w kontakcie.

Czterdzieści osiem dwadzieścia dwa nie przestawał dzwonić. Erwin podniósł słuchawkę i tym razem zamiast codziennego „Ja, bitte” odezwał się dawno nieużywanym „Tak, słucham”. W słuchawce przebijał odgłos, jakby połączenie nie przychodziło z Warszawy, a z zaświatów.

– Halo, jest tam kto? – Niemal krzyknął i nachylił się nad aparatem, jakby to miało poprawić połączenie.

– Moje nazwisko Adam Nawrocki. – Głos w słuchawce był równie podniesiony. – Dzwonię z kancelarii adwokackiej Nawrocki i Bujakiewicz. Czy pan Cis? Erwin Cis?

– Zgadza się.

Erwin usłyszał, że mężczyzna po drugiej stronie odetchnął z ulgą.

– Nigdy nie przypuszczałem, że tak trudno jest zlokalizować człowieka w tych czasach.

– Nie zależy mi na rozgłosie. Formalnym właścicielem mojej firmy jest żona, to na nią zarejestrowany jest interes. Poza tym wyjechałem z Polski dziesięć lat temu, to pewnie też nie

pomogło panu w odnalezieniu mnie aż tutaj – wyjaśnił Erwin. Gdyby Nawrocki prowadził swoją kancelarię nad Łabą, nie nad Wisłą, być może i do niego dotarłaby Simone ze swoją natarczywą reklamą.

– Rozumiem. – Głos w słuchawce zatrzymał się na chwilę i dodał: – Najważniejsze, że w końcu udało mi się pana odnaleźć. Jak już powiedziałem, jestem prawnikiem. Nie szukałbym pana i nie zakłócał spokoju, gdyby nie moje zobowiązanie wobec pewnej osoby. Jak mniemam, dość panu bliskiej.

– Nie mam żadnych bliskich osób w Polsce. Już nie – powiedział Erwin, biegnąc myślami ku cmentarzowi na łódzkim Zarzewie. – Musiała zająć pomyłkę.

– Nie, panie Cis, tu nie ma żadnej pomyłki, zapewniam pana. – Głos w słuchawce przyspieszył, żeby uniknąć rozłączenia. – Sprawa, z którą dzwonię, należy do... jak by to ująć... dość osobliwych. Rzadko mi się zdarza szukać kogoś po świecie. Mówiąc wprost, powierzono mi odnalezienie pana.

Erwin poczuł się nieswojo. W ciągu kilku sekund przewinął w pamięci wszystkich, którzy byliby skłonni odszukać go po to, aby przekazać mu wielomilionowy spadek, jak i tych, co nie szczędziliby wysiłku, żeby odebrać mu ostatnią koszulę. Jakkolwiek by liczył, druga lista wydawała się znacznie dłuższa.

– Ktoś zapłacił pana kancelarii za odszukanie mnie?

– Tak jak powiedziałem.

To brzmiało jak kiepski żart. Rozmowa przez telefon miała jednak tę niewątpliwą zaletę, że mecenas Nawrocki nie mógł zobaczyć, jak Erwin nerwowo poluzowuje krawat pod szyją.

– Mam dla pana wiadomość, a właściwie przesyłkę. – Głos zatrzymał się na chwilę, jakby mówiący szukał odpowiednich słów. W końcu powiedział krótko: – Od Izabeli Wirskiej.

Nawrocki mówił coś jeszcze, ale Erwin nie słyszał ani wyrazu. Dźwięki wydobywające się ze słuchawki zlały się w niezrozumiałą masę głosek, które blokował ogłuszający dźwięk tego jednego słowa. Wypowiadał je z rzadka, ale miało wartość świętego Graala.

Izabela.

\* \* \*

Trzasnął drzwiami czarnego mercedesa i włączył się w ciągnący ulicą tłum aut. Piskliwy dźwięk wydobywający się spod deski rozdzielczej szaleńczo dopominał się o podstawę jego bezpieczeństwa. Na pierwszym skrzyżowaniu ochłonął na tyle, żeby przeciągnąć pas przez brzuch. Piszczenie ustało.

Dopiero teraz zauważył nieodebrane połączenia od Simone. Czekala na niego z otwartą butelką wina, jak co weekend. Piątkowe wieczory zawsze wyglądały tak samo: obowiązkowa

obecność, wino, a potem seks. Simone zaczynała wchodzić w nastrój koło dziewiątej, gdy Karl spał już za ścianą. Kręciła się po mieszkaniu, sprawdzając, czy wystarczająco dobrze wywietrzyła sypialnię przed wspólną nocą, i przymierzała koronkową koszulę nocną skropioną przesłodzonym zapachem od Victoria's Secret. Zapachem, który od pewnego czasu przyprowadził Erwina o mdłości.

To był ten wieczór. Wieczór zbiórki i stania na baczność, wszystko zgodnie z grafiką. Najpierw odgrzewana kolacja, potem kieliszek czerwonego wina. Nie za dużo, żeby go nie otumaniło. Koniecznie przyciemnione światło i drzwi do sypialni dociśnięte pufą, aby Karl nie wszedł do pokoju w krępującej sytuacji. Teraz te wszystkie wspólnie spędzone noce stały mu przed oczami. A właściwie jedna noc, bo każda z nich była taka sama, różniła się jedynie kolorem koszulki Simone.

Kim była dla niego? Przede wszystkim matką Karla. To wystarczało, aby mógł całować ją na dzień dobry i dobranoc oraz wypełniać jak Bóg przykazał wszystkie swoje obowiązki. Ale miała jedną wadę. Największą i nie do pokonania.

Nie była Izabelą.

Liczba mijanych aut zmniejszyła się, gdy tylko wjechał na długą ulicę biegnącą wzdłuż jeziora Aussenalster. Minął park i skręcił w boczną asfaltówkę. Lubił to miejsce, z ciągnącymi się wzdłuż ulicy białymi szeregowcami o frontach przedwojennych kamienic, codziennie zamiatanymi chodnikami i drzewami kipiącymi zielenią liści. Jeszcze kilka lat temu nawet o nim nie marzył. Simone nazywała je przedmieściem dla parweniuszy.

Znalazł wolne miejsce wzdłuż szpaleru drzew i wcisnął się między swojego Thunderbirda LT, oldscoolowe motocyklowe cudo z przytwierdzonymi skórzanymi sakwami, a kontener na śmieci. Wyłączył silnik i opuścił szybę w samochodzie. Odór dolatujący z kontenera zmieszał się z zapachem kwitnącej leszczyny i wypełnił kabinę auta.

Oparł ramiona na kierownicy i zapatrzył się w uchylone okno na pierwszym piętrze, skąd zza zasuniętych zasłon dochodziło przytłumione światło świec. Simone czekała już na swój cykliczny seans miłosny.

Upewnił się, że w kieszeni marynarki leży komórka z nagraniem rozmowy z mecenasem z Warszawy. Odruchowo wcisnął przycisk REC na swym służbowym telefonie, aby móc potem przegrać całość na iPhone'a i odsłuchać wszystko jeszcze raz, gdy już dojdzie do siebie i będzie mógł w spokoju przeanalizować zdanie po zdaniu.

Zasłona w oknie poruszyła się i wyjrzała zza niej tleniona głowa Simone. Rozejrzała się po tonącej w mroku ulicy i zauważywszy czarnego mercedesa, dała Erwinowi znać, żeby się pośpieszył.

Zrobił, jak mu kazała. Zasunął szybę i już po chwili stał w przedpokoju wypełnionym

słodkim zapachem Victoria's Secret. Karl spał w swoim łóżku. Widok rozchylonych ust dziecka wywołał w Erwinie falę czułości. Simone zamknęła cicho drzwi do pokoju syna i rozpoczęła swój godowy taniec.

– Weź szybki prysznic i chodź do mnie – powiedziała i wypięła piersi pod prześwitującą koronką.

Zawsze było tak samo. Kocie ruchy Simone, świece i chłodne prześcieradło. Nigdy jej nie odmawiał, ale tym razem nie zamierzał tarzać się z nią w pościeli do białego rana. Nie dziś. Chwycił butelkę z winem i rozwiązując pod szyją krawat, zaszył się w łazience. Szum prysznica stłumił kilka odchrząknięć dobywających się z dyktafonu komórki. Wyciągnął zębami korek z Chateau Bonfort i wypluł go na posadzkę.

Łyk pierwszy i drugi.

– *Cztery miesiące temu, w lutym, pana przyjaciółka odwiedziła mnie w kancelarii i spytała, czy może powierzyć mi pewną sprawę.* – Głos skopiowany z telefonu na telefon był zniekształcony, ale nadal wyraźny. – *Znamy się od lat, więc oczywiście zgodziłem się natychmiast, mimo że nie wiedziałem jeszcze, o co chodzi. Położyła przede mną dużą, złotą kopertę. Nie miałem pojęcia, co jest w środku, a ona nie chciała jej otworzyć ani powiedzieć, co zawiera. Zresztą do tej pory do niej nie zaglądałem.*

Łyk trzeci, czwarty i piąty.

– *Prosiła, żebym o nic nie pytał i nie dociekał. Miałem przechować tę kopertę w bezpiecznym miejscu. Musiała być ważna, skoro Izabela upewniała się kilkakrotnie, że nie wpadnie w niepowołane ręce.*

Łyk dziesiąty i dwunasty.

– *Koperta jest zaadresowany do pana. Adres na Puławskiej, który wskazała pani Wirska, jest, jak już obaj wiemy, nieaktualny. Niemniej jednak obiecałem jej, że gdyby nie pojawiła się u mnie do końca czerwca, by odwołać zlecenie, znajdę pana i przekażę kopertę wraz z zawartością. Przyznam, że rozpocząłem poszukiwania pańskiego adresu dużo wcześniej, niż życzyła sobie tego moja klientka. Sprawy przybrały inny obrót i czekanie do wyznaczonej daty nie miałooby sensu. To wyjątkowo dziwne zlecenie. Nieczęsto zdarzają się takie przypadki, a właściwie to pierwszy raz, kiedy...* – tu słowa mecenasa stały się niezrozumiałe – *...ale taką mam pracę. Nie wnikać, jeśli tak mam przykazane.*

Erwin zastopował na chwilę odtwarzanie. Siedział bez butów w swojej luksusowo urządzonej łazience i opierał się plecami o zimne kafelki. W głowie mu szumiało i serce biło jakby mocniej niż zwykle. Denko butelki chłodziło jego tors, który wysunął się spomiędzy rozpiętych guzików błękitnej koszuli.

– *Musimy się spotkać. Wtedy oddam panu to, co zostawiła dla pana Izabela Wirska. Nie... nie wysłę pocztą ani kurierem, tego nie wolno mi zrobić. Gdyby koperta zaginęła w drodze...*

*Czekam w swoim biurze przy Nowogrodzkiej... Tak, niezwłocznie. Choćby jutro. Tak, wiem, że sobota... będę na pewno... Dobranoc.*

Simone leżała na swojej połowie łóżka. Naciągnięta pod szyję kołdra i wzrok wbity w ścianę dały Erwinowi jasny sygnał, że *romantische situation* dobiegło końca. Kara za to, że zostawił ją samą na tak długo i wrócił do sypialni z pustą butelką po winie.

Bez tłumaczenia położył komórkę na swojej poduszce i usiadł na materacu.

– Masz kogoś? – usłyszał jak przez mgłę.

Wysokoprocentowy Chateau Bonfort odebrał mu część świadomości.

Simone obróciła się przez ramię i spojrzała na jego zgarbione plecy.

– Zabiję cię, jeśli okaże się, że jest ktoś inny. Wiesz, że nie żartuję.

Przekręcił się tak, żeby widzieć jej twarz. Była napięta i z pewnością nieskłonna do żartów.

– Śmierć za przerwę w dostawie seksu? – Erwin spróbował rozładować sytuację, ale usta jego żony ani drgnęły. – Nikogo nie ma. Nie bądź niemądra, Simone.

– A ty głupi. Nie bądź głupi, Erwin. Dobrze ci radzę.

Bezszelestnie wróciła do poprzedniej pozycji na swojej połowie łóżka. Ugmiotła poduszkę pod głową i mocniej zacisnęła palce na kołdrze. Patrzył, jak jej ciało unosi się w oddechu, szybko i nerwowo.

Odczekał kilka sekund i pomagając sobie stopami, zsunął z kolan spodnie. Ściągnięta przez głowę koszula wylądowała na podłodze tuż obok skarpet i slipek.

Zasypiał wpatrzony w leżący tuż przy poduszce telefon i myślał tylko o jednym. Izabela go potrzebowała. Dla niej gotów był zaryzykować śmierć z ręki Simone.

Obudził się z rwącym bólem głowy. Odruchowo sięgnął pod poduszkę. Ręka przesunęła się po nagrzanym prześcieradle, ale nie natrafiła na komórkę. Telefon leżał na stole pod oknem. Kod dostępu, na który składał się rok urodzin Karla, Simone zasugerowała mu zaraz po tym, jak odebrał nowy aparat ze sklepu. Wybór hasła był oczywisty, przecież tak kochał syna, nie mógł postąpić inaczej. To, że odsłuchiwała nagranie zaraz po tym, jak Erwin usnął, też było pewne. Nie znała polskiego i nie zamierzała się go uczyć. Z całej rozmowy mogła zrozumieć jedynie dwa słowa: Izabela Wirska. Ale to wystarczyło.

Po Simone i Karlu nie było śladu. Łóżko w dziecięcym pokoju było rozgrzebane, ale poza tym wszystko wyglądało po staremu. Musiała zawieźć go do matki, a on przez ułamek sekundy myślał, że... Nie, nie zrobiłaby tego. Zadzwoń do niej i wszystko wyjaśni. Przecież wie, że Izabela należy do przeszłości. Należała. Do wczorajszego wieczora, ale o tym już nie zdążył jej powiedzieć. A raczej nie chciał. Jakakolwiek wzmianka na temat Izabeli budziła w niej agresję. Dlatego wołał milczeć.

Szybki prysznic postawił go na nogi. Pasta do zębów usunęła lepki odór z ust i gardła. Wrzucał do torby wszystko, na co natrafił w swojej szafie. Bez ładu i wreszcie bez dobierania wszystkiego we wzory i kolory. Na wierzch rzucił mokasyny i miękkie adidasy. Tym razem będzie sobą. Tam, dokąd jedzie, nie będzie Simone, lakierowanych pantofli i firmowych krawatów. Musi jeszcze tylko zajrzeć do biura i ustawić wiadomość na automatycznej sekretarce.

Na podkoszulek zarzucił skórzaną kurtkę i stanął w drzwiach z kluczykami do motocykla. Za osiem godzin będzie na miejscu.

\* \* \*

Warszawa pachniała rozpoczynającym się latem. Alejami Ujazdowskimi przemykali rowerzyści, a matki pchały przed sobą wózki z dziećmi. Na ławkach pod Łazienkami przysiadali zmęczeni wędrownikami po mieście turyści, wczytując się w trzymane w rękach przewodniki. Przy bramie do pomnika Chopina, tak jak kiedyś, stał sprzedawca cukrowej waty i nawijał na cienkie patyki lepłącą się do palców słodycz.

Plac Trzech Krzyży też niewiele się zmienił. Gmach Ministerstwa Gospodarki błyszczał dziesiątkami okien, przed wejściem kręcili się przechodnie. Erwin zatoczył dwa koła wokół starego kościoła i minąwszy Bracką, stanął pod adresem wskazanym przez mecenasa Nawrockiego.

Tabliczka na kamienicy z napisem „Kancelaria Adwokacka Nawrocki i Bujakiewicz” lśniła w czerwcowym, popołudniowym słońcu jak tarcza zwycięskiego Achillesa. Erwin nacisnął guzik domofonu z cyfrą dziewięć i powiedział do metalowego pudełka swoje nazwisko. Brzęczyk zapiszczał cicho i z głośnika przy bramie odezwał się kobiecy głos informujący, że biuro mieści się na drugim piętrze i lepiej wziąć windę. Zapraszamy.

Zatrzasnął za sobą bramę i wszedł na podwórze. Była to typowa dla przedwojennego budownictwa studnia z miernym klombem pośrodku, okoloną drucianą siatką, aby nikt nie wyniósł stąd piasku i kilku kępek przeredzonej trawy.

Klatka schodowa kamienicy prezentowała się znacznie lepiej. Podłużny chodnik rzucony na posadzkę dawał jasno do zrozumienia, że jest się w eleganckim miejscu. Erwin z przyzwyczajenia wytarł buty w czerwionobure włosie i rozejrzał się wokół siebie. Skrzynka na listy, drewniana poręcz i winda zamykana na żelazną kratę. Mimo zachęty miłej pani z domofonu wybrał schody. Przeskakiwał po dwa stopnie naraz, łapiąc zadyszkę na półpiętrach. Tryb życia, jaki ostatnio prowadził, był mało sportowy. Siedział, stał lub leżał, nierozchodzone mięśnie i ból w łydce po dawnej kontuzji, której doznał jeszcze na studiach, dawały się we znaki przy byle podbiegnięciu. Forma, jaką się szczycił, gdy grał w reprezentacji Polski w siatkówce

juniorów, odeszła w zapomnienie.

Drugie piętro powitało go już nie kolejnym kobiercem, ale zapachem dobrej wody kolońskiej. Palestra nie żałowała sobie na pachnidła.

Wszedł bez pukania. Na wprost wejścia siedziała drobna szatynka z włosami sięgającymi ramion, wciśnięta w szarą garsonkę z taniego tweedu. Jak się domyślił, właścicielka głosu z domofonu. Wstała z fotela i wyciągnęła rękę na przywitanie.

– Proszę usiąść, pan mecenas za chwilę pana przyjmie, już go poinformowałam, że pan przybył. Kawy? – spytała z dziwnym akcentem i wskazała wzrokiem wielofunkcyjny ekspres.

Za mocną kawę oddałby życie, godziny jazdy z Hamburga zrobiły swoje.

– Tak, mocnej. Bez mleka.

Dziewczyna kiwnęła głową. Grzeczna i miła, pomyślał.

Ruszył pod ścianę, stały pod nią trzy wygodne krzesła i mały stolik ze szklaną półką na prasę. Odruchowo sięgnął po „Newsweeka” i przebiegł wzrokiem po tytułach artykułów. Przerzucał kartki machinalnie, nie zatrzymując się ani na treści, ani na zamieszczonych zdjęciach.

– To dla pana. – O stolik uderzył spodek i zaraz potem filiżanka z espresso. – Za chwilę podam wodę, kawa jest naprawdę mocna.

Zapach kawy zakręcił się w nosie. Nie czekając na szklanekę z wodą, Erwin przechylił filiżankę i pociągnął dwa łyki.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła szósta. Drzwi gabinetu mecenasa Nawrockiego wciąż pozostawały zamknięte. Dla zabicia czasu zaczął oglądać poczekalnię. Białe ściany, duże lustro, stojak na parasole. Biurko miłej szatynki, ksero, troje drzwi prowadzących do prawniczych gabinetów. Kryształowy żyrandol u sufitu palił się, mimo że na zewnątrz było jeszcze jasno. Wszystko czyste i świeże, niemal sterylne. Na bogato, żeby zwykły ciułacz grosza wiedział, czym różni się jego mieszkanie w dwunastopiętrowym wieżowcu na Pradze od tego, co jest tutaj. Znajdź dziesięć różnic, tak to chyba leciało.

Znalazł już dziewięć i był o włos od odkrycia ostatniej, kiedy drzwi jednego z pokoi otworzyły się i wyszła z nich kobieta w średnim wieku, w zwiewnej fioletowej sukience i w okularach przeciwsłonecznych. Na ramieniu widać było cztery odciśnięte pręgi grubości palców. Miłość bywa ulotna, zwłaszcza dwadzieścia lat po ślubie, pomyślał Erwin i dyskretnie odwrócił wzrok od sińców kobiety.

Tuż za nią pokazał się wysoki mężczyzna przed czterdziestką. Ubrany był w granatowy garnitur i taki sam krawat. Biała poszetka w złote prążki dopełniała całości.

– Tak jak się umawialiśmy. Jeśli będzie pani gotowa, wniesiemy sprawę. Sam nic nie mogę zrobić – powiedział i doprowadził kobietę do recepcji.

Ledwie widocznym ruchem głowy dał znać dziewczynie, żeby przejęła klientkę i wypisała rachunek.

– Pan Cis? – spytał Erwina dla formalności. – Zapraszam do środka. – Mecenas Nawrocki otworzył drzwi gabinetu na oścież i puścił swego gościa przodem. Wyćwiczonym ruchem ręki wskazał krzesło stojące naprzeciw dębowego biurka. – Widzę, że wziął pan sobie do serca moją prośbę. Przyznam, że nie liczyłem, że aż tak będzie panu zależało na tej kopercie. Ludzie nie są teraz zbyt sentymentalni.

– Nie otwierał jej pan?

– Tak jak mówiłem, pana przyjaciółka nie życzyła sobie, żeby ktokolwiek poza panem miał dostęp do tego, co jest w środku.

– Niczego nie sugerowała?

– Co do zawartości? Nie, niczego.

Erwin zdjął z siebie kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła.

– Nie spytał jej pan o to? – Złożył dłonie i zaczął nerwowo uderzać o siebie kciukami. – Nie był pan ciekaw, co takiego skłoniło Izabelę do opłacania pana tylko po to, aby przekazał mi pan tę kopertę?

Mecenas Nawrocki rozparł się wygodnie na swym fotelu.

– Od lat rodzina Wirskich korzysta z usług naszej kancelarii. Izabelę poznałem jednak bliżej dopiero dwa lata temu. Wcześniej nie mieliśmy ze sobą zbyt wiele wspólnego, to były raczej sporadyczne spotkania. Koniec końców jednak każdy zawita kiedyś w progi gabinetu takiego jak mój w swojej własnej sprawie.

– Pewnie wie pan, o czym mówi.

– Zapewniam pana, że wiem doskonale. Kiedy więc stanęła w drzwiach, wydała mi się dziwnie niespokojna. Tak, to dobre określenie: niespokojna i, co od razu rzuciło mi się w oczy, jakby wystraszona.

Erwin patrzył nierozumiejącym wzrokiem na Nawrockiego.

– Wystraszona?

Fotel mecenasu zabujał się w tył i w przód.

– Takie odniosłem wrażenie. Przychodzą do mnie różni ludzie i potrafię rozpoznać, czy ktoś się czegoś lub kogoś boi. Izabela co prawda starała się zachowywać swobodnie, ale od razu zauważyłem, że zastanawia się nad każdym słowem – ciągnął Nawrocki. – Była nerwowa, jakby bała się powiedzieć za dużo. Sprawdzała, czy może mi zaufać. Chodziła po gabinecie i oglądała wszystkie kąty, zupełnie jak gdyby sprawdzała, czy nie mam tu ukrytej kamery albo podsłuchu. W końcu powiedziała, że weszła w środowisko, którego do tej pory nie znała, i nie wie, czy sobie z tym wszystkim poradzi.

– Mówiła konkretnie, o co chodzi?

Mecenas kiwnął głową.

– To brudne sprawy...



– Półświatek? – Erwinowi serce podeszło do gardła.

– Wszystko zaczęło się w chwili, gdy otworzyła agencję nieruchomości. Małą, dwuosobową. Na początku szło jej kiepsko, ledwie wiązała koniec z końcem. Mieszkania w centrum Warszawy chodziły w dobrych cenach, ale w innych agencjach, nie u niej, więc zainteresowała się przedmieściami. Po pół roku szarpania się interes w końcu ruszył. Nawiązała więcej kontaktów i coraz częściej kojarzyła ze sobą wynajmujących i najemców. Zwłaszcza tych nielegalnych, ze Wschodu, szukających zarobku w Polsce. Podwarszawskie miejscowości pełne są takich lokali. Obskurnych, ale tanich. Na papierze. W rzeczywistości wynajmujący płacili jej więcej, niż chciał tego właściciel. Kim byli najemcy, tego do końca nie wiem, mogą się jedynie domyślać. Grunt, że chcieli mieć pewność, że będzie trzymała język za zębami na wypadek wpadki. Różnica pozostawała w kieszeni Izabeli. Popyt się zwiększał, zaczęła zarabiać. Dużo, coraz więcej. Interes kręcił się w najlepsze.

– Po co więc przyszła do pana?

– Dwa lata temu Izabela kupiła swoje pierwsze własne mieszkanie, które również postanowiła wynająć za spore pieniądze. Z ta różnicą, że nie było to już mieszkanie na peryferiach. Lokal mieścił się przy Ptasiej.

– Samo centrum Warszawy.

– Nie inaczej. Co ciekawe, Izabela zamieszkała w wynajętej kawalerce. W tym samym bloku, obok mieszkania, które kupiła. Kawalerkę opłacała na rok z góry, wyszło trochę taniej. Potem przedłużyła umowę o kolejne dwanaście miesięcy. Mówiła, że jak uzbiera pieniądze, odkupi ją od właściciela.

– Nie wyjaśniła panu, po co to robi? Dlaczego zależało jej na tym, by zamieszkać właśnie tam? I dlaczego nie mieszkała w swoim własnym mieszkaniu?

– Nie. – Mecenas Nawrocki sięgnął do bocznej szafki biurka po butelkę z wodą mineralną. Spojrzał pytająco na Erwina i postawił na stole dwie szklanki z zadymionego szkła. Gaz z butelki zasyczał i ucichł. – Aż tak mi się nie zwierzała. Ale widocznie miała swoje powody. Podejrzewam, że chciała mieć oko na to, co dzieje się za ścianą. To w końcu było jej pierwsze własne mieszkanie. Zarabiała na nim znacznie więcej, niż sama musiała płacić za wynajmowaną przez siebie kawalerkę.

– Czysty zysk. – Erwin upił łyk wody. Po mocnej kawie jego gardło zaczynało przypominać papier ścierny. – Przychodziła do pana jeszcze?

– Tak, w lutym. Przyniosła kopertę. Potem widziałem ją już tylko raz, miesiąc później. Chciała spisać testament.

Erwin poczuł, jak jego plecy, i tak wilgotne od upału, stają się mokre.

– Nie, nie zrobiła tego. – Nawrocki uprzedził jego pytanie. – Rozmyśliła się, zanim wpisałem do dokumentu jej nazwisko. Przeprosiła za zamieszanie i wyszła. Zadzwoiła do kancelarii po

kilku godzinach i powiedziała, że musi jeszcze załatwić parę spraw. Miała przyjść, jak już będzie gotowa.

– Ale nie przysłała? – Erwin odstawił szklankę na idealnie wypolerowane biurko.

Nawrocki pokręcił głową.

– Ludziom często się wydaje, że spisanie ostatniej woli to jak wbicie gwoźdźcia do trumny. Jakby bronili się przed ściągnięciem na siebie śmiertelnego fatum. Podejrzewam, że Izabela miała problemy większe, niż chciała przyznać.

Erwin parsknął nerwowo.

– Nigdy nie była przesądna, o ile to ma pan na myśli. Nie mogę jednak zrozumieć, co skłoniło ją do spisania testamentu. Powiedział pan, że weszła w środowisko półświatka.

– Takie odniosłem wrażenie, sądząc po jej relacji.

– Może chciała zabezpieczyć się przed tymi ludźmi, uporządkować swoje sprawy? Na wszelki wypadek.

– Niewykluczone.

– A to oznacza, że bała się o swoje życie. Ludzie, którzy działają pod wpływem nerwów, zaczynają robić różne dziwne rzeczy.

– I tu się pan myli! – Nawrocki wycelował palec prosto w czoło Erwina. – Podczas ostatniej wizyty Izabeli zadziwił mnie jej spokój. Nie było w niej śladu nerwowości. Siedziała naprzeciw mnie bardzo opanowana, jakby przestała odczuwać wszelkie bodźce. Zachowywała się, jakby było jej już wszystko jedno. Biedna dziewczyna...

Nawrocki zamyślił się na dłuższą chwilę. Z zadumy wyrwał go dobiegający zza okna sygnał gnającego ulicą pogotowia.

– Co to ja miałem...? – Spojrzał pytająco na Erwina i zaraz pstryknął palcami w powietrze. Wysunął szufladę biurka, po czym wyjął z niej plik kolorowych karteczek biurowych spiętych spinaczem i potrząsnął nimi w powietrze.

– Bez tej podręcznej pamięci za Boga nie zapamiętałbym szyfru. Moja asystentka zmienia go częściej niż filtry w ekspresie do kawy.

Odwrócił się i otworzył szafę za swoimi plecami. Drzwiczki uchyliły się i pokazały metalowe skrzydło niewielkiego sejfu.

Kilka uderzeń palca w guziki z cyframi wypełniło ciszę. Po chwili pękata żółta koperta znalazła się na stole tuż obok pustych szklanek i teczki z prawniczymi formularzami. Nawrocki docisnął brzegiem dłoni niedokładnie zalepione zamknięcie.

– To dla pana, zgodnie z jej wolą. Nie wiem, dlaczego nie chciała przekazać tego panu osobiście, ale widocznie miała powód. – Wskazał ręką kopertę z nazwiskiem „Izabela M. Wirska” i sięgnął po aktówkę. Wyjął z niej przygotowany wcześniej formularz i narysował patzka na dole strony. – Trzeba pokwitować odbiór. – Podsunął kartkę w stronę Erwina. – Data

i pełne nazwisko.

Erwin sięgnął po długopis. Spocone palce ześlizgiwały się z plastikowej oprawki tak jak w dniu, kiedy podpisywał się pod aktem ślubu z ciężarną Simone. Teraz przyczyna napięcia w jego ciele była zupełnie inna. Na blacie leżało coś, co kusilo go i przerażało zarazem. To, że Izabela wolała nie kontaktować się z nim bez pośrednictwa prawnika, było dla niego oczywiste. Po tym, co zrobił, sam nie wysłałby do siebie kartki na Boże Narodzenie. Jeśli podczas robienia porządków wpadły jej w ręce ich wspólne zdjęcia lub listy i chciała się ich pozbyć, miała do tego prawo. Nie wyrzuciłaby ich na śmietnik, była na to zbyt szlachetna. Wolała zamknąć za sobą przeszłość w elegancki sposób i o wszystkim zapomnieć.

Podpis wyszedł krzywo. Żaden grafolog nie potwierdziłby autentyczności jego pisma. Erwin postawił na papierze ostatnią literę nazwiska.

– Czy Izabela... czy ona nadal tam mieszka, na Ptasiej? – Rzucił długopis na biurko i natychmiast potarł o siebie zgrzane dłonie. Wciąż miał nadzieję, że pod pretekstem odbioru przesyłki uda mu się spotkać ją w centrum Warszawy. Niby przypadkiem znaleźć się na ulicy, gdy będzie otwierała drzwi na klatkę schodową.

Mecenas Nawrocki wkładał już podpisany druk do aktówki, gdy jego ręka zatrzymała się i zawisła w powietrzu. Erwin odniósł wrażenie, że całe jego ciało nagle znieruchomiało.

– Niech pan odpowie, mecenasie. Czy ona wciąż tam mieszka?

Czoło Nawrockiego zsunęło się nad linię brwi. Przyglądał się Erwinowi już inaczej, jakby z troską.

– Panie Cis... pan naprawdę o niczym...?

Spojrzenie Erwina nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

– Taak... rzeczywiście, niby kto miałby pana o tym poinformować. – Mecenas zawiesił głos na chwilę, która zdawała się trwać wieczność. – Niech mi pan wybaczy, ale aż do teraz nie przypuszczałem... nie sądziłem, że pan o niczym nie wie. Zwykle do ludzi docierają takie informacje. No cóż... Obawiam się, że nie mam dla pana dobrych wieści. Nie znajdzie pan Izabeli na Ptasiej ani w żadnym innym miejscu. Izabela Wirska od sześciu tygodni nie żyje. Panie Cis, czy pan mnie słyszy?

\* \* \*

Izabeli nie ma. Nigdzie. Odeszła i została po niej jedynie nierówno zalepiona, żółta koperta. Gdyby to był absurdalny żart mecenasa, Erwin wykrzywiłby może tylko twarz w równie głupim grymasie albo rozkwasił mu nos, żeby zapamiętał na całe życie, że są sprawy, z których żartować nie należy. Z tą różnicą, że ludzie pokroju Nawrockiego nie znają się na żartach, jeśli chodzi o ich klientów, szczególnie tych martwych.

Nie wiedział, jak wyszedł z kancelarii ani jak trafił na parking. Przed oczami miał ciemność i wędrujące plamy, które przesuwają się przez jego źrenice jak wielkie, czarne samoloty.

Przytrzymał się ulicznego pachołka i usiadł na krawężniku.

– Izabela... – wymamrotał do siebie. – Moja Izzy...

Z ledwością powstrzymał się, żeby nie zwymiotować. Skurcze żołądka szarpnęły jego ciałem tak mocno, że z ust wypłynęła mu strużka śliny. Otarł ją wierzchem dłoni.

Jak...? Chryste, jak?! – powtarzał wciąż w myślach, zaciskając palce na żółtej kopercie.

Pod krawężnik podjechał czarny ford mondeo. Zahamował tuż przed wyciągniętymi nogami Erwina. Człowiek za kierownicą krzyczał coś i wymachiwał rękami. Erwin patrzył na niego jak na szarpaną sznurkami marionetkę.

Kierowca forda w końcu zrezygnował i zaczął wycofywać się z parkingu. Pożegnał Erwina przeciągłym wyciem klaksonu. Erwin tego nie słyszał. W głowie dzwięczały mu słowa, które były stokroć głośniejsze od wszystkich klaksonów świata.

Ona nie żyje, nie żyje...

\* \* \*

Chyba nie ma w Warszawie droższego hotelu niż Bristol. W każdym razie Erwinowi tylko ten przyszedł na myśl. Na złość, za te wszystkie lata cholernego ciułania euro do euro po to tylko, żeby Simone miała uciechę z powiększającego się salda na koncie. Teraz, po raz pierwszy od dawna, przestało mieć to dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

Zaparkował swojego Thunderbirda na ostatnim wolnym miejscu, jaki oferował hotelowy parking na Krakowskim Przedmieściu, i ściskając w jednej ręce kopertę od mecenasa Nawrockiego, a w drugiej – niewielką torbę podróżną, stanął przed wejściem.

Odzwierny przyjrzał mu się uważnie. Erwin miał wrażenie, że zawahał się, zanim szarpnął za drzwi i wpuścił go do środka. Bo i nie wyglądał na typowego klienta. W skórzanych motocyklowych butach, T-shircie z rozlewającymi się pod pachami plamami potu oraz dwudniowym zarostem, mimo całego swego uroku, różnił się od wytwornych gości, którym do tej pory usłużnie otwierał drzwi do hotelowej krainy luksusu.

Przestronny hol był pusty, nie licząc dwóch młodych kobiet stojących za lśniącem bielą recepcyjnym kontuarem. Złote ni to kwiatki, ni gałązki splatały się na ścianie za ich plecami w coś na kształt czterolistnych koniczyn. Pośrodku lobby stały kanapy wyściełane miękkim, granatowym welurem. Aż prosiły, żeby się na nich rozłożyć i popatrzeć przez szybę na ciągnący Krakowskim Przedmieściem tłum przechodniów.

Nie tym razem.

Erwin bez zbytniego rozglądania się po kątach podszedł do wpatrujących się weń

recepjonistek i postawił na połyskującym blacie swój bagaż. Twarze kobiet, wyćwiczone podczas wielogodzinnych szkoleń z obsługi trudnych klientów, nie drgnęły na widok zakurzonej sportowej torby, która o mały włos uderzyłaby w stojący na ladzie komputer.

Erwin położył ręce tuż obok recepcyjnego dzwonka.

– Witamy w Hotelu Bristol. Czy ma pan u nas rezerwację? – Jedna z kobiet, blondynka ze ściśle upiętymi włosami, spojrzała mu prosto w oczy, starając się ominąć wzrokiem wilgotne zacieki na podkoszulku.

– Nie. – Erwin odchrząknął w zwiniętą pięść. – Wezmę, co jest, może być mała jedyńka, byle cicha.

– Uhm... – Rozległ się dźwięk klikania w klawiaturę. – Łóżko podwójne czy pojedyncze?

– Obojętnie. Albo nie, niech będzie podwójne.

– Na ile nocy?

– Nie wiem. Na razie na jedną.

Blondynka kiwnęła głową na znak, że za cenę tysiąca dwustu złotych na pewno znajdzie się jakieś podwójne łóżko. Nawet na jedną noc.

– Jeśli zamierza pan przyjąć gościa, powinien opuścić hotel do dwudziestej czwartej. Taki jest regulamin.

– Nie będzie żadnego gościa. Pokój jest tylko dla mnie.

– Uhm... Oczywiście. – Do „oczywiście” dołączony był uśmiech, który – gdyby miał ręce – mógłby rozmasować plecy. – Zatem widok na miasto, klimatyzacja, bezpłatne wi-fi, telewizor i podwójne łóżko. Poproszę dokument.

Erwin odruchowo pomacał tylne kieszenie dzinsów. Poza paragonem za benzynę znalazł w nich kilka eurocentów i zwitek polskich banknotów, które wywiózł z kraju dziesięć lat temu.

Uśmiech blondynki zastygł w oczekiwaniu na dowód osobisty.

– Może ma pan w torbie? – Kobieta wskazała brodą na tobołek.

Erwin bez słowa rozpiął zamek i zaczął grzebać między złożonymi kiedyś równo podkoszulkami i slipkami.

– Będzie panu łatwiej, jeśli odłoży pan na chwilę tę kopertę. Jedną ręką trochę trudno...

Ani myślał. Zagryzł zęby i po raz kolejny wywrócił ubrania do góry nogami. W końcu wyczuł pod palcami to, czego szukał. Dokument w sztywnych okładkach i ze złotym napisem Reisepass pozwolił recepcjonistce na obniżenie brwi. Z kolei idealnie ogolona twarz Erwina na paszportowym zdjęciu podniosła kąciki jej ust jeszcze wyżej. W ciszy hotelowego holu dało się wreszcie słyszeć uderzenia palców w klawiaturę komputera.

Spisywanie danych z paszportu przeciągało się w nieskończoność.

Szybciej! Pisz szybciej, cisnęło się Erwinowi na usta, ale siłą woli powstrzymał się od pośpieszania dziewczyny. Cis. C i s. Trzy litery, które wpisuje się do systemu w ciągu jednej

sekundy! Tak, na stałe w Niemczech. Tak, teraz w odwiedzinach. Oczywiście, że się ucieszy! Płatność przy wymeldowaniu, zgadza się. Nie, nie gotówką. Tak, bez faktury.

Odetchnął, gdy poczuł w ręku kartonik z wsuniętą kartą do pokoju.

– To wszystko z mojej strony. – Dziewczyna wskazała drzwi do windy. – Życzę panu miłego pobytu w naszym hotelu.

Erwin zrobił kilka kroków w kierunku dźwigu, ale po chwili cofnął się i z zarzuconą na ramię torbą ponownie stanął przed kontuarem.

– Ma pani papierosa?

– Zaraz konsjerż doniesie panu do pokoju.

– Chcę tylko jednego.

Kobieta niepewnie spojrzała na asystującą jej koleżankę. Ta wzruszyła ramionami i schyliła się pod blat.

– Mam tylko cienkie, miętowe.

– Mogą być. I zapalniczkę.

Kilka sekund później Erwin stał przed drzwiami hotelu i wciągał dym w płuca. Nie palił od lat. Nie mógł i nie chciał, nie przy Simone i Karlu.

Nikotyna lekko zawirowała w głowie. Mózg zdążył się odzwyczaić. Kolejne pociągnięcie. Tego mu było trzeba. Fajki babskie i słabe, ale, jasna cholera, jakie dobre!

Rzucił pod nogi spalonego do cna papierosa i wrócił do środka.

Nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Krążył po pokoju, zręcznie wymijając sportową torbę rzuconą na środek podłogi. Żółta koperta leżała nietknięta na szklanym stole tuż obok ceramicznego wazonu z ciętymi mieczykami. Przetastował kwiaty na parapet, zajmując na chwilę ręce, po czym usiadł na skrzyni stojącej w nogach łóżka.

Powinien wziąć prysznic. Śmierdział i doskonale o tym wiedział. Osiem godzin drogi, wizyta u Nawrockiego i jazda do hotelu.

Obejrzał się za siebie, na drzwi, za którymi z wszelkim prawdopodobieństwem znajdowała się łazienka. Rozpiął pasek od spodni i stanął w progu.

Marmury i marmury. I jeszcze marmury. Spodobałoby jej się tu. Pałac, ocenił – naturalne środowisko jego żony.

Suwak dżinsów stawiał opór. Szarpnął go dwoma silnymi ruchami.

Nie ma to jak sikanie do marmuru.

Gdy skończył, zapiął rozporek i obrócił się w stronę uchylonych drzwi do sypialni. Koperta. Otworzy ją za chwilę. Najpierw jednak obmyje twarz zimną wodą, żeby przegnać ciepło, które nagromadziło się pod skórą. Ale jeszcze wcześniej naleje sobie czegoś z cholernie drogiego borku pod telewizorem. Może włączy wiadomości, żeby sprawdzić, co się dzieje na świecie. Tak

dawno nie słuchał polskiej telewizji. Albo lepiej MTV. Choćby na kilka minut, ale głośno. Powinni tu uchylić okno, jest tak duszno. I zimno zarazem.

Papieros dziewczyny z recepcji rozbudził w nim chęć sięgnięcia po kolejnego. Kiosk jest po przeciwnej stronie ulicy, wystarczy przebiec. Małe buteleczki z barku też są za małe. Za małe na długą noc. Musi się przygotować. Znieczulić. Zrobić wszystko, zanim po raz drugi tego dnia serce zadudni zbyt mocno podczas otwierania koperty z rzeczami Izabeli. Po prostu musi.

\* \* \*

Jack Daniels rozgrzał gardło, jak obiecał.

Dochodziła północ, kiedy Erwin Cis włączył wszystkie cztery nocne lampki, jakie stały i wisiały w okolicy łóżka. Zasuwał zasłony, które odgrodziły go od widoku oświetlonego Krakowskiego Przedmieścia. Nie miał ochoty patrzeć na ludzi. Byli zbyt szczęśliwi i zbyt żywi. Izabela nie była ani żywa, ani, co rozumiało się samo przez się, szczęśliwa. Izabeli nie było w ogóle. Jedyne, co po niej zostało, to leżąca na bawełnianej poszwie żółta koperta z wypisanymi jej ręką słowami na odwrocie „Erwin Cis. Szukać do skutku”.

Minęło południe, gdy obudził go przepraszający głos pokojówki. Widok rozgrzebanej pościeli i tkwiącego w niej na wpół nagiego mężczyzny sprawił, że kobieta wycofała się z sypialni ze spłoszonym wzrokiem.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, rozejrzał się po pustym już pokoju. Wywieszka „Nie przeszkadzać” leżała na wykładzinie pod drzwiami.

Uderzył czołem w poduszkę, żeby jeszcze przez kilka sekund oderwać się od tego, co kłębiło się dookoła: sterty zapisków, wycinków z gazet, zdjęć, pendrive'a oraz jakichś kluczy. W kopercie znalazł to, o czym pomyślał w gabinecie Nawrockiego. Kilka wspólnych fotografii i jeden list Erwina pisany nocą, kiedy Izzy już spała, a on ślęcząc w łazience, próbował sklecić w niezgrabnych zdaniach swoje miłosne wyznanie. Miał włożyć go Izabeli pod poduszkę, by po przebudzeniu czekał na nią poemat à la młody Leśmian. Kilka niezgrabnych zdań ułożonych do rymu napawało go dumą, ale i obawą, czy nie zostanie wyśmiany za grafomanię, której, mimo starań, nie zdołał uniknąć.

Nie pamiętał, kiedy ostatnia kropla whisky przepłynęła mu przez żołądek i ścięła go z nóg. Leżał w tym samym brudnym podkoszulku i wczorajszych skarpetach, ze spodniami rzuconymi w kąt łóżka.

Powoli przekręcił głowę i wytarł w poduszkę ślinę, która zebrała się w ustach. Łupanie w czaszce przypominało osuwającą się kamienną lawinę. Nie tak miało być. Chciał spędzić tę noc przytomnie i jak dorosły facet. Wyszło inaczej.

Bąbel powietrza przemknął przez przełyk i ugrzązł w gardle. Ciąg dalszy nastąpi, bo musi. Szybki bieg do łazienki i zwrot treści żołądka do marmuru trwał łącznie zaledwie kilka sekund.

Szklana szyba prysznicowa oddalała się i przybliżała. Erwin odczekał dłuższą chwilę, zanim udało mu się zrzucić z siebie wczorajsze ubranie. Puścił strumień wody i osunął się na dno brodzika. Starał się skupić, ale jedyną rzeczą, o jakiej mógł myśleć, była okrągła tabletki aspiryny. Konsjerż dostarczy ją z radością. Dwie dychy za dwie tabletki.

Woda spływała po ciele, kojąc rozpaloną skórę. Nie czuł, czy była zimna, czy ciepła, wiedział jedynie, że równie dobrze mogłaby przepłukać go od środka. Przeciec przez płuca i nerki, aż do miednicy.

Zapiski i zdjęcia z żółtej koperty przesuwają mu się przed oczami. Poza ich wspólnymi fotografiami były też inne. Nie rozpoznawał tych twarzy. Nie znał nikogo, kogo znała Izabela. Od ich ostatniego spotkania minęło... Boże, ile to już lat... Wciąż pamiętał ten dzień. Lodowaty styczeń i ją na lotnisku. Nie miał pojęcia, że przyjdzie. Ale była. Stała wciśnięta w tłum z zakręconym wokół szyi czerwonym szalikiem i patrzyła, jak on znika z paszportem tuż za bramkami. Zobaczył ją zbyt późno, kiedy odbierał plecak z taśmy i rozglądał się za bramką numer 6. Oddałby wszystko, żeby móc cofnąć czas choćby o kwadrans i znaleźć się na powrót w kolejce do odprawy. Jeszcze wtedy mógłby wrócić i wziąć ją w ramiona. Złapać taksówkę i zapomnieć o Hamburgu. Zostałby z nią mimo wszystko. Mimo tego, co stało się między nimi kilka miesięcy wcześniej.

Dlaczego go wtedy nie zawołała? Nie podbiegła i nie chwyciła za ramię. Stała tylko i czekała w ciszy, aż będzie za późno. Gdy dojrzał jej krzykliwy, czerwony szalik, ich spojrzenia się skrzyżowały. Stali w bezruchu jak wrośnięte w ziemię drzewa. Po czym odeszła. Zniknął jej szalik i smutne oczy. Wtedy widział ją po raz ostatni.

Erwin skrył twarz w dłoniach. Siedział z łokciami opartymi na kolanach i czuł, jak krople wody wkręcają się pod rzęsy. „Do skutku”. Zatem musiało jej cholernie zależeć, żeby koperta trafiła w jego ręce. Ale co miały znaczyć te artykuły z gazet, pozakreślane kolorowymi pisakami? Po co je wycinała i zbierała? Informacje o miejscach i ludziach. Kim dla niej byli? Skoro włożyła ten cały papierowy szmelc do koperty, musieli coś znaczyć. I on miał się tego dowiedzieć, właśnie teraz, sześć tygodni po jej śmierci.

Z wciąż mokrymi plecami poszedł do pokoju i zaczął zbierać z posłania rozsypane poprzedniego wieczora rzeczy. Dwa razy sprawdził, czy nic nie zawieruszyło się między zmierzwionymi poszwami i narzutą. W skopanym prześcieradle wciąż leżał dziecienny brelok Hello Kitty z wyłaczanym sztucznymi diamentkami kotkiem z różową kokardą na uchu, a na nim dwa klucze. Wsunął je do kieszeni džinsów. Docisnął zamknięcie koperty i położył ją na wierzchu swojej sportowej torby.

Wszystko było już spakowane. Ostatni raz spojrzął na pokój, bardziej z przyzwyczajenia niż



z troski, że pod łóżkiem został jakiś podkoszulek czy inny drobiazg. Pusta butelka po Jacku Danielsie leżała jak nocny wyrzut sumienia na jednej z poduszek. Już chciał zrobić krok, żeby ją stamtąd zabrać i rzucić do kubła pod stołem, ale zrezygnował. Tresura jego niemieckiej żony wryta w polską mentalność przestawała działać.

Gdy zbiegał z piętra, czuł łupanie w głowie nie mniejsze niż w chwili, gdy otworzył oczy. Nie ma tabletki aspiryny za dwie dychy, nie ma spokoju. Musi swoje odcierpieć. Na myśl o śniadaniu żołądek podjeżdżał mu pod gardło.

Przewalutowanie po dzikim kursie nie zabolalo ani Erwina, ani tym bardziej jego karty kredytowej. Nawet nie spojrzal na przelicznik. W milczeniu przesunął plastikiem przez terminal i wstukał PIN. Po chwili trzymał w ręku rachunek za kilka najdrożej spędzonych godzin w centrum Warszawy.

Czarny thunderbird wjechał w Królewską, po czym skręcił w Marszałkowską. W temperaturze sięgającej dwudziestu ośmiu stopni głowa Erwina pękała od wciąż parującej whisky. Gdyby nie przyciemniane szkła okularów przeciwsłonecznych, oczy odmówiłyby posłuszeństwa.

Rozpędzony motocykl minął Halę Mirowską. Tłumy kupujących z wózkami na kółkach załadowanymi warzywami i owocami wypływały z bramy i przeciskały się pomiędzy dostawczakami. Musiał zawrócić, krótki odcinek Ptasiej zbyt szybko znalazł się za jego plecami. Cofnął się kilkadziesiąt metrów do żółtego, pięciopiętrowego budynku. Zgasił silnik i nie zsiadając z motoru, spojrzął na blok. Dziesiątki okien, ale jego interesowały tylko dwa, należące do mieszkania numer trzydzieści jeden.

To było dziwne uczucie, gdy wyjmował z kieszeni spodni brelok z Hello Kitty. Dwa klucze do dwóch zamków. Zwykle ludzie w pośpiechu zamykają drzwi tylko na jeden, zwłaszcza gdy mają zamiar zaraz wrócić. Drzwi mieszkania Izabeli zamknięte były na oba.

\* \* \*

Dawno nie czuł w sobie takiego niepokoju. Nie była to jednak zwykła gonitwa myśli spowodowana tym, że stał teraz w przedpokoju kogoś, kto zniknął z jego życia raz na zawsze. Ani że znalazł się tu, gdzie wszystko nadal przesiąknięte było zapachem jej skóry. Mógłby przysiąc, że zza uchylonych drzwi łazienki, która znajdowała się tuż przy wejściu do mieszkania, wyczuwa rumiankowy szampon do włosów i balsam do ciała, którym Izabela pachniała po wyjściu z kąpieli. Zawsze ten sam, waniliowy z nutą pomarańczy. Słodki, wkręcający się w koszulę nocną i lekki szlafrok. Teraz, mimo tylu tygodni od jej śmierci, wciąż pachniała nim wisząca na drzwiach łazienki podomka.

W tym mieszkaniu nie było go przy niej i to z jego winy. Z jego winy te ściany nigdy nie

słyszały rzucanego niby od niechcenia: „Wiesz, że cokolwiek się zdarzy, zawsze będę przy tobie”. Brzmiało tanio, ale naprawdę tak myślał. Ilekroć to słyszała, przekrzywiła głowę i posyłała mu słodki pocałunek. Tutaj spędziła samotnie ostatnie dwa lata swojego życia.

Erwin stał nieruchomo w przedpokoju, opierając się o szafę wnękową. Potrzebował dodatkowej chwili, zanim odważył się wejść w głąb mieszkania.

Kiedy przekroczył próg pokoju, wstrzymał oddech. Było przerażająco cicho, mimo odgłosów wydawanych przez kręcących się pod oknami ludzi i szumu samochodów. Zwykle po wejściu do zbyt długo zamkniętych pomieszczeń otwierał na oścież okna, by wpuścić trochę świeżego powietrza, ale tym razem tego nie zrobił. Nie chciał, by choć jedna molekuła z zapachem rumianku uleciała bezpowrotnie i rozplynęła się w ulicznym gwarze.

Rozejrzał się po pokoju. Dębowy parkiet ułożony w jodełkę, stół z telewizorem, nierozkładana granatowa kanapa i fotel w takim samym obiciu. Na parapecie doniczka z kwitnącymi białymi storczykami, ukochanymi kwiatami Izabeli. To od niej dowiedział się, że odrastają po rzuceniu płatków i że nie można ich wyrzucać na śmietnik, nawet jeśli wydają się całkiem martwe. Gdy o tym mówiła, kiwała palcem, żeby dobrze to sobie zapamiętał. I że storczyki lubią, jak się je zrasza przysnkiem, jakby padał na nie tropikalny deszcz. Nie zapomni tego do końca życia, obiecał.

Położył torbę na kanapie i obejrzał się za siebie. Aneks kuchenny wyglądał jak w większości mieszkań. Drewniane szafki, zlew i talerze ustawione na suszarce. Zajrzał do lodówki. Była pusta, nie licząc masła i kilku słoików. Kubek na śmieci był opróżniony.

Promień słońca wpadł przez szybę i zatrzymał się na drzwiach prowadzących do sypialni. Erwin pchnął je i stanął na progu drugiego pokoju. Na wprost drzwi znajdowało się podwójne łóżko z naciągniętą różową narzutą. Obok niego na długiej, cienkiej nodze pochylała się lampa z kloszem w kształcie rozchylonego kwiatu. Po drugiej stronie materaca stała komoda z Ikei, na jej blacie leżały równo ułożone czasopisma. Nic więcej, ani obrazka, ani chodnika pod nogami. Tylko na suficie widniał nalepiony ogromny, nieco już wyblakły od słońca plakat – zdjęcie z centrum Hamburga.

A jednak tęskniła. Tak bardzo, że musiała patrzeć co wieczór przed zaśnięciem na dachy wieżowców i szklane ściany biur. Naprawdę wyobrażała sobie, że on siedzi w jednym z nich, czy to był czysty przypadek?

Jeszcze nie potrafił podejść do łóżka, jakby wyrosła przed nim niewidzialna szyba. Było starannie zasłane, kobiece i przesycone zapachem Izabeli. Dwie poduszki leżały równo, przykryte narzutą z wesołymi frędzlami. W pierwszym odruchu chciał na nim usiąść i wtulić twarz w jedną z nich, ale coś go powstrzymywało. To było dziwne uczucie. Obecność Izabeli była wręcz namacalna, jakby wciąż tu mieszkała i wyszła tylko na chwilę do sklepu po świeże bułki. Albo po jej ukochane martini, które lubiła wypić po całym dniu, dodawszy odrobinę

sprite'a. On nalewał sobie wtedy whisky i puszczał płytę z chilloutem. Muzyka sączyła się spokojnym rytmem, który nastrojał do tego, co miało nastąpić wieczorem. Wspólnej kąpieli z kieliszkiem na wannie i seksem. Dobrym, mocnym, bez udawanych zahamowań i zbędnego skrepowania.

Izabela nie należała do wstydliwych, ale tylko wtedy, gdy on był przy niej. Otwierała się, była cała dla niego. Różniła się od innych dziewcząt. Pozornie skromnych i nie do zdobycia, a wymykających się nocami w poszukiwaniu szybkiej miłości. Izabeli obca była sztuka udawania. Czuł to za każdym razem, kiedy brał ją w ramiona. Nie opierała się. Kochała i jego, i seks. Kiedyś powiedziała mu, że z nikim innym nie byłoby jej tak dobrze. Patrzyła mu prosto w oczy z taką szczerością, że byłby głupi, gdyby wątpił w jej oddanie. Wierzył jej jak zakochany szczeniak.

Kiedy poznali się na pierwszym roku studiów, od razu wiedział, że to nie jest przypadek. To musiało się stać, nie miał co do tego żadnych wątpliwości – w przeciwieństwie do Izabeli, której wydawał się zbyt głośny i zapalczywy. Powiedziała mu to prosto w twarz. Krążył jednak wokół niej tak długo, aż jego wytrwałość i chłopięcy wdzięk, z jakim starał się ją zdobyć, zwyciężyły. Nie żałowała. Którejś nocy, kiedy spojrział na nią z pożądaniem, jakie widuje się tylko w hollywoodzkich filmach, i przycisnął do siebie tak mocno, że poczuła motyle w brzuchu, zrozumiała, że nic ich nie rozłączy. Tak mu powiedziała. Ujęła to w proste słowa, które miał zapamiętać na długo. Była wtedy noc, lato pachniało jak szalone. Stali nad brzegiem Wisły, w wodzie odbijały się światła miasta. Wyszepiała swoim delikatnym głosem:

– Niech to się nigdy nie skończy. Ty i ja. Obiecuj mi, że to się nigdy nie zmieni. My, razem, na zawsze.

Stał wtedy z zaschniętym gardłem i wtulał twarz w jej włosy. Nawet nie pamiętał, czy coś jej odpowiedział. Jak przez mgłę widział tylko przesuwające się po tafli wody kolorowe światła rzucane przez rozśpiewane, pijane łąby. Chciał, żeby ta chwila trwała wiecznie. Oddałby wszystko, żeby zgodziła się spędzić z nim tych kilka godzin, jakie pozostały do wschodu słońca.

Ich pierwsza noc nastąpiła zaledwie po tygodniu.

Kochali się do rana. Dziko i namiętnie. Smakował każdy centymetr jej miękkiego ciała, jakby ta noc miała się nigdy więcej nie powtórzyć. Stali się jednością. Kiedy rano otworzyła oczy, on już nie spał. Wsparty na ramieniu patrzył, jak spokojnie oddycha przez sen, a potem przeciąga się i uśmiecha jak dziecko. Teraz, stojąc w jej pokoju, żałował, że nie zaznali wspólnego szczęścia, które sobie obiecali. Przecież jej dom to jego dom. Łóżko, różowa narzuta i poduszki. Tak niewiele brakowało...

A jednak nie podszedł bliżej i nie dotknął poszewek ani nie usiadł na materacu. Stał w progu z zadartą głową, wpatrując się w rozpięty na suficie plakat z Hamburgiem.

Choć jego myśli wciąż wędrowały ku wspomnieniom, żołądek zaczynał upominać się o coś zupełnie innego. Nie jadł od wczorajszego południa, kiedy na stacji benzynowej przy granicy kupił najgorszego w świecie hot doga polanego grubą warstwą ketchupu i musztardy. Gdyby nie to, tłusta parówka i nieświeża cebula byłyby nie do przełknięcia. Zajrzał do chlebaka w kuchni, był pusty. Wszedł na klatkę schodową i zagryzł głód vincesterem. W czasach studenckich zawsze pomagało, powinno pomóc i teraz.

Staął na wycieraczce i rozejrzył się po piętrze. Na kondygnacji znajdowały się trzy lokale. Ten wynajmowany przez Izabelę mieścił się pośrodku. Erwin doskonale pamiętał słowa Nawrockiego o drugim mieszkaniu. Ściana w ścianę. Tylko z której strony?

Wypuścił dym z płuc. Nie będzie się tym teraz zajmował. Ważne, że klucze z Hello Kitty pasowały, że tu wszedł i ma do przeczytania okazały stos papierów zamkniętych w żółtej kopercie.

Ktoś z sąsiadów chrząknął na tyle głośno, że Erwin, chcąc nie chcąc, przydusił papierosa o podeszwę buta. Dym musiał się wedrzeć do któregoś z mieszkań.

Wrócił do środka. Odkąd wyjechał z Hamburga, ani razu nie sprawdzał poczty w telefonie. Nic nie stracił. Simone nie odezwała się i nie napisała, co z Karlem. Wyświetlił numer żony i poczekał na sygnał. Po kilku dźwiękach włączyła się automatyczna sekretarka. Erwin zagryzł usta. Nie chodziło mu o Simone. To, że wciąż była jego żoną, nie sprawiało, że na myśl o niej czuł szybsze bicie serca. Co innego Karl.

Rozłączył się z nadzieją na to, że syn, mimo że daleko, jest ze swoją matką bezpieczny.

Na razie musiał zajrzeć do Internetu. Punkty na mapie z najbliższymi baremi i pizzą pokazały się natychmiast, wystarczyło wybrać. Wziął tę z pepperoni i oliwkami, rozmiar XL, żeby starczyło do wieczora. Do tego litr coli.

Do przyjazdu obiadokolacji miał czterdzieści minut. Dużo czasu.

Wyrzucił zawartość swojej sportowej torby na podłogę i sięgnął po kopertę. Nadeszła pora, aby wreszcie zmierzyć się z przeszłością Izabeli.

\* \* \*

Ludzie lubią zbierać pamiątki. Te ważne lub te całkiem bez znaczenia. Nadają ich życiu wartość, wruszają przy lada wspomnieniu, a ich właściciele przecierają oczy ze zdumienia, że od dnia, w którym weszli w posiadanie byle drobiazgu, upłynęło już pięć czy piętnaście lat.

Izabela nigdy tego nie robiła. Uważała, że ważne jest to, co tu i teraz. Bez mrugnienia okiem wyrzucała do śmieci starocie i pilnowała Erwina, żeby robił to samo. Sentyment do nic nieznaczących rzeczy był jej obcy. Jej niemal puste mieszkanie było tego dowodem. Brakowało w nim bibelotów, obrazków i tym podobnych głupstw, jakie upychają po kątach inne kobiety.

Nie była typem ani kolekcjonera, ani chomika. Woląa czystą przestrzeń i wolność od przedmiotów.

A jednak tym razem postąpiła inaczej. Wypchana koperta mogła oznaczać tylko jedno: każdy drobiazg, który włożyła do środka, był ważny. Erwin ponownie wysypał zawartość koperty na kanapę w salonie i sięgnął po pierwszy z brzegu wycinek z gazety. Oferty pracy i matrymonialne. Tylko dla kobiet, w Polsce i na Zachodzie. Szybko i bez zbędnej biurokracji. Dla młodych i odważnych, nawet tych bez znajomości języka.

Ogłoszenia ciągnęły się przez całą szpalnę. Zielonym pisakiem zaznaczone były numery telefonów. Kilka numerów było do siebie podobnych, zaczynały się od tych samych cyfr i kończyły inną, ostatnią. Wyglądały, jakby należały do tej samej osoby albo firmy. Oddzielone były anonsami szukającymi kogoś do skręcania długopisów i młodych mężczyzn do pracy na budowie. Niewprawne oko mogłoby nie zauważyć powtarzających się sekwencji cyfr w numerach telefonów z ogłoszeń. We wszystkich brakowało strony internetowej i nazwy ogłaszającej się firmy. Tylko numery. Izabela musiała je uważnie śledzić, skoro zielony pisak pozaznaczał tak wiele z nich. Po co jednak zbierała te informacje? Dla kogo?

Erwin sięgnął po telefon i wystukał na klawiaturze jeden z numerów. Zupełnie nie wiedział, dlaczego to robi. Kierował nim odruch, zwykła ciekawość tego, co usłyszy i czy numer wciąż jest aktualny. Po trzecim sygnale odezwał się męski głos.

– Dzwonię z ogłoszenia – zaczął Erwin, wiedząc, że nie może podać ani nazwy gazety, ani tym bardziej daty jej wydania. Izabela wycięła nożyczkami stronę tak, że nie wiedział nic poza tym, że ktoś wciąż może żerować na naiwności kobiet. – W sprawie pracy. Dla żony – dodał bez zająknięcia.

Po drugiej stronie ktoś nagle ściszył samochodowe radio.

– Nieaktualne – odpowiedział męski głos przypominający papier ścierny.

Głos rozłączył się szybciej, niż się odezwał. Wszystko jasne. Gdyby Erwin był słodką dziewczętnastolatką, rozmowa wyglądałaby inaczej.

– Idiota ze mnie – burknął i rzucił komórkę na kanapę.

Sięgnął po kolejną rzecz z koperty. Mapa. Rozłożył ją na stole. Podobnie jak ogłoszenia z gazety, mazak pozaznaczał punkty w centrum miasta i na przedmieściach. Mieszkania do wynajęcia, domyślił się od razu. Doliczył do szesnastu i zrezygnował. Niemal całe Śródmieście zaznaczone było na zielono, zupełnie jakby kolorowy pisak wymalował nowy park w samym środku Warszawy.

Skąd o nich wiedziała? Jeśli należały do właścicieli takich jak ona, nie mogła mieć o nich pojęcia. Nikt nie spowiada się z rzeczy, które mogą oznaczać kłopoty. Musiała mieć powód, skoro zaczęła węszyć. Po co ci to było, Izzy?! Czasem lepiej jest nie wiedzieć. Nie pomyślałaś, że możesz oberwać? Zobaczyłaś lub usłyszałaś coś, czego nie powinnaś, i zaczęłaś dociekać

albo, co gorsza, stawiać się. Bycie dla kogoś niewygodnym świadkiem nigdy nie kończy się dobrze. Zapomniałaś o tym czy naiwnie wierzyłaś, że akurat z tobą będzie inaczej?

Erwin jeszcze raz rzucił okiem na mapę. Grzybowska, Jana Pawła, Jerozolimskie. Kurewsko drogie centrum rozpusty w sercu Warszawki. Kawalerki wynajmowane lub sprzedawane w wiadomym celu. Biznes, który zawsze się opłaca.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Erwin podniósł się z kanapy i zaczął przeszukiwać kieszenie. Zwitek polskich banknotów stawał się coraz cieńszy. Dał chłopakowi od pizzy pięćdziesiąt złotych i zamknął drzwi na zamek. Pizza była ledwo ciepła, ale nie narzekał. Na poczekaniu wrzucił w siebie kilka kawałków i popił bąbelkami coli.

Po zjedzeniu ósmego kawałka wytarł tłuste ręce o spodnie i wrócił do przerwanej lektury. Znow jakaś gazeta i kolejny artykuł pod obiecującym tytułem „Żony na sprzedaż”. Bez zakreszeń, bez załączonych nazwisk ani fotografii. Nie czuł się wstrząśnięty. O tym procederze nieraz słyszał. Młode dziewczęta, marzące o domu z basenem i bogatym mężu, oczywiście uczciwym i oddanym rodzinie. Setki razy zastanawiał się, jak to możliwe, że kobiety mogą być tak naiwne.

Spod ułożonych wycinków i kserokopii wyciągnął kartkę, której wcześniej nie zauważył. Zwykłą, wyrwaną ze szkolnego zeszytu w linie. Widok pisma Izabeli spowodował, że krew uderzyła mu do głowy. Równe, okrągłe litery stawiane z zadziwiającą starannością, jakby uczyła się w przedwojennej szkole kaligrafii.

Jeśli myślał, że będzie to miłosne wyznanie lub wskazówki, co ma dalej robić, mylił się. Izabela nie zostawiła mu w pożegnalnym geście tej oczywistej wiadomości, że był mężczyzną jej życia, ani tym bardziej nie była skłonna przekazać, dlaczego uwikłała go w tę przedziwną historię z mecenasem Nawrockim i żółtą kopertą.

Kartka zapisana była z obu stron. Pismo na pierwszej stronie było równe i staranne, na drugiej litery stawiane były z coraz to mniejszą dbałością, jakby drżała jej ręka lub jakby się gdzieś śpieszyła.

*Kolejny dzień tygodnia, nie wiem który. Jest 23.55*

*Od miesiąca mam złe sny. Przychodzą nie wiadomo skąd i męczą mnie tak długo, dopóki nie zerwę się z krzykiem w środku nocy, spocona i z bijącym sercem. Każdy z nich jest jak gwóźdź, który czyjaś ręka wbija w moją głowę coraz głębiej i mocniej. Nie potrafię się wyzwolić z tego bólu, nie mogę od niego uciec ani schować się tam, gdzie byłabym bezpieczna. Gdybym tylko wiedziała, jak go przegnać, jak skryć się przed własnymi myślami i strachem, który dopada mnie każdej nocy. Ludzie, którzy zasypiają ze spokojem i budzą się nad ranem, nie doznawszy takiego stanu, są najszczęśliwszymi istotami na ziemi. Oddałabym wszystko, żeby być jak oni. Móc*

*otworzyć oczy bez wszechogarniającego lęku, że to, co czyha w nocnych koszmarach, dopadnie mnie w końcu w prawdziwym życiu. Ale to się nie stanie, nie ucieknę od tego. Już nigdy nie będzie tak jak dawniej. Przeznaczenia nie da się oszukać. W końcu mnie znajdzie i zniszczy. Za raz popełnione błędy trzeba w końcu płacić.*

*Boję się chwili, gdy nie będzie już odwrotu i dotrę na skraj ślepej uliczki z napisem „koniec”. Ten dzień jest blisko, idzie ku mnie, czuję to wszystkimi zmysłami. Nie będzie żadnego ratunku, nie pojawi się nikt, kto mógłby mnie stąd zabrać. Bo stąd nie ma ucieczki.*

*Za chwilę wyłączę światło i zapadnie ciemność. Moje ciało odda się kolejnym uderzeniom ostrych gwoździ. To będzie trwało do końca moich dni. Potem ustanie, a ja odpocznę.*

*Brakuje mi sił od ciągłego oglądania się za siebie. Niech to wszystko już się wreszcie skończy.*

Za szybą wisiała szarówka. Pojedyncze auta przesuwwały się po wąskiej ulicy, rozwożąc ludzi do ich domów. Aromat rumianku dawno zniknął zastąpiony zapaszkiem pizzy, jaki dobywał się z otwartego pudełka. To, co było w mieszkaniu Izabeli najpiękniejsze, odeszło.

Erwin nacisnął klamkę i otworzył okno. Ciepłe letnie powietrze wdarło się do wnętrza. Lubił ten zapach miasta, tak odmienny od tego w Hamburgu. Równie ciężki od spalin, a jednak inny.

Przez lata tłumił w sobie sentyment do wszystkiego, co polskie. Ze świetnym skutkiem udawało mu się zepchnąć to uczucie w głąb siebie, ale w tej chwili nostalgia wróciła. Oddałby wszystko, żeby móc tu zostać. Wszystko, z wyjątkiem syna. Na myśl o dziecku poczuł ucisk w krtani.

Musi zachować spokój, przecież Karlowi nie dzieje się krzywda. Jest ze swoją matką. Simone, choć wściekła na to, że zostawił ich i przyjechał do Polski, nie będzie się odgrywała na dziecku.

Przesunął doniczkę ze storczykiem, żeby zablokowała zamykające się okno. Odgrzał kolejne dwa kawałki pizzy i przeniósł się z zawartością koperty do sypialni Izabeli. Izzy, tak nazwał ją kiedyś i już zostało. Nie pamiętał, kiedy wymyślił to zdrobnienie. Czy to było ich wspólne lato w górach, czy gdzieś nad morzem? Chyba jednak morze. Wymawiał je miękko, niemal aksamitnie. Inaczej się nie dało. Jego Izzy była słodka i niewinna.

Stojąca przy łóżku lampa na długiej nodze rzuciła okrągłą poświatę na sufit. Erwin przekrzywił kłosz i nakierował światło na posłanie. Jednym ruchem ściągnął różową narzutę i położył na taborecie pod ścianą. Spod narzuty wyjrzała pościel w kwiecisty wzór. Cała ona: rumianki, różyczki, storczyki. Gdzie w tym wszystkim miejsce na życie na krawędzi?

Zrzucił z nóg buty i wyciągnął się na kołdrze. Nie miał zamiaru spać, stracił już wystarczająco dużo czasu. Co chwila podsuwał pod żarówkę kolejne wycinki z gazet i odręczne zapiski Izabeli, które nic mu nie mówiły. Tak jak imiona dziewczyn napisane na samoprzylepnych karteczkach, bez nazwisk i adresów. Na odwrocie fiszki z tajemniczym

imieniem Honey zapisany był numer. Dziewiątka. Wziął do ręki kolejne. Rubby, Roxy i Daisy również miały przypisane cyfry. Żadnych innych danych, żadnych informacji. Imiona jak z burdelu w amerykańskim westernie, tanie i żalodne. Nic z tego nie rozumiał. Po co je zbierała?

Już miał zgnieść kartki i rzucić je na podłogę, kiedy spojrzął na rozsypane fotografie. One też na swoim odwrocie miały napisane numery. Nie były to portrety, jakich używa się do paszportu. Przedstawiły młode dziewczyny siedzące na fotelu lub brzegu kanapy, wyprostowane, jakby ktoś poraził je prądem. Ze skrzyżowanymi w kostkach nogami i w spódnicach przed kolano. W butach na obcasach i z idealnie zrobionymi fryzurami. Blondynki, czarne, rude, wszystkie typy urody. Łączyło je jedno: były młode i dość ładne, przynajmniej jak na przeciętny męski gust. Wszystkie miały ciężki makijaż, mocno wytuszowane rzęsy i obrysowane na grubo usta. Obcisłe bluzki opinały piersi w rozmiarach dojrzałych grejpfrutów. Mało która się uśmiechała, a jeśli już, był to uśmiech wymuszony albo wywołany zbyt dużą dawką alkoholu czy środków halucynogennych. Erwin rozpoznał je od razu. Znał te powiększone lub, przeciwnie, nazbyt wąskie oczy, które mówiły wszystko.

– W co ty się wplątałaś, Izzy? – wyszeptał, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. – Warto było zapłacić za to wszystko głową?

Wziął kolejne zdjęcie do ręki. Dziewczyna z fotografii miała szerokie kości policzkowe i lekko skośne oczy. Przypominała Kate Moss z ciemnymi włosami. Jak nic z dawnej wschodniej republiki ZSRR. Ładna, nietypowa i oryginalna. Jako jedyna wyglądała na spokojną.

Chwilę później na kołdrze leżały wszystkie zdjęcia dziewczyn z przypisanymi im numerami na karteczkach. Dziewięć zdjęć i dziewięć imion. Dziewczyna z rysami Kate Moss oznaczona była numerem sześć i miała na imię Sandra. Ale czy to było jej prawdziwe imię? Kolorowe fiszki były zapewne od samego początku poprzyklepane do poszczególnych zdjęć, ale on w swoim pijackim amoku wymieszał je w hotelowym pokoju. Teraz miał już wszystko pod kontrolą. Znał imiona dziewczyn i miał przed sobą ich twarze. Niektóre wystraszone, niektóre wyzywające.

Erwin popatrzył na cienie rzucane na ścianę przez uliczne latarnie. Gdyby nie wyjechał, żyłaby dalej. Ochroniłby ją przed tym, co ją spotkało. Przede wszystkim w ogóle nie dopuściłby do tego, żeby miała cokolwiek wspólnego z ciemną stroną miasta. Żyliby spokojnie na Mokotowie czy Bródnie i oglądali nocami seriale, zającąc się popcornem. Tak przecież miało być. I byłoby, gdyby nie wydarzyła się tamta przeklęta noc. Noc, która zmieniła wszystko. Izabela odsunęła się od Erwina po tym, co zrobił. A zrobił rzecz straszną, taką, której się nie wybaczają. Widział pogardę w jej oczach, czuł odrazę, z jaką mijala go na ulicy. Mimo to mógł ją przebłagać, wytłumaczyć, że nie był wtedy sobą, że oddałby wszystko, by to, co odsunęło ich od siebie, nigdy się nie wydarzyło. Może z czasem by mu uwierzyła. Znów rankiem piliby kawę, a wieczorem leżeli razem w łóżku. Ona udawałaby, że już usypia, a on wtulałby się w jej jasne



włosy. To wszystko mogło się stać, mogło być jego udziałem. Zamiast tego zarezerwował bilet do Niemiec. Uciekł i spieszył sprawę. Zamienił Izzy na Simone.

– Umarłaś przez moją głupotę – powiedział do żółtej koperty z napisem „Erwin Cis. Szukać do skutku”. – Oboje o tym wiemy. Jeśli mnie słyszysz, chcę ci tylko powiedzieć, że będzie tak, jak mówiłaś: ty i ja, na zawsze razem. Odzyskasz swój spokój, Izzy. Tym razem nie zostawię cię samej.

Pierwsza faza snu została przerwana przez krzyk za ścianą. Erwin ocknął się i powoli otworzył oczy. Czy tylko mu się zdawało, czy rzeczywiście ktoś krzyczał? Wrzask był wyraźny, to nie mogło być złudzenie. Dochodził z bliska, z mieszkania na górze lub za ścianą.

Usiadł na materacu i rozejrzał się po pokoju rozświetlonym jedynie nikłym blaskiem ulicznych latarni.

Spojrzał na zegarek, wskazówki pokazywały za pięć drugą. Sekundnik dobijał do pełnej minuty, kiedy znów to usłyszał. Ciche jęknięcie, przeciągłe i pełne bólu. Na pewno kobieta. Poderwał się i pobiegł do przedpokoju. Oparł się barkiem o drzwi wejściowe i przycisnął do nich ucho. Głos więcej się nie odezwał, zdawało mu się tylko, że zamiast niego doszło skądś ciche kliknięcie, a po nim kilkusekundowe buczenie. Tym razem z pewnością nie mógł to być dźwięk wydawany przez człowieka.

Znów to samo, cała seria dźwięków, mechanicznych, niezrozumiałych, choć jakby znajomych. Po kilku sekundach wszystko ucichło. To przez ten blok, pomyślał Erwin i wrócił do sypialni. Słysząc każde kichnięcie i puszczanie wody u sąsiada. Ulica też nie śpi, do tego to uchylone okno...

Za kilka godzin wzejdzie słońce i noc odejdzie ze swoimi mrocznymi odgłosami. On natomiast będzie musiał znaleźć w sobie siłę, żeby stanąć oko w oko z tym, na co wciąż nie jest gotów. Nie uniknie tego, przecież wie. Zrobi to dla niej, krok po kroku, tak jak obiecał.

\* \* \*

Odliczał minuty do dziewiątej. Wstał zaraz po siódmej i od tego czasu nie zmrużył już oka. Zalał wrzątkiem torebkę z liptonem i postawił ją na stole w pokoju z kanapą i fotelem. Patrzył, jak powoli woda zmienia kolor na brązowy i ciemnieje coraz bardziej, przechodząc w brunatną czerń. Równie dobrze mógłby włączyć telewizor, żeby na czymś zawiesić wzrok, wystarczyło wcisnąć czerwony przycisk.

Poranna powtórka brazylijskiego tasiemca niespecjalnie go wciągnęła. Tym bardziej quiz dla widzów, którzy musieli wyteżyc wzrok, żeby znaleźć różnicę między rysunkiem jednego pieska a rysunkami ośmiu pozostałych, na pozór jednakowych. Temu jednemu, za dwa tysiące złotych

do wygrania, brakowało węża przy nosie, na co od czterdziestu minut nie mogli wpaść dzwoniący do telewizji widzowie. Wolał już wrócić do oglądania serialu. Dialogi szarpane rozdzierającą miłością bohaterów nie miały sensu, w kubku parzyła się herbata bez cukru.

O ósmej zabuczała mikrofalówka, informując o podgrzaniu ostatniego kawałka wczorajszej pizzy. Erwin ugryzł suche ciasto z pepperoni, ale jedzenie mu nie szło. Dopił resztkę wystygłej herbaty i wyszedł z mieszkania.

O dziewiątej trzynastcie stanął na tym samym miejscu postojowym przy Nowogrodzkiej co dwa dni temu. W poczekalni mecenasa Nawrockiego nie było jeszcze nikogo poza asystentką, która dopiero zaczynała logowanie do systemu. Jedną ręką wprowadzała hasło, a drugą po omacku szukała włącznika w ekspresie. Maszyna zabuczała, po recepcji rozniósł się zapach palonych, mielonych ziaren.

– Znosi się na burzę – powiedziała asystentka, odwracając się w stronę okna. Obco brzmiący akcent w jej głosie budził w Erwinie ciekawość, ale nie śmiał spytać dziewczyny, skąd pochodzi. Mówiła wystarczająco dobrze, żeby nie dręczyć jej pytaniami, które słyszała zapewne tysiące razy. Kiedy on sam po raz pierwszy wylądował w Hamburgu, jego niemiecki był bardziej niż żalony. Niczego nie potrzebował wtedy bardziej niż ludzkiej wyrozumiałości. – Od rana duchota taka, że nie można oddychać – dodała. – W radiu też mówili, że będzie padać. Lunie jak nic! Dla pana czarną?

Erwin kiwnął głową i po raz setny tego ranka spojrzął na zegarek.

– Mecenas powinien zaraz być. – Dziewczyna rzuciła mu uspokajające spojrzenie. – Gdyby tylko wiedział, że pan znów przyjdzie, na pewno pojawiłby się wcześniej. A tak... klienci zwykle zaczynają przychodzić koło dziesiątej. Jeśli to ważne, zadzwonię do mecenasa i powiem, że pan czeka.

– Niech pani tego nie robi. Nie przyszedłem do niego.

Erwin udał, że nie zauważa zaskoczenia na twarzy kobiety. Usiadł na tym samym krześle co poprzednio i zaczął wpatrywać się uparcie w płamę na posadzce, którą ominął mop sprzątaczkii. Trudno mu było zacząć rozmowę, w głowie szukał odpowiednich słów, ale wszystkie wydawały mu się niewłaściwe.

– Od dawna pani tu pracuje? – spytał w końcu, nie podnosząc oczu znad podłogi.

Asystentka mecenasa Nawrockiego kończyła właśnie spieniać mleko.

– Będzie już półtora roku.

– Zatem zna pani obecnych klientów kancelarii?

Zauważył, że się zawahała. Rozpoznawał ludzkie odruchy, widział ich setki, jeśli nie tysiące na swoich szkoleniach. Mało było takich uczestników kursów, którzy potrafili grać na tyle dobrze, żeby zamaskować zaskoczenie, wstyd lub strach, nawet jeśli zdawało im się, że są

świetnymi aktorami. Zdradzał ich zwykle z pozoru nic nieznaczący gest lub tembr głosu. Jedna nuta, która demaskowała zaszyte pod skórą emocje.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. – Erwin wyprostował plecy i wykonał ruch rękami, jakby chciał oczyścić aurę. – Nie chcę z pani niczego wyciągnąć. Przynajmniej nie na siłę. – Dorzucił trochę sztuczny uśmiech i oklepany gest z położeniem dłoni na sercu. – Interesuje mnie tylko jedna osoba, o której rozmawiałem z mecenasem dwa dni temu.

– To są sprawy między panem a mecenasem Nawrockim.

– Chodzi mi tylko o kilka informacji.

– Ja nie czytam akt. – Dziewczyna pokręciła głową.

– Na pewno je pani przegląda. – Erwin podniósł się i podszedł do biurka. Bawiąc się od niechcenia zwisającym, skręconym kablem od telefonu, nie mógł nie zauważyć, że czerwona plama na szyi dziewczyny robi się coraz ciemniejsza. – Ktoś przecież musi je porządkować i rejestrować.

– To jeszcze nie znaczy...

– To właśnie znaczy, że istnieje wielkie prawdopodobieństwo, iż zna pani sprawę Izabeli Wirskiej.

Asystentka nie odpowiedziała. Przekręciła kluczyk w szufladzie swojego biurka i wyjęła z niej kilka tekturowych teczek z dokumentami.

– Poznała pani tę dziewczynę, prawda? – Erwin zawisł nad stołem i wyjętymi z szuflady biurka aktami.

– Ludzie wchodzą i wychodzą. Pamiętam twarze, ale nie interesuje mnie to, co dzieje się za drzwiami gabinetów naszej kancelarii.

– I nigdy nie próbowała się pani dowiedzieć, kim była Izabela Wirska i co się z nią stało?

Dziewczyna wyraźnie nie potrafiła usiedzieć bez ruchu. Wyćwiczonym ruchem wysunęła z ekspresu pojemnik z fusami i przechyliła go nad kubłem na śmieci.

– Z ludźmi dzieją się różne rzeczy. Nawet takie, w które trudno byłoby panu uwierzyć.

– Była w pani wieku.

– Tak, to prawda... To była młoda, piękna kobieta. Do tego bardzo miła. Wiem, że nie żyje, to na pewno dla pana ogromna strata. Jest mi przykro z tego powodu, niech mi pan wierzy.

Erwin zauważył, że pojemnik z fusami uderza nerwowo o ekspres. Ręka, która usilnie próbowała umieścić go na swoim miejscu, drżała. Mimo że asystentka mecenasa Nawrockiego starała się zachować pozory spokoju, jej ciało mówiło co innego. Napięte mięśnie ciała i zaróżowienia na skórze szyi bezlitośnie zdradzały tę fasadę opanowania.

– Boi się pani mówić, mam rację?

Dziewczyna podjechała na krześle do krawędzi biurka tak blisko, że jego brzeg wbił się niebezpiecznie pod żebra. Ucisk musiał powodować ból, jednak nie odsunęła się, jakby chciała,

aby to, co powie, zostało dobrze zrozumiane.

– Nie mogę panu nic powiedzieć, choćbym nawet chciała.

Wychwycił to załamanie w głosie, na które czekał. Lekkie drgnięcie strun głosowych, które wydało fałszywe brzmienie. Rozejrzał się po suficie. Półokrągła kamera zamieszczona w załamaniach ścian tłumaczyła wszystko.

– Do dziesiątej zostało dwadzieścia pięć minut. – Erwin wyciągnął z kieszeni džinsów paczkę papierosów i dyskretnie wskazał głową drzwi. Zanim nacisnął klamkę, odwrócił się przez ramię. Dziewczyna siedziała nieruchomo i patrzyła w wygaszony ekran komputera.

Schodził po schodach, nie wiedząc, czy jego tani wybieg, jedyny, jaki przyszedł mu do głowy, zadziała. Może powinien rozegrać to inaczej, ale w tej chwili na nic bardziej oryginalnego nie było go stać. Jeśli teraz nie dostanie tego, po co przyszedł, wróci tu znów. Innego wyjścia nie ma.

Stanął na półpiętrze. Z zadartą głową nasłuchiwał zgrzytu zasuwki zamykającej drzwi gabinetu i kroków dziewczyny. Zamiast tego w uszach tętniła mu jedynie cisza.

Wyszedł z podwórka i zatrzasnął za sobą bramę.

Powietrze było ciężkie od nadciągającej burzy. Spojrzał w niebo, które zsuwało się coraz niżej ku ziemi, a następnie na otwarte okna budynków, przez które zaczynały się przeciskać pojedyncze podmuchy wiatru. Koło nóg Erwina przesunęła się niesiona podmuchem pusta reklamówka. Zatrzymała się na czarnych, damskich czółenkach, które stanęły tuż za nim, po czym pofrunęła dalej.

Asystentka mecenasa Nawrockiego wyjęła z paczki papierosa, po czym ścisnęła w palcach jego ustnik, zamieniając zwykłego vogue'a w miętową rozkosz.

– Ma pan ogień? – spytała i wsunęła papierosa do ust.

Erwin pstryknął zapalniczką. Krzesiwo podpaliło gaz za drugim razem. Podsunął płomień kobiecie i zasłonił go dłonią przed wiatrem.

– Jak pani na imię?

Dziewczyna zawahała się, ale wyciągnęła rękę w stronę Erwina.

– Agata. Agata Soból.

Erwin potrząsnął dłonią kobiety i kiwnął głową na znak, że mu miło.

– Nie mogę stać tu zbyt długo. – Agata Soból zaciągnęła się dymem i nerwowo rozejrzała się po ulicy. – Co chce pan wiedzieć?

– Jak zginęła Izabela Wirska i gdzie leży. Tylko tyle.

Przez twarz dziewczyny przebiegł cień niezdecydowania.

– Myślałam, że wyciągnął mnie pan, żeby dowiedzieć się, czy przypadkiem nie przychodziła tu z kimś innym. No, wie pan, z innym mężczyzną. Często nawet po śmierci swoich partnerów ludzie bywają zazdrośni o tych drugich. To głupie i całkiem bez sensu, ale bywa i tak.

– To mnie nie interesuje. Rozstaliśmy się, zanim wyjechałem do Niemiec. Mogła spotykać się, z kim chciała, nic mi do tego.

– Tak, jasne! – Głos Agaty przybrał drwiący ton. – Kłamać to pan nie potrafi, niestety.

Erwin do tej pory był odmiennego zdania, ale, jak widać, tym razem to ona nie dała się zwieść jego sztuczkom.

Napierający wiatr zgasił papierosa dziewczyny. Erwin w ułamku sekundy sięgnął ponownie po ogień.

– Zatem jak umarła?

– Nie wiem.

Erwin wypuścił powietrze z płuc.

– Teraz to pani kłamie – powiedział ze spokojem, patrząc na migoczącą, mimo środka dnia, uliczną latarnię.

Dziewczyna pociągnęła papierosa jeszcze trzy razy, po czym zgasiła go pod czarną szpilką. Z kieszeni spódnicy wyjęła gumę do żucia.

– Nie ma tego w aktach.

– Żadnej informacji?

– Ani słowa.

– Nie wpisujecie takich danych do dokumentów?

Agata Soból musiała stwierdzić, że zgaszony przez nią papieros wypali dziurę w chodniku, więc dla pewności doturlała go czubkiem buta do kratki ściekowej.

– Wpisujemy. Ale bez szczegółów.

– To znaczy?

– Jeśli ktoś zginie w wypadku, to nie odnotowujemy, że zmarł w wyniku obrażeń wewnętrznych typu pęknięte żebra przebiły wątrobę albo że wypadł przez przednią szybę i roztrzaskał głowę o bruk. Piszemy po prostu, że śmierć nastąpiła w wyniku kolizji na drodze. Jeśli człowiek umiera od ciosu zadanego nożem w serce, to jest to dla nas porachunek gangów lub bójka uliczna. Rozumie pan?

– Taaa... – Erwin cmoknął przez zęby z niesmakiem. – Taka wersja dla przedszkolaków.

– Nie jesteśmy policją, jeśli o to panu chodzi. – Agata Soból wzruszyła ramionami. – Albo wpisujemy informację ogólnie, albo odnotowujemy, że ktoś zmarł z przyczyn naturalnych i zamykamy jego teczkę.

– Dlaczego w takim razie nie macie nic na temat śmierci Izabeli Wirskiej? Przecież była waszą klientką od lat, podobnie jak cała rodzina Wirskich. Nie uwierzę, że mecenas Nawrocki nie wie, w jaki sposób zginęła. Czemu nic nie ma w dokumentach?

– Widocznie uznał, że zrobi to później. Zwykle nie odkłada takich spraw na potem, ale najwyraźniej miał powód.

– I nigdy pani nie zastanowiło, dlaczego Nawrocki nie wpisał do dokumentów informacji o przyczynie śmierci córki swoich wieloletnich klientów?

– Owszem. Zdziwi się pan, ale myślałam o tym wielokrotnie. – Dziewczyna złapała tańczące na wietrze włosy i skręciwszy je palcem, upchnęła za kołnierz białej bluzki. – To, co stało się z Izabelą Wirską, było bardzo dziwne. Pewnego dnia po prostu zniknęła. Trudno mi było w to uwierzyć. Wkrótce potem dowiedziałam się, że nie żyje. Pogrzeb odbył się szybko, dwa dni po tym, jak pojawiły się nekrologi w gazetach.

– Widziała je pani?

– Tak. Ojciec Wirskiej zadbał, żeby ukazały się we wszystkich znaczących dziennikach. Wykupił dużo miejsca na ostatnie pożegnanie córki, nekrologi rzucały się w oczy. To było bardzo wzruszające.

Erwin przemełł w ustach niezrozumiałe słowo na temat tego, co myślał o ojcu Izabeli.

– Co pan mówi? – Agata Soból spojrzała na niego z wyraźnym zaciekawieniem.

– Nic ważnego. Niech pani sobie przypomni, czy w którymkolwiek nekrologu pisano, że zmarła tragicznie.

– Czy to ważne? Życia jej pan nie wróci.

– Wiem. Ale może przywrócę je samemu sobie.

– Nie rozumiem.

– Myślę, że rozumie pani doskonale. Jeśli kiedykolwiek straciła pani kogoś bliskiego, to na pewno wie pani, o czym mówię. Muszę wiedzieć, w jaki sposób zginęła. Żyła na krawędzi. Ktoś ją zamordował, prawda?

Dziewczyna odwróciła się i zatrzymała przy zakratowanej witrynie męskiego fryzjera, po czym z udawanym zainteresowaniem zaczęła przyglądać się wyblakłemu ze starości zdjęciu Limahla z nieśmiertelnym czubem ułożonym z zalakierowanych włosów.

– Nie powinnam z panem o tym rozmawiać.

– A jednak zeszła pani na dół.

– Gdyby ktoś się dowiedział... Dlaczego miałabym panu zaufać?

– Agata... – Erwin znalazł się za nią, zanim zdążyła przeliczyć pasma na grzywce króla popu.

– To dla mnie ważne. Musisz mi uwierzyć. Po prostu.

Ich spojrzenia spotkały się w odbiciu szyby. Mierzyli się wzrokiem długą chwilę, która dla żadnego z nich nie należała do łatwych. Przez moment Erwinowi zdawało się, że twarz Agaty Soból odbita w szybie kogoś mu przypomina, ale złożył to na karb nie do końca równej powierzchni szklanej tafli.

– To nie było morderstwo, przynajmniej taką dostaliśmy informację – powiedziała wreszcie, uciekając przed jego natarczywym spojrzeniem. – Ojciec Izabeli zadzwonił do nas po tym, jak doszło do tragedii, i powiedział o tym wprost. Wszystko wskazuje na to, że Izabela Wirska

popelniła samobójstwo. Prawdopodobnie chciała upozorować wypadek, bo auto uderzyło w drzewo nieopodal jednego z punktów śmierci, ale szosa była tego dnia sucha i warunki jazdy zbyt dobre, żeby mogła stracić panowanie nad kierownicą. Poza tym z tego, co mówił pan Wirski, Izabela była świetnym kierowcą. To stało się daleko stąd, na drodze na Mikołajki. Szosa była pusta, tym bardziej nic nie zagrażało jej jeździe. Rozpędziła auto na drodze i... To była szybka śmierć.

Erwin odniósł wrażenie, że jego odbicie w szybie zniekształciło się i jakby poczerniało.

– Samobójstwo? – To krótkie słowo brzmiało w jego uszach jak koszmar, ale gdy je wymówił, poczuł niemal smak dziegciu na języku.

– Bardzo mi przykro. – Agata Soból po raz drugi tego ranka powtórzyła grzecznościowy banał, ale nie zabrzmiał fałszywie. – Wygląda na to, że Izabela nie chciała dłużej żyć. Czasem tak się dzieje.

Erwin wciąż miał w pamięci pozostawioną przez Izzy kartkę. To był ten jej koniec ulicy, ślepy zaułek, za którym nie ma już nic. Postanowiła zrobić krok w śmierć, gdzie miała wreszcie poczuć spokój. Wszystko się zgadzało.

– Dziękuję – odrzekł Erwin i wciągnął w płuca tonę ciężkiego powietrza, czując, że zaczyna mu go brakować.

Zza zakrętu Nowogrodzkiej wyjechał opel Nawrockiego. Był jeszcze daleko, ale Agata Soból kiwnęła głową na pożegnanie i rzuciwszy krótkie „do widzenia”, zaczęła iść pośpiesznym krokiem w stronę kamienicy. Zanim wybrzmiał sygnał otwierający bramę, Erwin zdążył wsunąć nogę między drzwi i przytrzymać je przed zamknięciem.

– Gdzie ją pochowano?

– Na Północnym – odpowiedziała natychmiast i prześlizgnęła się pod jego ramieniem. – O grób niech pan spyta na miejscu, w biurze.

Ciąg powietrza trzasnął ciężkimi drzwiami. Przez zamkniętą bramę kamienicy Erwin słyszał już tylko obcasy uderzające o bruk.

\* \* \*

Cmentarz Północny był niemal pusty. Erwin przeszedł przez główną bramę, mijając dwie kobiety w kirze, które uciekały przed nadciągającą burzą.

Trzymał w ręku bukiet czerwonych róż związanych czarną wstążką. Szedł prosto do kancelarii. Szukanie grobu Izabeli na własną rękę byłoby jak szukanie wody na pustyni z zawiązanymi oczami. O jej rodzinie wiedział mało, nie miał pojęcia, gdzie leżą jej bliscy i czy ona została pochowana razem z nimi. Z ojcem Izabeli widział się zaledwie trzy razy. Za pierwszym, gdy przyszedł po nią pod dom na Żoliborzu. Stary Wirski wziął go za jednego ze

znajomych, których krąg powiększał się z każdym miesiącem studiów Izzy. Wtedy jeszcze uścisk jego dłoni był silny i przyjazny.

Za drugim razem spotkali się na otwarciu galerii z fotografiami wykonanymi przy użyciu najnowszych technik obróbki cyfrowej. Wystawa odbywała się w małej piwnicy bez okien i klimatyzacji, ale fotografka, Judyta Szajna, była przyjaciółką Izabeli i należała do ich paczki razem z Joanną, Wiktorem i Mirkiem. Nikt więc nie protestował, przyszli przecież pokiwać głowami w uznaniu dla sztuki Judyty i poklaskać w dłonie na zakończenie wystawy. Ojciec Izzy też tam był. Typ brata łąty dla przyjaciół swojej jedynaczki. Wpadł na pokaz spóźniony, zjawił się na kwadrans przed zamknięciem. Erwina uderzył fakt, że przyszedł w dżinsach i sztruksowej marynarce. Prawdziwy luzak. Fotografce przyniósł butelkę szampana na przeprosiny i wyraził podziw dla jej niekonwencjonalnego podejścia do sztuki. Zdjęcia były przekombinowane, robione kosmiczną techniką, której bliżej było do obrazów Picassa niż do klasycznej fotografii, mimo to sprawiał wrażenie zachwyconego. Dla przyjaciół Izabeli – wszystko. Swoim zwyczajem przywitał się z każdym z osobna. Kiedy podszedł do Erwina, Izzy nie wytrzymała i powiedziała krótko: to jest Erwin, o którym ci mówiłam. Jesteśmy razem, bądź dla niego miły. W tym momencie uścisk dłoni Wirskiego zamienił się w zacisk imadła, a Erwin został wciągnięty na listę wrogów publicznych i natychmiast uplasował się na podium ze złotym medalem wygrawerowanym ojcowską awersją. Erwin doskonale zapamiętał jego zimny wzrok. Ból w kościach dłoni czuł do końca wystawy.

Ostatni raz zetknął się z nim twarzą w twarz, a właściwie twarzą w okno, gdy odwoził Izabelę do domu. Ojciec stał przy odsuniętej zasłonie i patrzył, jak jego córka żegna się namiętnie z kimś, kto z jakiegoś powodu nie przystawał do ich rodziny. Erwin długo naciskał Izzy, żeby wytłumaczyła mu, co zdaniem jej ojca jest z nim nie tak. Unikała odpowiedzi, żeby zaoszczędzić mu przykrości. Przyciśnięta do muru wyznała, że w przyпіlywie euforii powiedziała ojcu, że kiedyś chciałaby związać się z Erwinem na zawsze. Najwidoczniej stary Wirski uznał, że wybranek jego córki nie jest wymarzoną partią. Po kontuzji, jakiej nabawił się podczas piłkarskich rozgrywek, prysły marzenia o międzynarodowej sławie. Mógł, co najwyżej, zostać instruktorem na siłowni, oferując Izabeli klitkę zamiast wygodnego mieszkania i wczasy w tanim pensjonacie w górach. Nie z taką partią widział swoją jedynaczkę przed ołtarzem.

Dopiero po pół roku Erwin dowiedział się, że im dłużej trwał ich związek, tym cięższa stawała się atmosfera w domu Wirskich. Izzy nie wytrzymała nieustannych wyrzutów, spakowała swoje manatki i pewnego ranka stanęła na progu mieszkania Erwina. Matki Izabeli nie znał wcale. Izzy pokazała mu tylko zdjęcie, które nosiła w portfelu. Wyglądała na miłą osobę, jednak sądząc po łagodnych oczach i usposobieniu męża, nie miała w ich domu zbyt wiele do powiedzenia.



Erwin dotarł do cmentarnej kancelarii. Gdy otwierał drzwi, przeciąg wywiał biały wertikal przez okno i trzasnęła szybą. Siedząca vis-à-vis wejścia kobieta o siwych włosach zerwała się z krzesła i wyciągnęła go z uwięzi. Wertikal nie odniósł poważniejszego uszczerbku poza drobnym zagnieceniem pośrodku materiałowej listwy.

– Pan w sprawie pogrzebu? – spytała, zanim zauważyła pęk róż, które trzymał w ręce.

– Nie, pogrzeb już się odbył. – Erwin położył róże na brzegu stołu i usiadł na krześle stojącym na wprost biurka. – Szukam grobu. Nazwisko zmarłej: Izabela Wirska.

Nazwisko Izzy wypowiedział jednym tchem, żeby mieć to za sobą. W pokoju zapanowała cisza przerywana jedynie uderzeniami wiatru o szyby i stukaniem w klawisze komputera.

– Wirska, mówi pan. – Siwa dama zmarszczyła brwi. – Tak, rzeczywiście. Pogrzeb odbył się w maju, czternastego. Pan, jak się domyślam, nie zdążył?

– Nie zdążyłem – przytaknął i obskubał kilka liści z różanych łądyg. – Gdzie jest pochowana?

Kobieta wyjęła z szuflady biurka odbity na ksero plan cmentarza i zakresliła długopisem miejsce niemal na samym jego końcu. Na brzegu kartki napisała wyraźnie numer kwatery.

– Musi pan najpierw skrócić w główną aleję. – Długopis narysował długą linię. – Potem iść aż pod sam mur, cały czas prosto. Tam ją pan znajdzie.

Wyszedł z kancelarii, ściskając w ręku czerwoną wiązanekę i czarnobiałą plan cmentarza. Piekł go w rękę bardziej niż wbijające się w skórę kolce róż. Ten odbity na kopiarce świstek papieru był niemal jak akt zgonu Izabeli, oficjalne zaświadczenie, że odeszła i zamieszkała w tym smętnym miejscu na zawsze.

Aleja wskazana na wydruku ciągnęła się w nieskończoność. To nawet dobrze. Potrzebował tego czasu, żeby zebrać myśli i przygotować się na chwilę, kiedy stanie nad grobem tej, którą kiedyś kochał nad życie. Nie, nie kiedyś. Kochał ją nadal, wściekle, ponad ludzkie siły, i nigdy nie przestał.

Gdy dotarł wreszcie do zaznaczonego na mapie punktu, rozejrzył się bezradnie. Groby kończyły się przy ustawionych kolumbariach z urnami. Obejrzał się za siebie. Przeoczył mogiłę? Cofnął się kilkadziesiąt kroków i zaczął uważniej przyglądać się nagrobkom. Obce nazwiska, obcy zmarli. Jeszcze raz spojrzął na kartkę. Wyraźnie wskazywała koniec ścieżki.

Miejszem pochówku musiało być zatem kolumbarium. Wrócił pod ścianę z niszami na urny. Pod nogami, na brukowej kostce, stały w wazonach lub zwykłych słoikach setki kwiatów, tuż obok nich tliły się znicze. Erwin szedł wzdłuż długich rzędów tablic z wygrawerowanymi nazwiskami. Niemal do każdej z nich przymocowany był mały wazonik, w którym tkwił równie mały bukietek.

Ściana na urny kończyła się. Chciał już wrócić do kancelarii i spytać, czy nie zaszła żadna pomyłka, kiedy zobaczył to, czego szukał. Na ostatniej tablicy w rzędzie widniało nazwisko

Izabeli M. Wirskiej i dwie daty rozdzielone złoconym, przechylnym w prawo krzyżykiem: 23 sierpnia 1982 oraz 10 maja 2015.

Wracał na parking jak w amoku. Nie wierzył własnym oczom. Nic z tego nie rozumiał. Ciało Izabeli nie pochowano w grobie, lecz spopielono. Nie byłoby w tym nic zaskakującego, gdyby nie fakt, że była przeciwniczką urn i palenia zwłok. Izzy bała się ognia, odkąd niechący wzniecił pożar jako mała dziewczynka. Za głupią zabawę zapalającymi w ogrodzie rodziców zapłaciła bólem przypalonego ciała. Miała wtedy sześć lat, była jesień i w ogrodach paliło się liście. Chciała być jak oni, potarła zapalniczkę o draskę. Brzeg jej sukienki zajął się od płomieni. Poparzyła nogę i przez kilka kolejnych miesięcy ratowano jej skórę, żeby nie powstały brzydkie blizny. Nigdy potem nie podeszła blisko ognia. Wybrała nawet kuchenkę na prąd. Przecież rodzina musiała wiedzieć o jej lęku, o takich rzeczach się nie zapomina.

Zrobili to wbrew jej woli. Została spopielona.

Spopielona...

Erwin przywarł plecami do muru cmentarza i zapalił papierosa. Dlaczego jej to zrobili? Jakby mało było w tym wszystkim rozpacz i bólu. Decyzję o kremacji podjął zapewne jej ojciec. Nie uszanował strachu Izabeli przed płomieniami, nigdy tego nie robił. Uważał go za fobię, która w końcu musi minąć. Człowiek przecież nie może żyć bez ognia. Zajście w ogrodzie nie powstrzymało go bynajmniej przed wciskaniem świeczek w tort urodzinowy córki, gdy kończyła kolejny rok życia. Nie powstrzymał się też i teraz, gdy przyszło zdecydować, w jaki sposób zostanie pogrzebana. Jedyna córka. Jak mało musiała dla niego znaczyć.

Jechał na oślep. Wiatr przybrał na sile i zmieszał się z siekącym deszczem. Dopiero gdy biegnący przez pasy przechodzień oparł się o przednie koło jego motocykla, wcisnął hamulec. Pieszy kopnął w oponę i rozmasował bolące udo. Erwin patrzył, jak postać przechodnia oddala się ulicą, ale nie czuł ulgi. Wszystko było mu obojętne.

Skręcił w pierwszą z brzegu ulicę i stanął na parkingu. Wyłączył silnik. Strugi deszczu biły go po karku i twarzy, rozsmazując rzeczywistość.

Neon budki z chińskim jedzeniem świecił ostrym, pomarańczowym blaskiem. Musi coś jeść. Musi normalnie funkcjonować, żeby dowiedzieć się, jak zginęła Izzy.

Mimo ulewy podbiegł pod chińczyka. Dwa dania w styropianowych opakowaniach powinny wystarczyć do jutra. Wrzucił je do sakwy przy kole i odjechał prosto na Ptasią.

Chciał się już znaleźć w jej mieszkaniu, teraz, jak najszybciej.

Drzwi stawały opór. Okno huknęło tak samo jak w cmentarnej kancelarii.

Powinien był to przewidzieć. Stłuczona doniczka z białym storczykiem leżała pod parapetem,

pokazując rozsypaną ziemię i splątane korzenie kwiatu.

Przy koszu na śmieci znalazł szczotkę i szufelkę. Ukucnął pod parapetem i ocenił na wpół połamane pnącza rośliny. Może da się ją jeszcze uratować i na powrót umieścić w plastikowej osłonce, która jako jedyna nie ucierpiała podczas upadku.

Pierwszy ruch szczotki zamiótł część ziemi na szufelkę. Erwin robił to instynktownie, próbując doprowadzić podłogę do porządku. Przy drugim ruchu zawahał się i przyjrzał rozsypanemu piaskowi. Coś tu nie pasowało. Odłożył na bok szczotkę i rozgniół w palcach kawałek ziemi ze stłuczonej doniczki. Izabela nie żyła od sześciu tygodni, a on nie zajmował się storczykiem, odkąd zamieszkał przy Ptasiej. Tymczasem ziemia, która wysypała się z doniczki, była mokra i lepiła się do palców, jakby ktoś nasączył ją wodą nie dalej jak wczoraj.

Chińskie jedzenie całkiem wystygło. Erwin siedział na kanapie i wpatrywał się w niedokładnie zamiecione resztki ziemi pod parapetem, nie rozumiejąc, co tak naprawdę się stało. Mokra ziemia i spopielone ciało. Kto tu był i dlaczego nie pochowano jej w grobie? Te dwa pytania, z pozoru ze sobą niepowiązane, błąkały się po jego głowie, ale odpowiedź nie nadchodziła. Coś nieokreślonego wisiało w powietrzu. Czuł to przez skórę. Nie wiedział jeszcze, kto za tym wszystkim stoi, ale był pewien, że to, co działo się wokół śmierci Izabeli, nie było dziełem przypadku.

\* \* \*

– Odbierz, Simone... Odbierz wreszcie...

Telefon milczał jak zaklęty. Sygnał piątnasty i dwudziesty. Kolejne sekundy i minuty wypełniała cisza po drugiej stronie słuchawki.

Spróbował jeszcze raz. W końcu będzie musiała odebrać. Chciał usłyszeć głos Karla. W tym niezrozumiałym szaleństwie, które go otaczało, pragnął mieć pewność, że przynajmniej jego syn jest bezpieczny.

Simone się nie spieszyła. Wiedziała, jak uderzyć, żeby zabolalo. Sygnał zmienił się na inny. Musiała przerwać połączenie lub całkiem wyłączyć swoją komórkę. Erwin nie usłyszy dziś głosu syna. Może nie usłyszy go ani jutro, ani za dwa dni. Mechanizm zemsty za to, że ją zostawił i odjechał do tej drugiej, działał perfekcyjnie.

\* \* \*

Tej nocy nie zmrzył oka. Leżał, wpatrując się w ciemność, i myślał tylko o jednym. Ktoś tu był. Wszedł, kiedy on załatwiał sprawy na mieście, i zadbał, żeby ukochany storczyk Izzy nie umarł z pragnienia. Nie posądzal Wirskich o to, żeby fatygowali się w tak błahej sprawie aż tutaj.

Odcieśli się od niej za sprawą ojca roku, który z taką łatwością wrzucił swoją córkę w ogień i zamknął w urnie za kamienną płytą. Ktoś jednak miał dostęp do tych czterdziestu metrów. Wyniósł śmieci po śmierci Izabeli i zadbał o kwiat. Co za absurd! Równie dobrze mógł zabrać go do siebie, po co miał stać w pustym mieszkaniu kogoś, kto nie żyje.

A jeśli Izzy nie umarła?

Erwin poczuł uderzenie gorąca. Skąd przyszła mu do głowy ta myśl? Przecież widział grób. Stał przed kamienną płytą z niszami na urny. Odbył się pogrzeb, były nekrologi, była żałoba...

Skronie mu pulsowały. Gdyby istniał choć cień nadziei na to, że Nawrocki się myli. Że można logicznie wytłumaczyć wilgotną ziemię w doniczce. Przecież adwokat nie widział ciała. Widzieli je tylko rodzice Izabeli, tylko oni mogli zidentyfikować zwłoki.

Konfrontacja z Wirskim byłaby czystym absurdem. Matka Izzy też nie powie ani słowa. Nie przeciwstawi się mężowi.

Zostawała tylko jedna możliwość. Do tej pory Erwin nie miał zbyt wiele do czynienia z cmentarzami, kremacją i zamieszaniami wokół pochówku. Swoich rodziców nie pamiętał. Odeszli jedno po drugim, zanim zdążył pójść do podstawówki. Nie był jeszcze wtedy do końca świadomy, dlaczego stoi na cmentarzu i dlaczego nagle został sam, nie licząc babki, która miała zastąpić mu rodziców. Zmarła trzynaście lat temu, od tej pory śmierć nie miała się już o kogo upominać. Przeszłość jego rodziny nie należała do szczęśliwych, ale wśród przyjaciół Erwina był ktoś, komu los okazał równie mało względów.

Sięgnął po smartfona i wszedł na swój nick na Facebooku, po czym odszukał znajome nazwisko.

Mirek. Mirosław Pałacz, zwany przez całe studia Palaczem, też miał swoją historię. Żona Palacza krótko była panią Pałaczową. Dwoch synów, rak piersi, mastektomia w wieku niespełna trzydziestu lat, przerzuty i koniec. Pałacz długo omijał ten temat, ale w końcu wymiękł przy butelce wódki. Pili razem. On w Warszawie, Erwin w Hamburgu. Pałacz wymieszał w żołądku antydepresanty z gorzałką i popłynął. Po prostu nie wytrzymał. Nie, nie mazał się ani nie rzucał kurwami na cały świat. Śmiał się, bo wesola mikstura pomieszała mu zmysły. Dużo wtedy mówił. Musiał. Spontanicznie, jakby chciał wyrzucić z siebie wszystkie koszmary, jakie przeżywał, gdy odchodziła Joanna. Był z nią każdej nocy i każdego dnia. Siedział przy jej łóżku do samego końca. W ciszy. Kiedy było po wszystkim, zdecydował, że ciało jego żony zostanie spalone.

To był pierwszy i ostatni raz, kiedy rozmawiali ze sobą przez telefon po wyjeździe Erwina. Nie zrobili tego już nigdy więcej.

Przy nazwisku Palacza zawsze wyświetlała się zielona kropka. Nałóg, obsesja, zajob do kwadratu. Pałacz nie istniał bez loginów, nicków i ciągłego czuwania przy komputerze. Gdyby

miał wybrać trzy rzeczy, które zabrałby ze sobą na bezludną wyspę, byłyby to trzy laptopy.

– *Palacz, to ja. Jesteś?*

Nie minęło kilka sekund, gdy przyszła odpowiedź.

– *Nie wierzę. Ożeż, nie wierzę! To ty, Cis?*

– *Nie, Królowna Śnieżka z krasnoludkami.*

– *Ty stary byku! Nic nie zmądrzałeś ☺. Gdzie się zadekowałeś?*

– *Chwilowo w Wawie.*

– *Porzuciłeś Deutschland dla kraju nad Wisłą?*

– *Powiedzmy, że wrócił mi patriotyzm. Słuchaj, Palacz, mam sprawę.*

– *Jedziesz.*

– *Chcę pogadać poza FB.*

– *Powiedz po prostu, że chcesz mi paść w ramiona.*

– *Właśnie to chcę powiedzieć. Dziś o ósmej, w Mecie Secie na Foksal?*

– *Przypudruję nosek.*

– *Pudruj sobie, co chcesz, tylko przyjdź. To ważne.*

– *A ty weź ze sobą portfel, bo może się tak nieszczęśliwie złożyć, że ja swojego zapomnę.*

Erwin się rozłączył. Spróbował po raz kolejny dodzwonić się do Simone, ale bez skutku, kierunkowy +49 milczał jak zaklęty.

\* \* \*

Palacz zjawił się przed czasem. Miał na sobie garnitur, w ręku ścisnął skórzaną teczkę i nieodłączną komórkę. Typowy przedstawiciel korpoświata. Siedział na stołku wciśniętym pod samo okno i podziwiał swoje odbicie w podłużnym lustrze przyklejonym do barowej ściany. Nad jego głową wisiał żyrandol rodem z wodewilu i oświetlał niegdyś hipisowskie, ale teraz przerezdzone włosy mężczyzny. Pod przeciwległą ścianą, za plecami, na uczeponiej wysoko pod sufitem półce, stał obiekt westchnień z wczesnych lat osiemdziesiątych, telewizor Rubin.

Gdy Erwin przekroczył próg maleńkiej sieciowej pijalni, Palacz poderwał się z krzesła i rozłożył ręce.

– *To naprawdę ty, Cis? Dżizas!*

„Dżizas” było od lat nieodłącznym elementem Palacza, jego częścią składową. Jak beret kaczora Donalda lub biały wąs u Hulka Hogana. Na dobrą sprawę sam mógłby się tak nazywać, gdyby jego czupryna nie zaczęła się z nim żegnać już dwa lata po ukończeniu studiów. Nadprogramowa dawka testosteronu bezpowrotnie pozbawiła Palacza szansy na boskość.

Nie widzieli się dekadę, ale żeby uniknąć dwuznacznych spojrzeń klientów pijalni, poklepalili się tylko po ramionach. Liczba klepień była proporcjonalna do lat spędzonych bez kontaktu i,

cokolwiek by mówić, wciąż nie oddawała ciężaru tęsknoty Palacza za Erwinem i na odwrót.

Mirek usiadł na swoim miejscu pod oknem, Erwin przyciągnął jedyny wolny stółek. Knajpa z racji swych rozmiarów wypełniała się po brzegi przy dziesiątym gościu.

Zamówili po secie i galarecie, zestaw podstawowy.

– No więc żyjesz. – Erwin przyjrzał się przyjacielowi uważnie. Niby od czasu ich rozstania niewiele się zmieniło, ale jednak. Palacz miał nie tylko nową fryzurę i dużo szczuplejsze ramiona, ale i cienie pod oczami zrobiły się jakby większe. – Dobrze wyglądasz.

Palacz przechylił kieliszek i z uwagą obejrzał puste dno.

– Nigdy nie umiałeś kłamać, Cis. Słabo sypiam.

– Ciągłe tracisz czas i pieniądze na zakładach? Może nadeszła pora, żebyś przejrzał na oczy i zrozumiał, że sport w necie to ustawka. Rzuciłbyś to w jasną cholerę i zaczął żyć jak normalni ludzie.

– Co ty tam wiesz, Cis. – Mirek poprawił się nerwowo na stołku. – To hazard. A hazard wciąga jak dobre dragi.

– Kiedyś popłyniesz.

– Trudno. – Palacz rozłożył ręce. – Może się nie utopię. Na razie udaje mi się wyrwać z tego trochę kasy. Jak spieprzę z wynikiem, to odkuję się za drugim razem. Poza siecią nie mam zbyt wiele radości w życiu. No a ty? Mam uwierzyć, że nagle zapragnąłeś mnie zobaczyć jak, nie przymierzając, stara ciotka na łożu śmierci?

Erwin wbił wzrok w poplamiony tłuszczem blat pod lustrem.

– Pamiętasz Izabelę?

Na wspomnienie najładniejszej dziewczyny, oczywiście poza jego zmarłą żoną, Palacz rozciągnął usta w uśmiechu:

– Nie rozśmieszaj mnie! Takich babek się nie zapomina.

– Izabela nie żyje.

Palacz podnosił do ust kolejną setkę wódki, ale jego ręka zatrzymała się w powietrzu. Odstawił kieliszek na blat. Na jego twarzy pojawił się ten szczególny rodzaj uśmiechu, jaki przytrafia się ludziom, którzy nie są pewni, czy słyszą nietrafiony żart, czy spadła na nich wiadomość o ciężarze skalnego głazu.

– Co?

– Izabela nie żyje.

Wciąż nie wierzył. Stropiony uśmiech zdążył już całkowicie zniknąć z jego ust.

– Kiedy?

– Sześć tygodni temu.

Palacz wymamrotał pod nosem jakieś przekleństwo.

– Jak?

– Kraksa. Zginęła na miejscu.

– Chryste... Cis, nie miałem pojęcia...

Erwin poruszył się nerwowo na stołku.

– Była dobrym kierowcą. Nigdy bym nie przypuszczał, że odejdzie w tak idiotyczny sposób.

Przez dłuższą chwilę przyglądali się bez słowa wchodzącym i wychodzącym ludziom. Rozgadane pary zdawały się nie widzieć świata poza swoim towarzystwem. Zajęci sobą nie czuli na plecach wbitych w nie dwóch par oczu.

– Niech jej się tam w górze... Pij! – Mirek przerwał ciszę i oderwał wzrok od tulącej się pary. Jego ręka z wódką powędrowała w górę.

Obaj przechylili głowy do tyłu. Gorzałka zapiekła w gardle. Erwin otarł usta ręką i odstawił na wpół pusty kieliszek.

– Byłem dziś na Północnym.

– Mogłeś dać znać, poszlibyśmy razem.

– Daj spokój, Palacz. Nie spotkałem się tu z tobą, żebyś mnie głaskał po główce. Potrzebuję informacji.

Mirek zrobił zdziwioną minę, co nie przeszkodziło mu sięgnąć jednocześnie po trzęsące się świńskie nóżki w galarecie.

– Informacji? Ode mnie? Stary, co ja mogę?

Erwin nachylił się w jego stronę, żeby uszu Palacza nie umknęło żadne z jego słów:

– Posłuchaj mnie uważnie. Izabela nie żyje. Nie wiem dlaczego, ale jej zwłoki spalono. Może to głupie, co powiem, ale... szukam dowodu na to, że to naprawdę ona była w trumnie. Rozumiesz?

Palacz patrzył na niego tępych wzrokiem.

– Nie masz pewności, że to ją skremowano?

– Mniej więcej. – Erwin wyprostował się na stołku, a następnie dodał: – Żadnej.

– Poczekaj, bo na trzeźwo tego nie ogarnę. – Palacz podniósł do ust kieliszek z niedopitą wódką. – A teraz mów bez ściemniania, o co ci chodzi?

Erwin streścił w kilku zdaniach to, czego dowiedział się od dnia przyjazdu. Pod koniec napomknął o wersji z samobójstwem, w które wciąż nie potrafił uwierzyć. Pominął szczegół związany ze storczykiem, żeby nie wyjść na naiwne dziecko. Mirek słuchał cierpliwie, nie przerywając mu ani słowem. Gdy Erwin postawił ostatnią kropkę, poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Pogięło cię? Takie historie się nie zdarzają. To Polska, kurwa, nie jakiś Dziki Zachód!

– Byłeś przy swojej żonie, prawda, Palacz? Byłeś przy niej, gdy umierała?

– O jedno cię proszę, Cis. Nie wyjeżdżaj mi teraz z moją żoną. Ja już swoje przeszedłem i nie chcę do tego wracać. Nie mam na to sił, rozumiesz?

Erwin kiwnął głową. Jasna sprawa, szanował cudze cierpienie.

– I byłeś przy tym, jak wsuwano trumnę z ciałem do pieca?

Palacz zakrył twarz rękami.

– Ja pier... Naprawdę musisz mi to robić?

– Muszę. A więc byłeś?

– Byłem. I, wierz mi, nie życzylibym najgorszemu wrogowi...

– Skąd wiedziałeś, że to ona?

Mirek sięgnął po kieliszek Erwina i wlał do gardła wódkę.

– Widziałem ją przed tym, jak ogień... Kurwa, Cis, to miał być miły wieczór!

– Nie obiecywałem ci ani kwiatów, ani orkiestry wesołych mariachi. Mów!

Gwar w pijalni narastał. Ludzie tłoczyli się po całym dniu pracy w biurach, bankach i stojącej nieopodal Giełdzie Papierów Wartościowych. Wszyscy wyglądali tak jak Palacz. Szare lub czarne garnitury, granatowe garsonki, teczki i laptopy. Warszawka odreagowywała kolejny korporacyjny dzień. Róg sali, w którym siedzieli, wydawał się jedynym intymnym miejscem, do którego nie docierał natłok skumulowanej frustracji.

– Gdybym wiedział, po co chcesz się ze mną spotkać, w ogóle bym nie przyszedł. Tak ci zależy, żeby mnie skopać? – Palacz pochylił się nad ostatnim kęsem nóżek w galarecie. Nadział je na widelec i połał octem. – Lubisz się znęcać nad ludźmi, co?

Erwin nie odpowiedział. Miał świadomość, że rany przyjaciela wciąż krwawią. Znał go aż za dobrze, żeby uwierzyć, że od śmierci żony żył w celibacie. Nigdy nie miał problemów z dziewczynami. On je lubił, a one rzadko kiedy się opierały. Były jak przejeżdżające przez jego życie tramwaje. Ale Joanna była dla niego święta. Jak Matka Boska. I dlatego wcale nie chciał rozdrapywać blizn ani posypywać ich solą. Naprawdę nie chciał. Po prostu musiał.

– Wiem, jak to zabrzmi, ale przynajmniej masz pewność, że osobą, którą pożegnałeś, była na pewno twoja żona. Ja chcę się tylko dowiedzieć, jak to działa, rozumiesz?

Palacz włożył do ust galaretę. Przeżuwał wolno. Widać było, jak sprężysty kawałek żelatyny wymieszanej ze skrawkami mięsa rośnie mu w ustach. W końcu przełknął i zagryzł chlebem.

– Umówmy się, że powiem to raz i nigdy więcej do tego nie wrócisz, OK?

– Znasz mnie przecież. Szanuję twoje uczucia, chłopie.

– Byłem wtedy sam – zaczął Palacz. – A właściwie byliśmy we dwoje. Ona i ja. To działo się w nocy, spalarnia chodzi całą dobę bez przerwy. Siedziałem na jakimś krześle i czekałem. Patrzyłem na trumnę. Najpierw zostawili ją otwartą, żebym mógł po raz ostatni... Potem zamknęli wieko. Widziałem, jak trumna z Joanną wjeżdża na metalowych szynach do miejsca, z którego już nie ma powrotu. To był koszmar. Jeszcze kilka minut wcześniej mogłem jej dotknąć, a zaraz potem... O co ci właściwie chodzi, Cis?! – Palacz przerwał i uniósł ręce jak ksiądz podczas błogosławieństwa. – Myślisz, że spalili nie tę osobę, co powinni? Na miłość



boską, przecież to wszystko jest nagrywane!

Barman, zaniepokojony nadmierną gestykulacją Palacza, ruszył, aby upewnić się, czy wisząca nad jego głową lampa wciąż trzyma się sufitu.

Erwin uspokoił wirujący klosz i zatrzymał go w półobrocie.

– Jesteś pewien?

– Czy ja cię kiedyś okłamałem, Cis? Najpierw się zastanów, a potem odpowiedz.

Kilka ponownych klepięć w ramię wyjaśniło sytuację. Palacz podniósł pusty kieliszek i stuknął nim o brzeg kieliszka Erwina.

– No. To nie chrzań na drugi raz. A teraz spadam, muszę zajrzeć do synków.

– Poczekaj. – Erwin złapał go w ostatniej chwili za rękaw marynarki. – Potrzebuję laptopa. Obojętnie jakiego, byle dało się odczytać pliki z pendrive’a.

– I co jeszcze? Skąd mam ci, do cholery, wytrzasnąć laptopa?!

– Choćby spod twojego biurka? Jeśli nie przerobiłeś swojej kolekcji komputerów na czołgi, wciąż masz tam niezły składzik. Cholerny gadzeczkarz z ciebie, Palacz. Mógłbyś obdzielić tymi gratami Pentagon.

– Sam nie wiem... Z laptopem jest jak ze szczoteczką do zębów.

– Wystarczy, że zahaszujesz swoje pliki, a będziesz mógł spać spokojnie. Nie interesuje mnie twoje domowe porno ani tym bardziej łzawa poezja, jaką piszesz po nocach.

– Skąd wiesz, że piszę poezję? – Twarz Palacza przybrała kolor cegły z muru wiejskiej remizy.

– Właśnie się o tym dowiedziałem. Poza tym, jak to mówią, masz to w oczach.

– Spierdalaj! Nic się nie zmieniłeś, Cis. Jesteś tak samo wrednie pokrecony jak kiedyś.

– Ja też miło o tobie myślę. Co do laptopa, nie bój nic, zapłacę za wypożyczenie. W życiu nie ma nic za darmo.

– No coś ty, Cis...

– Nadrobisz straty na zakładach. Przecież wiem, że ledwie dychasz.

– Nie jest ze mną aż tak źle. – Mirek przecesał palcami przeredzone włosy. – Jakoś daję radę, przecież jestem odpowiedzialnym człowiekiem. Znasz mnie...

– Znam, dlatego chcę zapłacić. Odezwij się, jak sprzęt będzie gotowy.

Argument kilku dodatkowych banknotów powoli robił swoje. Dwa stracone mecze czeskiej drużyny amatorskiej kosztowały Palacza parę stówek.

– Podaj adres. – Palacz po krótkim zastanowieniu wyjął z teczki długopis i na serwetce skreślił nazwę ulicy i numer domu. – Jeśli będę w okolicy, podrzucę. Jeśli nie, spotkamy się w Mecie. W każdym razie, dam znać. I żeby była jasność, robię to tylko ze względu na Izabelę. Choć może powinienem, tak jak ona, kopnąć cię w dupę.

– Taaa... – westchnął w zamyśleniu Erwin. – Może i powinienem, może dla nas wszystkich

tak byłoby najlepiej.

Róg Foksal i Nowego Świata tonął w wieczornym korku. Nic nie powiedzieli sobie na pożegnanie, silny uścisk dłoni całkowicie wystarczył. Przez chwilę Erwin patrzył, jak Palacz wskakuje do autobusu i odjeżdża w swoją stronę, po czym ruszył w kierunku parkingu przy Smolnej. Mimo wypitych procentów zapalił silnik swojego Thunderbirda i włączył się w sznur sunących pojazdów. W drodze do mieszkania Izzy myślał o słowach Palacza. Nagranie z krematorium wydawało się tym, na co liczył.

Jutro musi być w dobrej formie, żeby obejrzeć zapis z kamery. Na razie jednak kupił w osiedlowym sklepie przy Ptasiej kolejną butelkę whisky.

\* \* \*

Wcale nie pił dużo, nie mógł. Whisky ze sklepu była zbyt ciepła, żeby można ją było przełknąć bez odrazy.

Lodówka w mieszkaniu Izabeli była pusta, ale zamrażalnik już nie. Erwin zeskrobał nożem nieco lodu i wrzucił garść śniegu do szklanki. Lód w mgnieniu oka zmieszał się z whisky i tak samo szybko rozpuścił.

Za oknem zaczynała się szarówka, ale nie zapalił światła ani nie włączył gadającego telewizora. Po raz trzeci wysypał na stół zawartość koperty. Kartkę z napisanymi ręką Izzy słowami „Niech to wszystko już się wreszcie skończy” położył na rogu szklanego blatu. Chciał ją mieć przy sobie, choć nie zamierzał czytać jej od nowa. Tych kilka zdań wciąż wybrzmiewało w jego uszach jak niekończąca się mantra. Ostatnie myśli Izabeli, które chciała mu przekazać. Kogo się bała i dlaczego? Jeśli nie żyła, co podpowiadał zdrowy rozsądek i ogłosiła rodzina, to co pchnęło ją do tego, że wcisnęła gaz i skończyła z własnym życiem? Wyobrażenia podpowiadała mu obrazy, które sprawiały ból gorszy od samej myśli o tym, że już jej nie ma. Jeśli on sam bał się czegokolwiek we własnym życiu, to właśnie jej strachu. Przerżenia, któremu nie mógł zapobiec i przed którym jej nie ustrzegł. Nie próbował nawet tłumić w sobie poczucia winy. Chciał wręcz, by wżarło się pod jego skórę. Tylko wtedy mógł działać.

Ułożył na nowo wszystkie zdjęcia dziewczyn. Musiała je znać. Przyglądał się im po raz setny. Ładne, nie piękne, ale ładne. Wszystkie fotografie robione były na lekko zmodyfikowanym tle, ale na pewno w tym samym pomieszczeniu. Jedno tylko zrobiono na ulicy.

Za plecami Sandry o azjatyckich rysach dojrzał neonowy napis. Był lekko rozmazany, ale wciąż wyraźny. Panorama Club. Skopiował zdjęcie do swojej komórki. Nie wyszło zbyt ostro, blask żarówki z górnej lampy przeświecił połowę fotografii, ale rysy dziewczyny wciąż pozostawały widoczne, to było najważniejsze.

Po szybkiej ocenie własnego stanu trzeźwości Erwin wystukał w telefonie numer korporacji taksówkowej i zamówił kurs do centrum.

\* \* \*

Panorama Club nie należał do najtańszych. Mimo to przed wejściem kłębił się tłum młodych dziewczyn, rozgrzanych wypitym wcześniej drinkiem. Tuż za nimi w kolejce stała grupa dewizowych klientów.

Erwin znał zasadę. Porządny ubiór, żadnych dzinsów i nie daj Boże adidasów. Pełna kultura.

Stanął posłusznie w ogonku wijącym się wzdłuż barierok zrobionych z poustawianych metalowych słupków i przeciągniętej przez nie taśmy. Kolejka do wejścia skracala się wraz z kolejną pobraną przez śliczne kasjerki wpłatą i przytwierdzeniem kolorowej opaski na przegubie dłoni gościa. Odliczył trzydzieści złotych i wyciągnął rękę. Właśnie został dyskotekowcem-klubowiczem.

Winda na dwudzieste pierwsze piętro wieżowca wypchana była po brzegi. Mała, duszna, ale pilnie obserwowana przez dwóch typów z karkami szerokimi jak talia wiejskiej dziewczuchy.

Lekki szum w głowie, jaki czuł po wypiciu whisky ze śniegiem z zamrażalnika, spowodował, że zamiast patrzeć w podłogę, bez skrępowania wbił wzrok w mieszaną rasowo parę. Ona biała, on nie wiadomo jaki. Nie nasz, nieeuropejski. Ale pachnący najdroższą wodą kolońską świata, której nazwy nie znałaby nawet Simone. Kobieta wsunęła kochankowi dłoń do tylnej kieszeni spodni i wyszczerzyła zęby. Nieceuropejski nachylił się nad jej szyją i polizał mało dyskretnie skrawek skóry tuż nad śmiejącą się szczęką. Dla tej dwójki noc z pewnością zapowiadała się ekscytująco.

Winda dotarła na miejsce. Zbita gromada ludzi zaczęła wysypywać się na schody prowadzące do głównej sali. Stukot damskich obcasów odbijał się metalicznym dźwiękiem od żelaznych stopni. Przypominały schody zastępcze, jakie stawia się w cyrkach, żeby dostać się na wolne miejsce na ławce, nowoczesność i nietuzinkowość liczyły się tu jednak bardziej niż elegancja.

Erwin płynął za tłumem. Po postawieniu nogi na ostatnim ze stopni zrozumiał, za czym kłębiący się na dole budynku tłum stoi i płaci grubą kasę za sam wjazd.

Miał przed sobą wielką białą salę, białe kanapy i ściany jak z bajki o Królowej Śniegu. Mógł jednak na próżno doszukiwać się baśniowego klimatu. Klub pękał nie tylko od przewalającej się ludzkiej masy, ale i od ogłuszającej muzyki. A właściwie muzy, bo to lepiej określało dobywające się zewsząd brzmienie rozsadzające uszy.

Zaczął przeciskać się między podrygującymi ciałami. Nie wiedział jeszcze, dokąd idzie, ale szedł przed siebie, niesiony potokiem żądnych rozrywki klubowiczów. Mijał czyjeś twarze, do jego uszu dochodziły zaledwie urywki rozmów, głównie sylaby podpierane ruchami

gestykulujących rąk.

Kanapy były zajęte. Siedzieli na nich lub wisieli w rozkroku młodzi ludzie ze szklankami w rękach. Z czerwonymi od drinków szyjami i płonącymi policzkami. Warszawka i całkiem obcy. Tych rozpoznawał bezbłędnie, nie tylko po drogich ubraniach i zegarkach, ale i po spojrzeniu, jakim obrzucali tutejsze dziewczyny.

Podszedł do baru pośrodku sali, przeciskając się pomiędzy głowami i plecami stłoczonych ludzi. Zamówił shota, potem jeszcze kolejnego. Przechylił kieliszek jednym ruchem i oparł się plecami o barek.

– *Where are you from?* – Przesadnie chuda brunetka z doczepianym, długim do pośladków końskim ogonem wyrosła przed nim nie wiadomo skąd. Akcent miała wyrobiony całkiem nieźle, choć dałby sobie rękę uciąć, że poległaby w dalszej rozgrywce. Zagajenie miała jednak wypracowane na medal. Dziewczyna przechyliła głowę i spojrzała na pusty kieliszek Erwina. – *Would you buy me something to drink? I forgot my wallet.*

Skądś już to znał. Zagubiona w dzieciństwie siostra Palacza? Machnął ręką. Na barze stanęły dwa pełne kieliszki.

– *Are you alone?* – Dziewczyna stuknęła swoim kieliszkiem o jego i zamoczyła usta w alkoholu.

– Jak ci na imię? – Erwin nie miał zamiaru brnąć dalej w tę komedię.

Roześmiała się, pokazując zachodzące na siebie jedyńki.

– Sońka. – Dziewczyna dopiła shota. – Myślałam, żeś nie stąd. Sorki.

Wzruszył ramionami. Następna kolejka przezroczystego płynu przeleciała im przez gardła.

– Nie ma za co.

Erwin zapłacił za drinki i pociągnął dziewczynę w stronę zwisających z sufitu przezroczystych płacht materiału, które odgradzały rozbawioną salę od tarasu widokowego. Tu również huczało od ryku wydobywającej się z głośników muzyki house, ale przynajmniej można było delektować się widokiem zalanej światłami Warszawy.

Oparł się o szklaną barierkę i spojrzał na miasto. Lśniło feerią barw rzucanych przez uliczne latarnie, reflektory sunących w dole aut i okna wieżowców. Monumentalny Pałac Kultury błyszczał od setek zapalonych świateł. Musiał przyznać, że było pięknie.

Wciągnął w płuca świeże powietrze.

– Masz fajkę? – usłyszał koło ucha.

Sońka potarła dłońmi ramiona. Jej czarna, obcisła sukienka więcej odsłaniała, niż zakrywała. Noc była ciepła, ale gołe nogi i dekolt dopominały się o coś do przykrycia. Jako że Erwin nie dysponował drugą parą spodni ani dodatkową koszulą, musiał wystarczyć papieros.

– Często tu przychodzisz? – Podsunął dziewczynie zapalniczkę i zaraz potem sam przypalił sobie papierosa.

– Zależy, co to znaczy „często”. – Sońka przewróciła oczami i wypuściła dym nad jego głową. – Ze dwa, trzy razy w tygodniu. A bo co?

– Szukam kogoś.

– No to już znalazłeś. – Zachichotała i znów się zaciągnęła. Powiodła wzrokiem po siedzących w fotelach parach. – Tu wszyscy kogoś znajdują – dodała z pewnością w głosie.

Siedzący obok nich chłopak z nażelowanymi włosami nachylił się i poprosił Erwina o papierosa. Dostał jednego na odczepnego i wrócił do swojego towarzystwa.

– Szukam dziewczyny. Konkretniej – ciągnął dalej Erwin. Szansa na to, że czarnowłosa Sońka, stała bywalczyni Panoramy, zna tu wszystkie klubowiczki, była spora i nie zamierzał jej zmarnować. – Ma na imię Sandra. Ładna, wschodnie rysy.

– Sandra? – Zastanowiła się. – Nie przypominam sobie.

– Pomyśl. Lekko skośne oczy, ciemne włosy. Podobne do twoich.

– Chinka? Tu nie przychodzą Chinki.

– Poczekaj. – Erwin wyjął telefon z kieszeni spodni i odszukał zrobioną wcześniej fotografię. Na wyświetlaczu pojawiła się okrągła buzia Sandry. Prawą część policzka zalewało światło, które padło z lampy, kiedy robił zdjęcie. Mimo to bez problemu można było rozpoznać rysy twarzy. – To ona. Przyjrzyj się dobrze, widziałaś ją kiedyś?

Sońka skrzywiła się i znów pokazała nierówne zęby.

– Hm... Może tak, może nie. Tu kręci się dużo dziewczyn. Rotują. Nie znam wszystkich.

Erwin schował komórkę i rozejrzał się po falującym tłumie gości.

– Masz tu koleżanki?

– Może tak, może nie...

Chciał po dobroci, ale Sońka, podchmielona zaledwie dwoma drinkami po trzy dychy każdy, zaczynała bawić się tak dobrze, że zaczynało go to mierzwić.

– Posłuchaj mnie. – Erwin chwycił jej chude ramię na tyle delikatnie, żeby nie wzbudzać niepotrzebnej ciekawości grupki osób, które właśnie zasiadły na najbliższej minikanapie. – Dostaniesz stówę, jeśli powiesz, kiedy mogę ją tu znaleźć.

– Masz mnie za frajerkę?

– W euro. Przywiozę jutro, będę tu o tej samej porze.

Mętny wzrok Sońki nagle oprzytomniał i zatrzymał się na ustach Erwina. Potem szybko ześlizgnął się po jego ramieniu aż do nadgarstka.

– Daj zegarek. – Dziewczyna wyciągnęła otwartą dłoń. – Zwrócę, jak dostanę swoją dolę.

Na usta cisnęły mu się mało wybredne słowa, ale ugryzł się w język.

– Teraz to ty masz mnie za jelenia.

– Jak chcesz. – Sońka wzruszyła ramionami i odbiła się plecami od szklanej tafli barierki. Precisnęła się między rozbawioną grupką kolorowych gości i zniknęła w głębi klubu.

– Stój! – Krzyk Erwina przebił głosy na balkonie, ale nie dotarł do wnętrza pulsującej od muzyki sali.

Ruszył za dziewczyną, nie mógł stracić jej z oczu. W klubie, rozjaśnianym nikłymi pojedynczymi światłami laserów, widział tylko zarysy ludzkich sylwetek. Rozpłynęła się, wmieszała w tłum i zapadła pod ziemię.

Przepychał się, objijając o podrygujących ludzi o niebiańsko szczęśliwych twarzach. Nie zwracał uwagi na ruchy ich ciał, nie widział, jak dziesiątki męskich rąk szukają przypadkowej okazji do dotknięcia skrawka kobiecych pośladków lub piersi. Nie obchodziło go nic poza odnalezieniem długiego czarnego kucyka i czarnej obcisłej sukienki Sońki.

Dojrzał ją przy barze, wciśniętą między dwóch śniadych dżentelmenów. Obok niej stała dziewczyna mocno przed dwudziestym rokiem życia, w sukience podobnej do tej, którą miała na sobie Sońka. Mała czarna z dużym dekoltem. W ogóle niewiele się od siebie różniły, chyba tylko tym, że ta druga była szczęśliwą posiadaczką biustu nieujarzmionego stanikiem, a mimo to sterczącego jak u Barbie i bezczelnie niepoddającego się sile grawitacji. Takie cuda nie przytrafiają się nawet osobom w jej wieku, pomyślał Erwin.

Sońka ze zblazowaną miną wlewała w siebie kolejnego tej nocy sponsorowanego drinka. Towarzystwo mężczyzn musiało ją nudzić, bo odwrócona w stronę wejścia przyglądała się wciąż napływającym nowym gościom Panoramy.

Stał na linii jej wzroku tak, że nie mogła go nie zauważyć. Podniósł do góry ręce i bez słowa odpiął srebrną bransoletę swojego Longinesa za pięćset euro. Sońka z uśmiechem przeprosiła znajomych i już po chwili stała obok. Wsunął jej zegarek do ręki.

– Chodź za mną – powiedziała mu do ucha i ruszyła do wyjścia. Wmieszali się w stłoczoną grupkę czekającą na windę.

Dwudzieste piętro wieżowca nie było tak oblegane jak taneczna sala poziom wyżej. Było tam też znacznie ciemniej, lampy przygaszono, a z głośników sączyła się spokojniejsza muzyka.

Przy barze z podświetlanego onyxu siedziało kilka osób odwróconych przodem do sali. Pod niszami po przeciwnej stronie parkietu zmysłowo wiły się zawodowe tancerki w lateksowych strojach. Miły widok, ocenił Erwin i zawiesił wzrok na wirujących biodrach jednej z dziewczyn.

– Zamów coś do picia i poczekaj. – Sońka wyrwała go z zapałania. Wskazała pusty stolik i wolną kanapę. – Zaraz wrócę.

Po minucie dwie czyste wódki stanęły obok siebie na niskim stoliku. Erwin usiadł tak, aby móc obserwować to, co dzieje się pod ścianą. Muzyka była wolna, wraz z nią w zwolnionym rytmie poruszały się ciała tancerek. Nie utrzymywały kontaktu wzrokowego z gośćmi. Były obce, zimne, niedostępne. Do popatrzenia, nie do rozmowy czy wspólnego wyjścia z klubu.

Erwin upił połowę wódki. Mieszanina alkoholu po całym dniu robiła swoje, mimo to starał

się koncentrować na tym, po co tu przyszedł. Potrząsnął głową, przywołując się do porządku. Oczy mimowolnie biegły jednak w kierunku wąskich, białych opasek, jakie miała na sobie jedna z tancerek. Jej krągłe biodra przywoływały wspomnienia Izzy. Miała w sobie dwieście procent kobiecości, tak jak ona.

Odczekał kilka kolejnych minut. Odruchowo spojrzął na przegub ręki, a następnie w kierunku drzwi, w których zniknęła Sońka wraz z jego zegarkiem. Zamknął na chwilę piekące ze zmęczenia oczy.

Ocuciło go szarpanie za ramię. Przed nim stała Sońka z dziewczyną ubraną w biały lateksowy strój. Pod blond peruką i grubą warstwą makijażu trudno było ocenić, czy jest ładna, czy brzydka. Ciało miała bardzo młode i jędrne, co do tego nie miał wątpliwości.

– To jest Roxy. – Sońka pochyliła się tuż nad jego uchem. – Mamy mało czasu, zaraz nastąpi zmiana tancerek. Masz dwie minuty.

Erwin czuł, jak sala wiruje mu przed oczami. Podciągnął się na kanapie i wyjął z kieszeni telefon. Palce miał jak z ołowiu, zbyt wolno przesuwają ikonki.

– Szybciej! – warknęła Sońka i niespokojnie poruszyła się na swych chudych nogach.

Menu, katalog ze zdjęciami, ostatni zapisany obraz. Buzia Sandry po raz kolejny ukazała się na wyświetlaczu. Wyciągnął rękę, zbliżając komórkę do twarzy Roxy.

– Tak, to ona. – Roxy kiwnęła głową. – Ze trzy miesiące temu przyprowadził ją taki jeden. Ją i jeszcze jedną. Ta druga zniknęła po tygodniu, ale Sandra przychodziła nadal. Najpierw codziennie, potem coraz rzadziej. W ubiegły piątek widziałam ją po raz ostatni.

– Była wtedy sama? – spytał Erwin.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Takie jak ona nigdy nie są same. Tu lubi się egzotykę. A Sandra była nietypowa, nie dość, że ładna, to i miała czym oddychać. Ale tak jak mówiłam, od tygodnia nie pokazała się w klubie.

– Masz jej numer?

– Jasne, może jeszcze prywatny adres i pesel! Na dodatek znam jej matkę i datę urodzin psa. Skąd ty żeś się urwał?!

Erwin rzucił Sońce wściekle spojrzenie. Nie po to ogołocił rękę z cennego zegarka, żeby robić z siebie wariata. Zrozumiała i szepnęła przyjaciółce parę słów do ucha. Roxy wydeła usta i wyróciła zawodowo oczami. Wyjęła zza stanika telefon, żeby wpisać do kontaktów nazwisko Erwina. W marnym świetle przygaszonych lamp zauważył, że na odwrocie ma nalepioną naklejkę z Myszką Miki. Głupie, dziewczynskie przyzwyczajenie, żeby oblepiać wszystko infantylnymi rysunkami. Że niby wciąż są takie niewinne?

– Albo nie. – Roxy schowała komórkę na swoje miejsce za stanikiem. – I tak nie zapamiętam, że ty to ty. Mam w telefonie za dużo kontaktów, nie kojarzę już nazwisk z twarzami. Wolę wizytówkę. Zadzwoń do ciebie raz i potem wyrzucę. – Wyciągnęła rękę. – No, dawaj, bo nie

mam czasu tak tu z wami sterczeć przez cały wieczór. Wizytówka.

Erwin wyjął z portfela kartonik z napisem „Sense of your Life” i położył na otwartej dłoni. Dziewczyna przyjrzała się numerowi z niesmakiem.

– Kierunkowy na Niemcy? OK, niech stracę. Dam znać, jak ją namierzę.

Wsunęła wizytówkę za lateksowy pasek, który opinał jej piersi, i odeszła tanecznym krokiem w kierunku niszy pod zasłoniętym oknem. Piękność z krągłymi biodrami zgrabnie zeskoczyła z podestu i złożyła na pożegnanie pocałunek na ustach Roxy.

Spod baru dobiegły oklaski i pełen aprobaty przeciągły gwizd miłośników tańca jakże mało klasycznego i na pewno niemającego wiele wspólnego z towarzyskim.

\* \* \*

Dochodziła czwarta nad ranem, kiedy Erwina obudziło światło padające z łazienki. Oczy piekły niemiłosiernie. Poruszył powiekami, próbując skoncentrować myśli na tym, czy powinien wstać i zgasić żarówkę, czy dać sobie spokój. Dwie sekundy zastanowienia zdecydowały, że przekręcił się na bok i odpłynął.

– Halo! H a a l o! To ty, Roxy?

Piskliwy głos wkręcał się w głowę Erwina jak ostrze dentystycznego wiertła. Zasłonił uszy poduszką, ale głos nie ustawał. Po chwili poczuł szarpanie za kołdrę.

– Otwórz oczy. No już. Nudzi mi się!

Powoli przytomniał. Za oknem dawno wstał dzień.

Sońka siedziała na brzegu łóżka, zawinięta w szlafrok Izzy, z kubkiem herbaty w ręku i turbanem na głowie.

– Co ty tu...?

– Ledwie wybełkotałam adres, kiedy wsadzałam cię do taksówki. – Dziewczyna poprawiła turban na głowie i zasłoniła wychylające się spod szlafroka wciąż niewykształcone piersi. – Nie mogłam cię przecież zostawić na środku ulicy. Podziękuj mi ładnie za dobry uczynek. Poza tym wisisz mi kasę.

Erwin podciągnął się na materacu i odruchowo podniósł kołdrę. Był nagi jak święty turecki. Slipki leżały pod łóżkiem razem z resztą ubrania.

– Czy my...?

– Amoroso od siedmiu boleści! – Sońka poprawiła swoją poduszkę i wyciągnęła nogi tuż obok niego. Potarła o siebie stopami. Jej buty na koturnach musiały być wygodne jak skarpety z gwoździ, bo na palcach miała poprzyklepiane plastry. Z pomalowanych na czerwono paznokci odprysnął lakier. Musiała zauważyć, że Erwin przygląda się temu eleganckiemu widokowi, bo ze



wstydem schowała obie nogi pod kołdrę. – Jasne, że nie! Po tym, co w siebie wlałeś, ledwie trafiłeś do drzwi. Musiałbyś być Casanovą na podwójnej viagrze, żebyś mógł trafić w...

– OK, daruj sobie! Z kim rozmawiałaś z mojego telefonu? Kto dzwonił, Roxy?

Sońka pokręciła głową.

– Nikt się nie odezwał, pewnie pomyłka.

Wolał sam sprawdzić. Oczy wciąż nie mogły złapać ostrości, ale to, co w końcu zobaczył, było jak smagnięcie batem po krzyżu.

Kierunkowy +49. Dzwoniła Simone.

\* \* \*

Simone Cis, z domu Lang, odłożyła słuchawkę telefonu i stała przez chwilę nad kuchennym zlewem, zanim trzasnęła filiżanką o jego brzeg. Odłamki szkła z resztkami porannej herbaty rozprysły się tuż przed jej twarzą. Odruchowo zacisnęła powieki, ale jeden z odprysków zaciął ją w policzek. Potarła go ręką. Na wierzchu dłoni zobaczyła rozmazaną kroplę krwi.

Był z nią. Nie miała już żadnych wątpliwości, że spakował torbę, odpalił ten swój parszywy motocykl i pojechał do Izabeli. Nie widziała jej ani razu, nie miała pojęcia, kim jest ta druga. Nie znała szczegółów ich wspólnej przeszłości, ale wystarczyło, że pamiętała jej nazwisko. To samo, które usłyszała podczas rozmowy odtworzonej na telefonie Erwina. Nienawidziła dziewczyny, która wciąż była w ich związku tą trzecią. Może gdyby się kiedyś spotkały, zmieniłaby o niej zdanie. Chociaż nie, lepiej, że do tego nie doszło. Nie poszłyby razem na kawę. Mogłaby co najwyżej zacisnąć palce na szyi tej, która kradła każdą wolną myśl jej męża.

Pośliniła urwany kawałek papierowego ręcznika i przyłożyła go do policzka. Rana nie była wielka, ale Simone miała wrażenie, że sięga bardzo głęboko. On był tam z nią. Blisko, tak jak dawniej.

Karl spał w jej dawnym pokoju jak aniołek. Matka nie wyrzuciła jej panińskiego łóżka, mimo że od wyprowadzki Simone minęło tyle lat. Nie zmieniła w pokoju nic. Stół, przy którym odrabiała lekcje, nie przesunął się ani o centymetr. Na ścianie wciąż wisiały stare makatki i zdjęcia Madonny z czerwcowego koncertu w 2001 roku. Simone miała wtedy piętnaście lat i to była jej pierwsza samodzielna podróż do Berlina. Pojechały we dwie, z nieodłączną Leni.

– Śpi? – usłyszała za plecami głos Gudrun Lang. Kobieta z rozrzwinięciem zerknęła na otulonego snem wnuka, po czym odwróciła się w stronę córki. – A to co? Co ci się stało w policzek?

– Zadrapałam się niechcący. – Simone skierowała twarz w stronę ściany. – Jak przeschnie, zakryję pudrem.

Gudrun wychwyciła rozdrażnienie w jej głosie. Znała ten ton, opryskliwy, mówiący ni mniej,

ni więcej jak „daj mi święty spokój”.

– Co zamierzasz zrobić?

– Jeszcze nie wiem, ale nie zostawię tak tego.

Simone zamknęła pokój i ruszyła w stronę kuchni. Zatrzymała się na chwilę w przedpokoju, żeby zobaczyć w lustrze, czy może już przypudrować zadrapanie. Rana na policzku powoli przysychała.

– Małżeństwo to święta rzecz. – Gudrun stanęła za plecami córki.

– Jak widać, nie dla wszystkich.

– Przecież go nie zabijesz. – Głos Gudrun miał zabrzmieć żartobliwie, lecz tak się nie stało. Powinna ugryźć się w język, ale było już za późno. Zobaczyła w oczach córki niepokojący błysk.

– Simone, nie zrobisz przecież żadnego głupstwa!

Twarz, którą znała od trzydziestu lat, nagle wydała jej się obca. Odbijający się w lustrze uśmiech Simone był nienaturalny.

– Ja nigdy nie robię głupstw. Wszystko odbędzie się dokładnie tak, jak powinno. Nie będzie żadnych pomyłek i żadnego przypadku.

Gudrun patrzyła bez słowa, jak Simone wyjmuje ze swojej torby puderniczkę i nabiera na gąbkę grubą warstwę pudru. Przycisnęła ją do twarzy i dokładnie roztarła kosmetyk w okolicy rozcięcia skóry.

– Najważniejsze, żeby nie został ślad. Jak sama widzisz, wszystko da się zatuszować. – Już nie uśmiechała się do swojego odbicia. Oczy Simone były zimne jak lód.

\* \* \*

– Idź już. – Erwin zasłonił nagie ciało prześcieradłem i zsunął stopy z łóżka. Sięgnął do torby i wyjął z niej zielony banknot. – Zabieraj swoje sto euro i spadaj. Jak wyjdę z łazienki, ma cię tu nie być.

Ledwie przytrzymywany szlafrok frotté zsunął się z piersi Sołki i zatrzymał na wysokości pępka.

– Było ci ze mną aż tak źle?

Erwin cofnął się od progu. Podniósł z podłogi sukienkę i zarzucił jej na szyję tak, że zakryła klatkę piersiową dziewczyny. Nie podniecała go jej nagość. Miał ją na wyciągnięcie ręki, ale nie mógł się przemóc, żeby choćby spojrzeć na bezwstydnie sterczące sutki. Miała biust nastolatki, który kręci większość mężczyzn. Jędrny i prężny. Mimo to ani on, ani płaski brzuch i wąska talia nie były go w stanie sprowokować do tego, aby spędzić z tą dopiero co poznaną dziewczyną kolejnych kilka godzin. Nawet dodatkowy kwadrans.

Zamknął się w łazience i odkręcił kurek w wannie. Zanim wypełniła się do połowy wodą,

miał już dokładnie ogoloną twarz i wyszczotkowane zęby.

Zanurzył się po czubek głowy. Zapadła cisza.

Otworzył oczy. Woda poruszała się w wannie, załamywała i zniekształcała obraz. Widział światło lampki nad umywalką, szare plamy ściennych szafek i biały sufit.

W płucach powoli zaczynało brakować powietrza. Wynurzył się i przesunął dłońmi po ociekających wodą włosach. Pięć metrów kwadratowych łazienki wypełniło się parą. Patrzył, jak osiada na lustrze i kafelkach, a potem jak pojedyncze krople suną wzdłuż śliskich powierzchni do dołu, aby zaginąć gdzieś w okolicy podłogowej fugi. W myślach wciąż odsuwał moment, w którym będzie musiał stawić czoło najgorszemu koszmarowi swego życia. Nie był na to gotowy, jeszcze nie teraz. Może za godzinę albo dwie. Ale jeszcze nie teraz.

Minuty biegły jedna za drugą. Woda w wannie stawała się coraz chłodniejsza, aż całkiem wystygła. Nie czuł tego. To nie miało żadnego znaczenia. Jego myśli krążyły wyłącznie wokół wizyty w krematorium.

Nie mógł iść tam w wyświechtanych dżinsach i podkoszulku, nawet jeśli miał naszywkę od Ralphi Laurena. Zrobiłby z siebie pośmiewisko. A właściwie nie z siebie. Ośmieszyłby Izabelę i jej śmierć.

W sportowej torbie znalazł płócienne czarne spodnie i popielatą koszulę zapinaną na guziki. Mokasyny, które miał wczoraj na nogach podczas wyprawy do Panorama Club, leżały pod łóżkiem.

Czuł każdą komórką skóry, że poci się mimo zakończonej pół godziny temu kąpieli. Jakby znalazł się na pustyni w samo południe. Wypił duszkiem szklankę wody i zamknął za sobą drzwi mieszkania.

\* \* \*

Szedł pustym korytarzem. Echo stawianych kroków odbijało się od ścian i rozsadzało mu uszy. Tak naprawdę miękkie mokasyny nie wydawały niemal żadnego dźwięku, ale Erwin słyszał je, jakby ktoś podłączył do podeszew wzmacniacze i głośniki.

Wolałby nigdy nie przekraczać progu tego posępnego budynku, głuchego i pustego, gdzie z każdego kąta dobywał się zapach śmierci. Gdyby ktoś powiedział mu jeszcze tydzień temu, że znajdzie się tu z powodu Izzy, połamałby mu żebra za głupie żarty. Tak byłoby, gdyby nie telefon od Nawrockiego i żółta koperta z napisem „Szukać do skutku”.

Stanął przed drzwiami z tabliczką „Kancelaria”. Jeśli kiedyś, w czasach studenckich, zdawało mu się, że wejście na salę egzaminacyjną to stres graniczący z zawalem serca, teraz mógł odbierać tamte chwile jak dziecinną zabawę, nic nieznaczącą igraszkę.

Nacisnął klamkę i wszedł do środka. W pokoju siedziała ta sama kobieta co poprzednio. Wyglądała jednak nieco inaczej. Zapewne z powodu zbyt mocnego makijażu, jakie rzadko spotyka się w takich miejscach jak cmentarz. Być może po zakończonej pracy wybierała się do kina czy kawiarni. Jej sukienka też była elegancka, na szyi wisiał srebrny łańcuszek z kryształową zawieszka.

Kobieta pochylała się nad plikiem rachunków za pogrzeby, które już dawno temu powinna była rozliczyć z ZUS. Na widok Erwina podniosła głowę znad papierów i wyprostowała plecy.

– Poznaje mnie pani? – Erwin zamknął za sobą drzwi i usiadł po drugiej stronie stołu.

Kobieta odsunęła na bok kwity i splótła ręce na blacie biurka.

– Jakżeby inaczej, mam dobrą pamięć do twarzy. Znalazł pan to, czego szukał?

– Tak. Nie spodziewałem się jednak, że osoba, o którą pytałem, została spopiłona.

– Powinam pana o tym uprzedzić, zapewne miał pan kłopot ze znalezieniem płyty z nazwiskiem. Nie wszyscy ludzie przywykli do takiej formy pochówku, ale cóż, teraz taka moda. Kiedyś to było nie do pomyślenia, żeby palić zwłoki, ale świat idzie do przodu. To jakiś problem?

– Żaden. A właściwie owszem. Chciałbym zobaczyć nagranie z kremacji.

– Nagranie? – Kobieta przyjrzała mu się z niedowierzaniem.

– Zapis z kamery.

– Rozumiem, o co panu chodzi, ale... sama nie wiem. Nagrania udostępniamy tylko rodzinie, a pan...

– Miała być moją żoną. – Erwin zacisnął dłonie na kolanach.

– Tym bardziej nie powinien pan tego oglądać.

– Powinienem. Nie było mnie na pogrzebie. Chcę się pożegnać ze zmarłą, choćby w ten sposób.

– Po co to panu? – Kobieta przechyliła głowę na bok. – Zadręczanie się takimi widokami nikomu nie wychodzi na dobre. Ludzie odchorowują takie rzeczy. Zwłaszcza zakochani. Lepiej tego nie rozdrapywać.

Erwin spojrział na jej spokojną twarz. Cienkie linie zmarszczek wokół oczu pogłębiały się, gdy wspominała o śmierci. Sądząc po wyglądzie, mogła mieć około sześćdziesięciu lat i pewnie pracowała tu na tyle długo, aby sprawy związane ze zmarłymi stały się dla niej czymś powszednim. Mimo to w jej gestach i tonie głosu wciąż pobrzmiwały wrażliwość i współczucie.

– Czy jest pan pewien, że chce to zobaczyć?

Kiwnął głową. Zmarszczki wokół oczu kobiety rozprostowały się.

– Dobrze więc. Niech pan poczeka. Najlepiej na zewnątrz, to trochę potrwa. Zawołam pana, jak znajdę nagranie.

Erwin opuścił kancelarię i ponury korytarz. Wyszedł przed budynek i usiadł na krawężniku. Sięgnął po papierosa. Dym wypełnił pusty żołądek i ścisnął go jeszcze bardziej.

Przez główną bramę zaczęli wchodzić ludzie z kwiatami i wieńcami. Obserwował, jak idą w ciszy do kaplicy, nie zamykając za sobą drzwi. Zaraz zaczęły bić w dzwony, pomyślał i spojrzał w bezchmurne niebo.

Wypalił kolejnego papierosa, podwójna dawka nikotyny wywołała w ustach gorzki posmak. Przełknął ślinę, broniąc się przed splunięciem pod nogi wprost na poświęconą ziemię.

– Niech pan wejdzie – usłyszał głos za plecami. Kobieta z kancelarii otworzyła drzwi i puściła go przodem.

Usiadł na tym samym krześle. Przed nim, na stole, stał przygotowany plastikowy kubek z wodą mineralną.

– Może coś na uspokojenie?

– Nie trzeba. Zaczynajmy.

Plik otwierał się powoli. Na dole ekranu widniała data 13.05.2015. Tuż obok wyświetlała się godzina. Erwin zacisnął spoczone dłonie i skoncentrował się na obrazie.

Sala wyłożona była jasnoszarymi kafelkami. Przez podłogę w tym samym kolorze biegły czarne przewodnice aż do ściany, w której były zamontowane otwory z niszami okolonymi srebrnym metalem.

11:30:05

Nieruchomy obraz. Zamknięta trumna postawiona na przewodnicach. Właz do niszy zamknięty.

11:32:13

Ktoś podszedł do maszyny i nacisnął przycisk. Właz rozsunał się niemal bezszelestnie.

11:33:21

Trumna drgnęła i zaczęła powoli sunąć po przewodnicach wprost do czeluści niszy.

11:34:11

Skrzypnięcie gdzieś z głębi sali.

11:34:58

Trumna zatrzymała się tuż przed włazem.

Kobieta zatrzymała odtwarzanie.

– Co się stało? – Erwin oderwał oczy od monitora.

– Zdarza się, że bliscy chcą dostać od nas kilka dodatkowych chwil na pożegnanie. Tak bywa, to przecież ludzkie. Uznałam, że pan również potrzebuje czasu, zanim trumna zniknie.

– Bliscy? Przecież na nagraniu nie ma nikogo poza operatorem sprzętu. – Erwin nic z tego nie rozumiał.

– Myli się pan. – Palec ze złotą obrączką wskazał miejsce w lewym górnym rogu monitora. – Niech się pan przyjrzy. To przeszklone miejsce przeznaczone jest dla bliskich zmarłego. Małe pomieszczenie z widokiem na salę i trumnę, zanim ta wjedzie do spalarni. Pańską narzeczoną też ktoś żegnał.

Erwin wyteżył wzrok, próbując rozpoznać postać za szybą. Drobna kobieta, a właściwie dziewczyna, siedziała nieruchomo, ubrana w czarną bluzkę z długimi rękawami. Jasne włosy, rozsypane na ramionach, odcinały się od czerni ubrania. Głowę miała spuszczoną, jakby chciała uniknąć oka kamery. Nie musiała się szczególnie wysilać. Rozrzucone włosy zasłaniały niemal całkowicie jej twarz, nie dając szans na rozpoznanie rysów.

– Proszę włączyć odtwarzanie – powiedział, nie odrywając wzroku od postaci za szybą.

Obraz znów się poruszył, zegar zaczął wyświetlać biegnące sekundy.

11:35:20

Trumna ruszyła ponownie na prowadnicach i zniknęła za metaliczną ramą wjazdu. Ten zatrzasnął się za nią, wydając cichy chrzęst.

11:35:31

Postać na monitorze wstała z krzesła.

Teraz widział ją w całości.

– To ktoś z rodziny zmarłej? Zna ją pan?

Dziewczyna z ekranu stała przez chwilę bez ruchu, wpatrzona w miejsce, w którym przed chwilą zniknęła trumna. Obróciła się, żeby zrobić krok w stronę wyjścia, i wykonała gest, który sprawił, że Erwin wstrzymał oddech. Wystudiowany ruch ręką odgarniający włosy z twarzy znał zbyt dobrze, żeby mieć jakiegokolwiek wątpliwości.

– Tak. Znam ją – odpowiedział i potarł mokre od potu czoło.

Czuł się tak, jak czuje się zwierzę w potrzasku. Złapane we wnyki z na wpół roztrzaskanym kręgosłupem. Ni żywe, ni martwe, z wciąż otwartymi oczami i płucami pompującymi powietrze, wciąż ślepo wierzące, że to jeszcze nie koniec

To była ona. Izabela. Przyszła na swój własny pogrzeb. Siedziała za szybą i patrzyła, jak trumna wjeżdża do komory, gdzie tysiąc dwieście stopni miało za chwilę spalić czyjeś ciało w niespełna dwie godziny. Potem wstała i wyszła, nie oglądając się za siebie.

Jej sylwetka, gest odgarniający włosy z twarzy, wszystko się zgadzało. Żyła. Izzy żyła.

A jeśli to tylko iluzja? Jeśli na krześle za szybą siedział ktoś łudząco do niej podobny? Zapis pochodzący z kamery nie był idealny. Nie, to niemożliwe, żeby nie rozpoznał Izabeli.

To musiała być ona, to na pewno ona...

Do mieszkania przy Ptasiej wrócił z reklamówką, w której była paczka parówek i pokrojony chleb.

Ten dzień nie trwał długo. Zanim Erwin położył się na łóżku Izabeli, opróżnił do połowy kupioną wczoraj butelkę whisky i zamknął oczy. Pod powiekami wciąż miał ten sam widok. Zatrzymany w kadrze obraz blondynki i gest niepodobny do innych. Odtwarzał go raz po raz, w nieskończoność.

Przed trzecią po południu odpłynął szybko i bezboleśnie. Właśnie tego chciał.

\* \* \*

Obudził go hałas. Odgłos tępych uderzeń rozchodził się w jego głowie i wwierał w uszy. Spojrzał odruchowo na przegub ręki, na którym znów połyskiwał odzyskany zegarek. Wskazówki pokazywały pierwszą trzynastą.

Usiadł na materacu i rozejrzał się po ciemnym pokoju. Uderzenia powtórzyły się. Drzwi.

Czucie w nogach wracało, ale kroki wciąż były chwiejne. Ruszył do przedpokoju i przekręcił zasuwę.

Na wycieraczce stała Sońka. Miała na sobie tę samą sukienkę, w której Erwin zobaczył ją poprzedniej nocy w klubie. Tylko wzrok miała inny, dziki i wystraszony.

Odsunął się i wpuścił dziewczynę do środka. Dygotała na całym ciele. Światło padające z korytarza obnażyło rozmazany tusz wokół oczu i blade policzki.

– Roxy... ona nie żyje – wyszeptała i przywarła do Erwina całym ciałem.

Objął ją ramieniem i zamknął za nią drzwi. Chciał włączyć światło, ale powstrzymała go ruchem ręki.

– Nie zapalaj, niech będzie ciemno. Po prostu bądź ze mną. Ja... boję się, Erwin. Tak bardzo się boję...

Nie liczyli upływającego czasu, leżeli na łóżku zwróceni do siebie twarzami i nie mówili ani słowa. On, cichy wspólnik świetnie prosperującej firmy w centrum Hamburga, i dziewczyna z nocnego klubu, którą poznał dwadzieścia cztery godziny temu. Różniło ich wszystko. Wiek, to, kim byli oraz jak zarabiali na życie. Łączyło jedno: Izzy.

– Jak umarła? – Erwin spojrzał na rysujący się w ciemności kontur ramienia Sońki. Wiedział, że nie śpi, choć do świtu brakowało jeszcze dwóch godzin.

Poruszyła się niespokojnie i usiadła na łóżku. Oparła się plecami o ścianę i wyciągnęła stopy na kołdrę.

– Wypadek. Wpadła pod samochód.

– Gdzie?

– Pod klubem. Skończyła swój występ i wracała do domu. Wyszliśmy z Panoramy razem, Roxy wybiegła na ulicę. Usłyszałam pisk opon. Podbiegłam do niej, ale nie dawała znaku życia. Pogotowie przyjechało po kilku minutach, ale Roxy już nie oddychała. Widziałam, jak pakują ją do plastikowego worka. To stało się na moich oczach, Erwin. Byłam tam, stałam kilka kroków od tego okropnego miejsca. Potem uciekłam.

– Co z kierowcą?

– Odjechał. Nawet się nie zatrzymał.

– Widziałaś, kto siedział za kółkiem?

Sońka odwróciła się do Erwina plecami, tak że w mdłym świetle nocy widział jedynie wystające przez skórę pojedyncze zębra.

– Nie potrafię sobie przypomnieć ani kierowcy, ani marki samochodu. Było ciemno. Widziałam tylko, jak Roxy odbija się od maski auta. Nawet nie zdążyła krzyknąć, słyszałam tylko ten głuchy dźwięk, a potem... potem leżała już na jezdni. To było takie straszne... Gdybym tylko wiedziała, że rozmawiam z nią po raz ostatni, wtedy, gdy zjeżdżałyśmy windą...

Na dnie butelki było jeszcze trochę alkoholu, starczyłoby na kilka łyków. Erwin wymacał stojącą pod łóżkiem szklanekę i napełnił ją do połowy.

– Masz. – Podał Sońce alkohol. – No, pij. To cię uspokoi.

Odwróciła głowę w drugą stronę.

– Nie chcę. Daj lepiej zapalić.

Płomień zapalniczki błysnął w ciemności i po chwili dwie smugi dymu uniosły się pod sufit.

– Nie wrócę tam więcej. Panorama to przeklęte miejsce.

Sońka rozejrzała się za popielniczką. Pod ręką była tylko butelka z resztką whisky. Erwin opróżnił ją kilkoma łykami i podał dziewczynie. Trudno było trafić, ale po dwóch próbach popiół wpadł prosto do szklanej szijki.

– Mądrze powiedziane – przytaknął Erwin. – Na pewno nie dla ciebie.

– Znajdę inny klub. Mało to ich w Warszawie?

– Nie to miałem na myśli. Ile ty w ogóle masz lat?

– Wystarczająco dużo, żeby o siebie zadbać. – Sońka wzięła macha.

– Czyli?

– Daj mi spokój, Erwin, dobrze? To nie jest dobry moment na odpytywanie mnie z życia.

– Jak chcesz. – Erwin szybkim gestem zabrał jej papierosa i wrzucił do butelki. Sięgnął po telefon, światło wyświetlacza rozjaśniło skrawek pokoju.

– Co robisz? – Sońka nachyliła się nad jego ramieniem.

– Zamawiam ci taksówkę.

Z głośnika komórki dobiegł zajęty sygnał. Erwin wybrał numer ponownie, ale dźwięk się nie zmienił.



– Mam stąd iść? – Pełen żalu głos dziewczyny przedarł się przez ciemność. – Właśnie teraz, kiedy potrzebuję przyjaciela?

– Nie możesz przecież zostać tu na całą noc.

– Bo masz mnie za...

– Za nikogo cię nie mam. – Erwin przerwał jej w pół zdania. Kątem oka zauważył, jak ramiona Sońki nagle kurczą się w sobie. – Źle się wyraziłem, nie o to mi chodziło. Ktoś przecież na ciebie czeka, masz jakiś dom, prawda? Będą cię szukać, a ja nie chcę więcej kłopotów. Te, które mam, wystarczą mi w zupełności.

– Nikt za mną nie tęskni, możesz być spokojny. A kłopoty? Nie wiem już, jak świat wygląda bez nich. – Sońka się zadumała. – Cokolwiek by mówić, życie nauczyło mnie, jak je rozwiązywać. Pomogę ci we wszystkim, Erwin, wystarczy, że nie każesz mi się stąd wynosić.

– Chcesz się tu wprowadzić? Zanim dorobię ci komplet kluczy, może najpierw spytam swoją żonę, co ona o tym myśli. Na pewno się ucieszy i zrozumie.

– Masz żonę? – zareagowała natychmiast.

Erwin zbyt pochopnie wspomniął o Simone. Tak naprawdę sam nie wiedział, czy będzie chciała go jeszcze oglądać po tym, co zaszło w Hamburgu. Ani tego, czy Sońkę rzeczywiście interesuje jego małżeństwo, czy pyta tylko po to, żeby zakotwiczyć się w mieszkaniu Izzy.

– Jeśli ktoś ma żonę, po co pojawia się w takim miejscu jak Panorama? – Sońka zmieniła szybko temat, wyczuwając jego zawahanie. – Kogo ty właściwie szukasz, Erwin? Nie uwierzę, że chodzi ci o którąś z nas.

– Kogoś, kogo najprawdopodobniej nigdy nie znajdę – odpowiedział bez namysłu.

– Jeśli się dobrze poszuka, zawsze jest szansa.

– Obawiam się, że nie tym razem.

– Może ją znam? – Sońka zatoczyła rękami koło w powietrzu. – Znam wielu ludzi.

– Skąd wiesz, że to „ona”?

Sońka uśmiechnęła się smutno.

– Za bardzo ci zależy, stąd wiem. Aż tak ją kochasz?

– Nie chcę o tym mówić.

Erwin wstał i ruszył do kuchni, żeby nalać wody do szklanki. Odkręcił kran i odczekał, aż popłynie lodowata. Kiedy wrócił do pokoju, Sońka leżała na łóżku i patrzyła tępym wzrokiem w uchylone okno.

– Ślad po obrączce na twoim palcu wciąż jest widoczny. – Przeczesła palcami włosy i oparła głowę na nadgarstku. – Jeśli ryzykujesz swoje małżeństwo dla innej kobiety, to znaczy, że wybrałeś nie tę, co powinieneś. Za takie błędy się płaci.

Płacił i był gotów zapłacić jeszcze więcej.

– Odeszła?

Erwin przechylił szklankę. Woda miała rozrzedzić szalejącą w jego ciele whisky, ale na razie nie przynosiła ulgi.

– Odeszła. Na zawsze. Przez chwilę wydawało mi się, że... Ale to niemożliwe.

– Nie potrafisz o niej zapomnieć?

– Za dużo chcesz wiedzieć. – Erwin nie był najlepszy w nocnych spowiedziach i wspólnym płakaniu w poduszkę.

– Lubię historie o nieszczęśliwej miłości. Tak naprawdę innych nie znam. Rozstanie pewnie musiało boleć – dodała.

Nie odpowiedział. Ich rozłąka była dla Erwina porażką, z którą nie potrafił się pogodzić mimo upływu lat. Simone była protezą. Potrzebną, ale choćby nie wiadomo, jak się starał, nie mógł odzyskać w niej czucia. Proteza na zawsze pozostanie tylko protezą.

– A dziecko też masz? – Sońka nie odpuszczała.

– Syna.

– I nie boisz się, że znienawidzi cię za to, co robisz teraz jego matce?

Nigdy nie myślał o tym w ten sposób. Dla niego podział był jasny: Simone i Karl to jedno, a sprawa z Izzy to coś zupełnie innego. Karla kochał ponad wszystko, jednak poza nim w życiu Erwina istniał ktoś jeszcze.

– Kiedyś zrozumie. Dojrzeje i zrozumie.

– A jeśli nie?

– To będzie oznaczało, że nigdy nie kochał nikogo naprawdę.

Zadzwoił telefon. W słuchawce odezwał się głos korporacji taksówkowej:

– Citi Taxi, oddzwaniamy. Linie były zajęte, ale już możemy przyjąć zamówienie.

– Rozłącz się. – Sońka spojrzała błagalnie na komórkę i na Erwina. – Nie odsyłaj mnie, a pomogę ci ją znaleźć. Obiecuję.

– Ty mi pomożesz? Sama sobie nie możesz pomóc.

– Rozłącz się, Erwin. Proszę.

Nacisnął czerwony przycisk wbrew sobie.

– Chyba oszalałem, że cię słucham.

– Nie pożałujesz. – Sońka przysunęła się jeszcze bliżej, tak że poczuł zapach jej ciała.

Wyciągnęła dłoń i zaczęła gładzić go najpierw po plecach, a potem po rozpalonym torsie. Podniósł rękę, żeby ją z siebie zrzucić, ale zamiast tego położył ją na kanciastym kolanie Sońki. W głowie ciągle czuł wirujące procenty. Było mu dobrze, zbyt dobrze, żeby myśleć o tym, że ciepłe ciało tej właściwie obcej mu dziewczyny powinno teraz siedzieć w taksówce i wracać do własnego domu. Gdy oplotła go udami, poczuł napierające pożądanie. Dzikie, zwierzęce, jakiego dawno nie doświadczał.

Wyłączył myślenie.

Izzy odplynęła, zastąpiła ją Sońka i jej pachnące słodyczą ciało.

\* \* \*

Gdy otworzył oczy, Sońki nie było w łóżku. Zamiast niej zobaczył leżącą na podłodze pustą butelkę whisky z pływającymi na dnie papierosami i równie pustą szklanę. Obok nich leżała szkolna legitymacja, podstemplowana dwa lata temu. Musiała wypaść Sońce z torby, kiedy grzebała w poszukiwaniu pachnideł, których zapach zawisł między ścianami mieszkania jak smog nad Pekinem.

Erwin podniósł legitymację i spojrział na datę urodzenia dziewczyny. Pomiął nazwisko, które i tak stało się rozmażaną plamą atramentu. Umiejąca zadbać o siebie Sońka miała siedemnaście lat. Za trzy miesiące i dwanaście dni.

Idiota. Idiota i degenerat. Do tego podwójny zdrajca.

Sońka miała inne zdanie na ten temat. Żałoba po Roxy skończyła się dla niej wraz z minioną nocą. Z przedpokoju dobiegało radosne podśpiewywanie, które miało, zdaje się, coś wspólnego z Whitney Houston, a może Rihanną. Dochodziły go zawodzące i piskliwe dźwięki podbijane pojedynczymi westchnieniami mającymi oddać wniebowzięty stan tej, z którą spędził upojną noc. Erwin wsłuchał się w kilka co bardziej rozpoznawalnych tonów uwalnianych przez gardło Sońki. Jednak Whitney.

Włożył bokserki i stanął w progu pokoju. Sońka w porannym, nudystycznym wydaniu wyginała się przed długim lustrem. Miała na sobie tylko zegarek w babcinym stylu, zawieszony na szyi na długim łańcuszku.

– Już wstałeś? – Przerwała śpiew i podeszła kocim krokiem do Erwina. Poczł na brzuchu jej nagie sutki i wilgotny dotyk ust. – Nie chciałam cię obudzić.

Cofnął się o krok. Wydęła usta z udawanym niezadowoleniem i zasłoniła rękami łono, jakby nagle zaczęła czuć wstyd.

– Nie mogłam znaleźć majtek – powiedziała i oparła się o szafę. Kątem oka uchwyciła swoje odbicie w lustrze. Bezdyskusyjnie miała doskonałe ciało, ale widząc irytację na twarzy swego nowego kochanka, wolała się upewnić, że od wczoraj nic się w niej nie zmieniło i wszystko pozostało na swoim miejscu. Różowa, jędrna pupa i sterczące, choć niewielkie piersi. – Po tym, co ze mną wczoraj robiłeś, trudno było je zlokalizować w pościeli.

Łóżko, pośladki, piersi Sońki i butelka whisky. Erwin na samo mgliste wspomnienie tego, co się stało nad ranem, poczuł mrowienie w plecach. Po jaką cholere zgodził się, żeby z nim została?

– Nie chciałem tego...

– Owszem, chciałeś, nawet bardzo. Oj, jak bardzo... – Sońka przewróciła oczami. – Było mi cudownie.

– Zapomnij o tym, co się stało. Ja...

– Mam żonę? Daj spokój, Erwin, przecież nie powiem jej o nas.

– O nas? Posłuchaj mnie...

Wskazujący palec, który zawisł nad Sońką, musiał jej się bardzo spodobać, bo polizała go koniuszkiem języka.

– Chcesz znowu? – Nie odpuszczała. Przeciągnęła się i zamrugła. – Wiesz, że ja zawsze...

Odsunął ją na bok.

– Nie będzie żadnego „zawsze”. Ani dziś, ani nigdy.

– Wolałam, jak byłeś miły.

– To, co się między nami zdarzyło, to był jeden, jedyny raz – powiedział, patrząc Sońce w oczy. – I ubierz się wreszcie.

Zatrzaśnięte drzwi łazienki odgrodziły go od zawiedzionej miny dziewczyny. Oparł dłonie na umywalce i popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Zobaczył w nim kogoś obcego, kim stał się minionej nocy. Mężczyznę z nocnego klubu, który poddany własnej słabości podlanej alkoholem wyciągał rękę po coś, po co nie powinien. Odwrócił wzrok ze wstydem przed własnym spojrzeniem. Odkręcił kran i nabrał wody w obie dłonie. Jej chłód był zbawienny, powinien cały wejść pod zimny prysznic i oprzytomnieć wreszcie.

Woda z kranu lała się mocnym strumieniem, ale pukanie do drzwi łazienki było jeszcze głośniejsze. Zakręcił kurek i wytarł twarz. Zanim otworzył, opróżnił pęcherz i dokładnie umył ręce.

Sońka opierała się o framugę. Nie była już naga. Musiała znaleźć coś dla siebie w szafie w przedpokoju, bo tym razem nie miała na sobie swej nieodłącznej czarnej sukienki, tylko niebieską tunikę do kolan przepasaną czerwonym paskiem. Tunika smętnie odstawała w biuście.

– No i jak? – spytała i rozłożyła ręce.

Erwin odetchnął z ulgą. Wszystko, byle nie prowokująca golizna.

– Może być. Ujdzie.

– Poczekaj, to nie wszystko. – Sońka zrobiła piruet i sięgnęła po coś do wnętrza szafy. – Co powiesz na to?

Erwinowi serce podeszło do gardła. Przed nim stała Izabela z blond włosami ściętymi do ramion, z grzywką opadającą na oczy.

Stał osłupiały, wpatrując się w jasne pasma, które oplatały szyję i ramiona Sońki. Wyciągnął rękę i pogładził gładką linię włosów.

– Jest tu tyle tego... – Głos dziewczyny wyrwał go z zamroczenia. – W szafie, na półce.

Starczyłoby dla całego Moulin Rouge.

Skrzydło szafy otworzyło się na oścież. Na półkach leżały stopy peruk i pojedynczych tressów, długie i krótkie, blond, ciemne i rude.

Erwin dotknął palcami pukli, żeby sprawdzić, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Włosy były czyste, miękkie i idealnie wyczesane. Ułożone równo obok siebie jakby czekały na swoją kolej.

– O co w tym wszystkim chodzi? – spytała, patrząc na zmianę na wypełnioną włosami półkę i pobladała twarz Erwina. – To przestaje mi się podobać. Nie widziałeś ich wcześniej, prawda? Erwin, do diabła, czyje to właściwie jest mieszkanie?!

– Jej – odpowiedział cicho. – Tej, której byłem gotów szukać. Ona nie żyje.

Musiał powiedzieć to na głos. O ile jeszcze wczoraj mógł mieć nadzieję, że postać, którą widział na monitorze w kancelarii cementarza, to Izabela, teraz jego wiara przestała mieć jakikolwiek sens. Izzy nie mogło być wśród żywych. Ktoś upodobił się do niej, tak jak zrobiła to Sońka. Tylko po co? Komu zależało, żeby przypominać wyglądem zmarłą osobę, i w dodatku w dniu kremacji?

– Miała na imię Izabela. To jej mieszkanie. – Był winien Sońce wyjaśnienie i chciał mieć to za sobą. – A teraz zdejmij to.

Sońka stała bez ruchu. Musiała poczuć się nieswojo w niebieskiej sukience. Poruszyła nerwowo łopatkami, na nogach pojawiła się gęsia skórka.

Wciąż nie zdejmowała peruki. Pasma grzywki opadło jej na czoło, zasłaniając oczy. Odgarnęła je odruchowo wierzchem dłoni. Wykonała zwykły gest, jaki robią tysiące dziewcząt mających podobne uczesanie, ale w żaden sposób nie przypominał ruchu ręki, który Erwin zobaczył wczoraj na nagraniu. Tamten był inny, jedyny w swoim rodzaju. Tak robiła tylko Izzy.

Erwin chwycił za blond grzywkę peruki i ze spokojem odkleił ją od czoła dziewczyny. Reszta poszła już gładko. Zwinął jasne włosy w kulkę i rzucił na półkę z pozostałymi tressami.

– Lepiej będzie, jeśli to zdejmę i przebiorę się w swoją sukienkę. – Sońka ruszyła w stronę sypialni.

Nie poszedł za nią. Stał przy oknie w salonie i zapatrzył się w sunące jezdnią samochody. Choć starał się nie myśleć o niczym, wciąż powracał do niego ten szczególny gest młodej kobiety, która w spokoju obserwowała wędrówkę trumny do niszy cementarnej spalarni.

Zatopiony w swoich myślach nie usłyszał kroków Sońki w przedpokoju ani trzasku zamykanych drzwi.

\* \* \*

Bardzo dobrze pamiętał tamto miejsce na Żoliborzu, choć był tam tylko dwa razy. Cicha uliczka

obsadzona ciągnącymi się po obu stronach szeregówkami. Dom przy Edwarda Jelinka był charakterystyczny, jako jedyny z kutą na zamówienie furtką, zatopiony w cieniu rosnących wokół niego drzew.

Było przed ósmą wieczorem, kiedy Erwin zatrzymał motocykl w wąskiej uliczce i wyłączył silnik. Powrót do tego miejsca był jak sen, a raczej koszmar, który teraz miał się powtórzyć. Ten sam podjazd i schody prowadzące do domu. Tylko zasłony w oknie były inne. Może to dziwne, ale tamte pamiętał doskonale, ich kanarkowa żółć wspaniale współgrała z wściekłą, czerwoną twarzą ojca Izabeli. Na widok Erwina czerwień zamieniła się w purpurę.

Teraz drogie i stylowe zasłony miały kolor czerni poprzeplatanej wąskimi pasami écru. Wirscy nie musieli oszczędzać. O ile jednak zasłony były tylko drobiazgiem, to na pewno nie był nim perłowy citroen, który wyszedł z samochodowej stajni nie dalej niż kilka miesięcy temu.

Nie miał zamiaru tam wchodzić. Naciśnięcie dzwonka było ostatnią rzeczą, jaką powinien zrobić, i świetnie o tym wiedział. Niechcianych gości nie wpuszcza się do środka. Liczył na łut szczęścia. Pragnął zobaczyć w oknie starszą panią, której mógłby dać znać, żeby wyszła przed dom. Matka Izabeli nie miała uprzedzeń, była taka jak córka. Dobra i otwarta, całkowite przeciwieństwo męża. Tak przynajmniej mówiła o niej Izabela. Nigdy jej nie poznał, nie wiedział nawet, jak wygląda. Jeśli ktoś mógłby powiedzieć mu, co tak naprawdę się stało, tym kimś była ta kobieta. Nikt inny.

Czekanie zdawało się nie mieć końca. Erwin był bliski rezygnacji, kiedy drzwi domu otworzyły się i na schodach stanęła krucha postać. Była niższa niż Izzy. Przydługa czarna sukienka sięgająca niemal kostek sprawiała, że kobieta wyglądała na drobniejszą niż w rzeczywistości. Niefarbowane, ściągnięte do tyłu włosy uwypuklały wysokie czoło i orli nos. Kobieta uniosła jedną ręką spódnicę, żeby nie zaplątała się przy schodzeniu ze schodów, w drugiej ścisnęła plastikowy worek ze śmieciami. Kontener mieścił się tuż przy ogrodzeniu.

Nie rozglądając się na boki, szła prosto do kontenera, bardzo uważnie i powoli, jakby bała się przewrócić.

Erwin stanął na wprost niej. Nie wiedział, czy go zauważyła, skoncentrowana na ostrożnym stawianiu kroków na wąskiej ścieżce.

Podszedł bliżej, pod samą furtkę.

– Pani Wirska?

Zatrzymała się kilka kroków od niego. Jej oczy zwróciły się w stronę Erwina. Odniosł wrażenie, że kobieta niedowidzi, gdyż zmrużyła powieki, próbując rozpoznać stojącego przed furtką gościa.

– Kim pan jest? – spytała i podeszła bliżej siatki.

– Nazywam się Erwin Cis.

Jej łagodne rysy jakby się wyostrzyły, być może z powodu zachodzącego słońca, które padało

wprost na jej twarz. Oczy zareagowały na przeszywający je promień światła. A być może nazwisko, które usłyszała, przywołało dawne wspomnienie.

– Erwin? – Kolejny krok przybliżył ją do furtki. Postawiła worek ze śmieciami na ścieżce. Palce kobiety zacisnęły się na ogrodzeniu.

– Niech pan podejdzie.

Zrobił, jak mu kazała. Dawno nie czuł takiego wzruszenia na widok kogoś, kogo znał tylko z opowieści. Izzy kochała matkę bezgranicznie. Mówiła o niej zdrobniale, odmieniając słowa „mama” na tysiące sposobów. Mamuś, mamusia, ukochany anioł. Stała zawsze w cieniu męża, poddawała się jego nakazom i chimerom, ale to dla niej Izabela gotowa była na największe poświęcenie, nie bacząc na własne dobro. Jako jedyna córka, na której koncentrowała się miłość matki, potrafiła ją docenić w wyjątkowy sposób. Kiedy wyczuwała w niej apatię lub choćby cień smutku, wpadała do domu rodzinnego z butelką taniego wina i gitarą, na której uczyła się grać, i na poczekaniu układała kilka dźwięków przeznaczonych tylko dla matczynych uszu. Jej wizyty kończyły się wspólnym, choć cichym śpiewaniem piosenek z czasów młodości Wirskiej, co pozwalało jej wierzyć, że dla kogoś na tym świecie wciąż jest ważna. O tych wizytach Izabela opowiadała Erwinowi wieczorami, kiedy leżeli już w łóżku. Zasnęła szczęśliwa, że mogła podarować matce kolejny dobry dzień.

Erwin zrobił krok naprzód, ostatni, na jaki pozwalała mu odległość od siatki. Kobieta nie spuszczała z niego wzroku. Przekreśliła zamek i otworzyła furtkę. Nie oponował, kiedy wyciągnęła ręce i poczuł ich ciepło na swoich dłoniach. Nie ruszył się z miejsca, gdy szczupłe palce dotknęły jego włosów.

– Niech się pan nie gniewa, ale musiałam to zrobić. To naprawdę pan?

– Tak. Przykro mi, że przyszło nam się spotkać po raz pierwszy w takich okolicznościach. Izzy wiele mi o pani opowiadała.

– Izzy? – Kobieta uśmiechnęła się smutno. – Tak ją pan nazywał?

– Lubiała to imię. Nikt inny tak się do niej nie zwracał.

Głowa matki Izabeli pochyliła się, ręce wróciły na swoje miejsce tuż przy czarnej sukience.

– Po co pan przyjechał?

– Musiałem się z panią zobaczyć. Tylko pani była dla niej ważna.

Pokiwała głową. Wspomnienie o córce musiało być wyjątkowo bolesne, ale jej twarz pozostała nieruchoma.

– Moje dziecko nie żyje. Pan już to wie?

– Wiem.

– A ja wciąż wierzę, że ona jest tuż obok – powiedziała jakby sama do siebie. – Chyba wszystkie matki, których dzieci odeszły, w to wierzą. To takie niedorzeczne, zupełnie nierozsądne... Wciąż ją słyszę, jak śpiewa i uderza w struny gitary.

– Była fatalną gitarzystką. – Erwin zdobył się na przywołanie smutnego wspomnienia.

Matka Izabeli odpowiedziała mu takim samym uśmiechem.

– To nie miało żadnego znaczenia. Ważne, że była przy mnie.

Między nimi zapadła chwila ciszy. Potrzebna była im obojgu. Milczeli, choć ich myśli biegły w tym samym kierunku.

– Nie pożegnałam się z nią. – Wirska odezwała się pierwsza. Słowa więzły jej w gardle, mówiła z trudem, ale potrzeba wypowiedzenia na głos tego, co w niej tkwiło, była silniejsza. – Czy pan wie, jak to jest mieć świadomość, że ktoś najbliższy odchodzi z tego świata samotnie?

Dłoń kobiety uniosła się i przetarła wilgotne oczy. Nie zdążyła opaść na sukienkę, gdy zza uchylonych drzwi do domu dobiegł dźwięk dzwonka.

– Czy to już ósma? – Matka Izzy wzdrygnęła się na sygnał dzwoniącego telefonu.

Erwin spojrział na zegarek. Była pełna godzina.

– Jaki dziś dzień tygodnia? – Wirska ściągnęła brwi. – Ach, dopiero środa! – Machnęła ręką w powietrze. – Widzi pan, od dłuższego czasu ktoś nie daje nam spokoju. Dzwoni raz w tygodniu, w każdy czwartek, ale gdy podniosę słuchawkę, milczy.

Kobieta odwróciła głowę w stronę domu i ponownie ukradkiem otarła oczy.

– Kiedy moja córka żyła, dzwoniła do nas o tej porze, wiedziała, że wtedy jesteśmy w domu. Ale teraz, kiedy już jej nie ma... To pewnie jakiś niemądry dowcip. Mąż się tylko denerwuje, jak nie podejść do telefonu pierwsza. On sam nie odbiera, widać, że jest mu ciężko. Ta godzina... on bardzo cierpi. Idzie wtedy na górę, do siebie, i zamyka się w pokoju.

Jak na zawołanie Erwin usłyszał krzyk z głębi domu. Męski, dobrze mu znany głos przywoływał matkę Izzy. Mogła mówić, że śmierć ich córki była dla niego wstrząsem. W oczach Erwina Wirski pozostał taki sam. Pewne rzeczy się nie zmieniają.

– Będę musiała poprosić kogoś z obsługi telefonicznej, żeby sprawdzili, co to za wyglupy, inaczej oboje odejdziemy od zmysłów. Może znajdą tego, który zatruwa nam życie. – Matka Izabeli wyciągnęła rękę na pożegnanie. – Muszę już iść. Dziękuję, że pan przyszedł, Erwinie.

Chwyciła worek ze śmieciami i ruszyła w stronę kontenera.

– Proszę poczekać. – Zatrzymał ją w ostatniej chwili. – Przyjechałem tu specjalnie dla Izabeli. Chcę usłyszeć więcej, być może to jedyna okazja, żeby o niej porozmawiać.

Wirska odwróciła się i zmrużyła oczy.

– Nie teraz, nie dziś. Muszę wracać.

– Kiedy?

Nie doczekał się odpowiedzi. Matka Izabeli szła już w kierunku mieszkania. Zatrzymała się przy nierównej płytce chodnikowej i zrobiła większy krok naprzód. Pamięć powtarzanych codziennie czynności wspomagała słaby wzrok.

Erwin został sam. Dźwięk dzwonka mieszał się jeszcze przez chwilę z pohukiwaniem starego



Wirskiego, ale trzaśnięcie zamka w drzwiach domu na Jelinka odcięło go od tego, co działo się w środku.

\* \* \*

– Zastanów się, czy to na pewno ma sens? – Gudrun Lang siedziała na brzegu łóżka i przyglądała się, jak Simone wrzuca do walizki podkoszulki i dwie pary dżinsów. Dołączyły do nich czarne baleriny i klapki pod prysznic. Na koniec Simone dołożyła kolejne cztery bluzki i zwinięte w kulki stopki oraz fabrycznie zapakowany komplet siedmiu par stringów.

– Po prostu zajmij się Karlem, tak jak cię o to proszę – burknęła i docisnęła kolanem walizkę w miejscu, gdzie łączyły się ze sobą ząbki zamka. – Zostawiłam na stole plan zajęć, wystarczy, jak będziesz się do niego stosować.

Gudrun spojrzała na kartkę zapisaną kolorowymi pisakami. Czego jak czego, ale porządku Simone pilnowała, jak należy. Każdy typ zajęć wnuka zaznaczony był innym kolorem. Rozpiska przypominała grafik rockmana podczas międzynarodowej trasy koncertowej, a nie czteroletniego dziecka.

– Lodówka jest pełna, w razie czego dokupisz świeżych rzeczy. Karl musi jeść zdrowo, pamiętaj o tym.

– Będę pamiętać. Może jednak przemyślisz...

– Nie dramatyzuj. – Simone przerwała jej w połowie zdania. – Sama uczyłaś mnie, że więź małżeńska jest nierozzerwalna. Aż do śmierci.

– To prawda, ale...

– Lepiej zajmij się Karlem, a moje sprawy zostaw mnie. Erwin chwilowo zapomniał o tym, gdzie jest jego miejsce. Ja zamierzam mu tylko o tym przypomnieć. To wszystko.

Simone szarpnęła walizką i postawiła ją na podłodze. Sama wygięła się w strunę, rozciągając spracowane pakowaniem mięśnie. Udawała, że nie widzi zatroskanego wzroku matki. Omijała go celowo, aby nie dać jej pretekstu do dalszych prób odwiedzenia jej od tego, co zamierzała zrobić.

– Przyjdź jutro z samego rana, najlepiej przed szóstą – zakomunikowała, jakby miała przed sobą wynajętą kobietę do prasowania lub mycia okien. – Karl będzie jeszcze spał, chcę wyjechać, zanim się obudzi.

– Powinnaś się z nim pożegnać. Chyba możesz zrobić choć tyle dla własnego syna?

Niepotrzebnie to powiedziała. Karzący wzrok Simone spowodował, że Gudrun nie odezwała się więcej ani słowem. Córka od zawsze miała trudny charakter, ale odkąd wyszła za Erwina, coraz częściej zachowywała się jak obca osoba. Jej matka zupełnie tego nie rozumiała. Jeśli myślała, że Simone złagodnieje wraz z dniem, w którym założy ślubną obrączkę, myliła się.

Simone traktowała Erwina jak własność, krzesło, które można dowolnie przestawiać z kąta w kąt. Ojciec Simone robił wszystko, żeby nie wychować jej na nadętą jedynaczkę. Świecił przykładem do dnia, w którym powiesił się na strychu ich starego domu z powodu narobionych przez lata długów. Simone miała wtedy dwadzieścia jeden lat. Z jego śmierci wyciągnęła dwa wnioski: że nie da się żyć bez pieniędzy i że śmierć czeka wszystkich. Kwestia tego, czy ktoś umrze wcześniej, czy później, była sprawą wtórną. Liczyła się zasada.

– Nie spóźnij się jutro. – Simone podała matce jej torebkę, w tym geście nie było jednak nic z usłużności.

Gudrun podniosła się z materaca i chwyciła torbę za uszy. Jej wizyta w mieszkaniu córki dobiegała końca.

– Będę o czasie – odpowiedziała z pokorą i nieodprowadzana poszła do przedpokoju. – A ty, Simone... zastanów się jeszcze, wystarczy poczekać. Mężczyźni wracają, on też wróci.

Simone wcale nie zamierzała się zastanawiać. Ten etap miała już za sobą, przemyślała wszystko w najdrobniejszym szczególe. Erwin nie wracał, a ona nie zamierzała cierpliwie czekać. Gdy tylko za jej matką zamknęły się drzwi, sprawdziła czy lokalizator zainstalowany na telefonie Erwina działa. Funkcjonował bez zarzutu, Erwin wciąż był w Warszawie. Sięgnęła do wbudowanego w ścianę sejfu i wyjęła z niego mały damski pistolet z rękojeścią wykonaną z fałszywej macicy perłowej, który dostała na szesnaste urodziny od swojego zapobiegliwego ojca.

Gdy wsunęła broń do bocznej kieszeni podręcznego plecaka, poczuła wdzięczność do zmarłego Horsta. Poczciwy staruszek pomyślał o wszystkim. Był do tego na wskroś etyczny. Nie miał w zwyczaju odbierać własnemu dziecku raz danego podarunku i dlatego na strychu musiał poradzić sobie w inny sposób. Simone to doceniała. Co raz darowane, nigdy nie może zostać odebrane.

\* \* \*

– Nie słyszałaś telefonu? – Stanisław Wirski zszedł z piętra z „Przeglądem Sportowym” w ręce. Wyminął żonę i usiadł w fotelu naprzeciwko telewizora.

Gazeta zaszeleściła. Pani Helena zamknęła za sobą drzwi i stanęła w progu pokoju.

– Byłam na zewnątrz. Choć raz ty mógłbyś podnieść słuchawkę.

– To nie do mnie dzwonią. Tyle razy ci mówiłem, żebyś odłączyła wreszcie ten telefon. Trzymamy go nie wiadomo po co, chyba tylko żeby telemarketerzy mieli kogo zamęczać. I jeszcze te cotygodniowe wygłupy!

Wirski szarpnął fotelem. Ustawił go tyłem do okna, aby naturalne światło z zewnątrz padało na szpalty gazety. Kąt padania światła zmieniał się co godzina, a wraz z nią fotel przesunął się

o kilkanaście stopni. Do oporu, dopóki litery nie stawały się całkiem niewidoczne i trzeba było włączyć żarówkę.

Matka Izabeli założyła na nos szkła i zabrała pustą filiżankę ze stolika. Wyminęła stojący na metalowym kwietniku wazon z astrami z ogrodu i podnózek, na którym leżały wyciągnięte nogi Wirskiego.

Wolną ręką poprawiła wykrochmaloną na sztywno serwetkę zdobiącą zagłówek fotela i pogładziła przetartą poręcz. Przesunęła przy tym zwisający z niej przybornik na piloty, długopis i notes, który uszyła trzy lat temu na wyraźną sugestię męża. Na wszelki wypadek, jakby trzeba było coś natychmiast zanotować. Odkąd przybornik zawisł na fotelu, nikt nie napisał w notesie ani słowa.

– Zaraz zrobi się ciemno, trzeba zapalić lampę – westchnęła i ruszyła w stronę włącznika.

– Zostaw! – Zza gazety dobiegł zniecierpliwiony pomruk. – Wystarczyłoby, żebyś wreszcie zdjęła z okien te odrażające, czarne zasłony.

– Przecież sam mówiłeś, żeby w całym domu...

Strony „Przeglądu” ponownie zaszeleściły, a ojciec Izabeli skupił się na rozgrywkach w żużlu.

– Powiedziałem, że tylko na czas żałoby – rzucił znad czytanej szpalty. – Dla mnie już minęła.

Pani Helena zmrużyła oczy i spojrzała na półkę wiszącą nad kominkiem. Stały na niej zdjęcia Izabeli. Uśmiechniętej królewny z przedszkolnej zabawy gwiazdkowej, eleganckiej nastolatki z balu studniówkowego i w końcu szczęśliwej absolwentki AWF.

– Nasza córka zmarła zaledwie sześć tygodni temu. To dla ciebie zbyt długo na żałobę? – Palce kobiety przesunęły się po szkle chroniącym fotografię z Gwiazdki.

– Po prostu je zdejmij, chcę żyć normalnie.

– Normalnie?! Po tym, co się stało?

Stanisław Wirski zaczął składać gazetę. Robił to bardziej precyzyjnie niż maszyna drukarska. Jego palce wędrowały po załamaniach papieru i centymetr po centymetrze przesunęły się, pozostawiając po sobie ostry kant.

– Czas biegnie naprzód, Izabela odeszła. Po tym, jakie prowadziła życie, nie można było spodziewać się innego końca. A zasłony...

– Jak możesz! – Z gardła kobiety wydobył się głos, który zabrzmiał jak skowyt. – Jezu Chryste! Chcesz mi powiedzieć, że zasługiwała na śmierć? Twoja jedyna córka zasługiwała na to, żeby umrzeć w taki sposób?!

– Uspokój się! – Wirski poderwał się z fotela i chwycił żonę za nadgarstki. Nie sądziła, że ma aż tyle siły. Czują, jak ból spowodowany uciskiem rozsadza jej kości. – I nie osądzaj mnie w ten swój dumny, babski sposób! To nie ty sprowadziłaś ciało do kostnicy i nie ty identyfikowałaś

zwłoki. Nie tobie przyszło patrzeć na to, co widziałem ja, więc nie próbuj mnie osądzać!

Wirska wyswobodziła dłonie z palców męża i odskoczyła na bok. Na miękkich nogach dotarła do fotela i usiadła na jego poręczy. Uszyty przez nią przybornik zsunął się i upadł na podłogę. Nawet tego nie zauważyła, nie usłyszała, jak pilot do telewizora uderzył z brzękiem o drewniany panel. Jej zapadnięte piersi unosiły się od płaczu.

– Myślisz, że nie chciałam jej zobaczyć? – Zsunęła okulary i potarła dłonią powieki pokryte cienką siatką zmarszczek. Nie walczyła z upływającym czasem. Przestał mieć dla niej znaczenie, gdy Izabela wyprowadziła się z domu w atmosferze żalu i wzajemnych pretensji. Zatrzymał się nieodwracalnie w dniu, w którym zadzwonił telefon z informacją o tym, że jej córka roztrzaskała się na drodze na Mikołajki. – Że nie pragnęłam zobaczyć po raz ostatni własnego dziecka?

Stanisław Wirski odsunął się o kilka kroków i rzucił żonie lodowate spojrzenie.

– Po prostu zdejmij już te zasłony, nie chcę na nie patrzeć. I na przyszłość odbieraj telefon, mam dość tych szczeniackich dowcipów.

– Mówiłam już, że byłam przed domem. – Pani Helena wytarła rękawem ostatnią kroplę, która zabłąkała się w okolicach ust.

– Długo cię nie było. Stało się coś tak wyjątkowego na ścieżce do śmietnika, że nie zdążyłaś dojść do drzwi?

Kpił. Sposób, w jaki do niej mówił, był już nie tylko obraźliwy, lecz także podły i lekceważący.

– Nie, nic się nie stało. Potrzebowałam powietrza, to wszystko.

– Słyszałem rozmowę.

– Wydawało ci się. – Pani Helena podniosła się z fotela i zrobiła ruch w stronę wyjścia.

– Nie mam problemu ze wzrokiem ani nie jestem głuchy. Kto to był?

– Nikt. Obcy.

– Czego chciał?

– Mówię przecież, że to był obcy. Szukał kogoś.

– Może naszej córki? – Wirski złapał ją za ramiona.

– Zostaw, sprawiasz mi ból! – Kobieta zachwiała się na nogach.

– Chcę wiedzieć, czy pytał o Izabelę!

– Nie. – Skłamała, wpatrując się rozszerzonymi oczami w twarz męża. Nawet gdyby chciał, nie potrafiłby odnaleźć w nich nic poza gniewem przesłaniającym jej źrenice. – To był nikt. Po prostu nikt.

\* \* \*

Drzwi do mieszkania Izabeli były otwarte, po naciśnięciu klamki zamek puścił bez oporu. Erwin

nie miał wątpliwości, że gdy wychodził, wsunął klucz i dwukrotnie przekręcił dolną zasuwę.

Stanął w przedpokoju. Na podłodze leżały znajome czarne platformy ze sfatygowanymi flekami.

– Wchodź, wchodź, nie krępuj się! – Głos z sypialni przebił się przez ciszę. – Chyba nie gniewasz się, że wpadłam?

Sońka siedziała na łóżku obłożona zawartością żółtej koperty. W pierwszej chwili krew uderzyła Erwinowi do głowy, ale gdy zobaczył, z jakim zaangażowaniem dziewczyna układa każdą kartkę z zapiskami i każde zdjęcie w tematyczne kupki, zacisnął tylko zęby.

– Dawno cię tu nie było – mruknął. – Równe dziesięć godzin, prawdziwy rekord!

– Powiedzmy, że się stęskniłam. – Sońka nawet na niego nie spojrzała, pochłonięta wertowaniem rzeczy po Izabeli. – Poza tym nie miałam co ze sobą zrobić.

– Może po prostu pójść do swojego mieszkania?

– Tego z basenem, kortem tenisowym i własnym lokajem? – Sońka wydeła usta i podrapała się po rozwichrzonych włosach. – Hm... To może i dobry pomysł, ale jest pewien problem.

– Ponoć problemy dla ciebie nie istnieją. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że nie masz dachu nad głową?

Nie musiała odpowiadać. Wystarczyło, że Erwin przypomniał sobie noc, której zginęła Roxy, i błagalny wzrok Sońki o azyl. Jakby tego było mało, spostrzegł nieumiejętnie przykrytą brzegiem narzuty podręczną walizkę wciśniętą pod łóżko.

– To ma być żart?! – Erwin wskazał głową walizkę. – Masz stąd zniknąć. Zrobimy tak: ja pójdę do kuchni i udam, że parzę herbatę, a ty w tym czasie zabierzesz się stąd i po cichu zamkniesz za sobą drzwi. Czy to jest jasne?

Sońka pokręciła głową.

– Nie bardzo. Zostaję. Po pierwsze, nie mogę już dłużej spać w klubie w jakiejś przebieralni, a po drugie, chyba jesteśmy przyjaciółmi? Mogę się zadekować na kanapie w salonie, łóżko w sypialni będzie twoje. Łazienki też nie będę zajmować na dłużej niż piętnaście minut. Jednym słowem, w ogóle nie zauważysz, że tu jestem.

– Ty chyba nie rozumiesz tego, co do ciebie mówię... – Erwin zakręcił na palcu kluczykami z breloczkiem Hello Kitty.

Sońka poderwała się z materaca i stanęła tak blisko, że mógł zobaczyć jej przekrwione ze zmęczenia oczy.

– Rozumiem. Nie chcesz mnie tu, ale ja naprawdę nie mam dokąd pójść, Erwin – dodała już bez cienia kokieterii.

Myślał, że będzie się do niego łąsić i próbować swoich babskich sztuczek. Że zacznie się dwuznacznie bawić jego guzikiem od koszuli lub podszcypywać go w brodę. Ale nawet go nie dotknęła. Stała oddalona od niego zaledwie o kilka centymetrów, z tymi swoimi, jeszcze

dziecinnymi, oczami i z nadzieją na łaskawy wyrok.

Pomny tego, co wydarzyło się między nimi ostatniej nocy, powinien bez chwili wahania wyciągnąć spod łóżka walizkę tego wyrosniętego dzieciaka i odesłać go do matki. W przypadku Sońki ten schemat by jednak nie zadziałał i miał co do tego absolutną pewność. Znał ten typ dziewczyn, nigdy by tam nie dotarła. Zamiast tego wylądowałyby znów w jakiejś spelunie w kusej sukience pożyczonej od przygodnie poznanej tancerki go-go.

– Później zastanowię się nad tym, co z tobą zrobić. Wolałbym jednak, żebyś nie przyzwyczajała się zbytnio do tego miejsca. Jednym słowem: nie czuj się jak u siebie w domu. Poza tym jak tu weszłaś? Drzwi były zamknięte.

Sońka zmrużyła oczy i przekrzywiła głowę. Najgorsze było już za nią.

– No coś ty, Erwin... Masz mnie za dziecko?

– Jeśli rozwaliałś zamek...

– Chyba lichą imitację zamka. Powinieneś go wymienić, ten ledwo się trzyma. Ale nie, nic mu się nie stało.

– Nie dawałem ci klucza.

– Przecież wiem, wciąż boisz się o to, co powiedziałyby na to twoja żona. – Sońka przewróciła oczami. – Sama go sobie zrobiłam.

– Z drutu czy gwoździa?

– Och, Erwin... Nie żyjemy w dziewiętnastym wieku. Sprawa jest prosta: wystarczy osmalić klucz nad ogniem i dokładnie odcisnąć kontur na taśmie klejącej. Potem trzeba tylko znaleźć kogoś, kto ma kawałek dobrego metalu i powycina ząbki. Żadna filozofia. Naprawdę, Erwin, zabawny jesteś z tą swoją zdziwioną miną.

Erwin dokładnie obejrzał trzymany w ręku klucz. W drobnych załamaniach ząbków wciąż widać było czarny nalot.

– Często to robisz?

– Tylko wtedy, gdy naprawdę muszę. Nie bój się, jestem nieszkodliwym marginesem społecznym. Nikogo jeszcze nie okradłam ani nie zabiłam. Jak widzisz, zamków w drzwiach nie psuję, a klucz też nie ucierpiał. Mam swoje zasady.

– Wycierasz buty w wycieraczkę, zanim włamiesz się komuś do mieszkania?

Wyciągnął rękę po dorobiony klucz. Oddała mu go z nadąsaną miną i wróciła na łóżko. Zostawił ją w pokoju samą ze zwisającymi nad podłogą stopami. Trudno było nie zauważyć, że plastry z opatrunkiem zdążyły opanować niemal całą powierzchnię palców i pięt.

Włożył do uszu słuchawki i puścił ze Spotify Limp Bizkit. Głośno, żeby nie docierał do niego żaden dźwięk poza *Behind blue eyes*. Musiał się odciąć, choć na chwilę. Chciał być sam i wszystko przemyśleć. Jego życie w ostatnim tygodniu zaczęło się od trzęsienia ziemi, a teraz co chwila odzywały się wstrząsy wtórne. On sam czuł się jak żuk przewrócony na plecy

i wierzgający w powietrzu nogami. Telefon od Nawrockiego, wściekła Simone, dziewczyny ze zdjęć i taśma z krematorium. Do tego dzisiejsze spotkanie na Jelinka i widok matki Izabeli. Wciąż miał ją w pamięci. Spokojną i wycofaną, żyjącą w świecie wspomnień o córce. Długo zastanawiał się nad tym, czy powinien pójść tam niezapowiedziany i zjawić się, być może, w niewłaściwym momencie. Gdyby miał pewność, że będzie miłym gościem, te wątpliwości być może nigdy by się nie pojawiły. Było jednak zgoła inaczej. Mimo to zdecydował, że pojedzie i spojrzy matce Izabeli w oczy. Podjęcie decyzji ułatwiał fakt, że nigdy wcześniej jej nie widział. Nie wiązały go z nią żadne emocje, znał ją jedynie z opowieści Izabeli. Spotkanie z Wirską potraktował zatem jak papierek lakmusowy. Jeśli Izzy żyła, w co pragnął wierzyć ponad wszystko, jej matka wiedziałaby o tym. Nie potrafiłaby udawać, że jest inaczej. Zdradziłby ją jakiś gest, ton głosu czy niewinny uśmiech wywołany na samą myśl, że tylko ona zna prawdę. Erwin wyczułby to, zauważył. Ale matka Izabeli nie udawała. Nikt nie jest w stanie grać komedii w tak mistrzowski sposób, a już na pewno nie matka.

Jeśli przed wizytą na Jelinka miał jeszcze nadzieję, że to, co zobaczył na nagraniu w kancelarii cmentarza, mogło być prawdą, Wirska odebrała mu ją bezpowrotnie. Szansa na to, że Izabela żyje, rozplynęła się jak mgła.

– Jesteś tam? – Wołanie z sąsiedniego pokoju przedarło się przez muzykę. Wyjął słuchawki z uszu. Sońka miała dużo lepszy nastrój, najwyraźniej uznała, że traktat pokojowy został zawarty i tym samym osiągnęła status legalnej współlokatorki. Gdy wszedł do sypialni, trzymała w jednej dłoni zdjęcie z żółtej koperty, a na palce drugiej nawijała gumę do żucia, której koniec przytrzymywała zębami.

– Pamiętasz, jak pytałeś mnie o dziewczynę z Panoramy? Tamtej nie znałam, ale znam tę. – Pomachała fotografią. – Teraz ma inne włosy, ale to na pewno ona.

Erwin podszedł do brzegu łóżka i wyjął zdjęcie z ręki Sońki.

– Rubby – powiedział po sprawdzeniu imienia na odwrocie.

– Może dla ciebie Rubby. – Sońka odlepiła od uda inną fotografię, która przyłgnęła jej do skóry. – Dla mnie Irina. Irina Masimow.

– Jesteś pewna?

– Nie żartuj. – Wypuściła z ust różowy balon. Pękł po kilku sekundach i zasłonił jej pół twarzy. Zebrała gumę językiem i poruszyła szczęką. – Mówiłam ci, że znam pół miasta. Z pamięcią do twarzy i nazwisk też jakoś sobie radzę.

Erwin chciał zauważyć, że przy tak bujnym życiu towarzyskim jej głowa musi pomieścić archiwalia na miarę tych w waszyngtońskiej Bibliotece Kongresu, ale w tej chwili ważne było co innego.

– Wiesz, gdzie pracuje?

– A jak myślisz? – Sońka przechyliła głowę i wypuściła z ust kolejny balon.

– Zbieraj się. – Erwin pociągnął ją za ramię.

Zgaszenie nocnej lampki i brzęk kluczyków od motocykla dały jasny sygnał, że dzisiejszego wieczoru z całą pewnością nie spędzą na wspólnym oglądaniu telewizji.

\* \* \*

To było jak *déjà vu*. Kłębiący się tłum barwnych ptaków stroszących piórka przed wejściem do klubu Platinium podział na Erwina przygnębiająco. Sukienki dziewcząt tak kuse, że można było wziąć je za rozciągnięte T-shirty, unoszące się opary męskich perfum i grube portfele.

– To na pewno tu? – Erwin odjechał kilkadziesiąt metrów i zaparkował motocykl pod Sceną Studio Teatru Narodowego. – Te fioletowe okna?

– Człowieku, to najlepszy klub w mieście! – Sońce zaświeciły się oczy. Wyjęła z torebki czerwoną szminkę i pociągnęła nią usta. – Niech to szlag, znów zapomniałam portfela!

– Szkoda, bo ja też. Dzwon po Rubby.

Stanął na chodniku i zapalił papierosa. Sońka wyciągnęła rękę po swoją dołę. Potarł krzemień zapalniczki po raz drugi.

– Jest za głośno, nie odbiera. – Sońka z telefonem przy uchu podrygiwała w takt muzyki sączącej się z kamienicy przy Fredry 6. – Wejdźmy do środka. Ty zapłacisz za siebie, ja jakoś się przecisnę. Znam tu parę osób.

– Spróbuj jeszcze raz. Poza tym nie wpuszczą cię do klubu w tym czymś. – Erwin spojrzał wymownie na trampki dziewczyny.

Sygnał w słuchawce zadźwięczał, po czym włączyła się poczta głosowa Rubby. Sońka rozłożyła bezradnie ręce.

– Cisza. A o trampki się nie martw.

Wmieszali się w stojący na ulicy tłum. Erwin szedł pierwszy, torując drogę. Gdy doszli do wejścia do kamienicy, Sońka odciągnęła bramkarza na bok. Gestykulowała tak wymownie, że namówiłaby świętego do grzechu. Wróciła po chwili z triumfalnym uśmiechem na ustach.

– Mamy dwadzieścia minut. Musimy stąd wyjść, zanim impreza rozbuja się na dobre – powiedziała i pociągnęła Erwina za rękaw.

Minęli pierwszy bar i stanowisko didżeja. W sali kolumnowej w podświetlanych wściekłą zielenią klatkach wiły się tancerki w lateksowych kostiumach przypominających strój pływacki. Rozpięte na piersiach suwaki kończyły się tuż nad ich pępkami. Wszystkie miały długie włosy, które wirowały wokół smukłych ciał dziewczyn. Cała sala zalana była czerwonym, przytłumionym światłem. Tłum podskakiwał w takt muzyki house.

Nie zatrzymywali się, Erwin szedł za Sońką, nie spuszczać wzroku z jej pleców. Minęli



pomieszczenie z zawieszonymi na ścianie ekranami, na których wyświetlano na bieżąco kanał MTV.

Dotarli do wąskiej sali klubowej. Tu ludzi było mniej, siedzieli na białych kanapach, co poniektórzy opierali nogi na niskich, podłużnych stolikach. Barman rozlewał drinki i stawiał je w rzędzie na barze. Co chwila ktoś podnosił się z kanapy i wracał na nią z kieliszkami wypełnionymi alkoholem.

– Poczekaj tu, zaraz wracam. – Sońka wskazała Erwinowi wolne miejsce na jednej z białych sof.

Zniknęła w toalecie. Erwin usiadł tyłem do wejścia. Przebywanie w nocnych klubach zaczynało wchodzić mu w krew. Nawet w czasach studenckich nie zaglądał do nich z taką częstotliwością jak w ciągu ostatnich dni. Nocne życie Warszawy wciągało, zamieniając popiół zwykłego dnia w diamentową ekstazę. Rozumiał to jak mało kto, odskocznia od codzienności była potrzebna nie tylko od święta.

Zamówił tonik bez dodatku procentów. Z braku innego zajęcia zaczął oglądać klubowe dziewczyny, które nader często zakładały nogę na nogę po to tylko, żeby po kilku sekundach zrobić zmianę kolan i pomachać w powietrzu stopami w butach na niebotycznych obcasach. Nie przysłuchiwał się rozmowom, trudno jednak było zamknąć uszy na piski i pełne podniecenia okrzyki towarzyszące wypijaniu kolejnego wykrzywającego twarz drinka.

Spojrzał na zegarek. Nie było jej już ponad dziesięć minut. Rozumiał, że czas przeznaczony na pudrowanie nosa można odliczać w godzinach, ale ich czas na odnalezienie Rubby kurczył się coraz bardziej. Obejrzał się za siebie, sprawdzając, czy nie zobaczy Sońki powracającej z dobrą wiadomością, ale nie było jej. Drzwi do WC również pozostawały zamknięte.

Kolor ścian zmienił się na trupio niebieski. Erwin dopił tonik i podszedł pod drzwi toalety.

Nacisnął klamkę. W środku było cicho, ściany musiały być dobrze wygłuszone, bo do wnętrza przebijały się tylko pojedyncze, mocno stłumione dźwięki muzyki.

– Sońka? – zawołał w przestrzeń.

Drzwi do kabin były pozamykane, ale wołał nie ciągnąć za klamki. Pochylił się, żeby sprawdzić, czy nie zobaczy gdzieś stóp w białych trampkach.

– Sońka, jesteś tu? – krzyknął ponownie.

Odpowiedziała mu cisza.

Zaczął popychać kolejne drzwi kabin, ale bez skutku. Sońka zniknęła.

\* \* \*

Mirek Pałacz położył dzieci spać i usiadł z piwem za biurkiem. Przez otwarty na oścież balkon wpadało nagrzone po całym dniu powietrze. Noc była gorąca, tak jak wtedy, gdy widział się

z Erwinem po raz ostatni. Pojawienie się w Polsce jego przyjaciela sprzed lat wywołało w nim dręczące poczucie winy, że do tej pory nie dbał o ich relację tak, jak powinien. Choroba, a potem śmierć Joanny mogła być usprawiedliwieniem, ale nie na tyle, żeby stanowić wymówkę przez kolejne cztery lata. Zapuścił się towarzysko i postanowił to zmienić. Pierwszym krokiem był powrót na Facebooka. Nie oczekiwał, że nagle jego życie ze społecznej pustyni zamieni się w kipiącą od znajomości amazońską dżunglę. Początkowo zaglądał tam raz dziennie, wieczorem, po skończonym zmywaniu garnków po kolacji i odrabianiu z dziećmi lekcji. Głównie po to, żeby zobaczyć, z jakimi dziewczętami pożenili się jego dawni kumple i gdzie wyjeżdżają na rodzinne wakacje. Nie przyznawał się do tego, ale im zazdrościł. Tak jak kiedyś zazdrościł Erwinowi i Izabeli tego, co ich łączyło. Czystego i wyjątkowego uczucia, miłości połączonej z pożądaniem i wielkim oddaniem. Ale Erwin okazał się frajerem, jakich mało. Świetnie pamiętał tę sytuację. Był dwa tysiące piąty rok, równą dekadę temu. Ostatni tydzień sierpnia i ich wyprawa na Mazury. Pojechali parami, on z Joanną, Erwin z Izabelą i najbliższy przyjaciel Erwina, Wiktor Korzycki, z Judytą. To miał być niezapomniany weekend w Mikołajkach. Izabela kochała Mazury, a Erwin kochał Izabelę. Kończyła wtedy dwadzieścia trzy lata, to miał być jego prezent dla niej – i przy okazji dla nich wszystkich.

Rozbili namioty nad samym jeziorem. Tały o tej porze roku były piękne. Na nocleg wybrali najdziksze i najbardziej odosobnione miejsce, z dala od domków letniskowych i przystani, przy których zwykły cumować pozostawione na noc łodzie. Gdy karimaty i śpiwory były już porozkładane, a konserwy stały w cieniu namiotowych tropików, otworzyli pierwszą butelkę. Wino było ciepłe po całym dniu drogi, wstawili je na kwadrans do wody. Dłużej nie chcieli czekać, pierwsze łyki z plastikowych kubków smakowały najlepiej. Potem odkorkowali kolejną butelkę i jeszcze jedną. Judyta wyciągnęła jointy. Nie liczyli, ile skrętów poszło na głowę. Tylko Joanna odmówiła. Nie rozumieli dlaczego, ale wszystko wyjaśniło się już po najgorszym.

Słońce chowało się za horyzontem, gdy wpadli na pomysł kąpieli dla ochrzczenia wyprawy. Plecaki wciąż stały nierozpakowane, a oni nie chcieli tracić czasu na szukanie strojów do pływania. Moralny przymus bycia poprawnym i dbania o konwenanse odpłynął wraz z wypitym winem. Zrzucili z siebie ubrania i na trzy-cztery wbiegli do wody. Białe piersi i pośladki dziewcząt odcinały się od ciemnej tafli jeziora. Nie zasłaniały się, nie czuły wstydu. We trzech patrzyli jak urzeczeni, kiedy zanurzały się i wyskakiwały ponad poziom wody, a krople spływały po ich nagich brzuchach aż do łona.

Kiedy Judyta rzuciła tę najgłupszą w świecie propozycję, żeby zamknęli oczy i zaczęli szukać się nawzajem po omacku, rozpoznając w wodzie swoje ciała, zgodzili się ochoczo. Wino zrobiło swoje. Nikt z nich wtedy nie przypuszczał, że ten szczeniacki pomysł całkowicie zmieni ich życie. Nikt z nich nie wiedział również, jak to się stało, że po kilku minutach piskliwego śmiechu i nurkowania na oślep zapadła cisza. Kiedy otworzyli oczy, Wiktor obejmował Izabelę

w talii i całował z taką namiętnością, jakby zapomniał o tym, że nie są sami, że obok stoi jego dziewczyna i najlepszy przyjaciel. Izabela się nie wyrywała, przywarła do niego całym ciałem i poddała natarczywym ruchom jego rąk. Była pijana i odurzona wcześniej wypaloną trawką, prawie nieprzytomna. Potem wszystko zadziało się szybko, bardzo szybko.

Erwin znalazł się przy Wiktorze w ułamku sekundy. Woda rozbryzgiwała się i piętrzyła pomiędzy zwierającymi się ciałami. Erwin stracił równowagę i znalazł się pod taflą jeziora. Spod wody wypływały bąble wypuszczanego z jego płuc powietrza, przeplatane urywanym krzykiem. Ale nie tylko ten krzyk było słycać.

Raz...

Dwa...

Trzy...

Palacz stał kilka metrów dalej z uniesioną w górze ręką. Co sekundę wysuwał kolejny palec i odliczał, jakby ten mały, zagrabiony przez nich skrawek jeziora przeistoczył się nagle w boksinerski ring.

Siedem...

Osiem...

Erwin wyrwał się spod luzującego się uścisku i wynurzył z wody. Kilka głębokich wdechów wystarczyło, żeby mógł stabilnie stanąć na nogach i zacisnąć ramię na szyi Wiktora.

Raz...

Dwa...

Trzy...

Erwinowi wydawało się, że trzyma głowę Wiktora pod wodą zaledwie parę sekund. Wiktor szamotał się i uderzał rękami o taflę jeziora, próbując wyswobodzić się i chwycić w płuca choćby jeden haust powietrza. Odliczanie Palacza rozdzierało ciszę przeplataną pluskiem szarpiącego się Wiktora.

Sześć...

Siedem...

Jedenaście...

– Przestań! Na miłość boską, przestań!

Krzyk dziewczyn dotarł do świadomości Erwina, gdy było już za późno. Ciało Wiktora przestało się ruszać, jego ręce unosiły się bezwładnie na falach.

Chwycili go pod ramiona i wyciągnęli na brzeg. Uciskanie klatki piersiowej i wtlaczanie powietrza w usta nie pomagały. Izabela wciąż krzyczała i biła Erwina pięściami. Wpadła w szal. Odepchną ją, zatoczyła się, ale wciąż trzymała się na nogach. Z obu stron padły złe słowa, takie, których nie da się cofnąć.

Karetka nie przyjechała, nikt nie wypisał aktu zgonu. Mieli w żyłach zbyt wiele procentów

i źrenice powiększone jak u nocnych kotów, żeby tej nocy ryzykować przesłuchanie na komisariacie i oskarżenie o utopienie człowieka. Nie mogli pozwolić sobie na to, żeby na ostatni rok ich studiów padł jakikolwiek cień. Judyta zaraz po studiach planowała otwarcie galerii, Joanna wyznała, że jest w trzecim miesiącu ciąży. Ustalili zgodnie, że Wiktor nie dotarł z nimi nad jezioro. Tak miało pozostać.

Ciało zakopali w lesie. Grób ubili butami i przysypali igliwem. Razem.

Potem ktoś zaproponował, żeby rozpalić ogień. Noc była zimna. Szczękali zębami, nikt nie miał ochoty na sen. Usiedli przy niewielkim stosie płonącego drewna. Wszyscy, z wyjątkiem Izabeli. Bała się ognia i wołała nie podchodzić zbyt blisko. Przycupnęła bezpiecznie za plecami Joanny. Nie patrzyli sobie w oczy. Zwłaszcza Erwin i Izabela nie mieli już sobie nic do powiedzenia.

Dochodziła trzecia w nocy, gdy dziewczyny poszły razem do namiotu i zasunęły za sobą zamek. Przy wygasłym ognisku zostali we dwóch. Erwin nie mógł sobie znaleźć miejsca. Rozmowa też się nie kleiła. Dopalił papierosa i rzucił peta w ogień, tuż obok stopionego przez płomień telefonu Wiktora. Wstał z przewalonego pnia i poszedł do swojego namiotu. Po chwili wyszedł z niego z plecakiem przerzuconym przez ramię.

– Spadam stąd, Palacz – powiedział, patrząc na jezioro.

– To nie twoja wina, stary. – Głos Mirka był ledwie słyszalny. – Wszyscy go zabiliśmy.

Erwin pokręcił głową, nie odrywając wzroku od miękkich fal jeziora.

– Zginął przeze mnie. Zamordowałem człowieka, rozumiesz?

Palacz podniósł się z ziemi i stanął tuż obok przyjaciela.

– Każdy nawalił po swojemu. Wszystko potoczyło się inaczej, niż powinno.

– To miał być zabójczy wypad, który mieliśmy pamiętać do końca życia. Jak widać, dotrzymuję obietnic.

– Posłuchaj mnie uważnie, Cis. Nikt się nie dowie, co tu się stało. Wiktor po prostu w ostatniej chwili zrezygnował i nie przyjechał z nami. Od zawsze miał nierówno pod czaszką, więc to nie powinno nikogo zdziwić. O jego rzeczy się nie martw, zajmę się wszystkim. Znikną tak samo jak on. Rozumiesz?

Erwin nie rozumiał. Poklepał Palacza po ramieniu i bez słowa ruszył w kierunku lasu. Gdy wszedł na ścieżkę prowadzącą pośród drzew, zatrzymał się i zrobił kilka kroków w bok. Przystanął nad świeżo ubitą ziemią przysypaną igliwem i zdjął z szyi srebrny krzyżyk. Powiesił łańcuszek na najniższej gałęzi świerka, który wyrastał nad zakopanym ciałem Wiktora.

Stał jeszcze przez chwilę, zbyt krótką, żeby zmówić modlitwę. Poprawił zwisający z ramienia plecak i zniknął między drzewami.

Rodzina zgłosiła zaginięcie Wiktora po tygodniu. Do tego czasu wierzyła, że wyjechał gdzieś w Polskę i odezwie się przy najbliższej okazji. Przesłuchania znajomych i przyjaciół nie wniosły

do śledztwa nowych wątków. Ogłoszenia w prasie, do których dołączane było zdjęcie łagodnej twarzy Wiktora, prowadziły w ślepe uliczki.

Palacz potarł rękami twarz. Cień, który padł na paczkę ich przyjaciół, prześladował każdego z nich z osobna, nie mogło być inaczej. Jednak o tym, co zaszło, już nigdy więcej nie rozmawiali. Każdy zajął się sobą, on też chciał zacząć żyć normalnie.

Z biegiem lat ciężące nad nim widmo śmierci Wiktora wyblakło, nawet jego twarz zatarła się w pamięci. Policja usłyszała od nich kłamstwo, które powtórzone przez wszystkich jednakowym głosem w aktach sprawy uznano za prawdę.

Lepiej do tego nie wracać.

Odjechał krzesłem od biurka i zajął pod blat. Laptop dla Erwina był gotowy.

\* \* \*

– Roxy nie wspominała, że ma długi. – Mało przyjazny męski głos w słuchawce przebijał się z trudem przez dzikie rytmy dochodzące z głębi klubu. – Nic o tym nie wiem i, szczerze mówiąc, głównie mnie to obchodzi.

Erwin ostentacyjnie westchnął do mikrofonu komórki.

– Panorama Club to takie ładne miejsce. Po co robić zamęt przez jedną tancerkę? Z takiego zamieszania to tylko smród... Ja chcę po prostu odzyskać to, co moje.

– Powtarzam, że ja nic... Kim pan w ogóle jest?

– Powiedzmy, że fanem dobrej zabawy. Lubię się bawić do upadłego, a jedna z waszych dziewczyn zakłóciła mój dobry nastrój. Policzyła sobie samowolnie potrójną dolę za prywatny taniec. A ja wyjątkowo nie lubię, jak się mnie robi w konia.

W słuchawce poza wybijanym rytmem słychać było stłumioną rozmowę. Po chwili Erwin usłyszał chrząknięcie.

– Nasze dziewczyny nie oferują prywatnych tańców, pomyliłeś miejsca, stary. To porządny lokal.

– Jasna sprawa. Chcę się tylko dowiedzieć...

– Poza tym Roxy już u nas nie pracuje.

Erwin doskonale wiedział, że Roxy od kilku dni leżała w kostnicy. Nie potrzebował jej ani żywej do spłacania nieistniejącego długu, ani tym bardziej umarłej.

– Gdzie ją znajdę?

– Ożeż kur...! Zaraz!

Znów rozmowa w tle, tym razem dłuższa. Kobięcy głos, na zmianę z męskim, przebijał się przez rytmy czegoś, co przypominało murzyńskie walenie w bębny podczas suszy. Głos

w słuchawce powrócił po zakończonej serii uderzeń.

– Nie wiem, czy coś z niej wydebisz, koleś. Ale to już nie moje zmartwienie.

– Gdzie?!

– Świętego Wincentego 83, będzie tam jutro w samo południe.

Nadzwyczaj uprzejmy męski głos i dzika muzyka ucichły.

Erwin odetchnął z ulgą. Dostał to, czego chciał. Odłożył komórkę na nocny stolik i spojrzął na zegarek. Dochodziła druga w nocy. Zrzucił adidasy i zdjął podkoszulek. Dżinsy i skarpety wylądowały pod łóżkiem.

Zgasił nocną lampkę i wyciągnął się w chłodnej pościeli. Zapach Izabeli powoli ulatniał się z poduszki. Wcisnął nos w poszewkę i zamknął oczy. Wydawało mu się, że słyszy zza ściany znajomy już terkot czegoś mechanicznego, czegoś, co włączało się każdej nocy o tej samej porze. Izzy także musiała to słyszeć za każdym razem, kiedy wpatrywała się w rozpiętą na suficie panoramę Hamburga. Przez krótką chwilę znów poczuł, że jest coś, co ich łączy, choćby to była tak banalna sprawa jak trzaski w starych murach i widok betonowego miasta na plakacie. Zrobiło mu się przyjemnie.

– Przyjdź do mnie, Izzy. Gdziekolwiek jesteś, po prostu przyjdź – wyszeptał i zapadł w sen.

\* \* \*

Znów cmentarz, jakby jego życie miało od tej pory składać się z wiecznej wędrówki po najbardziej smętnych miejscach Warszawy. Bródno, wąskie alejki i pełno krzyży. Z oddali dochodził dźwięk kościelnego dzwonu i cichy śpiew księdza prowadzącego żałobny kondukt.

Erwin nie chciał być widoczny. Szedł w bezpiecznej odległości, żeby nie rzucać się w oczy, a jednocześnie obserwować ubranych na czarno ludzi sunących pomiędzy grobami. Szli nieśpiesznie, noga za nogą, w rytm *Dobry Jezu, a nasz Panie*.

Trumna ze zwłokami Roxy podążała do miejsca ostatecznego spoczynku, a za nią matka, ciotki i cała czereda znajomków, na co dzień barwnych, dziś odzianych w czerń i nawet stosunkowo skromnych, nie licząc kilku gwiazd w małych czarnych i niebotycznych szpilkach. Opierały się o mężczyzn w wieku poborowym, ubranych w ciemne garnitury i obcisłe spodnie.

Dzieliła ich odległość ośmiu, dziesięciu grobów. Gdy kondukt go minął, Erwin przeskoczył ramę ciasno wciśniętego grobu i dołączył do pozostałych. Szedł parę kroków za nimi. Swój-nie swój, ni brat, ni swat. Ważne, że w porządnym ubraniu i z pożegnalnym kwiatkiem w dłoni. Jakaś kobieta odwróciła się na chwilę i spojrzała mu w oczy. Spuścił wzrok i wbił go w piaszczystą alejkę. Roxy była przecież i jego znajomą. Co z tego, że widział ją przez minutę i nie miał pojęcia, jakie było jej prawdziwe imię.

Nie spodziewał się, że tancerka z klubu ma aż tylu przyjaciół. Samej rodziny była zaledwie

garstka, reszta to kumple chowający się za przyciemnionymi szklami ray-banów.

Gdy zebrali się wokół rozkopanego grobu, stanął w ostatnim rzędzie, tylko tak mógł poprzyglądać się żałobnikom. Chudzi, grubi, mizerni, bladzi i opaleni pierwszymi promieniami lata. Każdy był z innej bajki. Szczegółne zbiorowisko ludzkiego bólu i cementarnej mody. Ale Erwin szukał tylko jednej twarzy, która wczorajszego wieczora zniknęła mu z pola widzenia.

Wypatrzył ją wciśniętą między dwóch roślących, młodych mężczyzn. Sońka rozglądała się, jakby to, co działo się po jej bokach, ważniejsze było od ułożonej na pryzmie piachu trumny. Wychwyciła jego spojrzenie i skuliła ramiona. Nogi w białych trampkach dyskretnie wyminęły mężczyzn i drobnym krokiem skierowały się w stronę alejki. Nie zdążyła postawić stopy na asfaltowej ścieżce, gdy nagle poczuła szarpnięcie za ramię.

– Puść! – wyszczała.

Chciał pociągnąć mocniej, ale pisnęła tak, że kilka osób odwróciło się w ich stronę. Uspokoila ich swobodnym uśmiechem ludzi bez dwóch przednich jedynek.

– Masz rzadko spotykaną zdolność rozpływania się w powietrzu. – Głos Erwina dotarł wprost do ucha Sońki. – Tylko że ja nie wierzę w żadnego pieprzonego Houdiniego, rozumiesz?

– Puść, do diabła! – Sońka poruszyła łopatkami, chcąc wyswobodzić się z uścisku. – To boli, serio!

Puścił, ale tylko po to, żeby chwycić ją za przegub ręki i odciągnąć kilka metrów, tuż pod posąg białego anioła z rozłożonymi skrzydłami i dłońmi złożonymi do modlitwy.

– Gdzie, do cholery, wczoraj zniknęłaś?! Wypiłem chyba ze dwa litry toniku, czekając, aż łaskawie spuścisz wodę w sedesie i przyprowadzisz Rubby.

– Mów ciszej! – zganiła go, odwracając kontrolnie głowę w stronę rozkopanego grobu. – Nie mogłam przyprowadzić Rubby. Jej już nie ma.

– Jak to „nie ma”?! Wyparowała?

– Mniej więcej. Podobno wyjechała. Daleko.

Gdy to mówiła, zadrzał jej głos. Erwin nie miał wątpliwości, że coś przed nim ukrywa.

– Pomożesz mi odnaleźć inną dziewczynę – powiedział Erwin, patrząc ponad głowę Sońki, jak trumna z Roxy zsuwa się na linach do grobu. – Obiecałaś. Przecież Rubby nie była jedyna.

– Daj mi spokój, Erwin. – Sońka niepewnym ruchem schowała włosy za ucho. Jej ręce wydawały się chudsze niż w dniu, w którym ją poznał. – Nie nadają się do tego. Nie chcę mieć z tym już nic wspólnego. Pasuję.

Bała się. Trzęsły się jej kolana, kiedy to mówiła. Jeśli wczorajszej nocy uciekła przez okno w klubie, dlatego że przeczuwała, że coś jej grozi, zapewne miała rację. W ciągu ostatnich dni straciła Roxy i Rubby. Dwie dziewczyny, które, podobnie jak ona, siedziały po uszy w seksbiznesie nocnej Warszawy.

– Uspokój się. – Erwin zmienił ton na dużo łagodniejszy. – I powiedz mi prawdę. Chcę

wiedzieć, co się dzieje.

Sońka oparła ramię o wystające skrzydło nagrobnego anioła.

– Roxy chciała odejść. To miał być jej ostatni występ. Chciała zerwać z klubem i z życiem, jakie prowadziła. Zacząć wszystko od nowa. Była przecież niegłupia, rok temu zdała maturę.

– Chcesz powiedzieć, że jej śmierć nie była przypadkiem?

– Nie wiem na pewno, ale zastanów się, Erwin. – Sońka przygryzła policzek. – Roxy zginęła w wypadku. Dziewczyny, które rezygnują ze współpracy, nagle rozpływają się w powietrzu. Nie chcę już ich szukać. Nie chcę dowiadywać się, co się z nimi stało. Za bardzo boję się tego, co usłyszę. Dlatego związałam. Bardziej przed samą sobą niż przed tobą, Erwin.

Cis pokiwał głową i zrobił znak krzyża razem z pozostałymi żałobnikami. Umiał się zachować w każdej sytuacji.

– Mam nadzieję, że przynajmniej wzięłaś taksówkę, kiedy wyskoczyłaś przez okno w klubie, zamiast włóczyć się po mieście o tej porze.

– Że niby martwiłeś się o mnie? – To miało zabrzmieć lekko i niefrasobliwie, ale w ustach Sońki dało się słyszeć wzruszenie.

– Może i tak. Byłaś tam ze mną i pod moją opieką.

Erwin nie miał pojęcia, dlaczego to powiedział. Przecież miał ją jeszcze nie tak dawno za przynętę, część planu. Tymczasem jej kruche, smarkate ciało obleczone w posępną czerń wywoływało w nim falę czułości.

– Daj spokój, Erwin. Nikogo nie obchodzę. Mogę być i równie dobrze może mnie nie być wcale. Z takimi jak ja nikt się nie liczy.

Jeśli te słowa miały poruszyć coś, co ludzie nazywają sumieniem, to plan się powiódł.

– Mnie obchodzisz. Może to głupie, ale naprawdę się wystraszyłem, kiedy zniknęłaś.

– Mówisz poważnie? – Głos Sońki drżał coraz bardziej. – Bo widzisz, ja myślałam, że jestem dla ciebie tylko... że nie jestem niczym więcej niż... Wolałam zniknąć, żeby o tym nie myśleć i na ciebie nie patrzeć. Nawet jeśli miałabym skończyć pod mostem...

– Przestań. I nie becz. Albo becz, tu nikt nie będzie się dziwił. Jak się wypłaczesz, to wróc. Wiesz dokąd. Twoje miejsce na kanapie wciąż jest wolne.

– Serio? – W oczach dziewczyny pojawiła się iskra. – Chcesz, żebym wróciła na Ptasia?

– Serio, serio. – Szturchaniec Erwina wwiertł się w jej żebro. Płacz Sońki zamienił się w dyskretny chichot. – Mamy przecież umowę. Jesteś mi potrzebna.

– Nigdy nikomu nie byłam do niczego potrzebna. Chyba że tylko do jednego.

Na wspomnienie wspólnie spędzonej nocy Erwin poczuł dwa równoległe dreszcze: jeden był, owszem, przyjemny, ale drugi wywoływał w nim poczucie kosmicznego wstydu.

– Z tym koniec. To było głupie, więcej się nie powtórzy. Do klubu też już nie wracaj, to nie jest miejsce dla ciebie. Powinnaś za rok zdawać maturę, a nie grzebać facetom w portkach.



– Tatuńcio? – Figlarne oczy Sońki zaświeciły się jak na zawołanie.

– Gdybym był twoim ojcem, sprabym ci tyłek jak złoto. Po pogrzebie masz iść prosto do domu. Lepiej, żebyś nie szukał cię znów po całym mieście. *Capito?*

– Uhm, *capito*.

Zostawił ją na cmentarzu. Uśmiechniętą mimo mało radosnej sytuacji, z czerwonym kwiatem w garści, który kupił przed cmentarną bramą, a którego gatunku zupełnie nie znał. Ale to nie miało najmniejszego znaczenia. Znalazł Sońkę żywą i tylko to się liczyło.

\* \* \*

Simone wyłączyła tempomat w mercedesie i zwolniła do stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Wycieraczki zbierały osadzające się na szybie ostatnie krople deszczu. Pruszków przywitał ją dopiero co zakończoną ulewą i rześkim powietrzem.

Poruszyła niespokojnie łopatkami. Drewniane koraliki pokrowca na siedzeniu kierowcy rozkosznie masowały napięte mięśnie ramion.

Szybkie spojrzenie na GPS, a następnie na lokalizator telefonu Erwina wywołało na jej twarzy gorzki uśmiech. Za niespełna dwadzieścia kilometrów będzie na miejscu.

Nienawidziła Warszawy. Mogłaby pokochać ją tak jak Erwin, ale to miasto kojarzyło się Simone z jego przeszłością. Wiedziała o nim tylko tyle, że tu było mu dobrze. Kiedyś i z kimś innym. Nie z nią. To wystarczyło, żeby wypracowywana przez lata niechęć urosła do monstrualnych rozmiarów. Nie znała tu nikogo i nie zamierzała tego zmieniać. Nie chciała należeć do tego świata w najmniejszym choćby stopniu. To tu działo się wszystko to, czego przez lata nie potrafiła wybić Erwinowi z pamięci. Przecież robiła, co mogła. Była cała dla niego i dla ich syna, Karla.

Jechała z wyłączonym radiem, wpatrzona w szary pas drogi. Zgasła je, gdy tylko przekroczyła przejście w Świecku. Chciała się skupić na tym, co zamierzała zrobić. Dobrze, perfekcyjnie, po niemiecku. Droga na Warszawę jej nie interesowała, zupełnie jakby cały świat po tej stronie granicy składał się z dźwiękoszczelnych ekranów ustawionych po obu stronach jezdni. Była tylko Simone, Erwin i ta trzecia. I schowany w bagażniku, tuż obok zapasowego koła, mały metalowy przedmiot załadowany dziesięcioma kulami.

Pomyślała o nim i o ojcu, kiedy minęła przydrożną tablicę informacyjną z napisem „Warszawa 15”.

\* \* \*

W Mecie Secie przy Foksal było prawie pusto, nie licząc sprzątaczkę z mopem i kelnerki pucującej stoliki. Za wcześnie na popołudniową czystą, za późno na serwowany na lunch bigos

za całe dziewięć złotych. Kto miał zjeść, zjadł. Kto miał przyjść na głębszego, jeszcze nie dotarł.

Erwin usiadł na stołku, który kilka dni temu okupował Palacz. Najlepsza miejscówka w całym barze, z widokiem na wchodzących i na to, co dzieje się za oknem.

Dochodziła czwarta po południu, kiedy przez otwarte na oścież drzwi wparował Palacz, ciągnąc jedną ręką młodszą ze swoich pociech, a taszcząc pod drugą to, co Erwina interesowało najbardziej.

– Do zwrotu. – Palacz położył laptopa na wąskim blacie i przetarł rękawem bluzy lekko wytarty napis Vaio. – I żadnych wirusów, jakby ci się zachciało wchodzić tam, gdzie nie powinieneś.

– Strony XXX Free Porn są zwykle bezpieczne.

– Dżizas, ale z ciebie psychol, Cis! – Mirek zasłonił uszy syna. – Tego laptopa ma wkrótce dostać mój najstarszy. Niech cię ręka boska broni!

Erwin poklepał małego po policzku.

– Powiedz tacie, żeby przestał szaleć.

Wyszedł, zanim Palacz zdążył otworzyć usta. Chciał jak najszybciej wrócić do mieszkania. Zawartość pendrive'a Izabeli nie mogła czekać ani minuty dłużej.

\* \* \*

Gudrun Lang wyjęła ze skrzynki na listy korespondencję i weszła po schodach na pierwsze piętro kamienicy. Karl miał być w przedszkolu do drugiej po południu. Plan dnia był regulaminowy: śniadanie, zaprowadzenie wnuka do przedszkola i odebranie go po obiedzie. Potem wspólnie spędzony czas nad grą planszową i docieranie statkiem na nieznane lądy. Czerwony pionek dla Karla, zielony dla babci. Nigdy odwrotnie.

Powrót do mieszkania Simone i Erwina nie należał do najłatwiejszych. Miejsce było nad podziw piękne i zewsząd docierało do pokoi świeże powietrze znad pobliskiego parku, ale od dnia, w którym Gudrun dowiedziała się o planach córki, zdawało jej się, że jest gęste i ciężkie. Wyjazd do Polski w gniewie nie był dobrym pomysłem. Kiedy żegnała się z Simone o świcie, wciąż miała nadzieję, że ta zrezygnuje i zostanie z synem. Simone miała jednak zupełnie inne plany.

Gudrun postawiła na stole torbę z porannymi zakupami i nastawiła wodę na kawę. Nigdy nie czuła się dobrze w tym miejscu. Była tu obca, co córka dawała jej odczuć nazbyt często. Poza tym Simone nigdy nie zaproponowała jej nawet, żeby trzymała w kuchni swój kubek, co było nie do pomyślenia w ich rodzinnej tradycji. Można było nie mieć swojego pokoju, swojej szcoteczki do zębów czy kapci, ale odebranie własnej matce przywileju posiadania osobistego kubka do kawy było ostentacyjnym wyrazem lekceważenia.

Wybrała więc najlepszy, z chińskiej porcelany. Najdroższy i najstarszy. Nawet się nie zastanawiała, tylko zalała wrzątkiem fusy i postawiła naczynie na kuchennym blacie, na samym jego brzegu. Gdyby nawet niechcący się stłukła, Simone pewnie i tak nie zauważyłaby braku jednej skorupy, była całkowicie pochłonięta swoim życiem i parciem na szeleszczące banknoty. Gudrun nigdy tego nie rozumiała. W jej rodzinnym domu żyło się skromnie, ale godnie. Przed pieniądzem zawsze był człowiek i wszystko to, co Simone określała naiwnym sentymentem.

Rozejrzała się za mlekiem. Nie znalazła go w lodówce, zajrzała więc do szafek pod blatem. Nazywała je wrzutniami na patelnie i pokrywki.

Stęknęła i ruszyła w kierunku małej spiżarni schowanej w ścianie obok lodówki. Simone chyba nigdy nie zdarzyło się trzymać tam zapasów mąki czy marmolady. Półki zwykle zavalone były nadprogramowo kupionymi butami, torebkami i paskami. W dolnej części, nad podłogą, leżała żelazna rezerwa ręczników papierowych. Simone nie uznawała ścierek wielokrotnego użytku. Śmierdziały wilgocią i lepily się do rąk.

Obok ręczników stały zafoliowane kartoniki z sokiem pomarańczowym dla Karla – kupione na zapas w hurtowych ilościach, żeby nie musiała pamiętać o takich głupstwach każdego ranka. Gdzieś w pobliżu zwykle trzymała zgrzewki mleka.

Gudrun odsunęła kartoniki z sokiem. Po omacku natrafiła palcami na coś tekturowego. Wiara w to, że za chwilę jej stygnąca kawa zabieli się od kilku kropel mleka, wprowadziła ją w radosny nastrój. Doda jeszcze łyżeczkę cukru i uzna dzień za rozpoczęty.

Pudełko zdało jej się jednak nazbyt miękkie, do tego leżało pod stertą innych kartonów. Nie chcąc robić bałaganu poprzez wyciąganie z piramidy elementu położonego najniżej, otworzyła szerzej drzwi spiżarni i wpuściła do środka nieco więcej porannego światła.

Teraz widziała już wyraźnie, że to, czego szukała, nie było wysokołoszczowym mlekiem. Pod samą ścianą leżało pudełko z jakimś napisem. Wzięła je do ręki. Napis na kartonie rzeczywiście zaczynał się na M. M jak *Makarov*. Na wieczku zaś nie było narysowanej krowy ani uśmiechniętego dziecka, lecz naboje. Gudrun nie dowierzała własnym oczom. Wiedziałyby przecież, gdyby Simone ćwiczyła na strzelnicy. Była mało wylewna, jeśli idzie o uczucia, ale niewątpliwie chwaliłaby się trafieniami w dziesiątkę. Odgrywanie twardzielki zarządzającej światem było jej drugą naturą.

Uchyliła wieczko. Z kompletu pięćdziesięciu sztuk brakowało dziesięciu nabo. Przeliczyła dwukrotnie, na pewno dziesięciu. Pełen magazynek.

– Co ty chcesz zrobić, Simone...? – wymamrotała do siebie w przerażeniu. Starła się zachować zimną krew, ale jej kolana ugięły się i ukłękła na chłodnej podłodze.

Gdy minął pierwszy wstrząs, poderwała się z posadzki i dopadła do swojej torebki. Przez chwilę zawahała się, próbując wyobrazić sobie następstwo tego, co zamierzała zrobić. Nie miała jednak wyboru.

Wyjęła z torebki telefon komórkowy i odszukała listę z kontaktami. Na próżno próbowała odnaleźć w niej zapisany numer Erwina. Zniknął wraz z całą historią połączeń do męża Simone.

\* \* \*

– Musimy pogadać. – Erwin przesunął nogi Sońki, które zawisły niebezpiecznie na skraju łóżka. Jeden nieuważny ruch, a znalazłaby się na podłodze.

Zmarszczyła nos. Chwilę wcześniej umościła się na tyle wygodnie, że przesunięcie stóp o kilkanaście centymetrów spowodowało dyskomfort.

– Daj mi spokój, człowieku. Nie teraz. Nie spałam od dwóch dni. Pogadamy, jak się obudzę, czyli najwcześniej pojutrze.

Jednym pociągnięciem wyrwał jej poduszkę spod głowy, co jeszcze bardziej ją rozjuszyło. Poderwała się i wyciągnęła rękę po jaśka.

– Nie wkurzaj mnie! Ledwo patrzę na oczy. Nie kontaktuję, rozumiesz?

Ręka dziewczyny zaczęła omdlewać, ale podparła ją drugą i z uporem przebierała w powietrzu palcami.

– Jezu, Erwin! Poduszka! I tak nic ze mnie nie wyciśniesz. Dziś Sońka już nic nie robi. Sońka chce spać!

Ręce zmieniły pozycję i złączyły się pod prawym uchem. Z ust dziewczyny wydobył się przeciągły chrapot – gdyby ktoś nadal nie wiedział, o co jej chodzi.

Erwin poczekał, aż przedstawienie dobiegnie końca. Tym razem bez oklasków i bisów.

– Mamy deal, pamiętasz?

– Coś mi się kołacze po głowie – baknęła, ledwie rozchylając usta.

– Musisz uruchomić swoje zwoje mózgowe.

Sońka ziewnęła przeciągle i opuściła głowę na ramię.

– Ale męczysz. Mów, byle szybko. Za chwilę zapomnę, jak się nazywam.

Erwin przysiadł na brzegu łóżka.

– Nie bój się, nie każę ci już wyszukiwać dziewczyn po nocnych klubach. Jutro wieczorem wyciągniesz z domu starego Wirskiego. Mieszkają przy Jelinka.

Sońka poruszyła się nerwowo.

– Po co?

– Nieważne. Nie twoja sprawa.

Gwałtowny ruch głowy dziewczyny mówił co innego.

– Umówiliśmy się chyba, że gramy w jednym zespole? Nadal masz mnie za idiotkę, której nie chcesz nic mówić o swoich zamiarach? No tak... Jasne, że tak. – Senność nagle odeszła. Sońka podkurczyła nogi i zaczęła nerwowo strzelać stawami w dłoniach. Nie jej sprawa. Słyszała to już

tysiące razy. Dokąd idziesz? Nie twoja sprawa. Wrócisz? Nie twoja sprawa. Powiesz mi, jak długo ze mną zostaniesz? Nie twoja sprawa. – Wiesz co, Erwin? Wal się!

Zsunęła nogi z łóżka i wcisnęła stopy w czarne balerinki. Poprawiła ramiączko dyżurnej czarnej sukienki. Tej samej, w której Erwin spotkał ją w Panoramie i w której chowała Roxy.

– Poczekaj.

Schyliła się w poszukiwaniu rzuconej gdzieś na podłogę torby. Udawała, że go nie słyszy. Gdzie ta cholerna torba?

– Poczekaj, mówię – powtórzył i w ostatniej chwili złapał ją za przegub dłoni.

Szarpnęła się. Wykręcona ręka zabolęła. Sońka pisnęła, ale zaraz wróciła do formy.

– W dupie cię mam, rozumiesz?! Baw się sam i w ogóle wszystko załatwiasz sam. Daj mi święty spokój i nie szukaj mnie więcej po mieście!

– Przepraszam.

Nachyliła się w jego stronę i nadstawiła ucho w teatralnym geście.

– Co mówisz?

– Po prostu skończ już te wygłupy. Mieszanie cię we wszystko może ci tylko zaszkodzić, a ja nie nadaję się na niańkę.

– Ale wypieprzyć mnie mogłeś? Do tego się nadawałam, tak?

Nie mogła wybrać lepszego argumentu.

Erwin schował twarz w dłoniach.

– Powtarzam po raz setny, że nigdy więcej tego nie zrobię, nawet gdybyś prosiła na kolanach.

– Na kolanach? Możesz się nie doczekać. Albo mówisz teraz, o co chodzi, albo stąd spadam.

Wybieraj, to twoja ostatnia szansa, choćbym miała spać pod mostem.

Gdyby miał papierosa, zapaliliby. Pusta paczka vincesterów leżała w kubie na śmieci, a o kupnie nowej zapomniał.

– Dobrze zatem. – Erwin musiał dać za wygraną. Sońka usadowiła się wygodnie na łóżku na wprost niego i siedząc po turecku, podparła rękami brodę. Czekala na kolejny odcinek serialu. – Wiesz, po co tu przyjechałem.

– Izabela – odpowiedziała bez namysłu.

– Właśnie. Wirski to jej ojciec. Człowiek, który utopiłby mnie w łyżce wody bez mrugnięcia okiem.

– Hmm... przykre. Jak można ciebie nie lubić? – Sońka otworzyła szeroko usta, co miało w oczywisty sposób pokazać, jak bardzo jest zszokowana. Równie dobrze mogłaby grać w amatorskim teatrze drzewo z wystukaną przez dziecięcia dziuplą, nie byłoby większej różnicy.

– Nie musisz komentować, po prostu siedź na tyłku i słuchaj.

Dziupla się zamknęła.

– Stary Wirski nie mógł przeboleć, że jego córka i ja jesteśmy parą. Izabela wyprowadziła się

z domu. Przez jakiś czas mieszkaliśmy razem. Nie, nie tutaj, to było zupełnie inne miejsce. Nikt się do nas nie wtrącał. Wszystko zaczęło się psuć pewnego lata.

– Nawaliłeś ty czy ona?

– Miałas się nie odzywać. Nieważne, kto nawalił. Rozstaliśmy się. Wyjechałem do Hamburga. Po latach dostałem telefon, że Izzy, to znaczy Izabela, zostawiła mi przesyłkę i wiadomość. Spotkałem się z jej adwokatem, a następnie dowiedziałem się że Izzy nie żyje. Popełniła samobójstwo niecałe dwa miesiące temu.

– A ty pewnie nie wierzysz, że naprawdę mogła to zrobić?

– Znałem ją. Kochała życie i wiem, że nigdy nie podjęłaby takiej decyzji. Ale wiele się u niej pozmieniało i teraz niczego już nie jestem pewien – dodał, mając w pamięci słowa napisane przez Izabelę. – To, co zawierała przesyłka, znasz już na pamięć. Nie muszę ci tłumaczyć, w jaki interes weszła. Nie jesteś aż tak naiwna, żeby się tego nie domyślić.

Sońka podciągnęła kolana i oparła na nich brodę.

– Domyślałam się tego od samego początku. Widzisz, Erwin, ja znam ten świat lepiej, niż ci się wydaje. Jeśli ta twoja Izabela wplątała się w szmugiel dziewczynami, nie wykluczałabym tego, że w końcu pękła i postanowiła ze sobą skończyć. Nie ona pierwsza i nie ostatnia.

– Co masz na myśli?

– Przecież wiesz. Wiele takich jak ona próbowało się uwolnić z tego przeklętego interesu. Niektóre dawno już przestały chodzić po tym świecie. Jeśli Izabela nie odeszłaby z niego sama, na własnych warunkach, oni by jej w tym pomogli.

– Po co więc chciała, żebym przyjechał i zaczął jej szukać?

– Może było inaczej. Decyzję o samobójstwie podjęła nagle, pod wpływem chwili. Kiedy zostawiała ci przesyłkę, nie wiedziała jeszcze, co się z nią stanie. Może postanowiła ukryć się gdzieś, przeczekać, ale potem zadecydowała, że śmierć będzie dla niej najlepszym rozwiązaniem. Koperta została u jej prawnika, a ty ją odebrałeś, po prostu.

– Mimo to nie wierzę w jej samobójstwo.

– Chcesz udawać przed samym sobą, że ona wciąż jest wśród żywych? To obłąd!

– Nie zrozumiałaś mnie. Powiedziałem, że nie wierzę, by sama spowodowała wypadek. Jeśli zginęła, ktoś musiał jej w tym pomóc. Jeśli wciąż żyje, muszę dowiedzieć się, gdzie jest i co się z nią dzieje.

– Na razie chyba nie idzie ci najlepiej – wyrwało się Sońce. Zamilkła natychmiast, widząc, jak żyłka na czole Erwina zaczęła niebezpiecznie pulsować.

– Jest jeszcze coś. Byłem przy jej grobie i widziałem tablicę z jej nazwiskiem i datą śmierci. Ale Bóg mi świadkiem, że nie potrafię uwierzyć, że to jej prochy znajdują się w cmentarnej niszy.

Sońka poruszyła się niespokojnie, chwyciła za chude kolana i zakołysała, jakby jej ciało

zamieniło się w łódź unoszącą się na falach jeziora. Erwin nawet tego nie zauważył. Był w innym świecie, gdzie życie spotyka się ze śmiercią lub wielkim oszustwem.

– Wiem, jak to brzmi. Ale widziałem nagranie z kremacji ciała. Za szybą w spalarni siedziała dziewczyna. Nagranie było mało wyraźne, ale wyglądała jak Izabela. Gdyby nie zdrowy rozsądek, który podpowiada mi, że to, co zobaczyłem, jest niemożliwe, założyłbym się z każdym i o wszystko, że to była ona.

– Dziwne to, całkiem popaprane. Co w związku z tym zamierzasz zrobić?

– Nie ja. Ty. Co tydzień, w każdy czwartek, ktoś dzwoni do Wirskich o ósmej wieczorem. Nie odzywa się, nie mówi ani jednego słowa, jakby chciał jedynie usłyszeć głos Wirskiej. To ona zwykle odbiera telefon. Wirska jest przekonana, że ktoś celowo im dokucza.

– A ty myślisz, że to dzwoni Izabela?

Głos Sońki zlągodniał. Nie rzucała się i nie drwiła. Jej twarz była posępna i pełna autentycznego współczucia.

– Sam nie wiem, co o tym sądzić. Ale chcę tam być. Jutro jest ten dzień. Nic jednak nie zrobię, jeśli w domu będzie jej mąż.

– Mam go wyciągnąć, żebyś mógł tam wejść?

– Właśnie.

Sońka oblizwała wargi i przeciągnęła się, pokazując ledwie odrośnięte włoski pod pachami.

– Zrobi się – powiedziała i padła jak długa na poduszkę.

– Dasz radę?

– Przestań. – Sońka umościła się wygodnie i wtuliła policzek w pościel.

– Jeśli nawalisz...

Ani drgnęła. Rozchyliła tylko usta i z trudem zaczęła poruszać językiem.

– Nie nawalę, masz moje słowo. Również o ósmej możesz śmiało wmaszerować do rodzinnego domu swojej ukochanej.

– To jest moja jedyna szansa, wiesz o tym?

– Nie męcz, Erwin. Po prostu wbij tam, jak ustaliliśmy. A teraz znikaj, chcę się wreszcie wyspać.

Erwin wycofał się z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Sońka chyba nie do końca odróżniała sypialnię od wyznaczonego jej miejsca na kanapie w salonie. Wyjaśni jej to z rana.

Ekran jego telefonu pozostawionego na nocnym stoliku rozbłysnął w ciemności. Ktoś dzwonił, ale Erwin i tak nie usłyszałby sygnału. Wyciszony przez Sońkę głośnik nie mógł przeszkodzić jej w zasypianiu ani tym bardziej przedrzeć się przez zatrzaśnięte drzwi sypialni.

## ŚMIERĆ DRUGA

Erwina obudziło znajome terkotanie. Najpierw jedna seria odgłosów, potem kolejna. Powtarzały się każdej nocy, dochodziły nie wiadomo skąd i po kilku minutach cichły. Odruchowo spojrzął na zegarek. Kwarcowe wskazówki Longinesa pokazywały drugą w nocy.

Za oknem miasto tonęło w mroku. Słońce tego dnia miało wstać o czwartej czternaście. Nie miałyby to dla Erwina żadnego szczególnego znaczenia, gdyby przyszło mu spać w łóżku Izzy, a nie gnieździć się na wąskiej kanapie w salonie. W sypialni żaluzje były zasłonięte na stałe. Tu w oknach wisiały przezroczyste zasłony przepuszczające nawet najmniejszą strugę światła. Trudno. Mimo wszystko miał przed sobą jeszcze sporo czasu na spokojny sen.

Przewrócił się na drugi bok i naciągnął koc na plecy. Noc, mimo połowy czerwca, nie należała do ciepłych. Przez uchylone okno w salonie wlatywało rześkie powietrze. Poczul jego powiew na szyi. Wolałby nie wstawać, ale chłód stawał się coraz bardziej dokuczliwy.

Podszedł na chwiejnych nogach do okna i potarł zziębnięte ramiona. Plastikowa osłonka ze storczykiem blokowała skrzydło, przesunął ją na bok i wsadził palec w ziemię. Znów zapomniał o kwiatach. Ziemia była jednak wilgotna. Choć bardzo się starał, nie mógł przypomnieć sobie momentu, w którym Sońka biegałaby z konewką, bawiąc się w radosną ogrodniczkę. Poza tym wciąż miał w pamięci dzień, w którym doniczka ze storczykiem trzasnęła o podłogę. Ziemia była mokra tak jak teraz, a przecież wtedy nie znał jeszcze Sońki.

Szedł ostrożnie, żeby nie potrącić kolaniem stołu ani nie stanąć na jakiejś skrzypiącej podłogowej klepce. Parkiet musiał mieć co najmniej dwadzieścia lat. Po wąskich drewnianych panelach ułożonych w jodełkę widać było upływ czasu. W najdrobniejszych promieniach słońca rzucały się w oczy przetarcia, zdrapany lakier lub ciemnobrunatne plamy. Izzy nie przykryła ich żadnym dywanem ani chodnikiem. Lubiła prostotę i nie sadyła się na zbytki.

Stanął przed drzwiami sypialni i ostrożnie nacisnął klamkę. Patrzenie na śpiącą Izzy, a potem na Karla wzbudzało w nim uczucie szczęścia. Ich spokojny oddech i cienka strużka powietrza wypuszczana przez usta zawsze go rozczulały. Do Sońki nie czuł nic poza kumpelskim przywiązaniem, które zrodziło się z potrzeby chwili. Jednak teraz miał nieodpartą potrzebę, by zobaczyć ją i wyobrazić sobie, że za tymi przeszkłonymi drzwiami jest zamiast niej Izabela i śpi swoim słodkim snem. Bezpiecznym i spokojnym.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Zaciągnięte żaluzje przepuszczały jedynie cieniutkie



smużki światła padające z ulicznych latarni. Zbyt mało, aby wyobrażenia mogła zadziałać.

Nie chciał zapalać lampy. Podszedł po omacku do łóżka, natykając się na wystającą spod niego torbę z ciuchami Sońki. Przypomnił sobie, że na nocnym stoliku wciąż leży jego komórka. Świetny pretekst na wypadek napadu złości zaspanej dziewczyny. Przecież bez telefonu ani rusz.

Namacał rękami stolik i leżącą na nim komórkę. Wcisnął przycisk, żeby sprawdzić, czy nie było nieodebranych połączeń. Blask wyświetlacza wypełnił skrawek pokoju i padł na łóżko. Było puste. Zmierzwiona kołdra i zgnieciona poduszka leżały zsunięte na brzegu materaca. Nie wierzył własnym oczom. Pociągnął za sznurek od lampy, w pokoju zrobiło się jasno. Wzrok go nie mylił. Sońka zniknęła.

Szarpnął za uchwyt szuflady w nocnej szafce. Tam schował żółtą kopertę z informacjami od Izzy. Odetchnął, gdy zobaczył, że jest na swoim miejscu. Jednak zamknięcie było naruszone. Dałby sobie rękę uciąć, że dokładnie je zapiął, zanim odłożył kopertę na miejsce.

Senność rozproszyło nerwowe wysypywanie całej zawartości na prześcieradło. Na pierwszy rzut oka wszystko było na miejscu. Wycinki z gazet, notatki, zdjęcia. Zdjęcia... Były ponumerowane, ułożył je skrupulatnie przed zamknięciem koperty. Doskonale pamiętał, że Sońka już raz robiła tu swoje porządki. Potem musiał wszystko jeszcze raz dokładnie posegregować. Teraz zdjęcia były przemieszane, twarze dziewczyn poodwracano do góry nogami.

Erwin zaczął nerwowo układać je na nowo, cyfra po cyfrze, zdjęcie po zdjęciu. Dwa, trzy, cztery, sześć, siedem. Od nowa. Trzy, cztery, sześć...

Brakowało jednej fotografii.

Przerzucił wszystko jeszcze raz. Poza fotografią brakowało jeszcze jednej rzeczy. W kopercie nie było pendrive'a.

Tym razem Erwin poczuł, jak mimo panującego w mieszkaniu chłodu jego skronie i klatkę piersiową zalewa fala o temperaturze wrzącej smoły.

\* \* \*

Mirek Pałacz siedział w swoim pokoju trzy na cztery metry na dziewiątym piętrze bielańskiego molocha i przesłuchiwał najnowszy krążek Muse. Godzina po północy w rozkładzie jego dnia należała do tych najszcześliwszych. Dom spał. Matka i synowie zamknięci od dwóch godzin w swoich pokojach wreszcie zasnęli. Codzienna walka o kilka chwil ciszy kończyła się zwykle ujadaniem albo dzieciaków, albo jego matki. Nie nawykła do takiego trybu życia. W jej domu dzieci posłusznie kładły się spać o dziewiątej wieczorem i nie wychodziły z pokojów przed siódmą rano.

W domu Palacza było inaczej. To znaczy najpierw było podobnie, jeszcze wtedy, gdy żyła jego żona, Joanna. Po pogrzebie wszystko się zmieniło. Robił wszystko, żeby utrzymać rytm dnia dzieci i ogarniać codzienne czynności. Skoro Joanna to potrafiła, nie widział powodu, dla którego jemu miałyby to nie wyjść. Nawet nie zauważył, kiedy z dnia na dzień zaczął odpuszczać. Po trzech miesiącach, gdy sytuacja była już nie do opanowania, a stosy brudów i talerzy zamieniały mieszkanie w twierdzę nie do zdobycia, wprowadził na salony swoją matkę. Miała zatrzymać się na dwa tygodnie. Została, z małymi przerwami, na lat pięć.

Muse brzmiałyby najlepiej w profesjonalnych słuchawkach, ale przez ciągłe wiązanie końca z końcem musiał zabrzmieć wystarczająco dobrze w zwykłych, wsuwanych do uszu. Ważne, żeby nie słyszeć nic innego, odciąć się od wszystkiego i wszystkich.

Mecz w angielskiej czwartej lidze obstawił jak zwykle. Preston North End kontra Blackpool. Wynik na korzyść Blackpool był niemal oczywisty. Klub z Preston nie wygrał ostatnio żadnego znaczącego spotkania, lepiej było nie ryzykować i nie tracić pieniędzy.

Korciło go, żeby za jednym zamachem obstawić ligę hiszpańską, ale zrezygnował. Na dziś jedno podejście wystarczy.

Przeciągnął się w fotelu i wyprostował rękę nad głową. Dobrze obstawiony mecz i muzyka w słuchawkach. Bosko. Pełen relaks. Gdyby jeszcze mógł odłączyć słuchawki od komputera i puścić muzykę przez głośnik, byłby w siódmym niebie. Im mocniej brzmiały rytmy *Reapers*, tym gwałtowniej uderzał ołówkiem o kant biurka. Długość kabla od słuchawek nie pozwalała na zbyt dalekie odsunięcie się od stołu, ale mógł przynajmniej swobodnie zahaczyć podszewę trampka o brzeg blatu.

– *You kill by remote control, and the world is on your side...*

Wykrzywione usta Palacza otwierały się bezdźwięcznie do momentu, w którym wycie muzyki zostało przerwane przez krótki sygnał dobiegający z komputera. Znał go doskonale, dźwięk nowej wiadomości na Facebooku przypominał pojedynczy rechot żaby. Odłożył ołówek i pochylił się nad ekranem.

Nacisnął „odśwież”. Nick adresata nic mu nie mówił. Pierwszy raz miał do czynienia z kimś o nazwie CoOczyWidziały.

Pierwsza informacja od CoOczyWidziały brzmiała krótko:

– *Niewiele się zmieniłeś od wtedy.*

Palacz ściszył muzykę.

– *To chyba pomyłka* – odpisał i już miał zamknąć okno konwersacji, gdy na ekranie mignęła kolejna wiadomość.

– *Czas wolno płynie, jakby stał w miejscu. Nie sądzisz? Zupełnie jak woda w jeziorze.*

Mirek powolnym ruchem wyjął słuchawkę z jednego ucha, po czym pociągnął za kabelek i zrobił to samo z drugą. Dosunął fotel bliżej biurka.

– *Kim jesteś?*

– *Jestem CoOczyWidziały. A moje oczy widziały dużo, bardzo dużo.*

– *Nie wiem, co z ciebie za świr ani o co ci chodzi. Rozłączam się.*

Palacz nacisnął krzyżyk na ekranie. Jakiś zboczeniec albo psychopata szukający wrażeń po nocach, pomyślał i ponownie sięgnął po słuchawki. Ominął go najlepszy utwór. Cofnął nagranie i wrócił do poprzedniego kawałka. Dobry tekst, mocny, pomyślał i zamknął oczy.

Znów rehot żaby. Co jest, do jasnej...

– *Poznajesz?*

Na ekranie pojawiło się zdjęcie. Ciemne, niewyraźne, ale to, co zobaczył, wystarczyło, by poczuł, że coś chwyta go za gardło.

– *Skąd to masz?* – Palce Palacza zaczęły nerwowo ślizgać się po klawiaturze.

Przez kilka sekund nikt nie odpowiadał.

– *Czasem dobrze jest zatrzymać pamiątkę po lecie. Mam ich więcej, chcesz powspominać razem ze mną?*

Siedział wbity w fotel, nie mogąc wykonać żadnego ruchu. Na monitorze pojawiały się coraz to nowe fotografie, jedna za drugą. Otwierały się i znikwały po kilku sekundach. Snapchat podrzucał zdjęcia na dwie, trzy sekundy i zamykał je bezpowrotnie.

– *Na dziś wystarczy* – zdecydował CoOczyWidziały. – *Chcę tylko, żebyś wiedział, że to, co się stało, jeszcze się nie skończyło. Finał będzie inny, dużo ciekawszy.*

– *Dlaczego to robisz? Kim jesteś?!*

– *Zdenerwowało cię to, co zobaczyłeś? Tak mi przykro. Ale widzisz, spokój zawsze kiedyś się kończy. Twój, a właściwie wasz, skończył się dziś w nocy.*

– *Nic na nas nie masz.*

– *Chyba zapomniałeś o zdjęciach... Oczy widziały i uszy słyszały. A teraz się rozłączę i zostawię cię samego. Noc jest najlepszą porą na wspomnienia z dawnych lat.*

– *Poczekaj, nie rozłączaj się!*

Nikt mu już nie odpowiedział. CoOczyWidziały zniknął z ekranu. Palacz wpisał nick w wyszukiwarce. Konto anonimowe bez możliwości kontaktu.

– *Ja pierdolę!* – zawył i złapał za telefon.

Komórka Erwina nie odpowiadała, choć sygnał był prawidłowy. Przed oczami wciąż przewijały mu się zdjęcia ze Snapchata i wspomnienia z nocy, kiedy to wszystko się wydarzyło. Wtedy, nad jeziorem. Zachód słońca i szarpanina, która zakończyła się śmiercią. Kopanie grobu i wrzucenie ciała do ziemi. Ognisko i rozrzucone wokół niego butelki po tanim winie. Wszystko wróciło. Znów zobaczył całą paczkę. Poczł, jakby wrócił nad Tały. On i reszta gromady.

Z tą różnicą, że poza nimi nad jeziorem był ktoś jeszcze.

\* \* \*

Erwin nie mógł sobie znaleźć miejsca. Chodzenie od ściany do ściany sprawdzało się, ale na amerykańskich filmach z lat pięćdziesiątych. Dlatego gdy tylko zdał sobie sprawę z tego, że sam zamienił się w bohatera czarno-białego melodramatu, opadł na kanapę i włączył poranne wiadomości. Telewizja państwowa nadawała program śniadaniowy, gdzie mocno już upudrowani goście z wyczesanymi od świtu fryzurami odpowiadali na pytania prowadzących, tak samo wygładzonych i wyprasowanych ręką makijażystki. Znał te twarze, jeszcze zanim wyjechał do Niemiec, przewijały się przez wszystkie możliwe stacje. Przybyło im lat, zmienili fryzury i odessali sobie to i owo, ale nie pozmieniali się aż tak bardzo.

Nie słuchał, o czym była mowa. Coś o wakacyjnych planach gwiazd. Była przecież druga połowa czerwca, on natomiast zupełnie zapomniał o czymś tak przyziemnym jak wakacje. Kiedy to wszystko się skończy, wróci do Karla i pojedą gdzieś we dwóch. To będzie męska wyprawa, bez proszku do prania i chodzenia spać po zmroku.

Karl. Jego syn.

To, że Simone wylała już na Erwina wiadro pomyj, było więcej niż pewne. Znał ten mechanizm stosowany przez wszystkie sfrustrowane kobiety, którym trudno jest stanąć oko w oko z faktem, że poza nimi może istnieć ktoś inny. Simone mierzyła w swoim życiu wysoko. Tak bardzo, że nie zauważyła, jak z dnia na dzień zaczęli się od siebie oddalać. A nawet jeśli zwróciła uwagę na to, że od dłuższego czasu coś między nimi pęka, szelest pieniędzy zagłuszył wszystko. Może gdyby go wysłuchała, zrozumiałaby. Dla Erwina *Sense of Your Life* było ważne, ale nie najważniejsze. Było jak każda praca, do której wychodzi się rano i z której się wraca, gdy po biurze zaczynają jeździć odkurzacze sprzątaczek z zakontraktowanej agencji. W tym wszystkim zapomnieli o dziecku. Odbijało się od ciszy, która panowała w ich domu, i kładło spać w zimnych od braku uczuć ścianach.

Zatem dokąd pojedą? Może do Meersburga, nad Jezioro Bodeńskie? Wypożyczą łajbę i zabiorą ze sobą wędkę. Rankami będą wypływać na jezioro, a potem wracać na brzeg, rozkładać na trawie koc i zjadać zrobione poprzedniego wieczora kanapki. Karl będzie pokazywał palcem, jak spławik porusza się pod lustrem wody, i krzyczał z podniecenia, gdy na haczyku zawisnie lin albo troć. Wieczorem oskrobia ryby i usmażą na żywym ogniu. A potem umyją zęby w jeziorze i zaszyją się w śpiworze we wspólnie rozbitym namiocie. Będą wspominać wrażenia z każdego dnia i planować kolejny.

Erwin rozciągnął napięte mięśnie pleców, aż trzasnęły w łopatkach. Po raz setny sprawdził, czy nie ma wiadomości od Sońki. W nieodebranych połączeniach wyświetliło się nazwisko Mirka Pałacza. Dzwonił w środku nocy. Albo szukał towarzystwa do wypitki, albo wzięło go na sentymenty.

Dopiero teraz zobaczył, że głośnik był wyłączony. Nie słyszał ani tego połączenia, ani wcześniejszego z Niemiec. Sońska rządziła się nie tylko w jego życiu, ale i w jego rzeczach. Może to i dobrze, że wyciszyła dzwonek. Gdyby po raz kolejny odebrała telefon od Simone, już miałby założoną sprawę rozwodową. To byłby koniec wszystkiego. Erwin mógłby zapomnieć o Karlu, wypadzie na łódki i wędkowaniu. Wyciszony sygnał w telefonie ocalił mu skórę. Dzięki temu będzie miał czas na to, żeby ułożyć sobie w głowie całą sekwencję zdarzeń, krok po kroku. Będzie działał racjonalnie i bez pośpiechu. Na pewno wszystko jej wyjaśni. Tylko potem, potem...

Bateria w telefonie siadała, na ekranie pulsowała ostatnia kreska. O ile dobrze pamiętał, ładowarka została przy łóżku w sypialni Izabeli. Gdyby nadal żyła, takie drobiazgi jak pałętające się po podłodze kable, ładowarki i przedłużacze w ogóle by jej nie przeszkadzały. Kiedy Erwin słuchał utyskiwań kobiet swoich kolegów na to, że coś leży nie tu, gdzie powinno, za każdym razem miał ochotę naprędce wybudować mały ołtarzyk i modlić się w podzięce za Izzy i jej obrzydzenie dla małostkowości. Do tej pory pozostawał dla niego zagadką fakt, dlaczego była z nim, rezygnując z pieniędzy i wpływów ojca. Nie dorastał jej do pięt. A jednak kochała go i zachowywała się tak, jakby poza nimi dwojgiem świat przestał istnieć. Ty i ja, na zawsze – mówiła, gdy w jej głowie pojawiała się choćby mała wątpliwość co do tego, że będą ze sobą do końca świata. Bała się samotności. Kiedyś Erwin spytał ją, czy gdyby nie on, byłaby z kimś innym i tak samo mocno by go kochała. Najpierw uśmiechnęła się niepewnie, a potem zobaczył, jak jej oczy szklą się niebezpiecznie. Nie wiedział, czemu tak zareagowała. Szukała drugiego dna tam, gdzie go nie było. Delikatna, wrażliwa Izzy.

Kabel leżał tam, gdzie powinien, czyli skręcony za szafką. Łapał zaczynające się gromadzić koty z kurzu.

Erwin zdmuchnął paprochy i wsunął rękę pod łóżko w poszukiwaniu gniazdka. Na przeszkodzie stanęło mu coś materiałowego. Walizka Soński z rozsuniętym zamkiem i wciśniętymi ciuchami oblepiona była trochę większą ilością kurzu niż ładowarka.

Zwykle nie grzebał ludziom w ich rzeczach, a tym bardziej nastoletnim dziewczynom, ale kwestia zaginionego zdjęcia i kolejne zniknięcie Soński wydało mu się uzasadnionym rozgrzeszeniem.

Pociągnął zamek do końca. Z wnętrza torby wysypała się kusa czarna sukienka, kusy czerwony podkoszulek na ramiączkach i nie mniej kusy błękitny sweter, którego długość kończyła się sporo nad pępkiem. Za swetrem poszły buty na platformach. Totalny obciach, pomyślał Erwin i odstawił je na bok. Szorty, czarne rajstopy i skajowa kamizelka. Sznur poskręcanych koralików na szyję i na rękę, równie tandetny jak buty i reszta ekwipunku. Jeśli to cały jej dobytek, nie licząc jeszcze kilku par majtek i dwóch staników, rzeczywiście było krucho. Nic na chłodne dni, poza džinsami, które pewnie miała teraz na sobie, i trampkami, które

chroniły przed deszczem. Może co jakiś czas wracała do domu rodzinnego i po kolejnej awanturze z matką wymieniała ciuchy na następną porę roku. Erwin miał taką nadzieję. Nie mogła przecież przechodzić zimy w trampkach, kusym swetrze i koralikach.

Na dnie torby znalazł jeszcze dwa połamane papierosy i lizaka Chupa Chups o smaku truskawkowej śmietanki. Ale skradzionego zdjęcia ani pendrive'a nie było. Rozpiął wewnętrzną kieszeń walizki. Dwa pięćdziesiąt i puste opakowanie po prezerwatywie. W pierwszym odruchu poczuł zgorznienie, ale tuż po nim przyszło uczucie wstydu. Nie był lepszy od innych.

Wrzucił wyjęte rzeczy do torby w takim stanie, w jakim je wyjął. Ledwie pohamował wypracowywany u niego przez Simone odruch układania wszystkiego w kostkę. Przez jej wieloletnią tresurę zdradziłby się, że grzebał Sońce w walizce. Nie wybaczyłaby mu tego. Nie znali się długo, ale doskonale wiedział, że bałaganić to może ona jemu, wszędzie i bez ograniczeń, ale na odwrót to już nie działa. Była zdrowo przeczulona na punkcie swej niezależności. Uśmiechnął się na wspomnienie jej pyskówek i rzucania się od ściany do ściany w obronie swojej nastoletniej, bezdomnej i bezmaturalnej godności. Gdyby zastała go przeszukującego jej torbę, padłyby ostre słowa.

Wsunął walizę z powrotem pod łóżko. Zawieszona bransoletka z koralików leżała tuż za nogą mebla. Erwin podniósł ją i spróbował włożyć sobie na rękę. Kiedyś też się buntował i nosił koraliki. On miał jednak prawdziwą małą z drzewa sandałowego. Okres liceum był czasem poszukiwań. Zostanie buddystą było jednym z pomysłów na życie. Idea była dobra, ale nie wytrwał. Zamiast odliczać mantry, wszedł w świat sportu. Potem wyleciał do Hamburga lotem numer 373.

Bransoletka Sońki była marną imitacją onyksu i lapis lazuli, ale fakt, że wyglądała nędznie na tle wspomnień o mali, nie powstrzymał Erwina przed tym, żeby wsunąć weń dłoń, by poczuć się o piętnaście lat młodziej.

Weszła opornie. Nazute na gumkę kamyki rozsunęły się na jej powierzchni. Na wychudzonej dłoni Sońki wyglądały dużo lepiej niż na solidnym nadgarstku dorosłego mężczyzny. Poza tym trochę cisnęły. Erwin złożył palce, żeby zsunąć kolorowe cudo i przywrócić krążenie w przegubie ręki. Wystarczył ułamek sekundy i gumka cicho pękła. Koraliki rozsypały się po podłodze i poturlały we wszystkie strony.

– Jasna cholera! – Erwin złapał dwa udawane koraliki lapis lazuli i jeden onyksowy. Bezradnie rozejrzał się za resztą, która poginęła pod łóżkiem. Kątem oka widział, jak kilka kulek poturlało się pod kaloryfer.

Urwana gumka smętnie zwisała mu pomiędzy palców. Nawet gdyby chciał, nie potrafiłby nawlec tych kilku złapanych w locie kamyków i na nowo związać ze sobą końców bransoletki. Wziął głęboki buddyjski oddech i oparł się wygodnie o ramę łóżka.

– Nie wierzę, że to robię! – wymamrotał, próbując wcelować chybotający się koniec gumki

w dziurkę koralika.

Trzy koraliki zostały nanizane na gumkę. Przepeliła go zasłużona duma. Dziurki okazały się całkiem spore. Gumka natomiast była koszmarem. Co innego żyłka lub sznurek, ale ten wijący się gumowaty twór doprowadzał go do rozpacz.

– No dalej, włącz! – Erwin otarł kroplę potu z czoła. – Włącz, do cholery!

Gdyby tu była Izzy, pewnie płakałaby ze śmiechu, widząc, jak Erwin szarpie się z tą robotą niczym słoń próbujący nawlec nitkę na igłę. Potem pocałowałaby go w czoło i wzięła sprawy w swoje ręce. Gdyby żyła...

– Coś ich mało – ocenił Erwin osiem nawleczonych kamyków i rozejrzał się za pozostałymi.

Kaloryfer. Tam posypała się większość. Odłożył bransoletkę na nocny stolik i przykucnął pod parapetem. Zaciągnięte żaluzje nie pomagały. Pokój tonął w mroku, mimo że z sąsiadującego salonu wpadało do niego dzienne światło. Erwin wyprostował się i odsłonił okno. Dużo lepiej. Poza wędrującymi po podłodze kotami z kurzu widać było kolejne zagubione koraliki. Jeden z nich umiejscowił się tuż pod nawilżaczem powietrza zaczepionym o żebro kaloryfera. Coś tkwiło w jego ceramicznej obudowie. To coś było zawinięte w folię. Na grubo, tak, że na pierwszy rzut oka nie można było rozpoznać kształtu. Dodatkowo folia okręcona była wokół taśmą do zaklejania kartonów.

Erwin podważył paznokciem brzeg taśmy i pociągnął. Lepką serpentynę przykleił do brzegu parapetu.

Kilkoma zręcznymi ruchami rozwinął folię do końca.

– Co jest, do diabła?!

Erwin trzymał w ręku telefon. Na jego tyle przyklepiona była mała naklejka, którą widział już wcześniej. Trzymająca się pod boki Myszka Miki w żółtych butach i czerwonych spodenkach wyglądała znajomo.

Komórka była brudna, lepła się pod palcami.

Erwin odłożył telefon na parapet i rozejrzał za jednorazową chusteczką. Pudełko stało na nocnej szafce, tuż obok lampy w kształcie pochylonego kwiatu.

Chwycił jedną i pociągnął do góry. Z obrzydzeniem wytarł dłoń w cienki płatek białego papieru. Biel zamieniła się w pociemniałą, nieświeżą czerwień. Jak...? Skąd...? Przecież to nie mogło się stać od zwykłego nawlekania koralików... Ponownie chwycił telefon z naklejką i przysunął go pod samą szybę okna.

W mierzającej nie więcej niż milimetr przestrzeni łączącej tylną ściankę i część główną widoczny był ten sam czerwony kolor. Erwin podważył kciukiem obudowę. Odskoczyła, a jego oczom ukazało się wnętrze telefonu. Miejsce, w którym znajdowała się bateria i karta SIM, zalane było czerwienią.

– Coś ty najlepszego zrobiła, Sońka...? – wymamrotał Erwin i spojrział nierozumiejącym

wzrokiem na beztrosko uśmiechniętą Myszkę Miki.

\* \* \*

Furtka przy ulicy Edwarda Jelinka była lekko uchylona. Wystarczyło ją pchnąć, by znaleźć się przy wielkiej choince, która musiała rosnać dobrych kilkanaście lat, zanim sięgnęła czubkiem ponad dach domu.

Erwin jednak nie zrobił niczego, co mogłoby zaniepokoić miłą starszą panią, która po sąsiedzku wyjrzała właśnie zza firanki domu stojącego tuż obok willi Wirskich. Znał ten typ sąsiadów i wolał nie ryzykować, że w minutę po tym, jak postawi stopę na cudzym gruncie, usłyszy za plecami wycie policyjnych syren.

Nacisnął dzwonek przy furtce. Jeśli Sońka zgodnie z obietnicą wykonała swoją robotę, pozostało mu teraz spokojnie czekać na zgrzytnięcie zamka w drzwiach i zejście matki Izabeli po schodach wprost na chodnikowe płytki. Po kilku sekundach nacisnął dzwonek ponownie. Ledwie oderwał palec od guzika, kiedy usłyszał znajomy dźwięk. Drzwi do domu otworzyły się. Na progu stanęła matka Izzy. Erwin odetchnął z ulgą.

– Kto tam? – dotarło do jego uszu.

Rozrośnięta choinka zasłaniała osobę stojącą na chodniku. Erwin przesunął się kilka kroków w bok, żeby stać się bardziej widocznym.

– Erwin Cis – krzyknął, ale nie za głośno. Nie chciał, by ktoś z sąsiedztwa zarejestrował tych kilka liter jego nazwiska. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Och, nie! – Na twarzy kobiety pojawił się uśmiech. – Proszę poczekać, zaraz do pana zejdę.

Ścieżka prowadząca do furtki wymagała naprawy. Wirska stawiała stopy ostrożnie, by nie wykręcić kostki na nierównych płytkach. Była już w połowie drogi, więc Erwin mógł swobodnie pchnąć furtkę i poczuć się zaproszonym do środka.

– Niech mi pan poda ramię – powiedziała łagodnym głosem i przymrużyła z wdzięcznością oczy, gdy tylko poczuła silną rękę Erwina. – Nie zdążyłam wziąć okularów z mieszkania. Bez nich kręci mi się w głowie.

Kobieta wyglądała gorzej niż poprzednio. Jej policzki były bledsze, a oczy pod nabrzmiałymi powiekami jeszcze bardziej się zapadły.

– Słabo sypiam – wyszeptała, jakby znała myśli Erwina. – Budzę się przed świtem i potem nie mogę już zasnąć. Ale cóż tam. – Machnęła ręką. – Na wszystko ponoć jest lekarstwo.

Starła się być swobodna, jednak każde słowo wypowiadała z widocznym trudem.

– Pani dziś sama w domu? – Erwin wolał się upewnić.

– Mąż postanowił zrobić sobie długi spacer. Zwykle o tej godzinie nie rusza się z domu, ale widocznie potrzebował rozruszać kości. A może wytrąciły go z równowagi te dziwne telefony?



Widzi pan, najpierw, jeszcze z samego rana, zadzwonił telefon z propozycją odebrania losowo wybranego prezentu, którego mąż się nie spodziewał. Że niby wygrał zegarek w SMS-owej loterii jakiejś firmy. Tylko że mój mąż do nikogo SMS-ów nie wysyła, więc od razu się rozłączył. On nie znosi krętaczy i tych, jak im tam...

– Telemarketerów?

– Właśnie. Jakies pół godziny potem znów ktoś do męża zadzwonił, ale ponownie rzucił słuchawką.

– Kolejna wygrana, po którą miał się zgłosić? – Erwin był bardzo ciekaw, co też takiego wymyśliła sprytna głowa Soñki.

– Och, nie. – Matka Izabeli machnęła w powietrzu ręką. – Wręcz przeciwnie. Ktoś podawał się za znajomą ze starych czasów i zapraszał na wspominki. A jakie to znajome może mieć mój mąż? Od dawna z nikim nie utrzymuje kontaktów, zwłaszcza z kobietami. Ta osoba nie brzmiała zresztą jak ktoś dorosły. Pewnie to znów jakiś kolejny telefoniczny żart. Ale potem wydarzyło się coś jeszcze dziwniejszego. – Wirska zmarszczyła czoło. – Mówię: dziwniejszego, bo na co dzień mało kto do nas dzwoni lub zagląda, głównie spędzamy czas tylko we własnym towarzystwie. Dochodziło południe, gdy do drzwi domu ktoś zadzwonił dzwonkiem, tym przy bramce. Obierałam warzywa na obiad, więc przed dom wyszedł mąż. Niech pan sobie wyobrazi, że przed furtką nie było nikogo, tylko w skrzynce na listy ktoś zostawił mu wiadomość w kopercie.

Weszli do środka. Matka Izzy zamknęła za nimi drzwi i wskazała ręką wejście do salonu.

– Niech pan usiądzie, zaparzę herbaty.

Erwin posłusznie przysiadł w fotelu, który, sądząc po mocno wygniecionym siedzisku, musiał należeć do pana domu. Z jednej strony fotela zwiisał przybornik, a w nim notes, ołówek, piloty do telewizora i telewizji satelitarnej.

– Co to była za wiadomość? – zawołał za kobietą, która zniknęła w kuchni po drugiej stronie korytarza. Widział jej czerwony fartuch w białe serca przewiązany w pasie i to, jak wyjmuje z szafek szklanki i wstawia je w metalowe uchwyty.

Nie był pewien, czy go słyszała. Nie zareagowała na jego pytanie, tylko wciąż krążyła po kuchni, układając na tacy cukiernicę, łyżeczki i dwie wykrochmalone na sztywno serwetki.

Szklanki dzwoniły jedna o drugą, kiedy podniosła tacę i ruszyła z nią w stronę salonu. Erwin poderwał się z fotela, chcąc wyręczyć matkę Izabeli w slalomie z gorącymi herbatami, który musiała odbyć między ustawionymi w przedpokoju butami, kwietnikiem na trzech nogach i meblami w salonie, ale powstrzymała go ruchem głowy.

– Nie trzeba, niech pan nie wstaje. Przecież ja tak codziennie po kilka razy w tę i z powrotem.

Erwin opadł ponownie na fotel. Matka Izzy usiadła naprzeciwko. Zanurzyła łyżeczkę w szklance, próbując wyłowić torebkę z herbatą. Woda naciągnęła aż za bardzo i stała się niemal

czarna.

Erwin otwierał usta, żeby ponownie zadać pytanie o tajemniczą kopertę, którą ktoś zostawił w skrzynce, kiedy rozległ się dzwonek telefonu. Rzut oka na zegarek potwierdził, że zaczynało dziać się to, po co tu przyszedł.

– Ósma – rzucił w przestrzeń pokoju.

Wirska kiwnęła głową.

– Tak. Jak co tydzień. Będzie dzwonił dopóty, dopóki nie podniosę słuchawki. – Popatrzyła na komodę z wysuwanymi szufladami. Aparat stał między wazonem z kwiatami a ikoną przedstawiającą świętego Franciszka z Asyżu, na którego rękach przysiadły trzy białe gołębie. Ikona musiała być pisana lata temu, część aureoli okalającej głowę świętego wytarła się z czasem lub odpadła, pozostawiając puste miejsce na olchowej desce.

Dźwięk dzwoniącego telefonu wwiercał się w głowę Erwina coraz mocniej. Miał wrażenie, że z jego ciałem dzieje się coś dziwnego. Wszystkie zmysły nastawione były na jedno: usłyszeć w słuchawce telefonu cokolwiek, co dałoby mu nadzieję na to, że Izzy żyje. Rozpoznałby każde westchnienie czy głębszy oddech. Skrętnie skrył w pamięci wszystko, co było z nią związane, i pielęgnował tak, jak ona pielęgnowała ukochane storczyki na parapecie w swoim mieszkaniu.

– Nie odbierze pani? – W oczach Erwina zarysowało się zniecierpliwienie.

Kobieta popatrzyła na niego z łagodnym uśmiechem.

– Nie. Za każdym razem słyszę tylko ciszę. Jestem tym już zmęczona, Erwinie.

Poderwał się z fotela i podbiegł do telefonu. Wirska spokojnym wzrokiem śledziła, jak podnosi słuchawkę.

– Halo? – wyszeptał głosem tak cichym i zmienionym, że sam go nie poznawał.

Przez krótki moment słyszał tylko ciszę. Grobową, głęboką i tak czystą, wręcz nierealną. Przerwał ją jakiś dźwięk. Nie był to odgłos, jaki wydają z siebie poruszone przedmioty, nie mógł też pochodzić z za okna. Coś jakby jęknięcie, głębsze westchnienie.

– Halo, Izzy, to ty? Odezwij się do mnie, powiedz cokolwiek... – Czuł, że palce, które zaciskał na słuchawce, palą go żywym ogniem. – Daj znać... Nie rozłączaj się... Poczekaj... Muszę wiedzieć, że żyjesz... Choć mały znak, błagam cię, najdroższa...

Znów ten sam odgłos, trochę dłuższy, ale wciąż ledwie słyszalny. Ludzki, na pewno kobiecy.

– Nie odkładaj słuchawki, bądź ze mną jeszcze chwilę... Znajdę cię i sprowadzę do domu. Muszę tylko wiedzieć, że to naprawdę ty, że wciąż jesteś, że żyjesz... Izzy...

– To nie ona! – Krzyk matki Izabeli przeciął powietrze. – Na miłość boską, niech pan przestanie! Niech pan jej nie wzywa, ona nie słyszy, ona nie żyje!

Wyprostował plecy. Wciąż trzymał w ręku słuchawkę i dociskał ją z całej siły do ucha, ale połączenie zostało przerwane.

Odwrócił się. Matka Izabeli siedziała skurczona w swoim fotelu i zaciskała zbielełe palce na

kuchennym fartuchu. Wyglądała jak stare, powyginane wiatrem drzewo. Oddychała z trudem, jej oddech grzął w płucach i mieszał się z urywanym łkaniem wyrzucanym przez ściśnięte gardło. Patrzyła przed siebie, na Erwina, który wciąż, jak zaklęty, nie wypuszczał z ręki słuchawki telefonu.

– Moje dziecko nie żyje, rozumie pan? – Gładko zaczesana głowa Wirskiej przekrzywiła się na prawe ramię. – To, co pan zrobił, co powiedział, było niepotrzebne. Ja... nie chcę tego znów przechodzić.

– A jeśli ona nie umarła? – Erwin odłożył wreszcie słuchawkę i podszedł do fotela, w którym siedziała kobieta. Ukucnął przy jej nogach. Ujął dłonie Wirskiej, były zimne i suche, bardzo słabe. Czuł, jak drżą pod jego dotykiem.

– I ja chciałam wierzyć, że moja córka żyje. – Matka Izabeli pogładziła Erwina po policzku. – Zachowywałam się tak samo jak pan. Czekałam na każdy czwartek i próbowałam usłyszeć w słuchawce cokolwiek. Tak, wierzyłam, że znów ją usłyszę. Trudno jest matce pogodzić się z prawdą. Ale umarłym należy się spokój. I nam, żywym, też, żebyśmy nie wyciągali ponownie rąk po to, co zabrano nam raz na zawsze. Nie powinien jej pan wołać, ona i tak nie słyszy. Moja córka nie wróci ani do pana, ani do mnie. To tylko łamie serce, więc po co? Ile razy można żegnać się z umarłym...

Cierpiała i wiedział o tym. Wywołał wspomnienie i rozdrapał ranę, która dopiero zaczynała się z trudem goić. Ale był w tym domu tu i teraz. Jeśli to była jedyna szansa, aby do tych niewielu rzeczy, jakie wiedział o zniknięciu Izzy, dodać choćby jedną, najmniejszą, nie mógł się cofnąć.

– Czy pani ją widziała po tym, jak umarła? – spytał i mocniej zacisnął dłonie na palcach matki Izabeli. Poruszyły się niespokojnie, kobieta jednak nie chciała ich wyswobodzić. Może po raz pierwszy od wielu tygodni poczuła, że jest obok niej ktoś bliski.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie widziałam mojej córki. Nie potrafiłam... To było dla mnie zbyt trudne. Nie byłabym w stanie ani na nią spojrzeć, ani jej dotknąć. Wolałam nie iść tam, do kostnicy. Nie mogłam zdobyć się na to, żeby stanąć przy jej zwłokach. Auto, w którym jechała, niemal rozleciało się na kawałki. Drzewo było rozłupane, zdarta kora rozrzucona w promieniu kilkudziesięciu metrów. To była okropna śmierć, Izabela zginęła na miejscu. Strażacy długo rozcinali blachę, żeby dostać się do ciała. Było w strasznym stanie, a ja... ja chciałam ją zapamiętać inaczej, po swojemu. Pewnie myśli pan, że to nieludzkie, kiedy matka nie chce widzieć martwego dziecka i się z nim pożegnać? Ale ja po prostu nie mogłam tego zrobić. Mąż poszedł tam za mnie, sam się zaferował, że zidentyfikuje ciało. Mężczyźni mają inne podejście, potrafią to, czego my, kobiety, nie umiemy zrobić. Im też jest ciężko, ale bywają chwile, że mogą udźwignąć więcej. Byłam mu za to wdzięczna, nawet nie wie pan, jak bardzo. Mąż zdecydował, że ciało zostanie spalone. Początkowo nie chciałam się z tym zgodzić. Izabela tak

bardzo bała się ognia, że nie mogłam, nie potrafiłam... Przekonał mnie, że będzie lepiej, jeśli ciało naszej córki nie rozłoży się pod ziemią i nie będę musiała wyobrażać sobie, co się z nim dzieje po miesiącu, po roku... Chyba miał rację. Dzięki temu mam ją przed oczami piękną i zdrową. Taką ją zapamiętałam. Dlatego też nie chciałam jej widzieć z ranami, zmasakrowanej, z roztrzaskaną głową. Nie ma gorszego cierpienia dla matki, jak zobaczyć swoje jedyne dziecko w takim stanie. Gdy dowiedziałam się, że nie żyje, doświadczyłam najgorszego. Czy zna pan to uczucie, jakby się stało bosymi stopami na dnie piekła? Ja tam byłam, na samym dole. Rozumie mnie pan?

Kobieta pochyliła się nad Erwinem i objęła rękami jego głowę.

– Nie chcę wracać tam ponownie. – Chłodne palce pogładziły włosy Erwina. – Moje serce drugi raz tego nie wytrzyma.

– Wierzy pani w samobójstwo córki?

Palce zatrzymały się i zastygły w bezruchu.

– Nigdy w to nie uwierzyłam. Pamiętam, jak kiedyś położyła swoją dłoń na mojej i stwierdziła, że jej linia życia jest krótka. Powiedziałam, że mówi głupstwa, ale ona była naprawdę zmartwiona. Odparła, że skoro los zdecydował za nią i chce dać jej mało czasu, ona zrobi wszystko, żeby wykorzystać go najlepiej, jak może. Nie chciała tracić ani chwili. Czy myśli pan, że skróciłaby swoje życie na własne życzenie?

– Z tego, co wiem, miała problemy.

– Pewnie tak. Izabela nie należała do osób, które dzielą się swoimi zmartwieniami. Odeszły razem z nią. Jej linia życia mówiła jednak prawdę. Ale niech nikt nie próbuje mi wmówić, że to było samobójstwo.

– W takim razie dlaczego pozwoliła pani na zamknięcie sprawy?

– To walka z wiatrakami. Śmierć mojej córki nie nosiła znamion zabójstwa, co najwyżej zwykłego wypadku. Pochowałam swoje dziecko i pożegnałam się z nim. Co było, już nie wróci. I proszę, żeby pan też się z tym pogodził.

– To nie jest takie proste. – Erwin podniósł się z klęczek i wrócił na fotel Wirskiego. – Widzi pani, Izabela była dla mnie...

– Tą jedyną?

– Tak.

Kobieta się uśmiechnęła. Rysy jej twarzy wygładziły się i złagodniały.

– Po prostu nie chcę, żeby pan cierpiał. Ludzie lubią mieć nadzieję, ale zwykle to tylko ułuda, pragnienie niemożliwego. Ja sama wciąż je odczuwam, ale prawda jest inna. Gdyby Izabela miała wrócić, zrobiłaby to dawno temu.

– A te połączenia co czwartek?

– Nikt się przecież nie odzywa. Już panu mówiłam, że to głupi żart.

– A jeśli jest inaczej? Jeśli ten ktoś celowo dzwoni na wasz numer?

Kobieta podniosła do ust szklankę z herbatą.

– Niech pan nie ma złudzeń. – Odstawiana szklanka zadzwoniła o spodek. – Mówiłam już, że mąż widział nasze dziecko po tym straszliwym wypadku. Auto roztrzaskało się w drobny mak, niewiele z niego zostało. To, co udało się zebrać z jego wnętrza, policja schowała do pudełka i oddała mężowi, gdy poszedł do nich składać zeznania.

– Ma pani to pudełko?

Kobieta spojrzała na komodę ze stojącą na niej ikoną.

– Tam jest. Pierwsza szuflada od dołu.

Erwin podążył wzrokiem za wysuniętą brodą Wirskiej.

– Mogę zajrzeć?

Wzruszyła ramionami. Odebrał to jako zgodę.

Szuflada zacinała się, ale szarpnął mocno. Z samego brzegu leżała nierozpieczętowana paczka świątecznych serwetek w choinki, podkładki pod szklanki, również z zimowymi motywami, i kolorowe, urodzinowe świece. Część z nich była nadpalona. Obok świątecznych akcesoriów stało tekturowe pudełko, niewiele większe od kartonu na półbuty.

– Znalazł pan? – Erwina dobiegł zaniepokojony głos Wirskiej. – Jeśli tak, niech go pan nie przynosi do stołu. Niech pan przejrzy je tam, na miejscu. Ja nie jestem jeszcze gotowa, nie potrafię być blisko jej rzeczy, jeszcze nie teraz...

Kiwnął głową, choć bez okularów mogła nie widzieć tego gestu. Pochylił się nad szufladą i chwycił pudełko w ręce. Ostrożnie postawił je na podłodze. Robił to z namaszczeniem, jakby było z najcieńszego szkła, które grozi pęknięciem pod byle dotykiem.

Uchylił wieko. Od razu rozpoznał pokrowiec na płyty CD, który kupili dla Izzy podczas ich pobytu w Łebie. Okrągłe, lichej jakości, znalezione na deptaku w pawilonie rozstawionym tuż za budą ze srebrną biżuterią. Izzy lubiła chodzić do tej taniej rupieciarni, cuchnącej od wejścia sztucznością i złej jakości plastikiem. Przechadzała się każdego dnia między rzędami metalowych koszy załadowanych po brzegi wszystkim, co mogły wytworzyć drobne ręce Azjatów. Kosze buchały sztucznymi kwiatami, potem szły rakiety do badmintonu, klapki plażowe, noże i płaszcze przeciwdeszczowe. Było tam wszystko, ale Izabelę interesowała głównie muzyka. Erwin doskonale pamiętał, jak wygrzebała z kosza trzy płyty CD z hitami z lat osiemdziesiątych. Była zachwycona. Potem długo oglądała pokrowce na płyty. Wybrała najlepszy, jaki był. Z czarno-białym zdjęciem Marilyn Monroe.

Teraz miał go przed sobą. Marilyn ze zsuniętą z ramion suknią wyglądała niemal tak samo jak wtedy. Tylko pokrowiec był pęknięty w jednym miejscu, tuż przy obojczyku Monroe, a zamek miał kilka wyrwanych ząbków.

Erwin przesunął kciukiem po dekolcie Marilyn, po czym szarpnął zamkiem. Kieszenie na

płyty były wypełnione w jednej trzeciej. Carlos Santana, Jimi Hendrix, B.B. King i jeszcze kilku takich, co na gitarze grali najlepiej na świecie.

Przerzucał kolejne krążki. Nie śpieszył się. Skoro nie mógł zabrać ze sobą tego, co należało do Izzy, postanowił dać sobie tyle czasu, ile potrzebował, aby pobyć z nią choćby w ten sposób.

– Pewnie trzyma pan teraz w ręku jej płyty. – Wirska poruszyła się w fotelu. – Izabela nie rozstawała się z nimi. Chciała mieć je zawsze przy sobie, przekładała z pokoju do samochodu, tam i z powrotem. Kochała muzykę. Zdziwiłam się, że nie zabrała ze sobą swojej gitary, gdy postanowiła się wyprowadzić.

– Może chciała zamknąć za sobą pewien etap w życiu?

– Nie sądzę. Gdyby tak było, zostawiłaby też płyty. Gitara potrzebuje miejsca, a ona nie lubiła mieszkać w zagraconym mieszkaniu. Lubiła przestrzeń, dużo przestrzeni. Pewnie dlatego gitara została w jej starym pokoju na górze. Musiały wystarczyć jej te płyty.

Kolekcja gitarowa kończyła się na Franku Zappie. Potem kilka kieszonek było pustych. Na samym końcu Erwin zobaczył znajomy krążek z napisem „Złote Przeboje lat 80. Część 1”. Nietrudno było się domyślić, że tuż za nim powinna być część druga i trzecia. Trzeciej jednak nie było. Musiała zostać w odtwarzaczu w zniszczonym aucie.

Erwin odłożył pokrowiec na płyty na bok i sięgnął po kolejną rzecz. Dwa klucze zaczepione na breloczku tak samo dziecinny jak ten z Hello Kitty. Tym razem gadżet miał postać Elmo z Ulicy Sezamkowej.

Dokumenty wozu i ubezpieczenie nie wyglądały już tak wesoło. Na przezroczystym laminacie, którym powleczona była książeczka ubezpieczeniowa i dowód rejestracyjny, zostały resztki czegoś, co musiało być źle startą, zakrzepłą kroplą krwi.

– Nic pan nie mówi...? Czy coś się stało? – Z zamyślenia wyrwał go głos zza pleców.

Erwin wolałby wstrzymać się z pytaniem, które aż cisnęło mu się na usta. Mógł to zrobić i oszczędzić matce Izabeli cierpienia, gdyby ta rozmazana kropla krwi nie była aż tak ważna.

– Czy te wszystkie rzeczy... Czy były badane w laboratorium?

Wirska wstała z fotela. Nie patrzyła w stronę Erwina, jakby znów była sama w domu, nie licząc wspomnień o zmarłej córce. Podeszła do okna i stanęła przed szybą, niemal dotykając twarzą firany.

– Pyta pan dlatego, że zobaczył krew? – spytała, nie odwracając się od okna. Objęła dłońmi ramiona, jakby chciała się w nich schować. – Wiem, że tam jest. Może dlatego nie chcę dotykać rzeczy, które policja zabrała z jej samochodu. Trudno jest mi sobie wyobrazić, że kiedyś będę musiała to zrobić i zmyć ją z tych kilku drobiazgów. Chyba nigdy nie będę na to gotowa. Przecież to częśćka mojego dziecka. Pan ma dzieci?

– Tak, syna. Ma na imię Karl.

– Karl... To ładne imię. Niech pan go kocha najlepiej, jak umie.

Na wspomnienie o Karlu Erwin poczuł zaciskającą się na szyi pętlę.

– A jeśli chodzi o krew... – Matka Izzy poprawiła na piersiach lekki pulower. – Pewnie zadaje pan sobie pytanie, czy należała do Izabeli. Tak, była badana. Policja nie nalegała, żeby to robić, ale mąż chciał rozwiązać wszelkie moje wątpliwości. Jak już mówiłam, całe ciało było w złym stanie, więc zrobił to ze względu na mnie. Śledczy zlecił badanie, laboratorium przysłało wynik na dzień przed pogrzebem. Mąż naciskał, żeby poczekać z uroczystością do momentu, aż wszystko będzie jasne. Jak pan się domyśla, nie było niespodzianki, wynik był jednoznaczny, to była krew naszej córki.

– Pamięta pani, kto prowadził dochodzenie?

– Jak mogłabym zapomnieć! Miała na nazwisko Zawidzka. Podkomisarz Zawidzka. Szybko zamknęła sprawę.

– Dlatego, że to było samobójstwo?

– Tak. Tak jak już mówiłam. Być może w innym wypadku śledztwo trwałoby dłużej, ale to nie było przecież zabójstwo, więc zamknięto akta.

Za oknem domu Wirskich przejechał motocykl. Silnik zaterkotał, jakby jakiś nieudolny amator dwóch kółek przeinstalował go z małej motorynki.

– Proszę nie mieć mi tego za złe, ale lepiej będzie, jeśli już pan sobie pójdzie. Jestem zmęczona. Poza tym mąż może wrócić lada moment. Niech pan odłoży wszystko na miejsce, on co dzień sprawdza, czy rzeczy córki leżą tam, gdzie je zostawił. Nie potrafię zrozumieć, skąd się u niego wzięła ta obsesja. Wciąż tam zagląda, jakby się obawiał, czy nic nie zginęło.

Erwin nie zamierzał sprzeciwiać się życzeniu matki Izabeli. Dokumenty wozu wraz z ubezpieczeniem leżały już w pudełku. Dołączyły do nich płyty CD i breloczek z Elmo. Czerwony pluszak patrzył na niego swoimi wyłupiastymi oczami, jakby chciał mu coś powiedzieć. Dziwaczne, małe stworzonko z ulubionego programu Karla.

Już miał zamknąć wieko pudełka, ale się zawahał. Wyjął brelok z kartonu i wsunął do kieszeni spodni. Matka Izzy nie mogła tego słyszeć. Ścisnął klucze w palcach tak mocno, żeby nie uderzyły jeden o drugi i nie wydały żadnego dźwięku.

Pod tylną ścianką kartonu było coś jeszcze, schowane za chustkami do nosa i wypitą do połowy małą butelką z wodą mineralną. Płaski ekran GPS połyskiwał czernią. Miał pękniętą szybkę, rysa biegła przez środek urządzenia i rozchodziła się promieniście na jego lewym boku. Do GPS dołączony był cienki kabel.

– Panie Cis? – Matka Izabeli stała kilka kroków od niego i nachylała się w jego stronę.

– Tak, ma pani rację. Pora, żebym zostawił panią samą.

Erwin zasłonił karton ciałem i szybkim ruchem zwinął kabelek, który wraz z GPS dołączył do kluczy z Elmo.

Stał już w drzwiach gotowy do wyjścia, kiedy przypomniał sobie o jeszcze jednym.

– Mówiła pani o kopercie, którą ktoś wrzucił do skrzynki przy furtce. Co w niej było?

Matka Izzy wzruszyła ramionami.

– Pewnie coś nieistotnego. Mąż wyrzucił kopertę wraz z zawartością do kubła, zanim wrócił do domu. Pewnie jakaś kolejna ulotka.

Erwin rozłożył ręce w geście bezradności.

– Ludzie wrzucają do skrzynek mnóstwo nikomu niepotrzebnych rzeczy. No cóż, na mnie już rzeczywiście czas. Mam nadzieję, że nie narobiłem kłopotu.

– Ależ skąd! Dobrze, że pan tu zajrzał. Izabela byłaby panu za to wdzięczna.

Pani Helena odprowadziła Erwina do przedpokoju. Gdy znalazł się po drugiej stronie drzwi, odczekał, aż usłyszy przekręcaną zasuwę. Zbiegł ze schodów i stanął przy pojemniku na śmieci. Odsunął wieko i rozerwał leżący na samej górze plastikowy worek. Białe, porozdzierane na drobno skrawki, wciśnięte były między obierki z jabłek i inne resztki jedzenia. Zebranie ich wszystkich było niemożliwe. Erwin wyłuskał spośród odpadów co większe części i na powrót nasunął pokrywę na kubeł.

Nie mógł dłużej czekać, wyłożył je na wieko, próbując dopasować do siebie porwane brzegi. Nie była to żadna ulotka ani reklama. Z tego, co udało mu się złożyć, odczytał jedno krótkie zdanie skreślone odręcznym pismem: *Musi... ..rozmawiać o I. .... przy Królikarni, dziś o ósm...*

Trzasnął furtką tak mocno, że odskoczyła, wydając z siebie głucho trzaśnięcie. Sońka przesadziła. Jeśli ten dowcip miał być śmieszny, to jej się nie udało. Głupio zaryzykowała, zupełnie bezrefleksyjnie. O ile nie żał mu było starego Wirskiego, to nie wyobrażał sobie, aby ta kartka mogła wpaść w ręce matki Izabeli. Na samą myśl o tym poczuł wściekłość.

Wsiadł na motocykl, ale nie włączył silnika. Patrzył przed siebie, na osiedlową uliczkę, po której pojedynczy ludzie kręcili się tam i z powrotem, zanim poznikali na dobre w swoich wygodnych domach.

Głos w słuchawce, który słyszał w domu Wirskich, nie dawał mu spokoju. Zaledwie ciche jęknięcie, pomruk, niemal niesłyszalny. Wyczuwalny oddech. Kobieta, to na pewno była kobieta. Po co dzwoniła i kim była? Nie wierzył w żaden przypadek ani tym bardziej w bezmyślny żart. Ktoś robił to z premedytacją, był tego pewien. Komuś zależało na tym, aby te połączenia trwały i powtarzały się z idealną precyzją co tydzień o tej samej godzinie. Jeśli to nie była Izabela, kim był ten ktoś i czemu dręczył jej matkę?

\* \* \*

Mirek Pałacz kręcił się po mieszkaniu, co rusz spoglądając na zegarek. Trzeci wypalony i przygaszony na parapecie papieros wyleciał przez okno, na przekór stojącej tuż pod blokiem



tabliczce z napisem „Nie zaśmiecać trawnika”.

Dochodziła jedenasta wieczorem. Sprawdził wynik meczu w angielskiej czwartej lidze. Trzy do jednego dla Preston North End. Nie tak miało być, kurwa mać!

Strzelił palcami, zbyt mocno wygięte stawy chrupnęły głośniejsz niż zwykle. Z szuflady biurka wyjął miniaturową butelkę żołądkowej i pociągnął trzy łyki. OK, tym razem się nie udało. Ostatnio też i jeszcze wcześniej. Zła passa. Odegra się na lidze niemieckiej.

Żeby zmienić nastrój, zalogował się na Facebooku. Wirtualne życie toczyło się całą dobę, ale wieczór był wzmożonym czasem aktywności znajomych i wrzucania wszystkiego, co się wydarzyło i co się widziało w ciągu minionego dnia. Zalew bzdurnych komentarzy i zdjęć robionych z ręki.

Przejrzał najświeższe wrzutki znajomych i znajomych znajomych. Poza oklepanymi komentarzami powtarzającymi się w standardowych formułkach pod niemal każdym zdjęciem nie znalazł nic ciekawego. Śmiejące się buzie czyichś dzieci i słodko pierdzące wyrazy uznania, że komuś wyrósł trzeci ząb, a ktoś inny zrobił rundę na kucyku w podwarszawskiej dziurze z modną stadniną. Ktoś znalazł bezdomnego psa, a komuś zachciało się wylądować nad morzem z zimnym piwem. „Słodziak”, „Pozdrowienia z Koszalina”, „Kto przygarnie sunię?”. Zwykle nie myślał, że to głupie i żenujące. Sam nawet dorzucał coś od siebie, byle tylko płynąć z nurtem i nie wypaść z obiegu. Teraz patrzył na wpisy z odrazą.

Zapalił kolejnego papierosa i odświeżył stronę. CoOczyWidziały nie odzywał się od wczoraj. Erwin nie logował się na stronie od dnia, w którym się spotkali. Na dodatek nie odbierał od niego telefonów.

\* \* \*

Włącznik światła nie zadziałał, żarówka na klatce schodowej musiała się przepalić. Światło z ulicznej latarni wpadało przez przykurzoną szybę, odsłaniając kilka pierwszych stopni prowadzących na parter. Erwin wszedł po omacku na półpiętro, ostrożnie stawiając na stopniach bolącą nogę.

Wieczorna przechadzka po ulicach miała go wyciszyć i uspokoić. I tak było, dopóki nie zaczął odczuwać dokuczliwego napięcia w łydce. Stara kontuzja ze studiów przypomniła o sobie, jeszcze zanim opuścił ściśle centrum miasta. Zwykle ból ustępował po przejściu kilkuset metrów, jednak tym razem rwanie pod kolanem było nad wyraz bolesne.

Aby nie potknąć się o stopnie, włączył latarkę w komórce. Pootwierane okna na piętrach wpuszczały ciepłe powietrze z ulicy. Stojące na parapetach skrzynki z pelargoniami przytrzymały uchylone ramy okien przed nagłym zamknięciem powodowanym podmuchami wiatru. Starsze panie dbały o kwiaty, podobnie jak o to, aby ściany klatki schodowej upiękzone

były dziełami artystycznymi w postaci kalendarza z lipca 1998 z romantycznym fotosem zachodzącego słońca, plakatu z podobizną Karela Gotta z festiwalu w Sopocie w 1964 oraz sznurkowego gobelinu z frędzlami. Erwin zatrzymał się przy makatce i poprawił przekrzywione kwiaty z czerwonej muliny.

– Wieś w środku miasta, co nie? Wiocha jak cholera. – Dobrze znany głos odbił się echem od ścian.

Sońka siedziała na najwyższym schodku drugiego piętra z głową opartą o barierkę poręczy.

– Stęskniłaś się? – Erwin poklepał kieszenie w poszukiwaniu kluczy. – Myślałem, że tym razem odpłynęłaś na dłużej.

Wciąż się nie podnosiła. Światło latarki przebiegło po stopniach i zatrzymało się na kusej spódnicy, która śmiało odsłaniała uda dziewczyny.

– Zabierz to! – Machnęła ręką, próbując odegnąć je od gołych kolan.

Snop światła przesunął się wyżej, na twarz Sońki. Zasłoniła się przed kłującym oczy blaskiem.

– Głuchy jesteś?! Zgaś to cholerne światło!

– Ćpałaś? – Erwin podszedł bliżej, tak aby wyraźnie obejrzeć wykrzywioną twarz dziewczyny. Mrużyła oczy i odkręcała głowę, żeby nie mógł zajrzeć jej w źrenice, ale już po samych miękkich ruchach jej rąk i reszty ciała widać było, że całkiem niedawno pociągnęła kilka buchów. – I pewnie do tego na pusty żołądek.

– Tatuńcio się odezwał – burknęła i zmarszczyła nos, jakby miała wciągnąć coś jeszcze poza nudnym powietrzem. – Wpuścisz mnie wreszcie do środka czy będziesz trzymał na schodach aż do usranej śmierci?

Sońka złapała za metalowy drążek barierki i podciągnęła się na tyle, aby móc wyprostować kolana.

– Nawaliłam się.

– Niemożliwe. – Erwin ze spokojem przekręcił klucz w zamku. – Pełne zaskoczenie.

– Miałam powód.

– Zapomniałaś pomalować odrosty?

– Co?! Kurwa, przestań! – Sońka stanęła na schodku w rozkroku i pochyliła się niebezpiecznie do przodu. – Widzę, że przejąłeś się moim zniknięciem.

– Było uprzedzić, że mam się przejąć. Ile razy można za tobą wypłakiwać oczy?

Erwin otworzył drzwi do mieszkania. Włącznik w przedpokoju też nie działał, podobnie jak ten na klatce.

– Brak zasilania w całym bloku – wyjaśniła Sońka. Odpychając się od powietrza, dotarła na wycieraczkę i, zgodnie z zasadami savoir-vivre'u, wytarła podeszwy w słomiankę.

Światło latarki powędrowało po ścianach mieszkania, a potem dalej, po szafkach i szufladach.

– Poszukaj w kuchni. – Sońka po omacku dotarła do kanapy w salonie i gruchnęła na poduszki. – Świece zawsze trzyma się w kuchni. Pamiętam, że moja matka trzymała je razem z czystymi ścierkami i proszkami na ból głowy.

– Powinnaś do niej wrócić. Matka to matka – odezwał się Erwin spomiędzy dolnych szafek kuchennego aneksu.

– Przestań. Już ci mówiłam, żebyś nie poruszał przy mnie tego tematu.

To, co zaszło między Sońką a jej matką, właściwie nie powinno go obchodzić. Smarkula buntowała się i prowadziła po nocnych klubach, jak to robią setki dziewczyn w jej wieku. Miała jednak w sobie coś z rozedrganego zwierzątka, którym stawała się w chwilach, gdy byli sami. Wystarczyło, że położyła głowę na poduszce i zamknęła oczy. Patrzył wtedy na jej poruszane nerwami ciało i na drganie powiek, pod którymi przewijały się sceny z jej życia. Spokojni ludzie mają spokojne sny. Ona natomiast budziła się zawsze w poskręcany prześcieradle i ze skołtunioną kołdrą. Tylko poduszkę trzymała kurczowo pod głową i dociskała do ucha, jakby bała się, że ktoś może ją zabrać.

Świece rzeczywiście leżały w szufladzie ze ścierkami, w nowym, nieotwartym jeszcze kartonie z wiele mówiącym napisem „*Aroma romantic candles*”. Tuż obok leżało pudełko zapalek. Erwin potarł zapalką o draskę i podpalił knot. Wstawił płonąca świeczkę do pustego słoika po ogórkach.

– No i proszę! Nastrojowo i romantycznie.

– Raczej chujowo i żałośnie. – Sońka zwinęła się na skajowej kanapie i przyciągnęła poduszkę pod głowę.

Erwin zapalił kolejną świecę i postawił na kuchennym blacie.

– Widzę, że optymizm nie opuszcza cię ani na chwilę.

– Taką mam naturę. Poza tym to nie twoja sprawa.

Erwin zdmuchnął zapalkę. Po pokoju rozniósł się zapach palonej siarki.

– Moja, o ile będziesz przychodzić tu w takim stanie.

– Daj mi spokój. Mówiłam ci już, że dzień był do dupy, więc odpuść. Masz fajkę?

Podniosła głowę i spojrzała na Erwina przez lewe ramię.

– I podaj mi coś do picia, bo łeb mi zaraz pęknie. Najlepiej z aspiryną.

– Papieros i aspiryna, świetny wybór. Dorzucę do tego tabletkę ecstasy, będzie komplet.

– Nienawidzę cię. Szczerze i do bólu. – Sońka znów położyła głowę na poduszce i zamknęła oczy. Gdyby nie kubek z wodą, który zbyt głośno uderzył o szklany stolik tuż przed jej nosem, zapadłaby w sen.

– Nie ma aspiryny? – spytała, nie unosząc powiek. – Nie słyszysz buzujących bąbelków.

– Sklep z chemią na dziś jest już dla ciebie zamknięty. Nie dostaniesz nic poza chlorowaną wodą.

Wyciągnęła po omacku rękę. Erwin podsunął kubek w jej stronę i podszedł do okna. Otworzył je na tyle szeroko, aby mózg dziewczyny mógł się jako tako dotlenić.

– Czemu to zrobiłaś? Umawialiśmy się, że nie będzie żadnych wyskoków.

Sońka pociągnęła kilka łyków i odstawiła kubek na podłogę. Rozczochrane włosy drażniły ją w policzki, ściągnęła gumkę z nadgarstka i związała ciemny kołtun na czubku głowy.

– Wszystko spieprzyłam, Erwin. – Ton głosu dziewczyny zabrzmiał jak popiskiwanie szczeniaka. – To moja wina.

– Na pewno nie moja. Próbowalaś coś zwinąć gościowi w klubie i ktoś złapał cię za rękę?

– Za kogo ty mnie masz?! – Sońka spuściła stopy z kanapy. – Nigdy nikomu niczego nie ukradłam. Myślałam, że już to sobie wyjaśniliśmy.

– Jasne, jesteś niewinna jak noworodek. – Erwinowi stanęła przed oczami żółta koperta ogołocona ze zdjęcia i pendrive'a. Mógł kazać jej wysypać wszystko z torby i udowodnić, jakie z niej diabelskie nasienie, lub odczekać, aż zaśnie, i wtedy przeszukać jej rzeczy. Wybrał to drugie. – O co więc chodzi?

– Jak to? Przecież wiesz. Nie zrobiłam tego, o co mnie prosiłeś. Jednym słowem, zawałam twoją sprawę.

Erwin założył ręce na piersiach.

– Mów jaśniej.

– Chyba nie można mówić bardziej jasno. – Sońka, kiwając się, przytuliła poduszkę do brzucha i objęła ją obiema rękami. – Umawialiśmy się na coś i miałam to zrobić. Przecież obiecałam. Może nie jestem tak błyskotliwa jak ty, ale... Nie patrz tak na mnie... Ja próbowałam, naprawdę. Dzwoniłam do niego dwa razy, ale wciąż mnie słał i się rozłączał. Czemu nic nie mówisz? No, nawrzeszcz na mnie, powiedz, że jestem beznadziejna i do niczego się nie nadaję! Zresztą, nie musisz nic mówić. Wiem, kim jestem, i wiem, kim nigdy nie będę. Dlatego nie dziw się, że czasem muszę strzelić sobie działkę. Żeby choć na chwilę o tym zapomnieć. Tak jak dziś.

– Zaraz, zaraz, wyjaśnijmy coś sobie. – Erwin przyjrzał się uważnie zgiętej w pół sylwetce dziewczyny. – O nic cię nie oskarżam. Wykonałaś plan, tak jak cię o to prosiłem. Wirski miał zniknąć z domu i tak się stało.

– Przecież...

– Twoje pomysły na wyciągnięcie go nie były może najwyższych lotów, ale najważniejsze, że mogłem wejść do środka.

– Chrzanisz.

– Ten pozostawiony list załatwił sprawę. Choć przyznam, posunęłaś się za daleko.

– Jaki list? – Sońka odłożyła poduszkę na bok. – Nie zostawiłam mu żadnego listu.

– W skrzynce na furtce.

– Nic nie wiem o żadnej skrzynce. Po dwóch telefonach zrezygnowałam. Sądziłam, że nic nie jest w stanie nakłonić gościa do wyjścia, więc spasowałam.

– Kto w takim razie zostawił mu list?

– Nie wiem. Na pewno nie ja.

Erwin wyjął z kieszeni pomietą paczkę papierosów.

– Nie podoba mi się to wszystko. – Pociągnął macha i wypuścił dym przez nos. – Wygląda na to, że ktoś włączył się do gry.

– Powinieneś się cieszyć. – Sońka wysunęła szyję, żeby złapać w usta ulatujący dym. – Ktoś ci pomógł. Ja nie mogłam, to chociaż on...

– Nic nie rozumiesz. Ktoś zagrał *va banque*. Napisał w liście, że musi z nim porozmawiać o Izabeli.

– Mocne. Myślisz, że blefował?

Erwin pokręcił głową.

– Myślę, że doskonale wiedział, co robi.

Milczeli przez chwilę, wpatrując się w unoszący się nad ich głowami dym.

– Co chcesz zrobić? – Sońka odezwała się pierwsza.

– Nie wiem. Chwilami myślę, że to jakiś koszmarny żart i że ktoś nieźle się bawi moim kosztem.

– Po co miałyby to robić? Musiałby być powalonym psychopata.

– Może nim jest.

– Myślisz, że to ten sam, który dzwoni do matki Izabeli co czwartek?

Na wspomnienie o odgłosach w słuchawce Erwin poczuł mrowienie pod skórą.

– Sam już nie wiem, co o tym sądzić.

– Ale telefon znów zadzwonił?

– Tak. Jak zwykle. To zabrzmiało jak czyste szaleństwo, ale przez chwilę miałem pewność, że to była ona.

– Słyszałeś coś?

– Tylko pojedyncze odgłosy. Kobięce, ciche. Próbowałem ją namówić, żeby powiedziała, kim jest. Trzymałem na linii tak długo, jak to było możliwe. Przez chwilę uwierzyłem, że to ona, rozumiesz? Wydawało mi się, że poznam ten oddech na drugim końcu świata.

– Może więc jednak...?

– Nie. Izzy nie żyje. Teraz wiem to na pewno. Widziałem jej krew, która została w aucie po kraksie. Została przebadana, wynik potwierdził zgodność. Nie ma żadnej możliwości, aby Izabela zdołała przeżyć wypadek. Pozostaje mi tylko dowiedzieć się, jak zginęła naprawdę.

– Oddałabym wszystko, żeby ktoś kochał mnie tak, jak ty kochasz tę swoją Izzy – powiedziała smutno Sońka i zapatrzyła się na migoczący płomień świecy.

Erwin nigdy dotąd nie widział jej w tak opłakanym stanie. Nie mówiła ze łzami w oczach o tęsknocie za domem, matką czy rodzeństwem, o ile takowe miała. Tęskniła za miłością. Nie tą płatną, ale zwyczajną, bezwarunkową.

– Wszystko przed tobą. Książę, biały rumak i takie tam. Całe stada książąt i rumaków.

– Myślisz? – Podniosła z nadzieją oczy.

– Myślę.

Sońka zsunęła się z kanapy. Potykając się o własne nogi, podeszła do Erwina i sięgnęła do kieszeni jego dzinsów. Nie protestował. Druga smuga dymu popłynęła przez mały salon Izabeli.

– Zamów mi taksówkę. – Sońka wygładziła podwiniętą na brzuchu bluzkę i przeczesła palcami włosy. Wciąż trzymała w palcach papierosa, ale nie przeszkadzał jej w porządkowaniu nadwątłego wizerunku.

– Co chcesz zrobić?

– Zamów tę cholerną taksówkę, niech przyjedzie jak najszybciej. I o nic nie pytaj, po prostu zrób to.

Przygasła na wpół spalonego papierosa i po omacku ruszyła w stronę łazienki. Po drodze zgarnęła z kuchennego blatu jedną ze świec. Po chwili w mieszkaniu dał się słyszeć szum wody. Gdy wyszła, miała na głowie zakręcony ręcznik.

– Zapomniałam, że suszarka nie zadziała. – Schyliła głowę i roztrzepała palcami poskręcane strąki włosów. – Co za cholerna awaria! Dobrze, że przynajmniej wody nie zakręcili.

Zniknęła w sypialni. Po raz pierwszy zamknęła za sobą drzwi, kiedy się przebierała. Erwin miał minutę. Dopadł do torby leżącej w rogu kanapy i rozsunął zamek. Pendrive leżał schowany w bocznej kieszonce razem ze szminką. Ale fotografii numer pięć nie było.

SMS powiadomił o stojącej na dole taksówce.

– Nie czekaj na mnie. Nie wiem, kiedy wrócę, ale wrócę na pewno. – Sońka stanęła na palcach i pocałowała Erwina w policzek. – I dzięki, że nie zostawiłeś mnie dziś na schodach. Za perspektywę z księciem i rumakiem też ci dziękuję. Mimo wszystko jesteś dobrym człowiekiem, Erwin.

Trzasnęła drzwiami i zbiegła po schodach. Erwin wychylił się przez okno, żeby sprawdzić, czy po dzisiejszym narkotykowym wysoku wciąż utrzymuje się w pionie i nie zaliczyła salta na chodniku. W porównaniu z tym, co prezentowała sobą jeszcze godzinę temu, sprawiała wrażenie nad wyraz trzeźwej. Mycie głowy musiało wypłukać choć trochę toksyn z jej organizmu, bo szła nieco chwiejnie, ale z gracją, prosto do taksówki. Jej drobna postać w minispódniczce i z rozrzuconymi na ramionach mokrymi włosami zapakowała się do auta i zniknęła wraz z beżowym mercedesem za rogiem ulicy.

\* \* \*

Lokalizator telefonu Erwina zadziałał bezbłędnie.

Widziała wszystko jak na dłoni. Wystarczyło stanąć po drugiej stronie chodnika, żeby zobaczyć, jak Erwin wychyla się przez okno i patrzy za nią, kiedy wsiadała do starego modelu mercedesa, którym w Niemczech nikt już nie jeździł. A tu i owszem. Krzywo przyklejony boczny napis „Hallo Taxi” i mrugająca lampa na dachu auta też musiały być tu standardem. Polska bylejakość.

Nieważne. To, czym odjechała ta zdzira, nie miało większego znaczenia. Równie dobrze mogłaby rozpuścić się w powietrzu, żeby ślad po niej zaginął. Bo i kim ona właściwie była? Pokracznym stworzeniem, które, nie wiedząc czemu, tak bardzo przypadło Erwinowi do gustu. Kiedy wyszła z klatki, ledwie trzymała się na nogach, wykrzywając stopy w zbyt wysokich butach. Była pijana lub naćpana. Ludzkie nic. Zanim wsiadła do taksówki, odwróciła się i pomachała mu na pożegnanie. Zapewne wolałby, żeby tam została, w mieszkaniu na drugim piętrze. Spędziliby kolejną noc razem, tak jak zawsze tego chciał. To do niej tak gnał i to o niej myślał przez te wszystkie lata ich małżeństwa? Nigdy nie dał się przyłapać z jej fotografią. Może nie miał, może wystarczyło mu, że wciąż ma jej obraz w swojej głowie.

Obserwowanie, jak Erwin stoi w oknie i patrzy na to niezdarne czupiradło z mokrymi włosami przypominającymi wodorosty, bolało. Ślina z trudem przepływała przez zaciśnięte gardło na widok minispódniczki i długich, chudych nóg, które kilka chwil temu były obiektem pożądania Erwina, a teraz chybotliwie kroczyły w kierunku starego mercedesa, opłaconego zapewne z pieniędzy, które powinien dostać Karl. O Karlu pewnie też zapomniał. Przy niej. Przez nią.

Simone śledziła auto z Sońką do momentu, w którym skręciło i zniknęło za rogiem ulicy. Ukryta za stojącym po drugiej stronie jezdni minivanem patrzyła przez szyby samochodu, jak jej mąż zaciąga zasłonę i cofa się w głąb pokoju. Po chwili znów podszedł do okna i zapalił papierosa.

– Miałeś udany wieczór – wymamrotała pod nosem Simone i przycisnęła do brzucha torbę z naładowaną bronią. – Ciesz się nim, póki czas. Ty i ta twoja mała polska zdzira.

\* \* \*

– No i co? – Matka Izabeli zalała wrzątkiem kubek z okrągłą torebką i przykryła go spodkiem. Zapach melisy wraz z parą wciąż jednak wydostawał się spod talerzyka, więc nasunęła go dokładniej i ostrożnie postawiła na stoliku. – O co chodziło z tą wiadomością? Odkąd wróciłeś, nie powiedziałaś ani słowa.

Wirski nawet na nią nie spojrzał.

– Powiesz coś? – Nie ustępowała.

Przysiadła w drugim fotelu, na wprost męża.

– Nie mam ci nic do powiedzenia. Chciałem wyjść na powietrze, to wszystko. – Wirski uznał temat za zamknięty.

– I nie miało to nic wspólnego z kopertą zostawioną w skrzynce? – Kobieta starała się, żeby jej słowa zabrzmiały łagodnie. Nie chciała denerwować męża ani tym bardziej sprawić, by poczuł się przepytywany. – Coś jednak musiało w niej być, skoro postanowiłeś wyjść o tej porze.

– Przecież powiedziałem, że to nic takiego. Nawet nie pamiętam, o co w niej chodziło. – Wirski poruszył się niespokojnie w fotelu. – Podarłem ją i wyrzuciłem do śmieci. Dajmy już temu spokój. Najlepiej będzie, jeśli pójdziesz już do siebie, nie mam ochoty na rozmowę.

Ostentacyjnie nacisnął przycisk pilota, pogłaśniając relację z gali boksu w Las Vegas. Wrzaski na trybunach i legalne mordobicie zwykle odstraszały jego żonę i wyganiały ją z pokoju w ciągu kilku sekund.

– Masz rację, położę się. – Matka Izabeli stęknęła i podniosła się z siedzenia. – Nie zapomnij o melisie, dobrze ci zrobi przed snem.

– Nie zapomnę. Idź już.

Odczekał, aż kroki ucichną na schodach, i wyłączył głos w telewizorze. Dla pewności obejrzał się za siebie. Wstał z fotela i podszedł do ikony stojącej na komodzie. Chwycił ją mocno w palce, kciuk oparł się o wytartą aureolę świętego Franciszka. Spód ikony odskoczył z cichym kliknięciem. Wyciągnął złożony na czworo wycinek z gazety. Kolorowe zdjęcie i kilkudzaniowy artykuł znał na pamięć, mimo to patrzył na niego każdego dnia, tuż przed wylaniem swojej porcji ziół za okno wprost na kwietnik żony. Kartka zaczynała powoli przecierać się na zgięciach, jednak zarówno litery, jak i zdjęcie wciąż były bardzo wyraźne. Na tyle, żeby móc rozpoznać roztrzaskany o drzewo stary model hondy civic w kolorze czerwonej perły. Otwierany dach leżał kilkanaście metrów dalej, tego już na zdjęciu nie pokazali. Tylko pozostała z samochodu miazgę i wylewającą się przez rozbite okno poduszkę powietrzną. Wyglądała jak przeżuta guma balonowa, z której zeszło powietrze.

Patrząc na zdjęcie, wrócił pamięcią do dnia, w którym poszedł do kostnicy. Zimne pomieszczenie i półki ze zwłokami. Nie widział ich, patrzył tylko na leżące przed nim ciało, a właściwie na to, co z niego zostało.

Nie różniło się niczym od setek innych, które lądują w rowie po czołowym zderzeniu z drzewem. Uderzenie rozłupało auto na dziesiątki części, które leżały rozrzucone na jezdni. Ciało było sine, ze skórą zdartą z twarzy i rąk. Głowa leżała przekrzywiona w koszarnej pozycji, kręgi szyjne były zmiażdżone, niemal sprasowane.

Odpędził wspomnienie z kostnicy i wrócił myślami do małej Izabeli. Do dziewczynki z kokardkami we włosach i wiecznym uśmiechem na ustach. Przez ponad dwadzieścia lat był dla



niej całym światem, obrońcą przed złem i jedynym mężczyzną w życiu. Matka pocieszała i karmiła, ale to on liczył się najbardziej. Do momentu, w którym zaczęła żyć na własną rękę i zapagnęła robić wszystko po swojemu. Tak, Izabela dokonała w swoim życiu kilku złych wyborów. Zrobił, co mógł, żeby jej pomóc. Reszta była już poza jego ludzką mocą.

Wirski jeszcze raz popatrzył na zdjęcie z rozbitym wozem i leżącymi wokół niego szczątkami karoserii. Na dziś wystarczy, jutro zajrzy tam znowu. Żeby pamiętać.

Schował wycinek z gazety na miejsce za świętym Franciszkiem i docisnął ramkę.

Kiedy wrócił ze spotkania w Łazienkach, na suszarce do naczyń stały dwie szklanki po herbacie. Zauważył to od razu. Jego żona należała do tego pokolenia, które nie trzyma naczyń na wierzchu. Wszystko ma swoje miejsce w szafkach. Musiała jednak o nich zapomnieć. Niby nic, ale dwie umyte szklanki były dla niego niczym niemi świadkowie cichej zbrodni dokonanej na jego terenie. Gdy spytał, czy ktoś obcy kręcił się po ich domu, zaprzeczyła. Jak na nią, zbyt gorliwie. Ktoś tu był. Ktoś, o kim miał się nie dowiedzieć. Jakże naiwna była, licząc na to, że nie domyśli się, kim był ten człowiek.

I jeszcze ta kradzież kluczy i GPS z szuflady komody. Wystarczył jeden rzut oka na zawartość kartonu, żeby stwierdzić, że ktoś grzebał w rzeczach Izabeli. Bardzo dobrze się składa, wręcz idealnie! On rozegra to po swojemu. Izabeli by się to nie spodobało. Niewdzięczna dziewczyna! Gdyby choć raz w życiu przyznała mu rację, nie musiałby teraz odwiedzać regularnie cmentarza i kłaść kwiatów przy tabliczce z jej nazwiskiem. Ale ona zbyt szybko przestała się liczyć z jego zdaniem i musiało dojść do tragedii.

Wirski wyłączył telewizor. Wychodząc z pokoju, spojrział jeszcze raz na komodę z ikoną świętego Franciszka i zgasił lampę.

\* \* \*

*Za chwilę wyłączę światło i zapadnie ciemność. Moje ciało odda się kolejnym uderzeniom ostrych gwoździ. To będzie trwało do końca moich dni. Potem ustanie, a ja odpocznę.*

*Brakuje mi sił od ciągłego oglądania się za siebie. Niech to się już wszystko wreszcie...*

Ostatnie zdanie przerwał krzyk. Erwin zgasił latarkę w telefonie i odłożył kartkę z pismem Izabeli. Rozejrzał się po ścianach. Dziecinny odruch, jakby ściany mogły przemówić. Był jednak pewien, że odgłosy dochodzą zawsze z tego samego miejsca w bloku.

Wstał z posłania i ruszył do drugiego pokoju. Było już dobrze po północy, na dodatek z racji braku prądu wszystkie odbiorniki u sąsiadów były wyłączone. Jeśli do tej pory niepokojące dźwięki mógł tłumaczyć nazbyt głośno nastawionym telewizorem za ścianą, dziś ten argument nie miał żadnych podstaw. Było tak cicho, że bez wysiłku można było usłyszeć lecącego motyla.

Znów krzyk. Urywany, błagalny.

Erwin otworzył drzwi na klatkę schodową i ponownie włączył latarkę w komórce. Skierował rozproszony snop światła w niszę między schodami, najpierw w górę, potem w dół, do samego parteru. Na schodach nikogo nie było, z żadnej kondygnacji nie docierał nawet najmniejszy odgłos czy ruch.

Ktoś chodził za drzwiami sąsiedniego mieszkania. Kroki były męskie, stanowcze. Podeszwy butów musiały być twarde, gdyż każde stąpienie odbijało się echem po podłodze z kiepskiej jakości paneli.

Erwin podszedł do drzwi. Kroki się oddaliły. Mężczyzna w butach o ciężkich podeszwach musiał przejść w głąb mieszkania. Stamtąd docierały już cichsze, pojedyncze stąpienia. W końcu ucichły. Zamiast nich znów usłyszał kobiecy głos. Nie był to już krzyk, tylko urwane zdania, tłumione sylaby wymieszane z płaczem.

Uderzył pięścią w drzwi. Nikt nie podszedł i nie otworzył. Odczekał kilka sekund i ponownie załomotał. Zza drzwi dał się słyszeć bliżej nieokreślony ruch. Ktoś chodził, ale już o wiele ciszej, niemal niesłyszalnie. Trzasnął jakiś mebel. Ściszony głos coś mówił, jakby mruczał. Erwin nie słyszał nic poza głośnym oddechem, który po chwili też ucichł na dobre.

– Skurwiel! – powiedział na tyle głośno, by mieć pewność, że ten ktoś ukryty za drzwiami na pewno to usłyszy.

Z ciemności piętro niżej wyłoniła się łysawa głowa mężczyzny koło czterdziestki, a zaraz za nią tłuste, białe ciało w zbyt szerokich bokserkach. Mężczyzna był bez koszulki, za to trzymał w ręku świecę. Niemal dotykał nią pokrytego gęstą szczecina torsu, jakby prosił się o samospalenie. Zmarszczony nos i czoło nadawały mu wygląd barbarzyńcy.

– Nie mówiłem do pana – rzucił Erwin, przyglądając się, jak sąsiad z dołu gmera prawą ręką w rozcięciu bokserek. – Niech pan wraca do łóżka.

Mężczyzna poprawił sobie zawartość majtek, a następnie podrapał się po tłustym brzuchu.

– Hołota. – Młasnął językiem. Wraz z otwarciem ust dało się wyczuć co najmniej trzy puszki piwa wychylone przed snem. – Zero kultury! Drą mordy po nocy, jakby byli w lesie! Tu nie mieszka już żaden kulturalny człowiek! Nazbierało się przybłąd, tfu!

Erwin zrobił krok w stronę mieszkania Izzy. Nocne krzyki gościa w bokserkach mogły ściągnąć innych, bezpieczniej było się wycofać.

– Niech pan lepiej idzie do siebie, koniec przedstawienia – zawołał i zamknął za sobą drzwi.

Z klatki dało się słyszeć szuranie kapci. Najpierw głośne, jakby facet w bokserkach chciał na odchodne zaznaczyć swój teren, ale potem coraz cichsze, aż całkowicie ustało. Korytarz znów zalała ciemność i zupełna cisza. Nikt z pozostałych mieszkańców nie wyjrzał, nikogo nie zainteresowały jęki dobywające się z mieszkania numer trzydzieści.

Wskaźnik naładowania baterii w laptopie pokazywał ostatnią kreskę.

Erwin po raz setny podszedł do kontaktu i wycelował palcem we włącznik światła. Poza cichym kliknięciem nie zadziało się żaden cud. Blok pogrążony był w ciemności.

Ekran monitora w laptopie pociemniał – narzędzie oszczędzania baterii zadziałało bez zarzutu. Wsunęty pendrive pracował i migotał żółtym światłem. Erwin miał nadzieję, że dzięki niemu posunie się krok naprzód w szukaniu rozwiązania sprawy Izabeli, ale zamiast tego odczytał na pendrivie zaledwie dwa słowa będące nazwą katalogu. Marta Mazur. Kim była i dlaczego Izzy użyła nazwiska obcej kobiety?

Katalog był pusty. Filtrowanie danych Marty Mazur w Google nie podsuwało mu żadnych wskazówek. Grafika wyświetlała obce twarze. Bardzo młode i starsze, ale w żadnej z nich nie znajdował nic, co mogłoby naprowadzić go na jakikolwiek trop. Mógł zrobić tylko jedno.

Facebook ładował się wolno, Erwin docisnął modem. Adres e-mailowy i hasło były niezmiennie od lat. IceMan zalogował go do wirtualnej przestrzeni.

Strona załapała się błękitem. Erwin skierował kursor w lewy górny róg ekranu. „Wyszukaj osoby, miejsca”. Marta Mazur. Znow kilkadziesiąt twarzy, obcych, roześmianych lub poważnych. Naturalnych lub podrasowanych przez programy z telefonów komórkowych. Byłe ładnie wyjść na fotografii oraz zdobyć milion lajków i zachwyków.

Bateria miała jeszcze siedem procent. Zaraz obraz całkiem zniknie.

Do nazwiska Marty Mazur dopisał „Warszawa”. Lista się skróciła. Przeskakiwał z jednej osoby na drugą, ale bez rezultatu.

Dotarł do ostatniego zdjęcia. Nie przedstawiało osoby, jedynie malowniczą fotografię jeziora. Kliknął zrezygnowany, dla samego widoku. Spokojna tafla wody przypomniła mu to, co kochali z Izzy najbardziej. Zaznaczył folder ze zdjęciami. Jeśli jest ich więcej, tych kilka ostatnich minut spędzi przynajmniej na czymś przyjemnym.

Folder zawierał dziesięć widoków jeziora, szuwarów i rozmazanego zachodu słońca. Na żadnym z nich nie było śladu człowieka. Tylko woda i spokój, który bił z każdego zamieszczonego kadru. Zupełnie jak kiedyś, kiedy robili podobne fotografie z Izzy. Nawet położenie horyzontu było takie samo, równo w połowie zdjęcia, tak jak ją uczył. Tylko to błędne ustawienie ostrości w obiektywie skierowanym w stronę światła... Mówił jej tyle razy, że robiąc zdjęcie pod słońce, musi zmienić balans bieli i nasycenie kolorów. Nigdy o tym nie pamiętała, zupełnie jak Marta Mazur.

Czyżby właśnie o to chodziło? Czy Izabela posłużyła się tym nazwiskiem, żeby dać mu sygnał? Kiedyś nazwał ją dziewczyną z Mazur.

Izabela M. Wirska. Izabela Marta Wirska. Marta Mazur...

Erwin poczuł, jak ciśnienie powoli rozsada mu czaszkę.

Dwie minuty. Bateria w rogu ekranu przybrała wściekle czerwony kolor.

Drugi i ostatni katalog. Kolejne zdjęcia, tym razem pokój, biurko z telefonem i cienki segregator, jakich zwykle używają hotele, by umieścić w nich regulamin i ofertę restauracji. Elektroniczna karta z numerem pokoju. Dalej widok z okna na jezioro i cienki przesmyk, piaszczystą dróżkę zakończoną drewnianymi deskami tworzącymi pomost. Pośrodku pomostu nieduża ławka. Kolejne zdjęcie pokoju. Podwójne łóżko, nad nim reprodukcja *Słoneczników* van Gogha. Żółte kinkiety na ścianie z tapetą w jasnobrązowe pasy. Na łóżku narzuta, także brązowa. Walizka na podłodze. Nalepiona na walizce naklejka wydała mu się znajoma. Kolorowe litery składały się w napis *Voyage*. Kiedyś, w czasach studenckich, takie nalepki były bardzo popularne. Kto mógł, upiększał nimi swoje walizy i plecaki. Izzy też to robiła, ale czy to ona jedna?

Wykładzina była typowa dla hotelu, jasnobezowa, ale nie brudząca. Zdjęcia w pomieszczeniu wyszły ostro, musiała je robić na automatycznym programie. Izzy lubiła automat i używała go niemal do wszystkiego, zwykle dostrajał się do warunków panujących w otoczeniu. Wołała prostą obsługę zamiast tych wszystkich udręceń, przestawiania programów i kombinowania z rozdzielczością. Fotografia miała oddać chwilę i klimat, byle szybko, byle nie prysł nastrój.

Więc jeśli to była ona, jeśli Izabela stała się Martą Mazur...

Jeszcze chwila, zanim monitor całkiem zgaśnie.

Erwin musiał to sprawdzić. Datę wstawienia zdjęć można było zobaczyć po pełnym ich otwarciu. Powiększył małe okienko. A więc jednak. Wstawiła je na Facebooka zaledwie dzień przed wypadkiem. Była tam, w jakimś nieznanym mu miejscu na Mazurach, w hotelu z widokiem na jezioro, zaszytym między trzcinami.

Monitor mignął ostatni raz i zgasł wraz z ostatnią kreską baterii. Erwin trzasnął z wściekłością klapą laptopa i opadł na oparcie kanapy.

Co kilka sekund naciskał przycisk na pilocie do telewizora, żeby sprawdzić, czy włączyli prąd. Blok jednak pozostawał odcięty od elektryczności. Płomień świecy stojącej w słoiku palił się równo i oświetlał ściany pokoju. Gdyby była z nim Izabela, nie przeszkadzałyby mu ciemność ani panująca wokół cisza. Siedziałyby tuż obok i opierała głowę o jego ramię. Mogliby trwać tak bez ruchu, nie mówiąc ani słowa. Ale ich historia skończyła się w inny sposób, nie pozostawiawszy cienia szansy na szczęśliwe zakończenie.

Zbyt wiele złego się wydarzyło, żeby móc odbudować wszystko od początku. W dniu, w którym zginął Wiktor, w niej także coś umarło. Nie widział już w jej oczach tego samego uczucia, z jakim jechali na letni biwak. Było w nich rozczarowanie. I strach. Przed nim i tym, co zrobił. I że może zrobić to ponownie. Izzy zwątpiła w to, co ich łączyło. Tamten wieczór przekreślił wspólną przyszłość i plany. Potem pojawiła się w jego życiu Simone. Zagryzł zęby i postanowił być dobrym ojcem dla Karła, tylko to się dla niego liczyło.

Pod zamknięte powieki nadciągał sen. Erwin nie wiedział, kiedy stracił kontakt z ciemnym pokojem i tańczącymi na ścianie cieniami.

Gdy się ocknął, była równo druga. Mózg wybudził się na znajomy dźwięk włączanego mechanizmu. Ciche kliknięcie i terkotanie, tak jak każdej nocy.

Pełen pęcherz dopominał się o swoje. Erwin chwycił słoik z chybotającą się weń świecą i ruszył do łazienki. Po raz setny sprawdził włącznik światła. Bez zmian.

Postawił słoik na pralce i wyprostował plecy nad sedesem. Cisza panująca w bloku spotęgowała odgłos wpadającego do muszli moczu. Kątem oka wychwycił w źle oświetlonym lustrze nad umywalką swoją twarz, która wyglądała, jakby właśnie umył nią podłogę. Wolną ręką potarł niegoloną od kilku dni brodę.

Zasunął zamek w spodniach i już miał nacisnąć spłuczkę, ale zatrzymał palec w powietrzu. Za ścianą dzielącą łazienkę z mieszkaniem numer trzydzieści znów ktoś się poruszył. Erwin opuścił klapę sedesu i podszedł bliżej ściany. Spodziewał się, że ponownie usłyszy kobiecy głos, ale nic takiego się nie stało. Tylko kroki, najpierw ostrożne, jakby ten ktoś nie chciał, aby go usłyszano. Potem bardziej stanowcze, dużo głośniejsze.

Ciężkie buty zmierzały w stronę przedpokoju, był tego pewien. Powolne przekręcenie zamka tylko to potwierdziło. Podwójne, dyskretne zgrzytnięcie metalu i naciśnięcie klamki.

Cichy ruch klucza i zasuwa zamknęła drzwi od zewnątrz.

Wolał nie zabierać ze sobą świecy, na wypadek gdyby słoik wysunął mu się z rąk. Stanął pod drzwiami wejściowymi i przywarł do nich całym ciałem.

– Ani słowa! – dobiegł ledwie słyszalny męski szept z klatki schodowej. – Jeśli tylko otworzysz gębę... Zostaw! Włóżysz buty na dole, a teraz rusz się wreszcie, głupia suko!

Ciemność panująca na klatce schodowej uniemożliwiała zobaczenie czegokolwiek. Zamontowany w drzwiach judasz nie wychwycił żadnego ruchu, jakby był zalepiony tężącą smołą. Mężczyzna nie użył latarki ani też nie poświecił pod nogi komórką. Musieli schodzić w całkowitym mroku.

Erwin liczył na to, że towarzysząca mu kobieta coś odpowie, ale nie odezwała się ani słowem. Wyobraził ją sobie, jak porusza się bezszelestnie, jak posłusznie zaciska usta, żeby nie oberwać po raz kolejny. Cicho trzasnęły drzwi na parterze.

Erwin poszedł do sypialni i po omacku odsunął szufladę nocnej szafki. Przesunął żółtą kopertę i kilka rozrzuconych luzem drobiazgów należących do Izabeli. Szperanie w ciemnościach nie należało do najłatwiejszych czynności, ale po chwili natrafił na to, czego szukał. Zacisnął w palcach klucz zaczepiony na breloku z Elmo.

\* \* \*

Mirek Pałacz otworzył butelkę z piwem i rozparł się wygodnie w swoim obrotowym fotelu. Nie obstawiał dziś żadnego meczu, powoli przyzwyczajał się do myśli o zlikwidowaniu konta w zakładach bukmacherskich. Gdyby podliczył, ile stracił przez lata na tym, co miało mu dać dobre auto i willę w Konstancinie... Wolał tego nie robić. Nie będzie grał, przynajmniej spróbuje do końca tygodnia. Potem zobaczy. Nocne maratony w sieci i obstawianie zakładów weszły mu w krew – zamiast wieczornego filmu w telewizji lub odmawiania z dziećmi pacierza przed snem.

Na razie musiał wypełnić sobie czas czymś innym. Pacierz w ogóle nie wchodził w grę. Odkąd zmarła Joanna, nie miał podstaw, by wierzyć, że ktoś reguluje ludziom zegarki, jeśli chodzi o czas ich odchodzenia z tego świata. Jednym dzwoniły zbyt późno, innym – dużo za wcześnie. Nijak nie mógł uchwycić sensu tego, co go spotkało, i, co ważne, już nie chciał. Odeszła, a wraz z nią wiara, że nad tym ludzkim galimatiasem czuwa ktoś mądrzejszy, kto może wszystko. Gdyby tak było, nie siedziałby teraz sam, zapijając pustkę.

Nałożył na uszy słuchawki i włączył The Doors. Stare, ale dobre. Mocne, pełna psychodela. Do tego piwko. Odlotowa pełnia szczęścia.

Ekran komputera przełączył się na tryb czuwania. Czerwone zawijasy przesuwały się po monitorze z góry na dół i z boku na bok, tworząc serpentyny, elipsy i nakładające się na siebie koła. Mirek zamknął oczy i dał się ponieść fali muzyki.

Czterdzieści jeden minut i osiemdziesiąt dwie sekundy debiutanckiego albumu zamknęły słowa *This is the end*. W słuchawkach wybrzmiały ostatnie dźwięki klawiszy i zapadła cisza.

Siedział jeszcze przez chwilę bez ruchu, nie wyjmując słuchawek z uszu. Przetrwał słyszane po raz tysięczny przesłanie Jima Morrisona i powoli otworzył powieki. Kolorowe esy-floresy z monitora zamieniły się w wędrujące kwadraty. Sięgnął po niedokończone piwo, które temperaturą zaczynało przypominać zupę, i pociągnął łyk. Powinien wylać je przez okno, ale zawsze to kilka złotych straconych bezpowrotnie. Spróbował jeszcze raz. Po chwili przyzwyczał się do zupy z chmielu.

Odstawił pustą butelkę pod stół i nacisnął myszkę. Kwadraty zniknęły, na ich miejscu pojawiły się wiadomości sportowe. Szybki rzut oka potwierdził, że od godziny w sportowym świecie niewiele się zmieniło. Nie pobito żadnego rekordu ani nie wykryto afery dopingowej.

Wszedł na Facebooka. Szybko przejrzał ostatnie wpisy i nowe zdjęcia. Z biegiem dni znów ich przybędzie – sezon na wyjazdy oficjalnie rozpocznie się za tydzień, wraz z dźwiękiem ostatniego dzwonka w szkołach. Tłumy ruszą nad morze i w góry. Będą selfie i infantylne komentarze. Nieważne, nie ogląda przecież tego wszystkiego, żeby pomarzyć o rodzinnych wczasach. Byle tylko zająć czymś przed snem ręce i głowę.

Zanim zamknął komputer, dołączył do klubu szachistów amatorów i wąskiej społeczności miłośników Schuberta. Przez chwilę zastanawiał się, o którego Schuberta chodzi – czy o tego wywijającego biodrami w rytm polskiej piosenki na lato o takiej, co biegała nago po plaży, czy tego drugiego. Ikonka ze zdjęciem kędzierzawego kompozytora w koszuli z wysokim kołnierzem rozwiąła wątpliwości. Nie kojarzył żadnego dzieła mistrza, ale co to za problem. Równie obce było mu szachowe bicie w przelocie. Nigdy przecież nie spotka się z tymi ludźmi, ważne, że dołączył do nowych grup. Jakich – to już nie miało znaczenia. W jego kręgach zainteresowań znajdowali się pasjonaci żeglarstwa i kuglarstwa, wspinacze wysokogórscy i nurkowie głębinowi. Z żadnym z nich nie nawiązał bliższej relacji, był martwą duszą wśród tych, co skaczą i debatują na tematy całkiem mu nieznane. Gówniana rekompensata za samotność.

Nawet nie zauważył, jak wybiła pierwsza w nocy. Butelka po piwie była pusta, schowana w szufladzie żołądkowa również.

Ostatni tego dnia papieros i zaraz zapakuje się do łóżka. Otworzył szerzej okno.

Dym uniósł się pod sufit i wyleciał górą. W ramach wdzięczności ulica wpuściła do pokoju nagromadzony po całym dniu smród spalin.

Mirek oparł się o ramę i strzepnął popiół. Zaciągnął się ostatni raz i nie wypuszczając dymu z płuc, rzucił petem w tabliczkę mówiącą coś o ochronie zieleni. Dżizas, jak dobrze! Ciśnienie trochę podskoczyło po kolejnej dawce nikotyny, ale nie powinien mieć problemów z zaśnięciem.

Ściągnął podkoszulek i powąchał pachy. Nie było najgorzej, do rana wytrzymają. Zaraz umyje zęby i padnie na łóżko. Jeszcze lampka na stole. Nacisnął wyłącznik i po raz ostatni usiadł przed ekranem komputera, żeby pozamykać wszystkie otwarte strony.

Rechtot żaby oznajmiający przyjście nowej wiadomości przerwał ciszę panującą w pokoju. Chmurka na pasku ekranu pokazywała jedynekę. Jedna nowa wiadomość sprzed chwili.

Spojrzał na prawą stronę monitora, gdzie zwykle widoczni byli znajomi w trybie online. Przy żadnym nazwisku nie wyświetlała się jednak zielona kropka.

Rechtot się powtórzył. Dwie nowe wiadomości.

Mirek przełknął ślinę i obejrzał się za siebie, aby mieć pewność, że nikt z domowników nie zajrzy mu przez ramię. W mieszkaniu panowała jednak ciemność, dzieci i matka spały spokojnie w swoich łóżkach.

Nacisnął chmurkę.

– *Kiedy zamierzasz to zrobić? Och, przepraszam, mała nieścisłość. Prawidłowe pytanie brzmi: kiedy zamierzacie to zrobić? Bo przecież miałeś towarzystwo, prawda?*

Pod wiadomością dołączona była uśmiechnięta buźka.

Palacz położył palce na klawiaturze:

– *Zacznę z tobą gadać, jeśli powiesz wreszcie, kim jesteś.*

Patrzył, jak przez monitor przebiegają cztery kuleczki informujące o tym, że ktoś po drugiej stronie kabli pisze kolejną wiadomość.

– *Jestem CoOczyWidziały. Nie udawaj, że nagle zapomniałeś o moim istnieniu. Ja o tobie pamiętam cały czas. Prawda, że to miłe, jak ktoś pamięta?*

– *Czego chcesz? Pieniędzy?*

– *Ha, ha, ha. Chcesz przehandlować życie przyjaciela za kilka marnych papierków? CoOczyWidziały chce, żeby ciało zmartwychwstało.*

– *Jesteś chory!*

Na ekranie zamiast odpowiedzi pojawił się kolejny emotikon. Buźka była zasmucona.

– *Sprawiasz mi przykrość.*

– *Odpierdol się, przygłupie!!!*

Dźwięk rechoczącej żaby ucichł. Sekundy mijały, ale nie było odpowiedzi. Mirek otarł wierzchem dłoni spoczone czoło i wyszukał po omacku paczkę papierosów. Troska o skaczące ciśnienie odpłynęła. Musiał zająć czymś dygoczące ręce.

Nie odezwie się więcej. CoOczyWidziały odpuścił. Maniak z kompleksem Boga wystraszył się! Domorosły spec od tajnych misji, co robi w portki, żeby nikt nie poznał jego nazwiska.

– Niech mnie cmoknie! – Mirek zgiął rękę w łokciu i siarczyście pocałował się w pięść.

Pstryknięciem palców wysłał kolejnego spalonego peta za okno i wyszedł do łazienki. Zęby, siku i bez paciorka.

Wrócił do pokoju i dokładnie zamknął za sobą drzwi.

Nie mógł słyszeć z łazienki ostatniego tej nocy żabiego rechotu. Jednak chmurka znów pokazywała nową wiadomość.

– *Co jest, dżizas?* – Mirek pochylił się nad biurkiem i odświeżył wiadomości.

Przesyłka od CoOczyWidziały zawierała kolejne zdjęcie wysłane przez Snapchata. Było równie ciemne jak poprzednie, nawet trochę bardziej. Mirek rozjaśnił ekran do maksimum.

– *Kurwa mać!* – wybełkotał i zmrużył oczy, żeby lepiej przyjrzeć się fotografii. Wiedział, że ma zaledwie kilka sekund, żeby nasycić oczy tym, na co tak naprawdę wolałby nigdy więcej nie patrzeć.

Ubity na szybko kopiec wyglądał jak wojenny kurhan. Stali nad nim w piątkę. Nie było widać szczegółów, ale jeden detal Mirek rozpoznał bez większych trudności. Światło księżyca zabłąkało się tuż przy nim, a właściwie przy metalowej saperce, o którą opierał się, stojąc przy świeżo usypanym grobie Wiktora.

\* \* \*

Klucz z Elmo wszedł bezszelestnie do zamka. Wystarczyły dwa ruchy i zasuwą przesunęła się,



wpuszczając Erwina do środka.

Poświecił po ścianach latarką w telefonie. I tu, podobnie jak w laptopie, bateria była na wykończeniu. Powolne odcinanie od świata postępowało.

Przedpokój przypominał ten w mieszkaniu Izabeli. Szeroki na rozciągnięcie ramion, w jego połowie znajdowały się drzwi do łazienki. Sprawiał wrażenie bardziej przestronnego, zapewne z braku szafy, która u Izzy zajmowała połowę miejsca. Tu na ścianie wisiała za to długa makatka w ludowe wzory. Kolorowe pasy przędzy spływały niemal od samego sufitu i kończyły się na wysokości stóp. O makatkę oparty był plastikowy kubek z mopem. Podłoga musiała być myta całkiem niedawno, w powietrzu wciąż utrzymywał się smród wilgoci wymieszanej ze stęchlizną.

Erwin zrobił kilka kroków do przodu, gdzie według rozkładu powinien znajdować się salon. Coś musnęło go po twarzy. Odgarnął to nerwowym ruchem, ale po sekundzie musnięcie się powtórzyło. Skierował światło na powietrzną przeszkodę. Nazute na sznurki drewniane koraliki głucho stukwały jeden o drugi. Uczepione sufitu wyglądały jak włosy Kenijki, zaplecione w cienkie warkocze i ozdobione kolorowymi paciorkami.

Erwin złapał kilka sznurków i poświecił w przestrzeń za nimi.

Po lewej ręce miał drzwi do sypialni obite tanią brązową tapicerką. Na wprost, zaraz pod oknem, stała szara sofa. Tuż przed nią – szklana ława przykryta śnieżnobiałą serwetą. Pośrodku ławy stała kryształowa miska z plastikowymi owocami. Wypucowane czerwone jabłka i śliwki węgierki wyglądały nad wyraz tandetnie, podobnie jak równo ułożone na paterze gumowe babeczki z równie gumowym lukrem.

– Co, do diabła...? – Erwin skierował światło na stół. W jego rogu leżało pudełko po płytach CD, o które opierał się kobiecy magazyn, jeden z tych, co to wskazują właściwą drogę do bycia idealną gospodynią. Wyglądało to dziwacznie, jakby wchodzący do pokoju od razu mieli dostać jasną wskazówkę, jakie lektury czyta się w tym domu.

Okno za sofą zakryte było miękkimi zasłonami w kolorze dojrzałych wiśni. Mimo słabego światła z łatwością dało się zauważyć, że od lat nikt nie tknął ścian pędzlem. Gdzieniedzie widoczne były pęknięcia i dziury po gwoździach.

Erwin odwrócił się za siebie. Za plecami powinien mieć kuchnię otwartą na pokój. Błat barowy był, dwa stołki też. Obok, przy ścianie, zlew i lodówka. Duża, znacznie większa niż w mieszkaniu Izzy. I tylko dwie szafki.

Światło przesunęło się po reszcie ścian. Cały pokój był pusty, nie licząc ławy i sofy pod oknem. Nie było telewizora, szafy ani kwiatka. Nawet sztucznego. U sufitu wisiała żarówka bez osłonki. Ascetyczne mieszkanie Izabeli było przy tym wszystkim niczym Bizancjum.

Erwin wrócił do miejsca z ławą i kanapą. Lewa stopa zahaczyła o coś miękkiego na podłodze. Nie był to żaden perski dywan, lecz kawałek postrzępionej po bokach wykładziny z długim włosiem.

Mieszkanie wymykało się jakimkolwiek kanonom wzornictwa budowlanego, a zwłaszcza wykończeniówki. Zupełnie jakby na co dzień nikt tu nie mieszkał, tylko wpadał na kilka minut, żeby poczytać w kobiecym piśmie, jak usunąć plamę z tłuszczu lub upiec kaczkę. Coś tu było nie tak.

Erwin poszedł do przedpokoju i nacisnął klamkę drzwi do łazienki. Dwie dziurki po śrubach wskazywały, że ktoś tu majstrował i wyjął zamek.

W łazience nie było nic nadzwyczajnego. Mała wanna ze wstawioną do środka ceramiczną miednicą, umywalka i wiszące nad nią okrągłe lustro. Na ścianie umocowany dozownik na mydło. Tuż pod ścianą stał opróżniony do połowy pięciolitrowy baniak z pomarańczowym płynem o egzotycznej nazwie Manusan. Nazwa nic Erwinowi nie mówiła, podobnie jak ta z kolejnej butli, która stała tuż obok. Była żółta, na wielkiej białej naklejce widniała nazwa Virkon.

Erwin podniósł pokrywkę baniaka. Na jego dnie leżały torebki z proszkiem, z których ulatniał się cytrynowy zapach.

Na odchodnym zajrzał jeszcze do małej szafki nad pralką. Proszek do prania, odplamiacz, pudełko z lateksowymi rękawiczkami i szczoteczka do paznokci. Równie dobrze mógłby patrzeć teraz na zawartość szafki w swoim mieszkaniu w Hamburgu. Klasyczny zestaw „bądź sterylny razem z nami” uzupełniany przez Simone przy okazji zakupów w supermarkecie.

Zamknął szafkę i wycofał się z łazienki. Chciał jeszcze raz spojrzeć na pokój za drewnianymi koralikami. Właściwie nie wiedział, co go tam ciągnęło. Pokój nie był ani ładny, ani tym bardziej nie można było go nazwać przytulnym. Może gdyby to było studio telewizyjne, gdzie prawda przeplata się z ekranowym oszustwem, ten widok byłby znośny. Ludzkie oko daje się łatwo oszukać kłamliwemu oku kamery.

I jeszcze te obite tapicerką drzwi do sypialni...

Erwin podszedł do pikowanego obicia i przesunął ręką po imitacji skóry. Nie musiał przyglądać się temu cudowi lat osiemdziesiątych, żeby stwierdzić, że to partanina kogoś, kto miał pierwszy raz młotek w rękach i mało chęci do roboty. Pinezki trzymały brzeg skaju, ale wychodząca spod niego poźółkła od starości gąbka przedstawiała sobą żalosny widok. Pikowania na sztucznej dermie gdzieśgdzie popuszczały, zaledwie kilka z nich trzymało się na swoim miejscu. Najpewniej drzwi przyciągnięto z jakiegoś muzeum, żeby zaoszczędzić na nowym obiciu. Jeśli tapicerka miała wyciszać odgłosy zza ściany, to efekt byłby taki sam, gdyby ktoś obił drzwi zwykłym kartonem. Każdy krzyk i jęczenie przedzierały się przez to liche zabezpieczenie i rozchodziły po murach budynku.

Zwykle zagłądanie do czyjejś sypialni nie ma nic wspólnego z dobrymi manierami i eleganckim zachowaniem, ale ani mieszkanie nie należało do szczególnie eleganckich, ani stojący na progu pokoju Erwin nie był z tych szczególnie wrażliwych na konwenanse. Nie tu

i nie teraz.

Bez wahania nacisnął klamkę i wpuścił ledwie tłące się światło komórki przez szczelinę w drzwiach. Oczekiwał, że w strumieniu rzucanym przez żarówkę zawirują mikroskopijne drobinki kurzu wymieszane z milionami roztoczy, jak to zwykle bywa w zamkniętych pomieszczeniach, ale nic takiego nie nastąpiło. Nie czuć też było smrodu skwaśniałej wilgoci, jak w przedpokoju. Powietrze było czyste, przez uchylone okno, zaopatrzone w takie same metalowe żaluzje jak w mieszkaniu Izzy, wpadał podmuch nocnego wiatru.

Erwin wciągnął powietrze w płuca. Dopiero teraz uświadomił sobie, że unosi się tu ledwie wyczuwalny zapach cytryny podobny do tego, jaki dolatywał z żółtego pojemnika w łazience.

Moc baterii w telefonie słabła z sekundy na sekundę, ale jeden rzut oka na pokój wystarczył, żeby rozpoznać, że nie ma nic wspólnego z sypialnią. Wnętrze wyglądało na zwykły składzik lub pomieszczenie gospodarcze.

Erwin poświecił sobie pod nogi. Stał na jasnoszarym linoleum, które wyściełało całą podłogę. Nie było tu dywanu ani nawet małego chodnika, wynajmującym od Izzy mieszkanie najwyraźniej nie zależało na domowej atmosferze.

Z podłogi powoli przeniósł światło na ścianę. Żółta, coraz słabsza plama rozlała się po metalowych szafkach. Znał te półki, matowo-srebrne słupki, solidne kotwy i wsporniki; w garderobie Simone nie było nic prostszego w montażu niż regały na buty rodem z Ikei. Byle tylko przymocować wszystko do ściany, żeby konstrukcja trzymała się prosto i nie runęła przy byle szarpnięciu. Ten metalowy regał był identyczny. Z tą różnicą, że nie stały na nim pudełka z butami ani nie leżały swetry czy spodnie. Półki zajęte były przez różnej wielkości blaszane pojemniki.

Erwin podszedł bliżej. Światło latarki zajrzało do pierwszego z brzegu pojemnika. Zawartość przykryta była lnianą, białą szmatką. Uniósł jej brzeg dwoma palcami. Na dnie blaszanego pudełka leżały zapakowane w firmowe folie strzykawki z igłami. Ułożone równo, jedna obok drugiej, może dwadzieścia, może więcej. Drugi pojemnik był pełen plastrów. Nie takich zwykłych, powleczonych byle jakim materiałem, ale drogich, jedwabnych, nawiniętych na szpule. Tuż obok piętrzyły się jałowe gaziki różnej wielkości, też ułożone w idealnym porządku. Pojemniki zajmowały całą półkę.

Latarka powędrowała niżej. Tu leżały z kolei tekturowe pudełka, szarozielone i niebieskie. Erwin wziął do ręki jedno z nich i potrząsnął. Pudełko było lekkie, coś w nim zaszemrało, jakby w środku znajdowały się pokruszone muszelki. Rozerwał banderolę i pchnął palcem wysuwając część kartonika. Wyjął z niego jedną z tuzina płaskich i wąskich saszetek. Napis na saszetce niewiele mu mówił: 2-0 Vicryl, MH-1 plus. Erwin odłożył na bok telefon z latarką i rozerwał torebkę.

– Jasna cholera! – wycedził przez zęby i wyjął na dłoń zawartość saszetki. Nie miał już

żadnych wątpliwości co do tego, co trzymał w ręku. Nić chirurgiczna zgodnie z opisem na opakowaniu miała siedemdziesiąt pięć centymetrów i zagiętą w półksiężyc igłę. – Co tu jest grane?!

Zawinał nić na palcu wskazującym i schował ją wraz z igłą do kieszeni spodni. Zamknął dokładnie pudełko i docisnął banderolę. Wyszło niemal idealnie.

Latarka w telefonie gasła, ostatnia kreska baterii migiała niebezpiecznie. Do pozostania w zupełnych ciemnościach brakowało kilku sekund. Tyle, by Erwin po raz ostatni mógł obrzucić spojrzeniem metalowy regał ze sprzętem.

Po chwili mieszkanie ogarnęła ciemność.

Wyciągnął rękę i namacał wolną przestrzeń. Szedł po omacku, przesuując stopy powoli, ale zdecydowanie. Brak światła nie stanowił przeszkody, wystarczyło zacząć polegać na pozostałych zmysłach.

Palce Erwina zatrzymały się na czymś twardym. Na wysokości jego głowy wisiała drewniana, pionowa szafka wielkości dwudziestoczerocalowego telewizora.

Otworzył drzwiczki. Pięć szklanych półek, na których równo poukładano jakieś przedmioty, wszędzie po cztery. Przedmioty były miękkie i miłe w dotyku. Różniły się jedynie wielkością i sprężystością.

Wziął jeden z nich do ręki. Chłodna torebka z przelewającym się żelem przypominała mu zabawkę Karla, którą producent nazwał wymownie „glutem plastycznym”. Ten żel nie rozciągał się jednak na boki, lecz trzymał swój kształt w zamkniętej przestrzeni silikonowej torebki.

Zamknął szafkę i zrobił kolejnych kilka kroków. Tu pokój powinien się już kończyć. Wyciągnięta ręka niemal dotykała powierzchni ściany. Jednak na wysokości ud Erwin poczuł opór. Nachylił się i przebiegł dłońmi po miękkim materacu rozciągniętym na metalowej leżance. Pod naporem jego rąk odbiła się lekko od ściany. Kółka poruszyły się i zastygły.

Materac, nawleczona nań cerata, metalowa rama i zwinięty u wezglowia kawałek materiału, zapewne poszewka na poduszkę.

Znów wolna przestrzeń, ale tylko na odległość jednego kroku. Statyw na pięciu kółkach, wąskie, gładkie ramię-wysięgnik i cztery halogenowe lampy. Większe od męskich pięści, idealnie okrągłe. Pod nogami piętrzył się niedokładnie zwinięty kilkumetrowy kabel. Erwin przesunął go butem, by nie zaplątać się w źle złożone zwoje.

Ulicą przejechało auto. Światło reflektorów wpadło na krótką chwilę do mieszkania i omiotło pokój. Te dwie, trzy sekundy wystarczyły, aby Erwin zweryfikował swoje pierwsze wrażenie. Nie był to składzik, jak wydawało mu się po przestąpieniu progu. Stał pośrodku sali operacyjnej, otoczony profesjonalnym medycznym sprzętem.

\* \* \*

– Myślisz, że kiedyś te dziwne telefony wreszcie się skończą? – Helena Wirska naląła płynu do mycia naczyń do zlewu i puściła gorącą wodę. Docisnęła korek i zamieszała ręką w wodzie, tworząc pianę.

– Wystarczy wyjąć kabel z gniazdka. – Ojciec Izabeli nawet nie wychylił głowy z lodówki. Kolacja była na tyle skromna, że czuł ssanie w żołądku. – Jeśli jeszcze raz ta sytuacja się powtórzy, po prostu schowam aparat i będzie po kłopotcie.

Wirska włożyła szklanki po herbacie do zlewu. Wypełniły się do połowy zielonkawą mieszaniną wody i płynu o jabłkowym zapachu. Drobinka chemicznego roztworu najwyraźniej trafiła jej do nosa, bo musiała potrzeć swędzący czubek wierzchem dłoni.

– Chcesz całkiem odłączyć telefon? – Ręka Wirskiej zatrzymała się w powietrzu. Gruby puch piany odlepił się od szklanki i opadł do wody.

– Wciąż będziemy mieć komórkę.

Kobieta odwróciła twarz w stronę lodówki.

– Wolałabym nie prosić cię za każdym razem, kiedy chcę do kogoś zadzwonić.

– A ja wolałabym mieć ciszę w domu. – Wirski zwinął szynkę w rulonik i włożył ją sobie do ust. – Te połączenia zaczynają mnie już drażnić. Czas, żeby zrobić z nimi porządek.

– Zawsze można tak przyciszyć dzwonek, żebyś go nie słyszał.

Drzwi lodówki zatrzasnęły się głośniejsze niż zwykle.

– Będzie tak, jak powiedziałem. I jeszcze jedno. Chcę się wreszcie dowiedzieć, kto tu był pod moją nieobecność.

Matka Izabeli odstawiła mokrą szklankę na suszarkę i sięgnęła po talerz. Zniknął w pianie i uderzył cicho o dno zlewozmywaka.

– Naprawdę wydawało ci się, że się nie domyśle?

Wirski stanął tuż za jej plecami. Czowała wydobywający się z jego ust zapach mięsa. Plecy matki Izabeli pochyliły się i przygarbiły.

– Kobieta czy mężczyzna?

– Nikogo tu nie było...

Roześmiał się i spojrzał na swoje odbicie w szybie. Poprawił ręką opadające na czoło włosy i potarł palcami brodę. Obserwował, jak twarz żony tężeje, jak rysuje się na niej napięcie przed nadchodzącym atakiem. Mimo to nie podniósł głosu, wolał mówić cicho, ale wyraźnie, tak by do jej uszu dotarła każda wypowiedziana przez niego sylaba.

– Powtarzam pytanie: kto to był?

– Nikt. – Zaryzykowała i jeszcze bardziej skuliła ramiona.

Chwycił schnącą szklankę i upuścił ją tuż koło nóg kobiety. Rozprysła się, raniąc jej bosą kostkę.

– Jesteś tego pewna – powiedział, nie stawiając znaku zapytania.

Nie odpowiedziała. Widziała, jak sięga po kolejną szklanę. Obracał ją w dłoniach tak, że szkło zgrzytało pod jego palcami, jakby były zrobione z tysiąca ostrzy. Chciała się schylić, skaleczona skóra na nodze zaczynała piec coraz bardziej. Jednak stała bez ruchu z rękami zamoczonymi w wodzie i palcami zaciśniętymi na gąbce.

– Tak, jestem pewna.

Nie krzyknęła, kiedy kolejny kawałek szkła uderzył o posadzkę. Dno rozbitej szklanki sterczało niebezpiecznie. Przesunęła się o pół kroku, by nie wbiło się w podeszwę nocnego pantofla. Pokruszone odpryski zgmiotły się pod naciskiem jej nogi.

– Wystarczy, że powiesz jego nazwisko. Noc jest długa, a ja mam dużo czasu na czekanie. – Kolejny kawałek szynki zniknął w ustach Wirskiego.

– Dobrze zatem. – Matka Izabeli otarła ramieniem mokry policzek. – On tu był. We czwartek, kiedy wyszedłeś z domu.

– Kto „on”?

– Chłopak, z którym spotykała się na studiach.

– Erwin Cis, czy tak?

– Tak, to był Erwin.

– Czego chciał?

– Porozmawiać o naszej córce. On łudzi się, że Izabela wciąż żyje.

– Bez utopistów świat byłby nudny.

– Nie mów tak! – Kobieta wyswobodziła się ze zbyt małego dystansu, który dzielił jej zapadłą klatkę piersiową od spokojnie pracujących płuc męża. – Z nas wszystkich on jeden stara się zrozumieć, co tak naprawdę się stało. Mnie to prawo odebrałeś już dawno. Zamykałeś mi usta za każdym razem, gdy pytałam o to, w jaki sposób ona...

Jej ramię znalazło się nagle w żelaznym uścisku. Próbowała wykręcić rękę, ale Wirski był silniejszy.

– Czasem myślę... – Głos kobiety zamienił się w jęk. – Boże wybac mi to, co powiem... Myślę, że śmierć naszego dziecka nie miała dla ciebie żadnego znaczenia. Nie widziałam w tobie żalu ani rozpacz. Nic, zupełnie jakby odejście Izabeli było czymś zwykłym i nieznaczącym, jakby była dla ciebie kimś obcym.

– Co za brednie! – Wirski szarpnął ramieniem żony, po czym wypuścił je z palców. – Całkiem ci rozum odjęło! Jeśli uważasz, że jadąc na miejsce wypadku, robiłem sobie wiosenną przejażdżkę, to jesteś w wielkim błędzie! Gdybyś tam była, gdybyś widziała to, co ja...

Wirski dyszał. Chodził od ściany do ściany, nie zważając na potłuczone szkło i nie patrząc na żonę.

– Kostnica. Przemięłe miejsce. Byłaś tam? Widziałaś? Nie, skąd! Co za cholerna wygoda nie musieć patrzeć na pokaleczone ciało po wypadku! Lepiej zostać w domu, gdzie nie ma krwi,

połamanych żeber i zdartej do kości skóry. Tylko że widzisz, kochanie, w przeciwieństwie do ciebie ja tam byłem. Stałem nad martwym ciałem i, do diabła, nigdy nie dowiesz się, jak to jest podpisywać jakiś świstek papieru mówiący, że to właśnie ciało należy do twojej córki!

Matka Izzy założyła rękę na piersiach.

– Mimo to byłeś spokojny. Wtedy, tamtego dnia, kiedy przyjechała do nas policja. Jakbyś na to czekał. I potem też. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, ale później ta myśl wciąż do mnie wracała.

– O czym ty mówisz?

– Wróciłeś z kostnicy spokojny i poprosiłeś o mocną kawę. Nie o swoje tabletki na serce, tylko o kawę. Jak gdyby nigdy nic.

Wirski zatrzymał się w pół kroku, obrócił i podszedł do żony. Oparł jedną rękę o ścianę, tuż przy jej głowie. Drugą schował w kieszeni spodni.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tylko tyle, że śmierć Izabeli była dla ciebie nic nieznaczącym epizodem. Ja... nie dbam o to, co się ze mną stanie. Możesz mnie nawet zabić. Nie ma dla mnie większego nieszczęścia niż to, co już się wydarzyło. Ale może przyszedł czas, żeby powiedzieć sobie pewną ważną rzecz.

Wirski czekał. Nie drgnął mu żaden mięsień w opartej o ścianę ręce, która przy odrobinie większym nacisku zrobiłaby dziurę w murze.

– Nie zaprzeczysz, że tylko jednemu z nas zależało na życiu i szczęściu Izabeli.

Kobieta spodziewała się, że jej mąż zrobi coś nieoczekiwanego. I zrobił. Chwycił jej głowę w obie dłonie, tak że poczuła, jak krew szybciej przepływa przez jej skronie, i pocałował w sam środek czoła.

– Sprzątnij podłogę i idź spać.

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia? – Odchyliła się na wypadek nagłego nawrotu furii, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Ze szkłem nie ma zabawy.

– Kpisz ze mnie?

Pytanie Heleny odbiło się już od pustych ścian. Z niedokręconego kranu powoli skapywały kolejne krople wody. Zwilżyła rąbek ścierki i przyłożyła go do krwawiącej kostki.

\* \* \*

Prąd włączono o trzeciej nad ranem. Świeca w słoiku dopaliła się pół godziny wcześniej.

Erwin siedział bez ruchu we wciąż ciemnym pokoju i przetwarzał w głowie to, co widział w mieszkaniu za ścianą. Z rozmyślań wyrwała go najpierw lodówka, która jęknęła po dostawie

świeżej dawki prądu, a zaraz potem głośnie walenie do drzwi.

Obejrzał się przez ramię, jakby czekał, że nocny gość odejdzie i da mu święty spokój, ale łomot nie ustawał. Dopił reszkę whisky z porcelitowego kubka i podniósł się z kanapy. Spędzenie ostatnich kilku godzin w całkowitych ciemnościach spowodowało, że poruszał się po mieszkaniu swobodnie jak kot.

Nie zapalając lampy, stanął na progu i przekręcił zamek.

– Drzwi na dole były otwarte, ktoś majstrował przy zapadce. – Mirek Pałacz przecisnął się między nim a framugą. Czuć było od niego piwem i setką wypalonych papierosów. Odruchowo przejechał dłonią po ścianie i wcisnął włącznik światła. Erwin zacisnął powieki i potarł dłonią twarz.

– Zgaś to! – Nie czekając na reakcję Palacza, wyłączył plafon. – Nie chcę tu lunaparku, oczy mi zaraz wysadzi od tego światła. Wiesz, która jest godzina?

Z salonu dało się słyszeć ciche uderzenie i zaraz po nim głośniejsze „kurwa mać!”.

– Pieprzałem się centralnie w kolano! Co ty tu za partyzantkę po ciemku odstawiasz, Cis?

– Możesz przyjąć, że ratuję planetę, matkę Ziemię naszą jedyną.

Palacz obmacał kanapę i usiadł na miękkich poduszkach. Wziął do ręki pustą butelkę po whisky i podniósł ją, żeby sprawdzić, czy zostało coś na dnie.

– Nie masz więcej? – Rozczarowany pomachał butelką.

– Chyba nie wpadłeś na drinka? – Erwin przyjrzał się uważnie przyjacielowi. – Stary, jest trzecia nad ranem.

– Wiem, Cis, znam się na zegarku.

– Coś z dzieciakami?

Palacz pokręcił głową.

– Umoczyłeś na zakładach czy wiesz kasę komuś, kto zaczął się niecierpliwić? Mów, Palacz, potrzebujesz pieniędzy?

– Pieprzę twoje pieniądze. I ciebie też pieprzę, Cis. Są kłopoty. Przez ciebie.

– Matka dała ci szlaban za zabawy ze mną? To przykre.

Palacz wygiął się i wyciągnął z kieszeni spodni wymiętą paczkę marlboro. Płomień zapalniczki rozproszył mrok panujący w pokoju. Erwin sięgnął po słoik po wypalonej świecy i podstawił gościowi pod nos. Sam wyjął kolejnego papierosa i zaciągnął się z lubością.

– Powiesz wreszcie?

Mirek wypuścił z płuc długą smugę dymu i zabrał się do obgryzania paznokcia u kciuka. Żarząca się końcówka papierosa niemal wypalała mu prawe oko.

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić, Cis. Nie odbierałeś, więc musiałem przyjechać.

– Nie było prądu, bateria siadła i dopiero teraz...

– Nieważne, Cis. Telefon, bateria, to wszystko nieistotne.



Erwin patrzył na szamoczącego się w nerwach przyjaciela. Chwile, w których widział go tak poruszonego, mógłby policzyć na palcach jednej ręki.

– Ktoś tam był, oprócz nas – rzucił Palacz w przestrzeń pokoju.

Erwin stał oparty plecami o parapet. Obserwował, jak tłący się papieros Palacza drży niespokojnie w jego palcach.

– O czym ty mówisz?

– O tym, o czym już dawno zapomnieliśmy. – Żar papierosa siedzącego naprzeciw Mirka rozpałił się mocniej przy wciągnięciu dymu w płuca. – Tały – odpowiedział i ponownie zacisnął zęby na paznokciu.

W pokoju rozległ się odgłos kroków i skrzypnięcie drzwiczek kuchennej szafki. Dołączyło do nich uderzenie o siebie kubka i nowej butelki whisky. Erwin postawił kubek z butelką na stole, tuż przed dygoczącymi kolanami przyjaciela.

– To miało być śmieszne? Jeśli tak, to jesteś wyjątkowo złym błaznem. – Odkręcił korek i polał alkohol do obu kubków.

Palacz wychylił whisky i dołał sobie następną kolejkę.

– Dostałem wiadomość. I zdjęcia – dodał. – Wszyscy tam jesteśmy, cała nasza paczka.

– Kiedy?

– Kilka dni temu, wczoraj też. Przychodzą od kogoś o nicku CoOczyWidziały. Najpierw wzięłem to za kretyński żart, ale kiedy zobaczyłem zdjęcia... Kurwa, Cis, w co ty nas wpakowałeś!

Erwinowi pokój zaczął wirować przed oczami.

– Masz te zdjęcia?

Palacz przełknął whisky i wrzucił peta do słoika.

– Nie. Ten ktoś używa Snapchata. Zdjęcia znikają po kilku sekundach.

– Jesteś pewien, że to te zdjęcia?

Śmiech Palacza zabrzmiał jak wycie hieny.

– A czyje, kurwa?! Widać pięć osób, tyle nas było, prawda?! Pięć osób nad jeziorem, jedna z nich trzyma saperkę. Tak, Cis, tę cholerną saperkę, którą kopałem grób! Co chcesz jeszcze wiedzieć? W jakich byłeś gaciach? Bo co? Bo inaczej nie uwierzysz? No więc ci przypomnę: stoisz w swoich starych spodniach z podwiniętymi nogawkami, boso. Za twoimi plecami trzy namioty i ognisko. Dziewczyny stoją ściśnięte z minami jakby... no właśnie... jakby dopiero co były świadkami zabicia człowieka. Jeszcze ci mało?

– To był wypadek. – Erwin zacisnął palce na kubku, jakby chciał zgnieść go na drobny mak.

– Jemu to powiedz! Pogadaj z CoOczyWidziały i wytłumacz uprzejmie, że zakopaliśmy Wiktora nad jeziorem niechcący.

W pokoju zapadła cisza. Palacz oparł głowę o oparcie sofy i wbił wzrok w sufit.

– Czego ten ktoś chce?

– Ciała zmartwychwstania.

– Co? – Absurd tej odpowiedzi spowodował, że Erwin niemal wypuścił z rąk kubek z niedopitą whisky.

– Ciała zmartwychwstania. Tak było napisane. Ten ktoś ma nas w garści. Pobawi się jeszcze raz czy dwa, wrzuci kolejne fotki, no a potem...

– Nie było tam nikogo poza nami. – Erwin starał się przypomnieć sobie szczegóły z tamtej przekłętej nocy. – Widziałeś twarze, nasze twarze?

– Zdjęcia były niewyraźne, ale to na pewno byliśmy my. Wszystko było takie samo, jezioro, plaża... To ta sama plaża, Erwin!

– Spróbuj go namierzyć, masz przecież swoje sposoby.

– A jeśli się nie uda? On wie, co robi. Nie zostawia śladów.

– Ludzie duchy nie istnieją. Postaraj się. Ktoś chce nam zacisnąć pętlę na szyi.

Mirek podniósł się na chwiejnych nogach z kanapy i ostrożnie wyszedł zza ławy, nie chcąc po raz kolejny zderzyć się ze szklanym blatem.

– Spróbuję. A co ze sprawą Izabeli? Dowiedziałeś się czegoś?

Erwin siąknął nosem na wspomnienie wizyty za ścianą.

– Owszem. Ale nie wiem jeszcze, jak to wszystko poskładać.

– Jakby co, to wiesz, gdzie mnie szukać.

– Wiem, dzięki, stary. – Erwin poklepał przyjaciela po plecach i otworzył drzwi. – A teraz wracaj do siebie, to była długa noc dla nas obu.

Został sam. Ostatnia szklanka whisky zawróciła mu w głowie. Sprawa Wiktora wracała. Odkąd zakopali go tamtej nocy nad jeziorem, myśl o tym, co zrobił, prześladowała go każdego wieczora, kiedy kładł głowę na poduszkę. Palacz zrobi wszystko, żeby dopaść tego, kto wysłał mu zdjęcia.

Teraz jednak on sam musi skupić się na czymś innym. Erwin podpiął laptopa do prądu i odczekał kilka chwil. Po raz drugi tej nocy otworzył Facebooka i wszedł na konto Marty Mazur. Na ekranie pokazały się fotografie pokoju hotelowego.

Usnął, wpatrując się w wiszące nad łóżkiem *Słoneczniki* van Gogha i walizkę z nalepką *Voyage*.

\* \* \*

Obudził go słodki zapach poziomkowej mgielki do ciała i drapanie za uchem. Poruszył ramieniem i na powrót wtulił głowę w rozgrzany skaj kanapy. Drapanie powtórzyło się i dołączyło do niego lekkie dmuchnięcie w sam środek policzka.

– Wstawaj! – Sońka złapała kosmyk swoich włosów i przesunęła nim po twarzy Erwina. – Koguty piał już cztery godziny temu.

Zalepione snem powieki piekły, jakby ktoś polał je octem. Erwin spojrzał przez szparki oczu na zegarek. Był kwadrans po dziewiątej.

– Odejdź – wybelkotał i zasłonił twarz dłonią. – Ale najpierw zrób kawy. Mocnej.

Począł, aż Sońka wstanie z kanapy i przekręcił się na plecy. Rozprostował nogi. Skurczone po nocy kolana trzasnęły w stawach.

Szum wody nalewanej do czajnika miał siłę wodospadu. Mózg uznał, że pięć godzin snu to za mało, aby usunąć procenty i doprowadzić szare komórki do stanu używalności.

Zapach parzonej kawy rozniósł się po mieszkaniu i po chwili szklanka z szatanem stała na ławie tuż obok butelki whisky i dwóch pustych kubków.

– Dużo ostatnio pijesz – zauważyła z przekąsem. – To nie pomoże.

– Uczył Marcin Marcina. Poza tym noc była ciężka. Może wytłumaczysz mi, jak się tu znalazłaś? Chyba umówiliśmy się...

– Zostawiłeś otwarte drzwi. – Sońka przerwała mu w pół zdania. – Byłeś sam?

Parsknął na widok zaciśniętych w linijkę ust próbujących udawać uśmiech. Był tak samo naturalny jak orgazm u aktorki porno.

– Nie, nie sam. Był ktoś jeszcze.

– Aha.

„Aha” zabrzmiało smutno i żałośnie. Usiadła w fotelu obok i podwinęła nogi. Naciągnęła swoją nową, zieloną sukienkę na kolana tak mocno, że spod jej brzegu widać było jedynie stopy w tych samych co zawsze czarnych, ciężkich butach. Nie spuszczała wzroku z Erwina. Obserwowała w ciszy, jak parzy język wrzątkiem.

– Powiesz mi, kto to był?

Patrzyła wzrokiem dziecka, któremu zamiast miodu podano łyżkę dziegciu. Jej włosy splecione w warkocz opadały na ramię. Oparła o nie brodę i zmarszczyła czoło.

– Zostawiłam cię samego tylko na kilka godzin...

Erwin odstawił szklankę na stół. Kawa była zbyt mocna nawet jak na jego cierpiące zwoje mózgowie. Istniało podejrzenie, że Sońka zalała wrzątkiem pół słoika mokki.

– Nie było tu żadnej kobiety, jeśli o to ci chodzi.

Stopa w czarnym bucie drgnęła.

– Myślałam, że...

– Źle myślałaś. To, że zgarnąłem cię z nocnego klubu, nie znaczy, że wyciągam z takich miejsc dziewczyny na nocki. Wiesz, po co tu przyjechałem.

– Wiem. Dla Izabeli. Mimo że nie żyje.

Erwin podniósł się gwałtownie z kanapy i zrobił krok w kierunku drzwi. Przypomnienie

o tym, że Izzy nie ma, było niepotrzebne.

– Przepraszam, że to powiedziałam. – Sońka w ostatniej chwili złapała go za rękę i przytuliła ją do rozgrzanego policzka. – Jeśli ta sprawa jest dla ciebie tak ważna, to dla mnie także. Nawet jeśli miałbyś nigdy się nie dowiedzieć, co naprawdę się z nią stało.

Czuła, jak zeszywniała ręka Erwina wysuwa się z jej dłoni.

– Erwin, poczekaj – krzyknęła za nim, ale zdążył zamknąć za sobą drzwi do łazienki. Oparła się o nie ramieniem i zastukała zgiętym palcem w szybkę. – Pamiętasz, jak obiecałam, że ci pomogę?

Nie odpowiadał.

– Erwin?

Odczekała chwilę, wsłuchując się w szum płynącej z kranu wody, po czym nacisnęła klamkę. Erwin siedział w wannie, zanurzony po biodra w wodzie, i patrzył, jak jej poziom podnosi się z każdą minutą. Nie zareagował, gdy kłapa sedesu opadła z hukiem i Sońka usadowiła się na wprost jego nagiego ciała. Poruszył się, dopiero gdy poziom wody sięgnął pasa. Zakręcił kran i oparł się o tył wanny. Miał czerwone oczy od braku snu i wody z chlorem.

– Pytałam, czy pamiętasz... – Sońka przerwała, widząc, że Erwin błądzi myślami gdzie indziej. – Posłuchaj mnie, Erwin. Chcę spłacić dług za to, że mnie wtedy nie wyrzuciłeś na ulicę.

– Nie masz żadnego długu – odezwał się wreszcie, ale nawet nie spojrzął w jej stronę, wpatrzony w ścianę łączącą łazienkę Izzy z mieszkaniem numer trzydzieści. – Możesz tu spać, dopóki nie wyjadę. Potem wrócisz, skąd przyszedłeś.

Podniosła się z sedesu i podeszła do wanny. Wraz z nią zawirował w powietrzu zapach poziomkowej mgiełki do ciała. Ukucnęła na owalnym chodniku, ledwie się na nim mieszcząc. Gdy usadowiła się tak, by nie dotykać łydkami posadzki, oparła brodę o zimną emalię wanny i zlustrowała nagie ciało Erwina. Każda kobieta na taki widok z przyjemnością przymrużyłaby oczy. Kiedy pamiętnej nocy uprawiali dziki seks, nie mogła zobaczyć go w całej okazałości. Czuła jego napięte mięśnie ramion i ostro ociosane kości miednicy, które przyciskała do swoich bioder. Nie miał ciała małpoluda owłosionego na plecach jak mężczyźni, z którymi najczęściej spędzała noce. Pod palcami czuła lekki meszek pod pępkiem i twardą klatkę piersiową bez grama tłuszczu.

Erwin nalał szampon w zagłębienie dłoni i wylał go na mokre włosy. Puścił na głowę wodę ze słuchawki. Piana spłynęła po ramionach i plecach. Kilka kropel spadło Sońce na twarz.

Teraz miała go jak na widelcu. Był taki, jak należy. Nawet blizna na całej długości łydki nie mogła zaszkodzić temu, co wprawilo ją w zachwyt. Patrzyła na znajomy meszek nad pępkiem i niżej, czując, jak rośnie w niej pożądanie. Szybko oceniła szerokość wanny i zakłęła w duchu. Musiała pozostać na podłodze.

Podciągnęła do góry rękaw i powoli wsunęła rękę do ciepłej wody. Nie zareagował do

momentu, gdy włożyła dłoń między jego uda.

– Mówiłem, że to był tylko raz. – Erwin zacisnął palce na jej nadgarstku, aż pisnęła z bólu. – Drugiego nie będzie.

Cofnęła rękę i roztarła skórę.

– Nikt się przecież nie dowie...

– Setny raz nie będę tego powtarzał.

Parsknęła i przewróciła oczami.

– Pieprzony harcerzyk!

– Więcej tego nie rób.

Dał znak, żeby podała mu ręcznik. Ściągnęła go z haczyka i zakręciła w powietrzu.

– OK, jak sobie życzysz. Zaczniemy wszystko od początku, będę zachowywała się, jak należy, obiecuję.

Erwin stanął na podłodze i owinął biodra bordowym materiałem frotté. Wyminął opartą o umywalkę Sońkę i zaczął myć zęby.

Sońka przeciągnęła paznokciem po jego zgiętym kręgosłupie.

– Mam coś dla ciebie.

Splunął resztką pasty i wytarł usta.

– Powiedziałem chyba jasno, że...

– Wiem, skąd dzwoniło do domu Wirskich.

Podniósł głowę znad umywalki i złapał odbicie jej twarzy w zaparowanym lustrze.

– Co mówisz?

– Wiem, skąd wychodził sygnał połączenia – powtórzyła rozanielona. – Mam też numer telefonu, tak jak chciałeś. Ja naprawdę umiem się odwdzięczać, Erwin. A dla ciebie zrobię wszystko, wiesz przecież.

Czuł, że oblewa się potem. Słone krople wyszły mu na czoło i zmieszały się z wodą.

Sońka wytarła jego twarz z troską, z jaką matki ocierają łzy swoim dzieciom.

– Zrobiłam, co chciałeś. Chyba więc zasłużyłam, żebyś polubił mnie choć trochę.

Przekrzywiła głowę i pokiwała się na boki jak przedszkolak. Przedszkolaki nie mają jednak tendencji do kłamstwa. Erwin nie zapomniał o ukrytym w nawilżaczu powietrza zakrwawionym telefonie Roxy. Jeśli do tej pory Sońka nie powiedziała mu, w jaki sposób znalazł się w jej rękach, teraz też mogła kręcić, aby wymusić na nim choć odrobinę uwagi albo, co gorsza, uzależnić od zbyt pięknej bajki, która nigdy nie stanie się prawdą.

– Skąd mam mieć pewność, że nie kłamiesz?

Zacisnęła wargi i cofnęła się o krok. Stopa w zbyt dużym bucie zaplątała się w podwinięty dywanik.

– Zrobisz, jak zechcesz – odpowiedziała i poprawiła chodnik czubkiem grubej platformy. –

Zdążyłam cię już poznać, Erwin. Jeśli myślisz, że jestem ostatnią osobą, której zależy na tym, żeby twoja dziewczyna żyła, to masz rację. Nie zależy mi na niej. Powiem więcej: ja też nie wierzę w jej samobójstwo, ale jestem pewna, że nie żyje. Ludzie, z którymi robiła interesy, nie wiedzą, co to znaczy „wycofać się z biznesu”. W ich słowniku nie ma słowa „odejść”. Jeśli chciała zrezygnować, bo zdała sobie sprawę z tego, co się naprawdę dzieje w mieszkaniach, które wynajmowała, stało się z nią to samo, co z Roxy. Od tego nie ma ucieczki, Erwin. Ja to wiem i ty też to wiesz. Gonisz za uludą. Boże, jaki ty jesteś naiwny! Twoja święta Izabela była zwykłą frajerką i musiała zapłacić za swoje błędy.

– Poza Roxy i Rubby były jakieś inne?

Na dźwięk imion tancerek z nocnego klubu dziewczyna nerwowo potarła szyję.

– Duszno tu.

– Nie zauważyłem. – Erwin przyjrzał się jej pobladłej twarzy. Był pewien, że nagły odpływ krwi z policzków Sońki nie był przypadkowy.

– Muszę stąd wyjść.

– Może jednak porozmawiamy o twoich przyjaciółkach? Na przykład o Roxy. Mówiłaś, że gdy zobaczyłaś ją leżącą na ulicy, podeszłaś, żeby sprawdzić, czy żyje.

– Tak było.

– A może ważniejszy od jej życia był dla ciebie jej telefon z kontaktami, których ty nie miałaś? – Zatrzymał ją, gdy nacisnęła kłamkę. Czekał, aż dziewczyna odwróci się, ale ani drgnęła. – Co, Sońka?

– Mylisz się co do mnie – odpowiedziała ostrym tonem. – Nie mam pojęcia, co sobie wyobrazasz, ale powiem ci jedno, Erwin. Gównu wiesz.

Pchnęła z impetem drzwi. Słyszał jej szybkie kroki w przedpokoju, a potem w salonie. Gdy wyszedł z łazienki, po Sońce został tylko słodki zapach poziomek unoszący się w mieszkaniu.

Wyjął ze swojej torby ostatni czysty podkoszulek i parę skarpet. Sterta brudnych ubrań piętrzyła się pod ścianą sypialni w oczekiwaniu na włączenie pralki. Wrzucił wszystko do bębna i wlał płyn do prania.

W nocnej szafce wciąż leżało to, co intrygowało go najbardziej – GPS zabrany z domu Wirskich. Podłączył go do kontaktu, żeby naładować baterię, jej poziom rósł jednak w ślimaczym tempie. Małe plastikowe pudełeczko wydawało się ostatnią szansą na odnalezienie miejsca ze *Słonecznikami* van Gogha i walizką z nalepką *Voyage*.

## ŚMIERĆ TRZECIA

Asystentka mecenasa Nawrockiego, Agata Soból, otworzyła kancelarię równo o dziewiątej i, jak co dzień rano, nastawiła ekspres do kawy. Umówione spotkania miały rozpocząć się dopiero za godzinę, więc nieśpiesznie pootwierała okna w poczekalni, aby wpuścić do biura świeże powietrze.

Ekspres zmełł pierwszą partię ziaren i wypluł bąble ciemnej mazi wraz z wąskim strumieniem kawy prosto do filiżanki z logo Tchibo.

Agata Soból nie zdążyła nawet zamoczyć ust w parującym napoju, kiedy na biurku zabrzączał telefon.

– Kancelaria Nawrocki i Bujakiewicz, słucham?

Głos w słuchawce mówił długo, nie pozwalając przerwać sobie ani na chwilę. Mimo otwartych na oścież okien Agata Soból czuła, jak robi jej się coraz bardziej słabo i zaczyna jej brakować powietrza. Miała wrażenie, że stoi na baczność przed plutonem egzekucyjnym, sprzed którego nie ma ucieczki.

Z trudem opanowała drżenie rąk. Potakiwała głową i bełkotała coś bezdźwięcznie, poruszając jedynie ustami.

Gdy głos skończył, odłożyła słuchawkę i rozpięła górny guzik bluzki, próbując wciągnąć w płuca jak najwięcej powietrza. Wystawienie twarzy do wiatru przynosiło ulgę, ale purpura na policzkach nie chciała zniknąć. Zwilżyła chustką lodowatą wodą i docisnęła ją do szyi w nadziei, że czerwone plamy na skórze zdążą zblednąć, zanim pojawi się Nawrocki, a wraz z nim – pierwszy interesant.

Ponownie stanęła w oknie w nadziei, że teraz poczuje się lepiej. Oddychała ciężko i głęboko, patrząc beznamiętnie na przechodniów biegnących w pośpiechu do swoich biur.

Gdy uspokoiła się na tyle, żeby zebrać myśli, wyjęła z szuflady klucze do gabinetu Nawrockiego.

Wsunęła klucz do zamka. Pokój był gotowy na rozpoczęcie kolejnego dnia pracy. Puste biurko, wypolerowany blat i wsunięty fotel. Szafki zamknięte, podobnie jak szuflady, sejf i metalowe szafy z kopiami dokumentów.

Na chwilę wróciła do holu i na wszelki wypadek przekreśliła rygiel w drzwiach wejściowych, zostawiając klucz w zamku. Tych kilka dodatkowych sekund na pozostawienie wszystkiego

w idealnym porządku i zamknięcie gabinetu mogło okazać się zbawienne. Upewniła się, że drzwi trzymają mocno, i weszła po raz drugi do pokoju Nawrockiego. Stała przed metalową szafą i wzięła głęboki oddech.

Mały srebrny kluczyk wszedł bez problemu do zamka, pod którym nalepiona była etykieta „Archiwum 2015”.

\* \* \*

GPS zabrany z domu Wirskich pokazał najkrótszą drogę z Warszawy do Starych Sądów. Sto osiemdziesiąt dwa kilometry w linii prostej do hotelu Raj, który uwieczniono na zdjęciu zamieszczonym na stronie Marty Mazur.

A więc jednak Tałty. Po raz kolejny i zapewne ostatni Erwin miał znaleźć się tam, gdzie wszystko się skończyło.

Gnało ją do tamtego miejsca. Czy ze względu na niego i wspomnienie tego, co ich rozdzieliło, czy po prostu lubiła spokój i samotność? Rejon jezior był dla niej naturalnym wyborem, jeśli chciała uciec od własnego strachu. Tylko tam czuła się wolna i anonimowa.

Erwin wysypał ze swojej podróźnej torby wszystko, co wydało mu się zbędne. W zamian dorzucił wiszącą na haczyku w przedpokoju bluzę od dresu i wczorajszą parę skarpet. Wyłączył pranie i zapakował kilka mokrych rzeczy do reklamówki. Resztę rozwiesił na zimnym kaloryferze. Nie potrzebował wiele. Właściwie z każdym dniem zdawało mu się, że potrzebuje do życia zaledwie tego, co ma na sobie, plus porządną whisky i kilka papierosów na rozluźnienie. To, co zostawił za sobą, wyjeżdżając z Hamburga, wydało mu się istnym szaleństwem, rosnąca z miesiąca na miesiąc sterta metek kojarzyła mu się z Simone i jej nieustającym przymusem, by bardziej mieć niż być. Jego droga Simone dostałaby mdłości na widok swego męża. Nieogolona twarz i wczorajsze ciuchy. Pewnie nie poznałaby go teraz na ulicy i wyminęła z obrzydzeniem jak zwykłego kłoszarda.

Erwin odkręcił butelkę z wodą kolońską i wylał kilka kropel na otwarte dłonie. Przeciągnął rękami po szyi. O tym nie chciał zapomnieć. I o jeszcze jednym.

Na dnie konewki pozostało akurat tyle wody, ile potrzebował, by na odjeźdźnym podlać storczyka na parapecie. Odruchowo wsadził palec między wystające ponad ziemię pędy kwiatu. Gleba w doniczce była mokra. Tym razem to musiała być Sońka, pomyślał i poczuł piekący wyrzut sumienia, że pozwolił jej wyjść w gniewie.

Ostatni raz rzucił okiem na mieszkanie. Miał poczucie, że opuszcza swoje miejsce na ziemi. Wystarczyło zaledwie kilka dni i nocy spędzonych wśród tych mebli, zapachów i wspomnień, by zrozumiał, że chciałby tu zostać na zawsze.



Chciał przebyć drogę nad Tałty dokładnie tą samą trasą co ona, kilometr po kilometrze. Gdyby jeszcze zabrał z domu jej matki choć jedną z płyt CD schowanych w pudełku z uśmiechniętą Marilyn Monroe... Przeklął się w myślach za to przeoczenie.

Schował swoją sportową torbę z podręcznymi rzeczami do sakwy przy motocyklu. Włączył GPS i wcisnął opcję „odtwórz ostatnią trasę”. Granatowa nitka z pulsującą strzałką przebiegła przez ekran urządzenia, wskazując drogę na północny wschód.

Czuł podniecenie, podobne do tego, kiedy po raz pierwszy zobaczył Izabelę. Bulwary nad Wisłą, jej rozwiane na wietrze włosy i żółte spodnie uprasowane w równy kant. Na nogach miała białe trampki. Bluzka na ramiączkach odsłaniała opalone ramiona. Kiedy wybrali się z grupą nowo poznanych znajomych ze studiów na powitalne piwo, patrzył tylko na nią. Kilka dni później spędzili pierwszą wspólną noc, tak dobrą jak nigdy potem. Kolejne były coraz bardziej namiętne, ale to ta pierwsza była najważniejsza.

Początek i koniec. Przygnębiający obraz tego, co było, a co nie wydarzy się już nigdy więcej. Nawet gdyby żyła, nie wróciłoby to coś delikatnego i nieuchwytnego, co łączyło ich kiedyś. Może podeszłaby do niego i wyciągnęła rękę. Może nawet w pierwszym odruchu rzuciłaby mu się na szyję i poczulby wtedy, jak płacze z ulgą, która przyszła wraz z jego pojawieniem się po latach. Usiedliby na trawie lub ławce nad jeziorem, nie musieliby nic mówić albo mówiliby bez przerwy. Każde z nich starałoby się ponad miarę sprawić, by to spotkanie było dobre. Nie musiałyby być idealne, wystarczy, że rozstались się w przyjaźni. Ona mogłaby żyć dalej, może nie tu, nie w Polsce, ale w innym kraju, z dala od problemów, przed którymi uciekała. On wróciłby do Hamburga i egzystował dalej, próbując uczyć się żyć na nowo bez niej. Po raz drugi, po raz ostatni. Dałby radę. Wstawałby rano, jak do tej pory. Mył zęby i całował Simone na powitanie. Patrzyłby, jak ich syn rośnie i zakochuje się w jakiejś Dagmar czy Erice. Wszystko by zniósł, nawet będąc z dala od Izzy. Wyrzekłby się mrzonek o tym, że mogliby znowu, razem... Byle tylko wiedział, że żyje.

Zwolnił, gdy dotarł do bulwarów nad Wisłą. Barki na rzece były jeszcze puste. Przedpołudniami porządkowano podłogi i stoły, aby na wieczór mogły przyjąć setki nowych gości – zakochanych i krzykliwych.

Jechał prawym pasem, wolno, żeby dostrzec, czy ich barka wciąż stoi tam, gdzie dawniej. Pamiętał dobrze to miejsce. Za zacumowanymi statkami wycieczkowymi, między mostem Świętokrzyskim a Śląsko-Dąbrowskim. Celowo nadłożył drogi, chciał jeszcze raz spojrzeć na miejsce, w którym wszystko się zaczęło.

Podjechał tak blisko krawężnika, że opony jęknęły od zatarcia o beton. Nie zważał na klaksony i innych kierowców machających rękami. Ale nie było ani barki, ani napisu „Srebrna Bryza”. Jej miejsce zajęły inne łodzie, zupełnie nieznane. Obwieszane nieskończoną masą różnobarwnych żarówek i światełek choinkowych, które zabłysną, gdy tylko zacnie się

zmierzchać.

Wziął to za zły znak. Wszystko, co miało trwać wiecznie, powoli znikało, wymykało się z rąk.

Minął Cytadelę i most Grota-Roweckiego. Przyspieszył po drugiej stronie Wisły, aby jak najszybciej wyjechać z miasta. We wstecznym lusterku powoli znikały zabudowania Warszawy.

\* \* \*

Trasa numer 61 wyglądała zupełnie inaczej niż dziesięć lat temu, kiedy całą paczką jechali wynajętym volkswagenem transporterem, obładowani namiotami i karimatami. Stary kamper podskakiwał przy każdym wyboju na wygryzionym przez deszcz i mróz asfalcie. Teraz czarny Thunderbird płynął gładko po równej nawierzchni, ale Erwin wolałby móc ponownie poczuć to uderzenie kośćmi pośladków o twarde siedzenie starego auta i cofnąć się do dnia, w którym załadowali się do niego z wrzaskiem i wybrali kierunek na północ. Wiktor włożył do ust dwa palce i dał sygnał do odjazdu, dziewczyny usiadły z tyłu, nie bacząc na niedoprane, wysłużone fotele. Izabela wyjęła z pokrowca gitarę, oparła ją o uda i zaczęła uderzać w struny. Czy to był Grechuta, czy Turnau, Erwin zamiast koncentrować się na tym, co wychodzi spod palców Izzy, patrzył na jej drobne nadgarstki i wąskie palce nieporadnie zmieniające chwyt.

W połowie drogi zaczął padać deszcz, Palacz przejął kierownicę tuż za Ostrołęką, zwalniając za kółkiem Wiktora, który od razu zajął się popijaniem czegoś kolorowego z termosu. Po chwili termos zaczął krążyć z rąk do rąk.

Wyskoczyli z auta, gdy tylko zobaczyli między drzewami połyskującą tafłę jeziora. Byli w doskonałych humorach. Ostatnie dni lata miały być niezapomniane.

Potem wszystko potoczyło się inaczej, niż powinno. Pod koniec dnia jednego z nich zabrakło. Zwykła bójka, jakich tysiące. Ta jednak miała inny finał. Jak przez mgłę słyszał krzyki i płacz dziewczyn. Wiktor leżał na piasku na plecach. Nie reagował na szarpanie i uderzenia w policzki. Palacz pozbył się ciała, pomagali wszyscy. Byli pewni, że poza nimi nie ma tam nikogo. Wokół było ciemno, noc się dopiero zaczynała. Do asfaltówki było dobrych kilkaset metrów. Nie słyszał trzasków gałęzi, mógłby dać głowę, że nikt obcy nie rozbił się na ich plaży. A może nie zwrócił uwagi na to, co działo się wokół nich, nie odbierał żadnych sygnałów poza tymi, które huczały w jego głowie. Był jak w transie, kiedy wziął swój plecak i poszedł w głąb lasu. Jego ciało szło, dusza została przy usypanej hałdzie piachu, pod którą leżały zwłoki Wiktora.

Wrócił do Warszawy nocnym pekaesem, który złapał kilometr za Mikołajkami. Kupił bez słowa bilet i schował się na samym końcu autokaru. Nie chciał, by ktoś widział, jak się trzęsie. Nie potrzebował ciekawskich spojrzeń. Czuł się tak, jakby miał wypisane na czole, że właśnie zamordował człowieka.

Nikt z pozostałej trójki przyjaciół nie odezwał się do niego po powrocie. To nie bolało aż tak bardzo jak milczenie Izabeli. Postanowiła zapomnieć o tym, że Erwin żyje. Zupełnie jakby to on leżał pod ziemią zamiast Wiktora. Po kilku nieudanych próbach odpuścił. Przez jakiś czas żył, jakby nie było jutra. A właściwie, jakby nie było wczoraj. Jakby Izabela nigdy nie istniała i jakby noc nad jeziorem nigdy się nie wydarzyła. Po trzech miesiącach zaczął odczuwać fizyczny ból. Brakowało mu tlenu, gdy stawała mu przed oczami z tą swoją roześmianą twarzą, której nie mógł dotknąć i pocałować. Potem twarz Izabeli zaczynała zmieniać kształt, zamazywała się i przeobrażała w twarz Wiktora. Ten koszmar trwał miesiącami, powtarzał się regularnie, odbierając resztki spokoju. Żeby jako tako funkcjonować, zaczął brać leki, dużo leków. Były sesje na kozetce i długie rozmowy. Potem poznał swoją żonę. Erzac w postaci Simone miał być jak podłączenie butli z tlenem. Skutkowało, ale do czasu. Sumienie upominało się o to, by wrócił do kraju. Telefon od Nawrockiego odebrał jako ostatnią szansę na wyrwanie się z matni, w której tkwił. Wiktorowi nie mógł już pomóc, ale była ona.

Na zawsze razem, pamiętaj. Będzie pamiętał, żywą lub umarłą.

\* \* \*

Zatrzymał się na stacji Shella. Włał do pełna i odjechał na bok, aby zapalić papierosa.

Włączył Facebooka w telefonie. Strona ładowała się z trudem, ale w końcu na ekranie pojawił się znany błękit. Zalogował się i wszedł na profil Marty Mazur. Zdjęcia i widok pokoju w hotelu Raj znał już na pamięć. Mógłby z zamkniętymi oczami odtworzyć szczegół po szczególe, jakby tam był i stał pośrodku pokoju, otoczony przez te same meble, których dotykała ona.

Powiększył zdjęcie w miejscu, gdzie na stole leżała elektroniczna karta do drzwi. Rozdzielczość fotografii była słaba, trudno było odczytać z niej cokolwiek. Zamknął stronę, przesunął palcem po kontaktach i wybrał znajomy numer. W głośniku coś zazgrzytało, ale połączenie utrzymywało się jako tako.

– Palacz, jesteś tam? – odezwał się, słysząc niezrozumiałe szumy. Znajdował się na wyasfaltowanym placu, gdzie poza kilkoma stanowiskami z benzyną nie było życia, nie licząc otaczających go czterech litewskich tirów. – Halo!

Przerywane odgłosy nie dawały mu żadnej pewności, że po drugiej stronie ktoś go słyszy.

– Szlag by to! – Zazgrzytał zębami. – Pieprzona dziura!

Spróbował ponownie. Bulgot w słuchawce się powtórzył.

Erwin przysiadł na krawężniku. SMS, którego wysłał do Palacza, był krótki: *wyostrz, szybko*. Do wiadomości dołączył zdjęcie elektronicznej karty. Wyślij. Odczekał chwilę w obawie, że wiadomość zostanie odrzucona ze względu na słaby zasięg. Zwrotna informacja o odrzuceniu szczęśliwie nie nadeszła.

\* \* \*

Sońka postanowiła nie wracać więcej na Ptasia. Postanowienie trwało długo, pełne dwie godziny, do czasu, kiedy uświadomiła sobie, że w mieszkaniu na drugim piętrze zostawiła torbę z kosmetykami i ciuchami, bez których brylowanie na parkiecie w Panoramie było niemożliwe. Nieśmiertelna czarna, bandażowa sukienka była jej firmowym logo, tak jak czarna głowa królika była logo Playboya. Musiała dziś wrócić do klubu. Na papierosach i wodzie długo się nie pociągnie, a kieszenie jej jedynych džinsów od dwóch dni wypełniało jedynie powietrze.

Miejsce parkingowe pod blokiem, na którym Erwin zwykle stawiał motocykl, było zajęte przez wiśniowe renault. Z ciekawości zajrzała przez szybę. Na tylnym siedzeniu stały wciśnięte na styk dwa foteliki, a na nich leżała gruba warstwa ziemniaczanych chipsów pokruszonych przez dziecięce pośladki.

Zadarła głowę. Okna w mieszkaniu Erwina, a właściwie Izabeli, były zamknięte. Wcisnęła guzik domofonu i odczekała kilka sekund. Erwin nie odpowiadał. Nacisnęła guzik do innego mieszkania. Stary sposób na kuriera do sąsiada nie zawiódł. Wystarczyło wybrać przycisk, przy którym ktoś, zwykle starsza osoba, nie obawiał się zostawić swojego nazwiska na wąskiej tabliczce tuż obok numeru lokalu. Starsi ludzie są zbyt ufni, pomyślała z rozrzewnieniem.

Drzwi do klatki wydały z siebie przeciągły sygnał. Pchnęła je i z zatroskanym uśmiechem przepuściła kobietę z wózkiem.

– Spacer? – zagadała ze swobodą w głosie, jakby znały się od lat.

Sońka zdążyła zauważyć, że dziecko nie należało do najpiękniejszych. Na jej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania co do urody malucha, co nie uszło uwadze jego matki. Kobieta wyminęła Sońkę, ocierając bokiem wózka jej nogę.

– Przepraszam. – Bez cienia skruchy szarpnęła wózkiem. – Wąskie przejście.

– Dobrze przynajmniej, że ciemne.

Za plecami usłyszała, że takie jak ona to powinno się było od razu wyskrobać, a nie dać im żyć w normalnym społeczeństwie. Prawdziwa matka Polka katoliczka.

Drzwi klatki trzasnęły i zaległa cisza.

Zapasowy dorabiany klucz błysnął w jej palcach. Ten miał być na wyjątkową okazję, wiedziała, że taka nadejdzie. Dwa krótkie kliknięcia i już mogła nacisnąć klamkę mieszkania numer trzydzieści jeden. Poprawiła nogą przekreśloną wycieraczkę i poszła prosto do sypialni. Wygrzebała swoją torbę spod rzuconych na podłogę brudów Erwina i postawiła ją w przejściu do salonu.

Musiała zabrać stąd jeszcze jedno. Uklękła pod parapetem i włożyła palce do nawilżacza powietrza. Natrafiły na próżnię, więc odpięła go z metalowej zaczepki i odwróciła do góry nogami. Stuknęła nawilżaczem o podłogę, chcąc wysypać zawartość na dywan. Nie wypadło nic

poza cienkimi płatkami odłożonego na dnie kamienia.

W panice rozejrzała się po pokoju. Jeśli Erwin nie zabrał telefonu Roxy ze sobą, wciąż musiał tu być. Zajrzała pod łóżko i dokładnie zlustrowała drewniane deski stelaża. Po kolei zrzuciła na podłogę kołdrę, poduszki i prześcieradło. Materac był ciężki, ale podniosła go na tyle, aby upewnić się, że nie ma pod nim tego, czego szukała. Do salonu nie mógł go wynieść. Wszystko, co dla niego ważne, trzymał w sypialni, w swojej podróżnej torbie lub w nocnej szafce. Po torbie nie było śladu. A więc wyjechał, przeczytał pozostawioną przez nią wiadomość i pojechał w miejsce, z którego dzwoniło do domu Wirskich.

Dla pewności pobiegła do przedpokoju, żeby sprawdzić, czy wieszak, na którym Erwin zwykle zostawiał bluzę dresową, jest pusty.

Naturalnie mogłaby wręczyć mu adres na Mazury wprost, bez uciekania się do dziecinnych sztuczek i wtykania wiadomości w kieszeń bluzy, ale ich poranna rozmowa poszła nie tak, jak powinna. Erwin siedział w wannie i patrzył na kapiące z kranu krople wody. Był nieobecny. Pokłócili się, a potem odepchnął ją i poniżył. Wyszła z mieszkania bez pożegnania, kartkę z miejscem i numerem telefonu wsunęła mu do kieszeni i zasunęła w niej zamek.

Niemniej jednak zrobiła, co do niej należało. Obietnicę się dotrzymuje.

Gdyby tylko wiedział, jaką cenę musiała za to zapłacić. Uruchomienie zwykłych kontaktów na nic się zdało, więc zaczęła odgrzewać stare. W efekcie spędziła kawał nocy na kozetce gościa, którego poznała w zeszłym roku na Wolumenie. Chciała wtedy znaleźć tanie słuchawki. Wśród setek handlarzy wypatrzyła chudego i rudego, przed dwudziestką. Wyglądał na oferwę, któremu mogłaby wcisnąć kit, że podobnie jak on jest studentką ekonomii lub stomatologii, jadącą codziennie, z braku słusznych dochodów, na pierogach z baru mlecznego. W portmonetce miała dwie dychy, ale za to długie, sztuczne rzęsy załopotwały przed jego nosem jak flaga na wietrze. Rudy głupi nie był, okazał się znanym miejskim hakerem o zasłużonym pseudonimie Jezusek. Robił rzeczy niemożliwe, łącznie z podpięciem się pod dane IPN-u czy PZPN-u, Sońka nie do końca rozumiała różnicę. W każdym razie mógł wiele, ale nie za darmo. Kiedy powiedziała mu, że musi jej pomóc, odpowiedział, że wszystko ma swoją cenę. Skończyła na jego kozetce.

Sońka westchnęła nad swym losem i wróciła do przerwanych poszukiwań. Wyjęła szufladę z szafki i wysypała jej zawartość na dywan.

– Gdzieś ty to schował, do diabła?! To przecież musi gdzieś tu być! Jak to mówią, najciemniej pod...

Jej wzrok padł na lekko odsuniętą od łóżka lampę w kształcie kwiatu. Chwyciła za długi stojak i uniosła ją do góry.

– Tu jesteś! – krzyknęła na widok naklejki z Myszką Miki. – Faceci to jednak gamonie.

Przetarła ręką telefon i włączyła go, by sprawdzić, czy bateria nadal działa. Stary model

motoroli potrzebował pół minuty, żeby przywrócić ustawienia i wypluć na ekran okienko do wpisania hasła. Dziękowała Bogu, że Erwin nie dostał się do SMS-ów i e-maili. Gdyby tylko wiedział, co w nich było, wszystko by się posypało.

Okienko zażądało wprowadzenia hasła dostępu. Znała je na pamięć. Pięć liter i trzy cyfry. Lalka123. Sama podsunęła je Roxy na miesiąc przed jej śmiercią. Może i było dziecinne, ale przecież one wszystkie nimi były: dziewczynami do zabawy.

Zajrzała do ostatnich połączeń. Roxy była przezorna i nie kasowała tego, co mogło się kiedyś przydać. I na czym chciała zarobić. Teraz zarobi na tym Sońka.

Grające z głodu kiszki zmieniły strategię i z cichego popiskiwania przeszły na basy. Zajrzała do lodówki. W opakowaniu parówek znalazła ostatnią, trochę już pociemniałą sztukę. Odgryzła koniec folii i odwinęła ją zębami, po czym położyła parówkę na talerzu mikrofalówki. Odliczyła trzy obroty talerza i wyjęła swój wykwintny obiad, który zdążył pęknać na pół pod wpływem równie zdrowego jak sama parówka promieniowania. Posmarowała pęknięcie musztardą i włożyła wszystko w całości do buzi. Na stole wciąż stał kubek z poranną kawą Erwina. Przełknęła zimną resztkę i starła z ust rozmazany sos. Na koniec przepłukała usta pod kranem i wypluła ze śliną mieszanek musztardy z kawą. Uznała, że damie nie wypada pokazywać się w wyszukany towarzystwie z oblepionymi zębami.

À propos towarzystwa. Zegarek na jej szyi wskazywał za dwie trzecią. Naciąganie klientów miała zacząć równo o siódmej, ale w samym klubie musiała pokazać się wcześniej. Z powodów, jak sama twierdziła, od niej niezależnych nadziani wujkowie przestali się nią ostatnio interesować tak, jak robili to jeszcze rok temu. Zupełnie jakby nagle postarzała się i zbrzydła. Jako że na emeryturę musiałyby poczekać jakieś czterdzieści parę lat, a rząd nie zdecydował się jeszcze na rozdawanie darmowych fajek i prezerwatyw, weszła w umowę z menedżerem klubu. Układ był prosty i miał obowiązywać od dzisiaj: przed pierwszym gościem główna sala do tańca musiała być gotowa na tip-top. Nie chodziło o mycie podłóg, ale było blisko.

Do zadań Sońki należała wymiana unoszącego się na obu piętrach klubu smrodku runa leśnego pozostawionego przez mopy wynajętej firmy sprzątającej na bardziej wyrafinowany. Co najmniej na trzy godziny przed otwarciem miała poprzecierać kanapy ściereczką nasączoną zapachem skóry, aby siedziska zdążyły wciągnąć w siebie aromat luksusu i wyschnąć.

Do stawienia się w klubie pozostało jeszcze trochę czasu. Niewiele, lecz w sam raz, by zdążyć dokładnie przeczesać włosy przed lustrem w przedpokoju, aby nie przypominały fryzury Billa Kaulitza z Tokio Hotel tuż po koncercie. Kilkakrotne psiknięcie lakierem do włosów na grzywkę dało efekt bardziej niż doskonały. Przylepiła się do czoła, zasłaniając dorodnego, napęczniałego przyszcza. Uśmiechnęła się do swojego odbicia i poruszyła wyzywająco brwiami.

Wychodząc z mieszkania, jeszcze raz spojrzała na pusty wieszak. Zrobiła, co do niej należało, ale mogła, wręcz powinna, zrobić coś jeszcze. Ostrzec go i powiedzieć, żeby na siebie uważał.

Nie wiedział przecież nawet połowy tego, co wiedziała ona. Tam, dokąd jechał Erwin, mogło być niebezpiecznie.

– Zrobiłam najgłupszą rzecz na świecie – wyszeptła Sońka, patrząc na puste miejsce po bluzie.

W jednej chwili pożałowała tego, co jeszcze kilka minut temu wydawało jej się dobrym pomysłem. Lepiej, gdyby Erwin nie sięgnął do kieszeni i nie natrafił na kartkę z adresem, ale było już za późno.

– Jeśli przez moją głupotę coś ci się stanie, to... Chciałam dobrze, Erwin. Naprawdę.

\* \* \*

GPS pokazywał cztery kilometry do celu. W odległości dwustu pięćdziesięciu metrów droga rozdzielała się w przeciwnych kierunkach. Nawigacja nakazywała skręcić w lewo.

Erwin skręcił w prawo i ujechał blisko pół kilometra, kierując się nad lśniącą w słońcu taflę jeziora. Zza drzew wyłaniał się Park Wodny Tropikana, chluba hotelu Gołębiowski. Biały banner z żółtym napisem zapraszał chętnych na chwilę wyciszenia w jacuzzi wraz z dwudziestką obcych osób lub popływanie kraulem pośród rozwrzeszczanych dzieciaków i ich matek, skrępowanych odkrytym po zimie cellulitem. Radocha.

Czarny thunderbird przemknął koło hotelu i skręcił w wiejską drogę. Buchająca, letnia zieleni i cisza przerywana skrzeczeniem ptaków wciąż była tą samą zielenią i ciszą co dziesięć lat temu. Nic się nie zmieniło. Promienie słońca tak samo przebijały się przez gałęzie drzew, a spokój był tak wszechmocny, że turyści spacerujący wzdłuż linii wody mówili do siebie szeptem, by nie spłoszyć ducha lasu.

Koła motocykla toczyły się po piaszczystej drodze, co jakiś czas podskakując na wystających spod ziemi korzeniach i większych gałęziach. Co słabsze i bardziej wyschnięte pękały jak zapalki pod naporem ciężkich opon.

Jechał wolno. Wskazówka szybkościomierza wskazywała trzydzieści kilometrów na godzinę. Mimo że znał to miejsce i mógłby dołożyć gazu bez obawy, że skręci nie w tę drogę, co powinien, wiedział, że jest tu po raz ostatni. To dawało mu poczucie szczególnego pożegnania ze wszystkim, co stało się dekadę temu. Chciał znaleźć się w tym miejscu ponownie, zanim pojedzie dalej, do Starych Sadów.

Droga z bitej leśnej ścieżki zamieniła się w piaszczyste wertepy. Do celu pozostało około dwustu metrów. Tam zdarzył się ich koniec świata. Dla każdego z ich szóstki inny.

Dojechał do przewężenia, które zamykało możliwość przeciśnięcia się bez porysowania lakieru. Nie mógł jechać dalej. Zresztą nie było żadnego dalej. Krzaki zdążyły zawłaszczyć dodatkowe metry piaszczystej drogi. Tej samej, którą odszedł w las, zostawiając swych

przyjaciół.

Wyłączył silnik. Oparł ramiona na kierownicy i zapatrzył się na wyłaniający się zza krzewów kawałek plaży. To tu wszystko się rozegrało. Wydawało mu się, że przez lata zdołał zapomnieć o tamtej nocy, odsunąć od siebie zapach wilgotnego piasku, w który Palacz wbijał łopatę, i odgłos uderzeń wody o brzeg jeziora. Pamiętał jednak wszystko, sekunda po sekundzie, każdy szczegół. Nie potrafił zepchnąć głęboko w podświadomość krzyku dziewcząt i błagania, żeby odwrócić moment, w którym Wiktor przestał oddychać.

Zsiadł z motocykla i rozejrzał się dookoła. Był sam, nie dochodziły go ludzkie głosy, zdawało mu się nawet, że ucichły rozwrzeszczane jeszcze przed chwilą ptaki.

Rozrośnięte krzaki utrudniały przejście, ale wystarczyło je odsunąć, żeby móc zrobić kilka kroków i znaleźć się na plaży. Wydała mu się mniejsza niż poprzednio, ale była tak samo dzika. Po ognisku nie było już śladu. Na miejscu, w którym postawili namioty, leżała gruba belka zostawiona przez nocnych imprezowiczów. Wokół niej wałały się butelki po piwie i opakowania po wypalonych papierosach.

Erwin stanął twarzą do jeziora i wciągnął głęboko powietrze. Pachniało wolnością i beztroską, którą on sam dawno zgubił gdzieś po drodze. Gdyby nie podniósł ręki na Wiktora, nie czułby tego paralizującego, ściskającego smutku. Izzy nie odeszłaby od niego, a on nie szukałby teraz odpowiedzi na najważniejsze w jego życiu pytanie.

Fale uderzały o ląd i ginęły w szuwarach. Słońce stało wysoko, oślepiając Erwina. Nieskazitelnie czyste, wieczne i palące tak mocno, że poczuł, jak po policzku spływa mu strużka potu. Czy pojawiła się rzeczywiście od piekących promieni, czy wywołała ją świadomość, że zaledwie kilkanaście kroków dalej zakopał człowieka, który kiedyś był mu bliski?

Ze ściśniętym gardłem ruszył w kierunku drzew. Patrzył pod nogi, ale nie dlatego, że bał się nastąpić na kawałek rozbitego szkła. Chciał odwlec moment, w którym przyjdzie mu spojrzeć na kurhan usypany między pniami świerków. Nikt nie spodziewał się takiego finału, miało być zupełnie inaczej. Jego panowanie nad ciałem skończyło się w momencie, gdy zobaczył Izzy i Wiktora razem. Nic nie mogło powstrzymać jego rąk i okiełznać ataku szału. Był bezwolny we własnej skórze, poddawany chorej zazdrości, jakiej nie doznał nigdy wcześniej.

Chciał tu wrócić. Nie raz i nie dwa. Zaraz po tym, co się stało, i dużo później, kiedy wydawało mu się, że rany na jego sumieniu zdążyły się już zabiżnić. Chciał i bał się jednocześnie. Wciąż miał nadzieję, że bolesne wspomnienia kiedyś odejdą, ale powracały jak fale uderzające o brzeg jeziora, nad którym to wszystko się rozegrało. Powróciły głosy, krzyki dziewczyn, przekleństwa Palacza i cisza, która zastygła na ustach Wiktora. Głosy kłębiły się, narastały swoim bezlitosnym brzmieniem, na chwilę odpływały po to tylko, by powrócić z większą siłą, jeszcze straszniejsze. Słyszał pojedyncze słowa i całe zdania. Przeplatały się wraz z echem odbijających się od brzegu fal, które uderzały rytmicznie, zostawiając po sobie siną



pianę smutku.

Stanął nad mogiłą. Po latach wystawała niewiele ponad poziom leśnego runa. Wyobraził sobie ciało Wiktora. Zdążyło się rozłożyć, ziemia wchłonęła jego mięśnie i kości, z prowizorycznego grobu pozostawiając kilkunastocentymetrowy pagórek, który jakby nigdy nic wtopił się w pejzaż. Krzyżyka, który Erwin zawiesił na gałęzi, też już nie było. Po życiu człowieka nie został nawet ślad.

Erwin usiadł na mchu naprzeciw kopca. Oparł plecy o pień zwalonego drzewa i schował twarz w dłoniach.

– Sorry, stary – powiedział tak cicho, że ledwie słyszał samego siebie. – Nikt z nas nie mógł przypuszczać, że ty jeden tu zostaniesz. Może przynajmniej czujesz satysfakcję, kiedy widzisz, co się ze mną stało. Może chociaż tyle... Uwierz mi, że to gorsze od tego, co cię spotkało. Możesz czuć się wygrany, masz teraz przynajmniej święty spokój. Dla ciebie wszystko jest już jasne.

Przetarł oczy i sięgnął po zmiętą paczkę vincesterów. Wyjął z niej dwa papierosy. Zapalił oba. Jednego włożył sobie do ust, drugiego położył na grobie.

– Paliliśmy je razem, pamiętasz? Ty do połowy, a potem ja dopalałem resztę. Zawsze mówiłeś, że to już ostatni, że rak i takie tam... – Erwin wypuścił z płuc jasny dym. – Ale koniec końców to ja cię załatwiłem. Teraz patrzysz pewnie na mnie, jak palę to gównno, i zastanawiasz się, jak skończę. Ale na razie... – Głos Erwina załamał się. – Słuchaj, stary. Jeśli ona jest tam z tobą, jeśli Izabela... Jeżeli, mimo tego, co stało się między nami, mógłbyś coś dla mnie zrobić...

SMS od Palacza przyszedł w chwili, gdy bibuła papierosa spaliła się niemal do filtra. Erwin wcisnął go między suche igliwie i wyjął telefon z kieszeni. Na wyświetlaczu pojawił się wyostrzony do granic technicznych możliwości numer z karty do pokoju.

– Dzięki, Wiktor. Żywy czy martwy, równy z ciebie gość. Przypomnij mi, jak się kiedyś spotkamy, żebym ci postawił duże piwo, tam, na górze.

\* \* \*

– Znowu wyjeżdżasz? – Helena Wirska stanęła w progu sypialni i obserwowała, jak jej mąż wrzuca do swojej starej walizki przybory do golenia i świeżą bieliznę.

– Tak. Widzisz przecież, że się pakuję.

Nieprzyjemne burknięcie odebrała jako próbę zniechęcenia jej do zadawania dalszych pytań. Wirski kręcił się po pokoju i szukał nie wiadomo czego. Kiedy trzasnęła ostatnia szuflada, wyjaśnił na odczepnego:

– Nie będzie mnie dzień, najwyżej dwa.

– I na dzień lub dwa bierzesz taką dużą walizę? Po co ci tyle ubrań?

– Lepiej zabrać więcej rzeczy, niż martwić się, że czegoś zabraknie. Zresztą to nie twoja sprawa.

– Tak, wiem... nigdy nie była. Jedziesz tam, gdzie zwykle?

– To dla ciebie problem?

– Od kilku tygodni znikasz gdzieś, nie wiadomo gdzie.

– Nie muszę ci się spowiadać, dokąd wyjeżdżam, kiedy chcę mieć chwilę spokoju.

– Niemniej jednak mam prawo wiedzieć...

Odpowiedziało jej wymowne milczenie. Bała się ponownie otworzyć usta. Usiadła na brzegu łóżka i śledziła poczynania męża, który, wciśnięty w szary sportowy garnitur, krążył po pokoju jak oszalała ćma.

– Nie dzwoń do mnie, nie chcę, żeby ktoś mi przeszkadzał.

– Nie chcesz, żebym do ciebie zadzwoniła, kiedy będziesz poza domem? A jeśli coś się stanie?

– Co ma się stać?

– Nie wiem, cokolwiek. Może stać się wszystko.

– Jak uważasz, ale nie alarmuj mnie bez powodu. – Wirski sięgnął po swoją komórkę leżącą na bieliźniarce i schował ją do kieszeni marynarki. – Nie życzę sobie żadnych telefonów bez wyraźnej potrzeby. Rozumiesz?

– Rozumiem. Może jednak powiesz mi, po co i dokąd jedziesz? Byłabym spokojniejsza.

Mężczyzna podszedł do walizy i włożył do niej coś, czemu nie zdążyła się przyjrzeć. Musiało być ciężkie i metalowe, bo z brzękiem uderzyło o jego przybory toaletowe. Przykrył to coś czystym ręcznikiem i zatrzasnął zamki po obu stronach rączki.

– O nic się nie martw.

– Czy to coś ma związek z rozmową z tą dziewczyną z kancelarii?

Wirski zatrzymał się z walizką w pół kroku.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wiesz dobrze. A ja, choć wzrok mam słaby, to na słuch nie mogę narzekać.

– Podśłuchujesz mnie, jak rozmawiam w moim własnym pokoju? – Mężczyzna postawił walizę tuż przy jej nodze. Udał, że nie widzi, jak jej bok zadrapał łydkę żony.

– Ściany są cienkie, wiesz przecież.

Zawisł nad jej głową jak ciemna chmura, która nie zamierza odejść, dopóki nie sypnie lawiną lodowych, niszczących kulek gradu.

– Zamknięte drzwi też?

Czuła jego oddech na swojej twarzy. Odsunęła się na tyle, by kant walizki nie ocierał się o jej nogę, po czym potarła zadrapaną łydkę.

– Przepraszam – bąknęła i podniosła głowę. – Myślałam, że to dotyczy naszych spraw.

– Źle myślałaś. To dotyczy moich spraw.

– Słyszałam, jak pytasz ją o jakieś dokumenty.

Palce Wirskiego zacisnęły się na brodzie żony.

– Nawet jeśli tak było, nie ma to nic wspólnego z tobą. – Wirski zrozumiał, że posunął się o krok za daleko, i poluzował ucisk. – Po prostu zajmij się czymś i daj mi spokój. Posłuchaj audycji w radiu albo włącz swoje ulubione stare piosenki.

– Ale ty... chyba nie chcesz zrobić niczego niemądrego?

– Ja? – Wirski wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Zapewniam cię, że ja robię tylko przemyślane rzeczy. Jak wyjdę, zamknij za mną. Nie potrzebuję tu włamywaczy.

Matka Izabeli odczekała, aż kroki męża na schodach ucichną i z dołu dojdzie znajome trzaśnięcie drzwiami.

Kiedy została sama, zrobiła, co jej kazał. Zeszła na parter i zamknęła dokładnie wszystkie zamki. Gdy Citroen zaterkotał i odjechał wraz z mężem nie wiadomo dokąd i nie wiadomo w jakim celu, zasunęła zasłony i włączyła płytę z piosenkami Edyty Geppert. Znała je wszystkie na pamięć. Jeszcze przed śmiercią córki próbowała śpiewać je sama. Też zasunęła wtedy zasłony, aby nikt z ulicy nie zobaczył, jak staje pośrodku pokoju i spełnia swoje skryte marzenia o występach estradowych. Przy mężu nie zaśpiewała nigdy.

Melodia była piękna, ale Wirskiej wydawało się, że nastawiła ją zbyt głośno. Na to jeszcze nie czas. Przyciszyła muzykę i podeszła do kominka ze zdjęciami. Jakie życie, taka śmierć – powtórzyła za piosenkarką i potarła palcami ramkę zdjęcia z balu studniówkowego Izabeli.

\* \* \*

Dochodziła piąta po południu. Powietrze pachniało rozgrzanym asfaltem.

Wstążka drogi wiła się między rozciągniętym polem kukurydzy, wciąż niedojrzałej i czekającej na jesienne zbiory, a srebrną taflą jeziora. Słońce stało jeszcze wysoko i przebijało się przez gałęzie drzew rosnących po obu stronach szosy. Droga była wąska i nierówna, więc Erwin jechał swobodnie jej środkiem. Od dłuższego czasu nie minęło go żadne auto, zupełnie jakby zbliżał się do krańca świata.

Trzy stojące w odległości dwustu metrów znaki z napisem „punkt śmierci” i wbite w ziemię krzyże przekonały go, by zwolnił do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nie zrobił tego jednak z umiłowania do przepisów ani tym bardziej ze strachu o własne życie. Wypatrywał jakiegokolwiek, choćby najmniejszego śladu tragedii, jaka wydarzyła się tu dwa miesiące temu. Przy dwóch pierwszych znakach nie znalazł niczego, co wskazywałoby na niedawny wypadek. Ktokolwiek tu zginął, musiało się to zdarzyć lata temu. Metalowe krzyże pokryła rdza,

a sztuczne wiązanki kwiatów poblakły.

Przystanął przy trzecim znaku. Nie było pod nim krzyża, kwiatów ani zniczy. Mimo to Erwin nacisnął hamulec i zjechał w pierwszą boczną drogę za zakrętem. Zsiadł z motocykla i cofnął się parę metrów do wbitego w żwirowe pobocze ostrzeżenia i przytulającego się do niego drzewa.

Sosna stojąca tuż przy zakręcie nie zdążyła jeszcze zaleczyć swoich ran. Zastygła żywica oblepiła pień cienkimi naciekami, które nawarstwiły się jak wosk spływający po świecy. Zryta kora odsłaniała nagi pień na wysokości dwóch metrów. To musiało zdarzyć się właśnie tu. Drzewo wciąż cierpiało.

Erwin dotknął żywicy. Była twarda z wierzchu, ale pod wpływem ciepła jego palców zmiękła i przylepiła się do opuszków. Roztarł ją i podniósł do nosa. Pachniała słodkim, odurzającym aromatem, jakiego nie da się pomylić z żadnym innym.

Jednak mimo namacalnego dowodu na to, że stał w miejscu, gdzie doszło do wypadku, nie było w nim ani rozpaczy, ani nawet podenerwowania. Wypełniał go spokój tak głęboki, jakiego nie czuł, od kiedy stanął w progu mieszkania przy Ptasiej. Tam odczuwał obecność Izabeli każdą komórką swojego ciała, jakby stała tuż obok. Być może powodowały to przedmioty, których dotykała, lub zapach unoszący się wciąż w powietrzu. Mieszkanie było nim przesiąknięte, a on wyłapywał go z drobinek tlenu i dzięki nim wiedział, że była tu, że zostawiła po sobie ślad.

W miejscu, w którym roztrzaskała się czerwona honda, nie było tej osobliwej aury. Erwin nie czuł absolutnie nic.

\* \* \*

Ostatni etap, jakim był dojazd do hotelu, okazał się katorgą. Asfalt urywał się dwieście metrów przed bramą powitalną z zawieszoną nad ziemią drewnianą deską z wypalonym napisem „Witaj w Raju” i przechodził w bruk, zamieniając się tym samym w wyłożony kamieniami przedsionek piekła. Jeśli zamiarem właściciela tego przybytku było zwolnienie nogi z gazu, a co za tym idzie, nakłonienie gości do delektowania się widokami po obu stronach duktu, musiał nie mieć pojęcia o tym, co dobre. Siedzący za kierownicą mogli co najwyżej upajać się nad wyraz wyrośniętymi krzakami, które nigdy nie widziały sekatora, i morzem pokrzyw.

Thunderbird jechał z prędkością uwłaczającą jego fabrycznym możliwościom. Koła podskakiwały na kamieniach i wypuszczały spod opon mniejsze kamyki, które uderzały w karoserię niczym małe meteoryty. Erwin szarpnął motocyklem i skierował go między dwa słupy wskazujące początek hotelowego terenu.

Na pierwszy rzut oka posesja wydała mu się opustoszała. Choć była druga połowa czerwca, letnisko świeciło pustkami. Nikt nie spacerował alejką prowadzącą do recepcji ani nie siedział na ławkach ustawionych przed wejściem.

Wjechał na parking. W samym jego rogu stały trzy auta. Sądząc po tablicach rejestracyjnych, należały do miejscowych lub do obsługi hotelu.

Wyłączył silnik i wyjął swoją torbę z juków. Wszedł na ścieżkę prowadzącą do recepcji. Po jej obu stronach stało kilka latarni, oddalonych od siebie o kilka metrów. Pomalowane na zielono, ze szklanymi, okrągłymi kloszami musiały stwarzać wieczorem romantyczny nastrój. Za dnia straszyły odłazającą farbą, która odsłaniała pordzewiałe metalowe słupy. Trawniki wokół hotelu też nie dostałyby nagrody magazynu „Ogród Marzeń”. Zamiast pachnących groszków i astrów kwitły w nich wypalone papierosy i zeszlóroczne papierki po dropsach.

Hotel miał dwa piętra. Jak na mazurskie standardy, prezentował się poprawnie, zwłaszcza biorąc pod uwagę okalającą go śmieciową przyrodę.

Elewacja hotelu udawała starą cegłę i robiła to z powodzeniem. Ramy okien były jednak nowe, plastikowe i były po oczach przesadną bielą – podobnie jak drzwi wejściowe w banalnym stylu budowlanego składu Leroy Merlin. Eklektyzm w pełnej krasie.

Erwin zadarł głowę. Okna gdzieś tam były pootwierane, ale tylko te na najwyższym piętrze. Te niżej były szczelnie zamknięte, nie wiadomo, czy z obawy przed niepożądanym wzrokiem ciekawskich, czy z lęku przed złodziejami.

Nie wszedł do budynku od razu. Chciał spojrzeć na hotel oczami Izabeli. W pamięci miał zdjęcia, które zamieściła pod swoim przybranym nazwiskiem. Nie załączyła widoku zaśmieconych trawników, tylko romantyczny pejzaż, jaki rozpościerał się nad samym jeziorem. Poszedł tym tropem.

Zarzucił torbę na ramię i skręcił w lewo, gdzie połyskiwało odbijające się od tafli wody słońce. Żwirowy podjazd kończył się na linii trawy. Nie był ogrodzony z żadnej strony, wystarczyło zrobić krok i stanąć na wąskiej dróżce obrośniętej wszystkim, co hojna natura mogła dać temu zakątkowi.

Szedł dalej, co rusz odwracając się i patrząc w okna hotelu. To z któregoś z nich musiano zrobić zdjęcie tej ścieżki. Nie była wtedy jeszcze tak zarośnięta, zielsko wybujało już po wyjeździe Izzy.

Dotarł do wody. Brzeg jeziora zaczynał się tuż za zagonem krzaków i pokrzyw. Plaży nie było prawie wcale, tylko mała przystań – kilkanaście zбитych ze sobą desek tworzących pomost, przy którym bujały się cztery rowery wodne i dwie łódki. Na pomoście stała drewniana, dwuosobowa ławka dokręcona do podłoża.

Po prawej ręce Erwin dojrzał metalowy garaż, przy którym kręcił się mężczyzna koło pięćdziesiątki. Na głowie miał czarną bejsbolówkę z nieśmiertelnym znakiem New Era NY, którą zapewne odziedziczył po dorastającym synu. Rozpięta bluza sportowa z logo Umbro zdawała się pękać w szwach na ramionach i przy nadgarstkach.

Mężczyzna, nazwany przez Erwina Bejsbolistą, odwrócił się w stronę pomostu, zdjął czapkę

i podrapał się po głowie.

– Na urlop? – krzyknął w stronę Erwina i zrobił krok naprzód. – Łódki jeszcze niepoczyszczone, ale na jutro będą jak nowe.

Erwin podniósł rękę w powitalnym geście.

– Łódka dobra rzecz. Pan tu tylko w sezonie?

Buty zaczynały tonąć w nasiąkniętym wodą piachu. Znalazł kawałek suchego miejsca i przeskoczył przez rozrośniętą kępę traw.

– Różnie. – Mężczyzna zaczął klepać się po biodrach. Z tylnej kieszeni spodni wyjął pojedynczy klucz zawieszony na breloku z napisem „magazyn-leżaki”. – W zależności od potrzeby. Pilnuję leżaków i tego. – Wskazał ręką na łódki i rowery wodne.

Erwin nie mógł pojąć, do czego potrzebne są leżaki w miejscu, gdzie nie można postawić suchej stopy. Pomost wydał mu się jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Ale ile leżaków może stanąć na wąskim pomoście, nie licząc stanowisk dla wędkarzy?

Skrzypnęły drzwi blaszanego magazynu. Z wnętrza buchnął zapach wilgoci nagromadzonej przez ostatnich kilka miesięcy.

– Pan sam czy z dziewczyną? – Bejsbolista wszedł do baraku i nachylił się nad rozklekotanym zawiasem jednego z leżaków. Gdy wypowiedział słowo „dziewczyna”, odwrócił głowę i posłał Erwinowi dwuznaczny, mało sportowy uśmiech.

– Sam.

– Samemu gorzej niż w parze. – Bejsbolista stęknął i wyprostował plecy. – Zwłaszcza tu, na odludziu. Dopóki ludzie nie przyjadą, wieje nudą. Jeszcze dzień, dwa i zacnie się tu kocioł, zobaczy pan.

Erwin podszedł bliżej i stanął koło mężczyzny. Oparł podeszwę buta o brzeg łódki.

– Podobno hotel był otwarty już w maju?

Bejsbolista pokręcił głową.

– Zwykle ośrodek przyjmuje gości cały rok. Do tej pory zimą ruch był mały, bo i baza hotelowa nie była jeszcze taka, jak powinna. Ludzie oczekują czegoś więcej niż tylko czystej pościeli i świeżego powietrza. Chcą wziąć masaż, popływać w basenie. U nas nawet kręgli nie było. Dlatego goście pojawiali się wiosną i znikali jesienią. Właściciel doszedł do wniosku, że jeśli tak dalej pójdzie, będzie musiał z własnego konta dopłacać do interesu. Zamknął hotel zaraz po Nowym Roku i wpuścił ekipę, żeby podciągnąć trochę standard. Żeby Raj nie był tylko z nazwy, rozumie pan. Roboty się przeciągnęły aż do lata, teraz trudno o rzetelnych budowlańców.

– Zatem jestem pierwszym klientem w tym roku?

– Właśnie tak. – Bejsbolista pokiwał głową. – Pierwszym i honorowym. Otwiera pan sezon. Właściwie to zaczynamy dopiero od jutra, ale mam nadzieję, że recepcja nie odmówi panu

noclegu.

– Jest pan pewny, że nie było tu nikogo przede mną?

– Naturalnie. Przecież sam pan widzi, że hotel jeszcze nie do końca gotowy. Budowlańcy się wynieśli, ale ośrodek nie wygląda, jak powinien. Krzaki niepościnane, trawniki zapuszczone. Ogrodnik przyjdzie z samego rana i zabierze się za to ścierwo.

Mężczyzna zniknął na chwilę w głębi magazynu i wyszedł z niego z puszką farby w ręku. Z półki na ścianie wziął pędzel i przesunął palcami po włosiu.

– Jeszcze dobry, ale na przyszły rok już się nie nada.

Ze stojaka przy drzwiach wyjął zwiniętą, poźółkłą gazetę i wsunął ją sobie pod pachę. Zostawił Erwina na brzegu i wszedł na pomost. Rozłożył na deskach gazetę i uklęknął na niej, stawiając tuż obok puszkę z farbą.

– Do jutra powinno wyschnąć. – Zanurzył pędzel w farbie i otarł cieknące włosie o brzeg puszki. – Drewno lubi, jak się o nie dba.

Sprawnymi ruchami malował jedną deskę po drugiej, zostawiając na nich ciemnobrązową powłokę. Zapach farby rozniósł się w powietrzu.

– Jest pan pewien, że hotel był nieczynny do tej pory? – Erwin nie dawał za wygraną.

– Mówię przecież, dopiero otwieramy. Oby pokojowa zdążyła panu pościel przygotować! W kuchni też jeszcze pełno niedoróbek. Żona jest tam kucharką, to wiem.

– A syn? Wasz syn też tu pracuje?

Plecy mężczyzny znieruchomiały, a ręka z pędzlem zatrzymała się w połowie malowania trzeciej deski. Powoli wyprostował grzbiet, ale wciąż klęczał na poźółkłej gazecie.

– Dlaczego pyta mnie pan o syna?

– Skoro oboje tu pracujecie, a Stare Sady to mała wioska, przypuszczenie nasuwa się samo. Rodziny często pracują w takich miejscach razem. A że pytam o syna? Ta czapka i bluza...

– Dużo takich czapek się sprzedaje. – Mężczyzna zaczął sprawiać wrażenie, jakby skierowanie rozmowy na prywatne tory było mu nie na rękę. Oparł się o deskę pomostu i schował głowę tak, żeby Erwin nie widział jego twarzy. – Sportowe bluzy można dostać na ciuchach. Żadna rewelacja.

– Jasne – przytaknął Erwin bez przekonania. – Pójdę już, może znajdę kogoś w recepcji.

– W razie czego trzeba krzyknąć – usłyszał na odchodnym. – Biegają tam jak w ukropie, ale na pewno ktoś do pana przyjdzie. A łódka na jutro będzie gotowa, spokojna głowa!

Wrócił na schody prowadzące do hotelowej recepcji. A właściwie na jeden, nienaturalnie wysoki stopień z dodatkowym ułatwieniem w postaci podjazdu. Szerokość podjazdu nie była przypadkowa. Bez najmniejszego problemu można było wjechać na niego ciężką walizką na kółkach lub dziecięcym wózkiem. Wózkiem inwalidzkim już nie. Widać inwalidzi wolą siedzieć

w blokach niż wyjeżdżać na odpoczynek nad jezioro, pomyślał Erwin. Właściciel hotelu pomyślał o kręglach, ale podjazd musi swoje odczekać.

W recepcji panowała nerwowa atmosfera. Nie było widać nikogo, ale zewsząd dobiegały podniesione głosy, które przemieszczały się jak duchy między ścianami budynku.

Erwin nie znalazł recepcyjnego dzwonka, więc przechylił się przez blat w nadziei na to, że mały brzęczyk stoi gdzieś na niższej półce. Nie mylił się. Natrafił palcami na chłodny metal i nacisnął guzik dzwonka.

Głosy nie reagowały. Nacisnął po raz drugi, tym razem na tyle długo, że w końcu zza przymkniętych drzwi wyjrzała zaniepokojona hałasem kobieca głowa.

– Już idę. – Kobieta poprawiła włosy i podeszła do stanowiska z dzwonkiem. Była bardzo młoda, niewiele starsza od Sońki. Naturalna blondynka z włosami związanymi w gruby kucyk, który przypominał pędzel do golenia. Na czoło spadała jej równo przystrzyżona grzywka, spod której patrzyły nieumalowane oczy z jasnymi rzęsami.

Dziewczyna-albinos poprawiła bluzkę pod szyją, sprawdzając, czy ostatni guzik jest zapięty.

– Dzień dobry. – Dygnęła za recepcyjnym blatem. Naprawdę musiała być młoda, skoro wciąż nie pozbyła się tego szkolnego nawyku. – W czym mogę pomóc?

Erwin, z racji swojej niegolonej od dwóch dni brody, nie przypominał typowego urlopowicza z wypchanym portfelem. Nie ratowała go też firmowa koszulka z sieci Marks&Spencer, skoro blondynka wyjęła zza lady gruby zeszyt i otworzyła na stronie z nagłówkiem „Dostawa”.

– Pan w jakiej sprawie? – zapytała i przejechała opuszką palca po spisanych długopisem nazwach firm. – Nie przypominam sobie, żebym się z kimś na dziś umawiała.

– Chcę wynająć pokój.

Erwin sięgnął do torby i wyjął z niej portfel i paszport.

– Och, przepraszam. – Dziewczyna natychmiast zamknęła zeszyt i odsunęła go na bok. – Niefortunna pomyłka. Wzięłam pana za naszego dostawcę.

– Bywa, pani...

– Lidio.

– Zatem, pani Lidio, chciałbym wynająć pokój. Na samej górze.

Położył przed nią paszport. Wzięła go w palce i przeczytała nazwisko. Raz i drugi.

– Coś nie tak?

Widział, jak dziewczyna przełyka ślinę. Jej krtań uniosła się pod cienką skórą szyi.

– Proszę poczekać, zaraz do pana wrócę.

Pojawiła się z powrotem, zanim zdążył policzyć do dziesięciu. Położyła paszport na blacie i przesunęła go w kierunku Erwina.

– Przykro mi, ale nie mogę pomóc. Hotel jest jeszcze zamknięty. Poza tym mamy rezerwacje, pokoje zapełnią się już jutro po południu, zaraz po odbiorze technicznym hotelu.



– Tak, słyszałem. Remont. – Erwin postukał w okładkę paszportu i rozejrzał się po ścianach recepcji. W załamaniu sufitu dostrzegł odłazący kawałek farby.

– W każdym razie mamy komplet. – Dziewczyna ponownie spojrzała w ekran. – No, prawie.

– „Prawie” wszystko zmienia.

Za plecami dziewczyny wyrósł wysoki, chudy jak tyczka chmielu mężczyzna z równo przystrzyżonym wąsem i czerwonymi policzkami. Miał głęboko osadzone oczy, pod nimi wyraźnie zarysowane cienie. Poruszał niespokojnie ramionami w zbyt dużej, wściekle niebieskiej marynarce z umieszczoną w klapie plakietką z napisem „Dyrektor hotelu”.

– Słyszał pan. – Tyczka nie zadał sobie trudu, by postawić znak zapytania na końcu zdania. – W imieniu dyrekcji zapraszam od jutra, o ile znajdziemy coś wolnego. Spodziewamy się kilku rodzin, rezerwacje potwierdziliśmy już w marcu.

– Rezerwacja święta rzecz. – Erwin oparł łokcie o stół. – Kolacji też pewnie nie dostanę?

Dziewczyna przezornie spojrzała na stojącego za nią szefa hotelu. Dał jej sygnał, że może odejść.

– Ani kuchnia, ani hotel nie są jeszcze gotowe. Kończymy szykować pokoje i nie chcemy, żeby nasi goście czuli związany z tym dyskomfort. Robimy to dla ich dobra. Dlatego w imieniu dyrekcji...

– Skoro tak, to będę musiał cierpieć bez przysługującego mi komfortu. – Erwin rozłożył ręce w geście bezsilności, po czym w ułamku sekundy wymienił go na entuzjastyczne mruganie powiekami. – Ale niech się pan nie obawia. Dobrze znoszę zapach pranych dywanów i świeżo wieszanych firanek. Hałas też mi nie przeszkadza, wystarczy wsadzić watę w uszy. Jednym słowem proszę o pokój na drugim piętrze. Ten z widokiem na jezioro.

– Pan mnie najwyraźniej nie zrozumiał...

Erwin sięgnął po leżący na recepcyjnym stole paszport i ze znudzoną miną zaczął uderzać jego kantem o blat.

– Kilka dobrych opinii mogłoby wam pomóc w rozkręceniu interesu. Kilka złych może spowodować, że za rok nikt tu nie zajrzy.

– Nie rozumiem. O czym pan mówi?

Erwin odłożył paszport i wyjął telefon. Wszedł na stronę [www.hotelraj.com](http://www.hotelraj.com).

– O tym. – Pokazał ekran. – Pusto tu jakoś, mało pochwał. Trzeba coś dorzucić. Muszę tylko wiedzieć, jak przyjmiecie mnie w swych skromnych progach.

– Zupełnie pana nie rozumiem. Dlaczego miałby pan napisać o nas źle? Hotel jest otwarty dla wszystkich, ale, jak powiedziałem, od jutra. – Tyczka skrzyżował ramiona i wypiął kurzą pierś.

– Czyli pokoju nie będzie. No cóż, pan tu rządzi. Proszę się jednak zastanowić, czy warto ryzykować opinię dla tych marnych... – Erwin ostentacyjnie spojrzał na zegarek – ... pięciu godzin i dwudziestu dwóch minut, które każe mi pan spędzić na hotelowym parkingu do czasu

oficjalnego otwarcia ośrodka.

Lidia przydreptała z powrotem i stanęła jak cień za swoim pryncypałem. Pociągnęła tyczkę chmielu za rękaw i zaczęła szeptać mu coś do ucha.

– Dobrze – powiedział przez zęby. – Daj panu pokój numer jedenaście. Na drugim piętrze, jak pan sobie tego życzy. Winda będzie działać od jutra, kończymy przegląd dźwigu.

– Dwanaście.

– Nie rozumiem. – Tyczka znowu czegoś nie rozumiał.

– Zależy mi na pokoju numer dwanaście. Jest lepiej ustawiony do jeziora, a ja lubię romantyczne widoki. Zachód słońca musi tu być zjawiskowy.

– Tak, ale... – Dziewczyna ugryzła się w język, zganiona surowym wzrokiem dyrektora.

Odsunęła się od komputera, dając mężczyźnie dostęp do rezerwacji. Ten postukał w klawisze i bez słowa położył przed Erwinem kartę do pokoju.

– Pokój numer jedenaście. Albo ten, albo żaden.

Mierzyli się wzrokiem. Erwin miał świadomość, że jego porażka jest tylko chwilowa.

Zgarnął kartę ze stołu i ruszył w kierunku schodów prowadzących na piętro.

\* \* \*

Przed klubem jak co dnia ustawiała się kolejka złożona z podchmielonych dżentelmenów i kuso ubranych dam. Sońka przemknęła za plecami bysiowatego bramkarza, który po pobraniu trzydziestu złotych zakładał papierowe bransoletki na nadgarstki gości, i wyszła na ulicę. Ruch samochodowy w piątkowy wieczór powoli malał. Ci, którzy mieli przykładowie wrócić na łono rodziny, dawno siedzieli przed telewizorami. Reszta grzała już krzesła w stołecznych klubach lub właśnie wyskakiwała z taksówek, aby znaleźć dla siebie mało intymne miejsce w huczących barach lub dyskotekach.

Sońka zapaliła papierosa podprowadzonego barmanowi i oparła się plecami o nagrany mur budynku. Zza rogu wyszła sześćosobowa grupa wyrostków z butelkami piwa w rękach. Przystanęli pod wieżowcem, w którym mieścił się Panorama Club, i zaczęli przeliczać pieniądze.

Cieniasy, pomyślała na widok kilku zwiniętych papierków, które wysupłali z kieszeni spodni. Drobne dobre na zakup robaków na ryby. Po lichych ciuchach i tanich butach widać było, że długo w tym miejscu nie zabawiają. Nie dla psa kielbasa, uśmiechnęła się z politowaniem, patrząc, jak wchodzi gęsiego do środka. Założyła się sama ze sobą, że nie zdąży wypalić do końca papierosa, jak wylecą z hukiem.

Za nimi wtoczyły się do klubu trzy rozchichotane blondynki. Wyglądały jak siostry, musiały kupić w drogerii ten sam utleniacz, bo odbarwienia na włosach wyglądały u nich niemal identycznie. Wszystkie miały na nogach czarne szpilki na obcasach wysokich jak wieża Eiffla

i ubrane były w czarne sukienki z dekoltami. Jedna z nich musiała wygrać los na loterii, bo z płonącymi policzkami opowiadała, jak to już po jednej nocy dostała od swego Romea zaproszenie na tygodniowy wyjazd do Egiptu, który zaplanował wraz z kilkoma kolegami. Prawdziwa farciara.

Sońka podeszła do studzienki kanalizacyjnej i wrzuciła do niej niedopałek papierosa. Niemal zderzyła się z roslym mężczyzną o śniadej karnacji, który przed chwilą zaparkował przy krawężniku sportowe audi A5. Dwieście złotych za dobę, oceniła koszt wypożyczenia. Taryfę znała na pamięć. Tacy klienci nie wynajmowali tańszych. Im drożej, tym lepiej. Dziewczyny lubią drogie auta, na byle skodę czy fiata żadna stąd by nie poleciała.

Śniady džentelmen zamknął samochód i skierował się w stronę wejścia do klubu. Jego sztruksowa marynarka w kolorze indygo była przesycona ciężkim zapachem piżma.

Sońka wciągnęła powietrze i ruszyła jego śladem. Wyminęła sześciu frajerów z drobnymi, których właśnie wyprowadzał windziarz o ksywie Husky. Jego pseudonim nie był przypadkowy, Husky miał jedno oko niebieskie, a drugie brązowe. Tyle razy mówiła mu, żeby kupił sobie szkła kontaktowe w jednakowym kolorze i nie straszył ludzi, ale skoro wolał wyglądać jak bohater horroru, to jego sprawa.

Machnęła mu ręką i zgrabnie przeskoczyła przez sznur wyznaczający miejsce dla kolejkowiczów. W ostatniej chwili weszła do windy. Husky dał znać otwartą dłońią, że reszta musi poczekać na dole, i wcisnął guzik.

Winda szarpnęła i ruszyła do góry. Sońka ukradkiem odwróciła głowę i spojrzała na rozanielone twarze klubowych gości. Choć widziała je po raz pierwszy w życiu, miała wrażenie, że zna je od lat. Błyszczące oczy, lekko spocona skóra na policzkach, czerwone usta kobiet i napięte torsy mężczyzn. Wszyscy byli jednakowi. Nie różnili się od tych, którzy jechali tą windą wczoraj, przedwczoraj czy pół roku temu. Jutro Sońka wsiądzie do tej samej windy i zobaczy te same rozżarzone źrenice, poczuje zapach potu wymieszany z najlepszymi perfumami. Ten rytuał będzie się powtarzał co wieczór, dzień po dniu.

Wypłynęła z ludzką masą, popychana jej śmiechem i okrzykami. Powinna pójść do głównej sali i naciągnąć jakiegoś napaleńca na drinka za trzy dychy, ale najpierw postanowiła skorzystać z toalety. Potrzebowała chwili ciszy, zanim na nowo zacznie swój codzienny popis z nieśmiertelnym „*Where are you from?*”.

Stała przed lustrem i puściła wodę z kranu. W kabinie za jej plecami ktoś głośno sikał po pierwszych kieliszkach alkoholu. Starła się nie słuchać i skoncentrować myśli na tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dni. To tu poznała Erwina – na parkiecie, który zalany był teraz kolorowymi światłami i trząsł się pod naporem setek par ludzkich nóg, drepczących w rytm trance’owej muzyki.

Na pierwszy rzut oka Erwin wydał jej się wyobcowany. Od razu było widać, że clubbing to

nie jego bajka. Starał się wmieszać w tłum, ale tak różnił się od całej reszty, że nie miała najmniejszego problemu z wypatrzeniem go spośród dziesiątek innych twarzy. Nie powinna była się z nim spoufalać bardziej, niż wymagała tego sytuacja, a jednak mimowolnie poczuła do niego coś, czego wtedy nie potrafiła jeszcze nazwać. Uczepiła się go w swoim klasycznym stylu i wylądowali razem w łóżku.

Na wspomnienie tamtej nocy uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze. Dochodzące z sali odgłosy muzyki przebił dźwięk spuszczonej wody. Z kabiny wyszła dziewczyna w jej wieku, może rok młodsza.

– Pożycz szminkę. – Wyciągnęła nieumytą rękę. – Zapomniałam z domu.

Znała takie. Nie śmierdziały groszem, więc malowały się w drogeriach i psikały perfumami z najwyższych półek albo leciały na cudzych kosmetykach.

– Nie mam. – Sońka złapała w lustrze jej kwaśną minę. – Idź i zarób.

– Chciwa cipa!

Dziewczyna poprawiła włosy i wyszła, stukając obcasami.

Sońka na chwilę zamknęła oczy. Jakby widziała siebie sprzed dwóch lat.

Otworzyła powieki. Jej wzrok padł na leżące koło umywalki pudełka z darmowymi tamponami i prezerwatywami. Pudełka były pełne, wieczór się jeszcze nie rozkręcił. Za godzinę, dwie po prezerwatywach nie będzie śladu.

Przeczesała palcami włosy i wróciła do sali. Husky musiał dowieźć dwie następne partie gości, bo sala była już wypełniona po brzegi. Barman nalewał kolejne pływające drinki i ustawiał je w rzędzie tuż przed ludźmi kręcącymi się w rytm muzyki. Drinki znikwały w mgnieniu oka, co rusz słycać było uderzenia szklanych denek o blat baru. Plastikowa biała zasłona oddzielająca salę od tarasu widokowego odchyłała się wraz ze spragnionymi czystego powietrza klubowiczami.

– Postawić ci drinka? – usłyszała w lewym uchu i odwróciła się. Człowieczek niższy od niej o pół głowy podrygiwał w rytmie Oceanlab. Miał koszulę rozpiętą pod szyją i włosy na czole pożyczone z potylicy.

Potrzebowała czegoś mocnego. Teraz, natychmiast. Żeby przestać czuć i przetrzymać kolejny wieczór i noc. Aż do jutra.

– Jasne.

Przez gardło przeleciała wódka z czymś paskudnie gorzkim. Smak spirytusu podszedł Sońce pod nos, aż zakasłała.

– Jeszcze?

Kiwnęła głową. Po drugim szocie poczuła, że powoli zaczyna się rozluźniać. Człowieczek już jej nie obtańcowywał. Sam wypił dwie pięćdziesiątki i wspiął się ponownie na palce.

– Poznamy się bliżej? Tam jest zaciszniej. – Wskazał głową w stronę toalet.

Był z tych, co to wystarczy zamknąć oczy i udać, że się nie widzi. Twarz była gładko ogolona, ale na czoło wciąż opadały mu dwa pasma cienkiej jak szczurze ogony grzywki, spoconej od wcześniejszego podrygiwania. Do tego widoku dochodziły dwie powiększające się plamy pod pachami. To wystarczyło, żeby poczuć obrzydzenie.

Nie czekając na odpowiedź, pociągnął Sońkę w stronę łazienki. Mała rączka małego człowieczka przesunęła się po pośladku dziewczyny. Zagryzła zęby, ale przykleiła uśmiech do ust, z których zniknął już ciemny róż jej wysłużonej szminki.

– Skąd jesteś? – spytała, nie zmieniając repertuaru. Miała nadzieję, że może usłyszy o nadmorskim Gdańsku czy Sopocie, aby móc wyobrazić sobie miejsce inne niż to i zająć tym głowę.

– Z Wawra.

– Aha.

Przycisnął ją na chwilę do ściany w korytarzu. Na wysokości oczu miała jego spocone czoło, a na wysokości ud – wybruszony rozparek. Ani na chwilę nie zawstydził go przewalający się za plecami tłum ludzi.

– Nie tu! – krzyknęła mu do ucha. Nie miała pewności, czy ją usłyszał. Jego ręce wędrowały po jej talii i biodrach. – Musimy stąd iść!

Oprzytomniał na tyle, żeby poprawić dwa szczurze ogony wiszące nad czołem i skierować się w stronę toalet. Jego uścisk na przedramieniu zaczął przyprawiać Sońkę o ból. Próbowała się wyswobodzić, ale nie miał zamiaru dać jej uciec. Ofiara była jego i nie chciał sprawiać jej przyjemności, zanim sam jej sobie nie zafunduje.

– Wchodź! – Otworzył drzwi do łazienki i potem następne, do kabiny. – No, chodź tu, laleczko!

Miał śliskie ręce. Sońka zdążyła zauważyć, że paznokcie jego dłoni są idealnie czyste, jakby dopiero co wyszedł z gabinetu po zabiegu manicure. To dobrze czy źle? Miała w głowie mętlik. Człowieczek napawał ją odrazą, jednak perspektywa jutrzejszej głodówki była silniejsza.

– Ściągaj majtki!

– Najpierw muszę coś wziąć – powiedziała, myśląc o darmowych kondomach spod lustra. – Zaraz wrócę.

Kątem oka widziała, jak facecik z małymi rączkami siada na klapie sedesu i rozpina pasek od spodni.

Wysunęła głowę z kabiny. Wcześniej nie zwróciła uwagi na to, czy ktoś za nimi wchodzi, choć damska toaleta była uczęszczana jak Łazienki podczas koncertów szopenowskich.

Domykała drzwi pomieszczenia, gdy usłyszała śmiech. O umywalkę opierała się ta sama dziewczyna, która godzinę temu chciała pożyczyć od niej szminkę. Z pogardą w oczach, uśmiechem na ustach i założonymi na piersiach rękami.

– Królowna odnalazła swego królewicza zaczarowanego w gnoma? – Pokazała wzrokiem drzwi kabiny, za którymi siedział mały facet o małych rączkach. – Na nic więcej cię nie stać, głupia cipo?

Ostentacyjnie wyjęła z pudełka przy lustrze ostatnią prezerwatywę.

– Bawcie się dobrze, ty i ten twój hobbit! – Pomachała opakowaniem z gumką i wciąż się śmiejąc, wyszła z toalety.

Sońka stała jak zamurowana. Z kabiny dochodziły zniecierpliwione pomrukiwania. Obejrzała się przez ramię w stronę odgłosów. Wolą nie myśleć o tym, co zastanie, gdy tam wróci, choć ciche postękiwania nie pozostawiały pola dla wyobraźni.

Spojrzała na swoją twarz w lustrze. Przy skórze głowy widać było jasne odrosty niegdyś blond włosów. Ufarbowała je na potrzeby tego, co robiła. Miało wyjść egzotycznie i intrygująco. Mocno i hardkorowo. Potem nakładała kolejne porcje farby, nie pozwalając odrosnąć włosom w ich naturalnym kolorze. Robiła to, choć nie podobała się sobie w takiej odsłonie. Nie lubiła siebie w ogóle, ani włosów, ani czarnych ciuchów, ani tych koszmarnych butów na koturnach, które obcierały stopy, a od ciągłego używania powykrzywiały się już na boki.

Dotknęła wąskiego blond pasma tuż nad czołem. Nigdy dotąd nie robiła tego z czułością ani tym bardziej z tęsknotą za czymś, co pogrzebała razem z własnym ja. Wolą nie przyglądać się swojemu odbiciu, jednak zatrzymała wzrok na jasnym odroście i przesunęła go po zapadłych policzkach aż do ust.

– Halo, jesteś tu, mała? Ile mam czekać?! – Głos człowieka z Wawra wyrwał ją z zamyślenia.

Alkohol szumiał jej w głowie, ale utrzymała przytomne spojrzenie na tym, co zobaczyła w lustrze. W uszach wciąż brzmiały drwiące słowa dziewczyny. Głupia cipa.

Jeśli kiedykolwiek miała podjąć tę jedną ważną decyzję, ten moment właśnie nadszedł.

– Tym razem dokończ sam – powiedziała do swojego odbicia i wyjęła z torebki gumkę. Związała włosy w koński ogon. – Słyszałeś, gnomie? – krzyknęła w stronę drzwi kabiny. – Wal się!

Wybiegła prosto w falujący tłum. Poniósł ją na środek sali, a potem dalej, aż pod plastikowe zasłony tarasu. Nie broniła się, płynęła na sam brzeg, dopóki nie uderzyła plecami w chłodną kotarę. Bez chwili zastanowienia wskoczyła na białą kanapę, którą pucowała jeszcze kilka godzin temu, aby nadać jej skórzany zapach. Rozejrzała się po sali. Miała pod sobą setki kolebiących się głów i unoszonych w rytm muzyki rąk. Kieliszki z wódką wędrowały po sali niczym kościelne relikwie – ostrożnie, by nie uronić ani kropli, zanim nastąpi uroczyste wlanie do gardła kolejnej dawki niezbędnego dopingu. Ostre światła oślepiły, lecz Sońka wyteżęła wzrok w poszukiwaniu jednego gościa. Musiała go odnaleźć.

Poczuła dwa mocne uderzenia w łydkę. Młody człowiek w rozpiętej do pępka koszuli

próbował podciąć jej nogę, żeby opadła na siedzisko kanapy między niego a koleżkę o twarzy zmartwychwstałego zombi. Udała, że nie czuje, i dostała w mięsień po raz trzeci. Już miała wsadzić wesołkowi kopniaka między żebra, kiedy na przeciwległym końcu sali wypatrzyła to, czego szukała. Ostrożnie zeszła z kanapy na parkiet ze wzrokiem wbitym w jeden punkt. Bała się mrugnąć powieką, by nie stracić z oczu marynarki w kolorze indygo. Migała między koszulami mężczyzn a sukienkami dziewcząt. W każdej chwili mogła wmieszać się w tłum i zniknąć na dalszą część wieczoru.

Ponownie poczuła znajomy zapach piżma. Mężczyzna stał odwrócony plecami, zajęty rozmową z dwiema elegancko ubranymi kobietami. Nie wyglądały na imprezowiczki, Sońka szybko oceniła, że muszą to być pracownice któregoś z pobliskich urzędów lub banków. Babski wypad na dobre zamknięcie tygodnia.

Rozmowa z pewnością była interesująca, ale niewiele z niej rozumiała. Z angielskiego знаła kilka wykutych na pamięć formułek prowadzących bezpośrednio do hotelowych pokoi czy wynajętych apartamentów na Grzybowskiej. Tamte dwie mówiły pewnie, kiwały głowami ze zrozumieniem.

Ostrożnie wsunęła rękę do kieszeni sztruksowej marynarki. Poczła pod palcami zwitek banknotów. Dość pokaźny, jeśli to była twarda waluta, mogłaby żyć za nią przez następne dwa miesiące. Za złotówki trochę krócej, ale taka opcja też była nie do pogardzenia.

Zacisnęła dłoń na zworku banknotów. Adrenalina uderzyła jej do głowy jak w noc, kiedy wylądowała w łóżku z Erwinem. Ostatnio mało co dawało jej w życiu rekompensatę za to, kim się stała. Ale noc z Erwinem wynagrodziła jej wszystko.

Zwój banknotów spoczął na swoim miejscu, teraz nie obchodziły jej szeleszczące papierki. Na dnie kieszeni wyczuła to, na czym zależało jej najbardziej. Wycofała rękę i dla niepoznaki poprawiła zsuwającą się z włosów gumkę. Obdarowała przy okazji sztucznym uśmiechem pękatego południowca sunącego w jej stronę. Po rytmie, w jakim wykręcały się jego biodra, można by sądzić, że zamiast muzyki trance słyszy gorące rytmy Los Cubanitos.

Husky przytrzymał windę. Wskoczyła do środka i oparła się o tylną ścianę dźwigu. Zdążyła jeszcze zauważyć małego człowieczka z Wawra, który na jej widok próbował doskoczyć do zamykających się drzwi. Na pożegnanie pokazała mu środkowy palec. Winda pomknęła przez piętra i zatrzymała się na dole.

Na chodniku stały grupki młodych ludzi. Zajęci sobą i liczeniem pieniędzy na nocne atrakcje stolicy nie zwracali na nią uwagi.

Obejrzała się za siebie tylko raz. Nic się nie działo. Wciąż ścisnęła w palcach skradzione kluczyki do audi A5. Przycisk pilota zwolnił blokadę w drzwiach. Usiadła w fotelu i dosunęła go do deski rozdzielczej tak, że ocierała się o jej kolana. Potem obniżyła, teraz wszystko pasowało.

Auto pachniało piżmem i wielkim światem. Zanim zacisnęła dłoń na skórzanej kierownicy, po raz drugi tego wieczoru wybrała numer do Erwina. Jego telefon nie odpowiadał.

Sprzęgło i jedynka. Światła i zwolnienie ręcznego hamulca. Przeżegnała się w myślach i wcisnęła gaz.

Audi zostawiło za sobą Panorama Club i skręciło w Królewską. Nocny rytm miasta wystukiwało echo przejeżdżających tramwajów, które dochodziło aż z Marszałkowskiej.

Odetchnęła, gdy znalazła się nad Wisłą. Wmieszana w ciąg aut patrzyła, jak na przycumowanych barkach zbierają się całymi ekipami młodzi ludzie, podobni do niej. Nie, nie podobni. Całkiem inni.

Przystanęła na chwilę na poboczu, żeby włączyć GPS. Wypożyczalnia nastawiła nawigację na angielski. Do tej pory zwykle „*how are you*” wystarczało, ale teraz brak znajomości języka obcego był jak opuszczony szlaban na przejeździe kolejowym. Wściekła na samą siebie wystukała mapę na własnym telefonie i położyła go sobie na kolanach. Dojedzie do Starych Sądów i go ostrzeże. Musi. Inaczej Erwin może mieć duże kłopoty.

\* \* \*

Karta do pokoju numer jedenaście zadziałała bez problemu. Zielone światełko mignęło dwa razy i zamek puścił bez oporu.

Erwin wsunął kartę w automatyczny włącznik na ścianie. Światło górnej lampy zabłysło natychmiast, zaraz potem włączył się telewizor. Na ekranie nie wyświetliło się jednak „Witamy pana Erwina Cisa, życząc miłego pobytu w naszym ośrodku”, jak to zwykle bywa w hotelowych pokojach. Przez telewizor przepływały za to jachty prujące fale, co miało zachęcić hotelowych gości do wykupienia na miejscu kursu sternika. Na dole wyświetlał się numer telefonu do miejscowej szkoły żeglarskiej.

Erwin rozejrzał się bezradnie po pokoju. Wnętrze było klasyczne: stół z wsuniętym pod nim krzesłem, lampa i podwójne łóżko, nad którym wisiała dziwaczna, rzucająca się w oczy grafika. Omiótł ją wzrokiem, nie zatrzymując się na treści obrazka dłużej niż kilka sekund. Nie o to mu chodziło. To, co go interesowało, znajdowało się za ścianą.

Wychylił się przez okno. Słońce powoli staczało się za horyzont. Mężczyzna w bejsbolówce kończył malować pomost. Jeszcze kilka machnięć pędzlem i podniósł się z klęczek, wydając z siebie jęk spowodowany bólem w napiętym krzyżu. Erwin nie odrywał od niego wzroku. Ze spokojem patrzył z góry na człowieka, który w mistrzowski sposób starał się go przekonać, że w maju nie było tu nikogo. Gdyby nie zdjęcia Izabeli z tego miejsca oraz GPS, który zarejestrował jej ostatnią drogę, Erwin może by mu uwierzył. Wiedział jednak zbyt wiele, aby



dać się wkręcić w to, z pozoru niewinne, kłamstwo.

Mężczyzna obejrzał się za siebie, jakby badał, czy nie ma nikogo wokół, i trzymając w ręku pustą puszkę po farbie, ruszył w kierunku metalowego baraku.

Z jego wnętrza zaczął po chwili dochodzić głuchy odgłos wydawany przez przestawiane leżaki i wiosła. Potem zastąpiło go zrywanie folii z piankowych materaców. Folia szeleściła, mężczyzna musiał się nieźle naszarpać, zanim pościągał metry celofanowej osłony. Wyszedł na chwilę przed barak i rzucił na trawę zgnieciony rulon. Udeptał go nogą, żeby nie poleciał na wodę, niesiony podmuchem wiatru. Na koniec położył na folii złamaną gałąź. Otrzeptał ręce z wilgotnej kory i z wykrzywioną twarzą spojrzał na budynek hotelu. Nie patrzył na wchodzących i wychodzących pracowników ani na okna na parterze. Jego wzrok powędrował od razu na drugie piętro.

Erwin cofnął się gwałtownie. Zasłona odgrodziła go od świdrujących oczu mężczyzny w dresowej bluzie. Sam był niewidoczny, ale mógł bez przeszkód obserwować, jak stojący na brzegu jeziora Bejsbolista wyciąga szyję w jego stronę.

To miejsce było dziwne, nieprzyjazne i przepelnione złą aurą. Ludzie byli tu dziwni. A jednak Izabela przyjechała właśnie tutaj. Czy dlatego, że nikt inny nie zaglądał do hotelu Raj poza sezonem i mogła się ukryć przed... Właśnie, przed kim tak naprawdę uciekała?

Bejsbolista wreszcie oderwał wzrok od budynku i spojrzał na alejki wokół ośrodka, tak jakby sprawdzał, czy jest sam. Alejki były puste. Pozostało jeszcze jedno. Odszedł kilka kroków od baraku i chyląc kark, prześwietlił oczami niezbyt gęsty zagajnik. Kiedy upewnił się, że w promieniu kilkudziesięciu metrów nie ma żywej duszy, wrócił do środka szopy. Niedokładnie naoliwione zawiasy zazgrzytały i drzwi zamknęły się od wewnątrz. Erwin widział, jak pod drzwiami pojawiła się cienka jak nitka smuga światła. Blask bijący z żarówki lub mocne światło latarki odcinało się wyraźnie od szarzejących jeziora i plaży. Jednak poza cichym szuraniem z baraku nie dochodził już żaden wyraźniejszy dźwięk.

Erwinowi nie dawała spokoju myśl, żeby pod pretekstem puszczenia dymka wyjść na brzeg. Uznał to za usprawiedliwienie idealne dla hotelowego gościa. Postanowił jednak na razie nie ruszać się z pokoju. Jeśli facetowi z baraku tak bardzo zależało na tym, by nikt go nie naszedł, nie powinien go spłoszyć.

Sprawdził za to, czy na suficie zamontowany jest zraszacz. Plastikowy, biały czujnik wisiał uczepiony przy ścianie graniczącej z łazienką. Erwin jednym ruchem przyciągnął do ściany krzesło. Było stabilne, nie zachodziła obawa, że zarwie się pod ciężarem dziewięćdziesięciu dwóch kilogramów. Sięgnął do kieszeni po paczkę vincesterów i wyjął z niej zapalniczkę, po czym nastawił pokrętkę z regulacją mocy na najwyższy stopień.

Płomień zapalniczki błysnął i powędrował do czujki.

\* \* \*

Agata Soból wysiadła z taksówki i rozejrzała się dookoła. Za pierwszym razem, kiedy tu przyjechała, czuła się dziwnie i nieswojo. Ulica Jelinka była wtedy bardziej pusta, z biegiem czasu przybyło na niej domów i garaży. Siedziała na krawężniku i układała sobie w głowie zgrabne zdania, które miała wypowiedzieć na jednym wydechu. Szło jej z trudem, tym bardziej męczyła ją myśl, że nie podoła. Że się pomyli, coś przekręci i tylko się ośmieszy. Kiedy przyszło co do czego, wybełkotała jedno zdanie. Odetchnęła z ulgą, gdy tylko poczuła, że ktoś, kto jest jej dobroczyńcą, klepie ją ze zrozumieniem po plecach. Chciała wtulić się w jego ramiona i zrobiła to. Objął ją po ojcowsku i pogładził po włosach. Niczego więcej nie potrzebowała. Od teraz miało być już tylko dobrze i przede wszystkim bezpiecznie. Po tym, co przeszła, nic więcej się nie liczyło. Miała serce przepełnione wdzięcznością.

To było dwa lata temu.

Dom, przy którym wysiadła, odgradzały od ulicy gęsto nasadzone tuje. Celowo poprosiła, żeby taksówkarz zatrzymał się kilkadziesiąt metrów dalej. Chciała przemyśleć wszystko jeszcze raz i przygotować się do kolejnej ważnej przemowy. To, że w ostatni czwartek ponownie znalazła się w tym miejscu, powinno dodać jej skrzydeł, było jednak inaczej. List do skrzynki Wirskich włożyła pod wpływem ostatniej rozmowy z ojcem Izabeli. Długo myślała o tym wszystkim i postanowiła, że musi o niej porozmawiać. Napisała kilka słów i zaproponowała spotkanie w Łazienkach. Chciała wszystko jeszcze raz usłyszeć i zrozumieć. Temat był trudny, ale nie miała wyjścia. Chcąc nie chcąc, tkwiła w tym po uszy. Ale na pewno nie zależało jej na ludzkiej krzywdzie.

Agata Soból wzięła głęboki wdech.

Dotarła do znajomej kutej furtki. W oknach domu nie paliło się światło, mimo że słońce już zaszło. Trudno jej było uwierzyć, że o tej godzinie nikogo nie ma w środku.

Nie śmiała nacisnąć dzwonka. Zamiast tego wybierze numer i poprosi dobrego pana Stanisława, żeby spotkał się z nią na zewnątrz. Tak jak zawsze. Załatwi to szybko, wyrzuci z siebie to, co ją dręczy, i zniknie. Przekona go, że albo on zacznie mówić prawdę, albo zrobi to ona.

Wybrała dziewięciocyfrowy numer i wcisnęła zieloną słuchawkę. Brak sygnału odebrała jako błąd połączenia. Ponownie wybrała numer.

Okna na parterze i piętrze były otwarte, na ulicy panowała cisza. Odsunęła telefon od ucha i próbowała usłyszeć, czy z głębi domu dochodzi jakikolwiek dźwięk. Ale nie słyszała nic poza jakimś starym przebojem, sądząc po taktach, nagrany w latach siedemdziesiątych. Czekala, aż piosenka się skończy. Po kilku minutach dźwięk muzyki rzeczywiście ustał, mimo to w domu Wirskich wciąż nie było słyhać sygnału dzwoniącego telefonu.

Agata Soból rozłączyła się. Skoro nie jest jej dane rozstrzygnąć tej sprawy wspólnie z Wirskim, zrobi to sama, na własnych warunkach. Musi tylko zebrać na to siły i wszystko dobrze zaplanować. Czas jest ważny, ale jej bezpieczeństwo ważniejsze. Przekonała się o tym wielokrotnie.

Schowała telefon do torby i nie oglądając się na dom z ciemnymi oknami, ruszyła w kierunku przystanku tramwajowego.

\* \* \*

Odłączenie chlustającej wody trwało kwadrans. Erwin stał na korytarzu i przyglądał się biegającym w tę i w tę pracownikom hotelowej obsługi. Na widok zmierzającego w jego stronę Tyczki rozłożył ręce w geście bezradności.

– Awarie się zdarzają. Dobrze, że to się nie stało jutro, kiedy hotel będzie pełny. Byłby wstyd.

– Żałuję chwili, w której przekroczył pan próg tego hotelu – warknął Tyczka i wysunął w stronę Erwina oskarżycielski palec. – Odpowie pan za to. Pokój pływa, zdaje pan sobie sprawę z tego, jakie będą straty?!

– Zupełnie nie orientuję się, ile będzie kosztowało wysuszenie pościeli. – Erwin wzruszył ramionami. – Najważniejsze, że jako wasz gość nie wniosę skargi o umieszczenie mnie w pokoju z radosnym wodotryskiem. Słaby ze mnie pływak, mógłbym się utopić podczas snu. A tak wystarczy, że dostanę w ramach rekompensaty całkiem suchy pokój obok i będziemy kwita.

Tyczka zmrużył oczy, jakby ktoś sypnął mu w nie solą.

– Pan nie uznaje żadnych zasad, prawda?

– Żadnych. Dla pokoju z widokiem na jezioro zrobię wszystko. Mówiłem już, że romantyk ze mnie.

– Gdyby nie to, że wspomniałomyślnie przyjęliśmy pana jako naszego gościa, spędziłby pan noc na parkingu. Ale dobrze... – Tyczka wziął głęboki oddech. – Znajdziemy panu inny pokój.

– Chcę tylko tamten. Nie powinien pan negocjować w sytuacji podbramkowej. Hotel będzie oddany do użytku jutro, a to oznacza, że do tej pory nie nastąpił odbiór techniczny po remoncie. Przepisy, o ile wiem, nie zezwalają na kwaterowanie gości przed odbiorem. Nie chcę pana stawiać w kłopotliwej sytuacji, ale, cokolwiek by mówić, wyczuwam problemy. Życie czasami bywa brutalne, panie dyrektorze.

– W imieniu dyrekcji mam prawo...

– A nawet obowiązek. – Erwin wbił się między oddechy Tyczki. – Ma pan obowiązek zagwarantować mi pokój zastępczy, najlepiej z widokiem na jezioro. Wtedy pozostała część nocy z pewnością przebiegnie dla nas obu spokojnie.

W drzwiach pokoju stanęła dziewczyna z recepcji. Na rękach miała ociekającą wodą pościel

z łóżka. Była blada, tylko dłonie miała zaróżowione od lodowatego materiału, jakby wyjęła go z przerębli.

– To jak będzie? – Erwin poprawił torbę na ramieniu. – Muszę przecież gdzieś spać.

Szykował się na kolejny odpór albo przynajmniej elegancką pyskówkę. Tyczka musiał przetrwać coś w swojej głowie i to coś nie napawało go radością. Wyglądał przy tym, jakby ktoś wsadził mu szpilkę pod paznokieć.

– Poczekaj! – krzyknął za oddalającą się dziewczyną.

Odwróciła się i przystanęła przy wyjściu na schody przeciwpożarowe. Poprawiła kolanem opadającą na podłogę mokrą poszwę kołdry.

– Tak, proszę pana?

Tyczka kiwnął głową, dając Erwinowi znać, żeby ruszył za nią. Erwin odwdzieczył mu się najbardziej uprzejmym skinieniem głowy, jakie widziały mazurskie jeziora.

– Cieszę się, że w końcu się rozumiemy.

Winda wciąż nie działała, a nawet gdyby tak było, alarm w budynku automatycznie wyłączyłby ją z użytku. Aby znaleźć się na dole, musieli skorzystać ze schodów przeciwpożarowych. Młoda recepcjonistka szła przodem, co rusz poprawiając wysuwające się z jej rąk bawełniane płyty pościeli. Erwin podążał za nią. Dostanie wreszcie to, czego chciał. Wejście do pokoju, w którym Izzy po raz ostatni robiła swoje amatorskie zdjęcia. Jeśli nawet będzie to kosztowało hotel kilka tysięcy wyrzuconych na ponowny remont pokoju, było warto. Zrobiłby to znowu, gdyby od tego miało zależeć, czy wreszcie dowie się, co tak naprawdę stało się dwa miesiące temu.

Dotarli na dół. Alarm wciąż był – co prawda dźwięk zamienił się na cichszy, przerywany, ale i tak męczył uszy.

Mimo że opanowano już i pożar, i powódź, obsługa hotelowa nie zamierzała tak szybko wracać do budynku. Ktoś żądał przyjazdu straży pożarnej, ktoś inny dopytywał, czy aby dach nie zajął się od ognia.

Erwin oparł się o recepcyjny blat i wbił wzrok w pokerową twarz Lidii. Jej oczy same się zamykały, zachodziła obawa, że uśnie na stojąco. Po całym dniu bieganiny marzyła zapewne, żeby położyć głowę na poduszce, zamiast przebijać się przez system dla jednego, naprzykrzającego się klienta. Mimo to bez słowa skargi włączała kolejne programy komputerowe.

Erwin, chcąc wykorzystać okazję, że jest z nią sam na sam, wyjął swój telefon i podsunął jej ekran pod oczy.

– Poznaje pani tę dziewczynę? Była tu w maju.

Lidia spojrzała na zdjęcie nieprzytomnym wzrokiem. Erwin mógłby przysiąc, że miesiąc na jej prawym policzku drgnął, po czym ponownie znieruchomiał.

– Musicie mieć ją w swojej bazie.

Wciąż milczała, ale nie odsunęła jego ręki.

– Obiecuję, że nikt się nie dowie – dodał.

Obejrzała się za siebie w obawie, że ktoś może szwendać się w pobliżu recepcji, jednak poza jej cieniem na ścianie nie było w holu nikogo.

– Nie znam jej. – Pokręciła głową. – Od Sylwestra nie przyjmowaliśmy gości.

– Nawet nie spyta pani o nazwisko?

Zrobiła wyczekującą minę.

– Izabela Wirska.

Wydawało się, że cichy stukot paznokci uderzających w klawiaturę nigdy nie ucichnie.

– Nie. Mówiłam, że takiej u nas nie było. Ani w maju, ani nigdy. Pamiętałabym.

– Mogę sprawdzić sam? – Erwin przechylił się przez blat.

Zdążył jedynie zobaczyć, jak okno programu błyskawicznie potrafi się zamknąć i zamienić w stronę startową Windowsa. Laptop pożyczony mu przez Palacza nie potrafił takich sztuczek.

– Hotel nie udostępnia danych swoich gości.

– Nie chcę, żeby pani miała przeze mnie nieprzyjemności, ale może jednak spróbowałyby pani rozpoznać...

– Przykro mi, panie Cis.

Karta magnetyczna wciąż nie była gotowa. System zaciął się i konieczny był restart.

– To potrwa jeszcze chwilę. – Dziewczyna przestąpiła z nogi na nogę. – Niech mi pan nie patrzy na ręce, to nie pomaga.

Erwin chciał pomóc, więc wyszedł z hotelu bocznym wyjściem i zapalił vincestera. Lidia nie zamierzała współpracować. Sądząc po jej reakcji, znała twarz Izabeli, ale z jakichś powodów wołała milczeć.

Stanął przodem do jeziora. Wypuścił z płuc chmurę dymu i zapatrzył się na połyskującą w wieczornym świetle tafłę wody. Była spokojna, jak zwykle o tej porze doby. Nawet przycumowane do brzegu łódki i rowery wodne nie poruszały się pod naporem fal. Całkowita flauta.

Nie widział, czy światło w blaszanym baraku nadal się świeci. Szopa osłonięta była drzewami i widoczna jedynie z górnego piętra hotelu. Alarm pożarowy musiał być w niej doskonale słyszalny, Erwin nie miał co do tego wątpliwości. W takiej ciszy słyszy się lecącą ćmę, nie mówiąc o wyciu syreny alarmowej.

Z wciąż palącym się papierosem wszedł na podjazd, gdzie stali pracownicy obsługi wypłoszeni z hotelu wyciem alarmu. Nie obchodzili go, poza jedną osobą.

Mężczyzna w bejsbolówce stał do niego bokiem. Rozmawiał z jakąś kobietą, sądząc po białym fartuchu przepasanym w talii, kucharką. Żona, przypomniał sobie Erwin. Obok nich stał

wózek inwalidzki. Siedział na nim chłopak, mniej więcej trzynastoletni, ubrany w dżinsowe spodnie, jasny T-shirt i bordowy sweter. Na nosie miał oprawki z grubymi szklami. Z nudów obracał koła wózka, naciskając dżojstik przymocowany do prawego podłokietnika. Metalowe obręcze odbijały światło padające z hotelowego holu.

Erwin zrobił kilka kroków naprzód. Na jego widok kobieta przestała mówić i spojrzała znacząco na męża. Człowiek w bejsbolówce odwrócił się i podążył za jej wzrokiem.

Erwin nie chciał im przeszkadzać, zwłaszcza że na twarzy matki chłopaka można było bez trudu odczytać całodniowe zmęczenie oraz stres wywołany alarmem. A więc jednak miał rację. Nastoletni syn mieszkał w Raju wraz z nimi. To w jego sportowej bluzie i czapce paradował po hotelowym obejściu pan złota rączka. Zakup dla syna kaleki okazał się nieprzemyślany. Chłopak najwyraźniej wolał nie robić z siebie kogoś, kim nigdy nie będzie i zamienił sportowy strój na zwykły.

Ojciec chłopaka przestąpił z nogi na nogę, jakby chciał zasłonić go przed wzrokiem Erwina. Głowa trzynastolatka zginęła za jego plecami, podobnie jak tułów i uda. Zza nóg ojca wystawały tylko kolana i wciąż kręcące się koła. Bejsbolista chwycił żonę za łokieć i pociągnął w swoją stronę. Okrążyła chłopaka i stanęła z mężem ramię w ramię. Zza ich ciał nie było już nic widać, nawet obracających się kół. Sygnał wysłany przez tych dwoje nie mógł być bardziej czytelny.

Ktoś wreszcie wyłączył alarm. Wśród zgromadzonych dało się słyszeć westchnienie ulgi. Nadal jednak nikt nie odważył się ruszyć z miejsca.

– Można wchodzić! – W drzwiach stanęła recepcjonistka Lidia, dopinając pod szyją świeżą, suchą bluzkę. Erwin poczekał, aż wszyscy znikną za drzwiami hotelu.

Gdy wszedł do holu, słyszał już tylko pojedyncze, dobiegające gdzieś z głębi budynku odgłosy zamykanych okien i zasuwanych zasłon. Karta do pokoju, w którym mieszkała Izabela, leżała na recepcyjnym stole.

Bez słowa wziął ją do ręki i po raz kolejny ruszył w stronę schodów prowadzących na drugie piętro hotelu Raj.

\* \* \*

Drzwi otworzyły się bezszelestnie. W pokoju panowała całkowita ciemność. Przygaszone światło z korytarza wpadało jedynie płytkim kręgiem do krótkiego przedpokoju.

Erwin nie chciał jeszcze palić lamp. Przekroczył próg pokoju i stanął pośrodku ciemnego pomieszczenia. Odłożył na podłogę swoją sportową torbę.

Była tu w ostatnich dniach swojego życia. Tu stała jej walizka z kolorowymi naklejkami, na krześle wisiała jej kurtka lub sweter. To z okna tego pokoju robiła zdjęcia, które później umieściła na Facebooku. Znalazł to miejsce, wreszcie tu dotarł.

Wrócił do przedpokoju z zamiarem włożenia karty do czytnika prądu. Czytnik kliknął, wraz z kliknięciem zapaliła się górna lampa.

Pokój w niczym nie przypominał tego ze zdjęć Marty Mazur. Na ścianach nie było tapety, ani w jasnobrązowe pasy, ani żadnej innej. Na bladożółtym murze nie było widać żadnych zarysowań, typowych dla hotelowych pokoi, zupełnie jakby nikt tu nigdy nie mieszkał.

Spojrzał na łóżko. Tamto ze zdjęcia Izzy przykryte było brązową narzutą, co do tego nie miał wątpliwości. Narzuta na tym łóżku była szara. Odgiął jej brzeg, szukając metki. Jeśli kapa była na stałym wyposażeniu hotelu, musiała być wielokrotnie prana. Znaki chemiczne na metce byłyby ledwie widoczne, z czasem całkiem by wyblakły. Na metce szarej narzuty było pięć symboli. Wyraźnych, czarnych. Była zupełnie nowa.

Nie było też żółtych kinkietów. Na nocnych stolikach po obu stronach łóżka stały małe lampki na drewnianych nogach i z ażurowymi abażurami. Nic nie wyglądało tu tak samo. Ani ściany, ani łóżko, ani wykładzina. Nawet obraz nie miał nic wspólnego z van Goghem. Była to nowoczesna grafika, dość paskudna, której wołał nie przyglądać się z bliska.

Wyszedł na korytarz. Rzadko zdarzało mu się zamyślić na tyle, by trafić nie w te drzwi co trzeba. Poza tym karta magnetyczna nie pasowałaby do innego pokoju. Dwie złote cyfry przytwierdzone do drzwi też nie kłamały. To ten pokój, o ile mógł zaufać technicznym sztuczkom Palacza. Oczekał swoje, zanim w telefonie odezwał się znudzony głos przyjaciela:

– Nawijaj. Ale szybko i krótko, odrabiam lekcje z główniarzem. – Instynkt ojcowski Palacza mógłby skruszyć każde serce.

Erwin wolną ręką odkręcił stojącą na stole butelkę z wodą i nalał jej do plastikowego kubka.

– Daj spokój, Palacz. Taki z ciebie korepetytor jak z węża baletnica. Chodzi mi o numer, który dostałeś ode mnie SMS-em. Pewien jesteś, że dobrze odczytałeś?

– Wiem, jak wygląda jedynka i dwójka, stary. Tyle umiem rozpoznać. – W słuchawce dało się słyszeć stłumioną rozmowę z synem, która zakończyła się wściekłym krzykiem dzieciaka. – Co to za numer?

– Nieważne. Chcę tylko mieć pewność, że nie zaszła żadna pomyłka.

– Cis, programy komputerowe nie kłamią.

– Też tak myślałem.

– Lepiej ufać komputerom niż ludziom, jeszcze się o tym przekonasz. – Głos Palacza zanikł, ale po chwili powrócił nieco wyraźniejszy. – Nie mogę patrzeć na tego osła. Za kilka dni koniec szkoły, a on... Gdzie ty w ogóle jesteś, Cis?

Erwin przełknął kolejny łyk wody i otarł usta wierzchem dłoni.

– Daleko.

– I nic więcej?

– Nie.

– Poczekaj chwilę.

Odgłos zamykanych drzwi w mieszkaniu Palacza wyciszył wrzaski jego dzieci.

– Musiałem przejść do kuchni. – Palacz zapalił papierosa, w głośniku słycać było, jak wypuszcza dym z płuc. – Ta smarkateria mnie kiedyś wykończy. Zanim najmłodszy dorośnie, ja już będę się kiwał na stołku w psychiatryku.

– Ty i twój urojony przyjaciel z dzieciństwa, który mieszkał w starej szafie.

– Kurwa, Cis, jak ja się cieszę, że tak rzadko mogę cię oglądać.

– Mnie też ciebie brakuje.

– Powiesz mi w końcu, co się dzieje?

Erwin się zawahał. O tym, że wyjeżdża nad Tałty, nie chciał mówić nikomu. Uznał, że tak będzie najlepiej. Powód był oczywisty. To, co się stało z Izzy, musiał zrozumieć i przeżyć sam. Palaczowi jednak należało się wyjaśnienie.

– Byłem tam. Ktoś zabrał krzyżyk z drzewa.

Przeciągająca się cisza w słuchawce znaczyła więcej niż tysiąc słów.

– Jesteś nad jeziorem? Dżizas, Cis...

– Grób się zapadł.

– Cis... Po co tam pojechałeś?

– Daj mi spokój, Palacz. Nie musisz mi matkować, dawno temu skończyłem podstawówkę.

– Mimo to nie zmadrzałeś. Wciąż ścigasz duchy z przeszłości. Skończ z tym, słyszysz? Te brednie, które ci siedzą w głowie, w końcu cię zabiją. Nie ma już ani Wiktora, ani Izabeli. Ona odeszła, rozumiesz?

– Może tak, może nie. Muszę wiedzieć, co się z nią stało. Jestem już blisko, a przynajmniej tak mi się do tej pory zdawało – dodał, patrząc na obce ściany.

– Okłamujesz się, stary. Nie odzyskasz jej, nie będzie happy endu.

Krzyki dzieci przybierały na sile. W głębi mieszkania dał się słyszeć dźwięk tłuczonego szkła i płacz.

– Muszę lecieć. – Przerwa na papierosa dobiegła końca.

– Zaczekaj. – Erwin zatrzymał go w ostatniej chwili. – Namierzyłeś tego człowieka z Internetu? Wiesz, kto to jest?

– Nie. – Głos Mirka przybrał gorzki ton. – Nie potrafię gnojka zlokalizować. Dobrze się zaszył.

– Próbuj. Obaj mamy wiele do stracenia.

– Cis, robię, co mogę.

– Wiem. Próbuj dalej.

Bateria w telefonie była na wyczerpaniu. Erwin wyjął z torby kabel i podpiął się do przypodłogowej listwy z kontaktami.



Palacz nie miał racji. Jego sprytny komputer źle odczytał numer pokoju. Izabeli nigdy tu nie było.

Dawno nie czuł takiego przygnębienia. Droga do prawdy o tym, co stało się z Izzy, była drogą przez pustynię. Bez kierunkowskazu, bez czegokolwiek, co zbliżyłoby go do celu choćby o milimetr. Ponoć najgorsza w życiu jest bezradność. Odczuwał ją teraz wyjątkowo dotkliwie.

Włączenie telewizora było jedynym pomysłem, jaki przyszedł mu do głowy. Nie chciał już o niczym myśleć. Nie dzisiaj i nie w miejscu, które po raz kolejny okazało się podstępny blefem kogoś, kto sterował wszystkim z góry. Musiał mieć niezły ubaw, pociągając za fałszywe sznurki i patrząc, jak jedna z jego marionetek płacze się w sieci kłamstw.

MTV puszczało dyskotekowe hity sprzed dekady. Daniel Powter potwierdził, że to był „*Bad Day*”. Nie tylko dla niego.

Erwin, nie spuszczać oczu ze szklanego ekranu, zsunął z nóg buty i spodnie. Pościel była przesiąknięta zapachem proszku do prania połączonego z silnym wybielaczem. Otworzył na oścież okno i wrócił do łóżka. Na pilocie do telewizora uruchomił funkcję automatycznego wyłączenia, ustawiając ją za piętnaście minut. Zamknął oczy i odpłynął.

\* \* \*

Audi A5 jechało po asfaltowej drodze szarpanymi ruchami. Prawo jazdy, które Sońka kupiła za tysiąc pięćset złotych, gdy tylko skończyła szesnaście lat, miało dać jej poczucie dorosłości, podobnie jak szlugi i seks. Na zrobienie pełnego kursu jazdy nie miała pieniędzy, ale wystarczyło zapłacić komu trzeba, żeby stać się kierowcą. Pojedyncze wypadki za miasto za kierownicą aut przyjaciół wykorzystywała, aby nabrać wprawy. Po Warszawie jeździła tylko nocami, kiedy jezdnie pustoszały. Na początku zaliczała krawężniki, ale z czasem zaczęło jej iść coraz lepiej.

GPS w starym telefonie pracował pełną parą. Nie mogła go wyłączyć, trasa na Stare Sady była jej obca. Jechać na czuja mogła do jakiegoś dużego miasta, ale nie do takiej wsi na końcu świata, gdzie trudno o porządny drogowskaz.

Była w połowie drogi numer 626, gdy bateria zaczęła dawać znać, że moment rozładowania jest bliski. Włączony przez dwie godziny wyświetlacz zrobił swoje.

Po prawej ręce mignął jej znak skrętu na Ostrołękę, a zaraz za nim wyrósł przydrożny motel. Wciśnięty pod ścianę lasu zapraszał niebieskim neonem z popsutą pierwszą literą. Nie miał nazwy, widocznie właściciel chciał zaoszczędzić na wymianie kolorowych liter. Pod „otelem” stało jedno auto, czarny ford z warszawską rejestracją. Miejsce było podłe jak przedpiekle, budynek wyłożony niemytym od lat białym sidingiem przypominał tanią tancbudę, a nie miejsce, w którym chciałoby się zatrzymać na noc. Sytuację ratowały dwie stylowe latarnie stojące tuż

przy wjeździe na parking, które rzucały ostre światło na podjazd.

Stała na poboczu i spojrzała we wsteczne lusterko. Droga za nią była pusta. Gdyby nie stojący na parkingu ford, mogłaby się poczuć jak w amerykańskim kinie drogi, gdzie w promieniu dziesiątek kilometrów nie ma nic prócz kurzu i toczących się przez ulice kul z uschniętych krzaków.

Zjechała na parking i stanęła tuż obok forda. W motelu nie świeciło się ani jedno okno, a nad drzwiami wejściowymi nie paliła się żadna żarówka.

Przekląła się w myślach za to, że po raz kolejny nie zabrała ze sobą ładowarki. Mogłaby jechać dalej, błędząc po drodze i wypytując na stacjach benzynowych o właściwy kierunek. Mogłaby też po raz kolejny spróbować zadzwonić do Erwina i wszystko mu powiedzieć. Ostrzec go.

Wyłączyła wciąż pracujący silnik i zaciągnęła hamulec. Jazda od stacji do stacji nie miała sensu, zwłaszcza że nie wyglądała na właścicielkę luksusowego samochodu. Jeśli policja już wie o skradzionym aucie, Sońka wcześniej czy później wylądowałaby w komisariacie z kartoteką uzupełnioną do ostatniej linijki. Pierwszą założyli jej za skradzionego w sklepie batona, gdy skończyła dwanaście lat. Wyszła z tego bez szwanku, nie licząc policzka od matki. Kolejny rozdział spisano niecały rok później, za palenie trawy w parku. Nie tej zielonej, ale wysuszonej, od której śmierdziało w całej okolicy. Na matkę czekała osiem godzin w oświetlonym jarzeniówkami pomieszczeniu. Tym razem obyło się bez policzka, ale cisza w domu trwała długo. Tego dnia coś między nimi pękło. Mieszkanie pod jednym dachem zaczynało im ciążyć. Gdy skończyła szesnaście lat, oddała matce klucze do mieszkania. Ojciec nie protestował. Dał jej na drogę pięć stów i powiedział, że będzie o niej często myślał, jak to w dobrej rodzinie bywa.

Wystukała numer Erwina. Łączenie przez Niemcy trwało długo. Najpierw nastąpiła cisza, a potem sygnał zaczął przerywać. Środek lasu i słaby zasięg, jakby znalazła się na Marsie. Odczekała jeszcze chwilę, ale zamiast sygnału usłyszała tylko ciche piknięcie. Połączenia nie będzie.

Kilkakrotnie uderzyła aparatem o spód dłoni. Bateria była całkowicie rozładowana. Zwinięte w kieszeni trzydzieści złotych dawało nikłą szansę na przekonanie właściciela motelu, żeby użyzył jej ładowarki i uprzejmie wynajął pokój na dwie godziny, aż ten gruchot porządnie się naładuje.

Zamknęła audi i podeszła do drzwi. Raz kozie śmierć, pomyślała i weszła do budynku.

\* \* \*

Przyszła do niego przed świtem.

Była cała w bieli. Przez chwilę. Potem obraz się zamazał i stanęła przed nim w czapce

z pomponem i czerwonym szaliku niedbale zawiązanym na szyi. Dokładnie tak jak wtedy, na lotnisku. W głośnikach słyszał nawoływanie na lot do Hamburga. Nie dość wyraźne, ale to na pewno jego wzywano.

Izabela stała za szybą z lekko przekrzywioną głową, a kosmyk jej jasnych włosów opadał wzdłuż policzków i chował się w gęsto tkanej wełnie szalika. Ręce miała schowane w kieszeniach płaszcza. Szarego, dwurzędowego, z połyskującymi srebrnymi guzikami. Na moment wyjęła jedną rękę i poprawiła włosy. Ten gest kochał najbardziej. Wykonywała go niedbale, bez zastanowienia, ale z lekkością i gracją.

Miała policzki zaróżowione od wieczornego wiatru, tak jak dzieci po przyjeździe z lodowiska. Była taka delikatna, wręcz eteryczna, jakby nie z tej planety.

On sam siebie nie widział. Nie czuł rąk ani nóg, nie miał stóp ani ciała. Był jedynie widzącym i słyszającym powietrzem bez swej cielesnej powłoki. Ale to nie miało znaczenia. Najważniejsze, że widział ją i nawet słyszał pojedyncze słowa. Nie, nie jej. Słyszał tylko wciąż powtarzające się: „Pasażerów lecących do Hamburga prosimy o niezwłoczne stawienie się w bramce numer sześć”.

Panie Cis, to pana wołają, słyszał gdzieś między nieistniejącymi uszami.

Nie miał przy sobie torby ani paszportu. Miał tylko świadomość, że widzi ją po raz ostatni. Poruszała ustami, ale nie docierały do niego jej słowa. Zagłuszały ją dźwięki lotniska, przesuwający się za jej plecami szemrzący tłum i ten głos. „Pasażerów lecących do...”.

Wciąż patrzył na jej twarz. Nie mógł oderwać oczu od niemych ust Izabeli. Dlaczego nic nie słysząc, dlaczego nagle nieruchomieje i patrzy tylko martwym wzrokiem?

– Izzy! – krzyknął w jej stronę, ale jego głos odbił się od szyby dzielącej główną taflę lotniska od punktów odprawy.

W jego stronę wciąż napływali ludzie odbierający swoje torby, paski z metalowymi sprzączkami i laptopy. Bramki co rusz popiskiwały, sygnalizując, że ktoś zapomniał wyjąć z kieszeni klucze lub monety.

– Izzy! – wrzasnął ponownie.

– Tam nie można wrócić – usłyszał głos z boku.

Rozejrzał się, ale nikogo nie zobaczył. Ponownie wrócił do szklanej bariery.

Jeszcze tam była, ale czerwień jej szalika bladła. Cała stawała się coraz bardziej niewidoczna.

– Daj mi jakiś znak, najmniejszy! Cokolwiek!

„Pasażerów lecących do Hamburga prosimy o niezwłoczne stawienie się w bramce numer sześć”.

Obudził się z walącym sercem. Prześcieradło pod plecami było mokre.

Podszedł do okna i otworzył je na oścież. To samo zrobił z drzwiami wejściowymi. Usiadł

w przeciagu z nadzieją, że chłód nocy przyniesie ulgę jego wilgotnej skórze.

Gdy ocknął się po raz drugi, jego gardło było suche jak pieprz. Butelka z hotelową wodą mineralną stała na stole.

Za oknem panowała noc tak ciemna, jakby znalazł się na końcu świata. Ktoś zgasił latarnie przy wejściu do hotelu, tliła się jedynie jedna z nich, stojąca na zakręcie prowadzącym na parking. Oświetlała budkę dozorczy, który i tak pewnie przysnął przed telewizorem.

Pokój tonął w mroku, Erwin widział zaledwie jasną ramę okna, która odcinała się od reszty pomieszczenia.

Woda, natychmiast.

Pomacał ręką nocny stolik w poszukiwaniu włącznika lampy. Żółte światło raziło oczy. Zaklął pod nosem i zacisnął powieki. Uniósł je tylko po to, żeby namierzyć butelkę z mineralną. Niecałe cztery metry były dla niego kilometrami. Zaklął po raz drugi, kiedy zaplątał się w leżące na podłodze spodnie. Trzeci, kiedy mały palec u stopy zderzył się z nogą krzesła. Przyłożył do palca chłodne szkło butelki, odpuszczając na chwilę chęć wiania w siebie pół litra wody na raz, i odczekał dziesięć sekund. Tyle wystarczyło, by największy ból minął.

Usiadł ponownie na materacu i odruchowo sięgnął po komórkę. Wywołał ekran główny, żeby rzucić okiem, czy nie ma nieodebranych połączeń lub SMS-ów. Na wyświetlaczu zegar pokazywał za piętnaście czwartą. Odkąd padł na łóżko godzinę temu, nic się w e-świecie nie zmieniło, poza tym, że komórka wreszcie naładowała się do pełna.

Erwin pociągnął za kabel, by wyjąć go z kontaktu, ale wtyczka siedziała mocno. Przekręcił się na materacu i złapał ją z całej siły. Szarpnął silniej, bardziej zdecydowanie. Listwa przypodłogowa jęknęła. Klej do mocowania musiał mieć siłę gumy arabskiej, bo po chwili Erwin trzymał w ręku ładowarkę ze zwisającym na końcu kawałkiem urwanej, gipsowej deszczułki z uczeponymi do niej kablami elektrycznymi.

Schylił się, aby przymocować listwę do ściany, przynajmniej na tyle, żeby nie stanąć bosą stopą na kablach.

Musiał uklęknąć. Docisnął gniazdko do ściany, ale odpadło i na dodatek odłupało kawałek farby za nocną szafką. Jakby tego było mało, kolejna część listwy zaczęła odstawać, poruszona szarpnięciem całego panelu.

Pod sterzącą deszczułką zobaczył coś dziwnego. Na pierwszy rzut oka mogło się zdawać, że to mikroskopijny kawałek źle odciętej wykładziny. Ale to coś przy ścianie nie miało jej koloru ani struktury. Erwin wstał z podłogi i odciągnął łóżko, by mieć lepszy dostęp do ściany. Łóżko było ciężkie, jakby zrobiono je z ołowiu. Cztery drewniane nogi z masywnym stelażem przesunęły się o pół metra. To wystarczyło.

Ukląkł przy ścianie i jak w transie zaczął odrywać kolejne warstwy metrowych listew. Zrywał

jedną po drugiej, trzaskały pod naporem jego szarpnięć i opadały na podłogę za łóżkiem. Robił to, dopóki ostatnia z nich nie odlepiła się, odsłaniając gołą ścianę. Prawie. Pod grubą warstwą bladożółtej farby prześwitywał inny kolor. Teraz Erwin widział to dokładnie. Potarł ręką najbliższe miejsce zamaskowane farbą. Tarł mocno, coraz mocniej, próbując zetrzeć choć część warstwy. Farba musiała być jednak dobrej jakości, bo nie chciała tak łatwo poddać się jego ruchom.

Zerwał się z podłogi i wpadł do łazienki. Ściągnął z półki ręcznik i puścił na niego strumień wody. Wrócił do pokoju, łapiąc w otwartą dłoń ciekące krople.

Przyłożył ręcznik do ściany i czekał.

Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, trzydzieści...

Wystarczy. Ściana zdążyła wchłonąć wilgoć.

Gdy odsunął od ściany ręcznik nasiąknięty pozółkłą wodą, poczuł się, jakby ktoś podpiął mu do żyły kroplówkę wypełnioną podwójną dawką testosteronu. Impuls poszedł do mózgu i wypełnił każdą komórkę jego ciała. Od środka rozsadzała go mieszanka rozpaczy, szału, radości i zwycięstwa. Ale to zwycięstwo miało posmak piołunu.

Miał bowiem przed oczami resztki tapety w jasnobrązowe pasy, nieumiejętnie oderwanej i zaszpachlowanej na grubo żółtą farbą.

\* \* \*

Motel wyglądał wewnątrz, jakby przeniesiono go z połowy ubiegłego wieku. Wszędzie panował czerwony skaj. Fotele w kształcie spodków na stożkowatych nogach stały na wysłużonej podłodze z laminatu. Małe okrągłe pufy wytarte były przez setki tyłków i butów. Stolik w recepcji przykrywała szyba z ostrymi kantami. Na ścianach wisiały przedruki z amerykańskich magazynów filmowych. John Travolta brylował na parkiecie w rytmie gorączki sobotniej nocy, tuż obok do tego samego Travolty przytulała się Olivia Newton-John pod wielkim czerwonym napisem „Grease”. Potem szły już kolejno: *Hair*, *West Side Story* i, nie wiedzieć czemu, *Batman*.

Pod zakratowanym oknem, w miejscu zwanym szumnie recepcją, a będącym zwykłym stołem, na którym ustawiono monitor z kineskopem wielkości małego fiata, siedział mężczyzna przed sześćdziesiątką, w błękitnej koszuli i rozpiętej kamizelce typu „donoszę jeszcze trochę po studniówce”. Była poprzecierana przy patkach imitujących kieszenie, ale eleganckich modeli odzieży nie wymienia się z byle powodu, podobnie jak w sporcie nie wymienia się zwycięskiej drużyny.

Mężczyzna na widok Sońki przyglądził przerzedzone na czubku głowy włosy z domieszką żelu i uniósł brwi. Te akurat nie były przerzedzone, spod ich gęstwiny ledwo można było zobaczyć jego przekrwione oczy. A może to tylko wszechobecny czerwony skaj odbijał się na

jego twarzy, czyniąc z niego człowieka rodem z tanich horrorów.

– Jesteś sama? – spytał i spojrzął na drzwi.

– Tak. Dobry wieczór.

– Dobry. Ktoś dojedzie potem?

– Nie. Bo co?

Wzruszył ramionami i zrobił minę mówiącą: „Każda z was przyjeżdża tu sama”.

– Nic, wolałbym wiedzieć o tym wcześniej. Nie lubię niespodzianek.

– Nie rozumiem.

Wychylił się zza kineskopu i obejrzał sobie Sońkę dokładnie. Gdyby zacisnęła powieki i wyciężyła wszystkie swoje zmysły, mogłaby bezbłędnie określić, jakich części ciała dotykają po kolei jego oczy. Nie silił się na dyskrecję, wodził po niej wzrokiem z ciekawością, ale też źle ukrywaną pogardą, jakby oglądał nieudaną sztukę miernego naśladowcy Davida Copperfielda.

– Mówię tylko, że nie ma wpuszczania kogoś bokiem, kiedy ja nie widzę. Już były tu takie. Cwane gapy.

Pozostawiła jego uwagę bez komentarza.

– Można na godziny? Dwie wystarczą. Chciałabym wziąć prysznic i odpocząć. Nie pobrudzę pościeli.

– Dwie? Można. Za dwie dychy.

– Drogo.

Spojrzął wymownie na drzwi. Sońka wysupłała z portmonetki zwitek i położyła przed nim na stole.

– Dam dychę.

Cmoknął przez zęby i z niechęcią wyjął klucz z szuflady.

– Apartament trójczka. Na godzinę. Ani minuty dłużej. WC w korytarzu, wspólne.

Nie spytał o dokument. W takich miejscach nie prosi się o nazwisko ani adres.

– Coś jeszcze? – spytał, wkładając podany mu przez Sońkę banknot do kieszeni spodni.

– Potrzebuję ładowarki z cienkim bolcem.

Do dziesięciu złotych dorzuciła piątkę.

Na brzęk monety szuflada ponownie się otworzyła. Właściciel motelu długo przekładał coś wewnątrz, nim wreszcie wyjął na stół cztery modele ładowarek.

– Któryś powinien pasować. Klienci zostawiają kupę tego śmiecia.

Wolała sprawdzić na miejscu. Wybrała jeden, pierwszy z brzegu. Wszedł w komórkę jak w masło.

– Oddam za godzinę.

Udała się w stronę wąskiego korytarza z czterema pokojami na krzyż. Zamknęła za sobą drzwi. Przez cieką jak papier ścianę dobiegały zdyszane westchnienia kobiety i skrzypienie

sprężyn. Gdyby nie znała zasad, jakie panowały w półświatku, mogłaby pomyśleć, że kobieta zza ściany dobrze się bawi z właścicielem czarnego forda. Dwa przeciągłe jęknięcia i kilka szybkich sapnięć.

Podpięła telefon do prądu i poszła do łazienki. Nie wzięła prysznic, brodzik był obskurny jak całe to miejsce. Na białej niegdyś ceramice widać było grubą na centymetr pleśń. Sufit okraszały zielone i czarne plamy wielkości pięści. Od samego patrzenia na ten cudny przejaw niczym nieokielznanej natury można było nabawić się choroby.

Apartament. Bez sedesu, ale za to z promocyjnym grzybem. W podobnych okolicznościach przyrody żyli już chyba tylko ludzie z indyjskich slumsów. Widziała taki reportaż w BBC po angielsku. Nie rozumiała ani słowa, ale to akurat nie przeszkadzało w wychwyceniu, o co chodzi. Robaki niemal wychodziły przez ekran telewizora. Domy w dzielnicy Dharavi w Bombaju niewiele różniły się od „otelu”. Na korzyść tego ostatniego przemawiał jedynie migający neon nad wejściem i dwie przydrożne latarnie.

Umyła pod kranem twarz i pachy i wytarła się papierowym ręcznikiem. Śmierdział wilgocią jak cała łazienka.

Kobieta za ścianą ucichła. Nie słyhać było ani jej, ani żadnych innych dźwięków. Szybko skończyli i pewnie teraz taksowała klienta na okrągłą stówkę. Po chwili z korytarza dało się słyszeć trzaśnięcie drzwiami. Wyszli, nie zamieniając ze sobą słowa.

Sońka oderwała kawałek papierowego ręcznika i wróciła do pokoju. Rozłożyła ręcznik na łóżku i usiadła na nim na brzegu materaca.

Bateria ledwie drgnęła. Dobrze będzie, jeśli ten stary grat naładuje się przez godzinę przynajmniej do połowy.

Po szotach w Panoramię pęcherz zaczął błagać o opróżnienie. Wyjrzała na korytarz. Na ścianie pomalowanej na wściekłe czerwony kolor widniała strzałka z wyskrobany pośrodku napisem WC. Wskazywała ostatnie drzwi na lewo. Bez niej też trafiłaby tam bez pudła. W pewnych miejscach nos nie zawodzi.

Pomieszczenie przypominało schowek na szczotki. Wąskie, z małym zakratowanym lufcikiem, który i tak był zamknięty i nie wpuszczał świeżego powietrza z zewnątrz. Właściciel chyba długo tu nie zaglądał, bo WC przypominało wiejską kloakę, a w najlepszym razie przenośnego toi toia po wizycie stadionowych kibiców.

Wycofała się z odrazą, jednak nagromadzony mocz wywołał silny ból w podbrzuszu. Wyszła przed motel. Woląła wejść do lasu i skryć się w krzakach. Ściągnęła majtki i poczuła ulgę.

Po chwili znów stanęła na parkingu. Poza skradzionym przez nią audi nie było już żadnego samochodu. Ford odjechał, pozostawiając po sobie zryty kołami żwir. Oparła się o nagrzaną od silnika maskę i zapatrzyła na asfaltową drogę. Wyjęła z kieszeni sukienki gumę do żucia i zaciągnęła się miętą.

Przez chwilę poczuła się naprawdę dobrze. Choć nie miała pieniędzy i była pewna, że policja już zaczęła szukać zaginionego auta, myśl o tym, że po raz pierwszy w życiu robi coś właściwego, dawała jej radość. Dawno nie myślała o sobie w ten sposób. Do tej pory jej życie było jałowe i całkowicie pozbawione sensu. Wstawiała, jechała do klubu i ocierała się o pijanych gości. Inkasowała stówę lub dwie za numerek, obiecując sobie, że to ostatni raz. Następnego dnia wszystko zaczynało się od nowa. Ale teraz koniec z tym. Wreszcie zrobi coś nie dla siebie, ale dla niego. Kiedy podeszła do Erwina po raz pierwszy i zażądała zegarka w zastaw za informacje, to nie był przypadek. Gdy wszedł do klubu, już na niego czekała. Zauważyła go od razu. Może nie wyglądał tak samo, jak na zdjęciu sprzed dziesięciu lat, które musiało być jego zdjęciem do dowodu osobistego lub paszportu, ale niewiele się zmienił. Przybyło mu mięśni, a jego twarz spoważniała, nie miała jednak wątpliwości, że to właśnie on. Zagaiła jak zwykle, a on w to wszedł. Była na swoim terenie i miała nad nim przewagę. To nie był jego świat. Lasery, dudniąca muzyka i setki wyuzdanych dziewczyn. Podeszła do niego i zrobiła, co do niej należało. Dał się wkręcić i oszukać jak dziecko.

To, że jeszcze tej samej nocy gładko wylądowała w mieszkaniu Izabeli, było drugim aktem scenariusza. Miała go na oku, znała każdy jego ruch i zamiar, wystarczyło, żeby zaufała jej na tyle, żeby zacząć mówić. Potem meldowała komu trzeba, że wszystko idzie zgodnie z planem i że Erwin nie zamierza odpuścić. O to chodziło. Niczego się nie domyślał, przecież działała perfekcyjnie. To była jej oskarowa rola. A właściwie rólka, bo nie wiedziała, po co to robi ani jaki jest ostateczny cel tej zabawy w ciuciubabkę. Dostała okrojony scenariusz, miała tylko obserwować i relacjonować na bieżąco. I o nic nie pytać. Za dobrze wykonaną fuchę dostała godziwą dolę. Pieniądzy starczyło na zieloną sukienkę i spłatę długu za spanie kątem przez kilka miesięcy w mieszkaniu wynajmowanym przez Roxy. Gdy Roxy zabrakło, mogła liczyć co najwyżej na nockę spędzoną w pomieszczeniu służbowym Panoramy lub ulokować się na Ptasiej na dobre. Grunt był wyrobiony, wystarczyło pociągnąć tę farsę dalej. Upiekła dwie pieczenie na jednym ogniu, po mistrzowsku realizując swój plan. Zlecenie, choć nietypowe, dało jej zastrzyk gotówki i dach nad głową. Wtedy tylko to było ważne. Gdy się spotkają, opowie mu wszystko, wyjaśni. Nawet jeśli Erwin odsunie się od niej i uzna, że nie chce jej więcej widzieć, nie będzie miała mu tego za złe. Ważne, że zrobi dla niego to, czego nie zdołała zrobić dla Roxy.

Sońka otarła wilgotne oczy.

Powinna już wracać do środka. Od siedzenia na masce samochodu jeszcze nikt nikomu nie pomógł.

Wypluła zżutą gumę i zeskoczyła na żwirowy podjazd. Właśnie poprawiała zagiętą od siedzenia sukienkę, kiedy oślepił ją samochód nadjeżdżający od strony Warszawy. Wydawało jej się, że kierowca zwolnił, gdy mijał motel. Pewnie szukał miejsca na odpoczynek, tak jak ona. Kilka sekund później usłyszała pisk opon, zaledwie kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym



się znajdowała. Zaciekawiona wyszła na szosę. Ostre światło przydrożnej latarni zmusiło ją do zmruczenia oczu.

Auto, które minęło motel, stało na poboczu z wyłączonymi reflektorami. Ktoś zabłądził, pomyślała, bez dobrego GPS łatwo zgubić drogę.

Zapowiadała się chłodna noc. Sońka potarła ramiona i nie oglądając się za siebie, skierowała się ku wejściu do motelu.

\* \* \*

Znów recepcja. Erwin siedł cicho, świadomy, że byle głośniejsze stąpienie może przywołać do holu Lidię lub dyrektora.

Hotel spał. Zamknięte drzwi uniemożliwiały wejście do budynku komukolwiek z zewnątrz. Ostatnia taka noc, zanim wpadną tu wczasowicze ze swoimi walizkami, piškami plażowymi i dzieciakami.

Rozejrzał się uważnie, czy na pewno nikt nie kręci się po parterze. Wyglądało na to, że może bezpiecznie podejść do hotelowego komputera stojącego w recepcji.

Nacisnął enter i poczekał, aż pojawi się ekran główny. Po ułamku sekundy na monitorze pokazała się tapeta z przesadnie podrasowanym zdjęciem hotelu.

Ekran wyrzucił dziesięciodziankowe miejsce na wpisanie hasła. Erwin strzelił palcami i zaczął wstukiwać to, co przyszło mu do głowy. Musiał chociaż spróbować.

Staresady  
Taltylakes  
0123456789  
Qwertuyuiop  
Adminadmin  
Qazwsxedc  
Witajwraju  
Passwordxx

Na ekranie niezmiennie widniało okienko żądające hasła dostępu. Nie da rady. Gdyby miał pod ręką Palacza, może nie byłoby to tak cholernie trudne.

Zaczął przetrząsać półki pod ladą. Nie ma siły, żeby dziewczyna nie zapisała sobie gdzieś hasła. Wszystkie zapisują. Na żółtych karteczkach, które przylepiają do szuflad lub noszą w swoich kalendarzykach, z których nigdy potem nie korzystają, albo w portfelu.

Mógł co najwyżej rzucić okiem na zwiniętą brudną ścierkę do przecierania mebli i spray do włosów, chyba lakier. I jeszcze nóż z cienkim ostrzem do otwierania poczty.

Wziął nóż do ręki. Był niczego sobie, srebrny z grawerowaną rękojeścią. Pewnie prezent. Przecież nikt nie kupuje nożyków do listów ot tak, z potrzeby. Lidia musiała rzadko z niego korzystać, a z domu wyniosła go tylko dlatego, żeby zrobić przyjemność matce czy bratu. Że niby przyda się w pracy w recepcji. Erwin sam miał w swoim mieszkaniu pudło z rzeczami potrzebnymi do niczego i równie dobrze mógłby wysłać je w kosmos, żeby jego przyciski do papieru lub poradnik *Z diety ogórkową na ty* orbitowały wokół Ziemi tuż obok kosmicznej sondy namierzającej huragany.

Musiał zapalić.

Drzwi ewakuacyjne na tyłach hotelu otwierały się tylko w jedną stronę. Erwin nacisnął metalowe ramię. Dobrze nasmarowane zawiasy nie wydały z siebie najmniejszego zgrzytu. Między framugę a skrzydło drzwi wsunął pustą skrzynkę po warzywach i sprawdził, czy nie ma zamontowanej kontrolki odliczającej czas, w którym drzwi pozostają niezamknięte. Nienawidził tych kontrolek. W jego wynajmowanym biurze w Hamburgu wyły jak alarm na tonącym Titaniku już po minucie od otwarcia.

Nie zauważył żadnego dodatkowego czujnika, ale odczekał standardowych sześćdziesiąt sekund. Nic się nie działo. Jedynie zamontowany dwadzieścia kroków dalej tranzystor buczał monotonnie.

Erwin odwrócił twarz ku ciemnemu niebu. Osiadła na niej mgiełka rozrzedzonego deszczu. Ledwie wyczuwalna, ale chłodziła rozgrzane nocną szarpaniną policzki. Wciąż miał przed oczami ścianę za łóżkiem. Po co zmieniono wykładzinę, zasłony i pomalowano pokój? Generalny remont hotelu zaledwie kilka lat po jego otwarciu nie jest czymś zwyczajnym. Wymiana mebli też musiała kosztować. Nikt ze zdrowym rozsądkiem nie wyrzuca grubych tysięcy w błoto. Chyba że ma w tym swój cel. Tylko jaki cel mógł mieć Raj?

Szedł przed siebie, aż dotarł do zejścia nad jezioro. Nad Tałtami unosiła się ledwie widoczna mgła. Woda parowała, zamieniając się w mikroskopijne drobinki oparu, który rozciągał się od linii lasu aż po drugi brzeg jeziora. Przycumowane łódki i rowery wodne stały nieruchomo, nieporuszone najmniejszą falą. Wokół pomostu panowała martwa cisza.

Wszedł na deski pomostu i usiadł na ławce. Była mokra od mgły, ale nawet tego nie zauważył. Myślał o czymś innym. O tym, że wtedy też tak było. Ich szóstka i drzemiące nad jeziorem drzewa. Gdy ucichły krzyki dziewczyn, a ziemia przykryła ciało Wiktora, cały świat wstrzymał oddech. Kiedy odchodził od płonącego ogniska, słyszał tylko bicie własnego serca, tak jak teraz. I choć minęło dziesięć lat, wciąż czuł zapach palonych drewn i nasiąkniętych wilgocią liści.

Bibuła papierosa spaliła się do filtra. Pstryknął vincestera w ciemną toń wody i skrył twarz w dłoniach. Tam na prawo, gdzie jezioro łamało się pod kątem i zmieniało kierunek, zostawił go, swojego najlepszego przyjaciela. Wszyscy go zostawili. Uznany za zaginionego, został

pogrzebany przy plaży. Rodzina nie dała mu w pożegnalnym prezencie porządnego pogrzebu. Nawet łańcuszek z drzewa zniknął. Nie zostało po Wiktorze nic prócz ugniecionej grudy ziemi.

Sumienie to cholernie dziwna rzecz. Potrafi wbić zęby głęboko i sunąć nimi po kościach, nie bacząc na zadawany ból. Podobnie jak wsunięty w tylną kieszeń dżinsów nożyk do papieru, który przebił materiał i wbił się w skórę na pośladku Erwina.

Kłódka stawiała opór. Trzeba było tak nacelować ostrze, żeby zamknięcie puściło i nie ukruszyło przy tym jego czubka.

Wewnątrz baraku wciąż paliło się światło. Alarm postawił wszystkich na nogi, musiał przegnać i Bejsbolistę. Wybiegł ratować syna i zatrzasnął za sobą drzwi, zapominając o zgaszeniu żarówki. Tym lepiej. Przez cienkie szpary metalowych paneli przenikały wąskie smugi światła, ułatwiając gmeranie w zamku.

Po krótkiej szarpaninie Erwin wysunął kłódkę ze skobla i otworzył drzwi. Pod jedną ze ścian stały leżaki gotowe do wystawienia na mikrej plaży lub pomoście. O drugą opierały się dwa górskie rowery. Pod nogami stała pusta puszka po farbie, na półce w słoiku moczył się pędzel. W głębi leżało kilka materaców z wyraźnymi plamami po niegrzecznych imprezach poprzednich urlopowiczów. Tuż obok nich wisiąco na hakach sześć wioseł. Pośrodku stał niewielki stół do napraw z umocowanym imadłem. W metalowej skrzynce leżały dłuta, obcęgi i wiertła. Pudełko po maśle wypełnione było różnej długości gwoździami i śrubami. Z niedokładnie zakręconych baniaków z benzyną do motorówki unosił się duszący odór.

O ścianę na wprost wejścia opierał się stół do gry w piłkarzyki. Postawiony na boku wyglądał, jakby zamiast figurek futbolistów ktoś w pijanym widzie powtykał w zieloną płytę murawy biało-czarne bolce z telewizyjnego koła fortuny. Stół miał odkręcone nogi, które leżały tuż pod nim, związane ściśle konopnym sznurkiem. Po sąsiedzku piętrzył się zwinięty gumowy szlauch do podlewania trawników. Był oblepiony resztkami trawy i piaskiem.

Erwin zamknął za sobą drzwi i stanął pośrodku rupieciarni. Na pierwszy rzut oka nie dojrzał nic ciekawego. Same bambetle, jakie zwykle chowa się po kątach, żeby mieć je pod ręką, ale nie na widoku. Typowy schowek. Niektóre kłopoty przykryte były przezroczystą folią chroniącą przed wilgocią, inne zostały pozostawione same sobie. Barak przypominał stary garaż, który zasiedlili wspólnie z kumplami, kiedy Erwin był jeszcze w liceum. Właścicielem był kierowca ciężarówki, którego dopadł udar. Kierowca nie trzymał się życia zbyt długo, zawinął się po dwóch tygodniach. Gdy zniknęła klepsydra z drzwi klatki, w której mieszkał, obserwowali, czy ktoś z rodziny nie przypomni sobie o garażu, ale na ich szczęście nic takiego się nie stało. Zorganizowali sobie kilka pniaków, żeby mieć na czym posadzić piszczące dziewczyny, i wnieśli sprzęt do grania. Lichej jakości perkusję, jeden mikrofon i przedłużacze do dwóch elektrycznych gitar. Nazwali swój zespół Greenwater. Świat miał umrzeć z zachwyty nad ich

rockową płytą. Pierwszy szlagier jakimś cudem ominął listę przebojów. Drugi nawet nie wyszedł z garażu. Ściany z falistej blachy nigdy nie usłyszały pisku dziewczyn.

Erwin zatrzymał wzrok na stole z piłkarzykami. Gdy wróci do Hamburga, kupi Karlowi podobny. On nigdy takiego nie miał, w domu, w którym dorastał, nie było na to pieniędzy.

Uśmiechnął się smutno na myśl o synu. Karl nie był w wieku, w którym jakoś szczególnie odczuwa się brak ojca przez zaledwie kilka dni, ale on sam miał z tym problem. Nie pożegnał się z nim ani nie wytłumaczył, dlaczego zniknie na jakiś czas. Do Simone wolał już nie dzwonić. Nie podałyby chłopcu słuchawki. Gdy to wszystko się skończy, może uda mu się poskładać życie do kupy, o ile będzie jeszcze co składać.

Podszedł do planszy z piłkarzykami i przykucnął przy polu karnym drużyny niebieskich. Poruszył jedną z prowadnic. Chodziła lekko. Obrońca zrobił salto do tyłu i wrócił na swoje miejsce. Erwin pociągnął za kolejną szynę. Nawet nie drgnęła, zablokowana czymś, o co opierała się plansza. Podniósł się i odchylił drewniane boisko, odsuwając je od ściany. Koniec metalowej szyny z osadzonymi na niej ludzikami zaklinował się w rozdartym hotelowym prześcieradle.

Erwin pociągnął za materiał, próbując wyswobodzić końcówkę prowadnicy. Tkanina posłusznie poszła w górę i odsłoniła kawałek drewnianej listewki. Kiedy zwinięty gałgan prześcieradła odsłonił całość, mężczyzna poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

Miał przed sobą obraz. Ten sam, który widział na zdjęciu Izzy. Smętne słoneczniki van Gogha zanurzone w żółtawym wazonie. W prawym górnym rogu widoczne były wyraźne ślady rozmazanej krwi.

– Co pan tu robi?! – usłyszał za sobą głos, który poznał już kilka godzin temu.

Człowiek w bejsbolówce wszedł niepostrzeżenie do baraku. Trzymał w ręku zgaszoną latarkę i celował nią prosto w głowę Erwina. Ten rzucił prześcieradło pod nogi i odsunął latarkę sprzed oczu.

– Powiedzmy, że nie lubię, gdy marnuje się światło. Mama nauczyła mnie, żeby gasić, jak się wychodzi.

– Żartowniś z pana.

– Staram się. Humor to podstawa budowania dobrych relacji.

Wzrok Bejsbolisty przesunął się z pokerowej twarzy Erwina na obraz pod ścianą.

– Gościom nie wolno tu wchodzić. Nie widział pan tabliczki na drzwiach?

– Widziałem. Podobnie jak widziałem plamy krwi na obrazie. Z tego, co wiem, od machania pędzlem jeszcze nikt się nie zranił.

– Nie twoja sprawa. – Mężczyzna zrobił krok naprzód. – Zabieraj się stąd i więcej się tu nie pokazuj.

– Czyja to krew? Nie powiesz mi chyba, że to zwykła farba?!

Warga Bejsbolisty zaczęła niebezpiecznie drgać.

– Dobrze ci radzę, zabierz stąd swój tyłek i...

– Już to robię. Ale wcześniej zadzwonię w pewne miejsce. Policję z pewnością zainteresuje, skąd wzięła się krew w hotelowym baraku.

Opadająca ręka z latarką śmignęła koło jego głowy. Złapał ją w powietrzu i zacisnął palce na przegubie Bejsbolisty.

– Kto ci kazał podmienić obrazy? – Erwin przywarł do sportowej bluzy na tyle blisko, że poczuł utrzymujący się we włóknach zapach farby do malowania pomostu.

Mężczyzna szarpnął ramieniem. Niedźwiedzi zacisk Erwina trzymał jednak mocno. Spróbował ponownie, nacierając całym ciałem na przeciwnika. Ten uchylił się w ostatniej chwili przed twardym daszkiem sportowej czapki, która o mały włos, a zaorałaby mu szyję.

– Kto zdjął *Słoneczniki*?! – huknął Cis i pchnął Bejsbolistę na ścianę. Metal zatrzęsł się od naporu osiemdziesięciu kilogramów i jęknął swym blaszanym głosem. Erwin wciąż nie odrywał od niego rąk, bojąc się, że mu się wyslizgnie i wymknie z baraku.

– Od razu wiedziałem, że będę z tobą kłopoty! – wymamrotał mężczyzna i oblizał oślinione usta. – Że będziesz węszyć i wsadzać nos tam, gdzie nie powinieneś. Proszę bardzo! Węsz i szukaj, ile wlezie! Niczego nie znajdziesz i niczego się nie dowiesz, głupi szczeniaku! Splunął pod nogi i wyszczerzył zęby. – Ten obrazek możesz sobie powiesić nad łóżkiem, skoro tak cię ciekawi. Będziesz zasypiał, kombinując co i jak.

– Była tu przed śmiercią, prawda? – Erwin nie odpuszczał. Czuł na swojej klatce piersiowej przyspieszony, nierówny oddech astmatyka. – Gadaj, do cholery, była tu?!

Oddech zamienił się w szyderczy rechot.

– Kto? Zaginiona w lesie królowna?

– Dziewczyna, trzydzieści trzy lata, blondynka. Szczupła, metr siedemdziesiąt. Przyjechała czerwoną hondą. Mieszkała w pokoju numer dwanaście. – Erwin wyrzucał z siebie hasła, jakby liczba słów na minutę miała przynieść mu wygraną w tej nierównej grze.

– Nikogo tu nie było. Hotel był zamknięty aż do teraz. Puść, do diabła!

– Spała w pokoju z tym obrazem na ścianie! – Erwin nie ustępował. – Gadaj, do cholery!

Znów rozległ się śmiech przypominający wycie hieny.

– Pomarzyć dobra rzecz! Blondynka i słoneczniki! Opróżniłeś barek do końca, synu, i masz paranoję. – Facet poczuł, jak ucisk na nadgarstku słabnie. – A teraz posłuchaj. Udajmy, że cię tu nie było. Nie włamałeś się do magazynku i nie wykręciłeś mi ręki. Ja wyświadczę ci przysługę i nie wezwę policji, o którą tak bardzo się dopominasz, a ty, w ramach naszego cichego porozumienia, znikniesz stąd z samego rana. Rozumiemy się?

Erwin wciąż trzymał Bejsbolistę za rękaw. Przyciągnął go do siebie na tyle blisko, żeby jego prawe ucho nie uroniło ani jednego słowa.

– Widzisz, dobry człowieku, nie bardzo. Zwykle jestem subtelny i nie nadużywam brzydkich wyrazów, bo życie wychowało mnie na porządnego człowieka, ale w dupie mam twoje porozumienie. Rozumiesz? I nie ruszę się stąd mimo twojej szczerzej propozycji.

– Posłuchaj mnie, gnojku...

– To ty mnie posłuchaj! Nie wiem, co tu się dzieje, ale tak łatwo się mnie stąd nie pozbędziesz. Ani ty, ani dyrektor tego niegościnnego hotelu. Dlatego proponuję inny układ. Ty zajmiesz się pompowaniem materacy i układaniem kaczek do snu, a ja będę robił swoje. W przeciwnym razie van Gogh z plamami krwi odjedzie stąd jeszcze tej nocy w towarzystwie nieskorych do żartów chłopców w mundurach. Czy wyraziłem się jasno?

Puścił rękę Bejsbolisty dopiero wtedy, gdy ten kiwnął głową. Bez przekonania, ale jednak.

Mężczyzna roztarł bolący przegub i spojrzął spod daszka czapki.

– I tak nic tu nie ugrasz. Wyjedziesz stąd z tym, z czym przyjechałeś. Rozczarowanie bywa gorzkie, jeszcze się o tym przekonasz. Ale skoro tak bardzo chcesz się bawić w ciuciubabkę, nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć ci udanej zabawy.

Bejsbolista precyzyjnie przesunął się między blaszaną ścianą a stołem z imadłem i pchnął z impetem drzwi. Erwin widział, jak grzęźnie w rozmoczonym piachu. Kiedy wszedł na trawiastą ścieżkę, przystanął na chwilę i rozmasował obolały przegub dłoni. Obejrzał się jeszcze za siebie, na otwarte drzwi schowka i stojącego w nich mężczyznę, po czym bez słowa zniknął między drzewami.

Erwin został nad jeziorem sam, nie licząc stojących na wodzie łódek, plażowych leżaków i obrazu van Gogha z przywiedłymi słonecznikami pobrudzonymi rozmazaną krwią.

\* \* \*

Helena Wirska jak co rano zaparzyła kawę i otworzyła okno, aby wciągnąć w płuca rześkie powietrze. O tej porze dnia Żoliborz pachniał świeżością. Było czym oddychać. Uliczny smog oszczędzał szeregówki ustawione przy Jelinka, koncentrując się na głównych arteriach dzielnicy, odsuniętych od przydomowych ogródków i osiedlowych uliczek.

Tej nocy spała mocno i spokojnie, mimo że spędziła ją samotnie. A może właśnie dlatego. Co jakiś czas zostawała bez męża, więc zdołała przywyknąć. Zwykle kobiety obawiają się pustych ścian i wolą, żeby ktoś im towarzyszył po zmroku, ale ona nie miała takich potrzeb.

Wyjęła z lodówki mleko i podgrzała je w małej filiżance w mikrofalówce.

Poranek był jak marzenie. Spokój i sącząca się w tle płyta z przebojami z młodości. Przy *Żółtych kalendarzach* zawirowała w podomce, nie bacząc na to, że trzymany w ręku kubek z kawą niebezpiecznie się przechylił i kilka kropel spadło na posadzkę. Taniec sprawiał jej

radość, ale tym razem szybko powstrzymała się od kolejnych płasów. Choć potrzebowała tego od tak dawna, to od dnia, w którym odeszła Izabela, nie śpiewała ani nie tańczyła. Całkowicie przestała słuchać muzyki, bo kojarzyła się jej z córką i jej spontanicznym uderzeniem w struny gitary. Wszystko, co nie było okryte żałobą, uważała za niestosowne.

Na przekór złym wspomnieniom zapragnęła, by ten dzień potoczył się inaczej. Może nadal bez tańców, ale mimo to inaczej. I wszystko wydawało się jej sprzyjać. Wstała bez pośpiechu. Śniadanie zrobiła tylko dla siebie, wzięła nawet prysznic, co zwykła czynić wieczorami. Nie musiała ani razu odpowiadać na zaczepki męża ani robić niczego wbrew własnej woli. Muzyka z lat jej młodości sączyła się cicho, niezakłócana przez wyciszony telewizor, który nadawał poranne wiadomości.

Kobieta usiadła wygodnie w fotelu i postawiła na stoliku filiżankę z kawą. Wzięła do ręki kolorowy tygodnik. Zatopiwszy się w lekturze, całkowicie oderwała się od newsów płynących ze szklanego okienka. Na ekranie pokazywano mały motel, który znajdował się przy trasie biegnącej na Mazury. Wokół pełno było policyjnych wozów. Motel został odgradzony od asfaltówki białą-niebieską taśmą z napisem „Policja, nie wchodzić”, a pod lasem rozstawiono biały parawan.

Nie widziała tego wszystkiego. Nie mogła również przeczytać napisów wyświetlanych na przesuwającym się pasku w dole ekranu. Były pozbawione emocji i wplecione między inne informacje.

*Na trawiastych kortach Wimbledonu turniej wielkoszlemowy rozpocznie się już dwudziestego dziewiątego czerwca. Na trasie nr 61 znaleziono zwłoki młodej dziewczyny, technicy badają ślady na miejscu zdarzenia. Na Pomorzu temperatura sięgnie trzydziestu stopni w skali Celsjusza...*

Helena Wirska dopiła kawę i odłożyła gazetę. W telewizji rozpoczynała się debata na temat wyboru nowego marszałka sejmu, co nie wzbudziło jej zainteresowania. Sięgnęła po pilota i wyłączyła odbiornik, po czym przełączyła płytę na *To, co dał nam los*.

\* \* \*

Ranek zastał Erwina siedzącego na krześle w hotelowym pokoju i wpatrującego się w pozrywane panele i wybebeszone gniazdko, z którego wystawały dwa druty.

To wszystko było jak zły sen. Informacja o śmierci Izabeli, żółta koperta przekazana przez mecenasa Nawrockiego, mieszkanie na Ptasiej z salą operacyjną za ścianą i wstrząsający film z krematorium. Kadry z blondynką odrzucającą włosy znajomym gestem, suwnice pod trumną i zamykający się za nią właz spalarni. Potem nocne kluby i dziewczyny o dziwnych imionach. A teraz to miejsce. Obce, ale przez obecność Izzy nieco oswojone. Była tu, a przynajmniej

wszystko na to wskazywało. Chciał tak myśleć i czuć. Bez tego jego przyjazd do Starych Sądów okazałby się zaledwie letnią wycieczką za miasto.

Musiał sprawdzić jeszcze jedno. Kiedy zamieszkał w pokoju obok, nawet tego nie zauważył, ale teraz to coś nie dawało mu spokoju. Podszedł do ściany za łóżkiem i stanął przed grafiką. Na sztuce nowoczesnej znał się jak Stevie Wonder na odmianach błękitu, więc zinterpretował zamysł autora jako splątane ze sobą dwa zwierzęta, których ciała nie wiadomo gdzie się zaczynały, a gdzie kończyły. Nazwisko rysownika napisane było dużymi literami, ale pozostało mało czytelne. Widoczny był za to drukowany napis umieszczony w dolnym rogu obrazka: Nowe Sady 2015.

Erwin wycelował komórką w grafikę i zrobił zdjęcie. Sprawdził, czy wyszło na tyle ostre, żeby Palacz nie miał problemu z jego odczytaniem. Wypróbowanym już zwyczajem do wysyłanej wiadomości dodał krótkie: *autor, szybko*.

Postanowił przejść się po ośrodku. Słońce zaczynało niemiłosiernie piec, mimo że była dopiero dziewiąta rano. Nie miał nic przeciwko globalnemu ociepleniu, o ile pod ręką była butelka ze schłodzoną wodą, dlatego najpierw zaszedł do restauracji.

Stoliki z białymi obrusami były gotowe na przyjęcie pierwszych gości. Pośrodku każdego z nich stał przezroczysty flakon na cienkiej nóżce, a w nim przechylała się pojedyncza gerbera. Sala wydała mu się zbyt duża jak na dwanaście hotelowych pokoi, ale na jej końcu zobaczył drewnianą podłogę do tańca. Teraz metrażowo wszystko się zgadzało.

Za barem nie było nikogo, zza wahadłowych drzwi prowadzących do kuchni dobiegały okrzyki kucharek i stukot garnków.

Pachniało jedzeniem. Poza wczorajszymi orzeszkami z minibarku Erwin nie widział nic, co przypominałoby pokarm. Żołądek zawtórował upadającej na podłogę przykrywce. Erwin podszedł do drzwi rodem z westernu i uchylił skrzydło.

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Trzy kobiety, w tym żona Bejsbolisty, uwijały się przy kuchennym stole odwrócone do niego plecami. Pod oknem, wciśnięty obok olbrzymiego kredensu na zastawę stołową, siedział chłopak, którego Erwin widział poprzedniego wieczoru przed hotelem. Syn strażnika blaszanego magazynku miał na sobie to samo ubranie co wczoraj – dzinsy i błękitny podkoszulek z naciągniętym na plecy swetrem w kolorze dojrzałej wiśni. Schowany za barierą z szafy bawił się kostką Rubika, zaciekle przekręcając kolorowe kwadraty w lewo i prawo. W żółtej ścianie wciąż brakowało jednego fragmentu. Chłopak poobracał piony i poziomy, po czym z rezygnacją opuścił kostkę na kolana i wydał wargi.

Nie zauważył, kiedy Erwin znalazł się tuż obok i przykucnął przy jego wózku inwalidzkim.

– Ciii... – Erwin położył palec na ustach. – Pokażę ci, jak to zrobić. Chcesz?

Chłopiec poprawił okulary, które zsunęły mu się niemal na czubek nosa. Następnie bez słowa



położył kostkę na dłoni Erwina i oparł łokieć o poręcz wózka. Na dłoni spoczął wychudzony policzek, jeszcze bez śladu młodzieńczego zarostu. Dzieciak w ciszy obserwował, jak człowiek z zalanego pokoju podrzuca kostkę i łapie ją w powietrzu. Ze smutkiem w oczach spojrzał na swoje nie do końca sprawne nogi i ręce. Rdzeniowy niedowład kończyn powodujący spadek siły mięśni był trudnym przeciwnikiem mimo regularnie powtarzanych ćwiczeń.

Erwin dopiero teraz zwrócił uwagę na jego stopy pozbawione butów. Chłopak siedział w czerwonych skarpetach, których noski wypychał nad wyraz długimi paluchami. Zauważył, że Erwin przygląda się jego stopom.

– To przez mamę – pośpieszył z wyjaśnieniem. – Po ćwiczeniach chce, żeby mi nogi odpoczywały. Zwłaszcza jeśli jest gorąco, tak jak dziś. Równo rok temu były tylko dwadzieścia dwa stopnie. Ale teraz jest prawdziwy upał. Taki sam odnotowano w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym, a potem w pięćdziesiątym dziewiątym. W dziewięćdziesiątym czwartym też nie było łatwo. Temperatura przekroczyła czterdzieści stopni. Ale naj, najgorzej było w Legnicy w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim.

– Uff... dobrze, że nas tam wtedy nie było. – Erwin znacząco poprawił podkoszulek pod szyją.

– To jeszcze nic! – Chłopak w podnieceniu wytrzeszczył oczy. – Światowy rekord ciepła padł na pustyni Lut w dwa tysiące piątym. Siedemdziesiąt i siedem dziesiątych stopnia!

Erwin patrzył z rozbawieniem na płonące policzki chłopaka. Wyglądał, jakby osobiście wrócił z podróży na irańskie piaski.

– Dużo czytasz – powiedział Erwin z podziwem w głosie. Upewnił się przy tym, że jego plecy nie wystają zza szafy.

– Nie mam wyjścia. W piłkę raczej z chłopakami nie pogram. Pozostają książki i telewizja. No i to. – Chłopak uniósł dłoń z kostką Rubika. – Dostałem wczoraj po południu i chciałem spróbować po kolacji co i jak. Ale zaczął się alarm w hotelu i potem zrobiło się już zbyt późno.

Erwin poczuł się jak pies z internetowego filmiku *Kto to zrobił?* Mentalnie zamienił się w jamnika siedzącego pośrodku rozprutej kanapy i udającego, że to nie jego robota. Z godnością wypłuł z gardła ostatni kawałek gąbki z materaca.

– Najpierw musisz ułożyć krzyż w jednym kolorze – powiedział atlasowym głosem i palcem narysował na kostce znak krzyża. Wpatrywał się w nią przy tym tak, jakby nagle przeobraziła się w największy brylant świata.

– Jaki?

– Obojętnie. Może być biały. Musisz zapamiętać, jakie kolory mają poszczególne centra ścianek. To ważne.

– Uhm.

– Teraz trzeba przekreślić całą górę, widzisz? Potem przesuwasz środek.

- Popsuł się biały krzyż. – Chłopak poruszył się niespokojnie na wózku. – Zniknął.
- Tylko na chwilę. Za to pomarańczowe kostki ustawiły się w rzędzie. I dwie zielone.

Chłopak potarł oczy.

- Nie wiem, czy to wszystko zapamiętam.
- Spróbuj. Będę ci pokazywał co i jak.

Niespełna dziesięć minut później sześć ścian wyglądało jak spełnione marzenie malarza-purysty.

Chłopak wyszczerzył zęby w zadowoleniu i wystawił dłoń do przybicia piątki.

- Udało się! – Zakołysał się całym ciałem tak, że koła zachwiały się pod nim niebezpiecznie.
- Prawie ci nie pomagałem, masz głowę do algorytmów.

Dzieciak z zadowoleniem kiwnął głową i znów poprawił oprawki na nosie.

- Nie wiem, co to są algorytmy.
- Nie szkodzi, dowiesz się w swoim czasie. Ważne, że masz świetną pamięć i myślisz logicznie. To ci w życiu wystarczy.

Żołądek Erwina ponownie zawył z głodu. Dołączył do niego skurcz tak bolesny, jakby od jego ścianek odbijało się dwóch walczących zawodników MMA.

W kieszeni spodni zawibrował telefon. Numer był nieznany. Erwin podniósł się i trzymając w ręku komórkę, wyszedł z kuchni bocznym wyjściem, zostawiając za sobą huk tłuczonego przez kobiety mięsa na dzisiejszy obiad.

Stanął na schodach wejściowych do hotelu i odebrał połączenie. Z pierwszego niewyraźnie wypowiedzianego zdania zrozumiał tylko jedno słowo: policja. Zrobił kilka kroków, szukając lepszego zasięgu.

– Niech pan powtórzy – powiedział, starając się zachować spokój, ale rozmówca wciąż wyrzucał z siebie potok słów nieprzerwywanych ani jednym przecinkiem.

– Czy jest pan właścicielem numeru 49 557 119 001... – usłyszał wreszcie, gdy zasięg stał się na tyle dobry, by móc rozróżnić wpadające do ucha wyrazy.

– Tak. – Erwin przerwał mu w pół słowa. – O co chodzi?

– Pana nazwisko?

– Erwin Cis.

– Czy zna pan niejaką Wieczorek, panie Cis?

– Nie.

– Niech się pan zastanowi.

– Już się zastanowiłem.

Chrząknięcie w słuchawce było zamierzone. Przeciągnięto je do granic możliwości, a w związku z tym znaczyło o wiele więcej niż zwykłe zadławienie się śliną.

– Jesteśmy w posiadaniu telefonu pani Wieczorek. W spisie z kontaktami jest pana numer.

W ciągu ostatniej doby trzykrotnie próbowała się do pana dodzwonić. Ostatnie połączenie wykonano wczoraj o dwudziestej trzeciej czterdzieści siedem.

– Czterdzieści siedem? – Erwin pokiwał głową w iście filmowym stylu. – Wciąż nie wiem, o kogo chodzi. Z nikim nie rozmawiałem o tej porze.

– Tu akurat ma pan rację. Połączenie trwało zero sekund. Nie odebrał pan tego telefonu.

Erwin rozłożył bezradnie wolną rękę. Za jego plecami zaczął się ruch. Ktoś ciągle wnosił coś do hotelowego holu, a potem z niego wynosił. Odszedł kilka kroków w kierunku zejścia do jeziora i zatrzymał się na skraju opadającej w dół ścieżki.

– Gdzie pan teraz przebywa, panie Cis?

– Powiecie wreszcie, o co chodzi? – Erwin podniósł z ziemi kamień i wycelował nim w najbliższe drzewo. Kamień odbił się od pnia i poleciał w kłębowisko pokrzyw. – Powtarzam, że nie znam żadnej Wieczorek, i nie rozumiem, co chcecie ode mnie usłyszeć.

– Czy jest pan na terenie Polski?

Erwin obrócił się przez ramię i spojrzał na uchylone okno w swoim pokoju, a potem na trawnik, który nie przypominał już wczorajszego zarośniętego chwastami zagonu, ale równiutko przystrzyżony, zielony kobierzec.

– Owszem. Korzystam z uroków naszego kraju.

– Gdzie dokładnie?

Erwin podał adres. Przeciąganie tej rozmowy zaczynało go nużyć.

– A ta Wieczorek? Też z wami przyjedzie? – Spytał na wszelki wypadek, gdyby przyszło mu stanąć oko w oko z osobą, o której istnieniu nie miał pojęcia.

– Nie, panie Cis. Sonia Wieczorek nie żyje. Dziś nad ranem znaleziono jej zwłoki. Została zamordowana. Na ten moment tylko tyle mogę panu powiedzieć.

Czuł się dziwnie. Idiotycznie. Nie mógł uwierzyć, że dziewczyna, której nigdy nie zapytał o nazwisko, a z którą przez chwilę połączyło go coś więcej niż zwykła znajomość, nie żyje. To było tak absurdalne, że aż nierzeczywiste. Sonia Wieczorek. Nastoletni trzpiot ze swoimi problemami i nieodłącznymi plastrami na stopach. Żyła intensywnie, ale krótko. Wpadła w jego życie jak kamień wrzucony przez okno. Niespodziewanie i z hukiem. Z początku wziął ją za małą cwaniarę, która próbuje zrobić go na kasę. Było jasne, że chciała coś dla siebie ugrać. Choćby dach nad głową. Przychodziła na Ptasia niezapowiedziana, by za chwilę zniknąć nie wiadomo gdzie i nie wiadomo z kim. Ale zawsze wracała. Ich światy różniło wszystko, przynajmniej on tak to widział. Jednak z biegiem czasu przestał traktować ją jak gumę do żucia, która przykleja się do buta w najmniej oczekiwanym momencie. Była szalona, ale miała w sobie coś miękkiego, co pozwalało ją lubić. Na własne życzenie pogmatwała sobie życie, ale może kiedyś spotkałoby ją wreszcie coś dobrego. Przecież los bywa łaskawy nawet dla takich

dziewczyn jak ona. Nie zdąży się jednak o tym przekonać. Ktoś ją zlikwidował. Wczoraj w nocy, zaraz po tym, jak próbowała się do niego dodzwonić. Dołączyła do Roxy, Rubby i im podobnych.

Pomost wciąż był pusty. Erwin nie wiedział, jak długo siedział na ławce, patrząc w jeden punkt majaczący gdzieś na horyzoncie. Odkąd usłyszał o śmierci Sołki, czas nagle przestał istnieć.

Ocknął się z zamyślenia dopiero wtedy, gdy usłyszał za plecami ciche brzęczenie. Przypominało odgłos, jaki wydają z siebie zdalnie sterowane samochodziki. Nie chciał niczyjego towarzystwa. Wystarczała mu cisza i widok fal uderzających o brzeg jeziora. Brzęczenie za jego plecami wzmagало się jednak z każdą sekundą, po czym nagle ucichło.

– To ja – usłyszał znajomy głos. – Przeszkadzam?

Obejrzał się przez ramię. Na granicy między trawą a piaskiem siedział na swoim wózku syn Bejsbolisty. Trzymał rękę na dżojstiku, gotowy w każdej chwili zawrócić i zniknąć mu z oczu.

– Siedzi tu pan tak długo, więc pomyślałem, że przywiozę coś do jedzenia. Mam dwie kanapki i sok jabłkowy. Ale jeśli chce pan być sam, to odjadę.

Wciąż nie miał na nogach butów. Pocierał o siebie noskami czerwonych skarpet jak mucha odnóżami. Zbyt duże oprawki okularów tylko potęgowały to wrażenie.

– W takim razie odjadę. – Chłopak nacisnął dżojstik.

– Poczekaj. Coś wytrąciło mnie z równowagi.

Erwin gestem zaprosił go na pomost. Chłopak pokręcił głową.

– Koła nie przejadą przez piasek. Poza tym, akumulator niedługo padnie.

Trzeba było wstać z ławki i przepchnąć wózek przez kawałek plaży, aż do drewnianych desek pomostu. Erwin wykorzystał ten krótki odcinek drogi, aby wreszcie spytać dzieciaka o to, jak ma na imię. Na ogół mało interesowało go, jak nazywają się ludzie, których spotykał, a którzy za chwilę staną się jedynie wspomnieniem. Tak było z Sołką, której nazwiska nie znał aż do dzisiejszego poranka.

– Dominik Walaszek. – Chłopak całkiem silnie potrząsnął podaną ręką. – A pan?

– Erwin Cis. Nie musisz zwracać się do mnie na pan.

– Po prostu Erwin?

– Tak będzie lepiej. Bez zbędnej kurtuazji.

– Długo tu zostaniesz, Erwin?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Ty pewnie do jesieni? To całkiem niezłe miejsce na wakacje. Gdy byłem w twoim wieku, lubiłem jeziora, potem zresztą też. Dobrze jest posiedzieć na pomoście i popatrzeć na wodę.

– Rzadko tu bywam. – Dominik poruszył dżojstikiem i ustawił wózek przodem do jeziora. – Łatwiej mi jeździć po alejkach. Matka nigdy by mnie nie zostawiła samego na pomoście, zresztą

ojciec tak samo.

– Mają rację. – Erwin upewnił się, że hamulce wózka są zablokowane. – O nieszczęście nietrudno. Zresztą niedaleko stąd też zdarzył się wypadek.

– Uhm. – Chłopak rozdzielił kanapki i od razu rozwinął swoją. Zapach szynki był dla żołądka Erwina niczym zapach kobiety dla marynarza po rocznym rejsie. Jednak wieści o Sońce skutecznie zacisnęły jego gardło.

– Z tego, co słyszałem, to wydarzyło się w maju – dodał, patrząc, jak dzieciak wbija zęby w bułkę.

– Tak.

– Dajesz radę z kostką Rubika? – Erwin zagaił z innej strony.

– Jasna sprawa. To banalnie proste!

– Pokazałeś matce?

Dominik przełknął kawałek bułki i okrasił twarz uśmiechem.

– Pokazałem. Próbowala ustawić ścianki po swojemu, ale nie wyszło.

– Trzeba znać sposób. Szybko zapamiętałeś ruchy, mało kto ma tak dobrą pamięć. – Erwin pokiwał głową z uznaniem. – A tamten wypadek pamiętasz? To było niedaleko stąd. Dużo się o nim mówiło.

Chłopak zmarszczył nos i odgryzł kolejny kęs kanapki. Długo ruszał szczęką, zanim otworzył usta.

– To było tam, za lasem. – Wyciągnął rękę i machnął nią w powietrzu. – Zginęła młoda kobieta. Samochód wylądował na drzewie, a ona zmarła na miejscu. Nie miała szans. – Dominik otarł usta z rozmazanego masła. – Szkoda jej. Było dużo krwi, a asfalt był cały czarny od ślizgających się opon. To wyglądało naprawdę strasznie.

Serce Erwina stanęło tego ranka po raz kolejny.

– Co jeszcze słyszałeś?

Dominik popatrzył na Erwina z wyrzutem.

– Nie musiałem niczego słuchać.

– Jak to?

– Wracalem z ojcem z miasta, znaczy się z Mikołajek. Ojciec wozi mnie raz w miesiącu do lekarza, żeby sprawdzić, czy moje mięśnie nie słabną. Widziałem na własne oczy, jak przyjechała policja i straż pożarna, żeby pociąć blachę i wyciągnąć trupa z hondy.

Na dźwięk słowa „trup” Erwinowi zrobiło się zimno i gorąco zarazem. Z trudem opanował się, żeby nie jęknąć.

– Widziałeś ją? Tę martwą kobietę?

– Uhm. Blondynka z długimi włosami. Całe były we krwi.

Erwin zamknął na moment oczy.

– Na pewno ciężko ci było patrzeć na to wszystko.

Dominik poprawił się na wózku i zwinął w rękach papier po bułce.

– Takie widoki nigdy nie są przyjemne. Było mi jej szkoda. Dziwnie jest patrzeć na nieżywego człowieka.

Erwin odwrócił głowę. Chłopak nie mógł lepiej tego ująć. Kiedy on patrzył na zwłoki Wiktora, czuł, jakby sam dotykał śmierci.

– Zwłaszcza jeśli to był ktoś, kogo się znało – powiedział bardziej do siebie niż do siedzącego obok Dominika.

– Co mówisz, Erwin?

– Mówię, że szczególnie trudno jest przyglądać się zwłokom kogoś, kogo się znało.

– Pewnie tak. Ale ja nie wiem, jak to jest. Na szczęście nigdy nie widziałem zwłok kogoś znajomego.

To, że ludzka pamięć bywa zawodna, jest oczywiste. Jednak Erwin miał przed sobą bystrzaka z pamięcią wręcz genialną. Czyżby teraz go zawiodła?

– Ta kobieta... – zaczął Erwin, pilnując, by nie powiedzieć o niej „moja Izzy”. – Ona tu mieszkała, w tym hotelu. To jej samochód wypadł z zakrętu i uderzył w drzewo. Musiałeś widzieć ją wcześniej.

Dominik zmarszczył czoło.

– Kto ci tak powiedział, że tu mieszkała?

– Nie wiem, nie pamiętam. – Erwin wolał nie wprowadzać chłopca w szczegóły, które jego ojciec tak skrzętnie chciał zatuszować. – Jednak tak właśnie było. Mieszkała tu przez jakiś czas, może tydzień. To było niespełna dwa miesiące temu.

– To niemożliwe. Zapamiętałbym ją. Mam dobrą pamięć do twarzy, a w dniu wypadku miałem dużo czasu, żeby się jej przyjrzeć. Zanim policja ustawiła parawan, widać było wszystko. Widziałem jej twarz, jeszcze zanim strażacy pocięli blachę. Dziewczyna siedziała zapięta w pasach, głowę miała odrzuconą do tyłu, lekko przekrzywioną w stronę okna. Miała wciąż otwarte oczy. I usta też były otwarte. Ojciec powiedział, żebym nie patrzył, bo to zbyt straszne, ale ja byłem ciekawy. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego wypadku. No więc patrzyłem. Potem przyjechało pogotowie, weszli za parawan i przez kilka minut coś tam robili. Ojciec mówił, że badają, czy ona wciąż żyje. Gdy po kilku minutach odjechali bez noszy, wiedziałem już, że zostawili ją tam, gdzie leżała. To znaczyło tylko jedno. Na miejscu została policja, czekała na przyjazd obsługi z domu pogrzebowego. Przyjechali szybko, chyba po dwudziestu minutach. Dwóch facetów niosło ją zapakowaną w worek. Widziałem wszystko.

Dominik zerknął na zegarek.

– Muszę wracać.

Zwolnił hamulec przy kole i ostrożnie obrócił wózek wokół jego własnej osi, ustawiając go

przodem do plaży.

– Przepchniesz mnie przez piach? – spytał, poprawiając stopy na podnóżkach i moszcząc się wygodnie na siedzisku.

Odczekał kilka długich sekund, ale jego wózek inwalidzki nie drgnął ani o centymetr.

– Erwin?

Erwin nie reagował. Siedział zastygły ze wzrokiem wbitym w deski pomostu, jakby szukał w nich wyjaśnienia tego, co przed chwilą usłyszał.

Z zadumy wyrwało go słyszane już wcześniej brzęczenie przypominające zdalnie sterowany samochód wymieszane ze stękaniami spowodowanym nadludzkim wysiłkiem. Gdy zerwał się na równe nogi, był już sam na pomoście. Dominik na włączonym akumulatorze i jednocześnie kręcąc rękami koła, odjeżdżał leśną drogą w stronę hotelu Raj.

\* \* \*

Agata Soból siedziała w samej bieliźnie na krześle w wynajmowanej kawalerce i wpatrywała się w wiadomości przewijające się przez ekran telewizora. Policja podała, że rodzina rozpoznała zwłoki znalezione pod lasem jako ciało siedemnastoletniej Soni W. Apel do widzów o pomoc w przekazywaniu jakichkolwiek informacji mogących mieć związek ze śmiercią powtarzano za każdym razem, gdy na ekranie pojawiały się urywki z miejsca, w którym znaleziono martwą dziewczynę. Ktokolwiek wie, ktokolwiek może udzielić informacji w sprawie, proszony jest o pilny kontakt z najbliższym komisariatem policji.

Ktokolwiek...

Reportaż o aferze taśmowej w politycznych kręgach emitowano już po raz drugi tego dnia. Musiał być fascynujący, ludzie gorączkowali się wykrytym w ubiegłym roku skandalem i jego kolejną odsłoną, a wzburzeni politycy bredzili o prowokacji i spreparowanych dowodach.

Nie zwracała na to uwagi. Nie koncentrowała się na coraz to nowych komentarzach i sensacyjnych donosach. Widziała tylko cienki pasek na dole ekranu.

Ktokolwiek...

Drżącymi palcami zapięła koszulową bluzkę pod samą szyję. Z trudem trafiła bolcem w zapięcie paska od płóciennych spodni. Wsunęła stopy w espadryle i schyliła się po leżącą na podłodze torbę. Sprawdziła, czy dokumenty są na miejscu.

Tramwaj linii sześć wiozł ją z placu Hallera siedem minut. Minęła ZOO i Dworzec Wileński, z którego wysypywały się na ulicę dziesiątki podróżnych. Mimo pustych siedzeń stała przyciśnięta do okna i patrzyła przez szybę na przyjezdnych. Zwykle przyglądała się im uważnie, zwłaszcza młodym kobietom w jej wieku. Obserwowała ich twarze, próbując zgadnąć, kim są

i skąd przyjechały. Do szkoły czy do pracy? Może za nowo poznaną miłością? Wyobrażała sobie, jak przesiadają się do autobusów lub taksówek i mkną w stronę swojego przeznaczenia. Każda z nich była nią, a ona była każdą z tych kobiet. Z ich twarzy wyczytywała to, co sama czuła jeszcze kilka lat temu.

Wysiadła na Kijowskiej. Przebiegła przez pasy i przecięła osiedle bloków mieszkalnych.

Gdy dotarła na Jagiellońską, było południe.

Stała przed podłużnym, szarym budynkiem. Dwupiętrowy, z dużą liczbą małych okien wyglądał, jakby zbudowano go z klocków Lego.

Weszła do środka i rozejrzała się spłoszonym wzrokiem po ścianach.

– Pani do kogo? – usłyszała głos oficera dyżurnego, który wychylił się zza szklanego okienka.

Jeśli kiedykolwiek wyobrażała sobie, że na widok munduru i plakietki z napisem „policja” będzie odczuwała napięcie, stało się zupełnie inaczej. Nie wzdrygnęła się, dłonie miała suche i ciepłe, serce pracowało miarowo.

– Chcę złożyć zeznanie.

Kazano jej usiąść i poczekać. Policjantka, która podeszła do niej po kilku minutach, była niewiele starsza od niej, mogła mieć trzydzieści lat, może trochę więcej. Agata nie wiedziała, jak ma do niej mówić, nie знаła się na belkach na pagonach.

– Czy pani mnie wysłucha? – spytała i spojrzała policjantce głęboko w oczy. – To bardzo ważne.

Szły wąskim korytarzem w głąb budynku. Przez tych kilkanaście sekund nie odzywały się do siebie słowem. Agata widziała tylko białą koszulę policjantki i słyszała odbijające się od jej bioder klucze do gabinetu. Nie zauważyła, kiedy zamknęły się za nią drzwi niewielkiego pokoju z biurkiem i dwoma krzesłami.

– Proszę usiąść i wszystko mi opowiedzieć.

Kiwnęła posłusznie głową.

Tuż przed piętnastą drukarka zabuczała i wyrzuciła z siebie sześć stron maszynopisu.

– Musi to pani podpisać. – Policjantka położyła na stole zeznanie, a na nich długopis. – Potem wszystko przekażę komu trzeba, ma pani moje słowo.

Granatowa, metalowa oprawka z policyjnym logo była nagrzana od panującej w pokoju temperatury. Agata Soból przystawiła długopis do ostatniej kartki papieru.

– Nigdy wcześniej nie składałam donosu. To mój pierwszy raz.

Pragnęła, by na twarzy policjantki znów pojawił się ten sam miły uśmiech, jakim obdarzyła ją, gdy zobaczyły się po raz pierwszy. To dodawało jej odwagi. Znad komputera spojrzały na nią jednak poważne oczy bez cienia poprzedniej uprzejmości.

– To, co od pani usłyszałam, nie jest zwykłym donosem. To sprawa dla prokuratury. Dobrze,



że pani przyszła.

– Tak pani myśli?

– Wszystko dokładnie sprawdzimy.

Drukarka wypluła jeszcze jedną kartkę.

– To też musi pani podpisać.

Agata Soból nachyliła się nad biurkiem.

– Co to jest?

– Pani dane osobowe. To standardowa procedura. Dołączymy je do akt. Proszę dokładnie przeczytać, czy nie ma w nich błędu.

Pola znajdujące się na kartce papieru wirowały jej przed oczami. Imię i nazwisko, adres, data urodzenia.

– Wszystko się zgadza?

– Nie.

Policjantka sięgnęła po leżący na stole dowód osobisty i porównała z danymi w komputerze.

– Przyznam, że nie widzę błędu.

Za oknem słychać było przejeżdżającą karetkę na sygnale. Młoda policjantka odsunęła krzesło od biurka i zamknęła okno. Gdy usiadła z powrotem naprzeciw Agaty, w pokoju panowała cisza tak wielka, że słychać było ich własne oddechy.

– Tak naprawdę nie nazywam się Agata Soból – zaczęła dziewczyna. – Zmieniłam nazwisko dwa lata temu, może pani sprawdzić w urzędzie stanu cywilnego. Nie jestem Polką. Moje prawdziwe nazwisko to Marczenko. Jestem jedną z dziewczyn, o których opowiedziałam. Olga M. z nocnego klubu w centrum Warszawy, której poświęciłam ostatnią stronę moich zeznań, to ja.

\* \* \*

Mirek Pałacz nie zawiódł i tym razem. Kiedy przyszedł od niego zwrotny SMS, Erwin siedział przed telewizorem i patrzył na powtarzające się od rana informacje. Policjant, z którym rozmawiał godzinę temu, był nad wyraz delikatny. To, co zaszło przed motelem, przedstawił w taki sposób, żeby Erwin nie doznał szoku.

Kamery z daleka pokazywały miejsce zbrodni. Parking był oddzielony policyjną taśmą, tuż przed nią stało dwóch funkcjonariuszy pilnujących, żeby nikt nie wszedł na teren i nie zdeptał śladów. Parking był pusty, nie licząc jednego zachodniego auta. Kamerzysta uchwycił pobocze asfaltowej drogi, w kadrze widać było kawałek lawety. Potem kamera przesunęła się na skraj lasu i tam zatrzymała swoje oko.

Zbliżenia na połamane krzaki i zorane butami kępy trawy działały na wyobraźnię. To tu

Sońka pożegnała się z życiem. Telewizyjny reporter wskazywał miejsce zbrodni z takim podekscytowaniem, jakby spodziewał się, że zaraz nastąpi koniec świata. Erwin nie włączał głosu, ale to, co widział, napawało go odrazą.

SMS od Palacza zaczynał się od słów „Ale szajs”. Potem następowało kilka mało wyszukanych komplementów pod adresem nowoczesnego artysty i jego twórczości, które Erwin pomiął wzrokiem, i na końcu nazwisko. Jerzy Wnuk. Adres do kontaktu wkleił, podając bezpośredni link do strony. Strona ładowała się zaledwie kilka sekund, po czym na ekranie pojawił się czarny nosorożec połączony tylną częścią ciała z grzbietem jaszczura. Nad rysunkiem widniał napis informujący, że gdyby ktoś chciał nabyć większą liczbę oryginalnych grafik, może to zrobić do końca miesiąca po promocyjnej cenie -30%.

Adres, zgodnie z tym, co widniało na grafice, wskazywał Nowe Sady, zaledwie trzy kilometry od hotelu Raj. Lokalna lojalność zobowiązywała hotel do finansowego wsparcia miejscowych artystów w ich wyboistej drodze na salony Saatchi Gallery.

\* \* \*

Czarny Thunderbird wyjechał z przyhotelowego parkingu i skierował się na południe. Po przejechaniu niespełna kilometra minął się z policyjnym radiowozem. Nie zatrzymał się ani nie zwolnił. Na to jeszcze przyjdzie czas, pomyślał Erwin i niemal trąc kolanem o asfalt na ostrym zakręcie, odbił w prawo.

Gdy minął tablicę z nazwą miejscowości, przywitały go dwa bliźniaczo podobne do siebie szare bloki. Na balkonach, zgodnie ze staropolską tradycją, suszyło się pranie.

Strzałka w GPS pulsowała, ale wyglądało na to, że sygnał urwał się zaraz po wjeździe do wsi. Rozejrzał się bezradnie. Na chodniku przystanął dwóch chłopaków. Dwie pary oczu, nie licząc tych w oknach domów, wpatrywały się bezceremonialnie w jego zmotoryzowane cudo techniki. Erwin zdjął kask i oparł go o udo.

– Mieszkacie tu? – krzyknął w stronę chłopaków. Mogli mieć piętnaście lat. Wyglądali niemal identycznie, w podobnych ortalionowych spodniach z trzema żółtymi paskami po bokach i, mimo upału, w bluzach z długim rękawem. Też firmowych, z napisem Reebooke. Na nogach mieli zużyte trampki, obowiązkowo z rozwiązanymi sznurowadłami. Jeden z nich podtrzymywał ręką przewieszoną przez biodra saszetkę.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Chłopak z saszetką wreszcie wysunął do przodu szczękę i otworzył usta.

- Bo co? – spytał, rozwlekając słowa.
- Szukam ulicy.

Wyszczerzyli zęby i wygięli się na boki.

– No i co z tego? – odezwał się drugi reprezentant cwaniackiego narybku z prowincji i zarechotał jak chora na gardło żaba.

Erwin strząsnął ze spodni coś, czego tam wcale nie było, i również wyszczerzył zęby, dostosowując się do ogólnej radosnej atmosfery.

– Weseli z was synkowie. To dobrze, śmiech masuje przeponę. A teraz poważnie: szukam Jerzego Wnuka.

Jeden z cwaniaczków zmarszczył nos i popukał się palcem po czole.

– Znasz jakiegoś Wnuka, Gilu?

Gilu wsadził dłoń za gumkę od spodni i pokazał w rozporoku palec.

– Znam wnuczkę. Niejedną!

Atmosfera robiła się coraz bardziej podniosła.

– Dobra. – Erwin sięgnął po portfel. – Starczy tych salonowych żartów, choć przyznam, posłuchałbym jeszcze kilku, żeby móc je potem puścić dalej w świat. Ile?

Z ich głupkowatych twarzy zniknął uśmieszek. Odwrócili się do Erwina bokiem i zaczęli coś między sobą ustalać. Negocjacje trwały krótko.

– Po dwudziestce na łeb – rzucił amant od rozporoka. – I jeszcze na ramkę fajek.

Myto w postaci pięćdziesięciu złotych załatwiło sprawę.

– Tu nie ma ulic – odezwał się drugi po uprzednim upchnięciu banknotu do saszetki i dokładnym zapięciu zamka. – Wnuk mieszka za tymi blokami, ostatni dom przed pastwiskiem. Papa na dachu i wyjechane w kosmos drzwi. Jak, kurwa, w jakimś *Wejściu Smoka*, co nie, Gilu?

– No. – Gilu intensywnie pokiwał głową.

– To największy frajer w okolicy. Żeby tak chałupę odpiardolić, to trzeba mieć nasrane tu. – Zgięty palec uderzył w czoło.

– Cała przyszłość w was, panowie.

Komplement im się spodobał. Popatrzyli jeszcze, jak czarny motocykl skręca w wąską drogę między blokami, i weszli do sklepu z okratowanymi oknami i napisem „Wielobranżowy. Prasa, pieczywo, chemia, alkohol”.

Dom Jerzego Wnuka ogrodzono murem do kolan. Była to bardziej betonowa wylewka przygotowana pod instalację siatki, niż typowa podmurówka. Tkwiły w niej metalowe paliki czekające na ciąg dalszy budowlanej przygody, gdyby kieszeń właściciela domu szczęśliwie wypełniła się gotówką.

Erwin podjechał pod miejsce, w którym powinna być furka, ale nie było nic poza wytartą trawą i kilkoma płytami chodnikowymi, które jako żywo przypominały te z podjazdu hotelu Raj.

Nie musiał długo czekać na otwarcie drzwi. Zanim doszedł do schodów, usłyszał chrzęst

otwieranego zamka. W czymś, co przypominało połączenie przesuwanych paneli z wejściem do pałaców Zakazanego Miasta, stanął mężczyzna, na oko w wieku Erwina, ale niższy i drobniejszy. Miał na sobie ściągnięte w kostkach spodnie i zwykły bawełniany podkoszulek. Na czubku jego głowy tkwił kucyk à la samuraj.

– Pan do mnie? – spytał i zaraz przeniósł wzrok na stojący przed domem motocykl.

Erwin wyciągnął rękę na powitanie.

– Erwin Cis. Zatrzymałem się nieopodal, a ściślej mówiąc, w hotelu Raj.

Obejrzał się przy tym przez ramię, jakby hotel miał być widoczny za zakrętem.

– Znam. Dobre miejsce na ucieczkę, kiedy człowiek potrzebuje samotności.

Jerzy Wnuk poruszył łopatkami, jakby chciał rozprostować plecy zeszywniałe od siedzenia nad kolejnym komputerowym projektem.

– Widziałem pańskie grafiki. Robią wrażenie. – Erwin postanowił nie kryć entuzjazmu dla sztuki abstrakcyjnej.

– Dziękuję, choć znam osoby, które mają odmienne zdanie na temat mojej twórczości. Nie widzą w niej niczego nadzwyczajnego, tylko zwykłe bohomyzy.

– Ludzie nie wiedzą, co dobre. Ja właśnie w tej sprawie.

W oczach Jerzego Wnuka pojawiło się trudne do ukrycia samouwielbienie.

– Więc mówi pan, że się panu podobają?

– Rzadko można spotkać coś tak oryginalnego. Mogę wejść?

Wnuk szerzej otworzył chińskie drzwi.

Erwin zakręcił na palcu kluczykiem do motocykla i wszedł do środka. Stanął na betonowej wylewce, która prowadziła do pokoju większego niż całe jego mieszkanie. Nie było ścian działowych ani przepierzeń. Pokój tonął w szarości ścian czekających na malarski wałek. Na okiennych ramach wciąż widać było niepoddrywane strzępy folii. Pod parapetem stało biurko z dziewiętnastocalowym monitorem. Obok leżały magazyny o tematyce graficznej i kilkanaście płyt CD. Mimo pootwieranych szyb w pomieszczeniu wisiał zapach smażonej ryby.

Jerzy Wnuk przecisnął się obok Erwina i dopadł do palników w aneksie kuchennym. Przełożył poćwiartowanego szczupaka na drugą stronę i przykręcił ogień pod patelnią.

– Szarpał się drań na wędcie, szarpał, ale nic nie wyszarpał. Taki był wielki. – Wnuk rozłożył ręce na całą szerokość.

– Prawdziwy okaz! – Erwin pokiwał głową z uznaniem.

– Pan łowi?

– Amatorsko.

– W Niemczech też pewno są ładne łowiska. – Drobiazg w postaci niemieckich tablic rejestracyjnych nie uszedł uwadze rysownika. – Ale powinien pan spróbować tutaj, u nas. Nie ma to jak wyciągnąć z wody prawdziwy dar Mazur.

– Dar Mazur, powiada pan? Może kiedyś spróbuję.

Przeszli z nieotynkowanej kuchni do nieotynkowanej części pokoju. Jerzy Wnuk wskazał Erwinowi ułożone na sobie drewniane palety przykryte czerwonym sukniem i ozdobione białą poduszką z namalowanymi sinogramami. Sam usiadł naprzeciwko. Erwin obrzucił palety nieufnym spojrzeniem, badając, czy nie okażą się wywrotnym eksperymentem, po którym będzie masował siniaki na pośladvkach, ale drewniane deski trzymały się mocno, połączone spinającymi je klamrami. Pod ścianą leżały podobne palety udające łóżko, a na nich materac z narzuconą kapą w czarne pasy z Ikei. Do kompletu jak ułał pasowały dwa wałki z tego samego materiału.

– A teraz proszę mi powiedzieć, po co pan tak naprawdę przyszedł.

– Chodzi mi o grafiki.

– To już wiem.

Erwin wyjął telefon i odszukał zdjęcie grafiki znad hotelowego łóżka.

– A konkretnie o ten obrazek.

Wnuk nachylił się nad wyświetlaczem.

– *Reinkarnacja*.

– Hm...

– Tak go nazwałem.

Erwin ze zmarszczonym czołem przyjrzał się hybrydzie nosorożca z jaszczurem.

– Gdy tylko go zobaczyłem, wiedziałem, że ma w sobie coś metafizycznego.

– Był tylko jeden – zastrzegł Wnuk, na wypadek gdyby Erwin zapragnął kupić kopię. – Nie robię masówek.

– To oczywiście. – Erwin pokiwał ze zrozumieniem głową. – Tylko tandeciarze idą w ilość. Otóż chciałem się dowiedzieć, jak doszło do tego, że sprzedał pan hotelowi tę grafikę.

Brwi artysty uniosły się w niemym pytaniu.

– Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi.

– Widzi pan... – Erwin mógł zagrać kłamstwem, opowiedzieć jakąś zmyśloną historię, która usprawiedliwiłaby fakt, że się tu znalazł. Miał ich kilka w zanadrzu. Grafik nie zorientowałby się, czy to, co słyszy, ma cokolwiek wspólnego z prawdą. Już otwierał usta, żeby popłynąć z naprędce skonstruowaną w myślach bujdą, gdy przed oczami stanął mu widok pokoju ze zdartą tapetą i stojącą pośrodku walizką Izzy. Zacisnął na chwilę powieki i zaczął mówić. Powoli, z namysłem, ważąc każde słowo. – Nie jestem znawcą wędkowania ani nie przyjechałem tu na urlop. Nie chcę też kupić pańskich grafik. Nie znam się na sztuce. Jestem tu po to, żeby poznać prawdę o śmierci dziewczyny, która była tu kilka tygodni temu. Mieszkała w hotelu Raj. Po tym, jak zginęła, zmieniono wystrój pokoju, w którym spędziła ostatnie dni życia. Wymieniono wykładzinę, zerwano tapetę. Na ścianie, zamiast obrazu van Gogha, powieszono pańską grafikę.

Jerzy Wnuk powoli przeciągnął dłońią po czole i potem dalej, po włosach związanych

w ekscentryczny kucyk.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Widziałem zdjęcia pokoju sprzed wypadku.

– Zginęła w kraksie?

– Tak. Niedaleko stąd. To zdarzyło się w maju. Dwa miesiące temu odbył się jej pogrzeb.

– W maju? – Mężczyzna zamyślił się, ale na krótko. – Tak, rzeczywiście. To była głośna sprawa. Auto wbiło się w drzewo. Pamiętam wycie karetki, jak leciała nad Tałty. Mówi pan, że ją znał?

Erwin kiwnął głową.

– Była dla mnie ważna. Nadal jest.

– Przykro mi. Co jednak hotel ma wspólnego z tą sprawą? Po co mieliby zmieniać wystrój pokoju, w którym mieszkała?

– Niewykluczone, że wydarzyło się tam coś, o czym jeszcze nie wiem.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale... Ludzie po takich wydarzeniach szukają jakiegokolwiek punktu zaczepienia, żeby zrozumieć, co się stało z ich bliskimi. Potem okazuje się, że wytłumaczenie jest dziecinnie proste. Rozmawiał pan z obsługą hotelu?

– Nie jest łatwo zadawać pytania o kogoś, kto wynajmował pokój w maju, jeśli obsługa twierdzi, że wtedy hotel był jeszcze zamknięty. Podejrzewam, że chcą zatuszować całe zajście. Może boją się skandalu, takie rzeczy źle się kojarzą klientom. Oficjalnie nikt nic nie wie i o niczym nie słyszał. Ja chcę tylko poznać prawdę i dowiedzieć się, kto i na ile jest zamieszany w sprawę śmierci tej dziewczyny.

Erwin po raz kolejny wyciągnął telefon i pokazał zdjęcie Izzy.

– To ona.

Jerzy Wnuk pokręcił głową.

– Nie widziałem jej. Rzadko ruszam się z mojej samotni. Tu mam wszystko, co mi potrzeba: komputer, wędkę i święty spokój.

Swąd palonej ryby wypełnił pokój. Wnuk poderwał się i pobiegł do kuchni. Resztki szczupaka były uratowane, ale część spaliła się bezpowrotnie.

– No i po obiedzie – westchnął.

Odstawił patelnię na deskę do krojenia chleba i wrócił do Erwina.

– A co do hotelu, to nie, nie sprzedawałem im swoich grafik. To nie jest rodzaj sztuki, jaką preferują hotele czy pensjonaty. Tam wieszają się tanie reprodukcje albo zwykłe plakaty oprawione w ramy. Dlatego wśród moich klientów są głównie prywatni nabywcy. Ostatnio sprzedałem kilka serii kolekcjonerom sztuki nowoczesnej z Pomorza i Kujaw. Pojedyncze sztuki powędrowały na południe kraju, a jeszcze kolejne wysłałem do prywatnych galerii. Nie mogę narzekać na zainteresowanie, choć nie ukrywam, wciąż liczę na to, że lista sympatyków tego, co

robię, będzie się wydłużać. Hotel musiał wejść w posiadanie moich prac w inny sposób.

– Pamięta pan, kiedy sprzedał *Reinkarnację*?

Jerzy Wnuk nie zastanawiał się ani chwili:

– Naturalnie. To był cały cykl grafik ze zwierzętami. *Reinkarnacja* była jednym z jego elementów. Sprzedałem je wszystkie na wiosnę, ale w tej chwili nie potrafię sobie przypomnieć nazwiska nabywcy.

– Czy sprzedał je pan przed wypadkiem, który zdarzył się w okolicy, czy już po nim?

– Nie mogłem sprzedać grafik przed wypadkiem, ponieważ ostatnią z nich kończyłem tworzyć w momencie, kiedy usłyszałem sygnał jadącej karetki. Trudno byłoby mi więc nie zapamiętać takiego wydarzenia. Ale jeśli chce mnie pan spytać, w jaki sposób trafiły do hotelu, tego nie jestem w stanie panu wytłumaczyć.

– Jak wspominałem, jeden z rysunków zawisł w dawnym pokoju tej dziewczyny.

– To rzeczywiście niezwykła historia. Z chęcią bym panu pomógł, ale to wszystko, co mogę powiedzieć w tej sprawie. – Wnuk rozłożył bezradnie ręce.

– Pomógł mi pan wystarczająco. – Erwin podniósł się z chińskiego siedzenia. Choć liczył na więcej informacji, usłyszał to, co chciał. Hotel zdjął *Słoneczniki* po wypadku i w ich miejsce powiesił grafikę Wnuka. – Pójdę już. Gdyby przypomniał pan sobie coś więcej, to byłbym zobowiązany...

– Może pan na mnie liczyć. – Grafik wyjął swoją komórkę i wprowadził do kontaktów numer telefonu Erwina. – Będę pamiętał.

\* \* \*

– To tutaj. – Tyczka stanął wyprostowany przed drzwiami pokoju numer dwanaście.

Policjant z nad wyraz rozrośniętymi mięśniami ramion, które z ledwością mieściły się w rękawach służbowej koszuli, spojrzał na niego wymownie w oczekiwaniu, aż ten domyśli się, że obejrzenie drzwi z zewnątrz nie było celem jego przybycia do hotelu.

– Już otwieram. – Tyczka zreflektował się i wsunął do zamka uniwersalną kartę elektroniczną.

– Wejść sam. – Policjant zablokował ramieniem wejście i zniknął wewnątrz pokoju. – Niezły pierdolnik – stwierdził z podziwem na widok porozrzucanych ubrań, łóżka stojącego pośrodku pokoju i oderwanej listwy z kontaktem. – Wygląda na to, że komuś nie spodobał się wystrój waszego hotelu i postanowił zrobić małe przemeblowanie.

Wyjął lateksowe rękawiczki i zamknął Tyczce drzwi przed nosem.

Po kwadransie drzwi pokoju otworzyły się ponownie. Policjant bez słowa wyminął opartego o ścianę dyrektora hotelu i ruszył szybkim krokiem w kierunku schodów.

– Znalazł pan coś? – zawołał Tyczka i podążył w ślad za policjantem. – Nie pokazał mi pan jeszcze nakazu rewizji. Jeśli coś zginie z pokoju, nie chcę mieć przez to nieprzyjemności. Słyszysz mnie pan?

Policjant nie zareagował na jego wołanie. Szedł prosto do wyjścia, jego plecy w błękitnej koszuli kołysały się wraz ze stawianymi mocno krokami. W rękę trzymał plastikową torbę na dowody, w której zaciskał znaną kartkę wyrwaną z zeszytu. Na kartce, poza numerem telefonu i adresem, napisanych było kilka słów: *Stare Sady. Dług umorzony, współniku. Sońka.*

\* \* \*

Na hotelowym podjeździe, tak jak się tego spodziewał, stał policyjny radiowóz. Przed drzwiami kręcił się jeden mundurowy, drugi musiał być w środku.

Erwin stanął na parkingu tuż obok zakurzonego range rovera z naklejoną na tylnej szybie żółtą nalepką z napisem *baby on board*. Właściciele range rovera przybyli aż z Krakowa. Ostatnim razem był tam w Piwnicy Pod Baranami na recitalu Grechuty. Pojechał razem z Izzy. Po recitalu chciał się jej oświadczyć, kupił nawet złoty pierścionek z cyrkonią. Na brylant, nawet najmniejszy, nie miał pieniędzy, zabrakło mu też odwagi, by wypowiedzieć kilka słów, które mogły skierować ich losy na szczęśliwą ścieżkę. Nie oświadczył się ani po koncercie, ani w pociągu powrotnym do Warszawy. Przeraził się sam siebie, wolał odłożyć oświadczenia na kiedy indziej. Zaplanował, że poprosi ją o rękę podczas ich wyjazdu na Mazury. To nic, że jechali całą paczką. Miał to zrobić w nocy, w namiocie, zaraz po ognisku. Pierścionek czekał w plecaku, ale i tym razem wszystko potoczyło się inaczej.

Wyłączył silnik. Zza linii krzaków, które oddzielały parking od hotelu, widział wszystko jak na dłoni.

Zdjął z głowy kask i przeciągnął palcami po włosach. Postawił motocykl na podpórce.

– Przyjechali pół godziny temu.

Erwin obrócił się przez ramię. Pod budką nocnego stróża siedział na wózku Dominik.

– Pytali o ciebie. – Chłopak spojrzął na okna hotelu. – Jeden poszedł na górę, a drugi waruje przed wejściem.

– Trudno nie zauważyć.

– Gdzie byłeś? – Dominik włączył akumulator wózka i podjechał bliżej.

– Tu i tam.

– Nie wiesz, czego chce policja?

Erwin odniósł wrażenie, że chłopak przygląda mu się baczniej niż ostatnio.

– Szukają kogoś, kto zabił dziewczynę pod lasem.

– Tę z telewizji? Od rana o tym mówią w wiadomościach.



Erwin kiwnął głową.

– Myślą, że mam z tym coś wspólnego.

– A masz? – Dominik poprawił okulary i zastygł w oczekiwaniu.

– Możesz być spokojny. Nic nie wiem o jej śmierci.

– Morderstwo to ciężki grzech. Jeśli ma się odwagę, żeby kogoś zabić, trzeba też ją mieć, żeby się przyznać.

Gdyby to było takie proste, nie rozmawialibyśmy teraz, przemknęło Erwinowi przez głowę.

– Filozof z ciebie – powiedział, próbując nadać swoim słowom żartobliwy ton.

– Tak mówi mój ojciec. Ja tylko powtarzam, co usłyszałem. Nie znam nikogo, kto zabił drugiego człowieka.

– I niech tak pozostanie. – Erwin odwrócił wzrok od przeszywających go oczu Dominika.

Z hotelu wyszedł policjant i nachylił się do współtowarzysza. Erwin dostrzegł, że spod podwiniętych rękawów jego policyjnej koszuli wystawały bicepsy mające w obwodzie tyle, co dwa kilo peklowanej szynki. Trzymał coś w ręku. Gdy dołączył do nich dyrektor hotelu, wsunął zawiniątko do kieszeni spodni. Wymienili ze sobą kilka słów, po czym dyrektor zniknął w hotelowym holu. Znowu stali we dwóch, rozglądając się bacznie po terenie.

– Co teraz zrobisz? – Dominik nie spuszczał oczu z gliniarzy.

Erwin podszedł do wózka inwalidzkiego i poklepał chłopaka po ramieniu.

– Zrobiłem w swoim życiu kilka głupich rzeczy, ale tym razem zrobię to, co należy.

Erwin odwrócił się w stronę wejścia do hotelu. Prawe ręce policjantów jak na zawołanie zgięły się w łokciach i powędrowały do kabur.

Zrobił kilka kroków w ich kierunku. Mając na uwadze siedzącego dziesięć metrów za nim Dominika, uniósł dłonie na wysokość bioder. Sygnał był jasny, mimo to nie zdjęli rąk z pistoletów. Jeden z policjantów wyminął go i podszedł do motocykla Erwina. Rozpiął sakwy i przeszukał ich zawartość. Na ziemię wypadła butelka po wodzie, brudna ścierka do przecierania świateł oraz stara samochodowa mapa, z której nie korzystał od lat. Sakwa zawierała coś jeszcze, ale Erwin nie zdążył zauważyć, co gliniarz skrzętnie schował do kolejnej foliowej torebki. Widział tylko, jak policjanci porozumiewają się nad jego głową i dają sobie niezrozumiałe znaki.

Wykręcona łopatką zaboląła, jakby ktoś wyrwał ją ze stawu. Nadgarstki roztarł zaraz po tym, jak drzwi policyjnego wozu trzasnęły mu obok ucha.

Ruszyli spod hotelu odprowadzani wzrokiem stojących na chodniku Bejsbolisty i jego żony. Pojawili się nie wiadomo skąd i kiedy. Nie mówili do siebie nic, tylko objęci w pół patrzyli, jak policyjny wóz z Erwinem mija ich syna i odjeżdża z hotelowej posesji.

Erwin odwrócił głowę. W tylnej szybie majaczyła drobna sylwetka Dominika, jadącego za

nimi po kamienistej drodze. Zatrzymał się po kilkunastu metrach, tonąc w tumanie piachu, który uniósł się z pobocza i stworzył brunatną zasłonę.

– Długo będziecie tak milczeć? Zaczynam się czuć jak w niemym kinie – zagaił Erwin, kiedy wytoczyli się na asfaltówkę. – Puśćcie chociaż muzykę. Znaście *We don't talk anymore*? Pasowałyby jak ulał.

Gliniarz z szynkami zamiast ramion odwrócił się w jego stronę.

– Zamknij się. Wesolek się znalazł, wa mać! Jeszcze zdążysz nakłapać dziobem.

– Chcę wreszcie usłyszeć, co na mnie macie. – Erwin mimo pozornego rozbawienia aż kipiał w środku. – Zgarnęliście mnie za to, że nie odebrałem połączenia od Soni Wieczorek? Aż tak głupi nie jestem, żeby w to uwierzyć.

W ręce Mięśnia zatrzepotała foliowa torebka z zamkniętą wewnątrz małą kartką.

– Kim była dla ciebie ta dziewczyna i o jakim długu pisała? Zabiłeś ją dla kasy? Zbuntowała się i nie chciała stać dłużej przy drodze dla takiego frajera jak ty? – Seria pytań rzuconych Erwinowi w twarz była jak strzały z karabinu. – Mieliście się spotkać w hotelu? Pewnie wolależ nie ryzykować i sprzątnąłeś ją wcześniej, co? Żeby nie było świadków. A ten numer napisany na kartce to czyj? Coś mi się zdaje, że wyjdiesz pan z pierdła w sam raz na swoją emeryturę, panie Cis.

– Co to jest? – Erwin przysunął się na tyle, na ile pozwalała mu siatka dzieląca go od przednich siedzeń. – W co wy chcecie mnie zrobić?!

– Widziałeś cwaniaka? – Mięsień spytał kolegę za kierownicą. – Lubię takich, nigdy mi się nie nudzą.

Kierowca kiwnął głową i włączył kierunkowskaz.

– Najlepsze dopiero się zacznie, kiedy uświadomi sobie, jakie mu koledzy z celi przygotowują przyjęcie za zabicie dzieciaka.

Drugi obrócił się po raz kolejny i obrzucił Erwina pełnym pogardy spojrzeniem.

– Taaa... będzie miał branie w celi jak złoto. Po dwudziestu pięciu latach odsiadki sranie bez bólu będzie dla niego tylko pięknym wspomnieniem. Co, Cis, nadal jesteś taki rozmowny?

To była ich chwila triumfu. Erwin zagryzł zęby i opadł na fotel. Sytuacja wymykała się spod kontroli. Powinien był zniknąć sprzed hotelu i wrócić po swoje rzeczy, gdy nikt nie będzie kręcił się w pobliżu. Zamiast tego jechał policyjnym wozem, czując, że wyrok już zapadł. Nieodebrane połączenie i kawałek papieru były dla tych dwóch wystarczającym dowodem. Ciało Sońki odesłali do badania, a z niego zrobili mordercę.

Nie zwracał uwagi na to, gdzie go wiozą. Był zamroczony wściekłością i niemocą. Oprzytomniał dopiero, gdy policyjna kia zahamowała ostro przed schodami prowadzącymi do żółtego,

dwupiętrowego budynku. Nad drzwiami wisiała szklana lampka, która mimo wczesnego popołudnia paliła się słabym światłem. Na ścianie, obok urzędowej tablicy z orłem, przybita była druga, czerwona.

Posterunek policji w Myszyńcu przywitał go lśnięcymi posadzkami i rzędem krzeseł ustawionych pod ścianą. Potem był pokój, mały, jasny, z okratowanym oknem. Pośrodku stał stół i dwa krzesła. Nie było weneckiego lustra. Nie było nic poza tymi kilkoma prostymi meblami i ciszą.

– Poczekasz tu. – Mięsień pchnął Erwina na krzesło. – A ty miej na niego oko, zaraz wracam – rzucił do kolegi.

Zostali w pokoju we dwóch. Erwin oparł łokcie na stole i wczepił palce we włosy.

– Nie mam nic wspólnego ze śmiercią tej dziewczyny. Szukacie nie tej osoby.

Stojący pod ścianą glina nie odpowiedział.

– Nie jestem tym, za kogo mnie bierzecie – powtórzył Erwin i sięgnął do kieszeni po papierosa. – Można?

– Pal.

– Traciecie tylko czas.

– To się okaże.

Policjant spod drzwi nachylił się do bocznej kieszeni swoich spodni i coś z niej wyjął. Potarte krzesiwo zapalniczki zazgrzytało w tym samym momencie, kiedy na stole przed Erwinem pojawiła się foliowa torebka.

– Co powiesz na to? – Dłoń policjanta nie wypuszczała torebki, lecz trzymała ją za jeden z rogów.

– Co to jest?

– Ty mi powiedz.

Erwin dmuchnął dymem i pochylił się nad zawartością woreczka.

– Pistolet?

– Jak na załączonym obrazku. I na dodatek z twojego motocykla. Skąd miałeś broń?

Spalony do połowy vincester wylądował w popielnicze.

– W co wy, kurwa, gracie?! – Głos Erwina zabrzmiał obco, jakby ktoś podciął mu struny w gardle. – Najpierw jakiś list, potem pistolet?! To nie jest moja broń. Nigdy wcześniej jej nie widziałem. Powtarzam, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią Soni Wieczorek!

– Jednym słowem mylimy się? Policja zwykle się myli. – Drwina w głosie policjanta-kierowcy zabrzmiała irytująco. – To taki nasz zwyczaj: mylić się. Więzienia pękają w szwach od naszych pomyłek.

– Jednak tym razem jesteście w błędzie. Ostatni raz widziałem Sonię Wieczorek wczoraj przed południem.

Erwin szarpnął się na krześle, jakby chciał wstać. Glina-kierowca, którego nazwiska nie znał i na dodatek nie zdążył nadać mu żadnej ksywy, odruchowo dotknął swojej broni.

– Siedź na dupie i nie ruszaj się. I przestań szczekać. Będzie czas na spowiedź. Ty poopowiadasz, my to spisujemy. Siadaj, mówię! Ręce na stół i kolana razem!

Do pokoju weszła młoda policjantka. Musiała rozpocząć pracę niedawno, bo zachowywała się nieporadnie, jakby po raz pierwszy miała styczność z policyjną procedurą. Obrzuciła Erwina zaciękawionym spojrzeniem, łagodnym, ale nieco niepewnym. Postawiła na stole małą torbę, a obok niej położyła karty daktyloskopijne palców i dłoni. Poprawiła rudy kucyk, który opadał jej na ramiona, i wyjęła z torby rękawiczki. Naciągnęła je na dłonie, dołączając neutralny uśmiech.

– Uporamy się z tym szybko – zapowiedziała w sposób, w jaki robią to pielęgniarki, trzymając w ręku strzykawkę ze szczepionką.

Czarny tusz wypełnił linie papilarne palców Erwina, a potem wnętrza dłoni. Dziewczyna rzeczywiście uporała się z tym ekspresowo. Po wszystkim podała mu wilgotną chustkę i poprosiła o dokumenty.

Erwin pomacał się po kieszeniach, zostawiając przy tym czarne smugi na dżinsie.

– Musiały zostać w hotelu.

– Tu są. – Glina położył na stole paszport Erwina. – Spisz, co trzeba, i wyjdź.

Policjantka bez szemrania wpisała nazwisko do danych na karcie. Spakowała wszystko do torby i zdjęła rękawiczki.

– Dziękuję i życzę miłego dnia – powiedziała z łagodnością w głosie.

– I co jeszcze? Może podasz mu w nagrodę drinka z parasolką?

Bez słowa minęła starszego rangą kolegę i zniknęła za drzwiami.

Gdy zostali sami, Erwin dokończył wycieranie rąk. Tarł mocno, tusz wżarł się w skórę. Rzucił chustkę na stół i zaczął kręcić młynka palcami.

– Kiedy przyjdzie ten drugi? Chcę mieć to za sobą.

– Coś niecierpliwy jesteś. Śpieszysz się gdzieś?

– O drugiej mam lot na Hawaje.

– Na twoim miejscu zmieniłbym rezerwację. Na dzień dobry spędzisz tu dobę, a potem się zobaczy. Jeśli badania wykażą, że maczałeś w tej śmierci swoje brudne paluchy...

– Niczego nie wykażą. Nie znajdziecie na mnie odrobiny prochu. Ale... bawcie się dalej. – Erwin poruszył nerwowo splecionymi pod stołem stopami. – Dobrze wam idzie.

Do pokoju wszedł Mięsień. Pod pachą trzymał laptopa, za którym ciągnął się kabel. Rozejrzał się za kontaktem i wpiął wtyczkę.

– Dobra, jedziemy z tym koksem, bo szkoda czasu – powiedział i położył ręce na klawiaturze.

– Wreszcie będzie mógł się pan do woli wygadać, panie Cis. Ach, jeszcze jedno!

Z kieszeni munduru wyjął mały dyktafon i postawił Erwinowi przed nosem.

– Na wypadek gdybym nie nadążył za pana słowotokiem. Czas start. – Zaśmiał się zgryźliwie i wcisnął przycisk nagrywania.

\* \* \*

Stanisław Wirski chodził po pokoju, potykając się co chwila o baranią skórę leżącą na podłodze. Lubił to miejsce. Ciche, zaszyte w głębi lasu i należące tylko do niego. Nikt inny tu nie przyjeżdżał. Nikt go nie słyszał ani nie widział, jedynie szklane oczy jeleni patrzyły ze spreparowanych łbów wytrwale w jeden punkt, na drewniane panele z zamocowanymi na haczykach myśliwskimi sztucercami.

Kiedy stawiał ten dom, Izabela była jeszcze dzieckiem. Drewniane belki, które chciał wykorzystać podczas budowy, leżały na zaoranej leśnej działce i stanowiły przeszkodę do skakania. Miała wtedy osiem lat. Przyjeżdżali tu we troje każdej wiosny. Na weekend. Potem przychodziło lato i zostawali na dłużej, nawet na trzy tygodnie. Pakowali jedzenie w duże kraciaste torby i wypełniali lodówkę po brzegi. Z biegiem lat wracali tu coraz rzadziej. Dom, będący kiedyś atrakcją, zaczął stanowić problem. Pewnego dnia słabej jakości przewody elektryczne odmówiły posłuszeństwa. Mogli inwestować w nowe kable lub w wygodne życie w Warszawie. Za namową żony wybrał remont domu na Żoliborzu.

Potem przyjeżdżał tu sam. Patrzył na marniejące ściany i czuł, jak wzbiera w nim żal. Marzenie jego życia zamieniało się w ruinę.

Po latach Izabela wspomniała, że chciałaby zorganizować tu swoją osiemnastkę. Ucieszył się, jakby ktoś podarował mu najpiękniejszy prezent. Chata znów miała ożyć, ściany na nowo usłyszeć ludzki śmiech. Zaczął rozprawiać o tym, co będą robić i jak będzie wyglądać urodzinowa zabawa córki, która miała być niezapomnianą przygodą dla ich trójki. Nie, nie dla rodziny, dla przyjaciół – usłyszał.

Walczył ze sobą długo. W końcu dał klucze. Po imprezie dom przypominał pobojuwisko. Awantura trwała dłużej niż budowa chaty. Wykrzyczał, że nigdy więcej i że się na niej zawiódł. Po raz pierwszy tak dotkliwie.

Żonie zapowiedział, że sprzeda dom. Kilkakrotnie zaczynał pisać ogłoszenie do gazety, ale za każdym razem gdy stawiał ostatnią kropkę, rwał kartkę na strzępy i rzucał w ogień. Po ósmym anonsie zmienił zdanie. Wyrzucił stare zabawki córki i wszystkie szpargały nawiezione przez żonę. Oczyszczył przestrzeń. S w o j ą przestrzeń. W domu powiedział, że to miejsce przestało istnieć. Wymyślił byle jaką kwotę, za którą miał niby sprzedać chatę. Na odczepnego, żeby zamknąć temat. Nie pokazywał się tu przez kilka miesięcy. Potem wrócił. Powiesił na ścianach jelenie łby, sztucer i kilka obrazków. Siedlisko zaczęło zmieniać swoją formę. Z rodzinnego

miejsca na letnie wypady stało się prywatną pustelnią, azylem jednego człowieka. Wymienił kable i na nowo podpiął prąd. Przy kominku postawił radio na baterie, w oknach zamontował kraty i powiesił żaluzje, przez które i tak nikt nie zaglądał do środka.

Na dworze robiło się ciemno. Gałęzie drzew znieruchomiały, jakby zostały stworzone z zielonego, kruchego gipsu. Niebo zaczynało zasnuwać się wieczornymi chmurami. Wciąż było duszno, powietrze było gęste i zwiastowało nocną burzę.

Należało pozamykać okiennice. Zrobił to od razu, żeby nie zrywać się później ze snu i szarpać z wypaczonymi futrynymi. Zapalił świecę i wstawił ją do małego lichtarzyka. Uchylił drzwi na ganek i stanął w nich, żeby posłuchać lasu. Ale las milczał.

Poczuł na twarzy pierwsze krople deszczu. Wraz z nimi smagnął go po karku mocniejszy podmuch wiatru.

Wirski cofnął się w głąb domu, ale drzwi pozostawił otwarte na oścież.

Podkreślił głos w radiu. Powtarzaną od rana informację o napadzie na młodą dziewczynę znał na pamięć. Ale tym razem komunikat brzmiał inaczej: *W sprawie zamordowanej nastolatki prowadzone jest dochodzenie. Na ten moment możemy powiedzieć tylko tyle, że policja zatrzymuje kolejne osoby, które mogą być zamieszane w sprawę, jednak z uwagi na dobro prowadzonego śledztwa na tym etapie dochodzenia nie są udzielane żadne szczegółowe informacje.*

Podszedł do ściany i ze spokojem poprawił przekrzywiony obrazek. Czarno-biała grafika przedstawiała nachodzące na siebie różnej wielkości okręgi z głowami zwierząt i nosiła tytuł, o ile dobrze pamiętał, *Fale i Skale*. Nie znał się na sztuce nowoczesnej, ale młody artysta sprzedał mu ten i kilka innych obrazków niemal za darmo. Dopiero zaczynał przygodę z rysunkami i był w siódmym niebie, że ktoś chce powiesić sobie w domu jego dzieła.

O deski ganku uderzyły obcaszki. Obejrzał się w stronę wejścia.

– To ty? – spytał, wyginając plecy do tyłu.

– Ja. Wszystko gra?

Wirski rozciągnął łopatki, jakby dopiero budził się ze snu.

– Tak. Zgodnie z planem.

Buty zatrzymały się tuż za progiem. Były oblepione leśnym igliwem.

– Może wejdiesz? – Wirski zrobił zapraszający gest do środka.

– Nie. Nie lubię tego miejsca.

– Powinniśmy uczcić to, co się stało. – Wskazał dwie butelki Żywca stojące na podłodze.

– Na świętowanie przyjdzie jeszcze czas. Nie wszystko zostało załatwione.

Pokiwał głową i odwrócił wzrok od piwa.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Powietrze było ciężkie nie tylko od nagromadzonych w nim

ładunków elektrycznych, ale i od skrywanych głęboko emocji. Nie mieli ze sobą żadnych wspólnych tematów prócz jednego, najważniejszego.

– A ona... Co z nią? – spytał Wirski, wpatrując się w coraz głębszą czerń za oknem.

– Będzie tak, jak ustaliliśmy. Ja dotrzymuję słowa.

– Na pewno?

– Jutro wszystko się zakończy. Jeśli ja dostanę swoje, ty swoje też dostaniesz. Mamy umowę.

Chyba że chcesz się wycofać?

Wirski gorączkowo pokręcił głową.

– Zrobię tak, jak się umówiliśmy.

– Życie za życie.

– Tak, życie za życie...

\* \* \*

– Marnie to wygląda. – Mięsień westchnął z niesmakiem na wspomnienie zeznań Erwina. Półtorej strony wyjaśnień wyglądało jak szkolne wypracowanie mało zaangażowanego literacko ucznia. – Na pewno nie chcesz czegoś dorzucić?

– Dajcie mi spokój. – Erwin przekręcił się na czymś, co miało być łóżkiem, a było zbitym z płyty pudłem, na które rzucono cienki jak papier materac. – Nie mam zamiaru wymyślać bzdur tylko po to, żeby zrobić wam przyjemność.

Mięsień zamknął od wewnątrz drzwi pokoju zatrzymań i zapalił światło u sufitu. Żarówka zamigotała i rozbłysnęła siłą tysiąca watów, ukazując gładko pomalowane na posępny kolor ściany. Sam usiadł na drugim pudle, na którym nie leżał już żaden materac. Dzielił ich przyśrubowany do ściany blacik, przy którym stały trzy przymocowane do podłogi taborety na pojedynczych nogach.

– Która godzina? – spytał Erwin, zasłaniając ramieniem oczy. Jego zegarek leżał w policyjnym depozycie podobnie jak reszta dobytku, który miał przy sobie podczas zatrzymania.

– Za pięć druga. Śpieszysz się gdzieś?

Odpowiedziała mu wymowna cisza.

– Nie pomagasz nam, kolego. Byłoby lepiej, gdybyś przypomniał sobie, co zrobiłeś tej dziewczynie.

– Dla kogo lepiej? Bo chyba nie dla mnie. Lubicie tworzyć science fiction, to twórzcie, ale beze mnie. Ja jestem słaby w fantastyce.

– Miałeś motyw.

– Jaki, do cholery? – Erwin opuścił nogi na podłogę. Nie mógł dłużej znieść wgniecen

w kościach miednicy. Kręgosłup i szyja wykręcona od leżenia przez kilka godzin na twardym materacu też wyły z bólu. – Macie mnie za psychopatę, który nocami poluje na ludzi? Nie wisiała mi żadnych pieniędzy, już to mówiłem.

– Mówiłeś też, że ci się narzucała.

– Nie ona jedna. I za to miałbym ją zabić?

– To się dopiero okaże. Spałeś z nią?

Równie dobrze mógł zadać pytanie o dorabianie się na dziecięcej pornografii.

– Co wy, kur...

– Spałeś?

– Nocowała u mnie. – Erwin wykrzywił twarz w półkłamstwie. – Nie miała dokąd pójść, tłumaczyłem już.

– Taaa... A ja wierzę w latające smoki.

– Gówno mnie obchodzi, w co wierzysz.

– Dziewczyna miała w swoich telefonach tyle nazwisk mężczyzn, że spokojnie mogłaby zapłacić nimi książkę telefoniczną. O dziwo, twoje było w ostatnich dniach wybierane najczęściej.

– To o niczym nie świadczy.

– Prokurator o tym zadecyduje.

– Jak to „w telefonach”? – Erwin oprzytomniał.

– W motelu znaleźliśmy dwa. W tym jeden z założonym hasłem, ale dobierzemy się i do niego.

– Jak wyglądał? Miał nalepkę z Myszka Miki? – Erwinowi przyszedł na myśl telefon Roxy. Sońka była zdolna do wszystkiego. Jeśli zależało jej na aparacie, mogła po raz kolejny włamać się do mieszkania Izabeli i zrobić kłopot w poszukiwaniu komórki przyjaciółki.

Policjant nie zdążył odpowiedzieć, bo drzwi pokoju otworzyły się i do środka wsunęła się głowa jego partnera. Dał dyskretnie znać, żeby ten wyszedł na zewnątrz. Nie było go przez pięć minut, po czym zawiasy znów cicho zgrzytnęły.

Mięsień trzymał w ręku wydruk z komputera.

– To tylko kwestia formalna – powiedział i podsunął Erwinowi pod oczy kartkę. – Czarny mercedes o numerach rejestracyjnych HH PX 2239. Poznajesz?

Erwin poczuł, jak zalewa go fala zimnego potu.

– Tak. Co jest?

– To twoje auto? – Mięsień obejrzał się za siebie, szukając świadków rozmowy. Drugi gliniarz stał za nim jak cień.

– Moje. – Erwin dla pewności jeszcze raz zerknął na kartkę. – O co chodzi?

Policjanci spojrzeli na siebie wymownie.



– A jak myślisz?

– Jeśli chcecie je ode mnie kupić, to uprzedzam, że tanio nie będzie. Same lusterka kosztują tyle, co wasze telewizory.

Zaśmiali się szyderczo. Mięsień założył ręce na piersiach.

– Nie mówiłem, że z takimi zawsze jest wesoło? A teraz posłuchaj, gnojku. – Zmienił nagle ton i przysunął się do Erwina tak blisko, że czuć było jego tanią wodę kolońską. – Ten mercedes to twój gwóźdź do trumny, kapujesz? Ładna bryka na niemieckich blachach zawsze jest w cenie, ale ty tym razem zapłacisz za nią wyjątkowo słono.

Erwin teatralnie przełknął ślinę, aż grdyka powędrowała mu pod brodę.

– Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale cały się trzęsę ze strachu.

Policjant z pogardą pokiwał głową.

– I powinieneś. Mamy czarno na białym, że to twoje luksusowe cudencko było na miejscu zbrodni. I co ty na to? Nadal ci tak wesoło?

Erwin stanął przy otwartym oknie. Burzowe powietrze miało ostudzić jego głowę, ale zamiast tego poczuł, że nogi robią mu się coraz bardziej miękkie. Nie rozumiał nic z tego, co do niego mówili.

– Chcecie mnie zrobić, podrzucając fałszywe dowody?

– Nic z tych rzeczy. – Mięsień zwinął kartkę i postukał nią w otwartą dłoń. – Ta mała to było niezłe ziółko. Zwinęła audi przed klubu i dała nogę za miasto. Nie wiem, co sobie wyobrażała, kradnąc auto, ale zrobiła coś, o czym pewnie sama nie wiedziała. Otóż ten skradziony samochód to nie był byle fiacik. Pełna automatyka. Domyślam się, że miała problem z uruchomieniem radia lub GPS i na ślepo pstrykała przyciskami w kokpicie. Nieświadomie włączyła kamerę, która zapisała całą jazdę. Kiedy dojechała do motelu, kamera wciąż działała. Rozumiesz teraz?

Erwin milczał.

– Widzę, że odjęło ci gadkę. Nie dziwię się. Jak możesz się domyślić, kamera zarejestrowała też to, co działo się potem. Na parking zajechał wóz na niemieckich numerach. Mam mówić dalej?

– Nie trzeba. Macie całe nagranie?

– Na to wygląda. Technicy odczytują zapis.

– Chcę je zobaczyć.

– Zobacysz. Rozjaśnimy obraz i zobaczysz, jak pięknie kadrujesz się w kamerze.

Erwin ukrył twarz w dłoniach. Nie było sensu dłużej tego ciągnąć. Wiedział już wszystko.

– To nie ja – powiedział łamiącym się głosem. – Nie ja siedziałem za kierownicą. Obraz z kamery wszystko wam wyjaśni.

\* \* \*

Było po czwartej nad ranem, gdy opuszczał posterunek.

Numer zapisany przez Sońkę na kartce i wsunięty do bluzy Erwina wskazywał, że telefon był na kartę. Właściciel nie był zarejestrowany u żadnego operatora i nie odpowiadał, gdy Erwin spróbował się połączyć. Ale nie to było najważniejsze.

Zapis z kamery przyszedł tuż przed trzecią. Simone ubrana była w szary sweter do kolan, jasną bluzkę i ciemne spodnie. W świetle reflektorów, które przebijały noc, wszystko miało szaro-białą barwę.

Gdy wysiadała z mercedesa, prawą rękę miała schowaną za plecami. Zatrzymała się tylko na chwilę, żeby wziąć głęboki oddech.

Potem wszystko potoczyło się szybko. Nie było słycać rozmowy ani krzyku, kamera z audi nie wychwyciła dźwięku. Jednak mówiła do kogoś, gestykulowała. W końcu coś metalicznego błysnęło w jej dłoni i pobiegła w stronę lasu. Oprócz niej była druga kobieta. Niższa, z bardzo ciemnymi włosami. Simone wróciła do auta po kilkudziesięciu sekundach. Sama. Zachowywała się nerwowo, wycierała rękę o sweter, jakby była czymś pobrudzona.

Światła mercedesa zamigotały i wóz ostrym łukiem wycofał się na jezdnię. Zatoczył się, nie mogąc złapać balansu na drodze, po czym rozpedzony zniknął w otchłani nocy. Potem nastąpiła chwila spokoju. Do momentu, kiedy znów pojawiły się światła. To musiała być latarka, pewnie należąca do właściciela motelu. Światło odbijało się w szybie audi jak oszalałe. Znów spokój. Po szesnastu minutach cały parking zalany był już światłem. Białym i niebieskim. Policyjne wozy zablokowały drogę.

– Jest pan wolny – usłyszał Erwin. – Gdyby nie to nagranie, miałby pan poważne kłopoty. Badania balistyczne przyjdą za kilka dni, ale ten zapis nie pozostawia wątpliwości, że to nie pan pociągnął za spust. Proszę nie opuszczać kraju do odwołania. Nadal nie wiemy, czy nie działał pan w zмовie i skąd wzięła się broń w pańskich rzeczach, jednak na razie nie mamy podstaw do dalszego zatrzymania.

W głowie miał pustkę i rozpacz. Jego uczucie do Simone dawno wygasło, o ile w ogóle kiedykolwiek istniało. Była jednak matką Karla. Jak ma mu powiedzieć, że ta, która dała mu życie, odebrała je komuś innemu? Jak wytłumaczyć dziecku, że on sam także ma krew na rękach? Do tej pory jedyną formą przemocy, jaką znał Karl, było zbyt wczesne zagonienie go do łóżka lub zakaz oglądania filmów od lat dwunastu.

Karlowi będzie brakowało matki. Jeśli sprawa z Wiktorem wypłynie, jego syn nie będzie miał nikogo poza Gudrun. Dom już nie będzie domem, a rodzina – rodziną.

Szedł środkiem mokrej asfaltówki, po jego twarzy spływały krople deszczu. Burza nie odchodziła. Chmury odzywały się czarnym pomrukiem, z nieba spadały błyskawice, które ginęły w skibach rozoranych pól.

Nie odgarniał z czoła mokrych włosów ani nie przecierał oczu. Nie czuł dyskomfortu związanego z mokrymi nogawkami czy przyklepionym do pleców podkoszulkiem. Mijały go światła jadących aut, a klaksony przeganiały na pobocze. Nie słyszał ich, pogrążony we własnych myślach. Oprzytomniał, dopiero gdy poczuł wibrowanie w kieszeni spodni.

Przystanął pod wiatą PKS i wcisnął zieloną słuchawkę.

– Cis – powiedział i odchrząknął.

– To ja. Helena Wirska.

Nie był pewien, czy mu się śni, czy naprawdę słyszy głos matki Izabeli.

– Wiem, że dopiero świta. – Głos kobiety był słaby i zanikał. – Nie chciałam pana budzić, ale sam pan mówił, że gdyby stało się coś dziwnego...

– Nie śpię, proszę mówić.

– Ja, doprawdy, przepraszam, nie wiem, czy dobrze robię, dzwoniąc do pana, Erwinie. Od kilku godzin biłam się z myślami, czy powinnam...

Rozmowa z Wirską była ostatnią rzeczą, jakiej mógł się spodziewać o tej porze i do tego pośrodku pól ciągnących się po horyzont. Wydała mu się niespokojna, jej słowa rwały się i plątały.

– Dziś, to znaczy wczoraj wieczorem, znów zadzwonił telefon.

– Tak?

– O ósmej. Na początku była cisza, jak zwykle. Ale potem... potem usłyszałam głos.

– Rozpoznała go pani?

W słuchawce dało się słyszeć jęknięcie, jakby dławiła się od płaczu.

– Tak. Usłyszałam coś jakby „mamo”. Myślałam, że to jakiś żart, ale powtórzyła to słowo jeszcze raz. Głośniej i wyraźniej. Niech mi pan wierzy, że nie ma na świecie matki, która nie rozpoznałaby tego słowa, gdy wymawia je jej dziecko. Wszędzie i o każdej porze. Nie ma matki... – W słuchawce dał się słyszeć cichy skowyt. – To była ona! To była moja córka!

Erwin łapał powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Gdyby nie betonowa wiatka, opadłby bez sił na zalegające pod nogami błoto. Przywarł plecami do wilgotnej ściany przystanku, czując, jak miękną mu kolana. Ulga i lęk, euforia i trwoga kłębiły się w jego głowie, nie pozwalając na trzeźwą ocenę tego, co usłyszał. Tym razem rozsądek przyćmiła niczym nieskrępowana pewność, że to, co powiedziała mu matka Izabeli, jest prawdą. Rozpoznawał to każdą komórką ciała, każdym mięśniem.

Chciał coś odpowiedzieć, ale słowa więzły mu w gardle i mieszały się z wyrzucanym z płuc cichym rżeniem. Jego wiara w to, że Izzy żyje, była do tej pory jak cienkie szkło, które może pęknąć pod byle naporem. Ale była też nadzieją tak silną jak ludzka wiara w Boga.

– Jesteś tam, chłopcze?

Erwin potarł wykrzywioną w gorączce twarz. Z wolna łapał oddech, ale serce wciąż łomotało

jak oszalała.

– Tak. Izzy żyje – wybełkotał. – Dziękuję, że pani do mnie zadzwoniła. Czas, żeby ten koszmar wreszcie się skończył.

Oczekiwał, że matka Izabeli powie to samo. Ona jednak milczała.

– Pani Heleno, czy chce mi pani powiedzieć o czymś jeszcze? Czy Izabela powiedziała coś więcej?

– Nie. Nic więcej nie słyszałam. Gdy dotarło do mnie, że to może być prawda, oszalałam ze szczęścia, całkiem odeszłam od zmysłów. Potem jednak coś mnie zastanowiło. To może nie mieć żadnego znaczenia, ale...

Erwin docisnął telefon do ucha. Bał się, że w każdej chwili może stracić zasięg, a on za żadne skarby świata nie chciał pozostawić tej rozmowy niedokończoną.

– Niech pani mówi!

– Widzi pan, to wszystko było takie niezwykle. Jak powiedziałam, wtedy o tym nie pomyślałam, ale gdy połączenie zostało przerwane i odłożyłam słuchawkę, uświadomiłam sobie, że do tej pory telefon zawsze dzwonił we czwartki. Rozumie pan? W każdy czwartek od dnia pogrzebu.

– Zgadza się.

Cisza na linii dłużyła się w nieskończoność.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Tylko tyle, że tym razem telefon nie zadzwonił w czwartek, jak zwykle. Wczoraj była sobota.

Biegł. Musiał dotrzeć do głównej drogi. Znów słyszał klaksony. Zewsząd. Trąbiły na zewnątrz i w jego głowie.

Gnał przemoczony do szpiku kości, ale z nadzieją w oczach.

Izzy żyła, tylko to miało teraz znaczenie.

\* \* \*

Światło w oknie przy ulicy Jelinka na warszawskim Żoliborzu nie zgasło tak szybko. Helena Wirska siedziała nieruchomo w fotelu aż do brzasku.

Nadzieja na to, że telefon zadzwoni ponownie, a ona usłyszy to jedno słowo, była silniejsza od zmęczenia i braku snu. Co jakiś czas podnosiła słuchawkę, by sprawdzić, czy jest sygnał. Jeśli telefon znów zadzwoni, musi być tu, w tym miejscu. Musi czekać.

Nie wybrała numeru do męża. Wykrzyczałby, że oszalała, że roi sobie w głowie nieistniejące historie. Erwin był jej jedynym sprzymierzeńcem. Gdy po raz pierwszy stanął przed furtką ich

domu, odniosła wrażenie, że historia jej córki jeszcze się nie zakończyła.

Kiedy usłyszała o śmierci Izabeli, jej serce stanęło. W chwili gdy mąż wrócił z identyfikacji zwłok i potwierdził, że to ich córka leży w kostnicy, jej życie się zatrzymało. To nieprawda, że nie chciała oglądać ciała. Pojechanie tam i stanięcie twarzą w twarz ze śmiercią było ponad jej siły. Pragnęła zapamiętać ją żywą. Dlatego odmówiła ostatniego pożegnania, jakie oferował zakład pogrzebowy, nie chciała patrzeć na ciało leżące w trumnie. Przez męża podała czarną sukienkę, rajstopy i buty. Wsiadł w samochód i pojechał. Nie wyrzucał jej wtedy, że marna z niej matka. Pojechała tylko na pogrzeb, nie widziała, kogo zamknięto w trumnie i skremowano.

Kiedy kilka godzin temu odebrała telefon, wszystko wróciło. Głos w słuchawce był słaby, ale z pewnością należał do kobiety.

A jeśli to wszystko nieprawda? Jeśli ktoś robi sobie drwiny z jej bólu, podszywa się pod jej córkę? Nie, to niemożliwe. To na pewno była ona. Tak, na pewno.

„Mamo” brzmiało inaczej niż zwykle. Połączenie mogło zdeformować jej głos, mogła mieć problem z gardłem, mogła nie mieć czasu, żeby powiedzieć to słowo powoli i wyraźnie, mogła...

Pośpieszyła się. Powinna była to wszystko jeszcze raz przemyśleć, zanim wykręciła numer do tego chłopaka. Bańki mydlane pękają szybciej, niż się tworzą. A przecież ten telefon był cienką bańką, która, choć piękna i w kolorach tęczy, w każdej chwili mogła zniknąć.

Radość zaczęła powoli ustępować zwątpieniu i poczuciu winy. Jeśli okaże się, że to była tylko czyjaś głupia zabawa, skrzywdzi nie tylko siebie, ale i jego. Człowieka, który postawił wszystko na jedną kartę, żeby poznać prawdę o Izabeli.

\* \* \*

Pierwszy tego ranka prywatny bus relacji Warszawa – Mikołajki wiozł ze sobą tylko czterech pasażerów. Dwie kobiety przyciśnięte do mokrych szyb drzemały, ściskając na piersiach torebki z dokumentami i pieniędzmi. Młody mężczyzna z synem zajmowali siedzenia z tyłu autokaru. Dzieciak spał na kolanach ojca, który zajął się przeglądem porannych wiadomości w Internecie.

Kierowca zainkasował od Erwina ostatnie dwadzieścia euro, jakie ten miał w portfelu, i zamknął z sykiem automatyczne drzwi. Dyskretnie wsunął banknot do kieszeni spodni i nacisnął gaz.

Erwin, wzorem śpiących kobiet, usiadł przy oknie i oparł głowę o szybę. Do Mikołajek była godzina drogi. W sam raz, żeby złapać oddech i spróbować uspokoić krew w żyłach, zanim postanowi, co robić dalej.

Na razie zamknął oczy i poddał się miarowemu buczeniu silnika.

Gdy otworzył powieki, zobaczył najpierw czerwone dachy kamieniczek na placu Kościelnym, a potem zamkniętą budę z hamburgerami. Drugi dzień bez jedzenia, nie licząc słonych orzeszków w hotelu, na dobre przykleił mu żołądek do kręgosłupa.

Czwórka pasażerów wygramoliła się z autokaru żegnana mrukliwym „do widzenia” kierowcy.

– A my tak, jak było umówione. – Erwin oparł się o fotel i pokazał wyjazd z dworca. – Za dwudziestaka pod same drzwi.

Kierowca wyjął paczkę marlboro z wiszącej przy głowie kurtki.

– Pan tak z rana pewnie do dziewczyny? – Przetrzepał kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki.  
– Niedawno też takiego wiozłem. Z przepustki. Gęba mu się śmiała na myśl, że za chwilę wskoczy jej do łóżka. Co, do dziewczyny?

– Daj pan lepiej zapalić.

Kierowca podsunął paczkę z papierosami.

– Też kiedyś byłem młody i miałem swoje potrzeby. Trochę tu, trochę tam, zawsze jakaś była pod ręką, zwłaszcza w moim zawodzie. Miałem, bracie, branie, że nie szło się opędzić. Ale teraz... – Mężczyzna westchnął nad swym losem. – Teraz to mi tylko tyłek pokazują te, co przy trasie stoją.

Wyszli na zewnątrz. Kierowca zapalił papierosa i podał Erwinowi zapalniczkę. Przez plac przechodziły dwie zakonnice zmierzające do kościoła na poranną adorację. Kierowca wymierzył w nie zaciśnięte na papierosie palce.

– Myśli pan, że to normalne, tak całe życie bez chłopa?

– Wszystko jest kwestią wyboru – odpowiedział Erwin i wypuścił dym w niebo.

Jego wybory, od kiedy pamiętał, były złe. Jedyne, co mu w życiu wyszło, to Karl i czas, który dany mu było spędzić z Izabelą. Zbyt krótki, zakończony w sposób, o jakim wolałby nie pamiętać. Później było już tylko gorzej. Przez ostatnie lata był jak robot, jego świadome wybory ograniczały się do wyboru krawata przed wyjściem do biura. Zbyt długo prowadził życie kogoś, kim w rzeczywistości nie był.

– Ruszajmy już. – Rzucił pod nogi peta i wszedł do autokaru.

Kierowca pstryknął niedopałkiem przed siebie i odchrząknął w kułak.

– Do Starych Sądów krótka droga, zaledwie cztery kilometry. Na nogach można iść. – Lodowaty wzrok Erwina doprowadził szofera za kółko. – Będziemy na miejscu najdalej za dziesięć minut.

\* \* \*

Znów bruk, brama z napisem Raj i hotel kryjący się za spacerowymi alejkami.

Erwin potarł rękami ramiona. Przyklepiona do pleców mokra bluzka potęgowała uczucie zimna. Od Tałt wiało, jakby właśnie miała się zacząć jesień. Nad wodą wiatr dokuczał najbardziej. Po jeziorze niosły się bure fale kropione przelotnym deszczem, który czekał tylko na odpowiednią chwilę, by przemienić się w ulewę. Odkąd słońce uznało, że wyczerpało swój limit grzania w tej części Europy, jego siostra szaruga skutecznie wypełniała sobą każdy zakątek Mazur.

Autokar ze sfrustrowanym seksualnie kierowcą zniknął za zakrętem. Erwin podszedł do stojącego na parkingu motocykla i sięgnął do skórzanej sakwy. Wczorajsza kanapka z salami i rozpuszczonym masłem smakowała jak ambrozja. Po dwóch kęsach bułka zniknęła w pustym żołądku, który natychmiast zareagował tęnym bólem, jak po uderzeniu z łokcia.

– To ty? – Erwin najpierw usłyszał pytanie, a zaraz potem buczenie akumulatora, który rozładował się akurat w momencie, gdy wózek inwalidzki podjechał na parking. – Czekałem na ciebie.

Szeroko otwarte oczy Dominika były zmęczone z niewyspania, mimo to w jego głosie nie dawało się wyczuć żalu za straconą bezpowrotnie nocą. Chłopak wyciągnął rękę, żeby przybić zwyczajową piątkę, ale zamiast tego ręka zawisła w powietrzu.

– Co jest, Erwin? – Dominik z rozczarowaniem opuścił dłonie.

Erwin zaczął iść w stronę wejścia do hotelu, nie bacząc na to, że chłopak złapał za koła wózka i coraz szybciej napędza je rękami.

– Poczekaj! – dobiegł go dyszący głos Dominika. – Nie wolno zaprzyjaźniać się z kimś, a potem traktować go jak powietrze! Tak się nie robi, to nie fair!

– Myślałem, że będziemy mówić sobie prawdę. – Erwin zatrzymał się i stanął na wprost chłopaka.

Dominik zahamował rozpędzone koła wózka.

– Nie wiem, o co ci chodzi, Erwin.

– Powiedziałeś, że nigdy nie widziałeś kobiety z wypadku.

– Bo to prawda.

– Powiedziałeś też, że nie było tu nikogo w maju. Oszukałeś mnie, mój młody przyjacielu.

Kroki Erwina ponownie skierowały się w stronę wejścia do hotelu Raj.

– Nie powiedziałem, że nie było tu nikogo w maju. Powiedziałem tylko, że ta, która była trupem z wypadku, nie mieszkała tu.

Erwin Cis stał już na stopniu prowadzącym do recepcji. Odwrócił się w stronę chłopaka. Siedział nieruchomo, zrezygnowawszy z dalszej gonitwy. Stopy, tym razem w butach, były, swoim zwyczajem, lekko skrzywione do środka. Jego dłonie leżały splecione na udach. Starannie ułożoną czuprynę przyprószyły drobne krople deszczu, które wyglądały jak połyskujący na włosach żel.

– Jesteś pewien?

Kiwnął głową i strzelił kostkami palców.

– Ta, która była tu w maju, odjechała. Widziałem przez okno.

Erwin zeskoczył ze schodków i podszedł do wózka. Ukucnął przy nogach Dominika.

– Odjechała autem?

– Tak.

– Poczekaj. – Szybko odszukał zdjęcie Izabeli w telefonie. Zbeształ się w myślach, że nie zrobił tego w chwili, kiedy siedzieli razem na pomoście. Wiadomość o śmierci Sońki wytrąciła go z równowagi i zapomniał o trzymanej w telefonie fotografii. – Przypatrz się jej dobrze. Poznajesz?

– Tak. To była ona.

Wszystko się zgadzało. Matka Izabeli nie mogła się mylić. Ona żyła.

– Odjechała sama?

– Nie pamiętam. Ale widziałem ją przez okno, jak szła przez parking.

– Pomyśl. Musisz sobie przypomnieć. Wróć do tamtego dnia. Blondynka ze zdjęcia wychodzi przed hotel.

– Uhm. Ma na sobie czarną skórzaną kurtkę. Buty też ma czarne, za kostkę.

– Idzie przez parking.

– Uhm, tak było. Auto stało na miejscu numer trzy.

– Tam, gdzie stoi teraz mój motocykl?

– Właśnie tam. Za drzewem.

– Otwiera bagażnik i wkłada do niego walizkę. Pamiętasz jej walizkę?

– Pamiętam. Miała dużo nalepek.

– Zgadza się. Były nalepki. Potem zatrzaskuje bagażnik i...

– Poprawia włosy. Jest chłodno, więc zapina kurtkę pod szyją.

– Dobrze. Zapięła kurtkę. Co dalej?

– Staje przy drzwiach od samochodu.

– Otwiera je?

– Tak. Ale zaraz potem zamyka.

– Nie wsiada do środka?

– Nie.

– Wraca do hotelu?

– Nie, cały czas jest na parkingu. Po chwili auto odjeżdża.

– A więc musiała do niego wsiąść. Przypomnij sobie.

– Nie widziałem, jak wsiada. Kręciła się wokół auta, a potem zniknęła mi z oczu. Parking był pusty.



– To niemożliwe. Ludzie nie rozpływają się w powietrzu.

Dominik wzruszył ramionami.

– Mówię tylko to, co widziałem z okna.

Erwin obejrzał się za siebie.

– Z którego okna?

Palec Dominika powędrował do góry i wskazał okno znajdujące się nad głównymi drzwiami budynku.

Chłopak bez słowa włożył Erwinowi klucz do ręki.

Kiedy Erwin przyciągnął krzesło do okna i usiadł na nim, by mieć na wysokości oczu to, co miał owego dnia Dominik, wszystko stało się jasne. Miejsce parkingowe numer trzy było częściowo zasłonięte przez rozrośnięte drzewo. Chłopak mówił prawdę. Nie mógł widzieć, jak Izzy wsiada do auta. Nie wsiadła po stronie kierowcy. Otworzyła drzwi po stronie pasażera i odjechała nie wiadomo z kim i nie wiadomo dokąd.

\* \* \*

Pokój Erwina znów wyglądał przyzwoicie. Poza wyrwaną ze ściany listwą z kablami, teraz solidnie zabezpieczoną przez Bejsbolistę, wszystko znów było na swoim miejscu. Karta kredytowa Deutsche Banku uregulowała koszt naprawy i dorzuciła małą prowizję za poniesione straty moralne.

Po nocy na komisariacie i wędrownce w deszczu potrzebował chwili spokoju. Zrzucił przemoczone ubranie i usiadł na przytwierdzonym do ściany prysznicą plastikowym siedzisku, poddając się uderzeniom strumieni wody. To, co stało się z Izzy, zaczynało nabierać sensu. Odjechała stąd żywa, śmierć na drodze poniósł ktoś inny. Wirski potwierdził, że to ona jest ofiarą wypadku. Zorganizował spalenie zwłok i umieścił prochy w urnie. Jedyne, co mogła zrobić, to dawać sygnał głuchym telefonem, że gdzieś jest i pamięta.

Wytań plecę i zasłonił biodra ręcznikiem. Włączył czajnik, wody wystarczyło, by zalać rozpuszczalną kawę do połowy filiżanki. Wsypał całą torebkę cukru i dodał mleka w proszku. Kawa nie była najgorsza i pachniała przy tym tak, że nie potrafił powstrzymać się przed zanurzeniem w niej ust. Rozgrzewający łyk wrzątku przebiegł przez gardło i dotarł do żołądka, wywołując dreszcze na całym ciele.

Ktoś zapukał do drzwi. Erwin zacisnął mocniej ręcznik i ruszył do przedpokoju. Za drzwiami na wózku siedział jego młody przyjaciel.

– Wreszcie naprawili windę. Ojciec nie musi taszczyć mnie po schodach jak jakiejś kukły. Do towarowej nie wolno mi wjeżdżać, bo jest zarezerwowana tylko dla sprzątaczek, a ja nienawidzę, jak ktoś musi mi pomagać. Dobrze, że przynajmniej podłożyli porządną platformę pod drzwi

z kuchni. Koła trochę się na niej ślizgają, ale nie narzekam. Gdyby nie ten kawał blachy, w ogóle nie wychodziłbym z budynku.

Pchnął kołem drzwi i rysując je gumą, wjechał do środka.

– Trzymaj, to dla ciebie. – Podał Erwinowi reklamówkę z czymś ciężkim i brzęczącym. – W jednym słoiku są ziemniaki, a w drugim gulasz. Powiedziałem matce, że zjem w pokoju, ale nie jestem głodny.

Erwin odkręcił wieczka. Na widok parującego mięsa zaprawionego śmietaną język niemal wyleciał mu spomiędzy zębów. Zaczął wyjmować ze środka kawałki wieprzowiny łyżeczką po kawie.

– Między nami zgoda? – Dominik upewnił się, że próba przekupstwa zadziałała.

Erwin bał się otworzyć usta, żeby nic z nich nie wypadło. Kiwnął tylko głową, że łapówka została zaakceptowana, nawet jeśli nie dorzucano do niej skromnej porcji mizerii.

– Muszę powiedzieć ci o czymś jeszcze. – Chłopak podał mu papierową serwetkę i rozejrzał się po ścianach. – Kiedy ta blondynka ze zdjęcia wyjechała, jej pokój zamknięto. Zwykle sprząta się po gościach i tyle. Ale tym razem było inaczej. Nie wpuszczono do niego pokojówki. Dyrektor jej zabronił. Innym osobom z obsługi również, z wyjątkiem mojego ojca.

Erwin przełknął kolejny kawałek mięsa i postawił słoik na udzie.

– Wiesz dlaczego?

– Ojciec mnie zabije, jeśli ci o tym opowiem. Obiecuj, że mnie nie wsypiesz.

– Masz moje słowo, mów.

Dominik na wszelki wypadek ustawił wózek inwalidzki bokiem do wejścia, by ograniczyć ryzyko, że ktoś zniemacka otworzy drzwi i usłyszy ich rozmowę.

– Ojciec mówi matce o wszystkim – zaczął z powagą. – O tym, co robił każdego dnia, z kim rozmawiał i co widział. Tak było od zawsze. Nigdy nie zwracał uwagi na to, czy jestem w pobliżu i słucham, o czym rozmawiają. Zresztą nie było dotąd niczego ważnego, z czego robiłyby tajemnicę. Nie gniewaj się, ale mówił też źle o tobie, nie tylko za zamkniętymi drzwiami.

– Nie wszyscy muszą mnie kochać, mów dalej.

– Tamtego dnia, kiedy siedziałem w oknie, ojciec wszedł do mieszkania bardzo zdenerwowany. To było mniej więcej godzinę po wyjeździe tej twojej dziewczyny ze zdjęcia. Matki nie było z nami, szykowała obiad w kuchni. Byliśmy w mieszkaniu sami. Ojciec podszedł do szafy i wyjął z niej czystą koszulę. Zdziwiłem się, bo nigdy nie przebiera się w środku dnia bez powodu. Chciałem spytać, czy pobrudził się farbą lub rozdarł rękaw o coś ostrego, ale miał zaciętą minę i nie był skory do rozmów. Tak naprawdę nawet na mnie nie spojrzał, a przecież zawsze stara się do mnie zagadać, jak jestem w pobliżu. Czasami te jego gadki wychodzą mi bokiem, bo ile można opowiadać o ćwiczeniach nóg czy bólu w mięśniach. A jednak wtedy zachowywał się tak, jakby mnie tam wcale nie było.

Dominik opuścił głowę ze smutkiem, ale zaraz wyprostował szyję i bezgłośnie pociągnął nosem.

– Kiedy wyjął tę czystą koszulę z szafy, od razu poszedł do łazienki. Słyszałem, jak leje wodę z kranu i krząta się za ścianą. Po kilku minutach wyszedł, czyściuteńki i pachnący Old Spice'em. W całym mieszkaniu czuć było zapach.

– Old Spice? W sam raz dla niego.

– Nie przerywaj. I nie wyśmiewaj się, to w końcu mój ojciec.

– Przepraszam. Co było dalej?

– Nic. Wyszedł. Słyszałem, jak otwiera drzwi prowadzące na schody przeciwpożarowe.

– Dlaczego nie pojechał windą? Przecież jest tuż przy waszym mieszkaniu.

– Winda została zamknięta dzień wcześniej, dlatego nie mógł z niej skorzystać. Poszedł więc na piechotę. Ojciec ma ciężki chód, więc w myślach liczyłem stopnie, które właśnie pokonuje, choć i tak wiem, ile jest wszystkich schodów w hotelu. Niewiele, zaledwie trzydzieści dziewięć. Trzy prowadzą do wejścia, pozostałe dzielą się po równo na przeciwpożarowe i zwykłe, po których wchodzi goście. Na każde piętro prowadzi dziewięć stopni. No i na dach można wejść po metalowej drabinie. Ma czternaście szczebli.

– To takie ważne, ta liczba schodów?

– Nie, zupełnie nie! – Dominik roześmiał się. – To, że o tym wspomniałem, nie ma nic do rzeczy. Wiem też, ile jest w budynku wszystkich okien i kurków z ciepłą i zimną wodą. Nie mam nic innego do roboty, to sobie liczę i zapamiętuję.

– Dziwny z ciebie dzieciak. Nie wolisz pograć w jakieś gry?

– Próbowałem, ale wolę książki.

– Jasna sprawa. Wróćmy do tamtego dnia. Twój ojciec wyszedł z mieszkania...

– Tak. Poszedł na górę. Wtedy nie wiedziałem jeszcze po co. Ale wieczorem, kiedy było już cicho i rodzice zamknęli się w sypialni, słyszałem, jak ojciec opowiadał mamie o tym wszystkim.

– O koszuli?

– Słyszałem, jak mówił o krwi, którą pobrudził sobie rękaw.

Erwin odstawił słoik na stół.

– Jesteś pewien?

– Całkowicie. Musiał zmienić ubranie, bo dotknął krwi. Musiało być jej dużo, bo na drugi dzień zobaczyłem, że koszula nie poszła do prania, ale do kubła ze śmieciami. Podejrzewam, że ktoś, kto tu był, musiał się porządnie zranić, skoro ojciec tak długo czyścił pokój. Potem zamknął go na cztery spusty, żeby nie było domysłów i plotek.

– Powiedziałeś, że winda została wyłączona poprzedniego dnia. Ojciec nie mówił dlaczego?

– Ktoś rozbił lustro. Strzaskalo się i część szkła odpadła. Reszta groziła pokaleczeniem.

– Kto mógł je roztrzaskać? Poza personelem i tą dziewczyną nie było tu innych osób. Może któraś ze sprzątaczek uderzyła w lustro wózkiem z pościelą?

– Sprzątaczkę jeżdżą tylko windą towarową, nie korzystają z windy dla gości. Wożą ze sobą odkurzacze i, jak sam zauważyłeś, wózki z ręcznikami i prześcieradłami. Żadne lustro nie przetrwałoby tam dłużej niż tydzień.

– Kto więc mógł to zrobić?

– Nie mam pojęcia.

– Dobrze zatem. Załóżmy, że to była ta dziewczyna z mojego pokoju. Zasłała w windzie, upadła i roztrzaskała lustro. Musiała się pokaleczyć. Widziałeś, żeby miała opatrunki? Może kulała? Wzywała kogoś z recepcji, żeby przyniesiono jej do pokoju bandaż? Jeśli miała rozciętą skórę, w pokoju też mogły być plamy krwi, a twój ojciec starał się je wywabić.

Dominik zmarszczył czoło i wykrzywił twarz.

– Nic o tym nie wiem. Nie zauważyłem też, by coś jej dolegało. Kiedy wsiadała do auta, zachowywała się zwyczajnie. Nie miała rozbitej głowy ani opatrunku na ręce. Nic z tych rzeczy.

Erwin podniósł się z łóżka i sięgnął do torby po zmiędloną koszulę. Granatowa krata zakamuflowała wszystkie zagniecenia. Pod ręcznikiem, który przewiązywał jego biodra, wciągnął bokserki, a na nie płócienne spodnie.

– Czy w windzie dla gości jest zamontowana kamera? – spytał, zapinając suwak i guzik od spodni.

Dominik uśmiechnął się kpiąco i skierował koła wózka w kierunku wyjścia.

– Będziesz musiał mi za to kupić nowe słuchawki do mp4.

– Wszystko, co zechcesz. Nawet prywatny odrzutowiec.

Erwin chwycił ręczki wózka i popchnął go w stronę drzwi. Koło ponownie zarysowało okleinę, po czym wózek podskoczył na niewielkim progu. Dominik wskazał palcem koniec korytarza, gdzie metalicznie połyskiwały drzwi windy towarowej.

– Musimy zjechać na sam dół, do piwnicy – powiedział, gdy znaleźli się wewnątrz. – Tam jest kotłownia i wszystkie urządzenia sterujące hotelem.

– Wiesz dokładnie, gdzie szukać?

Chłopak spojrzał na Erwina z politowaniem.

– Proszę cię...

Dźwig windy towarowej dotarł do poziomu -1. Jej drzwi nie były już tak eleganckie jak na piętrach dla gości. Wyglądały, jakby ktoś przeniósł je żywcem z wieżowca na warszawskiej Pradze. Najwyraźniej Bejsbolista nie dotarł tu jeszcze ze swoim pędzlem, bo z grubej blachy płatami odłaziła farba w kolorze strażackiej czerwieni.

– W prawo – powiedział Dominik i rozejrzał się po piwnicznym korytarzu, sprawdzając, czy

nie natkną się na kogoś z hotelowej obsługi.

Korytarz był wąski, pod sufitem zamocowano lampy typu słoik, z kloszami o grubych, gładkich szklach, powkręcane w pokryte rdzą oprawki. Pomieszczenia rozlokowane były tylko po lewej stronie przejścia.

Jednym z nich była pralnia, zza jej nieodkniętych drzwi unosił się intensywny zapach proszku do prania. Piwnica nie miała żadnych okien, więc chemiczny aromat wżarł się w mury korytarza.

Dominik podniósł rękę i dał znak, by jechać dalej. Musiał podpatrzeć ten gest u Szeregowca Ryana lub na Pearl Harbour, brakowało tylko okopów i wybuchających na horyzoncie bomb.

Minęli drugie drzwi z tabliczką „Skład na bieliznę”. Wisiała przy nich gaśnica i szklana gablota z siekierą przeciwpożarową.

– To tu. – Dominik zatrzymał się przy trzecich drzwiach. – Serwerownia.

Drzwi wyglądały identycznie jak dwoje poprzednich, z tą różnicą, że zamiast klasycznej klamki tkwiła w nich nieruchoma gałka. Tłumaczył to zainstalowany przy framudze sterownik kontroli dostępu.

Erwin, licząc na cud, napał barkiem na drzwi, ale ani drgnęły. Oparł dłonie na biodrach i bezradnie popatrzył na dwanaście przycisków z cyframi, gwiazdką i krzyżykiem.

– Jest mały problem. Nie mogłeś mnie o tym uprzedzić?

Chłopak parsknął śmiechem.

– Dwa, siedem, dziewięć, zero, gwiazdka. No, nie patrz tak na mnie, tylko wciśnij.

Erwin rozluźnił mięśnie twarzy, które zacisnęły się na widok pudełka z szyfrem, i posłusznie wstukał kolejne przyciski.

– Skąd znasz szyfr? Nikt nie mówi takim dzieciakom jak ty, jak się dostać do tego typu miejsc.

– Widziałem kiedyś, jak ktoś tu wchodził, i zapamiętałem kombinację. Straszny mi problem. Otwieraj Sezam i rób, co masz robić, byle prędko.

Erwin pchnął drzwi i wprowadził wózek z Dominikiem do środka.

Pomieszczenie było wielkości dużego pokoju w bloku, pod ścianami stały metalowe szafy, trzy biurka, a na nich po kilka komputerów z monitorami i rozrzuconymi magazynami „PC Format” i „Computerworld”.

Choć sprzęt wyglądał na nowy, a pod ręką leżały stosy fachowej literatury, pokój dumnie ochrzczony serwerownią nawet w tysięcznej części nie przypominał szwedzkiej serwerowni Facebooka zasilanej przez hydroelektrownię i rozprowadzającej ciepło z komputerów do ogrzewania budynku. To, na co patrzył Erwin, można było co najwyżej porównać do zagraconego cudami techniki pokoju Pałacza.

Rozczarowanie rysujące się na twarzy Erwina rozbawiło Dominika.

– Liczyłeś na coś więcej? To tylko kilka kabli i wtyczek. Chcesz się rozejrzeć?

– Nie mam na to czasu. Chcę zobaczyć, co dzieło się w windzie. Trzymacie tu chyba zapisy cyfrowe?

– Tak, ale tylko przez jakiś czas. Najwyżej dziewięćdziesiąt dni. Potem przyjeżdża serwisant z miasta i niszczy nagrania. Przy okazji sprawdza, czy sprzęt działa bez zarzutu.

– Trzy miesiące. – Erwin szybko przeliczył w myślach, ile minęło od wypadku na drodze. – Czy od maja zaglądał tu człowiek od sprzętu, ten konserwator?

Chłopak się zamyślił.

– Ja go nie widziałem. W ciągu roku szkolnego przyjeżdżam tu tylko na weekendy. A i tak nieregularnie. Sam rozumiesz, szkoła i te sprawy. Chcę w przyszłym roku wystartować w olimpiadzie biologiczno-chemicznej.

– Jasne, trzeba wiedzieć, co dzieje się w świecie DNA i innych odkryć.

– Wiem. Moje DNA załatwiło mnie na cacy.

Erwin wyminął wózek Dominika i stanął pośrodku serwerowni. Rozejrzał się po szafkach i pustych biurkach.

– Gdzie trzymane są dane z kamer?

– Najpierw na twardym dysku, a potem są zrzucane na osobny serwer.

– Czyli?

– Tam. – Dominik wskazał brodą jedną z metalowych szaf stojących pod ścianą. – Ta z kluczykiem w zamku.

Serwer był niewiele większy od wieży stereo. Od szafy biegła po podłodze plątanina kabli, która docierała do komputera na biurku. Dominik potarł ręką czoło.

– Wiesz, jak to zrobić, Erwin? Ja ci w tym nie pomogę. Nie mam pojęcia, jak dostać się do tych danych.

Erwin patrzył na zmianę na migające diody i zegarek. Miał coraz mniej czasu, a świadomość, że w każdej chwili ktoś może tu wejść, nie pomagała.

– Poszukaj zewnętrznej pamięci. To małe, płaskie pudełko. Sprawdź w szufladach pod biurkami.

– A ty?

– Coś wymyślę. No, dalej, szukaj.

Koła wózka potoczyły się po betonowej wylewce. Dominik podjeżdżał po kolei do blatów biurek i wysuwał spod nich szuflady. Grzebał między pozwijanymi kablami, złączkami i miernikami elektrycznymi.

– Nie ma tu nic takiego.

– Szukaj dalej, musi być.

O podłogę uderzyła brudna, lepka klawiatura. Dominik schylił się z trudem, ale nie mógł jej

dosięgnąć.

– Zostaw ją, szkoda czasu.

Erwin czuł rosnącą frustrację, patrząc na pulsujące diody serwera. Nie mógł już dłużej przekonywać samego siebie, że wie, co robić. Klnąc pod nosem, sięgnął po komórkę, ale w piwnicy nie było zasięgu.

– Jest tu inny telefon?

Zanim Dominik zdążył zareagować, dopadł do biurek i zaczął zrzucać z nich magazyny. Betonowa podłoga zasłala się kolorowymi okładkami z krzyzącymi hasłami „Super CD”, „Superpakiet”, „Supermegagry na wakacje”. Gdy ostatnia gazeta z „Superantywirusem” spłynęła mu pod nogi, zobaczył wciśnięty pod ścianę aparat telefoniczny. Sprawdził, czy jest sygnał. Był. Wybrał znajomy numer i zastygł w oczekiwaniu.

– Odbierz, Palacz... odbierz do ciężkiej cholery...

Nie poddawał się, trzymał słuchawkę przy uchu, modląc się, żeby nie stracić bezpowrotnie szansy na poznanie prawdy o ostatniej dobie, którą Izabela spędziła w hotelu Raj.

Wskazówki zegarka nieubłaganie przesuwały się do przodu. Towarzyszyło im miarowe szczękanie zamykanych przez Dominika szuflad.

– Chyba coś mam! – Chłopak aż podskoczył na swoim wózku. W ręku trzymał dysk. – Myślisz, że się nada?

– Włącz jeden z komputerów i podepnij się kablem. Jeśli pamięć jest pełna, skasuj wszystko. Potrzebne będzie dużo miejsca. Umiesz to zrobić?

– Skasować dane? Nie obrażaj mnie, Erwin.

Po dziesięciu minutach, kiedy Erwin miał już odkładać słuchawkę, odezwał się w niej długo oczekiwany głos. Zwykle radosne „Wciąż żyjesz, stary?” zastąpiło wściekłe „Co za idiota!”. Uroczą wiązaną zdawała się nie mieć końca.

– Przestań wrzeszczeć, Palacz! To ja.

– Co za „ja”? – Głos Palacza płynął na wezbranej fali furii.

– Erwin.

– Cis? – Palacz w mig zamienił się z ziejącego ogniem smoka w dziewczącą rusałkę. – Wciąż żyjesz, stary? Dżizas, dobijasz się, jakby ci odchodziły wody płodowe. Człowieku, dałbyś mi się porządnie wyspać przy świętej niedzieli!

Erwin dla pewności spojrział na zegarek. Dochodziła pierwsza po południu.

– Wyśpisz się kiedy indziej. A teraz posłuchaj.

Palacz nie przerywał swemu rozmówcy, dopóki ten nie skończył mówić.

– Chcesz zgrać dane? To łatwizna. – Mirek poczuł się jak władca w krainie Matrixa. – Rób, co powiem.

Erwin wykonywał wszystko zgodnie z instrukcjami, chociaż łatwizna w wydaniu Palacza

przyprawiała go o zawał.

– Skoncentruj się, Cis. To jest jak spacer po parku. Najpierw włącz Midnight Commandera. Masz? Przejdź teraz do menu. Tak... dobrze. Połączenie po powłoce. Widzisz okno dialogowe?

Erwin za każdym razem kiwał bez słowa głową. Obraz z serwerowni musiał biec zdalnie do centralnej Polski, bo Palacz stwierdził zadowolony:

– Malinowo. Podaj teraz nazwę użytkownika, potem daj małą i wpisz słowo „serwer”.

Palce Erwina zawisły nad klawiaturą.

– Jest problem, Palacz. I to cholerny.

– Co jest?

– Nie znam nazwy użytkownika.

– Cis, musisz go znać, bez tego dalej nie pojedziemy.

– To nie jest mój komputer, Palacz. Wymyśl, jak to obejść.

– Nie da rady, Cis. Znajdź użytkownika. W przeciwnym razie możesz zgasić światło i iść porzucać kaczki na wodzie.

– Nie mów do mnie, jakbym był dzieckiem, które pierwszy raz siada przed komputerem.

– Odwróć klawiaturę. Ludzie lubią przyklepać na spodzie swoje hasła. – Palacz nie chciał zrezygnować z przetartej ścieżki dostania się do cudzych danych.

Erwin podniósł klawisze, ale nie było tam nic poza okruchami z ciastek.

– Kto tu zwykle pracuje, znasz nazwiska? – spytał Dominika, który podjechał do biurka, gniotąc pod kołami wózka brązowe magazyny.

Chłopak rozłożył ręce.

– Poza dyrektorem może dwie, trzy osoby. Każdy ma swoje hasło i ID.

Erwin odniósł wrażenie, że przeżywa déjà vu. Przerabiał to już z komputerem w recepcji. Zabawa w zgadywanki kończyła się sukcesem, ale tylko na telewizyjnym ekranie lub w powieściach science fiction. Był blisko, ale pewnych spraw nie przeskoczy. Wyciągnął palec do widełek telefonu.

– Nie da rady, Palacz. Rozłączam się. Dzięki, że chciałeś pomóc.

– Poczekaj! – usłyszał podniesiony głos w słuchawce. – Jest jeden sposób, ale możesz za to wylądować w pierdlu.

– Mam już w tym pewną wprawę. Wyszedłem kilka godzin temu.

– Co takiego? Dżizas, Cis, co ty tam za cyrk odstawiasz?! O czym ty mówisz?

– Nieważne. Mów, co to za sposób?

– Włamiesz się do komputera. Ale pamiętaj, za to jest kryminał.

Erwin spojrział na porzucane po podłodze magazyny, na stosy kabli i powysuwane szuflady. Potem przeniósł wzrok na Dominka, który z zatroskaną miną patrzył na zamknięte drzwi serwerowni, nadstawiając jednocześnie ucha na dźwięki dochodzące z korytarza.



- No to jak, Cis? Wchodzisz w to?
- Mów, co mam robić. Byle szybko.

– Nigdy tego nie mówiłem, ale chyba cię kocham, Palacz.

- Powiedz to lepiej swojej Simone. Poza tym nie jesteś w moim typie.

Erwin przemilczał tę uwagę.

- Co tak ucichłeś, Cis? Wiesz, co masz robić dalej?

– Poradzę sobie.

- Jakby co, to w ogóle z tobą nie rozmawiałem. W sądzie też wszystkiego się wyprę.

– Trzymaj się, Palacz. Wkrótce się odezwę.

Rzucił słuchawkę na widełki i zaczął zgrywać pliki na dysk komputera. Przed oczami przelatywały mu daty i godziny.

- Jest! Dziewiąty maja. Cała doba. Daj pamięć. – Machnął ręką na Dominika.

Podpiął komputer i pamięć pod kabel USB. Pliki powoli spływały na przenośny dysk. Dwie pary oczu śledziły teraz na zmianę prawy dolny róg komputera z migającą godziną i licznik z rosnącą liczbą przegrywanych plików. Pasek kopiowania danych pokazywał trzynaście procent. Gdy doszedł do szesnastu, Erwin wyjął z tylnej kieszeni dżinsów kartę wejściową do swojego pokoju i położył ją Dominikowi na dłoni.

- Wiesz, co masz zrobić? – zapytał, zaglądając mu w twarz.

Chłopak zasalutował i schował kartę za mankiet swetra, po czym zakręcił kołami w kierunku wyjścia. Zanim nacisnął przycisk do otwierania drzwi, przystanął i rzucił przez ramię:

- Przed piątą muszę mieć swojego laptopa z powrotem. Będziesz pamiętał?

– Tak. Oddam na pewno. Razem ze słoikami.

- Kartę do twojego pokoju wsunę pod chodnik, jak będę wychodził.

– OK. Dzięki za wszystko. Idź już.

Przycisk cicho zabuczał. Dominik przejechał przez próg i przytrzymał jeszcze na chwilę zamykające się drzwi.

- Sprzątnij ten bajzel z podłogi. Nikt nie może się dowiedzieć, że tu byliśmy.

Kiedy komputer potwierdził sto procent załadowanych plików, podłoga była już uprzątnięta. Erwin schował za spodnie przenośny dysk i wyłączył sprzęt. Zamknął szafę z serwerem i przekręcił kluczyk w metalowym zamku.

Dostał to, po co przyszedł. Wreszcie wszystko szło po jego myśli. Przemknął piwnicznym korytarzem do windy towarowej i z ulgą wcisnął guzik. Dźwig zawiózł go prosto na drugie piętro.

\* \* \*

Helena Wirska podlewała kwiaty na oknie, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi. Ktoś stał przed furtką, ale z takiej odległości nie widziała nic poza zarysem sylwetki.

Podeszła do domofonu.

– Kto tam? – spytała, przysuwając usta do kratki głośnika.

– Policja, proszę otworzyć.

Przycisnęła konewkę do piersi i zwolniła blokadę w bramce. Po chwili usłyszała na płytach chodnikowych kilkanaście drobnych kroków. Zaraz potem rozległo się stukanie do drzwi.

Komisarz Zawidzka ucisnęła dłoń Heleny Wirskiej i bez słowa przestąpiła próg domu. Patrząc na jej granatowy żakiet i zakardową bluzkę, matka Izabeli odniosła przez chwilę wrażenie, że czas cofnął się do dnia, w którym ta miła kobieta w wieku jej córki, weszła tu po raz pierwszy. Była wówczas identycznie ubrana, a w ręku trzymała tę samą brązową teczkę.

Wirska wprowadziła ją do salonu i nie wypuszczając z dłoni konewki, wskazała miejsce w fotelu. Sama usiadła naprzeciwko.

Kobieta wyjęła coś z kieszeni żakietu i podsunęła Wirskiej pod nos.

– To moja legitymacja, dla porządku.

Wirska z grzeczności przyjrzała się legitymacji Marii Zawidzkiej.

– Znów się spotykamy. – Westchnęła ciężko. – Nie sądziłam, że ponownie panią zobaczę.

Zawidzka postawiła teczkę na siedzisku fotela. Sama przysiadła na jego brzegu. Założyła za uszy opadające na twarz włosy, po czym oparła łokcie o kolana i skrzyżowała palce pod brodą.

– Otwieramy na nowo sprawę śmierci pani córki.

– Ach, tak... – wyrwało się Wirskiej. – Myślałam, że odłożyliście akta na półkę.

– Na światło dzienne wypłynęły nowe wątki.

Wirska w odpowiedzi podniosła oczy i uśmiechnęła się smutno.

– Nigdy do końca nie pogodziłam się z tym, że tak szybko zamknięto sprawę.

Zawidzka pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Nie wierzy pani, że to było samobójstwo?

– Nigdy w to nie uwierzyłam. Widzi pani, ja wciąż mam nadzieję, że moja córka gdzieś jest i że przyjdzie dzień, w którym znów ją zobaczę. Wiem, że to brzmi irracjonalnie, ale, cóż, tak właśnie czuję. – Wirska odstawiła konewkę na podłogę i wygładziła plisy spódnicy. – Izabela kochała życie, mimo że nie zawsze układało się tak, jak by sobie tego życzyła.

– Mało komu udaje się żyć zgodnie z planem. Pani córka nie była wyjątkiem. Ale, jak wspomniałam, mamy nowe informacje, które mogą być ważne dla sprawy. Chodzi mi o pani męża.

– O Stanisława?

- Chciałabym z nim porozmawiać.
- Obawiam się, że dziś będzie to niemożliwe. Wyjechał z miasta i nie wiem, kiedy wróci.
- Czy wie pani dokąd ?

Matka Izabeli położyła rękę na szczupłej piersi i zaczęła obracać guzik bluzki.

- Niech pani odpowie. Czy mąż mówił, dokąd wyjeżdża?
- Nie. Spakował walizkę i powiedział, że wróci, gdy tylko załatwi swoją sprawę.
- Co miał na myśli, mówiąc, że załatwi sprawę?

– Przykro mi to mówić, ale on, jak by to ująć... nie liczy się ze mną. A ja też nie chcę pytać, żeby nie usłyszeć po raz kolejny, że to nie jest moja sprawa. Od wypadku córki każde z nas żyje w swoim świecie. Przedtem też różnie bywało, ale nigdy nie było tak źle jak teraz. Mąż od pewnego czasu znika nie wiadomo gdzie i po co. Wyjeżdża i wraca po dniu lub dwóch. Teraz też tak było. Zabrał ze sobą walizkę i wszedł do auta.

- Wziął ze sobą dużo rzeczy?

– To właśnie jest dziwne. Z jego szafy prawie nic nie zniknęło. Nie wiem, co tam napakował. Zupełnie jakby wyjeżdżał na kilka tygodni. Może napije się pani wody? – Wirska z tego wszystkiego zapomniała o dobrych manierach.

- Dziękuję, nie zabawię u pani długo. Chcę zadać jeszcze tylko kilka pytań.

– Niech pani pyta. Ja rzadko rozmawiam z ludźmi, mało kto tu zagłada. Wolę mówić, nawet o trudnych dla mnie sprawach, aniżeli milczeć całymi dniami.

Zawidzka wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni matki Izabeli.

– Wiem, że po śmierci córki nadal nie jest pani łatwo wracać do tego, co się stało, ale jest rzecz, o którą muszę panią spytać.

- O co takiego?

Policjantka sięgnęła po teczkę i wyjęła z niej kopertę. Z koperty wysunęła złożoną na dwoje kartkę papieru i podsunęła Wirskiej pod oczy.

- Czy poznaje pani to pismo?

Matka Izabeli nachyliła się, ale litery były zbyt małe, żeby mogła potwierdzić lub zaprzeczyć.

– Proszę chwilę poczekać. – Wstała z fotela i podeszła do kominka, na którym leżały okulary. Założyła szkła i na powrót usiadła naprzeciwko Zawidzkiej. – Niech no pani pokaże mi tę kartkę jeszcze raz.

Oczy matki Izabeli zaczęły przesuwac się po napisanych zdaniach. Charakter pisma rozpoznała od razu.

– Co to jest? – spytała, wpatrując się w skreślone na papierze daty i godziny. Tuż obok nich widać było pojedyncze litery lub sylaby, wyglądające jak skrót.

- Wygląda na plan. Czy to pismo pani męża?

Wirska kiwnęła głową.

– Tak, bez wątplenia.

– Jak pani widzi, daty, które spisał pani mąż, zaczynają się od lutego, a kończą na czerwcu. Jest wśród nich również dziesiąty maja...

– Dzień, w którym zginęła nasza córka. Co to wszystko ma znaczyć?!

– ...oraz data jej pogrzebu – dodała Zawidzka. – Czy rozpoznaje pani jakieś inne daty, poza tymi dwiema?

– Nie wiem... nie potrafię zebrać myśli. – Matka Izabeli nie odrywała wzroku od dat i godzin spisanych na kartce. – Skąd pani to ma?

– Czy coś pani mówi nazwisko Agata Soból? Albo Olga Marczenko?

– Nie, nie znam tych nazwisk.

– Sonia Wieczorek, Roksana Chutnik, Irina Masimow?

– Nie znam żadnej z nich. Kim są te wszystkie kobiety?

– Było ich więcej. Polki, ale głównie Ukrainki lub inne dziewczyny zza wschodniej granicy. Przyjeżdżały do Polski na zarobek, a kończyły albo w nocnych klubach, albo sprzedawano je dalej, na Zachód. Na pewno nigdy pani o nich nie słyszała?

Wirska nie musiała odpowiadać. Była blada jak kartka, którą trzymała w ręku.

– Wróćmy do planu, który pani przed chwilą przeczytała. Został przyniesiony na komisariatu przez wspomnianą przeze mnie Agatę Soból. Pracuje przy Nowogrodzkiej, w kancelarii mecenasa Nawrockiego.

– Nawrockiego? – Przez twarz Wirskiej przebiegł grymas zdziwienia. Tempo przekazywanych informacji i zadawanych przez Zawidzką pytań przyprawiało ją o zawrót głowy. Zaczęła odnosić wrażenie, że gra w jakiejś straszliwej grze o zbyt skomplikowanych zasadach.

– Zna go pani?

– Mecenas Nawrocki od lat zajmuje się sprawami naszej rodziny.

– Zatem powinna pani znać też jego asystentkę, wspomnianą przeze mnie Agatę Soból.

Wirska wzruszyła ramionami i pokręciła przecząco głową.

– Nie byłam tam od tak dawna, nawet nie potrafię pani powiedzieć od kiedy. Wszystkie sprawy z kancelarią załatwiał dotąd zwykle mój mąż.

– I pani córka.

– Izabela?

– Pani córka była klientką mecenasa Nawrockiego. Rozmawiałam z nim i potwierdził, że odwiedzała jego gabinet na krótko przed wypadkiem. Nie wiem, na ile zwierzała się pani ze swoich spraw, ale podejrzewam, że nie wspomniała o tym, że знаła te wszystkie dziewczyny.

– Potrzebuję chwili – wyszeptała Wirska, ledwie łapiąc oddech. – Zaraz do pani wrócę.

Wyszła do kuchni. Po chwili do salonu dobiegł silny zapach waleriany.

Kiedy ponownie usiadła naprzeciw policjantki, była już spokojniejsza.

– Proszę, niech pani mówi dalej – powiedziała i skupiła wzrok na twarzy Zawidzkiej.

– Izabela zostawiła u mecenasa Nawrockiego paczkę – zaczęła podkomisarz po krótkiej przerwie. – Były w niej głównie listy, zdjęcia, kilka osobistych drobiazgów. Można by powiedzieć, że zebrała do koperty wspomnienia jej dawnego związku. Nie chciała wyrzucać tych wszystkich rzeczy. Wolą, by trafiły w ręce niejakiego Erwina Cisa.

– To jej były chłopak, wielka miłość Izabeli.

– Zleciła Nawrockiemu odnalezienie pana Cisa.

– Całkiem możliwe. Izabela nie wiedziała, co się dzieje z Erwinem. Zerwali ze sobą wiele lat temu. On wyjechał do Niemiec, ale czy kiedykolwiek wrócił do Polski, czy został tam na dłużej, tego moja córka nie wiedziała. Równie dobrze mógł ruszyć dalej w świat. Dlatego nie mogła mu wysłać tego osobiście, nie znała adresu.

– O ile wiem, pan Cis odebrał kopertę z rzeczami pani córki.

– Zapewne po to właśnie wrócił do kraju. Spotkaliśmy się dwukrotnie, tu, przy Jelinka. Chciał porozmawiać o tym, co się stało z Izabelą.

Helena Wirska ponownie wstała z fotela. Podeszła do kominka, gdzie stały fotografie jej córki. Wzięła do ręki jedną z nich i podała Zawidzkiej.

– To jest ona, Izabela. Zdjęcia Erwina nie mam, choć mogłabym przysiąc, że było kiedyś w rzeczach córki. Na dwa, trzy miesiące przed jej śmiercią natrafiłam na małą, portretową fotografię, jakie daje się bliskim, aby wsunęli sobie do portfela. Potem próbowałam odnaleźć ją ponownie, ale bez powodzenia. Fotografia musiała się gdzieś zawieruszyć.

– Kochali się? – spytała podkomisarz, zwracając Wirskiej pamiątkowe zdjęcie zrobione z okazji ukończenia studiów.

– Świata poza sobą nie widzieli. – Matka Izabeli pogładziła szkło z rozczuleniem. – Jak mówiłam, Erwin był tutaj niecałe dwa tygodnie temu. On, widzi pani, też wierzy, że moja córka gdzieś jest. Tak jak ja. Różnimy się tylko tym, że on mówił o niej, jakby wciąż żyła, ja natomiast... cóż, wyczuwam ją w pozazmysłowy sposób.

Fotografia Izabeli wróciła na swoje miejsce na kominku. Wirska nie usiadła jednak z powrotem w fotelu. Uspokojona pokaźną dawką waleriany, zaczęła ustawiać na nowo wszystkie zdjęcia, które znajdowały się na półce nad paleniskiem.

– Do koperty, którą Erwin Cis otrzymał od mecenasa Nawrockiego, włożono też inne rzeczy – kontynuowała podkomisarz Zawidzka. – Takie, których pani córka wcale nie planowała tam umieścić.

– Nie rozumiem.

– Na polecenie pani męża Agata Soból wsunęła tam zdjęcia dziewcząt, o których już pani mówiłam, a także klucze do mieszkania przy Ptasiej. W podobny sposób znalazły się tam też

prywatne zapiski pani córki, w których wspominała, że coś lub ktoś ją prześladowe.

– Dobry Boże... – Wirska skryła twarz w dłoniach. – Po co to wszystko? O co w tym wszystkim chodzi?!

– Niestety, przez nieuwagę do koperty włożono również plan, który właśnie pani przeczytała. Pani mąż zorientował się w ostatniej chwili i kazał Agacie Soból otworzyć kopertę. Wyjęła plan i schowała go w jakimś bezpiecznym miejscu w kancelarii. Miała go oddać pani mężowi przy najbliższej sposobności.

– Jak więc trafił w ręce policji?

Podkomisarz Zawidzka poprawiła się w fotelu.

– Agata Soból, zamiast zanieść go do pani męża, przyniosła go do nas. Jak zeznała, była nawet pod państwa domem i próbowała dodzwonić się do pani męża z ulicy, ale bezskutecznie. Zdecydowała więc, że postąpi inaczej, niż pierwotnie zamierzała. Świadomość tego, że bierze udział w czymś niewłaściwym, przyprowadziła ją do nas.

Wirska odwróciła się gwałtownie w stronę fotela Zawidzkiej.

– Nie wierzę... To, co pani mówi... Nadal nie rozumiem, co łączyło tę dziewczynę z moim mężem.

Maria Zawidzka ze spokojem złożyła plan napisany ręką Wirskiego i schowała go do koperty, a kopertę – do teczki. Bez pośpiechu podeszła do kominka i przesunęła wystający poza półkę róg ramki, by ta nie spadła na podłogę przy byle potrąceniu.

– O szczegółach ich relacji nie mogę jeszcze mówić, w tej sprawie prowadzimy osobne dochodzenie. Niemniej jednak, porównując zeznania, jakie złożyła Agata Soból, z planem, który pani pokazałam, nie mam wątpliwości, że Izabela spotkała się ze swoim ojcem na krótko przed śmiercią. Co więcej, przypuszczam, że to on skłonił ją do tego, by spotkali się z dala od Warszawy.

– Nic o tym nie wiedziałam. Owszem, Izabela poinformowała mnie, że zamierza wyjechać, potrzebowała złapać oddech poza miastem. Ale nie wspominała, że tam, dokąd jedzie, ma się spotkać ze swoim ojcem. Mogli to przecież zrobić tu, na miejscu.

– Wierzę pani. Najwyraźniej pani mąż nie chciał, aby ktoś dowiedział się o ich spotkaniu, a jedynym namacalnym dowodem na to, że wszystko było z góry ustalone, był właśnie ten grafik. Został wyjęty z przesyłki już po pogrzebie państwa córki, co jednoznacznie potwierdza moją teorię.

– Jezus Maria! – Wirska zachwiała się na nogach. – Chce mi pani powiedzieć, że żyję pod jednym dachem z człowiekiem, który skrzywdził swoją własną córkę?!

– Wiele na to wskazuje. Na razie próbuję się dowiedzieć, gdzie może obecnie przebywać pani mąż. Powiedziała pani, że regularnie wyjeżdża. Czy kiedykolwiek zdradził się z tym, dokąd jedzie?

– Nie, nigdy.

– Nic nie przychodzi pani na myśl?

Wirska poprawiła na nosie osuwające się szkła.

– Kiedyś mieliśmy drewniany dom nad jeziorem. Wypoczynkowy, z dala od ludzi, w sercu lasu. Latem wyjeżdżaliśmy tam razem, ale odkąd córka dorosła i zaczęła mieć swoje życie, jeździł tam sam. Nie robił z tego żadnej tajemnicy. Mężczyźni lubią samotne wyprawy i ja to rozumiałam. Z czasem dom zaczął niszczyć, więc mąż zdecydował, że go sprzeda. Mnie na nim nie zależało, więc nawet się ucieszyłam, że skończy się nasz kłopot z ciągłymi remontami. Nie miałam już serca do tego miejsca.

– Dom w środku lasu to wspaniała rzecz. – Zawidzka pokręciła głową z uznaniem. – I do tego z dala od ludzi... Chciałabym zobaczyć akt sprzedaży tego domu.

Wirska otworzyła usta, ale nic nie odpowiedziała. Zamiast tego zaczęła pocierać palcami czoło tak mocno, że aż poczerwieniało.

– Akt sprzedaży... To rzeczywiście dziwne – powiedziała po chwili zastanowienia. – Dom kupiliśmy na współwłasność, nie przyszło mi do głowy, że aby go sprzedać, oboje musielibyśmy stawić się u notariusza. Zupełnie o tym nie pomyślałam.

– Gdzie jest ten dom? – Podkomisarz Maria Zawidzka stała już w drzwiach.

– W Starych Sadach, nad Tałtami. Zaraz opiszę pani dokładnie, jak tam dojechać.

Podkomisarz Zawidzka słuchała uważnie, zapamiętując każde jej słowo. Gdy Helena Wirska skończyła mówić, uściśnęła jej dłoń na pożegnanie.

– Trafimy tam, może być pani spokojna. Proszę teraz odpocząć, my zajmiemy się resztą.

– Co mam zrobić, jeśli mąż zadzwoni?

– Nic. Proszę mu nie mówić, że tu byłam. Ani słowa.

\* \* \*

Laptop Dominika działał jak burza. Chorym dzieciom należy się wszystko, co najlepsze, koszty nie grają roli. Bejsbolista i jego żona musieli długo odkładać zaskórniaki, żeby sprawić swojemu synowi sprzęt za, bagatela, cztery tysiące złotych. Erwin w jego wieku mógł co najwyżej pomarzyć o rowerze.

Plik z danymi z dziewiątego maja załadował się w okamgnieniu.

Erwin włączył zapis kamery i podpiął kabel do telewizora. Chciał widzieć wszystko, nawet najdrobniejsze szczegóły. Zasłonił szczerze zasłony i usiadł na łóżku.

Pływające po ekranie łódki i targane wiatrem żagle zastąpiło nieruchome ujęcie z windy. Gdyby nie tykający zegar w górnym rogu ekranu, można by sądzić, że to ustawiona na stałe kolorowa tapeta ze zdjęciem wnętrza dźwigu.

W czajniku zagotowała się woda. Erwin dołał kilka kropel do wystygłych ziemniaków przyniesionych przez Dominika i zamieszał w słoiku łyżką. Tani substytut kina i chipsów.

Sekundy zamieniały się w minuty, a minuty w długie kwadransy.

Zegar na ekranie pokazał piętnastą siedemnaście, gdy drzwi windy się otworzyły. Stała w nich Izzy. Erwin przysunął się bliżej telewizora. Czuł, jak krew w jego żyłach zaczyna szybciej krążyć.

Wyglądała zwyczajnie, ubrana w jasne spodnie i swoją nieodłączną skórzaną kurtkę. Włosy miała związane w kucyk. Odrzuciła grzywkę gestem, którego nie mógł pomylić z żadnym innym. Tym samym, który widział na nagraniu z krematorium.

Była piękna, chyba piękniejsza niż w dniu, kiedy widział ją po raz ostatni. Trochę szczuplejsza, ale może był to tylko efekt zapisu z windy.

Czekał, aż winda ruszy i zawiezie ją na górę, ale nic takiego się nie wydarzyło. Wcisnęła guzik blokujący dźwig. Drzwi windy wciąż były otwarte. Stała w środku i coś mówiła, krzyczała. Poza nią w kadrze nie było nikogo, przez ekran nie przewinął się żaden obcy cień. Podniosła ręce, gestykulowała, jakby ogarnął ją szal lub przerażenie. Oparła plecy o ścianę windy i osunęła się na podłogę. Wczepiła palce we włosy i schowała głowę między kolana. Skulona zaczęła się czołgać w kąt pomieszczenia.

Erwin zastopował obraz. To, na co patrzył, przerażało go tak bardzo, że nie był w stanie kontynuować tego strasznego seansu. Chodził od ściany do ściany. Siadał i podrywał się, szarpany bólem.

Bała się. Wszystko, co opisała w swoich notatkach, było prawdą. Drżała o swoje życie. To rozegrało się tu, w tym miejscu, zaledwie kilkanaście metrów dalej.

Odsłonił jedną z zasłon i otworzył okno. Deszcz zacinał mocniej niż wczoraj. Nie bacząc na lecące na twarz krople, Erwin zapalił papierosa. Musiał odreagować. Każdy gest Izabeli, każdy jej ruch był podszyty strachem. Czuł go w swoim ciele, jakby to on sam znalazł się w niebezpieczeństwie.

Na zawsze razem, ja pójdę za tobą, a ty pójdiesz za mną, powtórzył w myślach. Wyrzucił peta i wrócił przed telewizor.

Izabela wstała z klęczek i ukradkiem wyjrzała z windy. Rozejrzała się na boki. Raz i drugi, ostrożnie, jakby bała się, że ktoś zacznie do niej strzelać z ukrycia.

W końcu wyszła. Nie skierowała się jednak w stronę recepcji. Zawahała się przez moment i ruszyła w kierunku schodów prowadzących na piętro.

Obraz znów znieruchomiał. Nic się nie działo przez kolejnych dwadzieścia minut. Po tym czasie do windy weszła jedna z pokojówek z przełożonymi przez rękę prześcieradłami. Odblokowała guzik i pojechała na pierwsze piętro. Tam wysiadła. Drzwi windy się zamknęły.

Erwin niecierpliwie przesunął zapis. Robił to czujnie, cały czas na podglądzie. Zatrzymał się,



gdy zegar kamery pokazał siedemnastą osiem. Winda wciąż była pusta, ale podświetlany przycisk z numerem jeden zgasł, a zamiast niego zaświeciła się dwójka. Winda jechała do góry.

Drzwi się otworzyły. Nie widział go od lat, ale nie miał żadnych wątpliwości, że na hotelowym korytarzu stoi ojciec Izabeli. Trzymał się za twarz, wycierał ją poplamionym rękawem płaszcza. Krew, to musiała być krew. Czerwone zabrudzenia były nad wyraz widoczne.

Był niespokojny, wręcz wściekły. Gdy drzwi windy zamknęły się za nim, oparł obie ręce na barierce pod lustrem i spojrzał na swoje odbicie. Potem z impetem uderzył pięścią w taflę lustra. Pękło i posypało się na podłogę. Dyszał. Ani razu nie spojrzał na kamerę ukrytą w rogu windy. Może nie wiedział o jej istnieniu, może nic go nie obchodziło, że jest obserwowany. Gdy winda stanęła na parterze, przeszedł po odłamkach szkła i zniknął.

Erwin wyłączył zapis.

\* \* \*

Telefon od Jerzego Wnuka zadzwonił jeszcze tego samego dnia. Erwin nie miał wątpliwości, że tak się stanie, to była tylko kwestia czasu. O osiemnastej sześć usłyszał dzwonek komórki.

– Mówił pan, żebym dał znać, jeśli sobie przypomnę, kto kupił ode mnie te obrazki. Chodziło mi to po głowie od chwili, kiedy pan się u mnie zjawił. Zaledwie od miesiąca prowadzę regularną ewidencję tego, co i komu sprzedaję. Sporo już tego zeszło z mojej pracowni, więc sam pan rozumie, nie wszystkich się pamięta. Ale teraz już sobie przypomniałem, dlatego dzwonię.

Erwin popatrzył na karykaturalny rysunek wiszący nad łóżkiem. Nędzne toto było, ale najwyraźniej znaleźli się tacy, co dali się skusić na awangardę. Nawet gdyby Wnuk nie zadzwonił, miał już własną teorię co do tego, kto stał za historią z obrazkami. Musiał mieć jednak stuprocentową pewność.

– To był Wirski, zgadza się? To jego nazwisko chciał mi pan podać?

W słuchawce na ułamek chwili zaległa cisza.

– Tak, grafiki kupił ode mnie Wirski, tak wynika z mojego spisu nabywców. Wybrał kilka i kazał je przywieźć do swojego domu. Nie wiem, czemu nie chciał zabrać ich od razu ze sobą, to przecież małe obrazki. No ale zapłacił gotówką, więc nie narzekałem. Czasu mam dużo, a pieniędzy mało. Najprawdopodobniej podarował część z nich hotelowi, to jest jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy Wyłożył tyle gotówki, ile mu powiedziałem. Dla artysty to jak uśmiech losu.

Chyba kpina losu, pomyślał Erwin. Wirskiemu nie chodziło ani o Wnuka, ani o jego grafiki.

– Ten człowiek, Wirski, zjawił się u mnie w połowie maja – opowiadał dalej Wnuk. – Oglądał wiele obrazów, przekładał je w tę i we w tę, trudno mu się było zdecydować. Ten obrazek, który

pokazał mi pan na swoim telefonie, a który trafił do hotelu, miał jedną wadę, tym bardziej ucieszyłem się, że ktoś jest nim zainteresowany.

– Wadę? Chodzi panu o połączenie ze sobą tych dziwnych stworzeń? Rzeczywiście, można doszukać się w tym braku logiki.

Wnuk roześmiał się do słuchawki.

– Nie zna się pan na sztuce nowoczesnej, to od razu widać. Logika w sztuce nie istnieje. Nie chodziło o połączenie zwierząt.

– Doprawdy? Czego nie zauważyłem?

– Chodzi o coś zupełnie innego. O moje nazwisko, a właściwie podpis. To był nieudany pomysł, żebym podpisywał się odręcznie. Zawsze w takich wypadkach litery są zbyt duże w stosunku do perspektywy obrazu. Do tego bywa, że się rozmazują i są przez to niewyraźne. Teraz już tego nie robię, wstawiam mały podpis, żeby nie zabierał zbyt wiele miejsca. Człowiek uczy się na błędach.

Podpis na grafice był rzeczywiście nieproporcjonalnie duży w stosunku do całości rysunku. Kolejny chwyt Wirskiego. Obrazek, podobnie jak ten z pokoju jedenaście, miał się rzucać w oczy i doprowadzić Erwina po nitce do kłębka do wszechstronnie nieutalentowanego Jerzego Wnuka. Wtedy nie zwrócił na niego uwagi, chciał za wszelką cenę znaleźć się w pokoju za ścianą, dlatego w głowie mu nie powstało, żeby przyglądać się ściennym bohomazom. Wirski natomiast za wszelką cenę chciał, aby Erwin trafił do tego człowieka. Mógł to zrobić tylko w jeden sposób – sprawić, aby w hotelowych pokojach zawisły grafiki z jego nazwiskiem i datą, która wskazywała na to, że zostały wykonane w tym roku.

Próba zakwaterowania Erwina w pierwszym z pokoi też nie była dziełem przypadku, ale ręka Wirskiego nie sięgała aż tak daleko. To dyrektor hotelu wybrał dla niego lokum. Nie mógł umieścić go w pokoju, w którym mieszkała Izzy. Choć odremontowany, wciąż mógł odkryć przed Erwinem niezauważone dotąd plamy krwi. Żeby mieć pewność, że nie pozostał ślad po tym, co zaszło między Izabelą a jej ojcem, należało obejrzyć pokój gruntownie, Tyczce potrzebny był czas. Dlatego wręczył mu kartę z numerem jedenaście.

– Niech pan nie będzie dla siebie taki surowy. Podpis to drobiazg, ważna jest sama sztuka. Niech mi pan powie jeszcze jedno. – Erwin zawahał się na chwilę, ale wcześniej czy później to pytanie musiało paść z jego ust. – Czy od naszego spotkania nie wydarzyło się nic dziwnego?

Jerzy Wnuk zaczął przeszukiwać w pamięci kolejne godziny, jakie upłynęły od wizyty Erwina.

– Nie, niczego takiego sobie nie przypominam. Chociaż... ale nie wiem, czy to ma znaczenie... Tak, właściwie to było dziwne. Widzieliśmy się zaledwie wczoraj, a dziś z rana zadzwonił telefon. I to w pana sprawie.

Erwin nawet nie udawał zaskoczenia. Trzymając telefon między żuchwą a ramieniem,

w skupieniu zaczął wrzucać swoje rzeczy do torby.

– Ten ktoś spytał mnie, czy kontaktowałeś się pan ze mną. Powiedziałem, że owszem, i spytałem, kto mówi. Nie podał nazwiska. Podobno ma jakiś interes do pana, panie Cis.

– Owszem, nawet wiem jaki.

– Dlaczego więc nie zadzwonił bezpośrednio do pana?

Erwin zapiął zamek w torbie i przerzucił ją przez ramię.

– Taki był plan. Zależało mu na tym, aby wszystkie trybiki w maszynie jego szaleństwa działały zgodnie z opracowaną taktyką.

– Nic z tego nie rozumiem.

– To nieważne. Pan też był jednym z tych trybików. Niczego nieświadomym narzędziem w rękach mordercy.

– Pan... pan żartuje.

– Proszę się nie martwić, nic panu nie grozi. A teraz niech mi pan powie, gdzie mogę na własne oczy obejrzeć grafiki, które sprzedał pan Wirskiemu. Dokąd je pan zawiózł?

Z głosu Jerzego Wnuka zniknęły ślady euforii. Jeszcze nie do końca rozumiał, jaką rolę odegrał w tym ohydnych przedstawieniu, ale powoli docierało do niego, że został odrwiony jako człowiek i artysta.

– Dom stoi w Starych Sadach, w lesie. Dojazd nie jest trudny, o ile skreśli się we właściwą drogę. Pojedzie pan na południe, wzdłuż jeziora. Po prawej stronie minie pan kapliczkę, a sto metrów dalej zobaczy pan szlaban. Można go podnieść, to tylko zardzewiały kawał metalu. Potem trzeba jechać cały czas prosto.

– To mi wystarczy. Bardzo mi pan pomógł. – Erwin stał już w progu pokoju. Obejrzał się ostatni raz, jakby chciał zapamiętać to miejsce do końca życia. – Przykro mi, że pana prace trafiły pod dach kogoś, kto na to nie zasługuje. Tyle dobrego z tej całej sytuacji, że goście hotelu Raj będą mogli oglądać je z przyjemnością. Pasują do tamtego miejsca, niech mi pan wierzy.

\* \* \*

Gdy znalazł się na parkingu, w oknie na pierwszym piętrze hotelu zobaczył głowę Dominika. Siedział nieruchomo w wózku inwalidzkim i obserwował przez zalane deszczem okno, jak Erwin pakuje swoją torbę do skórzanej sakwy. Długą chwilę patrzyli na siebie, rozumiejąc, że widzą się po raz ostatni.

Erwin położył rękę na sercu, po czym pomachał chłopakowi na do widzenia. Dominik w odpowiedzi zrobił to samo. Oparł otwartą dłoń o szybę i zastygł w oczekiwaniu na pierwszy warkot silnika. Po chwili jezioro, pomost i hotel Raj zniknęły w unoszącym się za motocyklem obłoku spalin.

Droga była śliska od spływającej po bruku wody. Opony złapały przyczepność, dopiero gdy zjechał z hotelowego podjazdu na asfalt. Zatrzymał się tylko po to, żeby naciągnąć na głowę kaptur bluzy. Przytwierdzony do tylnego siedzenia kask zastukał miarowo o metal motocykla, przypominając o swoim istnieniu. Erwin wybrał jednak kaptur, nie chciał, by coś go krępowało. Droga, jaką miał do przebycia, była krótka. Dramatycznie krótka.

Jeśli informacja od Sońki o tym, że połączenie telefoniczne, które biegło co czwartek ze Starych Sądów do domu na warszawskim Żoliborzu, była prawdziwa, wszystko zaczynało mieć sens.

Izabela była tu cały czas, zaledwie kilkaset metrów od hotelu Raj. Co za ironia losu. Miał ją na wyciągnięcie ręki, mimo to dotarcie do niej zajęło mu tak wiele czasu. Czy wciąż żyła? Czy głos, który odezwał się ostatnim razem w słuchawce, należał do niej? Jeśli tak, kim była dziewczyna, która zginęła w wypadku? Umarła zamiast Izabeli, ale czy miała świadomość, że oddaje własne życie za inną osobę?

Licznik pokazywał sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Za kilka minut tam dotrze. Do miejsca, w którym wszystko stanie się jasne. Skoro Wirski chce stanąć z nim twarzą w twarz, dostanie to, czego pragnie.

Minął kapliczkę. Kolejne sto metrów i szlaban, dokładnie tak jak mówił Jerzy Wnuk.

Motocykl zarył kołami w piachu, spod opon wystrzeliły w górę tysiące igieł. Droga była rzadko uczęszczana, nieuklepana i wyboista. W sam raz, by zniechęcić do zagładania tu.

Drzewa skutecznie osłaniały Erwina przed zacinającym deszczem. Jechał dalej, w głąb lasu, dopóki nie ujrzał drewnianej chaty. Obok niej zobaczył szopę na narzędzia, niewiele mniejszą od samego domu.

Zatrzymał motocykl i wyłączył silnik. Swąd palonej benzyny uniósł się w powietrzu i rozmył w wiszącej nad ziemią wilgoci. Wokół panowała cisza tak wielka, że słyhać było spadające z drzew krople wody.

Erwin ściągnął z głowy kaptur i ruszył w kierunku chaty.

– Wirski! – wrzasnął na całe gardło.

Echo odbiło się od drzew, ale nikt nie otworzył drzwi i nie stanął w progu domu.

– Zapraszałeś mnie, więc jestem! – krzyknął ponownie w stronę obejścia.

Rozejrzał się dookoła. Między drzewami nie było nikogo, ale zza domu wystawał tył srebrnego citroena. Erwin podszedł do auta i pociągnął za klamkę. Samochód był otwarty, w stacyjce wciąż tkwił kluczyk.

Wsunął rękę do auta i nacisnął klakson – raz i drugi. Ogłuszający dźwięk rozniósł się po lesie.

– Wiem, że tu jesteś!

Wrócił przed dom i zajrzał przez na wpół przymknięte okiennice. W środku panował mrok. Nawet w słoneczny dzień docierało tu mało światła, a gdy niebo zaciągało się chmurami,

wnętrze domu zamieniało się w grobową jaskinię.

Erwin wszedł na schody i stanął na zadaszonym ganku.

Nacisnął klamkę, drzwi do domu były otwarte.

– Jesteś tu, Wirski? – rzucił w przestrzeń i omiół wzrokiem pokój.

W środku panował porządek. Stojące pod ścianą łóżko było zasłane, na bordowej narzucie leżały dwie poduszki z motywem motyli. Po przeciwnej stronie stał stół przykryty ceratą, a na nim dwie puste szklanki z zastygłą pianą po piwie.

Na ścianie, poniżej spreparowanych jelenich łbów, wisiały grafiki Jerzego Wnuka.

– Gustownie się tu urządziłeś, Wirski – głos Erwina rozszedł się echem po domu. – Gdybym wiedział, że taki z ciebie esteta, podrzuciłbym ci tu jeszcze kurpiowską makatkę z kogucikiem. Czy wolałbyś raczej Świętą Rodzinę? Eee... ty nie wiesz, co to rodzina, namieszałbym ci tylko w głowie.

Jego wzrok padł na stojącą pod kominkiem walizkę. Przykucnął przy niej i rozsunął zamek. Większość miejsca zajmowały ubrania, z boku wciśnięte były sportowe buty. Erwin zaczął wyjmować rzeczy po kolei, sztuka po sztuce. Tenisówki, damskie bluzki, spodnie, kilka sztuk majtek. Nie miał wątpliwości, że należały do Izzy.

– Ty chory człowieku... – wybełkotał, zaciskając palce na damskim swetrze. – Gdzie jesteś, draniu?!

Jego krzyk nie zdążył wybrzmieć, kiedy drzwi chaty zamknęły się z łomotem. Odwrócił się w mgnieniu oka. Na wewnętrznej stronie drzwi zobaczył napis namalowany białą farbą olejną. Informacja była krótka: *szopa*.

Wypadł na zewnątrz. Biegł, potykając się o wystające spod ziemi konary starych, rozrosłych sosen. Nie patrzył, co dzieje się wokół niego, nie słyszał nic poza tłukącym się w piersiach sercem. Przed oczami miał tylko wielkie drewniane wrota ze zwisającym skoblem.

Szarpnął za uchylone skrzydło i zastygł w bezruchu.

W kącie, oparty o ścianę, siedział Wirski. Miał związane nogi i ręce, głowa opadała mu na ramiona. W usta miał włożony knebel, musiał go dusić, ale nie szarpał się, nie ruszał się prawie wcale, jedynie jego klatka piersiowa unosiła się podczas oddychania. Spod na wpół przymkniętych powiek spoglądały mętne oczy.

Erwin zrobił kilka kroków w jego stronę. Nie tego się spodziewał. Wpatrywał się w siedzącego na podłodze człowieka, nie rozumiejąc, czy to kolejny etap jego podłej gry, czy też przeoczył w swojej dedukcji coś ważnego.

– Gdzie jest Izabela? – Szarpnął go za ramiona. – Gdzie ona jest?!

Wirski jęknął. Erwin chwycił za zwiniętą szmatę, którą tamten miał w ustach, ale nie zdążył jej wyciągnąć. Poczł uderzenie w kark.

Czuł, że ktoś ciągnie go po podłodze, w głowie słyszał szum. Związane taśmą izolacyjną nadgarstki i stopy poruszały się, próbując wyswobodzić się z więzów. Kolejne uderzenie zrzuciło go w ciemność.

Siedział na krześle. Przed nim, na turystycznym stole, stał otwarty laptop. Rozejrzał się wokół siebie. Wciąż był w szopie, spod przeciwległej ściany śledziły go coraz mniej przytomne oczy ojca Izabeli.

Skoncentrował się na ekranie monitora. Strona Facebooka otwarta była na czyimś poście. W miejscu, gdzie powinno znajdować się zdjęcie użytkownika, nie było fotografii, tylko napis, a właściwie nazwa: CoOczyWidziały.

W okienku komunikatora włączył się zapis z kamery. Mało wyraźny, w pierwszej chwili nie mógł rozpoznać, co znajduje się w kadrze. Okienko było małe, związane ręce uniemożliwiały jego rozszerzenie. Część miejsca, gdzie umieszczono oko rejestrującego aparatu, zalana była czernią, rozbijaną jedynie przez ledwie widoczne, blade światło sączące się gdzieś z okolicy kamery.

Coś się poruszyło. Nagle, szarpanym ruchem. Ktoś tam był.

Osoba przekreśliła się nieznacznie. Wraz z nią kamera przesunęła się o kilka centymetrów i wyostrzyła obraz.

Erwin nie odrywał wzroku od ekranu. Czyjeś ciało zmieniło pozycję i wtedy zobaczył coś, co sprawiło, że jego serce zatrzymało się na kilka sekund. Zbliżenie na ucho, policzek i usta. Jasne włosy i niebieskie oczy. Oczy Izabeli.

Dokoła niej panowała ciemność. Widział, jak rozgląda się bezradnie, a w jej oczach pojawia się ten rodzaj strachu, który oznacza tylko jedno. Że nie ma dla niej ratunku.

Otworzyła usta. Wydobył się z nich niemy krzyk, przekaz z kamery nie rejestrował głosu. Wykrzywione w lęku mięśnie twarzy i szyi napięły się do granic ludzkich możliwości. Z warg Izabeli zaczęły wydobywać się bąble śliny. Po policzkach popłynęły łzy. Trzęsła się. Widać było, że zaczyna brakować jej powietrza.

Dusiła się na jego oczach.

Erwin patrzył jak otepiały na to, co dzieje się w okienku Facebooka. Wiele przeszedł, ale nawet najgorszy koszmar nie mógł się mierzyć z tym, co teraz oglądał.

Czuł, że krew zalewa jego klatkę piersiową i jak fala uderzeniowa dociera do gardła i skroni. Chciał poderwać się z krzesła, ale sznur krępował każdy jego ruch. Zaczął poruszać nadgarstkami, powróż trzymał jednak zbyt mocno.

Izabela zaczęła bić czołem w coś, co było nad jej głową. Od sklepienia dzieliło ją zaledwie kilkanaście centymetrów. Napała na nie ramieniem, ale ani drgnęło. Spróbowała jeszcze raz i jeszcze, z otwartymi ustami błagającymi o życie.

Szamotała się kolejną minutę, może dwie. Opadała z sił. Widział, jak drżą jej ramiona. Wiedziała już, że ta walka zakończy się dla niej śmiercią.

Nagle zaprzestała szarpaniny i spojrzała w kamerę. Patrzyła wprost w oczy Erwina, spokojnie, niczym zwierzę, które wykrwawia się po złapaniu we wnyki.

Z płuc Erwina wydobył się ryk stłumiony przez zwinięty kawałek prześcieradła zaciskający się na ustach. Nogi krzesła zakołysały się niebezpiecznie pod ciężarem jego rozchwianego ciała.

Nie mógł pozwolić sobie teraz na upadek, nie widziałby Izzy, jej na wpół przymkniętych oczu, które zdawały się zamazywać i tracić ostrość.

Patrzył bezradnie, jak ta, za którą dotarł aż do tego miejsca, gdzie zdarzyło się tak wiele zła, odchodzi na jego oczach. Tały były przekłete. Wtedy i teraz. Tu pożegnał swego najlepszego przyjaciela i tu doświadczał teraz, jak odchodzi Izabela. W ciszy, zamknięta nie wiadomo gdzie, bez szans na ratunek.

Obraz z kamery zatrzymał się i zniknął.

– Neeee!!! – wyrwało się z płuc Erwina i zatrzymało we włóknach knebla.

Unióśł się na palcach stóp, by wraz z krzesłem przysunąć się do stołu. Drewniane nogi zaszurały tępo po betonowej wylewce. Stracił równowagę i runął na podłogę. Poczł mokre ciepło wylewające się z lewego ucha. Leżał, wpatrując się w niedomknięte drzwi szopy, zza których widać było podwórko przed leśną chatą. Ciepło w głowie stawało się coraz bardziej intensywne.

Wydawało mu się, że słyszy szczekanie psa. Nie wiedział, skąd dochodziło. W pobliżu domu nie było żadnych gospodarstw ani ośrodków wczasowych.

Szczekanie nie ustawało. Dudniło w jego głowie, która stawała się coraz cięższa. W ostatniej chwili do jego uszu dotarł dźwięk włączanego silnika. Resztką sił spojrzał na uchylone drzwi. Citroen stojący za domem ruszył z impetem, zostawiając za sobą tuman mokrego piachu zmieszanego z igliwem.

Potem był huk. Prawdziwy lub wyimaginowany, Rozpoznanie, czy to wszystko, co działo się dokoła, wciąż jest rzeczywistością, czy już tylko złudzeniem wywołanym uderzeniem w głowę, stawało się niemożliwe.

Przed jego oczami pojawiła się Izabela. Była wolna, nic nie krępowało jej ruchów, oddychała swobodnie i z lekkością. Pochylała się nad jego ciałem ze słodkim uśmiechem, który tak dobrze pamiętał. Pogłaskała go po twarzy, po czym poprawiła niesforną grzywkę, odrzucając ją do tyłu. Coś mówiła, ale nie słyszał jej słów. Starał się skoncentrować na jej poruszających się ustach, rozplływały się jednak i zamieniały w coraz większy cień, który po kolei obejmował twarz Izzy, jej włosy i całą sylwetkę.

Izabela zniknęła. Ucichło szczekanie psa. Świat coraz bardziej rozmywał się i ciemniał. Erwin

wziął ostatni świadomy oddech i odszedł w mrok.

\* \* \*

– Słyszysz mnie, chłopcze?

...

– Otwórz oczy, to już koniec.

...

– Spróbuj. Wiem, że nie jest ci łatwo, ale zrób to. Na raz, dwa, trzy. Raaz! No, dalej!

Erwin poruszył palcem lewej ręki na tyle, na ile pozwalał mu opatrunek. Bandaż zaciskał się od nadgarstka po ramię. Poranione od sznura ręce i zdarta skóra nie bolały. Właściwie nie czuł nic poza pulsującym tyłem czaszki. Ostatni raz odczuwał podobny ból w ogólniaku, kiedy stojąc na linii ognia, dostał w głowę piłką do koszykówki. Tylko że wtedy nie miał zszywanego ucha ani sztywnego kołnierza na szyi.

Powoli otworzył powieki, ale tylko na tyle, żeby sprawdzić, czy wokół niego nadal panuje ciemność. Najpierw zobaczył ciągnącą się gumową rurkę kroplówki i stojak, na którym wisiał – na wpół już opróżniony – worek z minerałami i lekiem przeciwbólowym. Po prawej stronie zza ustawionego parawanu wystawały czyjeś nogi leżące na łóżku obok. Próbował je policzyć, ale szum w jego głowie podpowiadał zły wynik. Zamiast tego skoncentrował się na wiszącym na przeciwległej ścianie małym krzyżyku, który też kołysał się w dziwny sposób na boki.

– Nie podnoś się – usłyszał głos tuż obok. – Musisz leżeć spokojnie. Żadnych gwałtownych ruchów. Nie, nie przekreślaj głowy, poczekaj...

Krzyżyk zasłoniła czyjaś twarz. Erwin z trudem skoncentrował się na siwych włosach i plastrze przyklepionym do czoła. Kiedy przesunął wzrok, zobaczył ciemnozieloną bonżurkę, spod której wystawała błękitna piżama.

– Poznajesz mnie? – Stanisław Wirski patrzył na niego z troską. – Jesteś w szpitalu, w Mikołajkach. Leżymy tu obaj. Już myślałem, że nie ockniesz się szybko, ale z badań wynika, że nie jest z tobą tak źle. Dobrze, że wróciłeś. Wkrótce wydobrzejesz. Jeszcze tylko kilka dni i wypiszą cię, wypiszą nas obu.

Jęknęcie, które wydobyło się z ust Erwina, mogło oznaczać wszystko: zdziwienie, gorycz, ból lub zmęczenie.

– To dobrze, że już ci lepiej. – Wirski zrozumiał je po swojemu. Przysunął stołek bliżej łóżka i usiadł tuż przy nogach Erwina. – Jesteś tu drugi dzień. Wczoraj nawet nie próbowali cię cucić. Podłączyli te rurki i dali coś na sen. Wyliżesz się.

– Co z Izabelą... Co z nią...?

Twarz mężczyzny wirowała mu przed oczami. Robił, co mógł, żeby skupić wzrok na ustach



Wirskiego, ale pozostawały zaciśnięte.

– Znaleźli ją? Powiedz...

– Uspokój się. – Wirski położył dłoń na kołdrze tuż obok ręki Erwina, ale zaraz ją cofnął i poprawił poję bonzurki. – Wszystko w swoim czasie.

– Muszę wiedzieć...

Wirski pochylił głowę.

– Trzeba czekać.

Drzwi pokoju otworzyły się i stanęła w nich pielęgniarka. Jawiła się Erwinowi jako biała smuga przemieszczająca się bezszelestnie po szpitalnym linoleum. Wraz z nią do sali wpadł zapach dezynfekowanych narzędzi i podłóg.

Zajrzała do leżącego obok sąsiada, po czym stanęła nad Erwinem, wsuwając ręce do kieszeni fartucha.

– Witamy wśród żywych – powitała go niemal śpiewnym głosem. – Nie, proszę się nie ruszać. Lekarz kazał leżeć i odpoczywać. Jak na plaży w Sopocie. Drink z rurką jest, basen jest i ręcznik też jest. No, mówię przecież, żadnego wiercenia się w łóżku! Czy pan mnie w ogóle słyszy?!

Uniesienie ciała o kilka centymetrów było wysiłkiem porównywalnym do wejścia na Nanga Parbat. Erwin zachłysnął się powietrzem i niemal zadławił własną śliną.

– Wygląda na to, że trafił się nam kłopotliwy pacjent. Ale może to pana uspokoi, choć na parę godzin. – Pielęgniarka nachyliła się nad Erwinem. Poczuł, jak igła wkłuwła mu się w żyłę. Zamachnął się wolną ręką, ale tłok popychający lek nasenny był szybszy.

– Co z nią? – wyszeptał Erwin w stronę Wirskiego. – Muszę wiedzieć, co z Izabelą...

Wirski nie odpowiedział. Patrzyli sobie w oczy tak długo, na ile pozwalał na to krążący w żyłach Erwina lek. Potem wszystko się urwało. Powieki Erwina zaczęły robić się coraz cięższe, aż całkowicie stracił świadomość.

Dwie kanapki z mortadelą leżały na talerzu tuż obok kubka z parującym kakao. Przez uchylone okno wpadało świeże, chłodne powietrze.

Głowa już tak nie bolała. Erwin, chcąc się upewnić, że stan jego umysłu wraca do normalności, szybko przeliczył nogi sąsiada zza szpitalnej zasłony. Ich liczba, po szybkim zsumowaniu, mieściła się w granicach błędu statystycznego.

Krzesło, na którym siedział Wirski, było puste. Za zasłoną oddzielającą pacjentów kręciła się ta sama pielęgniarka co wczoraj.

– Witamy ponownie – rzuciła, kiedy podchwyciła jego wzrok, ale zaraz schowała się za parawanem oddzielającym Erwina od sąsiada.

Erwin poprawił się w pościeli i sięgnął po kakao. Było zdecydowanie smaczniejsze niż

kroplówka, więc zniknęło w jego gardle, zanim zdążyło przestygnąć. Na kanapki z mortadela spojrzął już mniej łaskawym wzrokiem. Zaszuszone obwódki wędliny wróżyły problemy.

Odstawił kubek i podciągnął kolana. Poruszył sterczącym w żyłę wenflonem, po czym podważył paznokciem przylepiec. Odszedł od skóry i pokazał wbitą igłę. Jednym pociągnięciem wyjął ją i odłożył obok kanapek.

– Czas na mnie – powiedział i odrzucił na bok kołdrę.

Zajęta do tej pory wielonożnym sąsiadem pielęgniarka w sekundę znalazła się przy Erwinie.

– Dopiero jutro. – Poglaskała go po głowie, jakby był czteroletnim chłopcem, i pomogła mu schować na powrót nogi pod kołdrę. – Jutro tak, ale dziś zostajemy w łóżku.

– Ten mężczyzna, który był tu wczoraj... Czy przychodził i dziś? – spytał Erwin.

– Był. Przyszedł zobaczyć, jak się pan czuje.

– Zostawił dla mnie jakąś wiadomość? Chciał coś przekazać?

– Nie. Posiedział pół godziny i wyszedł.

A więc Wirski był tu ponownie. Pierwszy raz od dziesięciu lat zainteresował się jego istnieniem. Erwina nie cieszyła ta nagła przemiana. Bynajmniej. Nie potrzebował jego troski ani udawanego wsparcia. Wirski był mu obojętny jak powietrze, które wciągał do płuc. Wiedział o jego istnieniu, ale żeby miał odczuwać z tego powodu radość? Zbyt wiele ich dzieliło, by mógł zapomnieć i udawać, że nagle stali się przyjaciółmi tylko dlatego, że obaj leżeli przez chwilę obok siebie z kneblem w ustach.

– Był sam?

– Nie. Był z kobietą.

Serce Erwina zabiło szybciej.

– Z kobietą? Jak wyglądała?

Pielęgniarka wsunęła pod materac zwisające z łóżka prześcieradło. Erwin dostrzegł, jak jej dorodne piersi zafalowały za zapięciem fartucha, ale szybko odwrócił wzrok.

– Kim była ta kobieta? – powtórzył pytanie. – Młoda, śliczna blondynka z długimi włosami?

Pielęgniarka wyprostowała się i złapała pod boki.

– Owszem, blondynka. Ale nie młoda, starsza, mogłaby być pana matką.

Zatem nie ona, nie Izabela. Nie zdążył, zawiódł po raz kolejny. Ona czekała, zamknięta gdzieś niedaleko. Cały czas tam była. Zaledwie kilka kilometrów dalej, w środku lasu, z dala od kogokolwiek, kto mógłby jej pomóc. A on nie mógł zrobić nic poza patrzeniem, jak uchodzi z niej ostatnie tchnienie.

– Poszła już? Ta kobieta, która tu była?

Pielęgniarka wyjęła mu spod głowy poduszkę i strzepnęła, aż po sali rozniosło się echo.

– Nie. Widziałam ją, jak zaglądała do innej sali. Pewnie jest tam do tej pory. Wciąż tam przesiaduje.

– Muszę się z nią zobaczyć, natychmiast!

– Pan nie wie, co mówi, panie Cis!

Poduszka powędrowała z powrotem pod plecy, ale nie zamierzał się już więcej kłaść.

– Proszę mnie stąd zabrać. Na chwilę. Muszę zobaczyć się z tą kobietą.

– Wystarczy, że ją zawołam.

– Nie. Chcę tam iść. Sam.

Pielęgniarka bezradnie patrzyła na szarpiącego się Erwina. Wstrząs mózgu musiał pomieszać mu rozum. Byłoby jednak gorzej, gdyby będąc pod jej opieką, wstał o własnych siłach i bez nadzoru zaczął wędrówkę po szpitalnych korytarzach.

– Umówmy się tak – powiedziała, nachylając się nad jego rozgorączkowaną głową. – Pan tu poczeka i nie będzie robił żadnych głupstw. Przyjadę z wózkiem i wtedy zobaczymy, czy nadaje się pan na rajd po korytarzu. Jeśli będzie pan mógł stanąć o własnych siłach, wsadzę pana do wózka i pojedziemy. Na chwilę. Potem wróci pan grzecznie pod kołdrę.

Kiwnął głową i odprowadził ją wzrokiem do drzwi.

Od nerwowego patrzenia na wejście i zaciskania palców czas nie przyspieszał. Erwin miał wrażenie, że tych kilkanaście minut, które upłynęły od wyjścia biuściastej pielęgniarki, trwały godzinę. Jeśli przypuszczała, że jego zapał do wydostania się ze szpitalnej sali osłabnie lub że było to jego chwilowe widzimi się, myliła się.

Zsunął stopy z łóżka i postawił je na podłodze. Poczuł, jak chłód biegnie od pięt aż po kręgosłup. W głowie mu szumiało. Odczekał chwilę, aż rozkołysanie ustanie na tyle, aby nie osunął się na posadzkę.

Szpitalna koszula była skąpa. Sięgała do połowy uda i odsłaniała to, co zwykle ludzie starają się zakryć. Erwin zrobił kilka próbnych kroków po sali i stanął przy łóżku sąsiada, który miał wreszcie tylko dwie nogi. Położył rękę na przewieszonym przez poręcz szlafroku i ostrożnie przekręcił głowę, by zobaczyć, kim jest człowiek zza zasłony. Sądząc po budowie ciała, był to młody chłopak, może dwudziestodwulatek, z głową obwiązaną bandażem. Spał. Przez białe warstwy opatrunku przeciekło kilka kropel krwi.

Erwin zgarnął szlafrok i narzucił go sobie na plecy. Sięgał zaledwie kolan, ale zawsze to lepiej niż świecić gołymi pośladkami.

Pierwsze kroki w kierunku drzwi poszły niezdarnie. Nie zatrzymywał się jednak, szedł przed siebie z wyciągniętą ręką, przygotowaną do złapania klamki.

Korytarz był niemal pusty. Nikt nie siedział na ustawionych pod ścianą krzesłach, nikt nie chodził nerwowo w tę i z powrotem, jak to bywa w szpitalach. Zauważył zaledwie jedną salową, która chowała sprzęt do magazynku, i ogolonego na łyso lekarza, który po chwili zniknął w jednej z sal.

Nie wiedział, czego i gdzie ma szukać. Mijał pootwierane na oścież drzwi i sale wypełnione metalowymi łózkami. Ludzie siedzieli lub leżeli, rozmawiali lub słuchali nastawionego cicho radia. Gdzieś tam słychać było szelest przewracanych stron gazet.

Szedł dalej, przed siebie. Zaglądał do każdego pokoju, by uchwycić wzrokiem choćby skrawek zielonej bonzurki. Powinni być tu oboje, Wirska i jej mąż. Jeśli on nie chce mu powiedzieć, co się stało z Izzy, może uda mu się odciągnąć na bok jej matkę i w ten sposób dociec prawdy. Musi to zrobić dziś, teraz. Nie da rady żyć w tym niekończącym się koszmarze nieświadomości.

Na korytarzu został tylko jeden pokój, do którego do tej pory nie zajrzał. Erwin, podtrzymując się ściany, stanął na jego progu i rozejrzał się po łózkach. Czterech mężczyzn leżało poodwracanych do siebie plecami. Ci, którzy byli najbliżej wejścia, podnieśli na niego wzrok, ale zaraz wrócili, jeden do drzemki, drugi do czytanej książki.

Nie musiał wchodzić głębiej. Nie zobaczył zielonej bonzurki ani siwych włosów Wirskiego. Żaden nie miał na sobie błękitnej piżamy.

Opuścił pokój i oparł się plecami o ścianę. Miał przeczucie, że coś ważnego znów wymknęło mu się z rąk. Tym razem bezpowrotnie.

Wracał do swojego łóżka, gdy usłyszał za sobą skrzypnięcie. Odwrócił się w kierunku źródła dźwięku. Po szpitalnym linoleum jechał wózek popychany przez znajomą pielęgniarkę. Na jego widok niemal krzyknęła.

– Chce pan, żeby nas oboje stąd wyrzucili? – Podjechała do Erwina i pomogła usadowić mu się na wózku. – Niestety pan tu szuka?

– Szukam kobiety, do której miała mnie pani zaprowadzić.

– Tutaj? Tu jest część dla mężczyzn. Do rana by jej pan nie znalazł.

– Poszła już?

Pielęgniarka wzniosła oczy pod sufit.

– Przecież mówię, że ta część szpitala przeznaczona jest dla mężczyzn. Tamta starsza pani jest piętro niżej. W skrzydle dla kobiet.

Czyżby jednak...?

Erwinowi zakręciło się w głowie. Skrzydło dla kobiet...

– Zbladł pan, panie Cis. Czy nadal chce pan tam jechać?

– Natychmiast! Na miłość boską, niech mnie pani tam zawiezie natychmiast!

Winda zwiózła ich na niższy poziom. Chciał się zerwać i gnać przed siebie, ale w oczach znów pojawił się zmętniały obraz korytarza.

– Szybciej! – wydusił z gardła okrzyk tak silny, na ile pozwalało mu osłabione ciało. – Szybciej!

Stanęli przed drzwiami z numerem dwadzieścia jeden i napisem „Izolotka”.

Erwin podniósł pytający wzrok na towarzyszącą mu kobietę.

– Niech pan tu chwilę poczeka. Sprawdzę, czy można wejść – powiedziała i zostawiła go przed drzwiami.

Nie potrafił opanować podniecenia. Jego ciałem szarpały pojedyncze drgawki, jakby wszystkie organy zaczęła trawić gorączka. Knykcie zbieleły od ciągłego pocierania.

Uspokój się, uspokój, powtarzał w myślach, zaklinając własne emocje. Nad wszystko pragnął, żeby ten straszny sen miał szczęśliwe zakończenie. Zbyt wiele przeszedł, by to wszystko znów miało okazać się drwiną losu.

Drzwi się otworzyły.

– Proszę – usłyszał.

Pchany przez ręce pielęgniarki wózek wjechał do środka. Erwin zobaczył dwoje ludzi pochylonych nad łóżkiem. Na jego widok podnieśli głowy.

Helena i Stanisław Wirscy patrzyli na niego pełnym niepokoju wzrokiem, takim jakim patrzą ludzie stojący nad przepaścią. Na próżno szukał w nich oznak radości. W ich oczach odnalazł jedynie otepienie i ledwie tłącą się nadzieję.

Podjechał bliżej.

Izabela leżała na płaskiej poduszce podpięta pod dziesiątki rurek i kabli prowadzących do maszyn, których nazw Erwin nie potrafiłby nawet powtórzyć. Miała zamknięte oczy. Błede policzki otulone jasnymi włosami przywoływały na myśl twarz anioła, który zasnął spokojnym snem. Na usta nałożony miała aparat tlenowy, pompa miarowo tłoczyła do jej płuc życiodajne powietrze. Spod przezroczystego plastiku widać było spieczone wargi, miały barwę odmiany storczyków. Tej z jasnożółtymi płatkami, poprzetykanymi różowymi żyłkami. Wychudzone ręce dziewczyny leżały wyprostowane w łokciach wzdłuż ciała. Jej palce musiały być pokaleczone, gdyż owijały je białe wstążki bandaża.

– O, dobry Boże... – wyszeptał Erwin. Nic innego nie przechodziło mu przez zaciśnięte gardło. Czuł, jak łzy napływają mu pod powieki. Nie wstydził się ich, nie ocierał oczu. Miał ją wreszcie przy sobie.

Dotknął jej ręki. Była chłodna i delikatna jak pierwszy grudniowy śnieg. Nachylił się nad dłonią dziewczyny i musnął ustami cienką skórę. Po raz pierwszy od dziesięciu lat. Poczował ją znowu, tę samą, przywróconą do świata żywych.

– Erwin?

Ocknął się na dźwięk swojego imienia. Matka Izabeli patrzyła na niego ze smutkiem.

– Ona może z tego nie wyjść. Rozumiesz mnie, chłopcze?

Pokręcił przecząco głową. Nie rozumiał. Nie chciał tego słyszeć. Gdyby był dzieckiem, zasłoniłby dłońmi uszy, aby nie dotarły do niego te cierpkie słowa.

– Jej stan jest ciężki, bardzo ciężki – dodał Wirski. – Lekarze robią, co mogą, ale zbyt długo była pod ziemią bez powietrza, żeby mogli mieć pewność, że wyzdrowieje.

– Pod ziemią? – Erwin oprzytomniał.

– Po tym, jak upadłeś i straciłeś przytomność, przyjechała policja. Mieli psa.

– Słyszałem szczekanie i to, że ktoś zapalił silnik w samochodzie. – Erwin sięgnął pamięcią do ostatniego momentu, który zapamiętał. – Potem było głośne uderzenie. Nie wiem, skąd pochodziło, musiałem stracić przytomność.

Wirski pokiwał głową.

– Pies szedł po zapachu. Szukał śladów. W końcu trafił za dom, niedaleko, zaledwie kilkanaście metrów dalej. Tak, była zakopana dwa metry pod ziemią. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ja do tej pory nie potrafię... – Wirski otarł oczy mankietem. – Kiedy zaczęli kopać, ktoś inny wszedł do szopy. Najpierw zabrali ciebie, potem mnie. Kiedy wsiadałem do karetki, widziałem, jak dwóch funkcjonariuszy kopie. Wbijali łopaty w ziemię i odrzucali kolejne warstwy piachu. Potem usłyszałem, że jeden z nich uderzył o coś twardego.

Matka Izabeli zasłoniła twarz dłońmi. Wirski przytulił ją do siebie i pogładził po włosach. Wyjął chustkę z kieszeni marynarki i podał ją żonie. Odsunęła szkła i przycisnęła chusteczkę do oczu.

– To była cienka drewniana trumna. Właściwie pudło na narzędzia. Kiedy na wieko spadły kilogramy piachu... – Załkała.

Erwin wciąż miał przed oczami wyświetlany na żywo obraz z kamery zainstalowanej w skrzyni, w której dusiła się Izabela.

– Wiem, wszystko widziałem.

– Nie miała szans.

– Pan jej te szanse odebrał. – Głos Erwina stwardniał. – Zrobił to pan swojej własnej córce. Co z pana za człowiek?!

– Będę płacił za to do końca swojego życia. Zresztą... robię to już od wielu tygodni. Każdego dnia.

– Może ona kiedyś panu przebaczy, ale ja nigdy.

– Nie oczekuję przebaczenia. Chcę tylko, żeby wiedziała, że tak naprawdę chciałem ją uratować. – Wirski zapatrzył się na twarz córki. – To wszystko było dla niej, żeby już nikt więcej jej nie skrzywdził.

Gdyby to było możliwe, Erwin wyrwałby mu serce.

– Zgnije pan za kratami. Życzę tego panu.

Na te słowa wzrok Wirskiego powędrował w kąt sali. Erwin się odwrócił. Kiedy wjeżdżał do izolatki, nie zauważył siedzącego w jej rogu policjanta w mundurze. Ten na przywitanie dotknął daszka czapki.

– Co tu się dzieje? – Erwin zwrócił się do matki Izabeli.

Kobieta wytarła nos i schowała chustkę do rękawa swetra.

– Po naszej wizycie mąż pojedzie prosto na komisariat. Czeka go przesłuchanie. Nie chcę teraz o tym mówić. Nie przy niej. To dla mnie zbyt trudne.

Erwin wsunął rękę Izzy pod ciepłą kołdrę i delikatnie pogłaskał poszwę.

– Oczywiście. Nie powinna w tym stanie słyszeć, że jej ojciec próbował ją zabić.

– To nieprawda! – Wirski poderwał się z krzesła. Na znak policjanta usiadł ponownie i ściszył głos o kilka tonów. – To nie ja chciałem jej śmierci.

– W takim razie kto?

Pytanie Erwina zawisło w powietrzu niczym oskarżenie. Wirscy jak na zawołanie spojrzeli na ścianę dzielącą izolatkę Izzy od drugiego pokoju.

Erwin dał znać pielęgniarce, żeby odblokowała hamulec wózka.

Sala była wielkości pokoju dziecięcego. Najpierw zobaczył zasłonę, podobną do tej, która wisiała między łózkami w jego sali, potem krążącą od ściany do ściany kobietę. Do paska miała przytwierdzoną kaburę, z której wystawała broń.

Na ich widok obróciła się i zasłoniła ciałem dostęp do wnętrza sali.

– Ani kroku dalej – powiedziała stanowczym głosem i stanęła w rozkroku. – Pan powinien być teraz u siebie.

– Nigdzie się stąd nie ruszę.

– To nie jest miejsce dla pana, panie Cis.

– Myli się pani. Chcę zobaczyć, z czyich rąk miała zginąć Izabela Wirska.

– Dowie się pan w swoim czasie.

– To jest właśnie ten czas.

Erwin wstał z wózka. Zebrał wszystkie siły, by w kilku szybkich krokach doskoczyć do zasłony. Złapał ją w garść i pociągnął. Beżowa płachta spłynęła na podłogę, tuż pod jego boscie stopy.

Nie rozpoznał twarzy od razu. Była opuchnięta, pod oczami widać było wyraźne wybroczyny. Poduszka powietrzna w Citroenie ochroniła ciało przed roztrzaskaniem, ale nie zabezpieczyła go przed siniakami.

– Witaj, Erwin. Nieźle wyglądasz po tylu latach. Zmężniałeś, wydoroślałeś. Prawdziwy przystojniak z ciebie.

Znał ten głos. Słyszał go już kiedyś. Lata temu. Próbował odszukać w pamięci tę przesłodzoną barwę.

– Przykro mi, że musiałeś przyjechać aż tutaj, do Polski. Widzisz, stęskniliśmy się za tobą. Ja i... on.

– Chcę zostać z nią sam na sam. – Erwin odwrócił się do policjantki i stojącej za nią pielęgniarki. – Na kilka minut.

Napotkał ostry wzrok obu kobiet.

– Tylko na chwilę – zaznaczył.

– Ma pan minutę – odpowiedziała kobieta w policyjnym mundurze. – Wyjdę, ale drzwi pozostaną otwarte, na wypadek gdyby coś głupiego przyszło panu do głowy.

Kiedy zostali sami, w kierunku Erwina wyciągnęła się pokryta fioletowym sińcem ręka ściskająca coś w garści.

– Nie zdążyłam z tym nic zrobić. Wybacz.

Judyta miała te same dzikie oczy jak wtedy, gdy z Mirkiem Pałacem kopali dziurę w ziemi nad jeziorem.

– Weź, to było dla niej, dla twojej choliernej Izzy. Miał zawisnąć nad jej grobem.

Położyła mu na dłoni łańcuszek z krzyżykiem. Ten sam, który zawiesił na gałęzi nad mogiłą Wiktora.

Patrzył na przemian na srebrny krzyżyk i obłąkańczy wzrok Judyty. Nie potrafił o nic zapytać. Nie mógł wydobyć z siebie ani jednego dźwięku. Judyta postanowiła go wyręczyć.

– Zastanawiasz się, dlaczego to zrobiłam?

Jej oczy śmiały się, jak gdyby nie była do końca świadoma, czego się dopuściła. Kąciki jej ust drżały jednak nerwowo.

Nie odpowiedział. Stał jak wmurowany i zaciskał palce na starym srebrnym łańcuszku.

– Odebrałeś mi go. Zabiłeś i zakopałeś jak zdechłe zwierzę. Przez głupią zabawę z twoją ukochaną, która i tak kopnęła cię potem w dupę.

– Ty podła suko!

Sztywny kołnierz ortopedyczny uniemożliwiał Judycie jakikolwiek ruch głową, więc tylko westchnęła.

– Nadal próbujesz sobie wmówić, że to był wypadek? Pewnie tak, tak jest łatwiej. Dużo prościej było też dać nogę za granicę. Sprawa rozeszła się po kościach. Wszyscy zapomnieli. Tylko, widzisz... ja nie zapomniałam.

– I dlatego chciałaś zabić Izabelę? Jesteś obłąkana!

– Ona nic nie znaczyła. Była zwykłą przynętą. Chciałam, żebyś to ty cierpiał, Erwin. Tak jak ja cierpiałam, kiedy wrzucałeś do grobu w lesie ciało Wiktora. Wiesz, jak to jest, kiedy ktoś wkłada ci rękę między żebra i zaciska palce na sercu? To stało się ze mną, kiedy zobaczyłam, jak trzymasz głowę Wiktora pod wodą i potem ciągniesz po piachu jego martwe ciało. To samo czułam, kiedy Pałac wbił saperkę w piach i zaczął kopać grób. Kiedy usłyszałam, że śmierć Wiktora ma pozostać tajemnicą i że nie poniesiesz za nią konsekwencji, wydawało mi się, że umarłam razem z nim. Wtedy nie miałam siły przeciwstawić się tobie i reszcie. Postanowiłam



jednak, że odpłacę ci za to najpiękniej, jak potrafię. Latami marzyłam o tym, żebyś poczuł to, co ja czułam wtedy. Nie mogłam doczekać się dnia, w którym zobaczę przerażenie w twoich oczach. I ból. Chciałam widzieć w nich ból. Ten największy, który raz na zawsze zrobiłby z ciebie emocjonalny wrak. Tylko jedno mogło cię tu ściągnąć. Izabela. Tak długo czekałam na odpowiedni moment. Ona zawsze była naiwna i wszystkim wierzyła. Kiedy podsunęłam jej pomysł z wynajmem mieszkań dla dziewczyn ze Wschodu, weszła w to jak w dym. Biznes się kręcił, ona zarabiała duże pieniądze, zupełnie nieświadoma, co za tym stoi. Ale po pewnym czasie zaczęła przeglądać na oczy. Bredziła coś o sumieniu i ludzkiej krzywdzie. Wiedziałam, że pewnego dnia wymięknie i będzie chciała się z tego wycofać. Ale z tego biznesu tak łatwo się nie wychodzi. Mafia nie zna słowa bunt i nie pozwala na opuszczenie piaskownicy. Handel ludźmi to nie karuzela z konikami.

– Wciągnęłaś ją w mafijne porachunki? Jakież to podłe!

– Nie była znów taka nieszczęśliwa. Przynajmniej na początku. Miała z tego niemały zysk. Biznes się rozkręcał, towar schodził szybko i bezproblemowo. Dziewczyny miały wzięcie.

– Mieszkanie przy Ptasiej. Tam je trzymałyście?

– A jak myślisz? Opłacony chirurg robił im małe poprawki, żeby lepiej wyglądały.

Erwinowi stanęły przed oczami metalowe półki z naczyniami, igły i nici chirurgiczne. Strzykawki z botoksem i silikonowe piersi.

– Bawiliście się w Boga. Mam nadzieję, że kiedyś on pobawi się z wami w ten sam sposób.

Judyta prychnęła drwiąco.

– W dupie mam twojego Boga! Mieliśmy interes do zrobienia, a przy okazji wyświadczaliśmy im przysługę. Te dziewczyny po kilku dniach od operacji wyglądały lepiej niż wenezuelskie modelki. Wystarczyło je tylko dobrze zaprezentować i sprzedać. Zrobić dobry marketing, rozumiesz? Ładna twarz, seksowne ciało, mężczyźni zawsze będą tego chcieli.

– Ty robiłaś im sesje?

– Masz na myśli zdjęcia reklamowe? Wiesz, że robię to najlepiej.

– Nocami, kiedy wszyscy spali... – ciągnął dalej Erwin, mając w pamięci zagadkowe odgłosy, które docierały do niego zza ściany. – To była migawka aparatu.

– Głośny jest, bydlak. Miałam go wkrótce wymienić. Niebawem kolejna wystawa fotografii.

– Obawiam się, że tym razem odbędzie się bez twojego udziału. Podobnie jak wiele następnych.

Judyta nie wyglądała na przerażoną perspektywą spędzenia kolejnych lat za kratkami. Sprawiała wrażenie kogoś, kto, podniecony własnym geniuszem, przestaje czuć ziemię pod stopami.

– Sądzę, że mam duże szanse. Mało kto jest tak dobry w te klocki jak ja.

Erwin zacisnął w pasie szlafrok i założył ręce na piersiach.

– Nigdy nie lubiłem twoich zdjęć. Mam nadzieję, że świat o tobie zapomni.

– Uuu... ale mnie zasmuciłeś. – Zrobiła fałszywą minę, jakby zaraz miała się rozpłakać. – Nawet tych, które wysłałam Palaczowi? A tak się starałam.

– Jesteś chorym człowiekiem.

– Każdy z nas jest trochę chory.

– Zmontowałaś zdjęcia znad jeziora, żeby nas nastraszyć? Napracowałaś się, z tego, co mi wiadomo. Szkoda, że twój plan nie wypalił. Nie wyszło ci po raz kolejny.

– Ani trochę? – Judyta wykrzywiła usta. – Wiedziałam, że Palacz się przejmie i poleci z tym do ciebie. Miałam niezłą zabawę. Kilka sztuczek z fotomontażem i każdy dałby się nabrać.

– Nie każdy. Tamtej nocy nad jeziorem nie było nikogo oprócz nas.

– Co z tego? Zdjęcia były perfekcyjne. Wystarczyło poprosić kilku gówniarzy, żeby stanęli na brzegu Wisły w środku nocy i dali się sfotografować. Obróbka zdjęć to była już dziecinna zabawa. Palacz, jak to on, spanikował. To jedno mi się udało, nie zaprzeczysz.

– Chora i do tego popieprzona!

– Gdybyś mnie bliżej poznał, z pewnością byś polubił. A swoją drogą, Izabela powinna mi wysłać kartkę z podziękowaniami. No, co tak patrzysz? Myślisz, że kto dbał o storczyka na Ptasiej podczas jej nieobecności?

– To byłaś ty?! – Erwin nie wierzył własnym uszom. – Wchodziłaś do jej mieszkania nawet wtedy, gdy już tam mieszkałem?

– Lubię kwiaty, w przeciwieństwie do ludzi. Poza tym miałam blisko, przez ścianę. A ty spałeś jak niemowlę, zamroczony kolejnymi butelkami whisky. Właściwie mogłam załatwić cię przez sen i miałabym to z głowy, Cis. Wystarczyłoby przyłożyć ci poduszkę do twarzy. Tylko że to byłoby zbyt proste i mało spektakularne. A ja chciałam fajerwerków. Dla mnie tymi fajerwerkami było patrzeć, jak wykręca ci się gęba na widok konającej Izabeli. Dlatego wolałam rozegrać wszystko tu, na Mazurach.

W drzwiach pojawiła się głowa policjantki.

– Koniec wizyty. Proszę już stąd iść.

Erwin po raz ostatni spojrzął Judycie w oczy.

– Obyś zgniła w piekle!

– Razem z tobą – odpowiedziała, łapiąc go za rękaw szlafroka. – Pociągnę cię za sobą, Cis. Wojna między nami jeszcze się nie skończyła.

Erwin wyszarpnął się z jej uścisku i nachylił się nad nią tak nisko, że mogła poczuć na twarzy jego oddech.

– I będzie trwała, dopóki żyjesz, możesz być tego pewna. Kiedy wyjdiesz już z kryminału, radzę ci, żebyś bacznie obserwowała ulice po zmroku. Bo przyjdzie taka noc, kiedy mój cień stanie naprzeciw twój.

Poklepał ją zbyt mocno po policzku i wyszedł na korytarz, po czym opadł bez sił na wózek.

Kiedy został w pokoju sam, nie licząc wciąż śpiącego sąsiada za kotarą, musiał zrobić jeszcze jedną rzecz. Wyjął z szafki telefon i wybrał kierunkowy do Hamburga. Od kilku dni układał sobie w głowie przebieg tej rozmowy. Musiał ją odbyć. Rozwazał różne warianty, wyobrażał sobie nawet, jakim głosem zacznie mówić. Czy radosnym, czy pełnym powagi. Wiadomości, które chciał przekazać, nie nastrojały optymistycznie. Cokolwiek by więc powiedział, finał mógł być tylko jeden.

Przyłożył komórkę do ucha. Sygnał zaterkotał, po czym zamienił się w ciągłe buczenie. Erwin zamknął oczy, gdy usłyszał dźwięk podnoszonej słuchawki.

– Karl? To ja, synku. Tak, tata. Długo mnie nie było. Przepraszam, że przez ostatnie dni nie czytałem ci bajek na dobranoc. Musiałem wyjechać, żeby załatwić pewną bardzo ważną sprawę. Ale niedługo wrócę, obiecuję. Tak... Przywiozę ci prezent, dużo prezentów. Potem pójdziemy gdzieś razem, wszystko już odtąd będziemy robić razem. Ty i ja. Tata i jego mały synek. Teraz i zawsze. Jesteś zmęczony... Połóż się i zaśnij. Niech ci się przyśni coś pięknego. Poproś jeszcze do telefonu babcię. Kocham cię, Karl, pamiętaj o tym.

Poszło gorzej, niż się tego spodziewał. Słodki głosik Karla rozerwał mu serce na kawałki. Tak bardzo za nim tęsknił. Za jego beztroskim śmiechem i pełnymi naiwnej radości oczami. Teraz przyjdzie mu się zmierzyć z matką Simone. Opowiedzieć wszystko, co się tu wydarzyło. Po kolei aż do końca. Przynajmniej do chwili, w której na posterunku w Myszyńcu zobaczył film pokazujący ostatnie minuty życia Sońki.

Słyszał w słuchawce podniecony głos synka i zbliżające się kroki matki Simone. Wolał zacząć pierwszy, nie czekał nawet na słowa powitania.

– Halo, Gudrun. To ja, Erwin. Posłuchaj mnie, tylko proszę, nie przerywaj, dopóki nie skończę. Pozwól mi mówić, nawet gdyby to, co powiem, wydało ci się niewiarygodne. Otóż, Gudrun, stała się rzecz straszna...

\* \* \*

Mirek Pałacz najpierw uściśnął dłoń Erwina, a potem padł mu w ramiona. Potrząsnął nim przy tym z autentycznym wzruszeniem, jakby jego przyjaciel cudem ocalał z płonącej platformy wiertniczej na Morzu Północnym.

– Cis, dzizas, jak usłyszałem cię dziś rano, to tak, jakbym głos zmarłego brata usłyszał.

– Przecież ty nigdy nie miałeś brata, Pałacz. – Erwin wciągnął spodnie i zapiął suwak, po czym sprawdził, czy nic nie zostało w szpitalnej szafce.

– Właśnie dlatego. Tym bardziej się ucieszyłem. Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi

i jak się tu znalazłeś, ale cieszę się, że szlag cię nie trafił. Jak tylko zaczniesz mówić do składu, będziesz musiał opowiedzieć mi, w co się wpakowałeś. Przez telefon ledwie mełłeś językiem. No, Jay Larson to ty nie jesteś.

– Dziękuję, że przyjechałeś, stary. To jednak kawał drogi, a ja na motocykl prędko nie wsiądę.

T-shirt nosił na sobie ślady krwi, która wyciekła Erwinowi z ucha, ale nie miał pod ręką innych ubrań. Włożył wymięty podkoszulek i zapiął zegarek.

– Zbierajmy się stąd. Mam dość tego miejsca. Nie leżałem tyle w łóżku chyba od własnych narodzin.

Sąsiad z łóżka obok na pożegnanie podniósł kciuk do góry. Erwin odpowiedział mu tym samym.

Wyszli na korytarz. Palacz złapał windę i wcisnął przycisk z cyfrą zero.

– Poczekaj. – Erwin wybrał inny guzik. – Muszę zajrzeć w jeszcze jedno miejsce.

Izabela leżała nieruchomo w tej samej pozycji co wczoraj. Na twarzy wciąż miała maskę z tlenem. Przez ekran kardiomonitora płynęły zygzyki pozwalające wierzyć, że wszystkie funkcje życiowe dziewczyny są na takim poziomie. Erwinowi wystarczyło, że nie dostrzegł na kolorowych liniach żadnych widocznych odchyień.

Na krześle przy łóżku siedziała jej matka. Była sama.

– Jak dzisiaj? – Erwin przysiadł na pustym stołku i, podobnie jak kilkanaście godzin temu, wzięła Izzy za rękę.

– Lekarze mówią, że zagrożenie minęło, ale ja nie widzę poprawy – odpowiedziała matka Izabeli. – Ciągłe czekam, aż otworzy oczy. Moja mała, biedna córeczka.

– Jest silna. Zawsze była. Wyjdzie z tego, potrzeba tylko czasu.

Wirską zdjęła okulary z nosa i wytarła szklą brzegiem spódnicy.

– Złożyłam zażalenie na szpital. To nieludzkie, żeby ofiara sąsiadowała przez ścianę z własnym oprawcą. Za każdym razem, gdy stąd wychodzę, myślę, czy tamta nie zrobi znów tego samego. Nie chcę dłużej słuchać tłumaczeń, że przywieźli was wszystkich do najbliższego szpitala, żeby ratować życie. Życie tamtej kobiety nic mnie nie obchodzi.

– Cały czas kręci się tu policja. – Erwin spojrzał w stronę młodego funkcjonariusza siedzącego w kącie izolatki.

– To za mało. Nie chcę jej tu. Są inne szpitale w okolicy, niech tam ją zabiorą.

Rozumiał Wirską jak mało kto. Zrobiliby to samo, gdyby Karl znalazł się w podobnej sytuacji. A właściwie zrobiliby więcej. I nie byłaby to grzecznie wniesiona skarga.

– To naprawdę ona? – odezwał się milczący do tej pory Mirek Palacz. Stał za ich plecami i patrzył na rozgrywającą się scenę jak widz, który przyszedł do kina na kilka minut przed końcem seansu.

Powoli docierało do niego to wszystko, co do tej pory brał za naciągane rojenia Erwina. Nie widział Izabeli, odkąd drogi ich piątki rozeszły się dziesięć lat temu. Nie słyszał o niej i sam też nie szukał żadnych informacji. Dlatego teraz ze wzruszeniem wpatrywał się w dawną przyjaciółkę, która, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, miała nie żyć od dobrych kilku tygodni.

– Gdybym tylko wiedział... – Palacz nie spuszczał oczu z bladych policzków kobiety. – Wybacz, Cis, że nie uwierzyłem w twoje podejrzenia. Gdy usłyszałem od ciebie o pogrzebie, sprawa wydawała się zamknięta. Twoja teoria o tym, że to pomyłka i że jest zbyt wiele znaków zapytania, przypominała sen wariata. Wiedziałem, że nie powstrzymam cię przed obłąkanym pomysłem szukania jej wśród żywych, ale tak naprawdę nie wierzyłem w cuda. To takie dziwne, że można umrzeć i nadal żyć.

– Pomogłeś mi dużo bardziej, niż sądzisz. – Erwin poklepał Palacza po ramieniu. – Bez ciebie bym jej nie znalazł.

Pochylił się nad głową dziewczyny. Na moment odsunął maskę tlenową i pocałował Izabelę w spierzchnięte usta.

– Trzymaj się, Izzy. Przyjadę za dwa dni, jak tylko dam radę usiąść za kierownicą. I zostanę tu, dopóki nie otworzysz oczu.

Przez chwilę zdawało mu się, że jej cienka powieka zadrżała. Jakby mózg zarejestrował jego słowa. Ale mógł to być zwykły tik gałki ocznej.

– Do widzenia – powiedział Erwin i mocniej naciągnął kódrę na piersi Izzy.

– Do widzenia, Erwinie – odpowiedziała Wirska. Gdy została sama z córką, wyjęła z torebki czarny modlitewnik.

\* \* \*

Gdy znaleźli się na szpitalnym parkingu, Palacz wciąż nie mógł opanować emocji. Nerwowo szukał po kieszeniach kluczyków do swojego starego fiata.

– Miałeś rację, Cis – powiedział z autentycznym wzruszeniem i przeciągnął dłonią po twarzy. – Dżizas, przez cały czas miałeś rację.

Erwin wolałby nie mieć racji, o ile ta cała historia mogłaby się w ogóle nie wydarzyć.

– To była tylko nadzieja, Palacz. Podobno ona umiera ostatnia, więc trzymałem się jej jak oszalały. Poza nią nie miałem nic, rozumiesz?

– Tak, chyba tak. Już zapomniałem, jak to jest mieć nadzieję.

– Przykro mi, że w waszym wypadku nie było szczęśliwego końca.

Palacz otworzył drzwi fiata, ale nie wsiadł do środka. Położył ręce na dachu auta i skrzyżował palce.

– Nie wracajmy do tego, Cis. Nie ma sensu. Bóg jeden raczy wiedzieć, jak bardzo bym chciał obudzić się znów obok mojej żony. Ale to się nigdy nie stanie.

Erwin wrzucił swoją sportową torbę na tylne siedzenie auta.

– Może kiedyś znów uwierzysz, że życie ma sens.

– Może.

Drogę do Warszawy Erwin przespał, przytulając głowę do szyby fiata. Kiedy minęli pierwsze rondo, poczuł szarpanie za ramię.

– Dokąd cię podrzucić, śpiąca królowno?

W grę wchodziła tylko jedna opcja.

– A więc Ptasia. – Mirek Pałacz poruszył łopatkami. – Nie masz dość tego miejsca?

– Muszę ogarnąć „to miejsce”, żeby Izabela nie zemdląła na widok tego, co tam zostawiłem. Mieszkanie przypomina lej po bombie, a w jej oczach, sam rozumiesz, byłem zazwyczaj porządnym facetem.

– Z jednym wyjątkiem.

– Tak. – Erwin uchylił okno. Popołudniowy wiatr wpadł do wnętrza auta i wywiał z niego mdły zapach sztucznej wanilii. – Sprawa z Wiktorem wisi nade mną jak topór kata. W końcu spadnie mi na kark i utnie łeb.

Pałacz włączył kierunkowskaz. Wjechali na most Świętokrzyski, a potem prosto na Tamkę.

– Nikt się nie dowie, co zaszło nad Tałtami. – Przed światłami wcisnął hamulec, tak że fiat niemal stanął dęba. – Nic nie zrobią, ani tobie, ani mnie.

– Mylisz się, Pałacz. Judyta lub, jak wolisz, CoOczyWidziały dopnie swego.

Mirek Pałacz był zaledwie zdziwiony, jakby zamiast spodziewanego śniegu zobaczył za oknem śnieg z deszczem.

– To była ona? – Zapatrzył się na przechodzącą przez pasy rudą lisicę w minispódnicze.

– Spreparowała zdjęcia, żeby wyglądało na to, że ktoś nas obserwował. Miałeś się wystraszyć i wpaść w panikę.

– I wpadłem. Nie powiem, te fotografie śniły mi się po nocach. Już widziałem swoje dzieci w ochronce, a siebie samego w pudle. Każdy by się wystraszył.

– Wciąż je masz, te zdjęcia?

Pałacz zmarszczył nos i dodał gazu.

– Mówiłem ci, że były robione Snapchatem. Nie ma po nich śladu. Wymazane, zapomniane.

– Ale ona wciąż może je przechowywać. Na specjalną okoliczność.

– Że niby pokaże policji? Nie martwiłbym się o to.

Pałacz sprawiał wrażenie, jakby zabawa w kotka i myszkę bawiła bardziej jego niż samą autorkę tej gry.

– Nie wiesz, co się stało w ciągu ostatnich dni – powiedział Erwin, szperając w zakamarkach swojej torby. – W zasadzie nic nie wiesz. Choćby tego, że nie będziemy już wspólnie z Simone wychowywać Karla.

– Uuu... Szykuje się rozwód stulecia?

Erwin zapalił papierosa i wydmuchał dym przez otwarte okno.

– Gorzej. Zabiła bliską mi osobę.

Palacz rozszerzył źrenice do granic możliwości.

– Że co?!

– To, co powiedziałem. W każdym razie będę jedynym opiekunem Karla przez... bardzo długo.

– Jak to „zabiła”? – Palacz nie mógł otrząsnąć się po tej informacji. – Podeszła do kogoś i wpakowała mu kulę między oczy?

– Mniej więcej.

– Z zemsty?

– Z zazdrości. Przyjechała tu za mną z postanowieniem, że rozprawi się z moją kochanką.

– A był ktoś taki?

Erwin zacisnął szczękę na myśl o Sońce i wspólnie spędzonej nocy. Gdyby nie sprowadził jej do mieszkania Izabeli i nie udawał dobrego wujka, oferując jej dach nad głową, nadal by żyła. Simone nie wzięłaby Sońki za kogoś, kim ta stała się przez czysty przypadek.

– Nie. Nikogo takiego nie było.

– Mimo wszystko załatwiła tę, co to jej niby nie było... – Tu Palacz spojrzał wymownie na Erwina. – I przy okazji siebie. Co za piękna antyczna tragedia!

– Nie ironizuj, Palacz. Zginęła niewinna dziewczyna.

– Wolałbyś, żeby trafiło na Izabelę?

Zatrzymał ich korek, tym razem na Świętokrzyskiej. Sznur aut ostrożnie wymijał rozkopane rury ciepłownicze.

– Zadaj jakieś mądrzejsze pytanie, Palacz.

– Mówię serio. Jeśli Simone przyjechała za tobą aż do Warszawy, i to z pukawką w kieszeni, to co mogłoby ją powstrzymać przed zabiciem Izabeli? Może, paradoksalnie, ten ciąg nieszczęść uratował ją przed śmiercią z ręki twojej żony. Swoją drogą, jak cię namierzyła?

Erwin poklepał się po kieszeni, w której tkwił jego iPhone.

– Lokalizator. Nawet nie wiem, kiedy mi go założyła. Znała hasło dostępu, mogła zrobić z moją komórką, co tylko chciała. Wiem, jak to brzmi, jak jakaś cholerna brazylijska telenowela.

– Tylko czekać happy endu.

– Nie będzie happy endu, Palacz. W tym rzecz. Jeśli Judyta powie, co zrobiliśmy, co ja zrobiłem... Nawet nie chcę myśleć, co się stanie z Karlem.

– To nie myśl. Powiedziałem ci już, żebyś zaczął wreszcie normalnie oddychać. Izabela żyje i ani się spozdrzeżesz, a wróci do domu. Twoja ukochana żona, Simone, dostanie w prezencie od prokuratora długie wczasy w hotelu typu bed&breakfast i zniknie z twojego życia.

– Jeśli trafią nad jezioro...

– Niczego tam nie znajdą. – Palacz wskoczył w Marszałkowską i zaczął ścigać się z wiśniową toyotą. – Jego już tam nie ma, Erwin.

Cis wyrzucił peta za okno i spojrzał badawczo na Mirka.

– Oszalałeś? Wystarczy, że przekopią kawałek plaży!

– Przeniosłem ciało Wiktora w inne miejsce.

Erwin zaniemówił. Patrzył nieruchomym wzrokiem na Palacza, który spokojnie kręcił kierownicą z miną natchnionego Buddy.

– Musiałem to zrobić – wyjaśnił i włączył radio. Z głośnika popłynęła Selah Sue ze swoim *Crazy world*, jakby za mało było szaleństwa w tym, co właśnie zostało powiedziane. –

Zaczynało się robić gorąco. Sam słusznie zauważyłeś, że zdjęcia, które dostawałem od CoOczyWidziały, zaczynały doprowadzać mnie do obłądu. Postanowiłem sam wykonać ruch. Ja też miałem wiele do stracenia. Mam dzieci, pamiętasz?

– Co z nim zrobiłeś?

– Powiedzmy, że znalazłem mu lepsze miejsce.

– Nie chcę wiedzieć gdzie.

– I bardzo dobrze.

– Ciało musiało być w całkowitym rozkładzie.

– Nawet mnie o to nie pytaj. Nie chcę o tym mówić. – Palacz zacisnął ręce na kierownicy.

– Nie sądziłem, że jesteś do tego zdolny.

– Ani ja. Nie wracajmy już do tego tematu. Chcę o tym zapomnieć.

Dojechali na Ptasią. Erwin nacisnął klamkę fiata i pchnął stopą drzwi.

– Wejdiesz na górę?

Palacz wykrzywił się w głupim uśmiechu.

– Nie przeginaj, stary. Nie naciągniesz mnie na kolację przy świecach i nocne tango z różą w zębach.

– Trudno. – Erwin podał przyjacielowi rękę. – Żebyś nie mówił, że nie zapraszałem.

Obaj mieli świadomość, że uścisk ich dłoni znaczył więcej niż zwykłe pożegnanie.

– Wynoś się, no już. – Palacz wrzucił pierwszy bieg. – Nie mam czasu na twoje umizgi.

Erwin wygrzebał się z auta i zarzucił torbę na ramię.

– Jeszcze raz dzięki za wszystko.

– Wciąż wiesz mi kasę za laptopa.



Odpowiedział mu wysunięty środkowy palec.

– Ja ciebie też, Cis! I nie pokazuj mi się więcej na oczy. Po twoich ostatnich wybrykach nie chcę cię oglądać przez kolejne dziesięć lat.

– Piwo jutro po południu?

– Jasne. Przyda ci się przerwa między polerowaniem podłóg a trzepaniem dywanów.

– Spadaj, Pałacz!

– O piątej w Browarmii na Krakowskim. Uprzedzam, że znów zapomnę swojego portfela.

Gdy Mirek Pałacz zniknął za rogiem, Erwin spojrzął w okna bloku, gdzie wszystko się zaczęło. Potem na śmietnik, gdzie Sońka zwykła gasić wieczornego papierosa, i przechyloną wierzbę płaczącą, o którą opierała się, poprawiając niewygodne buty na koturnach.

Jego wojna o Izabelę dobiegała końca. A wojna, jak to wojna, zabrała ze sobą ofiary. Kiedy stanął przed tym domem dwa tygodnie temu, nie mógł przewidzieć, że cała historia potoczy się tak, a nie inaczej. Czy gdyby to wiedział, cofnąłby się i zrezygnował? Wolał tego nie roztrząsać. Izzy też o tym nie powie, przynajmniej nie w najbliższym czasie. Wpadłaby w rozpacz, gdyby dowiedziała się, że za jej życie ktoś inny zapłacił swoim. O tym, co zaszło, opowie jej, gdy sam będzie gotowy. Na razie musi wejść na górę i zacząć wszystko od nowa.

Dla niej.

## PIĘĆ TYGODNI PÓŹNIEJ

Salon w mieszkaniu na łódzkim Polesiu pachniał świeżą farbą. Drewniane żaluzje, pozostawione przez poprzednich właścicieli, zostały zastąpione przez miękkie, bordowe zasłony w złote żyłki. Dywan też był nowy, niedrogi, ale pasował do wnętrza. Pośrodku pokoju, na żelaznych nogach, stanęła szklana ława. Tuż przy niej kanapa i dwa fotele. Poduszki z wyszytymi czarnymi nutami ułożono wszędzie tam, gdzie można było oprzeć plecy i wyciągnąć nogi przed telewizorem. W sypialni nad łóżkiem pojawiły się dwa szklane kinkiety, których klosze imitowały tuby starego patefonu.

– Ładnie tu. – Izabela objęła Erwina w pasie i przytuliła się do silnego ramienia. – Dużo ładniej niż w dawnym mieszkaniu przy Ptasiej. Pamiętałeś o wszystkim, nawet o powieszeniu na ścianie mojej starej gitary.

Jej włosy znów pachniały rumiankiem. Mimo że ścięła je do połowy szyi i przefarbowała na brąz, to była ta sama Izzy. Objął ją w talii i pocałował w czubek głowy.

– Do końca miesiąca powinienem zdążyć z pokojem dla Karla. Chcę, żeby dobrze się tu czuł. Będzie potrzebował trochę czasu, żeby się oswoić z nową sytuacją i nowym miejscem.

– Dzieci lubią zmiany. – Izabela pociągnęła Erwina w stronę przedpokoju, do miejsca, w którym zaplanowali postawienie szafy. – Będzie przeschęśliwy, że dostanie swój pokój. Tu tymczasowo musimy postawić przenośny wieszak na ubrania.

– Co z moim gabinetem? Będę musiał rozejrzeć się za jakimś pustostanem w okolicy.

– Znajdziesz coś. – Dłoń dziewczyny zmierzwiła Erwinowi włosy na głowie. – Może zastanowisz się nad zmianą nazwy swojej firmy? Sens Twojego Życia chyba nie ma już racji bytu.

Erwin nie mógł się nie zgodzić. Sens życia, jaki narzuciła mu Simone, przestał się liczyć.

– Jak brzmi „Możesz wszystko”? Do naszej sytuacji pasuje jak ulał.

– Co powiesz na „Zacznij od nowa”?

Pod ścianą leżały nierozpakowane pudła z biura w Hamburgu i kilka pamiątek po dawnym życiu. Erwin usiadł na jednej z pak i zadumał się.

– Nazwa to błahostka. Boję się, że Karlowi nie będzie łatwo zacząć wszystko od nowa. –

Wyciągnął dłoń i potarł drzwi do dziecięcego pokoju. Pył z cyklinowania parkietu wciąż unosił się w powietrzu i przywierał do każdej powierzchni.

– Zrobimy wszystko, żeby mu pomóc. Nic nie zastąpi dziecku matki, ale akurat ojca to Karl ma niczego sobie. – Śmiech Izabeli rozbrzmiał w pustym pomieszczeniu. – Lepszego mieć nie można.

Nagle spochmurniała. Musiała pomyśleć o własnym ojcu, który wciąż czekał na oskarżenie. Erwin dostrzegł, jak jej oczy zaszkliły się i skryły przed jego wzrokiem.

– Może już czas, żebyśmy o tym porozmawiali?

Izabela bez słowa skierowała się do salonu. Ruszył za nią, starając się nie otrzeć o zakurzoną ścianę.

Usiadła na kanapie. Sięgnęła po poduszkę i przycisnęła ją do brzucha.

– Będę zeznawać na jego korzyść. Chcę, żebyś o tym wiedział.

Erwin usiadł w fotelu naprzeciwko i założył nogę na nogę. Izzy nie żartowała, widział, jak jej ciało napięło się, kiedy zaczęła mówić o ojcu.

– Twoje prawo – stwierdził ze spokojem. – Nie rozumiem tego, ale skoro podjęłaś taką decyzję...

– Nie wiesz wszystkiego.

– Wiem wystarczająco dużo. Pochował cię za życia, pamiętasz jeszcze swój pogrzeb?

Zakryła dłońmi twarz. Przy ciemnych włosach jej cera wyglądała jak cera porcelanowej lalki. Nie było na niej jednak rumieńców ani pomalowanych na różowo ust. Twarz Izabeli, mimo pełni lata, wyglądała, jakby za oknem wciąż panowała zima.

– Jak to jest przeżyć własną śmierć, Izzy? – Erwin chciał jej dotknąć, ale wzdrygnęła się. Opuścił. W tej chwili nie potrzebowała jego dotyku, lecz zrozumienia.

– Mnie nie jest do śmiechu, Erwin.

– Ani mnie. Po prostu trudno jest mi sobie wyobrazić, co czuje człowiek, który widzi na trumnie tabliczkę z własnym nazwiskiem.

– Gdyby choć była pusta... – Dziewczyna zamknęła oczy i potarła twarz.

– Ale nie była. W środku leżała dziewczyna z wypadku. Spopielono ją i pochowano zamiast ciebie. Wciąż jednak nie wiem dlaczego.

– Boję się, że tego nie zrozumiesz. – Skuliła się jeszcze bardziej.

– Bzdura! – zachnął się Erwin. – Poza twoją matką jestem jedyną osobą, która cię rozumie, której ufasz i która wciąż coś dla ciebie znaczy. W przeciwnym razie nie nakazałabym Nawrockiemu szukać mnie po świecie. Kiedy wychodziłem z jego kancelarii, rzeczywiście nic nie rozumiałem. Wydawało mi się, że tak naprawdę nigdy cię nie znałem. To, co zrobiłaś ze swoim życiem... Te mieszkania, te wszystkie młode kobiety...

– Nie było moim zamiarem, żebyś się o tym dowiedział. Chciałam ci tylko oddać nasze wspólne zdjęcia, nasze listy. Na wypadek gdyby coś mi się stało. Nie wiedziałam, że mój ojciec włożył do koperty te wszystkie artykuły i zdjęcia dziewczyn, żebyś zaczął szukać informacji na

temat mojej śmierci. Jestem pewna, że to był pomysł Judyty. Działali ręka w rękę. Ona wszystko zaplanowała, a on robił, co mu kazała. Poza tym, nie chciałam tego! – Głos Izabeli się załamał. – Nie miałam pojęcia, że dziewczyny będą krzywdzone i sprzedawane obcym mężczyznom. Nie wiedziałam tego, rozumiesz?! Jak głupia wierzyłam, że przyjechały do Polski szukać pracy. Pracy, Erwin! Kiedy zorientowałam się, w co się wpakowałam, tkwiłam w tym szambie po uszy!

– Dostawałaś za to duże pieniądze. Nie dziwiło cię, że zwykle stawki za wynajem mieszkania są znacznie niższe? Nie mogłaś być aż tak naiwna!

Izzy odrzuciła poduszkę na bok i poszła do kuchni. Nalała wody do szklanki i wzięła kilka łyków. Trzęsła się z nerwów. Stała odwrócona tyłem do Erwina, bojąc się kolejnego ataku.

– Masz rację – powiedziała. – Wiedziałam, że to, co mi dają co miesiąc, to więcej niż rynkowa norma. Nie pytałam dlaczego ani tym bardziej nie protestowałam. Potrzebowałam tych pieniędzy. Część z nich oddawałam Judycie za to, że organizowała mi kolejne lokatorki. Wiem, jak to zabrzmiało, ale ja naprawdę byłam jej wdzięczna za pomysł z wynajmem mieszkań i za pomoc. Poza tym mieszkanie musiało na siebie pracować, nie stać mnie było na utrzymanie go, to chyba oczywiste. Dlatego wolałam nie pytać. Kiedy jest się na swoim, bez pomocy rodziny, trzeba nauczyć się pływać, po prostu. Inaczej idzie się na dno. Zaryzykowałam.

– Za to twoje ryzyko trzy osoby zapłaciły życiem. Twoja matka postarzała się o dziesięć lat. Warto było?

Szklanka, którą trzymała Izabela, stanęła bezgłośnie na kuchennym blacie.

– Wiesz, co to jest strach? – Dziewczyna odwróciła się i spojrzała Erwinowi prosto w oczy. – Cholerny, przerażający strach przed tym, że jeśli zechcesz się wycofać z interesu, pewnego dnia wywloką cię z domu i wrzucą do rzeki jak worek z piaskiem? Nigdy się tego nie dowiesz, dopóki nie zapukają do twoich drzwi.

– Wybrałaś więc nowe życie jako Marta Mazur?

– Co innego mogłam zrobić? Izabelę Wirską znaleźliby na końcu świata. Pomysł ze zmianą nazwiska był dobry. Potem wystarczyłoby tylko sprzedać mieszkanie i wyprowadzić się gdzieś daleko stąd.

– Ty to wymyśliłaś?

– Nie pamiętam już, kto zaczął tę rozmowę. Chyba ojciec, on wiedział o wszystkim.

– Od ciebie?

– Od Judyty. Grała przed nim dobrą duszę, a tak naprawdę potrzebowała współnika do swojego planu. Kiedy tkwiłam już w tym bagnie po uszy, powiedziała mi o mojej sytuacji. Najpierw się wściekł, a potem wystraszył, jak to ojciec.

– Matka o niczym nie wiedziała?

– Nie. Nie miała pojęcia, w co wdepnęłam. We właściwym momencie miałam powiedzieć jej o zmianie nazwiska i wymyślić jakieś sensowne wytłumaczenie. Dlatego też wiedziała tylko, że

mam zamiar wyjechać na kilka dni. Oderwać się od tego, co tutaj. Zwykły urlop, nie ucieczka, rozumiesz? Ojciec natomiast skręcał się ze strachu. Postanowił wziąć to na siebie. Zapewniał, że nad wszystkim będzie panował, żebym już o nic się nie martwiła, że nie pozwoli mnie skrzywdzić. Był taki dobry i przekonujący... Po raz pierwszy od lat poczułam, że mam ojca. Prawdziwego, nie tylko z nazwiska. Ulga, Erwin. Czułam taką ulgę, jakby ktoś zdjął mi z pleców tonę kamieni. Tak, zaufałam mu i przez krótką chwilę byłam naprawdę szczęśliwa. Ale sprawy przybrały inny obrót. Kiedy, zgodnie z jego koncepcją, wyjechałam nad Tałty, pewnego dnia przyjechał do mnie, zupełnie niespodzianie. Powiedział, że plan się zmienił i że nie mogę wrócić do Warszawy. Że muszę zniknąć na dobre. Ojciec umyślił sobie, że powie mi o tym zaraz po swoim przyjeździe. I tak się stało. Pierwsze słowa padły jeszcze na parkingu, usłyszałam od niego najgorsze. Uciekłam do windy. Ściany zaczęły mi wirować przed oczami, czułam, jakby ktoś podał mi truciznę. Nie chciałam go więcej widzieć, czułam do niego wstręt tak wielki, że marzyłam tylko o tym, aby zniknął mi z oczu na zawsze.

– Pokłóciliście się?

Izabela roześmiała się gorzko.

– A jak myślisz? Miał mi pomóc i wszystko zorganizować na miejscu. Zmianę nazwiska, adres, wszystko. Nagle okazało się, że mam już nigdy więcej nie zobaczyć własnej matki i że ojciec chce upozorować moją śmierć. Co ty byś zrobił na moim miejscu?

Erwin wzruszył ramionami.

– Wiesz, co o nim myślę. Nawet gdyby tonął na moich oczach, z radością rzuciłbym mu kotwicę.

– Wtedy też go znienawidziłam. Puściły mi hamulce, chyba po raz pierwszy w życiu. I nie żałuję tego. Nie potrafię powiedzieć, ile minut później zjawił się w moim pokoju w hotelu. Znów zaczął mówić o tym samym i o mojej matce. Zaczęliśmy się szarpać. Uderzyłam go w głowę czymś, co miałam pod ręką. To była chyba kamera, która stała na stole. Tak, na pewno kamera. Kilka godzin wcześniej robiłam zdjęcia, ojciec wszedł, gdy wrzucałam je na Facebooka, próbując zająć myśli czymś innym od tego, co usłyszałam na parkingu. Miałam jeszcze wgrać je na pendrive'a, do specjalnie założonego katalogu pod nazwą Marta Mazur, ale nie zdążyłam. Ojciec wyrwał mi go z ręki, zupełnie nie wiem dlaczego.

– Ale ja wiem. Myślał, że są na nim zdjęcia, te, których nie zdążyłaś jeszcze załadować. Dlatego podrzucił pendrive'a do koperty, którą wręczył mi Nawrocki. Miałem dzięki nim dotrzeć do hotelu Raj, na wypadek gdybym nie przyszedł do waszego domu i nie wykradł GPS. Ktoś, kogo podesłał... – Erwin wziął głęboki wdech na wspomnienie o Sońce – ...miał za zadanie sprawdzić, czy zdjęcia są na tyle przydatne, aby nie było wątpliwości, dokąd mam jechać. Gdy się okazało, że nie ma tam nic poza pustym katalogiem, ten ktoś wykradł pendrive z mieszkania. Mogę się jedynie domyślać, że zdjęcia miały się pojawić na pendrivie, a on miał

wrócić do żółtej koperty.

– To wszystko jest takie nierzeczywiste, Erwin. Nigdy bym nie posądziła mojego ojca o to, co zrobił. Najgorsze jest to, że ja sama straciłam nad sobą kontrolę, wtedy, w hotelu. Uderzyłam go, musiał ostro oberwać, bo pocięła mu krew z nosa. Bardzo dużo krwi. Poplamiała tapetę i wykładzinę. Następnego dnia ktoś z recepcji zadzwonił i powiedział, że spod mojego samochodu coś wycieka. Poszłam na parking. Pod hondą była plama czegoś ciemnego i lepkiego. Ktoś, kto podał się za dyrektora hotelu, spytał, czy ma zadzwonić po znajomego mechanika z autoserwisu. Byłam zaskoczona, że są tacy pomocni, to się rzadko zdarza. Zostawiłam w recepcji kluczyki i dokumenty wozu, a także moje prawo jazdy i dowód osobisty, miały być potrzebne do dokumentacji. Auto zniknęło z parkingu koło południa, nie zdążyłam nawet zabrać z niego swoich rzeczy. Po tej historii z ojcem czułam się źle. Zadzwoniłam do mamy, powiedziałam, że za nią tęsknię. Minęło może pół godziny, kiedy odezwał się telefon. To była Judyta. Powiedziała, że jest na dole i że na mnie czeka. Mówiła, że wracam do Warszawy, jak było wcześniej ustalone. Przedtem miałyśmy zajrzeć do starej chaty w lesie i zabrać z niej coś dla mojego ojca.

– Nie zaniepokoiło cię, że zjawiała się tak szybko?

– Na początku owszem. Ale wytłumaczyła mi, że co roku o tej porze jest nad Tałtami, żeby być przy Wiktorze. To była rocznica jego śmierci. Wtedy wydało mi się to takie oczywiste. Jak mogłam jej nie wierzyć, przecież go kochała. Zrobiliśmy straszną rzecz, Erwin... Była w tym moja wina, nie twoja, to stało się przeze mnie, że ty go wtedy...

– Zabrała cię stamtąd.

– Tak. Spakowałam swoje rzeczy i wsiadłam do jej samochodu. Przytuliła mnie i powiedziała, żebym już o nic więcej się nie martwiła. Tak bardzo chciałam jej wierzyć.

Izabela wróciła na kanapę i wyciągnęła ręce do Erwina. Znalazł się przy niej w jednej chwili. Objął ją i pocałował w rozgrzane czoło.

– Kiedy skręciła w leśną drogę prowadzącą do starego domu mojego ojca, zaczęłam przeczuwać, że coś jest nie tak. Nie odzywała się już do mnie, nie odpowiadała na moje pytania. Kiedy dojechałyśmy na miejsce, wyjęła moją walizkę z bagażnika, a mnie niemal wywlokła z auta. Widziałam, jak wyjmuję z torby klucze do domu. Poznałam breloczek ojca, taki srebrny, z głową jelenia. Ojciec od zawsze lubił polowania.

– Był wtedy w domu?

– Nie, dom był zamknięty. Nie było też jego citroena, musiał wrócić do Warszawy zaraz po zejściu w hotelu. Byłyśmy w lesie same.

Izabela położyła głowę na kolanach Erwina. Poglądził z czułością jej włosy. Były miękkie i przesypywały się pomiędzy palcami. Nie odzywał się, pozwalał jej mówić i wyrzucić z siebie nagromadzoną traumę.

– Zaciągnęła mnie do domu. W jednej ręce trzymała walizkę, drugą szarpała mnie za łokieć. – Izabela skuliła się, dociskając kolana do brzucha. – Gdy znalazłam się w środku, pchnęła mnie na wersalkę. Sama wyszła przed dom. Dzwoniła do kogoś, słyszałam, jak mówi, że dowiozła towar na miejsce. Stałam się towarem, Erwin. Kiedy wróciła, coś mnie tknęło. Przypomniałam sobie, że Wiktor nie zginął w maju. Przecież wyjechaliśmy nad Tałty w sierpniu. Spytałam ją, o co w tym wszystkim chodzi i dlaczego tu jestem. Uderzyła mnie w twarz. Mocno, poczułam smak krwi w ustach. Przyłożyła mi coś do twarzy i potarła w miejscu rozcięcia.

– To były dokumenty, które potem twój ojciec kazał zbadać, by potwierdziły zgodność krwi. Widziałem je schowane w pudełku, w domu twojej matki.

– Nie wiem, co to było, kręciło mi się w głowie. Zsunęłam się z wersalki na podłogę. Judyta włączyła radio. Nastawiła jakąś lokalną stację i czekała. Pamiętam, że puszczano wiadomości, najpierw polityczne, potem pogodę. Snuła się po pokoju, popijając piwo z butelki. W połowie audycji o wojnie w Syrii przerwano wywiad. Spiker mówił o kraksie, w której zginęła młoda dziewczyna. Z początku nie skojarzyłam faktów, ale gdy padły słowa „czerwona honda” i „Stare Sady”, poczułam, że... nie, nawet nie potrafię tego opisać. To było zbyt straszne. Judyta spokojnie dopiła piwo i klasnęła w dłonie. Widzisz, powiedziała, nie żyjesz. Nie ma już Izabeli Wirskiej. Umarłaś.

Izabela otarła oczy.

– Rzuciłam się do drzwi, ale w zamku nie było klucza. Judyta zaśmiała się i poklepała po kieszeni. Nie ma cię już wśród żywych, powtórzyła. Zdjęła ze ściany strzelbę i nabiła ją na moich oczach.

– Chryste, Izzy...

– Ten koszmar trwał tygodniami. Kiedy była przy mnie, nie rozstawała się z bronią. Musiała jednak co jakiś czas wychodzić. Bywało, że nie wracała przez kilka dni. Zostawałam wtedy sama, w domu z zakratowanymi oknami, ze stojącą pośrodku pokoju miednicą na odchody, paczką pokrojonego chleba, butelką wody i puszką z tłustą szynką. Widzisz to? – Izabela podciągnęła rękaw bluzki. Bordowa pręga na prawym nadgarstku wciąż się nie zagoiła. – Plastikowe zaciski do kabli potrafią dobrze trzymać. Wybrała te najdłuższe, choć i tak nie było w nich zbyt wiele miejsca na moją rękę i rurę od grzejnika. Zdarzało się, że siedziałam tak całymi godzinami, głównie wtedy, kiedy karała mnie za to, że starałam się jej sprzeciwić. Często w smrodzie, przy zamkniętych oknach. Modliłam się, żeby to był tylko zły sen. Ale przychodziły kolejne dni, kiedy budziłam się z głową na podłodze i znów widziałam tylko miednicę, cztery ściany i sufit. Wtedy pragnęłam umrzeć naprawdę. Przestałam jeść. Wodę wylewałam do miednicy, wrzucałam tam chleb i to, co zostawiała mi do jedzenia. Po dwóch dniach w upale dom wypełniał się odorem tak strasznym, że zaczynałam tracić przytomność. Zrozumiała, że musi coś zrobić, nie mogła przecież dopuścić do mojej śmierci, przynajmniej przez jakiś czas.

Wymyśliła, że będzie mi zostawiała włączone radio, żebym słyszała głosy i muzykę.

– Ludzka pani. – Erwin zazgrzytał zębami. – W Oświęcimiu też puszczała muzykę dla tych, co szli do komory gazowej.

– Zażądałam czegoś innego. – Izzy przytrzymała jego rękę i podłożyła sobie pod policzek.

– Telefonów do matki?

– Tak. Co tydzień, w każdy czwartek. Kupiła telefon na kartę. Zawiązywała mi usta, żebym nie mogła niczego powiedzieć. Mogłam tylko słuchać, ale to i tak trzymało mnie przy życiu. Jej głos. Czekałam na te czwartki, odliczałam dni i godziny. Za każdym razem łudziłam się, że tym razem będzie spokojna, pogodzona z moją śmiercią. Ale mimo upływu czasu było coraz gorzej. Smutek w głosie matki nie zmniejszał się. Serce mi pękało, ale przynajmniej wiedziałam, że żyje. Jak się okazało, ona też wierzyła, że w końcu dam znać. No więc dawałam. Nie mogłam pozbawić nas obu tych kilku sekund, które mogłyśmy spędzić razem. A kiedy pewnego dnia usłyszałam twój głos...

– Poznałaś mnie? Po tylu latach? – Erwin starał się trzymać emocje na wodzy, ale słowa grzęzły mu w gardle.

Izabela uśmiechnęła się i pocałowała go w ciepłą dłoń, która gładziła jej policzek.

– Poznałabym cię zawsze i wszędzie, choćby na końcu świata.

– I takie odpowiedzi lubię. No a ojciec? Przyjeżdżał tu przecież.

Dziewczyna westchnęła ciężko.

– Nie miał pojęcia, że tu jestem.

– Wierzysz mu?

– Podczas naszej ostatniej rozmowy wyznał, że zgodnie z umową Judyta miała mnie przechować przez kilka tygodni w domu letniskowym obcych ludzi, kilkanaście kilometrów stąd. Ojciec zapłacił. Kiedy dowiedział się od właściciela, że nikt nie przyjechał, zrozumiał, że Judyta go oszukała. Była nieobliczalna, a on zaczął się bać, że ta wariatka zrobi mi krzywdę. Zacisnął zęby i zgodził się na wszystko, łącznie z tym, żeby moja matka nie dowiedziała się o tym, że żyję.

– Zawsze uważałem go za szlachetnego człowieka. Nie myliłem się.

– Może akurat to jedno miało sens w tej całej sytuacji? Zgodnie z planem Judyty miałam przecież umrzeć naprawdę. Ojciec oczywiście nie mógł o tym wiedzieć, jednak miał świadomość, że już dawno przestał panować nad sytuacją. Jednym słowem, miała go w garści. Wiedział, że gdzieś jestem, ale nie wiedział, dokąd mnie wywiozła. Nigdy nie zdradziła się żadnym słowem, że fikcyjna kryjówka nie istnieje. On chciał już tylko tego, żebym była bezpieczna. Pytasz, czy widywałam ojca? Nie widywałam go, mimo że tu przyjeżdżał. Na godzinę przed jego wizytą Judyta prowadziła mnie do szopy. Tam rytuał się powtarzał. Plastik na rękę, knebel i... miała ze mną święty spokój. Nie mógł przypuszczać, że siedzę na betonowej



posadzce zaledwie kilkanaście metrów od niego. Przywoził zapasy jedzenia i czyste ubrania. Judyta dla niepoznaki pakowała wszystko do swojego auta i wyjmowała z niego brudy. Że niby nie ma mnie w Starych Sadach, ale że niczego mi nie brakuje. Ojciec zabierał wszystko do pralni, żeby matka nie zaczęła czegoś podejrzewać. Robił to dla mnie, żebym mogła żyć. To trwało tygodniami.

– Aż przyszedł dzień, kiedy dostałem wiadomość z kancelarii Nawrockiego. – Erwin wbił wzrok w ścianę. – Kiedy usłyszałem, w jakiej sprawie dzwoni, całe życie stanęło mi przed oczami. To było dla mnie jak wołanie z zaświatów. Ale nie to było najgorsze.

Izabela podniosła głowę z jego kolan, po czym usiadła naprzeciw Erwina. W jej oczach widział to, czego nie mógł dostrzec w spojrzeniu Simone ani żadnej innej kobiety.

– Wiadomość o tym, że nie żyjesz...

– Nic nie mów. Nie trzeba. – Izabela westchnęła cicho. – Kiedy zęgnalam cię na lotnisku, czułam to samo. W jednej chwili przestałam istnieć. Pusta hala odlotów stała się moim grobem. Wiedziałam, że już nigdy cię nie zobaczę, nie usłyszę ani nie dotknę. Przestało mi zależeć na czymkolwiek. Dlatego zaczęłam robić głupie rzeczy, byle przetrwać kolejny miesiąc i rok. Kiedy zniknąłeś z mojego życia, zabrakło mi powietrza, tak jak wtedy, gdy znalazłam się pod ziemią. Umierałam już wiele razy, Erwin. Nie chcę, żeby to znów się powtórzyło.

Ujął jej drobną twarz w dłonie i pogładził kciukami policzki. Dotknął ustami jej ust. Miały słony posmak, ale to były najśłodsze lzy, jakie kiedykolwiek czuł na swoich wargach.

– O mało nie straciliśmy siebie nawzajem, Izzy – powiedział, gdy podniósł powieki. – Jest jednak jeszcze coś... Czy wiesz, kim była ta dziewczyna, która zginęła na szosie?

Pokręciła głową.

– Nie znałam jej. Judyta musiała ją zwerbować ze świeżej dostawy ze Wschodu.

– Zrobiła casting na twojego trupa.

– Jej rodzina pewnie wciąż żyje w przekonaniu, że ich córka robi w Polsce karierę, a może wyszła za męża. A ja nawet nie wiem, jak miała na imię.

– Dziewczyna NN?

Broda Izabeli znów niebezpiecznie zadygotała.

– Wiem, jak to jest być NN.

Erwin odgarnął kosmyk włosów z czoła Izzy i założył go za ucho.

– Widziałem zapis z jej pogrzebu. A właściwie z kremacji. I widziałem ciebie, jak stoisz za szybą i patrzysz, jak trumna wjeżdża do spalarni.

– To nie byłam ja.

– Wtedy byłem pewien, że widzę właśnie ciebie. Miałas jasne włosy i odgarniałaś je z czoła tym swoim szczególnym gestem.

– Judyta długo studiowała go przed lustrem. Wszystko po to, żebyś podał w wątpliwość to, że

umarłam. Żebyś miał nadzieję. I żebyś mnie szukał.

– I patrzył, jak umierasz.

– Tak, Erwin. Moje życie za życie Wiktora. Twoje piekło za piekło Judyty. Tak właśnie miało być. Do realizacji swojego planu potrzebowała statystów. Jednym z nich był mój ojciec. Obiecała mu, że jeśli pomoże jej ściągnąć cię z Hamburga, będę wolna. On z kolei musiał uruchomić następne osoby, w tym tę dziewczynę z kancelarii Nawrockiego, Olgę Marczenko. Była jedną z tych kobiet, które zaczynały w warszawskim seksbiznesie, a potem chciały zacząć normalne życie. Ojciec pomógł jej zmienić nazwisko. Jako Agata Soból była bezpieczna. Kiedy Nawrocki przyjmował ją, za namową mojego ojca, do kancelarii, nie miał pojęcia, kim była Olga w swoim poprzednim życiu. I miał się tego nigdy nie dowiedzieć. Ojciec dał jej dożywotnią gwarancję dyskrecji i bezpieczeństwa, o ile będzie w stosunku do niego lojalna. Była perfekcyjną wtyczką. Gdy przyniosłam do kancelarii żółtą kopertę z twoim nazwiskiem, ojciec dowiedział się o tym jeszcze tego samego dnia.

– W jaki sposób poznał Olgę?

– A jak myślisz? To był plan długoterminowy, rozpisany na lata. Nic nie działa się przypadkiem. Judyta przedstawiła ich sobie zaraz po tym, jak wynajęłam dla Olgi mieszkanie na Pradze. Myślę, że to właśnie Judyta podsunęła jej myśl o tym, żeby nie marnowała się w tym zawodzie. Że jest zbyt mądra i wrażliwa, aby miała z obcymi facetami do końca życia... Zaproponowała małą korektę rysów twarzy, żeby trudniej było ją rozpoznać. Powiedziała, że jest ktoś, kto może pomóc z dokumentami. I ojciec pomógł.

– Nie za darmo. – Erwin wstał z kanapy i stanął w oknie. Po drugiej stronie chodnika szła czarnowłosa dziewczyna na wysokich koturnach. Przypominała Sońkę w jej nieodłącznych pokracznych butach, ale była dużo starsza i wyższa od niej. Niespodziewanie przyszło mu na myśl wykradzione przez Sońkę zdjęcie dziewczyny, która wydawała mu się do kogoś podobna. Czy była nią Olga Marczenko vel Agata Soból przed operacją?

– Ważne, że choć jedna z nich została ocalona.

– Inne nie miały tyle szczęścia. Na przykład Roxy.

– Roxy nie żyje?

– Wpadła pod koła pod klubem. W rękach policji jest jej telefon z kontaktami. Myślisz, że na długiej liście jej przyjaciół znajdzie się również nazwisko twojego ojca?

Izzy rzuciła Erwinowi paczkę vincesterów.

– Niczego nie mogę wykluczyć. Mój ojciec znał wiele dziewcząt. Podejrzewam, że Roxy była jedną z jego potencjalnych podopiecznych. Od wielu miesięcy wspominała, że chce zniknąć. Tak jak i ja chciałam. Być może ojciec obiecał jej to, co Oldze i mnie. Najwyraźniej nie zdążył i Roxy nie żyje. Jesteś tego pewien?

– Byłem na jej pogrzebie.

Izabela ze zdumieniem uniosła brwi.

– Biedna dziewczyna... Roxy przyjaźniła się z Iriną Masimow, to znaczy z Rubby. Rubby też chciała odejść. Dawno o niej nie słyszałam, ślad po niej zaginął. Mam nadzieję, że udało jej się ukryć przed mafią i że jest bezpieczna.

Rubby nie było już wśród żywych, ale Erwin nie odezwał się ani słowem. Postanowienie, aby już niczym nie zasmucać Izzy, było ważniejsze niż los nieznaney mu dziewczyny. Stał w oknie i w ciszy wypuszczał dym z papierosa.

– Wszystko się ułoży. Świat nie jest taki zły – dodała z nadzieją Izzy. – Każda z nas przeszła swoje, ale na tym już koniec. Nasze fatum odeszło i więcej nie wróci. Skoro udało się Rubby, uda się Oldze i mnie. Musi się udać.

TVN24 nadawało najnowsze informacje. Powiało polityką. Izabela wyciszyła głos i wyszła do łazienki obmyć twarz zimną wodą. Erwin, dopalając papierosa, wciąż patrzył na chodnik, po którym nikt już nie szedł. Dziewczyna z czarnymi włosami zniknęła za rogiem ulicy. Włożył do uszu słuchawki, z których popłynęło *Wanted Dead or Alive* Bon Joviego.

Żadne z nich nie słyszało, jak zaraz po najnowszych wiadomościach z Sejmu młody reporter ubrany w białą koszulę z przejęciem relacjonował wyłowienie z Wisły ciała młodej kobiety, Agaty S.

## PODZIĘKOWANIA

Chcę podziękować wyjątkowym osobom, których wsparcie było dla mnie niezwykle ważne podczas mojej dotychczasowej pisarskiej drogi.

Agnieszce Głębockiej dziękuję za wieloletnią i bezwarunkową przyjaźń oraz doping do tego, bym tworzyła kolejne historie, które przelane na karty powieści, trafiają do domów moich Czytelników. Za przekonanie, że to, co robię, warte jest każdej minuty spędzonej nad klawiaturą. Pozaliteracko, dziękuję Ci, Aga, za to, co zrobiłaś w trudnych dla mnie chwilach. Może kiedyś zdołam Ci się odwdziaczyć.

Michałowi Mysłowskiemu dziękuję za to, że na przestrzeni lat, odkąd zaczęły pojawiać się kolejne tytuły moich książek, poświęcał swój czas i wspierał profesjonalną wiedzą prawniczą, bym brnęła ze spokojną głową w swoją pisarską przygodę. Michał, dziękuję Ci za Twą, anielską wręcz, cierpliwość i, tak cenną dla mnie, życzliwość. Jestem Twoim dłużnikiem, wiesz o tym.

Słowa podziękowania kieruję również do Wydawnictwa Czarna Owca oraz współpracujących z nim Redaktorów za umożliwienie mi wydawania kolejnych powieści w zacnym gronie autorów, których nazwiska są najlepszą wizytówką tej Oficyny.

Marta Zaborowska

# CZARNA SERIA

KRYMINAŁ

A woman with long brown hair, wearing a white, flowing dress, is floating underwater. The scene is set at night, with a dark, starry sky visible above the water's surface. The water is dark blue, and the woman's dress is illuminated from below, creating a ethereal glow. The overall mood is mysterious and somber.

**MARTA**  
**ZABOROWSKA**  
**JEJ WSZYSTKIE ŚMIERCI**